

Gnatowski Jan

W ZAKŁĘTEM ZAMCZYSKU

POWIEŚĆ Z LAT DAWNYCH

CZĘŚĆ PIERWSZA

W MAKSYMOWYM FUTORZE

Trzy lata mijają już, odkąd Imci pan Miecznik braciowski zwłóknął doczesną powłokę po pełnym utrapień żywocie, a woli jego ostatniej nie stało się jeszcze zadość. Nie z winy jego jedynaka wprawdzie, który przedśmiertne ojcowskie pisanie rzewnymi łzami oblawszy, gotów był jednej chwili, stosownie do nakazu szarżę złożyć i oddać się całej włożonej nań przez rodzica powinności. Co jednak nie dało się uczynić, jako że fata mocniejsze są od człowieczych intencji. Jakżeż-to było bowiem komendantowi porzucać swój regiment, podczas gdy u trzech ścian Rzeczypospolitej płonąła krwawa wojna? Regiment pana Kazimierzowy, cudzoziemskiego autoramentu a wybornego moderunku i ćwiczenia, wysłany został właśnie w tym czasie z Inflant, gdzie już zanosilo się na późniejszy sztumski rozjem, przez cały obszar ziem Litwy i Rusi, na pomoc JW. Hetmanowi W. K. Koniecpolskiemu, pod którego wodzą brał udział w pogromie Tatarów budziackich pod Sassowym Rogiem i tureckiego wojska pod zdradzieckim Abazą w okolicy Paniowiec. Zaledwo na krótką chwilę uciszyło się w stronie Dniestru i Dzikich Pól, wnet przyszedł ordynans ruszania nad Dniepr, kędy młody król gromadził siły na Moskwę.

Dopiero po rozgromieniu Szeina i kniazia Prozorowskiego, po zwycięskim pochodzie królewskim na Kursk i Kaługę i chwalebny pokój polanowski z Moskwą, a szczęśliwym załatwieniu groźnego zatargu z Amurtem IV, przyszła dla całej Rzeczypospolitej chwila odetchnienia i ciszy, jakiej najstarsi ludzie nie zasięgli pamięcią. Nietylko chassa szlachecka i wolonterzy, ale i regularne pułki poczęły rozpręgać się i rozłazić, korzystając z ogólnego bezpieczeństwa. Wtedy mógł i porucznik Miśmiakowski pomyśleć o powrocie do opustoszałego gniazda.

Miał drogę daleką i trudną, regiment jego bowiem zapuścił się aż pod Rzew w pościgu za umykającym nieprzyjacielem i tam go zastał rozkaz odwrotu. Trzeba było żołnierzy odprowadzić do Dniestru i zdać ich najbliższemu rangą oficerowi, a przez cały ten czas dniem i nocą oganiać się rozjuszonemu nienawiścią ku najeźdźcom motłochowi, jako wilk ścigany przez sforę ogarów. W Kijowie dopiero mógł młody rycerz zażyć nieco spoczynku i nabożeństwa u ojców Societatis na Padole, poczem samowtór ze starym ojcowskim sługą puścił się na Chwastów, Białą Cerkiew i Berdyczów ku Owruczowi.

Czerwiec był i kraj cały z tej strony Dniestru, nie tknięty wojną, szalejącą dookoła, napoły pusty jeszcze i dziki, ale szybko zaludniający się słobodami i ludem, nurzał się w puszystym kobiercu traw, w zielonym płaszczu odwiecznych borów, w klekocie mir jardów ptactwa i powodzi słońca, barw i woni. Pan Kazimierz jechał nie śpiesząc, bo i nie było do czego, nocując po futorach, popasając na leśnych polanach, albo na wonnych stepowych burzanach, zagadując wesoło spotykanych wieśniaków i rejestrowe kozactwo, wracające z wyprawy, jako i on.

Za Chwastowem zaczynał się kraj leśny i prawie bezludny i tu go zatrzymała niemiła przygoda.

Jechał z Tryfonem od wczesnego ranka bez popasu wąską i krętą ścieżyną leśną, przedzierając się przez gąszcz krzów i zawadzając o wystające korzenie dębów. Dzień był upalny i duszny, w borze nawet nie czuło się cienia, ni wilgoci, wszystko wokół drzemało, senne i ciche. Pan Kazimierz odmawiał z początku pacierze, którym wtórował stary sługa, choć sam należał do wschodniego obrządku; potem bąknął od czasu do czasu jednego do drugiego jakieś oderwane słowo, wreszcie zaczęli obaj kiwać się na kulbakach.

Drzemali tak przez kilka pacierzy, rycerz na przedzie, Tryfon z tyłu, kiedy nagle zdarzyło się coś zgoła nieoczekiwanego.

Niewiadomo skąd konie, zresztą niepłochliwe, spłoszyły się, stanęły dęba, poczęły wierzgać, pnieć się, szaleć. Pan Kazimierz z największym wysiłkiem opanował swego wierzchowca, ale gdy oglądnął się za siebie, zobaczył Tryfona, leżącego bez zmysłów na ziemi

z głową, ociekającą krwią. Konie wierzchowe i powod-ny z jukami stały na miejscu, ale całe w wodzie, drżąc i strzygąc uszami z widocznym przerażeniem.

Komendant zeskoczył i podbiegł do rannego, posadził go pod pniem drzewa, o które rozbił sobie łeb tak szpetnie, i sięgnął do manierki po wodę. Nie było jej. Wlał więc wciąż jeszcze nieprzytomnemu parę kropel gorzalki między zaciśnięte zęby, a potem rozglądnął się, czy nie było gdzie w pobliżu źródła. Zdało mu się, że słyszy wdali jakiś szum, jakby leśnego ruczaju, i że mu coś migoce między gałęziami, ale gdy w tę stronę pobiegł, szum zdawał się oddalać odeń i zlał się wkońcu z szelestem starych dębów, a błysk, który go złudził, okazał się promieniem słońca wśród gałęzi.

Zniechęcony wracał do towarzysza, kiedy naraz wstrzymał go głos jego zmieszany z drugim. Tryfon rozmawiał z jakąś kobietą, a kobieta musiała być młoda, bo głos był dźwięczny i świeży. Zastaniał ją krzak leszczyny. Rycerz uchylił gałązkę i spojrział.

Przy Tryfonie stała, omywając mu ranę płachtą zwilżoną, dziewczyna cudnej urody. Z pod wianka z czerwonych maków zwisały jej do ziemi ciężkie czarne warkocze, śniada płeć miała przezroczystość bursztynu, rysy napodziw były foremne, a oczy aksamitne, słodkie i głębokie, wabiły i więziły nieprzepartą mocą. Bosa była i odziana jak wiejskie dziewczęta, w prostej, ciemnej zapasce z wełnianego samodziału, owiniętej dokoła bioder na koszuli, ale koszula łmiła śnieżną białością, „połyki” świeciły bogatym, wzorzystym haftem, a szyję owijało kilka sznurów koralu.

Ujrzawszy młodego oficera, dziewczyna nie zasroma-ła się wcale, jak to nakazywały wstydlivość i obyczaj, ale błysnęła mu oczyma, świecącymi jak gwiazdy.

— A skąd wy tu, krasnyj łycariu? — zagadnęła, pokazując w uśmiechu śliczne zęby.

Rycerz, choć z natury wcale niełękliwy, a obozowem życiem do wszelkich przygód zahartowany, zmieszal się daleko więcej od niej i przez chwilę pozostał dłużny odpowiedzi.

Wyryczył go Tryfon, rozsypując się w błogosławieństwach dla tej, jakby z nieba spadłej, wspomóżycielki, która go i otrzeźwiła, i napoiła, i ranę opatrzyła, niczem najlepszy medyk. Ona jednak nie dała mu mówić długo.

— Cóż teraz będzie z wami? — spytała, zwracając się do pana Kazimierza. — Jechać dalej nie możecie, bo choć rana i lekka, ale przecie starunku wymaga.

Rycerz ochłonął z pierwszego wrażenia. Przysunął się do dziewczyny i chciał poufale pochwycić ją za rękę, dziękując, ona jednak cofnęła się z zalotnem, ale i nakazującym spojrzeniem.

— Dziękować niema za co, a jak już chcecie, to zdaleka — zaśmiała się. — Ale biedzie waszej początek dopiero, nie koniec. Co zrobicie?

Rycerz ramionami ruszył.

— Do wsi-by nam, albo choć do futuru — rzekł. — Nie pokażesz to nam drogi?

— Czemu nie? — odparła. — Wsi tu blisko niema, ale futur jest i znajdziecie tam wszelką wygodę.

— Daleko?
— Tuż zaraz. Trzy razy kamieniem rzucić! Widzielibyście, gdyby nie las.
— A przyjmą nas?
— Przyjmą, jak pięknie poprosicie.
Pan Kazimierz zdziwił się.
— Kogóż to trzeba będzie prosić?
Dziewczyna zaśmiała się.
— Mnie, bo ja tam gospodyni!
Oficer w dłonie klasnął.
— A to przednio się składa! — zawołał. — Takiej gospodyni nie żal pokłonić się o gościńę, a jakby nie chciała, to można i gwałtem wziąć chatę!
Dziewczyna rzuciła mu ostre spojrzenie.
— Nie z takich ja, którym gwałt poradzi, — rzekła — a chaty jest też komu strzec.
Pan Kazimierz znów się stropił.
— Nie gniewaj się na żołnierski żart, kalino! — szepnął. — Po dobroci ja jeno przyjdę do ciebie, a nie przeciw woli.
I dodał weselej:
— Nie moje to rzemiosło, na baby siłą iść!
Dziewczyna znów mu zęby pokazała w uśmiechu.
— To i lepiej, bo są i baby, co starczą za łycaria!
I pochwyciwszy dzban z wodą, który postawiła obok Tryfona, odwróciła się w stronę przeciwną tej, którą przybył pan Kazimierz.
— To jak chcecie, wsadźcie waszego parobka na koń i za mną! A może nie zdłużacie dźwignąć go na siodło? To wam pomogę!
Rycerz oburzył się na propozycję, ale ona nie czekając długo, przyskoczyła do Tryfona i dźwignęła go z ziemi silnem ramieniem.
— Ot, widzicie, i dziewczka na coś przydać się może! — zaśmiała się.
— Czekajże! Daj pokój! A to utrapiona koza! — upominał i narzekał komendant. Ona jednak tymczasem pomagała staremu gramolić się na siodło i czyniła to istotnie zręczniejsz, niż jego pan, któremu interwencja niewieścia widocznie mieszała szyki, Za chwilę Try- fon był już w siodle, a dziewczyna stanęła przy wierzchowcu pana Kazimierza.
— Może i wam także pomóc?
Rycerz chciał jej odpowiedzieć jakimś obozowym konceptem, ale w tejże chwili powtórzyło się z jego wierzchowcem to samo, co przed godziną stało się powodem katastrofy. Koń począł znów niepokoić się i szarpać. Pozostałe dwa konie zdawały się również przelęknione.
— Co się stało? — zawołał podrażniony rycerz. — Wściekły się, czy co?
— Tfu! urok djabelski! — mruknął, spluwając Try- fon.
Dziewczyna zżymnęła się.
— Wstyd wam, staremu, brednie pleść! — rzekła.— W lesie słońce miga między liśćmi, a konie płoszą się. Ot wam i urok!

Potem zaś nachyliła się do ucha konia Miśniakowskiego, i zdało się, jakby mu coś szepnęła.

— Teraz ja mu zadałam urok i będzie z nim pokój! — uśmiechnęła się wesoło.

Konie istotnie uspokoiły się zupełnie i obaj jeźdźcy pośpieszyli śladem przewodniczki, która, nucąc piosenkę, pobiegła przodem tak szybko, że w uciążliwym przeciskaniu się między krzemi i pniami ledwie potrafili jej nadążyć.

— A, ot i futuro! — zawołała, stając na pobrzeżu lasu.

Na końcu niewielkiej polany stała zagroda obszerna i dostatnia, okolona wysokim częstokołem, z poza którego wyglądał żóraw studzienny i nastroszony w górę dach słomiany. Po bokach widać było kilka budynków gospodarskich, z tyłu zielenił się gęsty sad wiśniowy, z pomiędzy żerdzi ogrodzenia uśmiechały się malwy i słoneczniki.

Na przyźbie przed chatą siedział dziad o długiej, zmierzwionej brodzie, białej jak mleko i grzał się w słońcu, wodząc dokoła szklanym, bezmyślnym wzrokiem. Obok dwudziestokilkuletni parobek, wysoki i gibki, jak młody dąbczak, z piękną, ale posępną twarzą, zajęty był czyszczeniem starej rusznicy, od której oczy raz po raz odrywały mu się, biegnąc w stronę lasu, jakby stamtąd czegoś wyglądał. Ujrawszy dziewczynę u wejścia na polanę, a za nią dwu obcych mężczyzn, zerwał się i szybkim krokiem pośpieszył naprzeciw niej, rusznicę rzuciwszy o ziemię, ale z ręką na wiszącym u pasa czekaniu.

— Chciałem już iść za wami, Motro, — rzekł półgłosem i jakby z wymówką. — Nawet dziaduś niepokoił się o was. A cóż to za ludzie z wami?

— Goście do nas! — odparła niedbale, tonem, jakim przemawia się do służby. — Zabierz ich konie i postaraj się, żeby mieli u nas wszystko, czego ich dusza zapagnie.

Chłopak rzucił nieufne i nieprzyjazne spojrzenie na przybyszów, ale spełnił rozkaz i odprowadził konie do stajni, a potem zakrzętnął się wraz ze starą, bezzębną babą o świdrujących oczkach i szybko pytlującym języku około przyjęcia gości.

Tryfon cierpiał coraz gorzej i zaczynał od rzeczy gadać: trzeba go było położyć w stodółce. Panu Kazimierzowi tymczasem przygotowała stara Jewdocha w świetlicy obfity posiłek z wędzonych kielbas, sera, miodu, białych kołaczy i jagód leśnych. Rycerz jadł z apetytem. Jewdocha posługiwała, zapraszała i obsypywała go gradem pytań i uwag, na które on z rzadka i półgębkiem jeno odpowiadał, zerkając wciąż na dziewczynę, która siedziała wprawdzie na zydlu, koło drzwi, nie mieszając się jednak ani do ugaszczania, ani do rozmowy. Przywłókł się także i zasiadł przy stole dziad, bełkocąc od czasu do czasu jakieś wyrazy, których nikt nie rozumiał. Parobek siedział na dawnym swym miejscu na przyźbie, czyszcząc jak poprzednio broń i słuchając rozmowy, z której przez otwór okienny, pozbawiony błon dla gorąca, nie mogło mu ujść ani słowo.

Pan Kazimierz dowiedział się od starej bez pytania, że dziad, którego nikt nie rozumiał i na którego nikt

l&SHBHH

nie zdawał się zważać, to właściciel futoru, Maksym, najbogatszy bojar na całą okolicę, a Motra, to jego jedyna wnuczka i dziedziczka, zaś Artem, parobek, to krewniak i wychowanek Maksyma, teraz zaś po śmierci jego jedynaka, ojca Motry, podpora i obrona ich wszystkich, bo okolica niebezpieczna, złych ludzi dużo się włóczy i z cudzego żyje, a są i tacy, co radzi błotem na cnotliwych rzucają i Bóg wie, jakie zbrodnie zarzucić im gotowi.

Młodzieniec słuchał i patrzył na Motrę, która ze swej strony rzucała nań wzrok ciekawy, uważny i przenikliwy, jakim chłopak opatruje złowionego po raz pierwszy chrabąszcza. Jego spojrzenia nie zdawały się czynić na niej najmniejszego wrażenia, a ta zupełna obojętność drażniła mimowoli pana Kazimierza, który choć był obcy wszelkiej próżności i o białogłowy dbał dotychczas niewiele, przywykł jednak, jako chłopak wielce urodziwy, zwracać na siebie ich uwagę.

Miał już, otarłszy usta, wstać od stołu i wyjść na podwórko, by się uwolnić od gadaniny starej gospodyni, kiedy nagle Motra odezwała się do niego swym pełnym, dźwięcznym głosem po raz pierwszy od tych" paru godzin, które bawił w futorze.

— A wy, pane, choć te trzy dni musicie u nas zostać, chcecie, czy nie chcecie, bo wasz stary nie utrzyma się przedtem na siodle, choćbyście jego i wiązali.

— Ostałbym chętnie, jeno tak widzę, że krasnej gosposi gość nie w smak, więc jakże mi ostawać się przeciw waszej woli?

— Wola wasza, nie moja — odparła obojętnie dziewczyna.

— 15 —

czyna. — Ani ja chcę, ani nie chcę. Chata gościowi otwarta, miejsca, ni jadła nie zbraknie. Taki u nas ojców obyczaj! Chcecie, ostańcie, chcecie, idźcie sobie! Ale myślę, że nie pójdziecie, bo wam sługi żal będzie, a on nie zduża w drogę.

— Mogę go i gdzie indziej zostawić, choćby i we wsi najbliższej. Tyle może dojedzie! — odrzucił rycerz, podrażniony chłodną obojętnością jej słów.

— Nie dojedzie, bo i wsi tu nigdzie niema, jak wam już mówiłam. Musicie zostać choć trzy dni. A za trzy dni Kupajły.

— Jakiego Kupajły? — spytał rycerz.

Jewdocha w dłonie uderzyła z podziwu.

— Święta Przeczysta! Jestże taki człowiek na świecie, co nie wie o Kupajle? A jeszcze łycar, jeszcze taki wielki łycar! Pewności, pane, z bardzo dalekiego kraju i nigdy u nas nie bywali, że nie wiecie o święcie Kupajły? I ii i! (T**

— Owszem, jestem z tych stron, jeno od małego włóczę się po innych, i dlatego nie wiem, co tu wiedzą wszyscy. Powiedzcie, to będę i ja wiedzieć!

— A jakże! Powiem! Czemu nie powiedzieć! — zawołała z ożywieniem Jewdocha i poczęła szeroko rozwódzić się nad opisem święta ognia w wigilję Jana Chrzciciela. Prawiła mu więc o płasach leśnych i o dziwnych obrzędach, odprawianych przez parobków i dziewczęta, a nawet przez największych panów, którzy tej nocy jednej z chłopstwem kumają się, uczują i hulają, jako i w dożynki nigdy nie bywa; wspomniała o wielkiem, gorejącem drzewie, które ma być, jako słoń

ce, i o świętym Janie, który może nie jest wcale świętym Janem, jeno starym bożkiem, Kupajłą, i jako taki za cześć sobie oddaną wiele dobra ludziom świadczy; i o kwiecie paproci, przy którym znaleźć można nietylko skarby, ale i umiłowane serce, i o wielu jeszcze innych rzeczach, wielce ciekawych, od których jednak wkrótce uczuł rycerz nieznośny szum i zawrót w głowie, i zdawało mu się, że mu w mózgu kręci się, mieląc go na mąkę, młyńskie koło.

Nagle rozległ się młody, rozkazujący głos.

— Milcz, Jewdocho!

Stara urwała w pół wyrazu, a dziewczyna stanęła przy rycerzu i pilnie wpatrzyła mu się w oczy swym głębokim, przenikliwym wzrokiem.

— Święto Iwana Kupajły, to wielkie święto, rycerzu jasny! — rzekła, ściągając zlekką czarne brwi. — Ubogi znaleźć może skarby, a głodny miłowania — miłość, każdy, mający potrzebę, a kto jej nie ma? — światło, radę, pomoc! Na Kupajłę serca się schodzą i związują, losy się łączą, przeznaczenie dopełnia się. Idźcie, pokłonić się Świecącemu, idźcie zapytać wróżb, idźcie zarzucić sieć na szczęśliwość i na miłowanie! Idźcie, panie, na Kupajłę!

— Pójdę! — zawołał w uniesieniu pan Kazimierz.

Po chwili zaś dodał, zaglądając jej w głąb oczu:

— A ty pójdiesz?

— Ja tam zawsze idę! — zapewniła poważnie dziewczyna.

I, jakby chcąc złagodzić nastrój tych słów, dorzuciła z uśmiechem:

— Wszystkie dziewczęta tam idą!

— A mówiłaś, że okolica pusta?

— Na Kupajłę schodzą się tu o wiele mil z okola.

— Pójdiesz ze mną?

W tejże chwili w otworze okiennym ukazała się twarz Artema, blada, z zaciśniętymi ustami i płonąca żrenicą.

— Z wami i — z Artemem, — odrzekła dziewczyna. — On mój sługa, wy — gość.

Pokażemy wam razem drogę!

II.

WIEDŹMA

Panu Kazimierzowi przysposobiono wyborny nocleg na świeżem, pachnącem sianie w stodółce. Zasnął też twardo, ale noc miał ciężką i sny dziwne, gorączkowe niemal. Obudził się wbrew żołnierskiemu obyczajowi nie o świtanie, ale późno z południa i choć w odry- nie ciemno było i świeżo, zlany był cały potem, znużony i jakby połamany. Czuł w sobie każdą kosteczkę, zwłaszcza zaś bolały go nogi, jakby po długiej, pieszej wędrówce.

Tryfon zato był rzeświejszy, niż wczoraj, i całkiem przytomny. Opuściła go gorączka i krew poczynała przysychać. Pozdrowił też wesoło swego panicza, jak

W zaklętem zamczysku,

a

go z dawnej na wyczki nazywał, ale wnet zmarkotniał, widząc go osowiałym i przybitym.

— Cóżto z wami, paniczu? — zagadnął z niepokojem.

— Nic! Co ma być? — odparł niechętnie oficer, który sam już sobie zadawał to pytanie i znajdował na nie jedną tylko odpowiedź: znużenie i brak hartu w ciele, które dotychczas poczytywał za niezwykle wytrzymałe i dzielne.

I widząc, że stary wciąż mu przygląda się z podełbą, dodał niecierpliwie:

Chłopak splunął w bok i głowę zwiesił. Wszystko we mnie na swoim miejscu: bodajby z tobą jutro już było tak samo!

Tryfon nic nie odpowiedział, więc młody pan przeszedł się po alkierzu i zagadnął go:

— Był tu kto u ciebie dziś rano?

— Był parobek i Jewdocha była.

— A więcej — nie było nikogo?

— Panicz o tę dziewczkę pyta? Nie, nie było jej! Miśniakowski wyglądał przez otwór okiennicy.

— Dziw, że jej nigdzie w obejściu całem nie widać! — mruknął do siebie.

Stary ramionami ruszył.

— Zaspała może gdzie w kącie, — zauważył obojętnie. — Czy to jej do roboty mus, czy kto pędzi? Zwyczajnie — jedynaczka. Jeno patrzeć, zjawi się.

Jakby na potwierdzenie słów tych doleciał w tej chwili z podwórka srebrzysty głos kobiety, nucący zwrotkę piosenki.

— Wy tu, pane lycariu? — rzuciła komendantowi, stając w oknie i ogarniając go wzrokiem, w którym była ciekawość i, jak się rycerzowi zdało, trochę szyderstwa. — Jakże wam nocka zesza? Wypoczęliście pewnie dobrze po drodze?

— Wypocząłem dobrze, — odrzekł nieco niepewnym głosem pan Kazimierz; — ale...

— Ale wyglądacie całkiem zmarnowani, — dokończyła dziewczyna, wpatrując się weń przenikliwie. — Ej, zła nocka to była dla was, zła! Aby tylko druga była lepsza!

Stała teraz w samym obramieniu okna, schylona nieco, wysoka, smukła, hoża. Pachło od niej młodością, zdrowiem, snem świeżym, wiosennem kwieciem. Rycerza pociągnęło do niej tak, że aż przysiadł na oknie i prawie dotykał jej twarzą, ona zaś przypatrywała mu się wciąż z pod długich, wdół opuszczanych rzęs.

— Nocka nocce nierówna, — mówiła dalej, obrywając jeden po drugim listki polnych kwiatków, których pęk trzymała w ręku. — Bywa taka, co kropla po kropli wszystką krew z was wysączy, młodą, świeżą, gorącą krew... Ot, jak ja i tych liści... Aż z człowieka tyle zostanie!

Mówiąc to, podniosła mu do oczu pęk obnażonych badyli.

— Grzech kwiaty psuć, dziewczyno, — ozwał się z tapczana Tryfon.

— Jaki grzech? Co żyje, to i ginie! A słonko, nie wypija ono życia z ziemi: Kto ma moc, ten daje i od

biera żywot. Wy dawno tu nie byli, panie, to nie wiecie, a ja wiem!

I rzuciwszy pęk badyli o ziemię, zerwała się i odeszła. Ale o kilka kroków odwróciła głowę i oko w oko spojrzała na rycerza.

— Tak, tak, rycerzu jasny! — zaśmiała się, pokazując białe zęby. — Różne nocki u nas bywają, różne! Dobrze i złe! Komu jaki los wypadnie! Czyje na wierzchu, ten szczęśliwy. A nie, to niech pyta, jak los odmienić i swoje nawierzch położyć!

Wyrzekłszy te dziwne słowa, dziewczyna zaśmiała się raz jeszcze i znikła za węglem chaty.

— Co ona chciała rzec? — spytał zdziwiony młodzieniec starego pachółka.

Tryfon nic mu nie odpowiedział. Kręcił głową z widocznym niezadowoleniem, brwi marszczył i mruzczał coś niezrozumiale sam do siebie.

— Cóżś to ogłuchł, czy zaniemówił? — ofuknął go oficer niecierpliwie.

Stary jeszcze przez chwilę milczał, potrząsając głową...

— Oj, nie ogłuchłem ja wcale, a widzieć, to może lepiej widzę od panicza, bo te stare oczy patrzyły się już na niejedno i potrafią i to rozeznąć, o czym młodemu ani przez łeb nie przejdzie. Więc i teraz widzę, czego panicz nie widzi i mówię jedno: źle tu jest i precz nam stąd iść trzeba jako najprędzej, choćby i tej jeszcze godziny!

— Zwarjowałeś! — obruszył się młodzieniec. — Cóż- to tutaj złego? I czego stąd iść? Gadaj jasno!

Ale stary znów głową potrząsnął.

— Nic tu niema do gadania. Jedno mówię: zabierajmy się stąd i tyle, żeby tu po nas i śladu nie ostało!

— Głupiś! — przerwał pan Kazimierz.

Zły był na Tryfona za jego gadanie, które i nic nie wyjaśniało, i szło wbrew ukrytym chęciom jego pana. Wnet jednak pomiarkował się i uspokoił.

— Znów pewnie zaczyna bredzić! — pomyślał, spozierając ze współczuciem na pachółka, którego miłował i dlatego, że go znał od dziecka, i dlatego, że Tryfon stanowił jedyne ogniwo, łączące go z tem wszystkim, co utracił i co mógł zwać swoim.

Ale na starym nie było znać gorączki i zdawał się zupełnie przytomny, choć poruszał się niespokojnie i chciał z pościeli się zrywać.

Dopiero kategoryczny rozkaz Miśniakowskiego zatrzymał go, wywołując nowe upominania i nalegania o najrychlejszy wyjazd.

Pan Kazimierz ofuknął czasem Tryfona, ale Tryfon najczęściej postawił na swoim u młodego pana. Tym razem jednak rotmistrz miał mocne postanowienie nie ustąpić jego przywidzeniu i pozostać w futorze, bo go dziwnie zaciekawiła i nęciła niezwykła postać młodej dziewczyny w niczem niepodobnej do spotykanych dotychczas. Uspokoił jednak Tryfona zapewnieniem, że odjadą nazajutrz, a najdalej pojutrze, tymczasem zaś rana mu zgoi się zupełnie.

Myślał zaś, że za dwa dni wigilja świętego Jana, a do tego czasu musiał koniecznie pozostać w Maksymowym futorze, później zaś... Nie chciało mu się myśleć

o tej chwili, w której nie będzie mógł zaglądać do dziwnych, ciekawych oczu Motry: miał jednak wrażenie, że byle doczekał się Kupajły, na Kupajłę zajdzie coś, co zmieni położenie i stworzy między nim, a dziewczyną jakiś punkt styczny, coś, o czym nawet w myśli nie umiał zdać sobie sprawy, ale czuł jedno, że to coś przyjść musi i że będzie dlań wyjaśnieniem i rozjaśnieniem duszy.

W ciągu dni następnych dziewczyna pozostała taką samą, jak w pierwszym: niedostępną, zagadkową, a cudną. Krasa zdawała się rość w niej z każdym nowym rankiem. Rycerz nie był już w stanie oderwać od niej oczu, szedł za nią, gdy ją ujrzał, jako idzie cień za człowiekiem, modlił się do niej wzrokiem o dobre słowo, zamiast którego otrzymywał jeno niezmiennie obojętne, chłodno - ciekawe spojrzenie, a czasem szyderski uśmiech. Gniewało to pana Kazimierza, ale na krótko jeno, bo gniew wnet upadał przed jej urokiem i własną niemocą.

Bo pan Kazimierz stawał się z dniem każdym słabszy, bledszy i bardziej znużony. Gdzież to się podziła owa kawalerska fantazja, z której słychać wśród obozowych rówieśników? Co się zrobiło z tego żołnierza z krwi i kości, który łamał podkowy i w biegu strącał strzałem głowy turczyńskie! Budził się teraz o późnej godzinie, po śnie nadmiernie długim, w którym zamiast odpocznienia, znajdował mękę, oblany potem, dyszący ciężko, bezwładny, a co najdziwniejsze, z pokrwawić nemi stopami i mnóstwem sinych i krwawych piętn na ciele, jakby od smagania lub klucia. Coby to być

mogło? Czy rzucił się tak silnie przez sen, gdy go dusiła zhora, że aż poranił się o deski i gwoździe ściany? Darmo w głowę zachodził nad znalezieniem odpowiedzi, zwłaszcza, że ściany były gładkie i nie przedstawiały śladów tarcia. Ale pan Kazimierz czuł się po trzech dniach tak znużony, że przestał sam siebie pytać o rozwiązanie tej dziwnej zagadki.

Przed swoim Tryfonem nie wspominał o niczem i starał się zucha udawać, ale stary musiał dostrzec, co się święci, wodził bowiem wielce markotnym wzrokiem za swoim panem, wzdychał ciężko za jego plecyma i wciąż naprzykrzał się o wyjazd, aż wreszcie nie wytrzymał i znalazłszy chwilę, kiedy nikogo nie było w chałupie, a rotmistrz siedział przy nim, przysunął usta do twarzy i szepnął tajemniczo:

— Niechno mnie panicz posłucha do końca, a nie przerywa i nie łaje, bo to wielkie rzeczy, które mam rzec, i o żywot pański idzie, a może i o zbawienie duszy.

Miśniakowskiego nieprzyjemnie zdziwił ten początek. Zachnął się niecierpliwie i chciał przerwać dalszą rozmowę, ale stary pochwycił go za rękaw i wstrzymał przy sobie.

— Jeno parę pacierzy bądź jegomość cierpliwy, bo to niedługie, a potem choć i szyję tnij! — prosił stary.

Nie było rady. Rycerz usiadł na zydlu, a Tryfon jął mu szeptać do ucha, co miał na sercu.

— Żle z nami, panie! — mówił. — Ta dziewczka niesamowita i z panem niedobrze się święci. Ja patrzę i milczę, ale widzę. Łażę też po obejściu, bo mi tu nud

no leżeć; ludzi spotkałem kilkoro, gadałem z nimi... Żle, panie, źle słyhać!

— Cóż słyhać? Gadajże do sensu! — przerwał niecierpliwie rotmistrz.

— Zaraz, zaraz. Otóż widzi pan, mnie się to odra- zu nie podobało, że ta Motra takiemi oczyma na panicza patrzyła, całkiem nie tak, jak dziewczka na parobka, a choćby nie przymierzając na krasnego rycerza. A już daleko gorzej nie podobało mi się to, co z panem dzieje się po nocach. Kto to słyisał, żeby taki chłop na- schwał bieleł i słabł z przeproszeniem pańskiego honoru, jak podwika!

— Et, głupiś! — mruknał rycerz, zły, bo mu pacholek głośno powtarzał jego własne myśli. — Niby to chorość nie chodzi po ludziach?

— Chodzi, ale nie taka. A zresztą, co tu gadać? Chce jegomość wiedzieć, co to za choróbsko, to i powiem, com od ludzi słyisał. Ta dziewczka, to wiedźma, jak ten kraj długi i szeroki, ze wszystkich największa!

— Co, co? — porwał się rycerz. — Motra? Wiedźma?

— Prawdziwa kijowska! Znają tu ją wszyscy i strzegą się jej, jak ognia. Tutejszym nie może dać się we znaki, to cudzych ludzi szuka, którzy nie wiedzą, co to za ptaszek!

— Co ty bredzisz, człowiecze? W głowie ci się przewraca!

— Acha, dobrze! Przewraca się! A cóż to. czy jegomość o wiedźmach nie słyisał, nie wie?

— To i cóż?

— A nie wie pan, jak to one nocką na człowieka

igSHSPwWrjF

siadają niby na konia, i niewiedzącego o bożym świecie, pędzą milami noc po nocy po swoich sabatach czartowskich, mordując go, aż z niego wszystka krew wyjdzie i zginie! A im dłużej taki nieszczęśnik w mocy wiedźmy, tem moc jej większa, aż wreszcie robi się z niego posłuszny rab biesowej córki. I wtedy tęskni do swojej męki, a całuje rękę, co go smaga, i gotów na jedno słowo przeklętej duszy swą zaprzedać Nieczystemu, którego ona jest służką. Niechże teraz pan pomiarkuje się i rozważy sobie wszystko, a jeśli to nie pasuje do Motry, jak kulbaka do końskiego grzbietu i mój kindżał do swojej pochwy, to niech już mi jegomość tnie ten głupi łeb, niewart, żeby go dźwigać na ramionach!

Rycerz zerwał się i wielkimi krokami przeszedł się kilka razy po ciasnym alkierzyku.

— Dziwne! Dziwne! — mrucał do siebie, gryząc wąż i brwi zsunawszy tak, że się złączyły na czole.

— Co to dziwne! Mów jegomość: straszne, ohydne! — wpadł mu w słowo Tryfon. — W takie djabelskie szpony dostał się panicz i mało co jeszcze, przepadłoby w nich młode życie, przepadłaby chrześcijańska dusza! A nie mówiłem zaraz pierwszego dnia: nic tu po nas! Im dalej stąd, tem zdrowiej nam będzie! Ot i sprawdziło się!

O wiedźmach wiedział rotmistrz to wszystko, co mu opowiadał Tryfon, i prędzejby zwątpił w istnienie miesiąca, niż w wiarogodność onych historyj, które koły- sały jego dzieciństwo i przerażały nieustraszoną odwagę męskiego wieku. Bał się czarownic i brzydził się niemi tak dalece, że mając z przyrodzenia serce tkliwe,

tłumił w sobie wszelką kompasję, gdy patrzył na pławienie czarownic, a jeśli która wypływała z wody (signum niemylnie, że w niej bies siedział), młody oficer wołał z innymi: „Z wody ją i na stos! Na stos!” Ale tamte były stare i brzydkie, Motra zaś była jak kwiat wiośniany, a oczy miała, jako gwiazdy. Jakżeż uwierzyć, żeby tak wyglądała zaprzędana piekłu wiedźma?

Młody rycerz bił się z myślą, a stary Tryfon patrzył nań zafrasowanym okiem, kiedy naraz głos rozległ się u progu, dźwięczny i świeży.

— A co wy tu tak sumujecie, rycerzu? — wołała wesoło Motra. — Czy wy zapomnieli, że to już jutro nocka Kupajły, największa nocka w roku, kiedy paproć kwitnie, i lubystek serce człowieka odmienia, i złoto, co je w ziemi trzyma, ogniem czyszcząc nieczysta siła, dostać do rąk może każdy, byle serce miał i nie zląkł się. Czego tylko dusza zapagnie, będzie wasze, byle chcieć i siłę mieć! A wam czego się chce? Może lubystku?

— Naco mi lubystek? — mruknął rycerz. — Popatrzę w twoje oczy, to jakbym lubystku się napił.

Dziewczyna zaśmiała się.

— To za mało! Póty w myśli, póki na oczach! A jak skosztujecie lubystku, to choćby i za siódmą górą były i choćby za sinem morzem, i choćby w ziemię zapadły się te oczy, to i tak będą wam świecić wciąż i palić, niczem żelazo, co wskroś człowieka przewierca!

— Bój się Boga, dziewczyno, upomniał ją Tryfon.— Co też ty pleciesz? Słuchać strach!
— 27 —

— Wam nie strach, a zazdrość, staruchu! — zaśmiała się dziewczyna. — Piliby wy lubystek, pili, tylko, że do was młodych oczu i lubystkiem nie przyciągnie! I zakręciwszy się na pięcie, wybiegła z alkierza.

— Stój! Czeka! — krzyknął za nią pan Kazimierz.— Dokąd lecisz?

— Dokąd ptak leci? Którędy wiatr wieje? Pytaj ptaka, pytaj wiatru w polu, jasny panie! — zawołała z poza drzwi Motra, odwracając ku niemu uśmiechniętą twarz i pokazując zęby. — Goń wiatr, jeśli chcesz!
I znikła.

— A niech leci na złamanie karku! — zauważył Tryfon. — I tak jej panicz nie złowi, bo to lichy istny wicher, raz tu, raz tam, nieposediuszcza, nawiżena! — kończył, mrużąc sam do siebie, bo oficera dawno już nie było w izbie.

— Propaw chłopeć! — szepnął. — Propaw hołub mij!

— A niema tu Motry?—dał się słyszeć z poza drzwi głos Artema.

— Oj, niema, synku, niema! — odrzekł żałośnie Tryfon. — Niema jej, niema i mojego panicza.

— Poszedł znów za nią się włóczyć, — mruknął chłopak posępnie.

— Oj, poszedł-ci, poszedł! Siedział ze mną, bała-kał, aż tu ona jak nie wleci, jak nie zakręci ślepiami i językiem, niczem ten homon, i już jej niema, a jego z nią.

— Wy, diad'ku, nie strzępcie sobie jęzora Motrą,

bo choć wy i stary, ale ja i od was tego nie ścierpię. Ona tu gospodyni i pani.

— Bodajby my tego jej państwa nie widzieli! Trzy dni tu siedzimy na nasze nieszczęście, a pan mój wysechł, jak ta drzazga!

— Któż mu winien? — burknął parobek. — Po cóż siedzi? Djabli was tu przynieśli, niechby i odnieśli won!

— Naprzód nie djabli nas tu przynieśli, bo my prosto z Kijowa, od świętych moszczów jedziem i choć pan mój Lach, ale przecie nietylko w swoim kościele, ale i w sofijskim soborze modlił się, a ja, zem prawosławny, to i w Peczerskiej ławrze byłem, i świętym się tam pokłoniłem. Więc my tu z Bogiem przyszli, tylko nie Boga, ale czarta zastali.

— Milczelibyście lepiej. Niezdrowo takie rzeczy gadać!

— Czemu mi milczeć! Łgać jeno niezdrowo, a ja prawdę mówię.

— Taka to i prawda!

— Może nie?

— Pewnie, że nie? Pies szczeka, a głupi wierzy.

— To znaczy Motra nie wiedźma?

— Tfu! Bodajby wam gęba spuchła! Pewnie, że nie!

— A mój pan schnie i ma pokrwawione podeszwy i boki nie od wiedźmy?

— Może i od wiedźmy, tylko nie od tej!

— Dobrze! Więc ja już zdłużam i tej nocy będę przy moim paniczku stróżował. Przyleci wiedźma, to ją pochwycę, zwiążę takim rzemieniem, który więcej siedmiu

lat noszę na ciele, więc potrafię ją utrzymać, i będę smagał, niech w co chce się przerzuca, w świnię, czy w igłę, aż z niej ostatnią parę wypędzę, albo zmuszę wrócić do człowieczego ciała. Powiedz to jej.

Artem splunął ze złością.

— Ja tam nie gadam z wiedźmami i nie znam żadnej! — rzucił przez zaciśnięte zęby.

— Powiadam ci, co zrobię, a ty z tem czyni, co chcesz!

Parobek nic nie odpowiedział i przez dłuższą chwilę trwało milczenie. Tryfon przyległ znów na tapczanie, Artem zaś siedział na zydlu, oparłszy łokcie na kolanach i ukrywając nisko pochyloną twarz w dłonie. Siedział z początku nieruchomy, potem jął zwolna kołysać się, jak to zwykły czynić kobiety ukraińskie, gdy „zawodzą” i płaczki pogrzebowe, gdy „hołosiat”, szepcząc naprzód, potem coraz głośniejszą napoły mówiąc, napoły śpiewając lęklwym głosem:

— Oj, dolaż moja, dola nieszczęstna! Od małego sierota, z gospodarskiego syna najmyt, z wolnego kozaka rab przeklęty, czerw rozdeptany nogą! Oj, pocóż mnie maty rodyła, po co mi słońko świeci w oczy, czemu tych oczu syra ziemia nie wyżarła! Jedno serce miałem i oddałem, i ot, tyle ono warte, co źdźbło słomy i jeszcze mniej, a ty, rabie, chodź w obroży, służ jasnym łycarom, szukaj dla nich lubystku, żeby tobie lepiej jeszcze mogli odebrać twoje kochanie, i jak zdechłą sobakę odrzucą ciebie precz, byś nie zawadzał!

Milczał przez chwilę, potem ręce odjął od oczu, z któ

rych po pięknej, pobladłej twarzy spływały jedna za drugą grube łzy.
Tryfonowi żal się zrobiło chłopca.

— Ne żuryś, kozacz! — rzekł mu pocieszającym tonem. — Ty młody, a świat duży! Nie tu tobie dola, to gdzie indziej ją znajdziesz. A im prędzej, tem lepiej!

Artem potrząsnął głową.

— Oj, nie szukać mi już innej doli! Tu mi żyć, tu i zdychać! Gdzie wy widzieli sobakę, coby odbiegła pana? I biją ją, i chleba nie dają, a ona taki siedzi i w oczy panu patrzy, aż zginie!

— Pewnie, że zginiesz, jak zostaniesz! Ale po co ci zostawać! Ot, z nami jedź! Panu taki chłopak przyda się przy pustym dworze, a choć on i nie bogaty, lafy dużej nie da, ale kawał chleba i ziemi szmat znajdziesz, i żonkę, a dziewczki u nas w Owruczyźnie na cały świat sławne z krasy!

Artem znów głową potrząsnął.

— Oj, nie iść mnie z wami, ale wam stąd ruszać czem prędzej, póki czas i siła, bo potem może siły nie stanie!

— A tak i sam mówisz, że nam stąd precz iść?

— Bo tak wam i trzeba!

— Jabym to jednej chwili chciał i od pierwszego dnia panu gadam, ale cóż? Uparł się tego Kupajły doczekać.

Chłopak ramionami ruszył.

— Jak Kupajłę tu przebędziecie, to już chyba sami stąd odjedziecie, — mruknął.

— A widzisz! Sam przyznajesz, że Motra zaczaruje mego panicza!

— Motra nie zaczaruje, bo nie czarownica, ale lubystek zaczaruje i sam Kupajło zaczaruje. Wyż tutejsi! Co wam dużo gadać? Sami wiecie o tem. co na Kupajłę wyrabia się! Żeby z kamienia człowiek był, jeszcze go dziewczka złapie, a jak już przedtem miał o której pomyślenie, to pyszy propało! Na to każda dziewczka wiedźma!

Stary głową pokiwał.

— Tak to, tak! Wiem! Pamiętam z młodu! Ale żeby tak jaka inna dała jemu lubystku?

• Chłopak splunął w bok i głowę zwiesił.

— Niema takiej! Żeby nie był widział Motry, albo żeby jej nie było przy tamtych, ale tak... Nie, nie!

Tryfon nachylił się poufałej do parobka.

— Ona pewnie tam na niego przygotowuje różne „mańki” i sidła na Kupajłycię?

Artem ociągał się z odpowiedzią.

— I tobie może kazała pomagać?

Chłopak splunął w bok i głowę zwiesił.

— Taki już mój tałan! — mruknął ponuro.

— Słuchajże! On pewnie pójdzie szukać kwiatu paproci?

— Może i pójdzie!

— Mówił ci co?

— Może i mówił.

— A ona jemu pewnie pokaże się przy tej paproci, co?

Artem głowę podniósł i wpatrzył się w starego ze zdziwieniem.

— A wy skąd wiecie?

Tryfon uśmiechnął się.

— Kozak mowczyt, a wse znaje! Żyje się kęs czasu, to i widziało się niejedno na świecie, na białym. Ale jeśli tak, to ona prawa czarownica, bo do paproci biesy nie dadzą dostępu chrześcijańskiej duszy!

— A onże chce iść?

— On co innego, i ty z nim też, bo wam paproć kwiat może pokazać, ale babie wara do niej, chyba, że bies puści ją, jak swoją.

Artem nie mógł jakoś odpowiedzi odrazu wykrztusić, a kiedy wreszcie zaczął już mówić, Tryfon wstrzymał go.

— Czekajno! — rzekł, nad słuchując. — Co to? Nie słyszysz?

Parobek ucha nastawił.

— Z „proszczy” idą, czy co? — zauważył.

— Zdaje się.

Od drogi, wiodącej przez las, szedł jakby szum płynącej fali i tężał z każdą chwilą. Było to jakby stąpanie wielu nóg, a zarazem jakby gwar wielu ludzi. I nagle ponad tym pogwarem i ponad dalekim szumem lasu podniósł się śpiew. Były to młode głosy, które wzbijały się w górę dźwięcznym, silnym głosem.

Oj, protyw Iwana Kupajła, Oj tam zuzula kupalaś, Z pid li stoczka zadywlaś... Oj, ty zuzulo dubriwnaja, Ne kuj zuzulo w dubrowi, Ne zbudy mene mołodoi!

Obaj mężczyźni, zaciekawieni, wyszli przed chatę. W tej chwili wysypał się z lasu na polanę długi orszak pieszych, za którymi szło parę koni. Był to lud włościański, kilka bab, przeważnie jednak młodzież i niedorostki. Wszyscy mieli odzież zniszczoną i zapyloną długim wędrowaniem, postępy na nogach, a na plecach sakwy płócienne, jakich używają pątnicy, idący po proszczy, t. j. do świętych miejsc. Na koniach, idąc w tył, siedziały dwie niewiasty, jedna bardzo stara, druga młodzianka i wielce urodziwa. Obok nich szedł, opierając się ciężko na kij, dziad z brodą po pas, białą, jak mleko.

Dojrawszy futor z poza drzew, pątnicy w mgnieniu oka przerwali kupajłową pieśń o kukulce, wpadając w przeciągły, cerkiewny ton pobożnej pieśni o Matce Boskiej, która w „kijewskim monastyri carski woro- ta odczyniała i wsich światych przyzywała”. Nie przestając śpiewać, podróżni porozkładali toboły i świty na kraju polany, kobiety zsiadły z koni, które puszczono na trawę, a dziad podszedł, postępując, do chaty i pochwaliwszy Boga, zwrócił się do Tryfona z zapytaniem, czy jest gospodarzem i czy pozwala im, biednym, proszczalnym pątnikom, zatrzymać się na noc podle futuru na łące.

Tryfon objaśnił dziada w kilku słowach, że sam jest gościem i wskazał, jako na miejscowego, na Artema, który zdawał się być zakłopotany i nie mógł się zdobyć na odpowiedź.

li — Toć gadaj po Bożemu, żeby sobie rozgościli się w polu, — szepnął mu Tryfon niecierpliwie. — Któż

Bliu^ten zamczysku.

proszczalnych dziadów odgania? I jak odgonisz setkę ludzi, choćbyś i Motrę, i Jewdochę, i starego Maksyma w rohatywy przeciw nim uzbroił? Więc lepiejże po dobremu.

— Motra dziw jak nie wzlubiła tych proszczalni- ków! — mruknął Artem. — Jak wróci i zobaczy ich pod chatą, oczy mi chyba wydrapie.

— Nie wydrapie, bo ja panu powiem, a on wytło- maczy Mutrze....

— A szczob win szczez! — zaklął z wściekłością parobek i odwrócił się od starego wygi.

III.

NOCLEG „PROSZCZALNIKÓW „

Noc już zapadła i polana jaśniała szeregiem ognisk, przy których wesoły ludek pielgrzymi rozłożył się swobodnie, warząc w kociołkach strawę, gwarząc, śmiejąc się i pośpiewując, kiedy z przeciwnej strony boru wróciła Motra z oficerem. Oboje nieśli w ręku całe snopy ziół i polnego kwiecia, a dziewczyna przystroiła się podwójnym wieńcem, jednym na głowie, drugim dokoła szyi i bioder. Szła, wyprzedzając rycerza i rzucając poza siebie co chwila garść wesołych słów. śmiechów lub śpiewek. Wtem zobaczyła ogniska i tłum proszczalny kolo nich. Wstrzymała się. marszcząc sobolowe brwi i aż zęby jej błysły z poza rozchylonych warg. Nadbiegającego naprzeciw niej Artema śmignęła ostrem słowem, jak biczem, potem podbiegła do najbliższej gromadki i chciała rzucić jej jakiś nakaz, ale powstrzymała się, ogarniając wzrokiem cały obóz i, zacisnąwszy usta, zawróciła do chaty.

U progu powitał ją dziad białobrody, siedzący na przyzbie obok Maksyma i zajęty żywą gawędą z Trytonem.

— Dziękuję wam, krasna gospodyni, za wasze dobre serce dla nas, biednych proszczalników, — zaczął; — i niech wam Preczysty Diwa i święty Mikołaj...

Aln dziewczyna przerwała mu:

— Wygon dla wszystkich, jak powietrze i słonko,— rzekła mu obojętnie. — Komu wola, ten niech na nim siada! Co tu dziękować?

I — Dziękować nigdy nie zawadzi, — odparł poważnie dziad; — a dziękowalibyśmy jeszcze więcej, jakby wy dopuścili dwom naszym kobietom przenocować u was, jak nie w chacie, to choć w stodółce. Jedna stara — stareńka, druga pannoczka z wielkiego dwora, która z tą starą z jasyru uciekła ordyńskiemu czambuli- kowi i do nas przystała, a my ją do domu więdziem. .-Chciał dziad więcej jeszcze o tem opowiadać, ale dziewczyna przerwała mu.

— U mnie miejsca niema. Przed wami Bóg gości zdarzył! W chacie pełno nas, a stodółka jedna tylko pusta stoi, to w niej teraz ten łycar nocuje. Więc nijak nam przyjąć waszych proszczalnic. Alę nocki teraz cię-

ple, pogoda, to na trawie lepiej im będzie, niż w komorze!

— Może i prawda, — odrzekł dziad, nie nalegając. — Ale zawsze my wam i tak wdzięczni za waszą gościnę. I ot, niech wam będzie pamiątka z naszej prosczy. Mała rzecz, bo my ubogie ludzie, ale i świeci się, i od złego uchroni, i piękne, i święte! Lubo popatrzeć, miło przystroić się, a i pomodlić się można.

Gawędząc w ten sposób i zachwalając swój podarek, szukał go przez chwilę za pazuchą wśród różnych, ukrytych tam drobiazgów, wreszcie znalazłszy, podniósł w górę, pokazując go wszystkim, posrebrzany pierścionek.

— Naściż, zazulo, koleczko, od świętej Warwary, wielkiej męczennicy. O jej moszcze ocierany, którym kłanialiśmy się w Michajłowskim monastyrze. Dajże palec, niech ci włożę i noś go zdrowa!

Ale dziewczka cofnęła się od dziada, usuwając rękę.

— Nie trzeba mi waszych pierścionków, — odparła dość opryskliwie. — Dawajcie takim, jak sami, żebracz- kom. Cóż to, ja nie gospodarska donia, i czy niema jiił parobka, coby mi kolco warwarskie z Kijowi przyniósł, że aż na dziadowski dar mam się łakomić?

Szmer niechęci i protestu podniósł się dokoła. Nadejście Motry przyciągnęło na podwórko od ognisk kilkunastu pątników. Stali zmieszani z parobkami z futuru, gapiąc się na krasną dziewczkę i przysłuchując. Ostatnie słowa dziewczyny wznieciły głośne szemranie.

— Nie godzi się odmawiać takiego podarunku! — Zły człowiek tylko poniewiera świętościami!

— Od dziada sobie, a od parobka sobie; co to jedno drugiemu szkodzi!

— I wojewodzińskiej doczce nie przystało być taką hardą dla chrześcijańskich ludzi, choć i ubogich!

— Z nami idzie prawdziwa panna, nie dziewczka z futuru, a nas, rabów bożych, ne curajesia, ne stydajesia.

Motra schroniła się do chaty; przed drzwiami, błyskając gniewnie oczyma, stanął pan Kazimierz, gotów do czynnego odparcia zuchwalstwa czerni. Ale nie zaszła potrzeba, bo dziad, uśmiechając się dobrodusznie, wnet zażegnał niezadowolenie.

— Oj durne wy, chłopcy, durne! — zwrócił się żartobliwie do rozdrażnionego tłumu. — A cóż się dziwić, że takiej dziewczce, niczem przy niej kalina, miłsze koleczko od młodego kozaka, niż od starego dziada! I czego to się gniewać? I komu? Chyba nie wam, parobkom! Niechby kto z was dał jej ten sam gościniec, pewnieby nie odmówiła. A mnie odmówiła, bo stary młodemu nie brat. Ot co!

Słowa dziada uspokoiły gromadę, chwilę później zaś dokonało przejednania pojawienie się Artema, który wyszedł z za węgła, tocząc przed sobą sporą baryłkę, podczas gdy inny parobek krok w krok za nim toczył drugą.

— Pijcie, dobrzy ludzie, na zdrowie, — zawołał, przystanąwszy za wrotami i ocierając pot z czoła. — Macie tu wiśniak i piwo, które wam gospodarze przysyłają, byście ich złem nie wspominali!

— Bóg zapłać! Niech im Bóg błogosławi! Spasybi! — rozległo się ze wszystkich stron.

Radość zapanowała ogólna. Zapomniano o obrączce świętej Barbary. „Proszczalnicy” skupiali się dokoła beczek, czerpiąc z nich kubkami i blaszankami i jedni drugim podając smakowity napój. Zwłaszcza wiśniak znajdował powodzenie i wywoływał coraz to energiczniejsze objawy uznania i wdzięczności dla gościnnych gospodarzy futoru.

— Diduniu Kiforze, pijcie z nami! — odzywano się ze wszystkich stron do dziada i co chwila podbiegał któryś z chłopaków, podając mu z uszanowaniem jak panu we dworze, pełną blaszankę na czapce.

Ale on tylko końce ust maczał w płynie i czarkę napoczętą oddawał, rzucając bystrem okiem wkoło siebie i poskramiając zartobliwem słowem hałaśliwsze wybryki młodzieży. Wszyscy oglądali się na niego, mając go widocznie za przewodnika całej gromady. Widząc wreszcie, że mają już dość jadła i napitku, wezwał ich gromkim głosem, by zebrali się razem, bo titka Todoska chce im opowiadać skazki o upiorach i łaskotkach, a 011 sam, did Kifor, będzie jej pomagać.

W okamgnieniu wszystko odbiegło beczulek i ognisk, skupiając się dokoła dwóch kobiet, które przybyły wierzchem za pieszą gromadą. Starsza dźwignęła się z ziemi i usiadłszy na pniaku, nieco wyżej od innych, rozpoczęła starczym, ale donośnym jeszcze głosem szereg strasznych opowieści, o widmach i duchach, z których słyną ukraińskie wieczornice i „doświtki”.

Baba opowiadała dobrze, podnosząc interes i grozę słuchaczy do najwyższego napięcia. Po kilku historjach o skarbach zaklętych i biesach, bliżej siedzący poczęli rozpytywać „tiikę” o różne gatunki strachów, jedni o „domowyka”, drudzy o upiory, pijące krew żywych ludzi, inni o wilkołaków, inni jeszcze o „mańki” i o „homon”. A czy jakiego stracha titka widziała, a jak więdźmy zbierają się pod Kijowem na Łysej Górze, a jak nieczystemu wydrzeć skarb, którego strzeże, a jak podpatrzyć paproć, gdy rozkwita?

Stara Todoska odpowiadała z początku pojedynczo tym i owym, potem zaczęła mówić do wszystkich tonem poprzedniego swego opowiadania.

— Oj, widywała ja przez wiek życia mego niemało, że jakby opowiedzieć, toby wam, ditońki ridnyje, włosy stanęły na głowach! Wszystko bywa! I różnie bywa! Ot, żeby choć ten „homon”! Idziesz drogą, słońko świeci, nic. Aż tu naraz, jak nie zakręci koło ciebie, jak nie zawyje, jak nie pociemnieje wszystko! Z dnia — noc! Z miejsca nie ruszysz, dokoła ciebie kręci się tuman aż pod niebo, a nad głową, jakby tysiąc ludzi leciało, krzyczało, jęczało, ni to wojsko jakieś, ni to piekło całe. Wrzask, pisk, jęk i śmiech zarazem, ale kto to posłyszysz, to włos mu zbieleje i póki życia już nie zaśmieje się! A wszystko trwa tyle, że dwa razy „Bohorodycię” zmówić nie uspiejesz i już nic, ani śladu! Słońko znów świeci, ptaszki śpiewają, w stepie cicho. Szczezło, jak przyszło czartowskie wesele. Ot tobie i „homon”!

— Pomiłuj, Hospody! Z nami krestna syła! — dały się słyszeć dokoła stłumione głosy.
r> — A „mańki” różne bywają! Idziesz, aż tu przed tobą chłopczyk bieży, taki maleńki, głowa wielka, włosy długie, jak u dziewczki, a nóżki cienkie i powyginane,

tuczeni harbuz na basztamie! Kiwa na ciebie, a piszczy, a płacze, że to jego zła matka nie ochrzciła, spokoju wiecznego zbawiła, w ziemi poświęconej nie pochowała. Albo zjawi się taki paniczyk jak chrabąszcz, cały czerwony, w kontuszu i żupanie i z karabelą u pasa, a za nim drugi i trzeci, i nuże hocki skakać, i koziołki przewracać, a zbliżysz się — jakby ich nie było! W ziemię wpadli, w proch się rozwiali. A czasem znowuż zobaczysz owcę, albo koźlątko, albo kota, albo psa. Będzie ci to skomlało i beczało, ludzkim głosem prawie prosiło: „A ulituj się, a zbliż się, a weź mnie na wóz!” Dobrze! Ty do niego, a ono na ciebie, ty z nim na wóz, a on tobie na kark! A czasem znów przerzuci cię w stertę, czasem w mogiłę; ty bliżej, a ono ci huknie, zaśmieje się i tyle go widzisz, ale pewnie tobie pół dnia wracać na drogę, z której ciebie zwiędło!

— Oj, tak, tak! I mnie to przytrafiło się! — ozwały się głosy.

— I mnie, i mnie!

— Wszystko bywa! Jest „leśny”, co huka i gniewa się, gdy mu zaleziesz w gęsty ostęp, gdzie ma norę w dziupli najstarszego dębu, i będzie wtedy różnemi głosami pokrzykiwać, i orzechami, i szyszkami, i żołędziami na ciebie rzucać, co mu tam w łapę kosmatą wpadnie. Ten nie straszny. Rusałki gorsze, bo jak złapią chłopca przy wodzie, to choćby i w dzień załaskoczą, zachichoczą na śmierć. Ale i na rusałki jest sposób. Jak taka łaskotka kąpie się, to potem może przerzucić się w rybkę, a „soroczkę” zostawi na brzegu, to ktoby odzież jej uchwycił, może potem dostać od niej, czego dusza zapagnie: i skarbów, i szczęścia, i dziewczkę kochaną za żonkę, bo ona musi wykupić się, inaczej na cały wiek swój rybką ostanie!

— Ot, szczęśliwiec, komu to się zdarzy!

— Tobieby się chciało, co?

— Nie bój się! Nie dla psa kowbasa.

— Z nich wszystkich to jeszcze „leśny” i „domo- wyk” najlepsze. Leśny nie szkodzi, a domowyk pomaga, trzeba tylko z nim po dobremu, to i on dobry. On tobie i chatę zamiecie, i skotnęę ze szkody wypędzi, i mleka udoi, i dziecko zakołysze! Byle po nocy nie zamiatać chaty, bo go można wymieść, a wtedy przepadło: szukaj wiatru w polu! Stracisz „domowyka”, stracisz i szczęście! Te tylko domowy ki złe, co po pustkach siedzą, a hałasują, na psoty łase, a jak się rozeżlą, to i karku nakręcić gotowe! Ale z tem lichem pół biedy! Gorzej, jak gdzie upiór, albo wiedźma zanęci się! To od samego Złego gorsze!

— Pewnie, że wiedźma gorsza od Nieczystego!

— I upiór też!

— A przecie mówią, że i na wiedźmę, i na upiora są sposoby?

— Pewnie, że są! Jakby ich nie było, nie żyćby chyba chrześcijaninowi na świecie, na białym!

— Upiór i wiedźma, zajędo — ciągnęła dalej stara. — Upiór tem dla Złego po śmierci, czem wiedźma i czarownik za życia. Taki charakternik, póki żyje, to mu nieczysta siła pomaga, a jak już czart przyjdzie po jego czarną duszę, to ze śmiertelnej pościeli i z cmentarza wstaje, żeby ludziom szkodzić, bo trzeba wam,

ditki, wiedzieć, że niczem tak Nieczystemu nie dogodzisz, jak obrazą boską i ludzką krzywdą. A moc czar-
towska w nocy, bo światła Zły się boi. Więc taki przeklęty wstaje z grobu o północy jako perelesnyk i gdzie zwietrzy chrześcijańską duszę, a jeszcze taką, co bez krzyża i pacierza, po pijanemu i w grzechu spać legła, zaraz chap za nią i dalej dręczyć, dalej mordować! Bywa, że do śmierci nosisz po nim pamiątkę, a bywa, że i ubije człowieka. Dobrze jeszcze, jeśli kogut jest gdzie blisko, bo to Chrystusowy ptak i zły jego się boi: wnet w smołę roztopi się, niech tylko pietuszek zapieje. Ale gdzie kogutów niema, to do białego dnia będzie dokazywać. Bywa taki kogut, co w swojej porze nie zapieje, albo i na całą noc da uśpić się i zaczarować wiedźmie, ale bywa i taki, co mu sam czart nie nauro- czy i takiego pietucha-carika dobrze zawsze ze sobą mieć, choćby i w drodze, jako i wy go macie z sobą, dobrzy ludzie, prawda?

— Mamy, mamy — odezwano się. — Wasza prawda!

— Przy umarłym dlatego ludzie schodzą się na noc i psalterz czytają do rana, żeby nie wstał i nie robił złego, jeśli w nim czart siedzi. Ale i na cmentarzu nie utrzymasz upiora, chyba, że go poświęconym kołkiem osikowym nawskroś przebijesz i do trumny przygwoź- dzisz, żeby wstać nie mógł. Inaczej będzie po doświt- kach biegał, gdzie najwięcej obraży boskiej, albo po takich ludziach, co krzywdą żyją, sen rzucać, krew pić, morzyć we śnie. A wiedźma mu pomaga. Komu krowę popsuć, na kogo urok rzucić, albo na zło naszeptać, na kim po nocach jeździć na Łysą Górę, zamiast na kociu-

• bie, a komu lubystku dać i głowę mu zamroczyć, żeby innej dziewczki nie widział, prócz niej.

Nieczysty u niej na posługach, jak u ciebie sobaka: co każe, czyni, co chce, pokazuje, że potem i nie wiesz, co prawda, a co nieczysta złuda.

— Hospody, sochrany nas, hrisznych! — ozwały się przelękłe głosy.

— Ale największą moc mają wiedźmy i upiory na Jura i na Kupajła. Na Jura wiedźmy wieszają się głową nadół na krzyżach po rozstajnych drogach, plugawiąc Mękę Pańską i różne bezeceństwa przy niej czyniąc. Kupajłycia, to święto młodych wiedźm. Stare na Łysej górze z Nieczystym hulają, młode wabią parobków i dziewczki na grzeszną zabawę przy ogniu i wodzie. Wtedy i paproć kwitnie, i skarby, w ziemi skryte, pokazują się, i lubystek moc swoją ma, i los swój poznać możesz, i szczęście znaleźć, ale i biesa wtedy obaczysz, i wszystkie strachy i dziwy, jakie tylko nieczystej sile służą, i piekło całe czeluść swoją otworzy przed tobą. Masz odwagę, to idź: nie boisz się, nie stanie ci się nic i co chcesz, zdobędziesz. Zastraszysz się: zginąłeś! I kosteczki nie zostanie po tobie do rana!

Z kilku stron podniosły się okrzyki zdumienia lub potakiwania. Równocześnie jakiś głosik napół dziecinny spytał cichutko u stóp opowiadającej baby:

— Todosko! A mnie można na Kupajła?

Stara spojrzała zdziwiona na pytającą dziewczkę. Była to ta sama, która obok niej przyjechała wierzchem.

— Boże uchwaj! Co też pannuncia wygaduje? To

i dla dziewczki chłopskiej wstyd, nie dopieroż dla imo-
ścianki!

— A ja tak i pójdę! — szepnęła jeszcze ciszej dziewczynka.

I zwróciwszy się do siedzącego obok dziada, jęła go pieśczośliwie gładzić po siwej brodzie i po ramieniu przyklepywać.

— Wy mi pomożecie, diduniu Kiforze, prawda?

Dziad bronił się, ręce w górę wznosząc.

— Gdzie zaś! Co pannunci w głowie? Nie można!

— Ale mnie się bardzo chce!

— Nie można! Coby na to jegomość, pan starosta powiedział?

— Jegomość nie będzie wiedział, a ja tylko na momencik, na jeden krótki momencik chcę zobaczyć, jak przez ogień skaczą i jak paproć kwitnie.

— To nieprzystojnie i niebezpiecznie! Nie, nie!

— Tak, tak, diduniu! — napierała się dziewczynka, ale zobaczywszy, że stara przerwała opowiadanie i przygląda się jej niespokojnie, cofnęła się prędko i jęła z pozornym zaciekawieniem przysłuchiwać się nowej baśni, rozpoczętej przez Todoskę.

— Chwałaż Tobie, Boże! — mruknął dziad z widoczną ulgą. — A to przyczepiła się! Tryfon, słuchający starej wraz z innymi, nachylił się teraz do siedzącego obok Kifora, przyglądając się dziewczeczce.

— Co też to za kwiatusek przyszpililiście do waszych kozuchów i świtek, — zagadnął go półgłosem,

śmiejąc się. — Toż to paniątko! Takie po proszyczy nie nawykły chadzać!

— Toż wam mówiłem, że z jasyru uciekła, a my ją teraz panu ojcu odprowadzamy.

— To się wie, ale to tyle. co nic. Kto, co, jak — wszystko chciałby człowiek wiedzieć, a jak nie sekret, to i powiedzcie.

— Czemu nie powiedzieć? Sekretu niema, ani hańby nijakiej. Przy tem' tę historję o wilkołaku, którą titka opowiada, słyszeliście pewnie sto razy. Otóż ta imo-ścianka to córka pana starosty korystyszowskiego.

— Co, co? — wrzasnęła Tryfon, zrywając się na nogi, aż wszyscy oglądnęli się na niego, a Todoska przerwała na chwilę opowiadanie. — Kogoście to nazwali?

— Pana starosty korystyszowskiego z Łazunia. Czy znacie, żeście się tak zdziwili?

Tryfon stał przez chwilę, gryząc szpakowaty wąż. Wreszcie potrząsnął głową i powoli opuścił się na ziemię obok dziada.

— Jak nie znać, kiedy się jest z pod Berdyczowa, jak ja? — odrzekł spokojnie. — I jak nie dziwić się, że taki pan, co zamek silny ma i milicję nadworną, dał w jasyr wziąć jedynaczkę i w takiej kompanji ją odnajduję?

— Trafunki chodzą po ludziach. Pan starosta był na Zadnieprzu, ponoć u kniazia Jaremy, i miał stamtąd wracać, a panienska, że to bez matki chowane i choć młode, swoją wolę ma, napała się jechać do Chwastowa i tam pana ojca czekać u księdza biskupa, wuja jej nieboszczki matki. Wyjechała tedy z małym pocztem,

że to teraz kraj spokojny, aż tu nagle jak z pod ziemi wyrasta czambuł tatarski. Ludzie pana starościńscy zagrodzili pohańcom drogę, a dwaj panienkę z kolebki na koń i w nogi. Byliby może i umknęli, ale panienka poczciwa nie chciała bez swojej starej niani uciekać, a niani na koniu nie sporo było siedzieć, a zwłaszcza lecieć. Jak zaczęli się tarmosić, to ich i naścignęła orda, a co potem się stało, to i mówić strach. Służbę Tatarzy wycięli, panienkę, zobaczywszy cudne jej liczko, wzięli w łyka, żeby ją potem do Carogrodu sprzedać, bo to u nich najdroższy łup. Wzięli też dla niej i starą, żeby dziewczka sama nie zmarniała.

— Chyba dlatego, bo oni starych nie żywią.

— Tę wzięli i Bogu chwała, że wzięli, bo dziewczyna bez niej pewnieby nie potrafiła umknąć.

— Jakże im to się udało? Bo pohańcy dobrze jasyru strzegą!

— U pohańców dusza była na ramieniu. Wiedzieli oni, że kraj pusty, bo wojsko ukraińskie pociągnęło na Moskwę, ale wiedzieli i o tem, że wojna skończona i że wojsko wraca. Chcieli więc wpaść, chwycić, co się da, i duchem wracać w step swój. Aż tu w nocy popłoch się wszczął niewiadomo z czego. Oni rozum ze strachu stracili. Gdzie który konia dopadł i nazad. A branki, że to lekko tylko były skrępowane, przyłapały parę ordyńskich koni i w drogę! Szły biedaczki pustym krajem, głodem przymierając, i byłyby pewno zmarniały, gdyby nasza gromadka, wracając z Peczerskiego boho- molja, nie natknęła się na nie. A trzebaż tego zdarzenia, że ja cały mój wiek byłem sługą panów z Łabunia, to w stajni, to w lesie: jeszcze dziada, pana starosty pamiętam. Więc ja już naszą pannunią zaopiekowałem się, jak rodzoną, odchuchałem, odkarmiłem i Bogu dziękować, zdrowo do domu wiodę.

— Będzie wam pan starosta wdzięczen i nagrody nie poskąpi.

Kifor ręką machnął.

— Byle jeszcze nie sfukał i poszturczać nie kazał, bo to srogi pan i trudno mu dogodzić.

— Oj, trudno! — mruknął przez zaciśnięte zęby Tryfon.

— A o nagrody ja nie stoję, — ciągnął dalej dziad. — Poco mi one? Dzieci powymierały, wnuki na swoim siedzą, a dziadowi każdy da kęs chleba i grosz mu potrzebny, ot, chyba na gościniec.

— Teraz to wy panu staroście niesiecie gościniec. Musi tam w starym wilku z Łazunia serce zamierać z żalu za donią! Toż będzie radość, gdy ją zdrową zobaczy!

— Drugiemu człowiekowi radość, a wilkowi z Łazunia złość i pomsta. U niego dzień deszcz, dzień pogoda, u niego ile dni w roku — codzień burza z piorunami!

— Tak o nim ludzie gadają. Ale dziewczka do niego niepodobna. Dziw, jak cudna: czysty cheruwym! Skąd ona taka się wzięła?

Mówiąc to. Tryfon spoglądał na dziewczynę wzrokiem, w którym było i sporo zachwyty i coś, jakby obawa, czy niechęć i nadewszystko wielkie zdumienie. Dziewczyna była istotnie cudna. Altembasowa sukienka zdarła się jej i zbrudziła w drodze, pełnej przygód, więc ją przykryła płóciennym fartuszkiem, pożyczonym za

pewne od której z młodszych pątniczek. a na ramiona narzuciła brunatną świteczkę, nasuwając na tył głowy widłohę.

Z obramienia złotych pukli włosów wyglądała twarzyczka zupełnie jeszcze dziecinna o chabrowych oczach, pełnych ciekawości i wesela, o rysach szczególnie delikatnych i misternych, jakoby u figurki, wyrzeźnionej z alabastru, i ta złotowłosa główka, wysuwająca się z chłopskiego przyodziewku na tle tych ognisk, lasu, nocy i kilkudziesięciu napół dzikich twarzy, robiła wrażenie zarazem białego pączka róży i jakiegoś zabłąkanego między ludzi elfa, o ciele utkanem z promieni słońca i z pyłku kwiatów.

— Że to staremu wilkowi z Łazunia dał Bóg taką donię. no, no! — mruczał Tryfon, nie mogąc oczu od niej oderwać.

Tymczasem jednak stara Todoska, dokończywszy hi- storji o wilkołaku, rozpoczęła wnet nową o wiele jeszcze ciekawszą i straszniejszą, o kościotrupie wisielca, który, odczepiony z szubienicy, ścigał przez całą noc swego wybawcę i byłby go na śmierć zamęczył, gdyby nie upiór świeżo zmarłego człowieka, który ściganego własnem ciałem zasłonił i ocalił. Słuchaczom niejeden raz już pewnie powiadano na doświatkach tę posępną legendę; zdawało się jednak, że słyszą ją po raz pierwszy, tak głębokie przejęcie i groza malowały się na ich śniadych obliczach, z tak płomienną ciekawością wpijali się w pomarszczoną twarz staruchy i chwytali każde jej słowo.

Starościanka zdawała się wraz z innymi wsłuchana

w opowiadanie swej piastunki. Nie przeszkodziło to jej jednak upatrzyć chwilę najdramatyczniejszą, w której pewną była niezwrócenia na siebie uwagi, i przysunąć < się do Kifora z pytaniem, cichem, jak tchnienie:

— Diduniu! Zaprowadzicie mnie na Kupajłę, prawda?

Stary głową pokiwał, przecząc, potem jednak uśmiechnął się i szeroką, namuloną dłoń położył na złotej główce, szepcząc pół do niej, pół do siebie:

— Ej ty, łastiwko, łastiwko! Po synomu mori litajesz!

— Taj potom tuman na liudej puskajesz!

IV.

NA IWANA KUPAJŁA.

Ciemna wstęga Iрпиienia wiła się wśród odwiecznego boru, którego dębów nie dotknęła nigdy siekiera. Z jednej strony dosięgał on wody i pogrążał się w niej od- stającemi korzeniami drzew, pękami odrośli i łoziny; z drugiej dzielił go od rzeki wygon długi jak okiem sięgnąć. Noc już zapadła głęboka, pełna zapachów leśnych, szmerów cichych i tej nieokreślonej grozy, jaką tchnie nocna pustka i cisza.

Ale puszcza drzemała raczej niżli spała, a może przyczaiła się tylko, jak czyni dziki zwierz, czatujący cierpliwie na swą ofiarę, aż uspokoi się i usnie. Milczenie przerywały co chwila dalekie porykiwania żubrów i be

W zaklętem zamczysku.

czenie kozłów, lub wycia ni to psie, ni to wilcze, ale i od tych, i od tamtych przeraźliwsze i bardziej posępne, to znów pomruki jakieś dziwne i pojękiwania, które odzywały się naraz w różnych stronach lasu i wnet cichły bez śladu, jakby nie wydawały ich żywe istoty, ale jakieś inne. W tych pomrukach, jękach, stękaniach i wy- ciach było coś tajemniczego i groźnego. Czuło się w nich nie sam tylko głos przyrody, swobodnie wybijającej w leśnych ostępach. Świat inny zupełnie, w dzień niewidzialny i skrępowany wyższą mocą, w mroku nocnym wypelzał ze swych legowisk i skrytek, by oznajmić się żyjącemu stworzeniu i napęlić je bezmiarem przerażenia.

O takiej to porze wieszka się na gałęziach leśny i pokrzykuje do błędnych ogników i do rusalek, prześlizgujących się przez gąszcz na polany między chorowód towarzyszek. W taką porę Zły wyrasta w siłę i kładzie twardą dłoń na wszelakim stworzeniu; zwierzę przemawia ludzkim głosem, kwiat czarów zakwita i co ukryte i mrokiem spowite dla ludzkiego spojrzenia, wyzuwa się z osłon i ukazuje się w srebrnym świetle miesiąca.

Tej nocy jednak polana nad Irpieniem nie była tak samotna i cicha jak zwykle. Napęlił ją blask, hałas i uciecha. Tuż przy wodzie rozłożono szerokie ognisko, rozświetlające krwawymi połyskami czarne ściany lasu i odbijające dziwacznie w rzecznej strudze. Obok ogniska wetknięto w ziemię całe z korzeniami wyrwane drzewko wierzbowe, upstrzone różnobarwnymi wstążkami, obwieszane mnóstwem wianków ze świeżego kwiecica i pękami barwinku i ruty, promieniejące rojem woskowych świeczek, poprzyklepianych do gałęzi. Dokoła drzewka kilkanaście dziewcząt zataczało zwolna taneczne koło, trzymając się za ręce i towarzysząc ryt- mowemu ruchowi ciał monotonnym, zawodzącym śpiewem. Żadna z nich nie miała na sobie innego obleczenia, oprócz białego, kostek sięgającego gza, przepasanego w biodrach wieńcem z dębowych liści. Włosy miały wszystkie rozpuszczone, a na nich krasne wianki z polnych kwiatów i gałązek kalinowych jagód.

Z poza najbliższych drzew przyglądała się płasom dziewczęcym licznie zebrana gromadka młodzieży męskiej, czekając narazie jeszcze cierpliwie na własną kolej wzięcia udziału w prastarym obrzędzie na cześć bożka światła, ognia i słońca. Parobcy szeptali do siebie, śmiejąc się i czyniąc uwagi o tanecznicach, wskazując palcem tę i ową z nich, wybierając, z którą kto chce później przeskakiwać przez ogień. I taniec, i śpiew, i rozmowy nosiły na sobie piętno cichego oczekiwania i przygotowania. Był to dopiero prologos. Teatrum nie zaczęło się jeszcze.

Wśród parobków stali wsunięci w gąszcz głębiej od innych, rotmistrz i Artem. Obaj mieli oczy wlepiono w jeden punkt. Wśród dziewczek, wiodących chorowód dokoła „Kupajły”, przodownicą była Motra. Wysoka, smukła jej postać górowała nad tłumem rówieśnic, gasząc je, jak słońce gasi blask miesiąca. Ponad czarną smołą włosów rozkwitały, jako wówczas, gdy ją miecz- nikowicz ujrzał po raz pierwszy, pęki purpurowych maków. Sama ona kraśniejsza od nich była, luną ogniska i „Kupajły” oblana i podobna do wyrastającej z o

gnia salamandry. Patrząc na nią młody szlachcic gryzł do krwi wargi i zęby zaciskał, błyskając okiem, jak wilk, a parobek z Maksymowego futoru blady był, jak trup, i jęczał duszą całą do śmierci-matki, by go wzięła co prędzej w chłodne swe objęcia i uniosła hen, precz stąd...

Dziewczęta śpiewały zwolna, z przestankami, starodawną pieśń, pogańskich sięgającą czasów, o „Kupajłę, Kupajliszcze”, o „ohońku krasnym” i „sołnyszku jasnym”, od którego wszelka krasa i wszelkie dobro wiedzie swój początek. Wzywały tego Kupajłę, który nie miał najmniejszego podobieństwa do świętego Jana Chrzciciela, by dawał ziemi w potrzebnej mierze na- przemiam deszcz i pogodę, a w następstwie urodzaj obfity, by błogosławił ogrodom i polom, a zwłaszcza, by błogosławił ich miłości i dał znaleźć dolę dobrą, dał złączyć się z umiłowanym chłopcem. W innej pieśni znów obiecywały Kupajle, że Budem tebe szanowaty, Jak nas staniesz myłowaty — i zapewniały go, każda za siebie, że:

Budu tobi służyty,

ale pod warunkiem, jeżeli:

Bude mene Iwan lubyty.

Tu śpiew i taniec przyśpieszyły takt i przybyło im życia, bo miejsce rzadko śpiewanych i niezupełnie zrozumiałych pieśni zajęła inna, kupajłowa także, ale śpiewana często i ulubiona, jak wszystkie miłosne motywy. Śpiewając, dziewczęta odwracały głowy w stronę, w której kryli się chłopcy:

Śpiew zaczynał przechodzić w coraz szybszy takt. Koło taneczne obracało się coraz zwawiej. Ogień, podsycany sosnowymi gałązkami obficie, rozżarzał się, rzucając coraz to szerszy krąg światła i w świetle tem płasające dziewczki zaczynały wyglądać całkiem inaczej, niż przed chwilą. Lica im gorzały, włosy rozwiewały się dokoła ramion w coraz zawrotniejszym wirze, pierś podnosiła się, chwytając powietrze, śpiew wznosił się w górę, spotał, rozognił się, począł rwać się, mieszać, ostre przybierać tony, szaleć. Tem bardziej szalał i taniec.

Dziewczęta śpiewały:

Oj,, na Kupała Iwanoczka, Tam kupałaś łastinoczka, Na bereżeczku suszyłaś: Diwka Hanna zażuryłaś. Szcze ruczniczkiw ne naprała, Szcze chusteczek ne wbiłyła, A uże kozaka polubyla!

Teraz nie był to już taniec, jeno wir; a wir ten zmieniał się szybko w orgię rozszalałych bachantek. Dziewczęta zapomniały o wszystkim, co je otaczało. Jedne przymknęły oczy, dając się unosić dzikiej jakiejś rozkoszy; innym paliły się w oczach istne żagwie pożarne. Śpiew stał się wyciem. Teraz już i parobcy przestali

z za drzew przypatrywać się biernie widowisku. Zbliżyli się do tanecznicy i otoczyli je szerszym kołem, podnieceni, krzycząc głośno i wtórując śpiewom dziewczęcym z fantazją stepową.

Naraz dziewczęta, jakby ogarnięte szałem, rzuciły się na wierzbowe drzewko i poczęły je łamać, niszczyć, i odzierać z liści, z gałązek i wstęg, z barwinku i ruty, zrywały zeń wieńce i jedna przez drugą rzucały je w ciemną toń Irpienia, śpiewając:

Siochodnia Kupajła, zawtra Iwana,
Kidalo chłopcami, metało,
Diwczatam Kupajłu połomało.

Z obnażonego i połamanego drzewka pozostała jedynie górna jego połowa, do której przyklejone były świeczki. Chroniąc je starannie od zagaszenia, dziewczęta przysunęły drzewko nad sam brzeg i zepchnęły je śladem wianków.

Pomiędzy czarnymi ścianami lasu popłynął śpiew:

Kupajła treba skupaty,
U wodi dobre schowaty.

Tymczasem w kole męskiej młodzieży zrobił się rumor. Nim pan Kazimiera miał czas zorjentować się, co podle niego się dzieje, już nie zobaczył przy sobie nikogo. W okamgnieniu chłopcy zwlekli odzież i rzucili się jeden za drugim w wodę, płynąc śladem „Kupajły” i wianków. Drzewko zajęło się u góry i płonął większym, niż przedtem, ogniem, rozświecało lśniąca strugę, kilkanaście płynących za nim wieńców i długi łańcuch pływaków, z których każdy wyteżał wszystkie siły, by towarzyszy prześcignąć i dosięgnąć upatrzonemu wianka wybranej dziewczyny, zawczasu dobrze zakarbowanego w pamięci. Dziewczęta, zbite w jedną gromadkę na brzegu, przyglądały się chciwie i niespokojnie temu dziwnemu obrazowi, który miał dla nich znaczenie i wagę wróżby, rozstrzygającej o losach serca i życia każdej. Z piersi ich wydobywały się co chwila okrzyki trwogi, nadziei, radości i zawodu, stosownie do tego, który z wianków pochwycony został przez pożądanego lub niepożądanego zdobywcę, gdy wybranemu dostał się wieniec innej lub własny pogrążył się w wodę i zniknął, co było najgorszą wróżbą, bo wróżbą śmierci. Ale wieńce znikające z powierzchni, pokazywały się na niej znów, bądź płynące dalej, bądź zarzucone na szyi pływaka, który je pochwycił, co przyjmowano wybuchem śmiechów i wesołą wrzawą. Kto chwycił wianek, wyskakiwał z wody, podnosząc go z triumfem w górę, i wnet już tylko kilka par męskich ramion wynurzało się miarowo z wody, starając się uchwycić ostatnie z pozostałych jeszcze wieńców, a przed wieńcami i przed ich łowcami płynął płonący „Kupajło”, przyświecając tej dziwnej scenie i lejąc smugę migotliwego blasku na szklisty prąd Irpienia i na ujmującą go w ciemne ramiona puszcę.

Ta pływe winok z wodoju,
Puskaj dołu za wodoju,
Pływy dołu za wodoju,
A ja u 3lid za toboju...

Rotmistrz stał nad brzegiem, wpatrzony w płonące drzewko i w parę wianków, które obok niego unosiła zwolna wdał woda. Koło niego nie było nikogo. Dziewczęta stały razem opodal, chłopcy, wyskoczywszy z chłodnej kąpieli, krzatali się koło ogniska, dorzucając gałęzi i grzejąc się. Wtem ktoś dotknął ztyłu jego ramienia.

Oglądnał się. Za nim stała Motra.

— Co ty? — spytał.

Ona położyła mu dłoń na ramieniu i stała przez chwilę milcząca, jakby niepewna, co ma uczynić, potem przypadła doń nagle, otoczyła mu szyję ramieniem i przytuliła się do niego, jak ktoś, kto żąda opieki i ratunku, a dłonią wskazała na wciąż jeszcze świecącego z oddali „Kupajła”.

— Co ty? — powtórzył pan Kazimierz zdziwiony i niespokojny.

— Tam, tam! — szepnęła zdławionym głosem. — Patrz! Patrz! On jeszcze płynie!

— Kto płynie?

— Mój wianek! Oni wszyscy chcieli go schwycić, ale ja nad nim szeptała, ja go zakłęła, żeby nikt go nie wziął... oprócz jednego... A ten jeden nie poszedł... I wianek zginie, a z wiankiem i ja zginę nieszczęsna...

— Któż to ten jeden? — spytał oficer, choć wiedział, kogo dziewczyna miała na myśli.

— Ty, sokole! Ty, słonko moje jasne! Ty, ty, ty!

— Idę! — zawołał rycerz i nie zrzucając odzieży, rzucił się w wodę.

Przed nim płynęło jeszcze z pół tuzina młodzieńców,

a na ich czele można było rozpoznać wysoką, pleczystą postać Artema. W świetle „Kupajły” widać było jeden tylko wianek, płynący równoległe z drzewkiem. Pan Kazimierz był doskonałym pływakiem, tym razem jednak krępowała mu ruchy odzież i słabość, jakiej od dni kilku doświadczał. Odsądził się jednak żwawo od brzegu i w kilka pacierzy zbliżył się znacznie do płynących, gdy wtem koło palącego się drzewka rozebrzmiał okrzyk przerażenia, któremu zawtórował drugi z brzegu, gdzie stał przed chwilą młody rycerz.

Pan Kazimierz poznał oba głosy. Odwrócił głowę i ujrzał Motrę, załamującą dłonie z gestem rozpacz. Spojrzawszy przed siebie, nie ujrzał ani wianka, ani Artema. Inni pływacy zmierzali do brzegu lub wyskakiwali już na ziemię, otrząsając się z okrywającej ich wody. Artem zniknął. Po dobrej chwili ujrzał go rotmistrz, wypływającego z łóz nadbrzeżnych i pogrążającego się w nich na nowo. Kilka razy jeszcze pojawiał się tak na mgnienie oka i znów zniknął, aż wreszcie nie pokazał się już więcej.

Pan Kazimierz nie miał szczególnych powodów do kompasji dla Artema, jako dla człowieka nikczemnego stanu, a przytem najwyraźniej sobie niezycziwego. Ale, że w nim była dusza prawdziwie rycerska, więc na wszelkie ludzkie utrapienia tkliwa, żal mu się zrobiło chłopca, któremu groziła śmierć, przytem, jako sodalis, wspomniawszy chrześcijański obowiązek ratowania bliźniego w przygodzie. Nie mieszkając też ani chwili, zwrócił się ku sitowiom, które pokryły parobka, i sam w nich pogrążył się raz i drugi, szukając tonącego.

Było mu to i dziwne, że w takim miejscu trafił się Ar-temowi przypadek, bo przecież chwytając się łóz, nie trudno było wydostać się z głębiny nawierzchni. Namięć go wreszcie na dnie i pochwycając silnie, wyciągnął z sobą na otwartą powierzchnię i, przerzuciwszy sobie na plecy ogromne ciało młodzieńca, by mu nie krępować rąk, jął nie bez trudu zbliżać się do brzegu.

Naraz uczuł, że uratowany poczyną mu się zsuwać i ciężyc w dół. Z największym wysiłkiem chciał go podtrzymać, obejmując ręką, podczas, gdy drugą uderzał wodę, ale stężałe ciało zdawało się opierać jego woli i wyślizgiwało mu się z objęcia, ilekroć je uchwycił. Miśniakowski uczuł, że chwila jeszcze, a pójdzie na dno.

— Na pomoc! — krzyknął rozpaczliwie.

Ale na brzegu nie czekano wezwania. Zauważono tam, co się dzieje, ledwie Artem zniknął i kilku roślących chłopów rzuciło się już do rzeki, płynąc w stronę Miśniakowskiego. Dopływali właśnie, ale teraz tonący wrócił już zupełnie do przytomności i jął z całą siłą wrywać się swemu wybawcy. Rycerz myślał, że chłop dur chwycił, więc starając się go objąć, huknął mu:

— Nie wrywajże mi się, durniu, bo zginiesz!

— A ty mi, panyczku, daj zginąć, — mruknął mu chłopak ochrypłym głosem. — Co tobie do mnie? Puść mnie! Tobie żyć, mnie przepadać!

— Głupiś! — syknął gniewnie rotmistrz i szarpał się dalej z parobkiem, który byłby go zmógł wkońcu, ale tymczasem nadpłynęli chłopacy od brzegu i wzięli między siebie zarówno uratowanego, jak wybawcę, który niemniej odeń potrzebował ratunku, bo był ostatecznie znużony i z sił wybity.

Rotmistrza i Artema posadzono przy ogniu i napojono gorzałką, poczem „najmyt” zerwał się i, zarzucając świtę na ramiona, powiedział rycerzowi, że wraca do futuru.

Pan Kazimierz więcejby się zdziwił tym zamiarem, gdyby nie słowa, słyszane od chłopca w wodzie. Zatrzymał go jednak, pytając:

— A skakanie przez ogień?

Artem głową potrząsnął.

— Skakanie dobre dla tych, co mają lubą wśród dziewczek, a jeszcze może i wianek jej chwycili na wodzie. Takim raj! A ja lubej nie mam, i wiankam nie złowił, i z rąk mi się wyślizgnął i zginął na złą dolę tej, co go puszczała na wodę, na pohybel mnie!

— Na złą dolę? Na pohybel? Czemu?

— Bo wianka ja nie mógł wynaleźć w łozinie, tak w niej ugrzązł, a to znaczy śmierć. Rotmistrz wzdrygnął się i — Coś słyszałem — mruknął. — Śmierć Motry? <J Artem ramionami ruszył.

— Może i Motry też, a może tylko moja. Jednemu śmierć pisana, a jak drugi za niego zginie, to już i zła dola dla niego przejdzie.

— Głupstwo! — przerwał bez przekonania rotmistrz. — Chłopski zabobon!

— ■ Nie zabobon, ale prawda.

— Jaka tam prawda! A miałeś mi pokazać paproć w lesie?

— Znajdziecie sami. Rażdy parobek pokaże. A mnie to już nie w głowie.

Ale oficer nie puścił go. Miał wrażenie, że chłopak, odszedłszy, zTobi sobie co złego, postanowił go więc przez noc zatrzymać przy sobie.

— Nic z tego! — rzekł mu. — Obiecałeś: musisz!

Artem zachnął się niecierpliwie, ale wnet wrócił do zwykłej obojętności. Spojrzał na niebo, iskrzące się gwiazdami, i rzekł JMiśniakowskiemu:

— To i chodźmy, bo już prawie czas.

Pan Kazimierz jednak zatrzymał go jeszcze na chwilę, bo właśnie rozpoczynało się obrzędowe skakanie przez ogień.

Nie były to już, jak z początku płąsy, ani śpiewy. Dziewka w potarganym wianku na rozwichrzonych włosach i chłopak, niosący na szyi drugi jej wianek, wyłowiony z wody, przeskakiwali razem ognisko, trzymając się za ręce, wpadali potem do wody i zanurzony w niej, wracali na brzeg, by dwukrotnie jeszcze skok i kąpiel ponowić. Towarzyszyły temu obrzędowi wrzaski, śmiechy i koncepty widzów, czekających na swą kolej, podnieconych dotychczasową zabawą, gorzałką i wiśniakiem, którymi parobcy raczyli dziewczęta, wywdzięczając się za przyniesiony przez nie poczęstunek z kiełbas i pierogów. Wszystko było pijane, rozwydrzone, szalejące.

Szerokie tchnienie pogańskiej swawoli i zmysłowego rozkiełznania owionęło gromadę młodzieży, zmieniając ją w zbiorowisko faunów i driad rozpalonych chucią. Słysząc było tylko dzikie „hu! ha!”, rżenie, piski, ryki i wycia, raczej do bydłowych, niż to ludzkich podobne. Zabawa zmieniała się w bachanalję, robiła wrażenie fantasmagorji i zmory, w której kłębiło się dokoła ognia jakieś węzowisko nagich ciał i porwanych wieńców, coś, co było jeszcze ziemią, ale mogło być i piekłem.

Artem patrzył na ten dziki obraz z posępną obojętnością, pan Kazimierz z początku z ciekawością, potem z niesmakiem i odrazą. Różnych on rzeczy bywał świadkiem w długiej wędrówce po świecie i w obozowym życiu, przeciw temu jednak, co widział teraz, buntowało się nie tylko jego chrześcijańskie sumienie, ale i jego stara, szlachecka kultura, nie była to już bowiem uciecha, ale bezwstyd i pogaństwo.

— Chodźmy, — mruknął do parobka. . Ale w tej chwili od wieńca bachantek i satyrów, ryczących dokoła ogniska, oderwała się jedna postać i w kilku szalonych skokach stanęła przy młodym rycerzu.

I chwyciwszy go silnie za rękę, chciała z sobą pociągnąć.

Była to Motra krasna i zalotna, ale pełna dziewiczego wdzięku, czy raczej jakaś zdaleka tylko przypominająca ją wiedźma, ta bezwstydna dziewczka z resztką roztarganego kwiecica na głowie, ze splotami czarnych włosów, unoszących się dokoła niej, jak węże? Biła od niej młoda krew i zmysłowa radość, biła namiętna żądza i dzika swawola, ale było też coś z piekielnego ognia, jakiś czarci urok i płynąca zeń czarcia moc. Oczy rozżarzone paliły się jak żuźle; wysuwające się z pół

otwartych, malinowych ust białe zęby zdawały się gotowe gryźć i rozdzierać, cokolwiek stałoby się ich łupem. Piękna była, piękniejsza stokroć od tej, którą pan Kazimierz znał i do której zaczynało mu tak mocno przystawać serce, ale zarazem zła i straszna, jak one moce nieczyste, wysyłane przez piekło dla wodzenia pobożnych pustelników w pokuszenie zmysłów.

Rycerz cofnął się od niej, ona zaś tem namiętniej pochwyciła go, ciągnąc ku sobie.

— Luby! Jedyny! — szeptała. — Chodź! Chodź!

Ale pan Kazimierz odepchnął ją gniewnie.

— Idź precz! — ofuknął. — Nie wstyd-ci to? Odziałybyś się i wracała do chaty. Dość tego zbereźnictwa!

I zwróciwszy się do Artema, dodał, wskazując na dziewczynę.

— Ot, jak za utopionym wianeczkiem płacze! A ty i sam topić się chciał? Tfu!

Splunął i poszedł w las, oddalając się od polany.

Dziewka rzuciła się bieć za nim, ale stanęła wnet i zawyła dziko, jak głodna wilczyca. Potem jednak podbiegła do Artema, idącego za oficerem.

— Na paproć idziecie?

Chłopak skinął ponuro głową, nie odpowiadając.

— Zawiedziesz go, gdzie kazałam, wiesz?

Parobek nie otworzył ust i poszedł za panem Kazimierzem.

— Pamiętaj! — zawołała za nim Motra.

Szli dość długo, nie przestając jednak słyszeć poza gąszczem boru wrzasków rozpasanej uciechy przy ku-

pajłowym ognisku, którego odbłyśki przedzierały się do nich raz po raz przez czarną zasłonę gałęzi.

— Musimy kluczyć wzdłuż rzeki, bo tu wszędzie moczary — odrzekł Artem panu Kazimierzowi, gdy mu wyraził zdziwienie z tego powodu. — Tutejsi wiedzą, którądy iść: kto nie wie, przepadnie. Dlatego to i Ku- paję tu palą, żeby kto obcy nie zaskoczył.

— Dobrze, że mój dziad tu się nie przywłókł, bo wczoraj strasznie mu się chciało, ale dziś już mi z tem nie wrywał się.

— Tryfona ja drogi nauczył, a i diadko Kifor mu pokaże, bo zna.

— Jaki Kifor? — zdziwił się znów pan Kazimierz, który wczoraj na chwilę tylko widział dziada i do prosczałnej gromady nie zbliżał się. — Co ty pleciesz o Tryfonie?

Chłopak zmieszał się widocznie.

— Nic, nic... Ja... To tylko na przypadek... — bąkał, nie mogąc słów związać.

Rycerz zdziwił się jeszcze bardziej.

— Co tobie? — spytał.

Ale Artem przyszedł już do siebie. Potarł ręką czoło, jak człowiek budzący się ze snu. ' —

Mnie jeszcze wciąż tamto w głowie, — rzekł spokojnie; — a i wody z błotem dosyć napiłem się, nim mnie panicz wyciągnął, to i mroczy we łbie.

Rotmistrza zaspokoila ta odpowiedź, odwrócił więc rozmowę do innej materji.

— Co to ci mówiła Motra naostatku? — spytał.

' Artem milczał przez chwilę, jakby namyślając się

nad odpowiedzią, potem spojrział w oczy idącemu obok oficerowi.

— Ona mi kazała prowadzić was w jedno miejsce, które ona zna i gdzie jest paproci moc, ale ja pójdę w inne, którego ona nie zna i gdzie też jest paproć.

— A jejże co na tem zależało, żebyś mnie tam właśnie wiódł?

Artem uśmiechnął się.

— Widać zależało, kiedy nakazywała.

— A ty nie słuchasz?

— A ja nie słucham!

Pan Kazimierz znów się zamyślił. Coś go w tych słowach musiało uderzyć, pytał więc dalej:

— Słuchaj-no! Jak to z tą paprocią bywa? I co w tem ma Motra?

Parobek ramionami ruszył.

— Co ma Motra, nie mnie wiedzieć, a choćbym i wiedział, nie powiem. A co paproci się tyczy, to mówią ludzie, że o północy zakwita i kwitnie do rana, a kto kwiat zerwie, ten ma, czego dusza zapagnie, tylko, że kwiatu strzeże nieczysta siła i dostępu nie daje.

— A cóż w tem lubystek?

— Lubystek we wszystkim, bo to miłowanie, a miłowanie nad wszystko mocniejsze. A kto z lubystkiem w rękę przychodzi do paproci, gdy ona zakwita, wtedy zamiast kwiatu, zjawia mu się ta, którą miłuje jego dusza i już mu ona odtąd sądzona, choćby przedtem nie była.

— Aha, rozumiem! — zauważył rycerz. — To Motra chciała tak zrobić, żeby ona mi była sądzona, żebym ja ją dostał, zamiast zaklętego kwiatu? I zaśmiał się.

— Co, czy nie tak? — dodał, spoglądając na parobka.

Ten uśmiechnął się także, ale głową potrząsnął.

— Może tak. może nie... — odparł dwuznacznie. — Boh znaje!

Szli czas jakiś w milczeniu, wreszcie Artem zatrzymał się.

Rotmistrz stanął także i rozglądał się dokoła.

— Czy to tu? — spytał przyciszonym nieco głosem.

— Nie, panie! Ja tu ostanę, bo nam we dwu nie godzi się podchodzić. I wamby popsuł, i sobieym nie pomógł. Ale wy, paniczu, idźcie prosto, aż hen do tej polanki, między dębami, gdzie właśnie pada światło miesiąca. Ot tam i jest paproć. Zobaczycie zaraz. Wy tam uczynicie wszystko, jak my was z Tryfonem uczyli i czekajcie. Kreda święcona jest?
i — Jest.

— I świeczka z trupiego sadła? Rycerz głową skinął.

* — A lubystek? — dorzucił Artem z uśmiechem.

Pan Kazimierz sięgnął ręką w zanadrze. L — Jest i on! — szepnął, uśmiechając się także, ale trochę niewyraźnie.

' — To i dobrze. Idźcie z Bogiem, a ja na was tu będę czekał.

HF itaklętem zamczysku,

»

V.

KIEDY PAPROĆ ZAKWITA...

Chwilę później rycerz stał na małej polance między dębami, osrebrzonej księżycowem światłem. W środku rosła kępa krzaków, a z pomiędzy nich paprocie wysuwały swoje długie, delikatne kiście. Pan Kazimierz zobaczył je i lekki dreszcz przebiegł mu po kościach.

— Ze mną. krzyż Pański i zastępy niebieskie! — westchnął, żegnając się.

I przyszło mu na myśl, po co on, żołnierz J. K. M., w tylu bojach wypróbowany i przez wszystkich uważany za statecznego nad młody wiek, dał się namówić na całą tę przygodę? Co mu do łba przyszło wciskać się między chłopstwo, uczestniczyć w nieprzystojnych, prostacznych zabawach i wreszcie jak pierwszy lepszy poganiacz lub koiuuucha, przebierać się przez głuchy bór o północy i na wiarę babskich klechd i baśni szukać tu, sam nie wiedząc czego?!

Czy jednak naprawdę nie wiedział? Nie! Temu zaprzeczało jego sumienie. On wiedział, dlaczego tu przyszedł i czego szukał. Jeśli ostatnie te dni odebrały mu wolę, nie pozbawiły go przecie świadomości. Przyszedł tu, bo mu kazała przyjść ta krasna czarownica, która ujarzmiła go słodkim urokiem swoich czarnych oczu, a potem ukazała mu się w nagości swego bezwstydu, tem samem dla jego uczciwego serca wstrętna, po w niej mogło być dla swawolnika ponętą.

Co to było? Czy djabelskie czary, czy jeno czar wiosny, płynący od niej, jak od kwiatu na łące? I czy dla złych czarów, czy dla wesela tylko i krotochwili kazała go wieść Artemowi tam, gdzie on go nie zawiódł, i gdzie zjawiłaby się pewnie o północnej godzinie, nie dbając o strachy, którym była siostrą. Rycerz nie próbował odpowiadać sobie na te pytania, choć gryzły mu duszę, jak zły robak. Pomyślał sobie jednak, że skoro ona tu nie przyjdzie, to lubystek mu na nic i kwiat paproci na nic, bo jej nie chciał już, ale i innej, żadnej nie chciałby też... Bo i poco?

Panu Kazimierzowi stanęło przed oczyma jasno i wyraźnie, poco jedzie do swego Horodyszczu i co go czeka w dalszem jego życiu. Wspomniał przeszłość, zrozumiał, co mu przyszłość niesie. Dzieciństwo, pozbawione pieczęci matki, ale zato pełne po brzegi poniewierki i niedoli. Krwawa wojna z Turobojskimi, nocny najazd Horodyszczu, rodzic ranny, w łańcuchach rzucony do lochu; matka z dwojgiem malutkich dzieci wypędzona przez hajduków w pole, przytulona w chłopskiej chałupie przez litościwe baby, oddająca niebawem ostatnie tchnienie pod nadmiernem brzemieniem niedoli. Potem dworek w Łucku, ostatnia reszta pańskich splendorów, narady z palestrą, pozwy, obiady w grodzie, żywot, będący jedną troską, skargą, krzywdą... A potem ostatni promień światła, gasnący dla nich obu ze śmiercią biednej Łusi i już odtąd nic, tylko szarość, smutek, łzy... I znów konwikt z Alwarem, palcatami, bizunem i groźnymi jego władcami, których Oblicza, wstając w pamięci ćwiczonego przez nieb za

ka, zdawały mu się dziś dobroduszne i drogie. Potem żołnierka: długa, ciężka, w twardej dyscyplinie cudzoziemskiego regimentu, w bohaterstwach bez chwały i poświęceń bez nagrody. I wreszcie oddanie Horodyszcz przez Turobojskiego, tak dziwne, że aż wyglądało na podstęp, wywołane nie skruchą, bo przywłóczyciel nie wypuścił poza tem ani okrucza z zagrabionego mienia, więc chyba tylko pod wpływem strachów, gadek starych ludzi, powieści o duchu zamczyska... A potem wnet bolesna wieść o śmierci jegomości pana miecznika i ostatnie pismo, przez Tryfona przywiezione, zalecające pod błogosławieństwem powrót do Horodyszcz i proces, walkę, pojedynek na śmierć i życie z Turobojskim i jego przeklętym rodem...

Wiedział, do czego wraca i poco. Do starego zamczyska, z którego widma wyгнаły wprawdzie przywłóczyciela, ale i prawemu posesorowi niewiele więcej dawały spokoju, o czym wiedział nietylko z opowieści Tryfona, ale i z pewnych niedomówień ojcowskich listów. Wracał do skrawka ziemi, złożonego z piaszczystych wydm, moczarów i lasu, do wsi, z której uprowadzono prawie wszystkich poddanych, do nędzy, wyszczerzającej mu z każdego kąta trupią maskę śmierci głodowej. I do tej nędzy, do tej pustki, do tych strachów i do gorszych, niż strachy, wspomnień wracał nie na odpocznienie, ale by w miejsce rycerskiej zabawy orężem i pogromem nieprzyjaciół miłej ojczyzny, rozpocząć wlokący się w bagnie i stęchliznie żywot kauzypierdy, pieniacza, rycerza gęsiego ogona J

I gdzie tu było do takiego istnienia wiązać niewiastę, wiązać kochanie?

Pan Kazimierz westchnął głęboko i ręce odjął od twarzy, oglądając się dokoła z pewnym zdziwieniem, bo pod wpływem wspomnień odbiegł zgoła myślą od miejsca, w którym się znajdował. Wszystko wkoło niego było ciemne i ciche, zdało mu się jednak, że od kępki błyszczą jakieś dwa świetlne punkciki. Przyjrzał się im i z pewnym niepokojem zauważył, że iskierki te rosły mu w oczach, zmieniając się w parę rozżarzonych węgli o krwawym połysku.

— Jezus, Marja? Co to jest? — pomyślał rycerz.

I wyciągnąwszy kredę, nakreślił pośpiesznie dokoła siebie krąg biały na otaczającej go trawie, bacząc, by kręgiem tym ogarnąć najbliższy krzak paproci. Potem dobył krzesiwa i zapalił świeczkę, którą przyniósł ze sobą, jako najskuteczniejsze panaceum przeciw wszelkim djabelskim napaściom. Razem ze świeczką wyciągnął i lubystek.

— Rzucić go, czy co? — pomyślał.

Wahał się przez chwilę, potem jednak zdecydował się i ziele przytknął do trzymanej w ręku świeczki.

— Niech tam sobie tkwi! — mruknął filozoficznie. — Co mi szkodzi? Będzie, co ma być!

Podczas tych czynności jednak głucha cisza, panująca dotąd w lesie, poczęła naraz zmieniać się w rosnący ciągle szmer, szum i wreszcie przeszła w łoskot. Nieruchome dotąd wierzchołki drzew poczęły kołysać się coraz to silniej, między gałęzmi poczęły przelatywać jakieś poświsty i jęczenia, jakieś zawrodożenia i narzeka

nia budzącego się wichru. Puszczą poczęła drzeć i grozić. Drżała przed czymś nieznanym, tajemniczym a straszonym, co zbliżało się; groziła śmiałkowi nieopatrzonemu, który o nocnej godzinie wdierał się w tajnie leśne i podpatrywać chciał to, co powinno być zostać ukrytym dla wszelkiego śmiertelnego spojrzenia.

Błysnęło raz i drugi. Zdała doszedł jakiś głuchy odgłos, jakby stłumionej salwy muszkietów i wnet powtórzył się bliżej i głośniejszy. Potem zapaliło się nagle wszystko na mgnienie oka kredowym, jakby trupim ogniem i nieprzerwaną łuną błyskawic palił się już odtąd ciemny bór, uderzając jeden za drugim, jak rotowy ogień, jak krzyżująca się kanonada armatnich wystrzałów.

Puszczą gorzała ogniem niebios, trzęsła się od piorunów, wyła wichrem i burzą.

Pan Kazimierz odetchnął swobodniej. Burza go nie straszyla: ileż nocy podobnych przeżył w polu lub lesie, z towarzyszami przy obozowem ognisku, albo kiwając się samotnie na kulbace w nieznannej stronie! Przyroda i człowiek nie byli mu straszni. Włosy jeżyły mu się na głowie wtedy dopiero, gdy myślał o czymś zgoła innym.

A tego innego nie było teraz koło niego. Owe gorejące oczy, czy węgle, znikły. Czy to było próchno, które zgasila pierwsza kropla deszczu, czy garść świętojańskich robaczek tak rozżarzyła jego wyobraźnię, dość, że błyski owe rozwiały się bez śladu.

— Bogu dzięki! — pomyślał rycerz i powinszował sobie szczęśliwego obrotu sprawy.

— Funta kłaków niewarta cała ta przygoda — my

ślał. — Kiepsko byłem, zem na te skarby się zlakomił: tyle ich będę miał, co mam w kieszeni i w terlicy, a w moich leciech lubystek niepotrzebny dla kochania. Tyle pociechy, że człowiek nie bał się djabłu w ślepiu spojrzeć, jako rycerzowi przystoi.

W tej chwili gałęź, rozkołysana wichurą, śmignęła go po twarzy i zdało mu się, jakby jakiś głos szepnął tuż obok niego bardzo cicho, ale wyraźnie:

— Jeszcze nie zaglądnął, to się nie chwal!

— Co to? Kto tu? — krzyknął głośno rycerz, cofając się o krok.

Nikt nie odpowiedział. Rozglądnął się uważnie dokoła, korzystając ze światła, jakie dawały błyskawice: nie było nikogo. Wtem jednak tuż nad jego głową rozległ się śmiech jakiś dziwny, charkotliwy a złowrogi.

Rycerz podniósł skwapliwie oczy, ale nic nie dostrzegł, tylko wielki jakiś ptak zerwał się z gałęzi i ociężałym lotem przeleciał na sąsiedni dąb.

— Czy to aby ptak? — pomyślał pan Kazimierz.

Oglądnął się teraz uważnie, świeczką dopomagając błyskawicom, czy nie wysunął się z zakłętego kręgu, do którego wedle zapewnień Artema i Tryfona zła siła nie miała przystępu. Zrobiło mu się lżej na duszy, gdy stwierdził, że krąg go otacza. Uspokojony z tej strony, rzucił znów mimowolnie okiem ku kępie, skąd niedawno zaświeciły mu owe rozpalone żużle i wstrząsnął się cały.

W miejscu płomyków widniała tam teraz cała, jakoby ogniem namalowana głowa ludzka, sama jedna z językami płomieni, wydobywającymi się z oczu, gęby i no-

zdrzy. Dzięki owym ogniom świeciła wyraźnie nawet w przerwach między błyskawicami i widać było, jak rysy jej, a zwłaszcza wargi, rozszerzone prawie od ucha do ucha, nieustannie przekrzywiały się jakimś ohydny, iście piekielnym grymasem.

Pan Kazimierz przetarł sobie oczy.

— Czy mnie zmora dusi, czy co? — pomyślał.

Ale widzenie nie ustępowało, jak przedtem. Owszem maskara zdawała się zwiększać i, co gorzej, poczęła szybko posuwać się ku niemu. W ciągu jednego pacierza miał ją już u swoich stóp. Zionęło nań smrodliwym wyziewem, ni to siarką, ni to zgniłym jajem; wargi rozwierały się szeroko, jakby miały go pochłonać, gorące płomienie buchnęły nań, liżąc mu ciało i oblicze...

Rycerza mimo tego mróz obleciał od ciemienia po pięty.

— Ratujcie mnie, święci pańscy! — wykrzyknął i chciał się cofnąć przed djabelską larwą, kiedy nagle jakby go ktoś zatrzymał i jakby głos jakiś, inny całkiem, niż poprzednio, szepnął mu w same ucho:

— Nie rusz się!

Pan Kazimierz zatrzymał się i w tejże chwili ognista głowa poczęła odsuwać się od niego, zmniejszać się, blednąć, aż wreszcie rozplynęła się w mrokach nocy.

Westchnienie ulgi wyrwało się z piersi rotmistrzowi.

— Ani kroku za krąg, bo zginę! — rzekł do siebie.

Przeżegnał się i patrzył dalej, co będzie.

Przez chwilę nie było nic. Potem naraz posłyszał za sobą jakiś podejrzanymruk i ciężkie, jakby gniewne" sapanie. Odwrócił się. O krok za nim stał na dwóch łapach

pach olbrzymi niedźwiedź, z otwartą paszczką i błyskawicami kłami, z przednimi łapami rozwartymi w pół-krąg, jakby do uścisku. W chwili, gdy go rycerz ujrzał, zwierz ryknął wielkim głosem i nachylił się ku niemu, by go objąć śmiertelnym uściskiem.

— Wbok i na gałąź! — szepnął głos, słyszany z początku.

Ale z przeciwnej strony usłyszał rotmistrz szepnięty drugi:

— Ani kroku stąd!

Młodzieniec nie ruszył się. Niedźwiedź ryknął raz jeszcze, rzucił się na niego i — znikł.

— To już drugi strach! — mruknął pan Kazimierz, który poczynął oswajać się z położeniem. — Teraz kolej na trzeci.

Ale trzeci strach nie zjawił się, a natomiast przyszło coś zgoła innego.

Z gąszczy, obrastającego polanę, dał się słyszeć naraz wybuch srebrzystego śmiechu. Pan Kazimierz, zdziwiony, zwrócił w tę stronę głowę, ale w pierwszej chwili nie dojrzał nic, posłyszał tylko nowy wybuch śmiechu, głośniejszy i bliższy, jakby z kilku młodych piersi dziewczęcych wychodził, a potem jakiś szelest wśród zarośli, jakby ktoś przez nie się przekradał i chciał się przedostać na polanę.

Burza ucichła tymczasem. Krótki deszcz ustał, tylko pojedyncze krople otrząsał wiatr z mokrych gałęzi. Czasem jeszcze ponurą ciemność puszczy rozświetlał błądzący zygzak dalekiej błyskawicy i z ucichającym wichrem mieszał się głuchy pomruk gromu, niby ostatni ryk

dzikiego zwierza, powracającego w niedostępny swój ostęp. Powietrze przesyciły ostre wonie kwiatów leśnych i przenikliwe wyziewy gnijących drzew, mchów i listowia. Przez puszcę szedł szeroki, potężny oddech ziemi.

Panu Kazimierzowi zdało się, że z poza gałęzi, tam, skąd dochodziły go dziewczęce śmiechy, spoglądają nań teraz jakieś ciekawe, świecące oczy i, że spojrzeniom tym towarzyszy tłumiony szept i chichot.

— Dziewczęta od. Kupajły przyleciały tu wślad za mną, żeby mnie u paproci podpatrzeć, — pomyślał rycerz. — Nie może inaczej być!

I w duszy zrobiło mu się jaśniej, i poczuł, jak mu krew dopływa do serca. Przed godziną dziewczęta te budziły w nim wstręt rozpasaniem i chłopską rubasznością obyczajową, teraz po wrażeniach, jakie przeżył w głuszy leśnej wśród strachów, napęnlających ją o północ-ku, witałby z radością każdą ludzką istotę, choćby najszpetniejszą, a cóż dopiero kilka młodych, hoźych dziewczek!

Mimowoli ręce wyciągnęły mu się w ich stronę i na wargach miał już okrzyk wesołego powitania, wstrzymał się jednak, wargi napół otwarte przymknął i nie ruszył się, oka jeno nie spuszczać z onego miejsca, w którym kryć się zdawały kupajłowe tanecznicze.

— Chowają się, — pomyślał; — niechże się pokażą, a wtedy huknę do nich, jak niedźwiedz, aż przysiędą ze strachu!

Wnet jednak zreflektował się i zaniechał zamiaru.

— Nie huknę. — rzekł do siebie; — bobym je przeraził i uciekłyby, a jabym sam został z widmami!

I aż się zatrząsł na tę myśl.

— Ale jak dziewczęta tu zostaną, paproć nie zakwitnie i skarby czart zatrzyma dla siebie!

— szeptała mu rozwaga.

Pan Kazimierz machnął jednak na głos rozwagi ręką z zuchwałą pogardą lat dwudziestu pięciu.

— Co mi tam po skarbach! Mało to łupu jest do wzięcia na wrogach Rzeczypospolitej! Starczy i dla mnie!

I wpatrywał się w zarośla, szukając w nich oczu, które go chciały śledzić i niecierpliwąc się, że dziewczęta nie wychodzą.

Wtem usłyszał głos, który już obił się o jego uszy podczas sobótki.

— Panyczu! Chodź do nas!

I znowu śmiech się rozległ.

— Chodźcie do mnie! — krzyknął rotmistrz.

Ale dziewczęta nie chciały wychodzić z gęstwiny i wciąż na nowo przyzywały go do siebie.

Pan Kazimierz gotów był już to uczynić i runąć jednym skokiem ku wołającym nań dziewczętom, ale wtem szepnął mu w ucho ten sam głos, który go już po dwa- kroć ostrzegął:

— Mi kroku poza krąg!

— Co to? Znowu? — pomyślał pan Kazimierz, czując, że włos jeży mu się na głowie.

I przypomniała mu się przestroga, którą mu na odchodnym z futuru dawał, żegnając się z nim, Tryfon:

— Żeby panicz i ojca rodzzonego, światłość jemu wie

kuista, zobaczył i żeby on władzą swoją ojcowską przykazywał wyjść z koła, niech panicz nie wychodzi, bo to czartowska złuda i zguba pewna!

— A kto wie? Może to i prawda! — powiedział sobie pan Kazimierz.

I nie ruszył się.

Z gęstwiny słychać było jeszcze przez chwilę chichoty i szmery, potem wszystko ucichło i wnet rozległ się okrzyk przerażenia, któremu zawtórowały inne głosy, drżące ze zgrozy.

— Na pomoc! Ratujcie! Panyczu! Prędeej! Panyczu!

Pan Kazimierz wahał się jeszcze, czy ma podążyć na to wezwanie, którego nie godziło się rycerzowi puszczać mimo uszu, kiedy nagle ukazał się widok, mogący stać się ostrogą i dla mniej odeń rycerskiego męża.

Oto bowiem na polanę wypadła z zarośli dziewczyna, jedna z tych, które widział skaczące przez ogień do potoku. W potarganej płótniance, ze splątanym i zmierzwionym głosem biegła wprost na niego, wyciągając błagalnie dłonie, ale drogę jej zastępował straszliwy nieprzyjaciel. Ten sam niedźwiedź, który przed niewielu pacierzami sięgał groźnie śmiertelnym swym uściskiem po młodego oficera, a potem zniknął równie nagle, jak się pojawił, nie wyrządzając mu szkody, gnał teraz na uciekającą przed nim kobietę, z rozwartemi szeroko, gotowemi ją zmiażdżyć, łapami. Chwila jeszcze, a dosięgnie jej!

— Panyczu! Panyczu! — jęknęła ścigana rozzwierającym głosem.

— Przybywam! — krzyknął pan Kazimierz. •

I pochwywszy kordelas, rzucił się, by przeciąć zwierzowi pościg i zasłonić własnymi pierściami dziewczynę. Ale w tej chwili, potknąwszy się w pośpiechu o pniak, w mchach ukryty, runął jak długi.

— Jezus Mar ja! — krzyknął z rozpaczą, mniemając, że ten wypadek przyprawi dziewczynę o zgubę.

W mgnieniu oka zerwał się na równe nogi, chcąc lecieć naprzód, ale ku największemu zdziwieniu i dziewczki i niedźwiedzia nie było już śladu. Rozwiali się w mgle, zniknęli, jakby ich tu nie było zgoła.

— Co to znaczy u licha ciężkiego? — zawołał głośno sam do siebie.

Odpowiedzi nie było i wszystko dokoła pozostało ciche i głuche. Tylko od górnych gałęzi drzewa, pod którym stał, rozległ się złowrogi, szydarczy śmiech i kilka czarnych ptaków zerwało się i kracząc, a łopocząc ciężko skrzydłami, poczęło krążyć posępnie dokoła jego głowy.

A wnet potem usłyszał znów szept przy samem uchu:

— Przy lichu jesteś, to i igra z tobą lichu!

Rycerza zdjął teraz lęk straszny. Poczł się bezsilnym, opuszczonym, skazanym na zagubę wśród tych omanów leśnych, któremi igrał z nim istotnie Zły, niby kot z myszą.

— Boże mój, Boże! — jęknął, jak człowiek, przed którym otwiera się przepaść i odsuwa się ostatnia kotwica ratunku.

I chciał już upaść na kolana, uczynić deprekację za niepohamowaną chciwość i nieprzystojne żądze, a potem resztę nocy przepędzić na żarliwej modlitwie, mogącej

lepiej, jak mniemał, odpędzić nieczystą siłę, niż ogarek z trupniego sadła. Ale nagle przetarł oczy, pełen zdumienia.

— A toż co? — szepnął. — Więc doprawdy...?

Z paproci rosnących całą kępką opodal, wystrzelił teraz jakby snop sinawego, płomienistego światła. Światło to rosło wciąż, przybierając kształt wielkiego szerokolistnego kielicha, wysuwającego się z rozstrzępionych kiści. I nie na tym jednym krzaku tylko rozwijał się ten płomienny kwiat- dziw. Wszystkie paprocie jedna za drugą poczynają rozpromieniać się owym sinawym blaskiem: poczynął on rozświetlać także i paproć, objętą kredowem kołem i tuż przy stopach młodzieńca rosnącą.

— Dziw! Dziw! — szeptał w upojeniu pan Kazimierz.

I miał już sięgnąć ręką po kwiat, formujący się zwolna u jego kolan, kiedy naraz cichy głos doleciał go z poza zaczarowanego kręgu, przenikając mu do głębi duszy.

— Panyczu! Sokole mij!

Był to głos Motry.

Pan Kazimierz zapomniał w tej chwili o odrazie, jaką w nim wzbudził tak świeżo bezwstyd rozszalałej dziewczyny. Zapomniał i o tem, że sam nie chciał spotkać się z nią tej nocy i wróżbami przykuć los jej do swego. W pustce pełnej grozy, jaka go otaczała, zdało mu się, że teraz oto wyrwie się złym mocom i przestanie odczuwać gniotące go dotąd przerażenie, bo oto jest przy nim dusza żywa, znana i miłowana, a przytem mocna. Na zło od jego rycerskiej duszy mocniejsza. I poczuł się przy tej dziewczynie, on, rycerz, uspokojony, jak dziecię, pozostawione samo w ciemnej izbie, gdy wróci doń, przynosząc światło, piastunka. Więc ręce ku Motrze wyciągnął, przyzywając ją ku sobie pieszczotliwymi słowy.

Ale dziewczyna nie ruszyła się z miejsca, kiwając nań i wabiąc ku sobie.

— Do mnie chodź, łycariu jasnyj! Do mnie, panyczu mij krasnyj! Jaż do ciebie aż tu przybiegła! Artem zbój zwiódł, ty dał się zwieść, a ja taki odnalazła ciebie! Rusalek nie przelękała się, upiorów perelesnyków nie przelękała się, samego czarta nie przelękała się i do ciebie przyszła taki świat! A ty mi tych dwóch kroków żałujesz! ;

Mówiła to głosem pieszczotliwym i słodkim, jakiego u niej nie słyszał dotychczas pan Kazimierz nigdy. Miał wrażenie, że głos ten jakąś niewidzialną nicią zaczepia się o jego duszę, otaczając go i wiążąc, niby przedza cudna o przedziwnej delikatności, ale i przedziwnej mocy.

A czepiała się jego duszy nietylko tem, co od niej słyszał, ale i tem, na co patrzył. Nigdy nie widział jej tak cudną. Ta dziewczka pełna zmysłowych ponęt i wieśniaczego wdzięku wyglądała teraz, jakby utkana ze świetlnych promieni i malowana barwami, jakimi stroją się w pełni swego czarownego rozkwitu róże i lilje. Patrząc na nią, rycerz czuł, że mu się w głowie mąci i serce żar jakiś niezmierny napętnia. Mówił do duszy swojej: „Nie znałem jej jeszcze, jaką jest!” i zdawał sobie z tego sprawę, że tej, którą widział teraz, nie był w stanie oprzeć

się, choćby szło nietylko o jego żywot, ale o cześć rycerską, o sumienie, a nawet o zbawienie duszy. Tak! Teraz dopiero rozumiał, co mu o niej mówił Artem, że rabem jej był bezwolnym. On, rotmistrz Kazimierz Miśniakowski, karmazyn, mający w swej prozajki krzesła i buławy, czuł się narówni z chłopem Artemem, rabem tej chłopianki z futoru, gotowym upaść jej do nóg i czołgać się przy niej, jak robak, i w ogień skoczyć, i w wodę skoczyć na jej rozkazanie, i uczynić dla niej wszystko, wszystko...

Ona zaś wabiła go wciąż i przyzywała ku sobie:

— Pójdź! Pójdź!

Jego ogarnęła jednak jakaś słodka niemoc, coś w rodzaju tego uczucia, które miewa się we śnie, gdy chce się biec i lecieć i czuje się przyrośniętym do ziemi. Był poprostu obezwładniony czarem tego cudnego zjawiska, które miał przed sobą. Byłby się jednak ocknął i jednym skokiem znalazłby się u stóp dziewczyny, gdyby naraz z lasu nie doleciał go krzyk jakiś pełen trwogi i wołanie o pomoc.

Motra posłyszwała je także, ale zaśmiała się tylko.

— Nie zważaj! — zawołała. — To bies tak cię łudzi, jak z tamtą dziewczką i z niedźwiedziem.

— A ty skąd wiesz? — zdziwił się rycerz.

— Bom widziała, jako i ty. Chodź!

Pan Kazimierz chciał już spełnić to wezwanie, kiedy z gęstwy wyskoczyła nowa postać kobieca i dostrzegłszy go, z okrzykiem radości podbiegła do niego i upadła u jego stóp.

Pan Kazimierz pochylił się ku niej, podnosząc ją.

Było to dziewczę złotowłose o chabrowych oczach, szeroko rozwartych przerażeniem, w odzieży nawpół pańskiej, napół wieśniaczej. Dziewczę obejmowało go za kolana, tuląc się do niego, szlochając i piszcząc urywanym, dziecinnym głosikiem przez łzy:

— Waćpan z futoru, prawda? I nie opuścisz mnie tu, odprowadzisz do dida Kifora i do niani mojej, prawda?

— Rzuć ją, gadinę, i do mnie chodź, do mnie! — rozległ się o krok odeń głos Motry, nakazujący, nabrzmiały namiętnością, słodki, a zarazem jakby groźny.

Ale młodzieńca ogarnęła wielka litość dla tego dziecka, zabłąkanego w puszczy wśród strachów i niebezpieczeństw ponad siłę męża. Więc rękę położył na jasnej główce, jakby dając tem znak, że ją bierze w opiekę, i rzekł poważnie.

— Zbądź trwogi, biedne dziecko! Nie opuszczę cię i odprowadzę, dokąd zechcesz!

— O, dziękuję waćpanu! — zawołała dziewczeczka, uśmiechając się i ocierając oczy piąstkami. — Już się nie boję! Niech waćpanu Pan Jezus płaci i Matka Najświętsza!

Teraz rozrzewniło się już całkiem serce w rycerzu. Poczul się zgoła inaczej i lepiej umocnionym na duchu, niż przed chwilą obecnością Motry, bo Motra miała wprawdzie moc przeciw Złemu, ale pewnie jako jego aljantka i poddana, więc nie było to wcale dla chrześcijańskiej duszy skuteczne auxilium, a tu garnęło się pod opiekę jego niewinne stworzenie, któremu czystość jego była najbezpieczniejszym puklerzem przeciwko złym mocom. W zuklętem zamczysku,

A przytem ta dziewczeczka przypomniła mu siostrzyczką, ową słodką Łusię, której obraz świecił mu wciąż w duszy aureolą złocistych warkoczy, jakoby jedna z onych świętych panien, których konterfekty widział malowane po kościołach. Więc nie zważał już na wołanie Motry i nie w smak mu to było nawet, że z taką dziewczką bez sromu spotyka go tu one niewiniątko, o złem nie mające ani pomyslenia. Zajął się tedy dziewczynką i dopiero, gdy ją utulił i uspokoił, zwrócił oczy ku Motrze stojącej, jak mniemał, wciąż przy nim.

Ale Motry nie było ani śladu, tak samo, jak tamtej, którą ścigał niedźwiedź. A gdy szukając, gdzie mogła się podziać, rzucił oczyma wkoło, dostrzegł ze zdziwieniem, że światła one i świetlne kwiaty, jakie pozapalały się wśród krzaków paproci, zgasły, one także bez śladu.

Czyżby to wszystko było snem, złudą, omanem czar-
towskim?

I Motra też?

VI.

PROMIEŃ GAŚNIE.

Jakby w odpowiedzi na to pytanie śmiech ów, który kilkakrotnie rozlegał się nad nim, zabrzmiał i teraz, ale głośniejszy, dłuższy i bardziej jeszcze niż przedtem, szyderski, groźny i złowrogi. Zdawało się, jakby przedtem złe moce chciały śmiechem tym urągać człowiekowi, z którym igrały, teraz zaś było w śmiechu tym coś więcej, oprócz szyderstwa, bo jakaś złość i wściekłość pomsty... Piekielnemu temu śmiechowi odpowiedziały inne podobne ze wszech stron i przez długą chwilę drgał niemi cały bór, wyło każde drzewo, trzęsła się każda gałąź. I jak nagle zerwał się ten wybuch czarciego wesela, tak i ucichł odrazu. Puszcza wróciła do głuchej, posępnej ciszy.

Dzieweczka przytuliła się do szerokiej piersi pana Kazimierza, posłyszawszy ów wrzask ohydny.

— Co to było, na Boga! — szepnęła, gdy ucichło, odrywając twarz od burki, w którą się ukryła.

— To już minęło i pewnie nie powtórzy się — odrzekł rycerz, starając się nadać głosowi pewność, której sam nie czuł. — Nie trzeba się bać. Ja nie dam.

— Ja wiem, że waćpan mnie nie da! — przytwierdziła dziewczeczka.

I w słowach jej uczuł rycerz takie przekonanie, taką ufność i ukojenie, że własne serce napęłniło mu się wielką otuchą.

— Jeżeli to biedactwo tak ufa w moją mizerną personę i tak pewne mojej kompasji, — pomyślał, — jakże ja nie miałbym ufać Bogu i pewnym nie był kompasji Najświętszej Bogarodzicielki?

I zwracając się do dziewczeczki, spytał:

— Skądże wzięłaś się w tej pustce waćpanna i czy masz tu gdzie blisko swych ludzi?

— Myż z proszczą przyszły wczoraj do futuru i tam waćpana widziałam, ale waćpan mnie pewno nie zauważył!

Miśniakowski nie zauważył jej istotnie, ale coś słyszał o niej od Tryfona, który jednak nic mu nie wspominał o jej nazwie i ojcu.

— To już wiem—rzekł.—Jakże to jednak waćpanna tu się dostałaś?

Dziewczynka znów ukryła twarz w fałdach burki.

— No i cóż? Nie powiesz to?

— Kiedy mi wstyd!

— A przecie trzeba powiedzieć, bo i jak cię odstawię do twojej gromady, kiedy o nich ani o tobie nic nie wiem?

— Bo mi się chciało popatrzeć na Kupajła...

— I sama w las poszłaś?

— Nie sama: z Kiforem. Póty wczoraj go męczyłam, aż się zgodził. Nasi niedaleko uszli, bo tylko do Jakimo-wej slobody i rozłożyli się na noc, a my z didem na konie i nazad.

Przyjechali, konie oddali i w las...

— Komu oddali-? — przerwał pan Kazimierz.

Dziewczyna znów twarz ukryła.

— Nie wiem... Nie powiem! — szepnęła.

— Czy aby nie mój Tryfon maczał w tem ręce?

Dziewczyna nie odpowiedziała.

— No mniejsza z tem! Więc jakżeś tu się znalazła? Toż stąd do rzeki kawał!

— Bo mnie Kifor oszukał. Obiecał zaprowadzić do Kupajła, a potem nie chciał, tylko w las. Ja widzę — błyszczą! Co to? Ogień i przy ogniu ludzie! Ja do dida: idźmy tam! A on—nie i nie, tylko w las, całkiem gdzie indziej! Ja wtedy wyrwałam się Kiforowi i podbiegłam bliżej, żeby zobaczyć, co oni tam robią. A oni zobaczyli

mnie i jak nie wrzasań, jak nie rzucą się do mnie! Ja i o dziadzie zapomniałam, i o świecie bożym! Lecę, uciekam, a oni gonią! Gonią i krzyczą: „Chodź z nami skakać!” A we mnie ze strachu rozum się pomieszał. Sama nie wiem, gdzie mnie nogi niosły, aż dopiero, kiedy waćpana zobaczyła, oprzytomniałam i to mi się stało jasne, że mnie tu przywiódł Anioł Stróż.

— Pewnie! — przytwierdził pan Kazimierz.

I pomyślał przytem, że nie ją jedną ratował w tej chwili Anioł Stróż.

Podczas tej rozmowy pan Kazimierz przebierał się wraz z dziewczynką przez las w stronę rzeki, hukając po drodze na dziada, który musiał być w pobliżu. Nie obawiał się rycerz pijanej hałastry „kupałników”, wiedząc, że na uzbrojonego nie śmieliby się porwać. Przypuszczał też, że znajdzie czekającego nań Artema, ale Artema nie było. Znalazł się natomiast Kifor, za którym skradał się dość nieśmiało Tryfon. Dziad był bardzo przerażony przygodą panienki, kiedy usłyszał, jak natknęła się na rotmistrza, czekającego na rozkwitnięcie paproci, pokiwał głową i ręce złożył, jak do modlitwy.

— Palec boży w tem jest! — mruknął w siwą brodę.

— Ślepy chyba nie zobaczy! — potwierdził półgłosem Tryfon.

Pan Kazimiera nie zauważył tych słów, zajęty był bowiem rozważaniem, co mu teraz czynić wypada. Czy miał pozostawić dziecko niedołożonej pieczy Kifora? Dziewczynka dziwnie mu przypadła do serca przez tych niewiele chwil, które ją miał przy sobie: miałże

ją opuścić w tej głuszy, pełnej dzikiego zwierza, dzik-* szych od zwierza ludzi i gorszych, niż ludzie, widm?

Kifor odgadł snadź myśli rycerza, bo pochylił mu się do kolan i jął prosić:

— Jak wy ją już uratowali, jasny rycerzu, to i dalej nie dajcie przepadać! Toć pańskie dziecko, księdza biskupa z Chwastowa krewniaczka! Jaż nie takim, jak ona, ataman! Napotkał ją w pustym kraju, to i przytulił z pątnikami, ale czyż to dla niej kompanja! I niech co złego znów się trafi, jakaż ze mnie obrona? A jakby tak jasny rycerz był łaskaw i sam ją ojcu odwiózł...

— A któż jest jej ojcem? Stary ramionami ruszył.

— Ona się wstydzi jego nazwać, że to w takiej poniewierce jest teraz. Pewnie jakiś wielki pan być musi. To wiem, że kędyś z za Berdyczowa, bo, powiada, za Berdyczowem przyznam się. dokąd mnie macie odwieźć!

Rycerz zdziwił się nieco, ale i zrozumiał drażliwość panienki, nie chcącej poniewierać zacnego imienia w chłopskiej kompanji. Skinął więc głową, a dziad tak dalej mówił.

— Gdyby, tak wielmożny pan odprowadził pannuńcię, bo jak słyszę, to waszej Miłości po drodze...

— Dobrze! — rzekł rycerz — odprowadzę. Kifor począł błogosławić go, wychwalając pańską wspianiałomyślność, pan Kazimierz zaś jął dawać rozkazy Tryfonowi.

Nie chciał już wracać do futuro: wyprawił tam sługę po rzeczy, polecając mu wręczyć Motrze podarek, na jaki stać było jego szczupłą kaletę. Czuł lęk i wstręt na myśl o hożej dziewczce z Maksym owego futuro. Wie rzył teraz, że z niej prawa wiedźma, z biesem poku- mana, i myślał sobie z goryczą, że mało brakowało, a byłby żywot i zbawienie stracił w jej piekielnych siódlach. „Niech przepada, przeklęta!” mówił sobie i czuł złość do niej, że szlachcica, rycerza i sodalisa potrafiła tak opętać, i byłby sobie chętnie kazał wsypać z pół kopy bizunów za to, że dał się opętać tak łatwo.

W parę godzin później o pierwszym brzasku puścili się wszyscy razem w stronę Jakimowej slobody, skąd zabrali Todoskę, odchodzącą od zmysłów z żalu i obawy o „pannuńcię Hanusię”. Obie przypadkowe pątnicz- ki pożegnały się z towarzyszami, to samo uczynił i did Kifor, poczem ruszono ku Owruczowi.

Na pierwszym noclegu Tryfon, układając się do snu przy koniach obok pana, rzekł półgłosem.

— A Motry tam przy paniczu nie było!

— Jakże nie było, kiedy ją widziałem i słyszałem.

— To nie ona była, a bies!

— Ot, głupi! Ona łże, a ty wierzysz!

Ale stary jął opowiadać, co słyszał od „kupalników”, wracających z nim jedną drogą, że Motra wyrywała się kilka razy od nich i zdawało się, że chce w las uciekać, ale oni jej nie puścili, bo bez niej nie było zabawy. A tymczasem pojawiła się panienka. Motra pierwsza spostrzegła ją i krzyknęła na chłopców, żeby ją złowili i pierwsza puściła się w pogoń. Może chciała i sama. uciec, panicza dobiec, ale nie było czasu. Nie ona więc zjawiała się paniczowi, jeno nieczysta siła.

— Może i tak — mruknął rycerz.

Ale przyznaj mi się raz, stary, — dodał po chwili; — co ty miałeś w tem, żebym ja tamtej nocy szedł na oną głupią przygodę? I czemuście się tak wachali z Artemem i że o mnie wam szło, tego nie neguj, bo ja na łgarstwie się poznam. Więc cóż? Gadaj!

— Ja? Nic! — odparł dość niepewnym głosem Tryfon.

I udał, że chrapie.

Jechali krajem nieco ludniejszym, ale dość jeszcze dzikim, przeważnie puszcza, w której niewiele jeszcze wycięto przejść i łysin, przodem pan Kazimierz z Hanusią, z tyłu troje starych, którym nie zamykały się usta, bo gadatliwi byli wszyscy nad miarę. Ale i młodzi nie ustawali w dyskursie, przeplatany żartami i śmiechem. Miśniakowskiemu zdawało się, że jego Łusia nie umierała nigdy i że ją oto odwozi do domu, w którym na nich czeka pan ojciec. Wtedy jednak zasępiła mu się dusza i Hanusia przystawała do niego, dopytując się, czemu pan Kazimierz smutny i żeby nie smucił się, bo ona będzie płakać, i pod wpływem tych słów pieszczotliwych i zupełnie jeszcze dziecięcych młody oficer spędzał chmury z czoła i zaczynał znów droczyć się z „małą”, że ją chłopom daruje po drodze albo w puszczy zagubi, gdzie będą nią opiekować się niedźwiedzie. Ona odymała różowe usteczka i marszczyła brewki i prychała, jak kotka, i kłóciła się, a czasem i gniewała, ale w gruncie lubiła te przekomarzenia się, jak wogóle lubiła wszystko, co mówił i czynił pan Kazimierz. O rozmowach z nim opowiadała co wieczór na noclegu starej piastunce, nie pomijając jednego z jego słów, zdobiąc je czasem bujną fantazją. „Pan Kazimierz powiedział!” miało w jej ustach znaczenie jakiejś prawdy nieodwołalnej i nie dającej się naruszyć, a osoba pana. Kazimierza była w jej oczach czemś, nie mającym na świecie całym porównania dla siebie, czemś równocześnie bohaterskim, i doskonałym, i godnym najwyższej czci, a przecie bardzo bliskim i swoim, wobec czego bladła nawet surowa powaga i groza jegomości dobrodzieja, nie mówiąc już o spadającym do rozmiarów karła, stryjecznym, panu Szczepanie.

Jemu od lat więcej, niż dziesięciu, pozbawionemu rodzinnego ogniska i siostry, ten szczebiot miły był nad wszelki wyraz i co chwila droższą stawała mu się ta główka złocista, którą miłował braterskim zarazem i jakby ojcowskim afektem. Nie wiedział, kim była, i ona starannie unikała o tem wzmianki, jakby nauczona, i tyle tylko wiedział o niej, ile mu pierwszego dnia powiedział Kifor. Nie dopytywał się zresztą. Co go to obchodziło? Wiedział, że to minie i nie wróci. Dzień, dwa jeszcze, a odda słodką dziecinę ojcu i może już jej nie zobaczy więcej w życiu, bo jego droga inna. Ale nic to! Tymczasem było mu jasno i dobrze. Od wielu lat padł nań pierwszy promyk słońca i zamiast szczęku oręża, klątw i grubych żartów, słyszał koło siebie dziecięcy szczebiot, i czuł wpatrzone w siebie z przywiązaniem oczęta... Dzięki Bogu i za to. Niechże sobie jutro będzie, jako chce!

Niestety, owe jutro przyszło prędzej, niż oczekiwał, a zgoła niespodziewanie.

Minęli Berdyczów, zostawiając go na stronie i oddalili się już odeń prawie o dzień drogi, kiedy za nimi ukazał się pędzący żywo orszak konnych. Tryfon, stary wojak i bywalec, zwrócił na tych jezdnych uwagę pana Kazimierza, który jednak z początku puścił słowa starego mimo uszu. Kraj był zupełnie spokojny, napadu nie należało się obawiać. Ale Tryfon odwracał raz po raz głowę i mruczał coś do jadącego obok dziada, a potem dał koniowi ostrogę i zrównał się ze swym panem.

— Paniczu,—'rzekł półgłosem, by go dziewczynka nie usłyszała — oni nas gonią.

— Co ci do łba strzeliło?

— Gdyby strzeliło, tobym nie widział, a ja widzę i stary Kifor widzi to samo. Niechno jegomość przygotowuje się. Jabym ich tu zatrzymał i niechby tymczasem panicz z Hanusią uciekał, bo tu już do nich niedaleko, ale kupa ich sroga, nie zdłużam!

Teraz rotmistrz konia obrócił i przypatrzył się uważnie oddziałowi, który nadbiegał cwałem. Potem skinął na Kifora.

— Wy dwaj z Tryfonem, weźcie między siebie panienkę i naprzód, a ja tymczasem podjadę do tych ludzi i rozpoznam, co za jedni i czego chcą.

I ruszył z kopyta.

— Jeno ostrożnie, paniczu, żeby Boże chroń...

Tryfon mocno zaniepokojony, wołał za panem Kazimierzem, dając raczej folgę pocziwemu sercu, niż przewidując skutek ostrzeżenia, którego zresztą rycei"? nie słyszał, bo już się był daleko z koniem odsądził.

W tej chwili z zastępu nadbiegających jeźdźców rozległ się okrzyk:

—Stój!

I wnet potem mąż, jadący na czele krzyknął:

—Pal!

Kilka kul świsnęło, przelatując panu Kazimierzowi ponad głową, bo jeźdźcy w biegu nie byli w stanie wycelować. Jego zaś złość wzięła, że go na gościńcu napadają bez żadnej przyczyny, więc przyskoczył do tego, który zakomenderował ogień, aż konie ich starły się pierściami i stanęły na tylnych nogach, chwycił go za rękę, w której miał wystrzelony pistolet i krzyknął mu groźnie w ucho:

— Ty stój, zbroju, co niczem ci niepowinnych podróży chcesz mordować!

Ale napadnięty wyrwał się rotmistrzowi i, targnąwszy silnie koniem, wbok uskoczył.

— W niego! — wrzasnął.

Huknęło znów kilka strzałów, bo jadący ztyłu nie strzelali na pierwszą komendę, i jedna z nich drasnęła rycerza w czoło, tak, że krew poczęła mu naprzód sączyć się, a następnie i całą twarz zalewać. Wnet też rzucili się doń jezdni osaczając go ze wszech stron, jak ogary w kniei osaczają niedźwiedzia. I jako osaczony niedźwiedź długo psom się ogania, rozdzierając jednego po drugim i miażdżąc, a w posoce ich kąpiąc ciemne kudły, ale wreszcie zmoże go nietyle siła, co liczba wrogów i u- nieruchomiony, osłabły krwi upływem stanie się łatwą

zdobyczą dla myśliwych,—tak i pan Kazimierz bronił się zawzięcie napastniczej zgrai i jednego przeszywał nawskroś swym rajtarskim rapierem, drugiemu łeb rozwałił kolbą pistoletu, a innego jeszcze jednym cięciem przez rozum zdmuchiwał wlot z kulbaki, ale wreszcie krew mu poczęła wzrok zasłaniać, w głowę zdawały się uderzać żelazne młoty, dłoń, omdlała ostatnim wysiłkiem, naoslep wymierzała razy i po każdym rycerz powtarzał sobie: „Ten jeden jeszcze, a potem już padnę!”, ale po tym jednym zdobywał się jeszcze na drugi i trzeci, aż wkońcu przyszedł taki moment, gdy już ręki podnieść nie zdołał i uderzony w niezasłonięte czoło, runął z konia na ziemię, a tamci nasiedli go, kłębiąc się nad jego ciałem, jako rojne mrowisko.

Wnet jednak mrowisko one rozskoczyło się, a nad leżącym rotmistrzem pochyliła się postać przywódcy napastników. Szarpnięty gwałtownie, rycerz otworzył oczy i ujrzał twarz młodą jeszcze, ale szpetną i straszną, ospowatą, zarosłą szczecinowatym włosom, z wąskimi kosmykami opadających wdół kozackich wąsów i bystreimi oczyma, iskrzącemi się zapalczywością i okrucieństwem. Mąż ów, nie zadowolwszy się wstrząśnięciem napół omdlałego rycerza, zadał mu głównią od kindżału silny cios w piersi, aż rannemu wyrwał się jęk bólu i na ustach pokazała się krwawa piana.

— A, słyszysz wreszcie, złodzieju szlacheckich dziewczek!—ryknął, widząc Miśniakowskiego, otwierającego oczy. — Ktoś ty?

Rycerz milczał, wracając powoli do przytomności.

— Gadajże, bo cię żgnę!

Teraz dopiero zrozumiał go pan Kazimierz. Krew uderzyła mu do głowy, którą podniósł nieco w górę, rzucając na pytającego spojrzenie, pełne pogardy i odrazy.

— Nie będę opowiadał się zbójowi — syknął. — Żgnij śmiało! Bronić się nie mam sił! Napastnik zębami zgrzytnął i nóż podniósł, ale nie uderzył.

— W lochu mi i tak wszystko wyśpiewasz!—wrzasnął wściekle.

Ale pan Kazimierz nie słyszał go już. Głowa mu znów opadła i stracił przytomność.

Przyszedł do siebie w kureniu, do którego przeniósł go Tryfon z miejsca bitwy przy pomocy mieszkającego tam smolarza i Kifora.

— Co z Hanusią? — spytał słabym głosem ranny.— I gdzie tamci?

Tryfon palec na ustach położył i próbował wykrętnych odpowiedzi, ale rotmistrz porwał się, krzycząc, że zerwie bandażę i da krwi ujść, jeśli mu nie powiedzą o wszystkim, więc stary sługa uległ wkońcu.

— Niech tylko panicz nie bierze tego do serca, — zaczął. — Bo choć to był zbój, ale miał do panienki prawo...

— Gdzie ona?

— ...bo to jej stryjeczny i ojciec zdał mu opiekę. Todoska sama mówiła to, i panienka też...

— Więc ją wziął?

— Żeby panu ojcu odprowadzić. A na pana napadł, nie wiedząc, jak i co... Kiedy się dowiedział, nie zrobił

już nic złego i pojechał sobie z panienką i z niańką, a ja tu panicza przyniosł.

— Któż on taki?

Stary zakręcił się, szukając czegoś w kącie szalasu.

— Ja nie wiem, — odrzekł wreszcie.

— A panienka?

— I o paniencie... ja nie wiem.

Panu Kazimierzowi głowa opadła ciężko na kulba-kę, podłożoną pod nią zamiast wezglowia, i choć to było południe, zdało mu się, że słońce zaszło i, że noc czarna na świecie.

— Bodajby mnie byli zakłuli! — szepnął.

I znów stracił przytomność.

CZEŚĆ DRUGA.

BRAC SZLACHECKA

L

W SĘPIEM GNIEŹDZIE.

Kierzgajłowie Miśniakowscy osiedli w Horodyszczu za Witolda. Był to wielki ród rusko-litewski, twardo stojący przy wschodnim obrządku i starym obyczajowi, w wojnie mężny nad miarę, ale w krwi ludzkiej rozmiłowany okrutnie, a łupu nigdy niesyty, w czasie pokoju ciężki poddanym, nieznośny sąsiadom, w czynieniu warchołu niezmordowany. Kraj drżał od zajazdów, gwałtów, wojen domowych i dzikiej swawoli tych strasznych władków, nie dbających o prawo i sądy, a króla szanujących jeno z imienia. Po wieczornicach lud wiejski opowiadał sobie o nich pocichu okropne powieści, drząc i oglądając się trwożliwie, czy ich nie dosłyszał który z groźnych panów na Horodyszczu.

Ale i szlachta drżała przed nimi niemniej od chłopów. Oprzeć się zachciance którego z tych mężów bę?

trwogi, ale i bez hamulca, stanąć przy swoim prawie i swej czci wbrew ich nakazom, znaczyło oddać na przepadło substancję i żywot. A że cokolwiek broili, uchodziło im wszystko bezkarnie, nie dziw, że z pokolenia w pokolenie rosły ich włości, rozproszone z jednej strony od Berdyczowa po Zaslaw; z drugiej sięgające Owrucza, rosła też moc i pycha, aż wreszcie doszły punktu przełomowego za czasów wielkiego Hrehora.

Straszna to była postać, pełna grozy i krwawej wspaniałości zarazem, jedna z tych, które wyrosnąć mogą jedynie na podłożu nieokrępego jeszcze państwowego bytu i rozsadzającej go swawoli możnowładców. Ten senator, w Krakowie stateczny radą i dzierzący nieraz ucho królewskie, stawał się na swym rodzimym gruncie wołyńskim watażką zbójów, nie znającym prawa, ni litości, ni wstydu. Chciwość jego była równie nieokiełznana, jak pomsta. Wyganiając przemocą z ojcowizny sąsiadów, których ziemie były potrzebne do zaokrąglenia własnej fortuny, przymnożył jej więcej, niż w dwójnasób, a z łupów, zrabowanych na wrogu a bardziej na swoich, powstał skarb, o którym dziwne i zgoła bajeczne chodziły wieści, że miał się składać z mnogich beczek, napelnionych nietylko obrączkowe- mi portugalami. ale perłami i innym drogocennym klejnotem. Wracając do Horodyszcz ze swych łupieskich wypraw, wojewoda Hrehor, jak prawiono, spędzał noce z zaufanymi sługami na otwieraniu skrytek w murach piwnicznych, w które wsypywał przywiezioną zdobycz i zamuroвывwał je tak, by ślad żaden obcemu ich nie zdradził. Nie było na Wołyniu szlachcica, któryby nie był gotów przysiąc, że w schroniskach onych na horo- dyskiem zamczysku mieści się tyle skarbów, że za nie możnaby kupić nietylko Krym, ale i sam Carogród wraz z sułtanem jegomością.

Dobrze się wiodło wojewodzie za obu Zygmunatów i za Walezego, a najlepiej za bezkrólewia. Nie nagabywał go nikt, uchodziło wszystko. Ale ledwo przybył do Krakowa król Stefan, poczęły nad jego głową gromadzić się groźne chmury. Posypały się skargi do nowego pana, a ów zapowiedział, że sprawiedliwości stanie się zadość. Gdy zaś Miśniakowski dla przejednania go, przyprowadził pod Połock kilka własnych, pięknie okrytych chorągwi, Batory nie chciał go widzieć i w twardych słowach kazał mu precz iść z obozu, mimo instancji przyjaciół i koligatów władzyki i niewiadomo, jakiby koniec wzięła ta sprawa, bo wojewoda od zmysłów odchodził ze wściekłości o śmiertelną obrazę, uczynioną mu przez Majestat, i byłby się pewnie ważył na jakiś czyn szalony, gdyby tego samego dnia jeszcze Parki zgoła niespodzianie nie były przecięły nić jego żywota jakąś przypadkowo zabłąkaną strzałą, która utkwiała go z tyłu, gdy opuszczał obóz. Byli tacy, co przypuszczali, że nie był to wcale przypadek i, że strzała nie została wypuszczona z miejskich wałów, jeno z królewskiego obozu, a niektórzy wymieniali nawet łucznika, którego kołczan strzały onej dostarczył, dodając, że słusznie się stało, bo za krzywdę wyrządzoną Turobojskiemu, wojewoda niczego innego nie był wart, jak ciosu, który weń ugodził.

Z tym Turobojskim zaś rzecz tak się miała. Był
W zaklijtem zamczysku.

to szlachcic znamienitego rodu, ale miernej fortuny, którego siostrę, pannę wielkiej urody, wojewoda, człek w leciech już dojrzałych, żonaty i ojciec dorosłego syna, porwać kazał, żądom grzesznym folgując. Którym gdy chciał ją uczynić powolną, panna, cnotę mając równą gładkości, wołała żywota zbyć raczej, niż czci panieńskiej, i z baszty, do której ją wtrącono, rzuciła się do rzeki, opływającej zamek. Brat darmo próbował pomścić żalony zgon jej. Wojewoda napaść zbrojną rozpędził, z pozwów nic sobie nie czynił, nie było też w palestrze, ktoby śmiał przeciw niemu stanąć. Turobojski co miał, stracił na daremne borykanie się z magnatem, i o kiju wyszedł ze swego Łazunia, który wnet zagarnął Miśniakowski. Odtąd przez lat kilka głucho było o Turobojskim, aż wreszcie pojawił się w obozie pod Połockiem, z czego wysnuto supozycję, że on to stał się przyczyną śmierci straszego Hrehora.

Jakkolwiek z tem rzecz się miała, to od onej chwili karty odwróciły się zupełnie. Zwłoki Miśniakowskiego przywiozła wdowa do Horodyszczu i uczciła je wspaniałym pogrzebem, który był ostatnim błyskiem dwukolejnej świetności rodu. Upadek Kierzgajłów Miśniakowskich był nad ludzką wiarę szybki i głęboki. Syn Hrehora zgoła ojca nie przypominał. Był to człowiek niezaradny, cichy i wcale nierycerskiego animuszu, zagrzebany w księgach, a po przyjęciu pod wpływem ojców Societatis wiary katolickiej, wyłącznie oddany pobożnym myślom i ćwiczeniom. Nietylko też nie wszczął sprawy o zabójstwo rodzica, ale sam dał się Turoboj-^{niemu} wyzuć z większej fortuny, a umierając, zostawił synowi, którym był miecznik braclawski, ojciec pana Kazimierza, proces z Turobojskim, parę folwarków przy Horodyszczach i zupełnie puste śpichrze i skrzynie, bo ze skarbów zamurowanych przez wojewodę, nie udało się nic odnaleźć.

Tymczasem zaś Turobojski z niestrudzoną zawziętością nastawał na Horodyszczu, a po jego późnym zgonie nastawali tak samo jego synowie i wnukowie. Była to nienawiść i pomsta, pod błogosławieństwem rodzicielskiem przekazywana z pokolenia w pokolenie.

Miecznik, mąż hartowny i nieustraszony, bronił się dzielniej od rodzica, czem większą jeszcze rozniecił wściekłość w przeciwnikach, którzy go wkońcu zmoгли prawem i lewem, wyrzucając na łucki bruk i sadowiąc się sami w Horodyszczu, dokąd ich pociągała przede wszystkim nadzieja wydobycia z pod ziemi wojewodzińskich skarbów.

Ale skarbów nie znaleźli, a natomiast dosięgło ich licho, które od śmierci wojewody zapanowało w zamku, a po zajeździe Turobojskich rozhulało się tam na dobre.

Jak to tam z tem było, niełatwo dociec, bo Turobojscy z natury byli skryci i rodem milczków ich zdawna zwano, a nie było też z czem się chwalić. To pewne, że im pobyt w Horodyszczu nie przyniósł szczęśliwości. Nie trwał też długo.

Z potomków onego Turobojskiego, którego pokrzywdził straszny Hrehor, pozostało podówczas tylko czterech; innych wzięła wojna i domowa zwada. Był to przede wszystkim jedyny, żyjący jeszcze, jego syn, Atanazy,

wówczas stolnik lityński, a następnie starosta korysty- szowski, oraz trzech wnukowie po zmarłych jego braciach.

Jakkolwiek z ziem wyprocesowanych lub zagarniętych na Miśniakowskich każdemu z Turobojskich dostała się piękna scheda i, co najmniej, jeden dwór własny, wszyscy czterej ściągnęli do Horodyszczu dla pilnowania poszukiwań skarbu, bo nie dowierzali jeden drugiemu, zwłaszcza trzech młodzi. Stolnik mniej z natury chciwy i po raz wtóry o jesiennej już dobie włożywszy więzy hymenu, nie zawsze towarzyszył nocnemu rozbijaniu piwnicznych murów, przebywając chętniej w swoich komnatach przy słabującej często małżonce; ale młodzi Turobojscy wszystkim czas poświęcali szukaniu skarbów. Wnet jednak poczęły krążyć wśród dworskich sług i chłopstwa dziwne jakieś wieści o tem, co przytrafiało się przy tych poszukiwaniach. Jedni powtarzali, co słyszeli, drudzy klęli się, że widzieli sami, choć, copraw- da, każdy widział co innego. To jedno jest pewne, że z Turobojskimi poczęły się dziać jakieś rzeczy niezwykle i straszne. Jeden zginął pewnej nocy jakąś przypadkową a niezrozumiałą śmiercią z własnej ręki; drugi wpadł w obłąd, jakby pod wpływem jakiegoś nagłego przerażenia, a wreszcie i małżonka pana stolnika zmarła w wiośnie dni swoich niewytłumaczoną śmiercią, mającąc szczególnie, krzycząc i broniąc się przed jakimiś niewidzialnym strachami, przed którymi darmo nieszczęsny stolnik próbował ją osłonić.

Wtedy to pan Atanazy Turobojski wrócił do swego Łazunia, zabierając z sobą trumnę umiłowanej żony i po

została po niej sierotkę, a pan Szczepan, najmłodszy z jego bratańców i jedyny, jaki mu został, poszedł na kilka lat za Dniepr bratać się i wojować z kozactwem, by snadź rozpędzić owe myśli czarne, które go osiadły w Horodyszczu. Do Horodyszczu zawrócił, nie napoty- kając wstrętów, miecznik braclawski.

A teraz gdy miecznik od trzech lat spoczywał w podziemiu, erygowanej przez ojca swego wojewodzica, kaplicy na starem horodyskiem zamczysku, wracał pan Kazimierz do ojców swoich gniazda...

Powrót był niewesoły, niewesołe było i gniazdo. Rotmistrz powracał ranny i zgnębiony, a Horodyszczu o któ- rem zachował niejasną jeno z lat dziecięcych pamięć, przedstawiło mu się, jako posępna i złowroga rudera, w sam raz dla nietoperzy i upiorów, jeno nie dla ludzi.

Była to budowa rozległa raczej, niż wspaniała. Składało się na nią kilka części z różnych epok i odmiennego kształtu. Każde pokolenie dobudowała tu coś lub przerobiło, wyciskając właściwe sobie piętno. Środek z olbrzymich pni modrzewiowych o okienkach wąskich, jak strzelnice, i wysokim, gontowym dachu opierał się

0 skrzydła murowane, każde na inny sposób i z inszego czasu, ale oba włoską modą z attykami, kolumnami

1 ozdobnem gzemsowaniem. Dokoła szły dalsze przybudówki, zakończone na rogach dwiema potężnymi basztami i przytykającą z boku kaplicą o czerwonej niegdyś, obecnie szerniejącej kopule. Wewnątrz były dwa dziedzińce, paradny przy głównem wejściu i tylny, służbowy, oba brukowane, jakby to było w Krakowie lub Warszawie.

Zamek stał na wzgórzu dość wyniosłym, z jednej strony stromo ściętym w urwisko, u którego stóp przepływał Słucz. Wdole ciągnęły się głębokie fosy, przez które wiodły dwa zwodzone mosty i usypane były wały ziemne, a gęsty częstokół tworzył pierwszy teren obrony dla załogi, która, wyparta zeń, chroniła się za wały i mury.

Dziś jednak nikomu nie mogło już przyjść na myśl toczyć boje o tę rozpadającą się ruinę. Fosa byłaby dawno zasypała, gdyby nie łączyły się ze Słuczą, której woda, przedostając się do nich, tworzyła głębokie kałuże i moczary, nie wysychające nigdy i rozmoszące w dół zgniłą woń topieli. Zwodzone mosty zmurszały i runęły. Z jednego został wielki drąg, kołyszący się na żelaznym haku, którego dziwnym trafem nie odcepiło chłopstwo, żadne zawsze żelaziwa. Z poprzecznej strony fosę zasypał obryw ziemi z pagórka i wału, więc tam przeprowadzono ścieżkę dla pieszych i rzucono przez resztkę rozpadliny tarcicową kładkę. Wały częścią porosły, częścią pogięły dziwacznie, zarastając gęsto krzakami i młododrzewiem. Tu i owdzie wyrosły na nich całe gaje dzikiego bzu i leszczyny, obok zaś rozpiekał się głóg i czerniały orzy. Mury pokruszone świeciły szeregiem wyłomami, a w szczybach ich widać było bluszcz i przegładały kiście powoju. Okna, pozbawione błon i szklanych szyb, czyniły swymi czarnymi otworami wrażenie czeluści jakiegoś potwora. Jedna z baszt stała niepokornie, druga załamała się górną swą połową i ponad dolnym piętrem sterczała jedynie połać muru, a dokoła grunt w szerokim promieniu zasypały gruzy i rumowiska. Z pomiędzy kamieni dziedzińca wydobywały się bujne zieleńce i chwasty, zasłaniając bruk puszystym kobiercem, od którego szła wokoło silna woń macierzanki i polnego rumianku.

U stóp zamku rozkładała się dawniej wieś ludna i zamożna, bo horodyscy panowie dbali o poddanych, jako o inwentarz gospodarski. Ale z chwilą, gdy miejsce chciwych i srogich poprzedników zajął cichy i bogobojny wojewodzie, wieś poczęła upadać wraz z biedniejszymi panami, a wreszcie opustoszała całkiem, gdy Turobojscy wynieśli się z zamku, ogałając go ze wszystkiego, co tylko zabrać mogli, i zabierając też z sobą całą włość horodyską.

Kilku jednak włościan, pod wpływem nieprzeartego przywiązania do uprawianej od pradziada ziemi, wolało porzucić gromadę i uciekło nazad. Panowie Turobojscy z początku sprzeciwiali się temu, zwłaszcza pan Szczepan, człek zawziętego umysłu i gwałtownik nad wszelką miarę, posyłał za nimi dworskich kozaków, a gdy w bór uciekli, psami tropić ich kazał, ale bez skutku, a niedługo ucisk ów ustał, bo pan Szczepan poszedł między kozaki na Sicz, a pan starosta żalobą swą zgnębiony, ręką machnął na nieznaczną stratę. Chłopi tedy ostali i nikt im nie broniał przeorywać i zasiewać ziemi, porzuconej przez Turobojskich przy zamczysku. Ale że ziemia była marna, zaś od stojących wód szło zgniłe powietrze, a nie było też komu do roboty napędzać i ładu strzec, chłopcy popadli w czarną nędzę. Tulili się po rozwalonych lepiankach, przez które lały się deszcze, gasząc im kurne ogniska, żyli gorzej od dzikiego zwierza, karmiąc się

ziemniakami, owocem leśnym pomniejszą zwierzyną, na którą zastawiali sidła, napoły nadzy i drżący nietyl-ko z zimna, ale i z febry i innych chorób, których między nimi nigdy nie brakło.

Takich to poddanych znalazł pan Kazimierz Miśniakowski w Horodyszczu.

W zamczysku jednak czekał go burgrabia, jeszcze dziwniejszy od poddanych.

W kurzeniu, dokąd go zanesiono z gościńca po owem krwawem spotkaniu ze stryjecznym Hanusi, rotmistrz leżał przez parę niedziel, mało o bożym świecie wiedząc. Nie zadano mu ciężkiej rany, ale miał kilkanaście dziur w ciele i posiekany był szpetnie. Tryfon go opatrzył należycie, a po kilku dniach, przekonawszy się, że chłop, u którego byli, jest poczciwy i roztropny, polecił jego pieczy rannego i sam skoczył do Horodyszcza, by pomoc stamtąd przywieźć i cokolwiek przysposobić na przyjęcie parna, potrzebującego więcej, niż zwykle, staninku. Niełatwe to było zadanie, bo i bliższych sąsiadów brakło, którzyby przyjść mogli z pomocą, i pleban był aż o dwie mile, a unicki paroch, prostak, żył jak chłop i tyle, co chłopci, mógł pomóc. Zakrzęcał się jednak stary, jak mógł, i po paru dniach wrócił, wiodąc z sobą dwu najtęższych i najzdrowszych parobków, jakich w zbiedzonej gromadce chłopskiej mógł wybrać, oraz dwa konie, kupione w miasteczku, bo o wzięciu którego z broni- wólk miejscowych nie mogło być mowy.

Rycerzowi, choć na koń się napierał, nie dał Tryfon wsiąść. Powieziono go między dwoma końmi, urządziw- Bzy w pośrodku kulbak rodzaj kolebki. Pan Kazimierz z początku wyrzekał i klął okrutnie, wnet jednak zesłabł pod wpływem powietrza i końskiego chodu, aż go wodą przyszło oblewać i już nie odzywał się więcej. Po noclegu w miasteczku uczuł się rzeświejszym i znać to było po nim, tak, że Tryfon, choć gderając trochę, zgodził się, by pan na koń siadł i tak już do Horodyszcza dojechał. Nie przystało to bowiem rycerzowi, — stary czuł to sam dobrze, — powracać inaczej do sadyby ojców, chyba umarłemu, albowi mającemu wnet ostatnie wydać tchnienie. A Bogu dziękować, do tego daleko jeszcze było młodemu Miśniakowskiemu. Ledwo na kulbace — poczuł się rześkim, jakby nic nigdy nie było, ani słabowania w Maksymowym futorze, ani owego bigosu na berdyczowskim gościńcu. Z kawalerską fantazją stanął u onej kładki, przez którą jedyne dziś było wejście do horodyskiego zamku. Tam czekali go chłopci, jednako wszyscy znędzniali, odarci i patrzący z podpełba. Jeden tylko wyróżniał się od nich i na tego też zwrócił odrazu uwagę młody dziedzic rudery.

— Któż to? — spytał, wskazując nań. . — A, to ten symplaczek, com o nim już jegomości mówił, jeno panicz przepomniał w tej biedzie.

Był to chłopak mało co starszy nad lat dwadzieścia, wysoki i chudy, o długich, jak len, białych włosach, spadających mu aż na ramiona, i jasnych, szeroko rozwartych oczach, zdających się w świat spoglądać z nieustającym zdziwieniem. Rysy miał piękne i na ustach uśmiech przyjazny, ale jakby błędny. Odziany był w zgrzebną bieliznę jedynie i bosi, ale to, co miał na

sobie, było schludne, podczas, gdy u reszty skóra i odzież czarne były od brudu.

Miśniakowskiemu, gdy stanął, gromadka chłopów poczęła w pas się kłaniać, podczas, gdy garść dzieci o żółtych twarzach i wydętych brzuchach, gapiała się nań ciekawie z poza matczynych fartuchów. Najstarszy wieśniak podał mu mały bochen czarnego chleba na drewnianej misce i wnet wszyscy rozpierzchli się, jak stado spłoszonych wróbli, przystanęli jednak opodal, za węglami murów i za krzakami, porastającymi wały, przyglądając się dziedzicowi z ukrycia nieufnie i trwożnie.

Rycerzowi zrobiło się przykro. Miał właśnie na ustach jakieś ciepłe, serdeczne słowo. Czuł dla tych ludzi wdzięczność za to, że mu zostali wierni i przewyciężyli ucisk i nędzę, byle utrzymać się na starych gruntach i sadybach. Chciał im podziękować, rozpytać starszych o dawne czasy, młodszych o ich potrzeby i sposób wspomnienia ich biedy — i oto uciekli od niego, jakby był Turobojskim! Westchnął, ramionami ruszył i, rzucając okiem za rozpierzchłymi, dostrzegł, że jeden pozostał przy nim i patrzył nań sweimi jasnymi, jak woda kry- niczna oczyma, z dobrym, choć nieco błędnym uśmiechem.

— A ty nie uciekasz ode mnie? — spytał pan Kazimierz.

Chłopiec zaśmiał się cicho i głową potrząsnął.

— Ja nigdy nie uciekam, ni przed człowiekiem, ni przed „tamtymi"! — odrzekł.

— Przed jakimi „tamtymi"? — zdziwił się rycerz. Tu Tryfon wmieszał się do rozmowy.

— On, proszę jegomości, widzi takie rzeczy, jakich oko zwyczajnego człowieka nie zobaczy. On „widzący"!

Rotmistrz wpatrzył się ciekawie w bladą twarz chłopaka.

— Często „tamtych" widzisz?

— W dzień czasem tylko, nocką prawie, że ciągiem. Pełno ich tu, jako robactwa na padlinie. Jedne po ziemi chodzą, kajdanami włóczą, jęczą i płaczą, że aż serce się kraje; drugie nad głową latają i w uszy wrzeszczą: „Hu! Hu!" i chichoczą, i przedrzeźniają, i straszą, i ciągną za sobą: „Chodź! Kamuszków jasnych nabierzesz!" Ale ja za nimi nie idę, i nie słucham, i nie boję się, i tylko śmieję się z nich, że one złe i głupie, a jak nadto nałazą, to pchnę którego, aż rozleci się w parę. Wtedy dopiero bywa śmiesznie.

— Ludziom strach, jemu śmiech—mruknął Tryfon.— Ale co się dziwić? Bies nie ma do niego przystępu, to i bać się nie potrzebuje.

Chłopak tymczasem nachylił się ku rycerzowi, wpatrując się weń uważnie swemi szeroko rozwartymi oczyma, jakby go chciał nawskroś przeniknąć.

— To nocką tak bywa — zaczął znów po dłuższej chwili milczenia, szepcząc Miśniakowskiemu nad samem uchem. — W dzień co innego widzę, ale o tem nikomu nie można powtarzać, słyszysz, panie, nikomu!

— Nie powtórzę! — zapewnił rycerz, który, nie zdając sobie sprawy, dlaczego uczuwał szczególny interes i sympatję dla chłopaka.

— Nikomu nie powiedziałem, ale tobie, panie, powiem, boś ty dobry. Więc ja w dzień widzę cuda, cuda...

Widzę nieraz aniołów bożych, takich bieluskich, ze skrzydełkami, jako u łabędzi, i świętych pańskich, całych w złocie, i samą Najświętszą Panienkę. I widzę, i rozmawiam z nimi, a oni do mnie: „Waluś tu, Waluś tam!” i śmieją się ze mnie i figlują, i śpiewania pięknego uczą, rzeczy cudne różne pokazują, że po nich wszystko tu na świecie takie mizerne wydaje mi się, że aż... tfu!

Brwi zmarszczył, twarz mu się skurczyła odrazą i splunął.

— I słońko złote, i sine niebo, i bór zielony—wszystko to przy tamtem — plunąć i tyle!

Umilkł i stał bez ruchu z przymkniętymi oczyma, jakby goniąc myślą te promienne obrazy, przy których wszystko na świecie wydawało mu się bladym i szpetnym.

Rycerz spoglądał na niego z lękiem mimowolnym i z uszanowaniem. Nie wątpił ani na chwilę, że ten słaboumny prostaczek obcował ze świętymi.

— Skąd on wziął się tutaj? — spytał Tryfona po chwili— Bo nie pomnę, byś mi o nim wspominał.

Stary ramionami ruszył.

— Drzewiej nie wspominałem, bo go nie było tu jeszcze, gdym odjeżdżał po śmierci starszego pana, niech mu Bóg da królestwo niebieskie. A w kureniu mówiłem, tylko jegomość w gorączce był, to i nie zapamiętał.

— Dawnoż jest? i

— Ludzie mówią, że ze dwa roków. A przysłał tutaj niewiadomo skąd. Jednego dnia zakwaterował się sobie w zamku i siedzi. Stróżuje, pilnuje, nie da szkody zrobić, ani obcemu wleźć za mur, a jakie! Tutejsi chłopcy

i radzi, że stójki do zamku na strażę nie potrzeba posyłać, a obcy boją się go, że niesamowity. Więc ja tak myślę, że go panicz na zamku ostawi, bo i stróż z niego przedni, i lify mu nie trzeba i strawy nawet nie, jakoże Bóg jeden wie, czym się żywi, a nikogo o nic nie prosi!

— W sam raz burgrabia dla tej rudery — zaśmiał się rotmistrz z odcieniem goryczy.

Ale wnet dodał poważniej:

— Niechże mnie Bóg broni, bym tego człowieka, co z anioły rozmawia, z domu miał rugować! A toć błogosławieństwo boże z nim jest i świętość mu z tych jego oczu jasných patrzy. Choćby i pożytku zeń nie było, i tak zatrzymałbym przy sobie!

Ale pożytek z Walka okazał się wielki i młody dziedzic Horodyszczka przekonał się rychło, że tego chłopca zesłała sama Opatrzność i że podobnego sługę, jak ten półmatolek, za najdroższe pieniądze nie byłby znalazł. Istotnie na tym jednym chłopaku oparła się odrazu cała służba zamku, a równocześnie stał się on panu Kazimierzowi najmilszym i wprost nieodzownym towarzyszem. Tryfon, jak sam półgębkiem przyznawał, „nie zdurzał” już i małą był panu Kazimierzowi wyręką. Chłopi, wzięci do posług, byli leniwi, dzicy i złej woli. A Miśnia-kowski potrzebował starunku, bo rany goiły się powoli, siły nie chciały jeszcze wracać, a czarne myśli w posępnym zamczysku, w opuszczeniu i nędzy, jaka go otaczała, krążyły mu wciąż nad głową, jak stado kruków, kraczących złowróźnie.

W tem ciężkim jego położeniu Wałek był mu istotną dźwignią i jakby promykiem światła w ciemnościach,

Miał on czas na wszystko. O wszystkim myślał, we wszystko wglądał, wszystko samo mu się składało i na wszystko w jego zmaconym rozumie znalazła się rada, a skończywszy niewiedomo kiedy swą robotę, wracał, jako nieodstępny cień, do swego pana i, przykucnąwszy u jego nóg, wodząc za nim swemi dobrami oczyma, jed- nem słowem wlewał mu ukojenie do znękaney duszy.

Pan Kazimierz zamieszkał dwie izby w końcu lewego skrzydła, obok owej baszty, która runęła. W dziwny sposób tu właśnie ocalało kilka oszklonych okien i mury najmniej ucierpiały, tak, że oporzędzenie kilku komnat nie przedstawiało zbyt trudności. W lepszym stanie wprawdzie była baszta przeciwna, ta, z której okna rzuciła się niegdyś nieszczęsna Turobojska w nurty Słuczy. Nieljrlko okna były tam nieuszkodzone, ale i makaty wschodnie butwiały na ścianach, pleśnią okrytych i zasnutych pajęczyną, a cały dawny sprzęt pozostał nietknięty na swoim miejscu, bo panowie Turobojscy, ogałając zamek, nic stąd widocznie nie wzięli. Zwłaszcza górna komnata, której okno z ganeczkiem i parapetem wychodziło na Słucz, pozostała, jaką była, w całej swej zwietrzałej i szerniałej od lat wspaniałości. Pod baldachimem z kitajki, tak wystrzępionym przez mole i zatrzęsionym kurzawą, że zdawał się być szarą przędzą pajęczą, zawieszoną w powietrzu, stało na trzech stopniach ogromne łoże, misternie rzezane w smoki i gryfy i inne dziwaczne figlasy, których zarysy i złocenia znikły już dawno pod grubą warstwą pyłu. Pościel nawet leżała nietknięta przez ludzi, choć mało z niej pozostawiły myszy, mające tu legowisko. W ogromnym kominie z wychodzącym na środek izby okapem leżały jeszcze napół zwęglone stosy drewna, a obok komina poręczowe krzesło o nadmiernie Wysokiem oparciu zdawało się oczekiwać, rychłoli przyjdzie zasiąść w niem mieszkanka komnaty.

Przyszedłszy do baszty po raz pierwszy, pan Kazimierz zdziwił się, że mu nie tutaj raczej, niż z przeciwka urządził Tryfon mieszkanie. Ale stary aż w ręce klasnął ze zdumienia i zgrozy.

— Co też panicz wygaduje, — zawołał oburzony. — Czy to jegomość docna o wszystkim zapomniał, co tu się dzieje?

— O czymże?

— A toć przecie czyścowa połowa zamku, w której nie daj Bóg ochrzczoneму się znaleźć pod noc, a toć ze wszystkiego najgorsze: to baszta Doroty! Nieboszczka Turobojska stąd się rzuciła...

Rycerz wzdrygnął się, przykro dotknięty tem wspomnieniem.

— Prawda — mruknął. — Istotnie wyszło mi to na- razie z pamięci.

— To mi i dziw, bo na całą Rzeczpospolitą nie znaleźć takiego, coby nie wiedział, że tu co noc...

Urwał, rozglądał się niepewnym wzrokiem dokoła, a potem na pana popatrzył niewyraźnie.

— Co tam jęzor pod noc strzępić po próżnemu! — burknął pod nosem.

— Zapomniałem, ale wiem przecie i twoja prawda, ani słowa! Ale dlaczego to sprzętu trochę stąd nie zabrałeś? Tam u nas gołe ściany i ledwo zydel jaki się

błąka, a tu wszelakiego dobra moc. Można powybierać, co całe, a mole i myszy nie zżarły, u nas poustawiać i powieszać...

— Cicho, paniczu, cicho, na miłość bożą!—przerwał mu wystraszony Tryfon. — Nikt stąd nic nie zabierze, pókim ja żyw, a jegomości głowa miła! Toć i Turoboj- scy, niech ich Bóg pokarze, co było, zabrali z całego zamku, a stąd nie wzięli nic, choć to i ich swojaczka!

Rotmistrz, czy że staremu nie chciał przyczynić zgryzot, czy że sam jego obawy podzielał, nie kazał nic z baszty wynosić i wszystko zostało po staremu. On sam z Tryfonem i Wątkiem kontentował się po żołniersku parą tapczanów i stołków na lewem skrzydle, podczas gdy na prawem gniły dalej i butwiały adamaszki i ki- tajki.

II.

OJCIEC SYMFORJAN.

Jesień przyszła w tym roku wczesna nietyłe dżdżysta, ile w wichry i chłody obfita. Nocami mróz silny i co rano biały szron okrywał pole i drzewa, potem jednak słońce południowe topiło śnieg, a wiatr wilgoć osuszał. Czasem przecie, gdy śniegu zebrało się więcej i wicher dał mocniejszy, zrywały się zamiecie, zasłaniając świat olbrzymimi kłębami puszystych tumanów i biada wówczas było wędrowcom, zabłąkanym w stepie: o kilkadziesiąt kroków od ludzkiej sadyby, częstokroć od własnej chaty, pochłaniał ich zawrotny wir, otulał miękkim całunem śnieg i nieraz dopiero o wiosennych roztopach ukazywały się oczom ludzkim ciała, zasypane jesienią jeszcze.

Bywało też, że i śniegu niema, a wicher kręci i trzęsie powietrzem, że człowiekowi, by i najmocniejszemu, nie utrzymać się na nogach i zda się wnet polecą wyrwane z korzeniem, wszystkie dęby z boru, a za nimi rozpierzchną się w powietrzu dachówki z zamku i snopy ze strzech włościańskich. Wtedy w wicherze, łomocącym o ściany gałęzmi najbliższych drzew z dzikim wyciem i jękiem, słycać tysiąc skarg i narzekań, tysiąc przeraźliwych śmiechów i naigrawań, i znowuż jakieś przekleństwa, i groźby, i wrzaski złowrogie, i płacze, od których dreszcz wstrząsa najśmielszego, i oczy odwracają mu się od tego, co nań czyha za oknem i drzwiami, i rad kryje się w chacie przy ognisku i znajomych twarzach, i za trzos złota nie poszedłby pograć się w taką noc burzliwą, sam zwłaszcza, chyba, że go zmusi jego zły los lub strach, by go nie wzięto za tchórza.

W taką noc rozwichrzoną siedział pan Kazimierz, jako zwykle o tej porze, przy ogniu, płonącym całemi kłodami w olbrzymiej czeluści komina. Podle ściany na zydlu Tryfon czyścił, a raczej udawał, że czyści zbroję, postępując i mrużąc coś pod wąsem. W kącie izby krył się w cieniu posługacz Dańko, któremu straszno było samemu zostawać w stajni, a przy pańskich nogach, na naręczu grubych gałęzi, przysiadł Wątek.

Burza szalała, zdając się przypuszczać szturm do
W zakłętę m zamczysko.

starego zamezyska, które trzęsło się w swych posadach, jakby miało wnet rozpaść się w gruzy. Szklane szyby w oknach brzęczały i dygotały nieustannie, a czasem silniejszy pęd wiatru uderzał w komin i przygaszał na chwilę płomienie. Wtedy rycerz wzdygał się na swym poręczowym zydłu, Tryfon zęgnął się potrójnym krzyżem, mamrocząc naprzemian: pacierz słowiański i żołnierskie przekleństwa, Dańko rzucał trwożliwe spojrzenie w okno, okryte wilgocią i jeden tylko matolek uśmiechał się wciąż z niezmaconym spokojem.

Po jednym z takich wybuchów rozpętanego wściekłością żywiołu, Dańko przybliżył się nieśmiało do Tryfona i przylepił się do niego, zerkając z podełba na pana. czy mu nie każe iść precz.

•Ale rotmistrz nie zważał na niego, Tryfon zaś oglądnięt bokiem i spytał cicho:

— A co tam? Może świeci się znowu?

— A świeci się! — szepnął w odpowiedzi chłop.

— W baszcie?

— Iw baszcie, i w całej czyścowej połowie.

— Co pleciez? Jakże to?

— Sami popatrzcie!

Stary twarzą przypadł do mokrej szyby i wnet cofnął się na dawne miejsce, robiąc znak krzyża.

— Czarcie gniazdo! — mruknął bardzo cicho.

Czy to były odbłyśki księżycowego światła, choć miesiąc zasłaniały chmury, czy inna jakowaś przyczyna, dość, że zarówno w oknach i strzelnicach baszty, jak i w pustych otworach, zachodzącego w półokrąg, przeciwnego skrzydła zamku snuły się jakieś niewyraźne, migotliwe światelka, niby robaczki świętojańskie, ślizgające się nocą letnią w leśnej gęstwinie.

— Widzieliście? — szepnął parobek.

. — Stul gębę! Jeszcze pan gotów dosłyszeć!

Właśnie zaś pan Kazimierz zwrócił się do Tryfona:

— Harasym nie wrócił od proboszcza? • — Wrócił! Jeszcze za dnia.

— Cóż ksiądz powiedział?

— Powiedział, że jak jeno oschnie albo sanna się przetrze, to przyjedzie sam, albo wikarego przyszłe na noc ze mszą, żeby tylko kaplicę oczyścić i przysposobić.

— A tam wszystko w porządku?

— Jako sam panicz widział.

Pan Kazimierz głowę oparł na dłoni ciężkim, zniechęconym ruchem.

— Trzeci miesiąc w tej pustce gniję i żeby choć żywego ducha! Ani samemu nosa wytknąć nie daje to przekłete choróbsko, ani egzekwuj się doprosić za duszę jegomości dobrodzieja i za tamtych wszystkich, ani wieści znikąd... znikąd...

A potem nagle podniósł głowę i spojrzał pytająco na Tryfona.

— A tyś niczego nie dowiedział się?

Stary głowę opuścił ku zbroi, trzymanej na kolanach, i począł ją szorować zawzięcie.

— Niby o czym? — zagadnął zamiast odpowiedzi.

— Jakt o czym? — zawołał rycerz.

I nagle uderzyła mu łuna na wybladłe policzki.

— Głupiś! Słyszysz? Jak but! — huknął zniecierpliwiony.

— Niech i tak będzie! — przytwierdził obojętnie stary. — Czy to pierwszozna?

— Tobie nie pierwszozna, ale mnie cierpliwości już nie staje.

— A niby to ja temu winien?

— Winienes, bo cyganisz, a mnie pasja bierze.

— To już wiem, że jegomość o tę panmińcię pyta'

— A o kogóżby?

Tryfon ruszył ramionami.

— Niechże to panicz sam wyrozumie: skąd mi o niej wywiedzieć się tutaj? Pan kazał, słudze — mus: dobrze! Ale jakby pan kazał miesiąc zdjąć z nieba, albo go- łem rękami te mury zwalić, to przeciebym nie potrafił?

— Hanusia nie żaden miesiąc!

— Nie miesiąc, jeno gwiazdeczka, tak! I świeci ona, niebożatko, może i niedaleko gdzie stąd, i zobaczymy ją pewnie, jeno nie tak łap cap, bo tak nie można. Trzebaby stąd wybrać się na jaki jarmark, albo na odpust, ludzi popytać, to i najdziemy zgubę, niech paniez będzie spokojny.

— To i czemuż nie robiłeś tego, kiedym kazał?

— Aha, kazał jegomość, a sam leżał w gorączce tyle czasu! A komużby się to przydało, jeślibym i przywiózł wieści o niej, a panicza żywego nie zastał? Coby pewnie stało się beze mnie, bo któżby pana tu doglądał?

— Choćby i Walek.

— A jakże, Walek! Mądry on do aniołów i na djabły moren, ale żeby zdatny był na cyrulika, tegom o nim nie wiedział.

Ze starym trudno było mieć ostatnie słowo. Pan

Kazimierz wiedział o tem, może zresztą i ochoty nie miał do dalszej rozmowy, więc nic już nie rzekł, jeno głowę opuścił na piersi i zamyślił się ponuro.

Był on istotnie, jako człowiek, rzucony do ciemnicy, i nie mogący mieć nawet nadziei wydostania się z niej kiedykolwiek. Za nim było wprawdzie życie szare i twarde: wszak dopiero po kilku latach służby w cudzoziemskim autoramencie zdobył sobie dość łupu i wzięcia, by dostać się jako towarzysz pod poważny znak i w ten sposób postawić się, jako szlachcicowi przynależało, wobec innych oficerów, podłej nieraz kondycji.

Ale przecie w życiu tem był cel, była praca, był ja- kowyś interes. Żył wśród ludzi, patrząc na coraz nowe obrazy, i Bóg jeden wiedział, co go mogło czekać. Fortuna w wojennem rzemiośle wielu jest przeciwna, gubiąc ich za młodu, ale też niejednego podniosła z prochu na taką wyżynę, że i okiem nie sięgniesz. A teraz, ot, skończyło się wszystko. I zgiełk obozowy, i szczeł orężny, i wesoła hulanka żołnierska, i ot gnije w tej pustce, jakoby pogrzebany żywcem, przykuty do niej srogiem ojcowem rozkazaniem, przeznaczony nato, by zmarnieć bez pożytku dla nikogo, bez jednego promyka nadziei dla siebie. Towarzysze jego dobijają się, albo nie dobijają niczego pod chorągwią, ale przynajmniej żyją i żyć będą po ludzku. Innym po dworach pańskich uścieli się droga do urzędów i mienia, niejednego schwytały złociste okowy Amora, innych pochwyci jeszcze swawolny bożek i da im niejedną dobrą chwilę: nie jemu tylko, nie jemu! Ot, był taki jeden promyczek... Zaświecił*mu tak słodko, i zgaśł wnet, zostawiając po

sobie jeno kilka dziur w ciele i więcej, niż było przedtem, tęskności i smutku w sercu... I teraz samemu być mu już z ranami, z widmami zamiast ludzi, z nędzą, nudą, rozpaczą... I tak już do końca...

Z posepnych myśli wyrwał go głos Tryfona, drżący i pełen trwogi.

— Paniczu! Paniczu! Prędejeże zbudź się jegomość, bo to nie przelewki.

Stary stał przy nim, wybladły, potrząsając go silnie za ramiona.

— Cóż tam znowu? — zawołał rycerz, zrywając się i przesuając dłonią po czole, jakby rzucić chciał resztę myśli, które mu dotąd ciążyły ołowiem.

— Co? A niechno panicz słucha, co tam się wyrabia na czyścowej połowie zamku!

— Spasy Chryste! Idzie do nas! — jęknął Dańko, przyciskając się cały do Tryfona.

— Poszaleliście, czy co? — obruszył się w pierwszej chwili pan Kazimierz, ale wnet umilkł i jął nasłuchiwać.

Istotnie z głębi zamku, zabitego na głucho i opustoszałego, dawno, słyhać było jakieś hukania dziwne, jakieś krzyki, których echo rozlegało się złowrogo w tej pustce, powtarzając ten sam dźwięk po kilka razy.

— Nieszczastje! — jęczał parobek. — Przedtem siedziały sobie tam, a tu był spokój. Teraz tędy idą, a jak przyjdą, to już i po nas będzie, bo to sprawiedliwe upiory i perelesnyki być muszą.

— Cicho, durniu! — ofuknął rycerz z rozdrażnieniem, w którym tyleż było niecierpliwości, co niepokoju.

∴ — Choć on i dureń, ale sprawiedliwie gada—sprzeciwił mu się Tryfon.

Krzyki i hukania zdawały się zbliżać, a wkońcu dał się słyszeć poza ścianą, w oddali jakby odgłos nadchodzących kroków.

— Z nami krestna syła! — krzyknął Dańko i przypadł twarzą do ziemi.

— Świata Preczysta, pomyłuj nas hrisznych! — zawtórował mu Tryfon, wysuwając się jednak naprzód, przed swego pana i zasłaniając go własnym ciałem.

— Puszczaj! Co mnie masz zakrywać! — zawołał rotmistrz, odpychając go.

Wtem ozwał się spokojny, jakby nieco żartobliwy głos Walka.

. — Czego wam Bię bać? Toż nie tamci, jeno ludzie, jako i wy!

— Ludzie? — bąknął nieśmiało, ale z widocznym zaufaniem Tryfon.

— Ano pewnie! I czuję, że dobrzy ludzie, nie żaden zbój, ni złodziej!

— Dajcieno światła. Pójdę poszukać ich!

I, schwyciwszy z komina smolistą szczapę, której koniec zaczynał się palić, przechylił ją wdół i, otwórzszy drzwi, wyszedł na wewnętrzny korytarz zamkowy.

— Czekaj! — krzyknął za nim Tryfon.

I zawahał się na mgnienie oka, bo starło się w nim przyrodzone męstwo z zabobonną trwogą. Ale wnet rzucił się naprzód, za panem Kazimierzem, który tymczasem pochwycił drugą głównię i pędem puścił się wśląd Walka.

Teraz-jemu już wrzeszczał stary ze wszystkich sił: „Czekajno, panicz!” i chciał go dopędzić, ale sił mu brakło, dreptał więc, zadychując się, klnąc djablami i wzywając wszystkich świętych peczerskich na pomoc, a za nim, miotany naprzemian jednym strachem, który go wypychał z pustej izby, i drugim, który go wstrzymywał przed zapuszczeniem się w „czyścowa” połowę zamczyska, siedzibę widm i czartów, biegł, trzęsąc się i jęcząc, Dańko.

Miśniakowski szedł przez kilka pacierzy, prowadzony błyskiem Wałkowej pochodni, potem jednak światło mu znikło za załomem korytarza. Przybiegłszy do załomu, nie ujrzał już więcej pochodni, ale zato znowu go doleciały zdaleka ludzkie głosy.

— Hola! Kto tam! — krzyknął.

— Kto tam? — odpowiedziało mu echo.

Wraz z Tryfonem poszli dalej, aż do końca korytarza, nie napotkawszy nikogo po drodze. Za korytarzem otwierał się rząd obszernych, pustych komnat z powywalanymi drzwiami i oknami, w których Dańko i Tryfon widzieli przed godziną migocące światła. Teraz było tu zupełnie ciemno i pusto. Minęli jedną salę, drugą i trzecią, i dalsze jeszcze, aż wreszcie znaleźli się u żelaznych, zaryglowanych drzwiczek.

Rycerz chciał machinalnie odsunąć rygiel, ale Tryfon powstrzymał go, nalegając mu całem ciałem na ręce.

— Niemożna, paniczu, — szepnął.—Na mękę Zbawiciela i na Matkę Bożą zaklinam: nie można!

I dodał wnet, usprawiedliwiając swój opór:

— Tam rycerska sala, gdzie nocką największe hałasy, a za nią już wnet baszta! Tam panowanie tej... Doroty!

Miśniakowski odstał o krok. , — Prawda! — rzekł niezupełnie pewnym głosem.

— Wracajmy — nalegał cicho, ale stanowczo stary.

— Ale gdzież Wałek?

— Jemu nic się nie stanie. On widmom dobry druh! Ale nam bieda być może od nich! Wracajmy!

Rycerz jednak nie mógł się zdecydować na odwrót.

— Muszę chłopca odnaleźć, — rzekł po chwili namysłu. — Sam nie wrócę!

: — Ale gdzież go tu znaleźć pociemku w tej pustce! — upominał Tryfon.

— Szukajmy! — rzekł rotmistrz. — Za mną!

I nawrócił, idąc powoli i rozglądając się wkoło, a nasłuchując pilnie.

Ale nic już nie było więcej słyhać. Zlustrowawszy więc cały korpus środkowy gmachu, pełen zakamarków i skrytek, i nie nalazłszy ni człowieka, ni ducha, wra cał pan Kazimierz wielce markotny do swej izby, kie dy naraz doleciał go z poza drzwi, wiodących do niej, odgłos żywej rozmowy.

Pan Kazimierz zdziwił się mocno, a jego obaj towarzysze przestraszyli się jeszcze mocniej. Zwłaszcza Dańko, który czepiał się poły Tryfonowego kubraka przez cały ciąg wyprawy, nie odstępując jednak ani o krok idących, bo mu znać raźniej było z nimi w siedlisku strachów, niż samemu w bezpiecznym od nich skrzydle, aż ręce do góry podniósł i załamał.

Rotmistrz jednak drzwi otworzył i wszedł bez namy

słu do izby, a za nim stanęli w progu obaj towarzysze. W izbie uderzył ich widok zgoła nieoczekiwany.

W poręczowym krześle u komina siedział, grzejąc u ognia ręce i stopy, w sandały obute, człowiek, którego oblicza nie można było rozpoznać, bo odwrócony był plecami do drzwi wchodowych. Obok niego, bardziej jeszcze przechylając się ku ogniu, stał drugi człowiek lat podeszłych w prostym kozuchu i wysokich, jałowiczych butach. Przy siedzącym, przykucnie ty na ziemi, jako miał zwyczaj u kolan pana Kazimierza, Wałek, coś mu właśnie opowiadał, śmiejąc się wesoło i wymachując rękami.

— A ot i pan wraca! — zawołał w chwili, gdy rotmistrz drzwi otwierał. — Toż mu będzie radość! Taki gość!

I, zwracając się do pana Kazimierza, zawołał, wskazując na siedzącego, który z pewnym trudem podnosił się z krzesła:

— Patrz pan! Oto mój ojczulek, mój najmilszy przybył do nas!

Siedzący powstał tymczasem i zbliżał się do młodego dziedzica, wyciągając ku niemu rękę.

— Witajże mi, panie Kazimierzu, witaj! — wołał. — Nie poznajesz mnie? I nie dziw! Pędrakiem byłeś, kiedy was te niecnoty stąd wyгнаły, a mnie tymczasem na Multany posłali starsi i kiedym wrócił, po tobie ślad już zastygł. Ale choć mnie nie parnie tasz, możeś słyszał o bracie Symforjanie z Zaslawia?

— Ojciec Symforjan! — zawołał radośni* rycerz i rzucił się ku gościowi, obejmując go i całując mu rękę.

— On sam! Stary sługa waszego domu, przyjaciel nieboszczyka pana miecznika, a teraz twój! Wywiedziałem się o twym przyjeździe, mości rotmistrzu, i choćem stary i kości bolą, a droga nicpotem, oto mnie masz!

Był to mąż wysokiego wzrostu i silnej budowy, ale pochylony nieco wiekiem, z łysą czaszką, świecąca się, jak kość słoniowa i obramioną kosmykami srebrzących się włosów. Siwa broda spadała mu prawie po pas, a twarz okrywała gęsta sieć zmarszczek, jak bywa u ludzi bardzo już starych, ale oczy czarne i przenikliwe lśniły się młodzieńczą żywością, energią. i weselem, a ruchy były też różne, jakby brzemień życia nie ciążyło mu jeszcze zbyt. Odziewał go bury habit synów św. Franciszka ze śpiczastym kapturem i grubym, białym sznurem, jaki nosili bernardyni, a po wierzchu długi, fałdzisty płaszcz, również właściwy temu zakonowi.

, — Błąkamy się po tej ruderze więcej godziny albo może i dwóch z poczciwym Maciejem, który już bez mała pół wieku wozi zaslawskich kwestarzy i takich, jak ja, niedoługów mszalnych. Myślałem już: nie wydostaniemy się! Ale Bóg łaskaw: zesłał pomoc!

Mówiąc to, mnich pogłaskał Walka po białej czuprynie, ów zaś milcząc, ale z radosnym uśmiechem, rękę jego do ust przycisnął.

— Jakżeście to jednak znaleźli się, mój ojczu, w tej

połowie zaniku, do której przecie niema znikąd przystępu? — spytał Miśniakowski.

Ojciec Symforjan uśmiechnął się.

— Dostęp jest, jeno wy o nim nie wiecie, boście młodzi, ja zaś wiem, jako stary.

— Kędyż to?

— W murze, przy baszcie Doroty, ukryte są drzwiczki, których, kto nie wie, nie dojrzy, a ja, żem to był przez lata całe lokator i commensalis twego rodzica, z tych czasów jeszcze zachowałem klucz, acz w tej okazji nie przydał mi się zgoła i, owszem, wszystkich nas nabawił kłopotu.

Tryfon w czoło się uderzył.

— Prawda! — zawołał. — Prawda! żem to mógł zapomnieć!

— A widzisz! — zaśmiał się bernardyn. — Koniki zostawiłem w dziedzińcu, nic im tam nie będzie, myślę sobie, że deszcz je trochę przemoczy, a sam idę z Maciejem na pewniaka starą drogą. A tegom nie wiedział, że tu taka dezolacja. Szczęściem, żeśmy oba stoczki mieli, bo pociemku do rana przyszloby w jakiej pustej izbie przesiedzieć na zimnie. A i tak nie bylibyśmy tu pewnie trafili, gdyby nie Wałek. To mó wię ci, mości rotmistrzu, że gdym obaczył pocziwe, znajome oblicze, to jakby mi anioł zjawił się z niej>a!

— Skądżeś go ojciec znał?

Mnich znów się zaśmiał.

— Nie miałbym go znać? A toż to nasz bernardyński wychowaniec! Od ziemi nie odrósł, kiedy do naszej furty w Zastawili się przyplątał. Przy furcie biedactwo się żywiło, a siedziało w kościele najwięcej, bo dusza u niego anielska. Prawda, że latać lubi i Bóg wie, gdzie go niesie dniami i tygodniami nieraz, ale zawsze bywało, wracał do nas, jakoby do ojcowskiej chaty. Tedy ja, wróciwszy z mołdawskiej misji i do-wiedziawszy się o żalosej waszej tragedji i o wtedy właśnie zaszłej śmierci pana miecznika, myślę sobie: jako tam resztek waszej substancji ustrzec i swoją duszę mieć w Horodyszczu? I przyszedł mi na myśl ten chłopiec. Głuptasek ci on jest, ale kiedy potrzeba, to mu Bóg daje większe rozeznanie, niż najmędrszemu. Więc do niego: Pójdiesz pustki pilnować, aż dziedzic Wróci, a potem ostaniesz-li wiernie przy nim? A on mi: Pójdę i ostanę! I ot, skąd on do was przysłał! A jakże!

— Mirabilia! — zdziwił się pan Kazimierz. — Ze też on o tem wszystkim, ani o Zaslawiu i ojcach nie wygadał się!?

— Taka już u niego natura skryta, że i pary z gęby nie puści o niczem! — wtrącił Tryfon.

Teraz jednak pan Kazimierz przerwał dalszą roz mowę, rozkazując Dańkowi, by z Maciejem konie zaprowadził do stajni i należycie niemi się zaopiekował, a potem wracał wraz z bernardyńskim woźnicą na wieczerzę, którą w szczupłym gospodarstwie Miśniakowskiego słudzy spożywali razem z panem. Do Tryfona zaś zawołał, by zakrzatnął się koło wieczerzy, dostając wszystko, cokolwiek było w szpizarni.

Niestety, niewiele tego było, oprócz zająca, które

go dziś rano upolował rotmistrz. Zafrasował się też stary sługa niepomalu, bo nawet wina nie było ani kropli, ani wędliny, ani sera. Trochę kaszy, słoniny i czarnego chleba wraz z kwaterką gorzałki, to było wszystko, co znalazło się na przyjęcie gościa.

Stary wziął się do swych kuchmistrzowskich powinności, które rad spełniał, chlubiąc się nie bez racji sprawnością w tym kunszcie, jeno nie wtedy, gdy nie było co warzyć. Rycerz z bernardynem zajęci byli rozmową, podczas gdy on z przeciwnej strony korytarza wyrzekał, obracając chudą pieczeń dokoła kuchennego ognia.

— Mój panicz, jako to panicz: ani pyta, co mu po stawisz, to i je, a teraz w tem przeklętem choróbsku, to i ochoty zbyt do jadła nie ma. Ale ojciec Symfonia — hoho! Znam ja go! Pamiętam! Bernardyńskie gardło i bernardyński kałdun! Co jemu taki sza rak! Na jeden ząb i tyle! I żebyż choć coś do tego zajaca, a to nic, nic! A temu staremu, co księdza przywiózł, to już chyba trochę kaszy dać, bo więcej niema. Jaki wstyd dla domu, jaki wstyd! I na co to nam zeszło!

Stary biadał, ale rady nie było, bo po chałupach gorsze jeszcze były pustki, niż we dworze. Postanowił więc ratować się gębą, gdy głowa, ni ręce na nic nie mogły się przydać, i wróciwszy do pańskiej izby, jął opowiadać bernardynowi długą i wielce zawikłaną historję o nadzwyczajnym zbiegu okoliczności, dzięki którym zasobna spiżarnia zamkowa znalazła się niespodzianie tak pusta.

Ale Miśniakowski nie dał mu skończyć kunsztownych wywodów.

— Nie łzyj, stary — przerwał, płoniąc się mimo-woli, bo mu wyznanie szło ciężko. — Łgać grzech, zwłaszcza przy tak świątobliwej osobie, a i srom też, bo kiep, kto kilimkiem rzuca. A bieda, to nie srom i nie grzech. U nas zaś bieda, ot co! I nie ukryjesz jej, choćbyś jak jęczorem pytłował. Więc co masz, daj drogiemu gościowi. Z serca mu to damy, a na co nas nie stać, to on wybaczy, jako jegomości dobrodzieja komiliton i konfident.

Twarz mnicha przyoblekła się w cień smutku.

— Także to daleko zaszło? — szepnął. — Słyszałem, ale nie myślałem, że aż tak. W cóż to się obraca wielkość tego świata! Ale to musi inaczej obrócić się, musi!

I rozjaśnwszy twarz, skinął z uśmiechem na Macieja, który wchodził właśnie do izby, obładowany podróżnymi tobołkami.

— Dostańno, wasze, co tam brat kanaparz wsadził na drogę! — rozkazał. — My, bernardyni, nie darmo kwestujemy u innych: zawsze przy nas coś tam się znajdzie!

I podskoczywszy do tobołów, jak młody, jął wydostawać różne zawiniątka, w których po usunięciu osłon, kryjących ich zawartość przed okiem, okazywały się różne, jedne od drugich smakowiciej woniejące przysmaki i specjały. Były tam więc i szynki, i salcesony, i ozory, i rybki, wędzone, i bigosu sagan, i serów gomółki, i masła faszeczka, i słoniny półcie ca

le. i bakaliij nieco, i wina antalek, i pieczywa różnego dostatek. Delicje one mnich częścią na stole rozkładał. częścią wtykał Trytonowi, któremu oblicze rozpromieniło się, jako słońce po burzy.

Ale na twarzy Miśniakowskiego widać było zmieszanie i przykrość. Oto gość czcigodny przybywa do niego jakoby do karczmy, w której nie spodziewa się znaleźć jadła, przywożąc z sobą zapasy i darząc go, jak głodnego nędzarza. Miałże odmówić? Nie godziło się! Ale gorzki mu będzie ten cudzy chleb, choć biały, i kością mu staną w gardle klasztorne przysmaki!

Ojciec Symforjan przeniknął snadź myśli młodzieńca, skończywszy bowiem swoją krętanię, zwrócił się do niego i rzekł wesoło :

— Widzisz, mości rotmistrzu, przywożem tę odrobinę zapasów do twojej spiżarni, bo, jeśli mnie nie wypędzisz, zamierzam spożyć je z tobą razem usque ad finem. Boć to musisz waćpan wiedzieć, że odkąd w tym kraju posłyszano o bernardynach, Miśniakowscy, choć jeszcze grecae fidei, byli zawsze ich benefaktorami. A już zwłaszcza odkąd nam księżę Janusz eygował konwent zasławski, stali się nam amicissimi. Dziad waszmościu był naszym syndykiem w Zasławiu. a rodzic nieboszczyk w Łucku, gdy go tam re[^] adversae rzuciły. Kapelan był też tu zawsze z naszych. Więc kiedym jeno zasłyszał od ludzi o waszmościu powrocie, biegnę wnet do gwardjana. „Pozwól, ojcze — mówię, — stare kości złożyć w Horodyszczu przy Miśniakowskich! Konwentowi i tak

nie przydam się, a jedna gęba mniej będzie!” A on na to: „Niepotrzebnie prosisz, bo i bez prośzenia poszedłbyś. Odrazum to postanowił, a bracia na kapitule zatwierdzą”. I oto masz mnie, starego darmozjada!

Panu Kazimierzowi odjęło odrazu smutek i upokorzenie. Rzucił się ścisnąć bernardyna z radością wielką, jakby z tym starym mnichem wchodziła do jego pustki jasność i nadzieja.

Chwilę później siedzieli obaj przy obfitej wieczerzy, gwarząc wesoło, bo bernardyn miał nieprzebrany zapas dowcipów, dykteryjek, opowiadań, naprzemian strasznych i figlarnych i sypał niemi, jak z rękawa. A gospodarz słuchał chciwie tych opowiadań, oddawna spragniony ludzkiego słowa, i sam też rad dorzucał jakąś historyjkę obozową, której nie żał było dać ucha. Z kąta izby Wałek i Dańko przysłuchiwali się tym powieściom z najwyższą uwagą, a Tryfon i Maciej mieszały do nich od czasu do czasu własne refleksje, do których obaj wielce byli skorzy.

Ale ojciec Symforjan dopytywał się pilnie o przygody młodego pana i kazał je sobie szczególnie opowiadać, przerywając tylko czasem okrzykiem zdumienia w ciekawszych momentach, uderzając się z rozmachem po kolanie, albowiem też klaszcząc z uciechy w dłonie. W ten sposób doszli do ostatniej przygody rycerza, której, gdy jeno początek usłyszał, bernardyn głową począł kiwać z porozumieniem.

— Wiem już, wiem! — zaczął. — To to waszmość byłeś? I waszmość ocaliłeś tę dziewczkę? Dziwne wyroki Boże!

W takłętym zamczysku

— 13ft —

— To ojciec wiesz, czyja to dziewczka? — zagadnął skwapliwie rotmistrz.

Ojciec Symforjan już usta otwierał do potakującej odpowiedzi, kiedy nagle dostrzegł za plecyma Miśnia- kowskiego przestraszoną twarz Tryfona, który dawał mu rozpaczliwe znaki, żeby milczał.

Bernardyn, człek roztropny, pomi arko wał wnet i odpowiedział zapytaniem:

— A waćpan to nie dowiedziałeś się?

— Nie! — westchnął Miśniakowski i jął tłumaczyć, dlaczego nie wie, i ile mu na tej wiadomości zależy.

Ojciec Symforjan spojrział nań bystro, uśmiechnął się w białą brodę i zukosa strzelił wzrokiem ku Try- * fonowi, który wlot spojrzenie jego pochwycił, poczem rzekł obojętnie:

— Skoro waćpanu na tem zależy, to ją rychło dopytasz. Nie szpilka przecie, nie zaginie!

I zmieniając tok rozmowy, jął namawiać rotmistrza, by na Niepokalane Poczęcie pojechał na odpust do Berdyczowa.

— My, bernardyni — zauważył — z karmelitami w filadelfji żyjemy, udzielając sobie wzajem posług. Teraz zaś, słyszę, w Berdyczowie pilno pomocy potrze ba, bo klasztor dopiero buduje pan Tyszkiewicz, a ly- dzi już tam huk wali i siła też prawią o cudach Matki Bożej, choć jeszcze i kościół niewymurowany. Więc mi też na odjezdnem nakazał gwardjan, bym koni nie odsyłał, aż fest odbędę. Na który moglibyśmy dogodnie razem wybrać się moją kałamaszką, a konie

pod wierzch przyprowadziłby chłopak albo i ten sta ry, byś to waćpan mógł pokazać się należycie, bo pewnie zjazd szlachty będzie wielki zbliska i zdaleka. Wiadomo! Co gdzie było na wyprawach, ściągnęło teraz do domu i każdy rad wczasu zażywa i znajomków spotyka.

III.

HĄŻE NA MIŚNIAKOWSKICH! HĄŻE NA TURO- BOJSKICH!

Pan Janusz Tyszkiewicz przed kilku laty dopiero rozpoczął spełniać ślub swój, w niewoli tatarskiej uczyniony, budując ponad stromym brzegiem Hnilo- piaty klasztor dla karmelitów bosych ku czci Niepokalanego Poczęcia N. Panny. Robota szła rażno, bo czasy były po temu, ale więcej daleko było do zrobienia, niż zdołano dokonać, i wszystko jeszcze tymczasowe i ubogie. Kaplica była drewniana, pod kościół wznoszono dopiero fundamenty. Ojcowie mie- ścili się, jak mogli, w ciasnym klasztoru z drzewa i gliny naprędce skleconym: dokoła niego kopano fosy, wzniesiono częstokół i urządzono most zwodzony. Tymczasem była to stepowa fortalicja, w sam raz starcząca na czambuł tatarski lub kozacką watahę: w pra- wę fortecę przemieniły ją dopiero klęski wojny kozaę-

kiej, która tu, jako i wszędzie, zapisać miała krwawą kartę.

Kiedy pan Kazimierz stanął wraz z ojcem Symforjanem przy klasztornej ogrodzeniu, dzwoniło właśnie na nieszpór. Przy moście zwodzonym stało kilka zaprzęgów przybyłej dopiero szlachty, a przy częstokole przywiązano kilkadziesiąt koni. Koło najbliższych domostw i chałup widać było wyprężone wozy, bryki i karabony, świadczące o znacznym zjeździe szlachty.

Istotnie pełno było ruchu i gwani dokoła budującego się klasztoru. Tu jakiś panek w delji futrzanej, aksamitem krytej i w rysim kołpaku, z ręką za pasem, błyskając sygnetem i pobrękując karabelą, perorował coś z powagą i animuszem braciom szlachcie mniejszego odeń kalibru, cisnącej się dokoła i zasłuchanej nabożnie. Opodał znów gromadkę szlachty, śpieszącą na nieszpór, zatrzymała w pół drogi jakąś dyskusja, przechodząca w spór i zwadę. Stali tedy rozindyczeni, czerwoni, spotnieli mimo mrozu, krzycząc, wygrażając sobie pięściami, stukając w szable, dobywając je z pochew, a gdy wrzask czynią się zbyt wielki, pośpieszały niewiasty, wypychając przed siebie jednego z gęsto snujących się księży i ten, brwi marszcząc, a na krzyż, złocący się za częstokołem nad kaplicą, wskazując, upomniął zwaśnionych do spokoju i poszanowania świętego miejsca. Tam znów okazała jejmość, pani stolnikowa lub strukczaszyzna z sąsiedztwa, podtrzymywana z obu stron przez hajduków. Wsiadała do kolasy, by dojechać do klasztoru odległego o jeden rzut kamienia.

Za p. stolnikową gramoliły się imościanki, podobne do dojrzałych wiśni, i panny respektowe, wyglądające jako szafran i cynamon. Z dalszych uliczek osady zdążał na odgłos dzwonek drobiazg chodackowy szlachecki w kozuchach i czapkach baranich, ale przy nieodstępnej szerpentyńce. Chłopstwo też waliło się hurmą, rozstępując się i czapkując pokornie przed państwem, do czego niemało przyczyniała się dworska służba, rozpędzająca pospólstwo skwapliwie i z hałasem. ■

Ojciec Symforjan nie zatrzymując się, pośpieszył do kaplicy i wnet, po krótkim pacierzu, siadł w przyległym korytarzu spowiedzi słuchać, ale para Kazimierza zatrzymała szlachta na podwórku. Poziął go towarzysz z pod chorągwi JW. wojewody kijowskiego, dawny komiliton z Dzikich Pól, pan Bartłomiej Deręgiewicz i, rozwarłszy szeroko ramiona, jał biec ku niemu i wołać radośnie. Stojący obok, posłyszawszy nazwisko nadchodzącego, poczęli je powtarzać ze zdumieniem i ukontentowaniem, wykrzykując: „Miśniakowski? Sąż jeszcze Miśniakowscy? Ostali się ten? I wrócił? Do Horodyszcz? Dawaj go tu!” i szli za Deręgiewiczem ku rotmistrzowi, biorąc go w ramiona, obłapując i ofiarując swe służby. Inni znowu powtarzali: „Stary ród! Wielki ród! Zabijaki!” i przypominali dawne czasy, straszego Hrehora i wojnę z Turobojskimi. Cały ten tłum szlachecki zakotłował się dokoła pana Kazimierza, wrywając go sobie, obsypując pytaniami i opowiadaniem

O nim, jeden drugiemu zasłyszana naprędce prawdę

I wysnute napoczekaniu bajki. Dziedzic Horodyszcz stał się odrazu znanym i popularnym. Gdyby zaraz miał odbywać się sejmik, wybranoby go unanimiter na pierwszą godność powiatu.

Z szlachty, cisnącej się do miecznikowicza, trzech objęło go odrazu w arendę. Jednym był pan Bartłomiej Deręgiewicz, czasu wojny żołnierz znamienity ale i swawolnik nielada, czasu pokoju warchoł na wielki kamień, dla przyjaciół choć do rany przyłóż, ale ratuj Bóg tego, ktoby z nim zadarł. Dwóch drugich zwano Kastorem i Poluksem, bo nie rozdzielali się nigdy i jeden za drugiego dałby się usiec, choć ani zewnętrznym wyglądem, ani usposobieniem nie byli do siebie zgoła podobni. Pan Dydak Harkosiej Kara banowicz był mężem statury ogromnej i nieomal patrzył na olbrzyma, a rude wąsy odstawały mu od czerwonej, piegowatej twarzy, jako dwie wiechy; głos miał też tubalny, godny korpusu, że jak huknął „vivat!”, szyby w oknach brzęczały i farfury trzęsły się na stole, a miecz, który włożył u pasa, w sam raz był na Goljata. Mimo jednak nasępionych groźnie brwi i powierzchowności tak strasznej, że dzieci, ujrzawszy go na końcu drogi, uciekały z wrzaskiem do domów i długo potem matki straszyły je wielkoludem, był to człek z przyrodzenia ociężały, miękki i łagodny, jak baranek z wyjątkiem bójki, w której nadzwyczajna siła dawała mu niepomierną przewagę.

Nieodłączny przyjaciel tego olbrzyma był małego nie karłem, tak mizerną miał postawę. Powiadano też

O panu Błażeju Jarosińskim, że potrafił wkręcić się, gdzie zechce, przez dziurkę od klucza. Potrafił on i więcej. Ten marny człeczyna, mogący mało się zginając, przejść między rozstawionymi nogami pana Dydaka, umiał swym cichym, monotonnym głosem porywać tłumy szlachty i gdzie chciał je prowadził, a przeciwnika, by i najmocniejszego, w kozi róg zapędzał. Nie było lepszego mówcy na sejmikach i szlacheckich zebraniach. Choć ledwo parę lat za młodu palestrancki chleb jadł u mecenasa Haczykowskiego i tyle prawa liznął, co wtedy, nie było nad niego kauzyperdy

I w wynajdywaniu kruczków nikt mu nie dorównał, jako i w sztuce tumanienia ludzi i, gdyby chciał, miałby pewnie pierwsze miejsce w lubelskiej palestrze, ale on dla zabawy jeno grzebał się czasem przez chwilę w statucie i poszczuł szlachcica na szlachcica, jak chartami szaraka. Hultaj i leniuch wolał braci szlachty czepiać się, gdzie jeno kurzyło się z miski i czupryn, niż nad replikami ślęczyć i prawo wertować. Włożyli się też z Harkosiejem Karabanowiczem od komina do komina, mało w domu zagrzewając miejsca, a odkąd, jakoby z nieba, spadł im pan Bartłomiej, kompan nad kompani, trzymali się już we trzech, przysięgając sobie przy każdym chmielu, a chmiel u wszystkich był codziennym gościem, że żaden od kupy odciągnąć się nie da.

Towarzysz z pod wojewódzkiej chorągwi roztkliwiał się przytem nad dolą swoją czarną, narzekając, że niema ni domu, ni łomu, bo i rzeczywiście nic nie posiadał, prócz tego, co niosły jego dwa jezdne konie; pan Harkosiej i pan Jarosiński mieli wprawdzie po paru

chłopów w sąsiedztwie od siebie w owruckim, ale Jarosiński swoje dawno zastawił, a pieniądze stracił, podczas gdy Karabanowiczowi synowiec wszystko zagarnął, on go potem zajechał i wygnał, ale postawiwszy na swoim, rozczulił się i zostawił przy wioszczynie, zachowując sobie jeno tytuł własności, i nie biorąc ani grosza czynszu.

Tacy to byli owi trzech przyjaciele, którzy wycisnąwszy się na sam przód kompanji, obstąpili ze wszystkich stron rotmistrza i rozpoczęli z nim ożywioną rozmowę.

Pan Bartłomiej jął przedewszystkiem rozpytywać dawnego komilitona o przygody, jakich zaznał od chwili rozstania z nim, i nasrożył się strasznie, posłyszawszy o napaści wpobliżu Berdyczowa. Pan Dydak równie brew namarszczył i wąsy groźnie nastroszył, pan Błażej zaś, nie okazując napozór rankoru, jako wytrawny i moc mający nad sobą, głową jeno pokręcił ze zdziwieniem i wpatrzył się ciekawie w oblicze młodego rycerza.

— Co za dziwny trafunek z tem spotkaniem! — zauważył. — Ledwieś waćpan po tylu leciech dotarł do granic ojcowizny, wnet stary wróg wasz staje ci na wstręcie!

— Co waść masz na myśli? — spytał, nie rozumiejąc sensu słów, Miśniakowski.

Jarosiński zdziwił się jeszcze bardziej.

— Więc waść nie wiesz, kim był ów zbójcecki napastnik?

— Jako żywo i wielebym dał, żeby wiedzieć... Czy waćpan masz jakie poszlaki?

Jurysta chciał odpowiedzieć, ale w tej chwili z kaplicy ozwał się dźwięk organu i tłum, zapelniający dziedziniec, zakołysał się, jak fala, poruszona wiatrem, i runął ku drzwiom rozwartym, rozdzielając rozmawiającą gromadkę i unosząc wszystkich do kaplicy. Przed ołtarz rzeświście oświetlony wyszedł właśnie przeor Dominikanów z Żytomierza w licznej asyście.

Zabrzmiały dzwonki jękiem srebrzystym, wionęły dymy i wonie kadzideł, rozległy się przy organowym wtórze głosy śpiewaków, ksiądz podniósł wgórę złocistą monstrancję, a pobożne rzesze, cisnące się w świątyni i dokoła niej, padły na twarz, jak pada pokos, podcięty sierpem żniwiarza.

Miśniakowski ukląkł wraz z innymi, schylając pobożnie czoło do samej ziemi, po chwili jednak, gdy ksiądz postawił monstrancję na ołtarzu, podniósł z innymi głowę i on, a podniósłszy, rzucił okiem dokoła siebie.

I naraz o mało głośny okrzyk nie wydarł mu się z piersi.

Przy samym ołtarzu, w jednej z ławeczek, ustawionych dla honoracjorów poza kolatorską ławą, ujrzał Hanusię.

Kłęcząca o pulpit oparta ze skrzyżowanymi dłońmi, w których błyskały srebrne ziarna różańca, a oczy miała utkwione w bizantyjski obraz Bogarodzicy na desce cyprysowej, już okolony wieńcem wotów pobożnych i przykuwający ku sobie serca strapione na

dzieją łask i cudu. Obok niej siedział jakiś perso- nat, w którym nie trudno było domyśleć się jej rodzica. Był to człowiek stary już, siwy, z długą brodą

0 podwójnym końcu, o ostrym, jakoby sępiim profilu

1 surowym, a dumnym wyrazie oblicza. Rozrosły był w ramionach i niezwykle tęgiej budowy, a choć wiek go przygarbił i zmarszczkami okrył zwiędłe jagody., oko w głąb zapadłe i posepne, żywym jeszcze świeciło blaskiem. „Niedobrze temu staremu włązić w drogę!” musiał, spojrzawszy nań pomyśleć każdy. Istotnie nawet teraz, pod wpływem modlitwy, w której zdawał się zatopiony, nic nie łagodziło wyrazu drapieżnej srogości, która cechowała to groźne oblicze i budziła w patrzących postrach.

Miśniakowskiego, gdy mu się przypatrzył, odpadło wnet wesele, w które go wprowadziło odnalezienie Hanusi. Ten posepny starzec stanął między nim a dziewczką i przysłonił ją sobą, jak gradowa chmura przysłania blask słoneczny. Sam nie wiedział czemu, uczyniło mu się ciężko i nieswojo. Nic wprawdzie nie miał sobie do wyrzucenia: przeciwnie, czuł, że na wdzięczność zasłużył i że ponadto należały mu się przeprosiny za doznaną tak niesłusznie krzywdę; a przecie było mu tal: na duszy, jak bywa człowiekowi, który musi się z czemś kryć, czegoś obawiać. A że był mężem nieustraszonej odwagi, brała go na siebie złość okrutna, szkoda ty lko, że daremna, bo przemóc się nie był w stanie.

W ten sposób przetrwał do końca niesporów, więcej myślami własnymi, niż nabożeństwem zajęty. Kiedy księża odeszli od ołtarza i tłum pobożnych począł tłoczyć się ku wyjściu, rotmistrz nie ruszył z innymi, wyczekując na Hanusię. Czekał przez czas niejaki stojąc u samych drzwi, by się z nią nie minąć, a dzie weczka wraz z ojcem modliła się wciąż. Aż wreszcie wyszli z ławki i wolno dążyli ku drzwiom. Przodem szedł kozak, czyniąc im drogę, z tyłu dwóch pokojow- ców wstrzymywało napór ludzkiej fali. Personat, znać dwornych manier zwyczajny, prowadził panienkę za rękę, dłoń jej pod ramię podłożywszy, z drugą ręką opartą na kołpaku, wiszącym u rękojęści karabeli. Panienka' szła, jak płci i dostojęństwu przystało, ze spuszczonei wdół oczyma i już zdawało się, że minie młodego rycerza nie spostrzegłszy go, kiedy naraz z pod długich rzęs wzrok jej strzelił w bok ukradkiem i w tejże chwili krasny rumieniec twarz jej oblał, radosny okrzyk, napół jeno stłumiony, zerwał się z różanych ust, i zwracając się do zdziwionego tem zachowaniem się starca, zawołała:

— To on, tatusiu, to on!

Stary pan spojrział bystro na rycerza, ale nic nie rzekł, tylko brwi ściągnęły mu się groźnie i silniej za rękę ujął dziewczynę, pociągając ją za sobą w podwórzec.

Ona zalękła się i nic już nie rzekła. Dała się wyprowadzić bez oporu, stary zaś raz jeszcze za siebie okiem rzucił ku panu Kazimierzowi, któremu się zdało, jakby go tem spojrzeniem wzywał za sobą. . Miśniakowski podążył za nim i mijając, skłonił się nisko dziewczeczce.

— Tatusiu! — szepnęła znów dziewczyna głosem, cichszym od westchnienia.

Stary spojrział na nią surowo. Zmilkła i oczy znów wdół opuściła.

On jednak zwrócił się teraz ku młodzieńcowi i zdawało się, jakby mu chciał Tzec słowo, widocznie jednak rozmyślił się i wzrok przeniósł z Miśniakowskiego na jednego z idących za sobą pokojowców.

— Drewnowski! — zawołał krótkim, rozkazującym tonem, równie szorstkim, jak cała jego postać.

— Do usług Jaśnie Wielmożnego pana! — pośpieszył odpowiedzieć wezwany, podsuwając się ze służbi- stą atencją.

Starzec wskazał na rotmistrza.

— Poproś waszec tego mościpana, by zechciał, jeśli łaska, inkomodować się do mojej kwatery, bo starosta korystyszowski pilno pragnie go widzieć.

Rotmistrz słów dobrze nie dosłyszał, bo w dziedzińcu panował wielki zgiełk, ale treści ich łatwo się dorozumiał i krew mu uderzyła do głowy z gniewu i obrazy. Już wysunął się o krok naprzód, by zawołać, że on, Miśniakowski, w niczem niegorszy od na jpierw- szych powiatowych dygnitarzy i, że nic żadnemu nio powinien, więc i droga do niego każdemu otwarta wprost, a nie przez posły, a kto z nim chce mówić, sam do niego przyjść może. Ale w tejże chwili poczuł raczej, niż dojrzał, bo już noc zapadła, błagalnie zwrócone ku sobie oczy Hanusi i, nie dając Drewnowskiemu wywiązać się z poselstwa, rzekł mu oschle, ało grzecznie:

— Wiem już, z czem waćpan do mnie przychodzisz. Oznajm-że twemu panu, że, szanując jego wiek pode szły, spełnię jego życzenie i stawię się wnet u niego.

I wstrzymawszy się nieco, podążył zdaleka śladem starosty.

Rodzic Hanusi miał kwaterę, jako i wszyscy, u jednego z chłopskich osadników, którego chałupę, obszer ną zresztą i zaopatrzoną w komin, służba przystroiła na przyjęcie państwa, objając ściany i zaścielając glinianą podłogę kobiercami, rozstawiając wszędy podręczny sprzęt domowy.

Miśniakowskiego czekał u progu chaty ten sani dworzanin, który go przedtem zapraszał. Wprowadził go teraz bezzwłocznie do izby, poczem cofnął się, drzwi zamykając za sobą. W głębi izby, na zydlu, okrytym kawałkiem kilimka, siedział starosta, który na widok gościa nie ruszył się z miejsca i ręką tylko skinął mu na powitanie, rzucając nań zarazem pytające, przenikliwe spojrzenie.

— Przybliź się waść, proszę! — rzekł tonem, w którym był raczej rozkaz niż prośba.

Młody rycerz skłonił się i, postąpiwszy o krok, stanął. nie mówiąc ani słowa.

— Usiądź waść! — rzekł stary, wskazując palcem na ławę przy wejściu.

— Dziękuję — odparł, nie ruszając się, Miśniakowski.

Starosta wyczekał chwilę, czy nie uczyni zadość zaproszeniu, poczem zrobił ręką ruch, jakby chciał rzec: „Nie? To jak ci się podoba!”

— Winienem waćpanu wdzięczność,—mówił dalej;— iześ dziecku mojemu stanął w przygodzie i opiekowałeś się niem z należytem poszanowaniem, jakkolwiek nie wiedziałeś, czyja to córka, jaki klejnot i znaczenie jej rodu. Powiedzie, czem ci odpłacić mogę? Ozy promocyj potrzebnyś czy grosiwa? Mów śmieje! Nie poskapię temu, kto mi tak znaczną oddał usługę!

Rotmistrz cofnął się do progu i z pod ściągniętych gniewnie brwi błysnęły mu iskry.

— Nie usługę jam uczynił — rzekł — jenom powinnoś chrześcijanina wypełnić, i nie nagrody za to, jeno dobrego słowa pożądałem. Gdy mi zaś jako psu śmlą ochłap rzuć, to... to...

Urwał, bo go wściekłość za gardło dusiła, i stał blady, z zaciśniętymi zębami i pięściami, drżąc cały z obrazy za tak niespodziewany i niezasłużony traktament.

Starosta spostrzegł teraz, że zgoła nie utrafił i że młodzieniec innej być musi kondycji, niż mniemał, sądząc z powieści Hanusi i ze skromnej jego odzieży. Powstał więc, zbliżył się do Miśniakowskiego i rękę ku niemu wyciągnął.

— Nie bądźże mi krzyw i nie szukaj obrazy, gdzie jej nie masz — rzekł z widoczną chęcią przejednania młodzieńca, którego dzielny wygląd i butne wzięcie zdawały się na nim czynić korzystne wrażenie. — Oto moja ręka! Tej chyba nie odrzucisz!

Rotmistrz jeszcze przez mgnienie oka zawahał się, ale wspomniawszy na chabrowe oczęta Hanusi i, podszedłszy o krok, skłonił się dość nisko, jak młodemu przed starcem i dygnitarzem przystało, a potem dłoń podaną ścisnął.

— No, to zgoda między nami — zawołał zawsze wyniośle, ale z wyraźnym odcieniem łaskawości starosta. — Nie chcesz, bym ci podarkiem okazał debitam gratitudinem, niechże cię przynajmniej lampką wina ugoszczę, nim na mój dwór przyjedziesz, co, spero, rychło nastąpi, a tam i sygnecik przystojny się znajdzie, którego bez obrażenia mnie odmówić nijak nie możesz!

Rotmistrza znów coś jakby ukłuło, ale równocześnie zaproszenie starosty nalało na to ukłucie oliwy. Skłonił się więc, bąknąwszy coś niewyraźnie, co mogło być i podziękowaniem i obietnicą, a starosta w dłonie klasnął i o wino zawołał, poczem znów do Miśniakowskiego się zwrócił.

— Tak, tak! Poznamy się bliżej w Łazuniu. Tam waćpana i ze Szczepankiem pogodzę, który cię tak szpetnie, słyszę, pokiereszował, choć teraz ani śladu tego nie znać. No, w ręce twoje, mości... mości... A jakże godność?

I z puharkiem nalany w dłoni, czekał odpowiedzi.

Rotmistrz spostrzegł, że dotąd nie wymienił swojego nazwiska, powstał więc pośpiesznie i skłonił się.

— Miśniakowski jestem — rzekł. — Towarzysz pancerny z pod znaku księcia wojewody ruskiego i rotmistrz królewskiego regimentu niemieckiej piechoty. Herbu i przydomku Kierzgajło!

Ostatniego wyrazu nie dokończył. Zamarło mu na ustach wobec straszliwej zmiany, jaka zaszła w posta

ci gospodarza. Istotnie starosta przy pierwszym zaraz słowie wytrzeszczył na niego oczy, pełne zdumienia i zgrozy, potem cofnął się z zydłem, brwi marszcząc i dłonią chwytając za podgoloną czuprynę, jakby chciał się upewnić, że nie śpi, a w oczach poczęły mu latać złowrogie jakieś blaski; wreszcie zerwał się na równe nogi, zydę cisnął o ścianę i zgiąwszy się wpół, jak dziki zwierzę, gotujący się do skoku, wpatrzony go- rejącem okiem w stojącego przed nim młodzieńca, począł bełkotać niewyraźnie drżącymi wargami, nie będąc w stanie słowa zrozumiałego wykrztusić.

— Co... Coś ty rzekł? — wrzasnął wreszcie.

— Ze miano moje jest Kierżgajło Miśniakowski! — rzekł, prostując się rycerz.

— Miśniakowski? Tu? U mnie? — bełkotał stary, jakby wciąż jeszcze nie mogąc przyjść do siebie.

I wreszcie ryknął nieludzkim głosem:

— Sam tu! Drewnowski! Służba! Do mnie!

I z błyskawiczną szybkością wydobywszy karabelę z pochwy, runął na niespodziewającego się napaści z podniesionem w górę żelazem.

A w tejże chwili wpadli do izby kozacy i dworzanie.

Pan Kazimierz zbyt wprawnym był żołnierzem, do zasadzek nawykłym, by nie odparować cięcia; miał nawet czas, nim wbiegła służba, zadać staroście cios tak silny, że mu ręka wdół opadła, choć palce nie puściły klingi. Teraz jednak groziło młodemu rycerzowi to samo, co go spotkało niedawno od bratanka Hanusi: znalazł się pod kupą zbrojnych, którzy zwalili się nań, wrzeszcząc i siekąc naoslep. Ale to właśnie, co na otwartym gościńcu było zgubą, tu stało się ratunkiem. Izba była tak mała, że dwom zapaśnikom za ciasno w niej było do orężnej rozprawy: dziesiątek walczących mógł jedynie razić się nawzajem, nie przynosząc szkody przeciwnikowi. W dodatku świecznik podróżny z dwoma woskowymi świecami zrzuciono ze stołu, gasząc światło zaraz w pierwszej chwili walki i w ciemnej izbie pozostał jedynie kaganek, kopający w kącie pod obrazem.

— Światła — wrzasnął starosta.

Ale nie było komu wykonać rozkazu, wszystkich bowiem pochłonał wir bitki i każdy był przez kogoś trzymany i bity, że o wyrwaniu się z tego węzowiska nie mogło być mowy. Pan Kazimierz skorzystał z tego i sam jeden z całej zgrai uniknął szwanku, zasuwając się pod ławę i zastawiając ją przeciw przewracającej się hałastrze. W ten sposób przesunął się wzdłuż ściany i dotarł do drzwi, które zapierał sobą olbrzymi pajuk. Rotmistrz kopnął go silnie głową w brzuch, a równocześnie podciął mu nogi głównią szabli, aż chłop zwał się, rycząc, poza próg. Wtedy Miśniakowski przeskoczył go i wybiegł z chaty, w której przyjęto go tak zdradliwie.

Biegł pędem przed siebie, by dostać się do koni i Tryfona, kiedy rozległy się za nim krzyki: „Bij! Zabij!” a zarazem zamigotały krwawe pochodnie i z gospody starosty służba jego sypnęła się w pogoń za uciekającym.

Teraz już nie godziło się rotmistrzowi pokazywać plecy napastnikom, acz zdradnie idącym nań w dzie

W żakietem zamczysku,

to

sięciu przeciw jednemu. Przyskoczył więc do szopy, wychodzącej na ulicę, by mieć za sobą ścianę i oczekiwał mężnie na swoich napastników, a w głowie kręciło mu się wciąż pytanie.

— Skąd ta nagła napaść i co w jego mowie mogło rozniewać tak srodze starostę?

Ale nie czas już było myśleć o czemkolwiek innym, prócz o obronie żywota i poleceniu się Bogu, bo przeciw Miśniakowskiemu nadlatywał już tłum wrogów, rozwścieklonych otrzymanymi od swoich guzami i żądnymi krwi tego, który im tak niespodziewanie umknął. Natarto na rycerza z wielką furją, ale bezładnie i przeszkadzając sobie wzajem. Musiał jednak na wszystkie strony młyńcem szabli się zasłaniać, a oni im bardziej odpędzani, tem zajadlej przypadali znów do niego, jak zgraja psów rozszalałych pościgiem przypada do osaczonego odyńca, pędził ich zaś naprzód wściekły, ochrypli z wrzasku głos starosty:

— Bij! Morduj! W kawałki go! Porznię wszystkich, jeśli żyw wam ujdzie!

I stałoby się pewnie zadość krwawemu rozkazowi, i rotmistrz nie uszedłby śmierci, gdyby w samą porę nie nadeszła mu odsiecz.

Odsiecz ta zaś przybywała pod postacią zbrojnej kupy szlachty, nadbiegającej od strony klasztoru z wielkim hałasem i groźnymi okrzykami przeciw Turobojskim.

— Kto w Boga wierzy, mości panowie, z nami przeciw opresorom i gwałcicielom wolności szlacheckich!

— wrzeszczał przeraźliwym dyszkantem jakiś maluchny rycerzyk, przodujący całej gromadzie, a wtórował mu jakoby rykiem żubra, tak potężnym, że mrowie przechodziło słuchających, wielkolud, który towarzyszył krok w krok karlikowi, wydając z siebie głos ów straszliwy.

— Z nami, panowie bracia, komu cnota miła! — pisał dalej mały wódz. — Z nami w sukurs zacnemu rotmistrzowi Miśniakowskiemu! Z nami na ciemiężców i łupieżców. Bajże na Turobojskich!

Pana Kazimierza słowa te przejęły niemiałem zdziwieniem, nim jednak miał czas się opamiętać, już wrzeszcząca szlachta dopadła go, zmiotła w mgnieniu oka przeciwników i, uniósłszy rotmistrza w powietrzu, leciała ku chałupie, w której kwaterował starosta. Służba tego ostatniego ledwo miała czas wpaść do wnętrza i już zastawiała wrota i okna deskami, naprędce chwytanymi i sprzętami, mającemi służyć za barykadę na wypadek oblężenia. Szlachta rzuciła się z wściekłością ku zatarasowanym otworom i jęła łomotać w nie ze wszystkich sił, jakim kto miał orężem. Wśród piekielnego zgielku, napęlniającego powietrze, rotmistrz posłyszał z komory po przeciwległej stronie domostwa głośny płacz i lament kobiecy. Poznał głos Hanusi.

I opanowała mu duszę litość nad biednym dziewczątkiem, niewinną przyczyną całego tego zajścia, i pomyślał, co w jej biednym serduszku dzieć się musi o tej godzinie, i czem jej grozi ta nawała, która go ocaliła przed chwilą, ale jej mogłaby przynieść zgubę. Słodka twarzyczka małej pątniczki zasłoniła mu rozjuszony oblicze starosty, usunęła też gdzieś wdał

obrazę, gniew, pomstę, i młody rycerz gotów był wszystkich swych napastników własną pierśią zastawiać przed ciosami swych obrońców, byle z tych na- poły jeszcze dziecinnych, naipoły dziewczęcych oczu wyczytać:

— Bóg ci zapłać!

Ale łatwiej było myśleć o ratunku obłożonych, niż przyjść im z pomocą. Wrzasku nie sposób było przekrzyczeć, w ciemności nie mógł dać się poznać, a zresztą nie posłużyłoby to na wiele, bo nikt go tu prawie nie znał w tym tłumie, niewiadomo jakim trafem czy cudem zebrany w jego obronie. Krzyczał jednak, próbował odpychać od drzwi, perswadować najbliższym, ale nikt nie rozumiał, a tem mniej słuchał. Jedni w miotaniu się jego widzieli nadmiar gniewu i ochoty do walki, inni brali go za stronnika starosty i poczynali szturchać w tłoku. A tymczasem drzwi drzewiane, nieokute rozłupały się już pod uderzeniami ręcznych obuszków, nabijanych gwoździami i, znalezionej na podoręczu siekiery, a przez szerokie otwory wejście do sieni zapierali piersiami własnymi dworzcy kozacy i dworzanie, z których paru zważyło się już na próg w krwi własnej skąpanych, kiedy na pomoc Miśnia- kowskiemu i na ocalenie obłożonych zjawił się niespodziany sojusznik.

Sojusznikiem tym był ojciec Symforjan, który ni stąd, ni zowąd, jakby z pod ziemi wyrósł, w samym środku ciżby, górując nad nią wysokim swym wzrostem i krzyżem, wzniesionym ponad głowę. Tuż za nim czyjeś ramię, równie wysoko ponad głowę wzniesione

trzymało pochodnię, rozświecającą znak „HękS) Pańskiej.

Na widok ten napastnicy zmieszali się nieco i cofnęli o krok.

A wtedy zabrzmiał nad ich głowami, jak grom głos bernardyna.

— Mości panowie! — krzyczał. — Bracia w Chrystusie! Słudzy Marji! Oto wam Najświętsza Panienska, Królowa nasza, przysłała przez moje niegodne ręce Swego Boskiego Synaczka i woła przez moje grzeszne wargi: Słuchajcie mnie! Słuchajcie!

Wśród szlachty uciszzonej i pełnej zdumienia poszedł pomruk.

— Słuchajcie! — szeptano. — Słuchajcie!

A ojciec Symforjan wołał dalej:

— Otoście, synowie moi, mówi wam nasza Niepokalana Orędowniczka; otoście dokonali zbożnego dzieła! Przyszliście z pomocą uciśnionemu niewinnie, na którego czyhała już śmierć z rąk nieprawych. Dzięki wam za to, ale dość już, na Boga! Nie plamcie zasługi waszej gwałtem w miejscu, które jest siedzibą i królowaniem Marji! święte to miejsce! Biada temu, kto je naruszy! Więc dość na tem, coście uczynili, a teraz za mną wszyscy! Do kościoła!

I wielkim głosem zaintonował:

— Sub tuum praesidium!

Śpiew huknął, pochwycony przez sto ust. Bernardyn ruszył pierwszy z wyrostkiem o białych włosach, oświecającym jaskrawo pochodnię krzyż w jego dłoniach. Za mnichem i za wyrostkiem sunął śpiewający

korowód, szlachty, z której żaden nie myślał już w tej chwili ani o Miśniakowskim, ani o Turobojskim, jeno o pobożnych służbach dla Marji. Pochód szedł procesjonalnie przez ulicę, wiodącą do klasztoru, po drodze przyłączali się do niego spotkani przechodnie, a gdy stanęli u ogrodzenia, był to tłum, idący w tysiące. Wszystko to nappełniło dziedziniec i kaplicę, w której przed ołtarzem paliły się jeszcze światła. Ojciec Symforjan ukląkł na stopniach i śpiewał wraz z całym tym tłumem dalej.

Pan Kazimierz śpiewał z innymi, dziękując Bogu i N. Pannie z głębi serca za ocalenie własne i Hanusi. Potem jednak, wstawszy z klęczek, począł rozglądać się za kimś, ktoby mu wytłumaczył zdarzenia ostatniej godziny. Trafiło się pomyślnie, bo za progiem zetknął się z Deręgiewiczem wraz z jego nieodłącznymi kompanami, Harkosiejem i Jarosińskim.

Ujrawszy go, tTzej mężowie podnieśli wielki kla- mor, podając go jeden drugiemu w ramiona.

— Gdzieżeśto zgubił się? — wołał pan Bartłomiej. — Aż nam strach był, czy cię, aby tam gdzie w tłoku nie usiekli, bo pociemku o przypadek łatwo.

— A ten stary nequam, to sztuka cięta, daj go katu! — piszczął, bundziuczając się, Jarosiński. — Belzebubowi to kmotr! I kompanję godną nazbierał! Na fest przyjeżdżają, a ludzi niewinnych żgają! Cud, żeś żyw!

— Jakże! — wtrącił swym gromkim głosem Karaba- nowicz. — Toż kupą na jednego szli, chamów na szlachcica śłali! Za to jedno należało im gardła wziąć!

«— Bernardyn naschwał chłop, — przytwierdził słowom przyjaciela pan Bartłomiej; — ale co prawda, to nie grzech! Klechom nic do szlacheckich swarów i nicby to Najświętszej Panience nie szkodziło, gdybyśmy tych niecnotów przetrzepali! Co, gdyby nie bernardyn, byłoby się stało, jak amen w pacierzu!

— Pewnie, pewnie! Ale cóż, jak zaczął gadać, śpiewać... — przerwał Harkosiej.

— A bylibyśmy lepiej Pannę Świętą udelektowali, bijąc Jej Boskiemu Synowi na chwałę tego djabel- skiego pachółka, niż śpiewaniem!

— Ale cóż z waszmością działo się, żeś nam zniknął?

Poczęły się pytania i opowiadanie, z których Miśnia- kowski dowiedział się, komu zawdzięczał ocalenie. Był to Wałek, który, jak zwykle, niewiadomo w jaki sposób dostał się do Berdyczowa prawie równocześnie ze swym panem i, poczuwając się do obowiązku strzeżenia go, musiał pójść za nim niepostrzeżenie ku kwaterze starosty, a ujrawszy, co się święci, wrócił po odsiecz i czy że go widział rozmawiającego z panem Kazimierzem, czy przez prosty instynkt, zwrócił się naprzód do Deręgiewicza, a potem już odszukał w klasztorze ojca Symforjana.

— Dziwny to jednak chłopak! — zauważył z namysłem Miśniakowski. — Niby to niespełna rozumu, a w potrzebie mędrszy od statysty i zaradzi sobie i innym, niczem stary wyga.

Ale Jarosiński, który był urodzonym burdą i krwi czepiał się jak pijawka, powrócił do Turobojskiego.

Nie godziło się płazem puszczać tego, co uczynił. Toż to gwałt, toż to crimen! Bernardyn przeszkodził, dobrze! Książdz, święta rzecz! Ale teraz bernardyna niema, droga wolna, a honor szlachecki, to także święta rzecz, ergo...

I mały szlachcic silnie uderzał w szerpentyne, wołając w tłum, rojący się na podwórku:

— Panowie bracia! Komu klejnot miły, kto wolności szlacheckich nie chce dać na opresję i pohańbienie, za mną!

— Do kupy, mości panowie! Do kupy i razem! — rozległy się zewsząd głosy.

I w jednej chwili koło pana Błażeja skupiła się znaczna gromada szlachty, z której mało który jeno wiedział coś nie coś o powodach i celu wyprawy, ogół zaś biegł, nie wiedząc, ani dbając, o co idzie. Ot, zawołali: „Bić!” to i będzie bitwa, a jakże byłaby bitwa bez nich?!

Ale nie sążone było panu Jarosińskiemu przejechać się tej nocy szabelką, dobrze spraw takich świadomą, po karku pana starosty korystyszowskiego i jego dworzan a kozaków. Jeszcze orszak zbrojny nie przeszedł zwodzonego mostu, kiedy w przednich szeregach zakotłowało się, dała się słyszeć wymiana zdań, głośno w pośpiechu rzucanych, a potem zaczęto wołać poza siebie ku tylnym szeregom:

— Stać tam! Stać!

— A co tam? — poczęto pytać.

Inni zaś dodawali:

— Znów może bernardyn?

— Albo karmelita!

— Nie, panowie bracia! Do razu sztuka! Tym razem nie damy się!

— Nie damy się!

— Pójdziemy!

— Pójdziemy!

Ale pan Harkosiej, sterczący swą olbrzymią postacią ponad całą gromadą, odwrócił się teraz od pierwszego szeregu, w którym szedł, i huknął z całej siły:

— Nie pójdziecie, bo starosta umknął!

— Jako zając! — wrzasnął za nim Deręgiewicz.

Teraz zrobił się huczek na wielki kamień.

— A tchórz! A wstyd! A baba!

— W stu na jednego napadać potrafi, poddańcu- kami zastawiać się — też, ale jak przyjdzie stanąć twarzą w twarz szlachcie, wtedy on — zdechł pies!

— Hańba takiemu! Sygnet mu z palca zwlec, własną szablę na plecach mu połamać!

Jakiś tęgi szlachcic wysforował się przed kupą i wrzeszczał, że go i w klasztorze, i w połowie osady było słyhać:

— Kiedy starosta zając, to z nas ogary. Za nim, mości panowie, za nim, choćby i do samego Łaunia!

— Dobrze mówi Brzechwa! — ozwały się głosy.— Skończyć z tym opresorem i gwałcicielem!

— Jutki zrobić ze starosty i z godnego bratanka kozaka!

— Do koni, mości panowie, do koni!

Jarosiński był w swoim żywiole. Kręcił się, jak w ukropie, podzegał, zachęcał, szykował pochód. Ale

rozsądniejsi hamowali ten impet. Na nic było takie przedsięwzięcie. Jak świadczyli ci, co widzieli, Turobojski umknął konno wraz z córką i wszystkimi ludźmi, pozostawiając w gospodzie kolasę i sprzęt cały, było już temu ze dwie godziny. Któż go dogoni po- ciemku! I tak wiktoria to już była nad przemożnym pankiem, triumf dla szlachty niemały, że pycha jego została upokorzona i musiał tył podać, po nocy jako zbrodniarz się kryjąc! Dośćgnąć go nie dość się, a o Łazuniu nie było co i mówić! Zamek łazuński nie w same tylko wiwatowe moździerz był obronny, ale w przystojne śmigownice, na które nijak było iść z gołym łbem i szablą! I jeszcze taką kupą bezładną, bez wodza, bez planu! Na śmierć chyba i hańbę, na nic innego*.

Racje były tak potężne, że i sam pan Błażej, musiał je uznawać, bo choć z niego był człek wielce zapalczywy i do wszelkiego warchołu niepohamowany, miał przecie rozum nietylko w kruczkach prawnych obrotny. Zresztą i najbliżsi przyjaciele, zarówno pan Bartłomiej, jak i ogromny pan Dydak perswadowali mu, że na później odłożyć trzeba tę imprezę.

— Na później, to na później — rzekł wreszcie. — Ale pamiętajcie, mościpanowie, że co się odwlecze, to nie uciecze. My wszyscy mamy już dawno zakarbo- wane rachunki z Turobojskimi. Każdemu oni uczynili despekt lub krzywdę. Przyszedł czas zapłaty! Teraz zima i święta za pasem, ale niech jeno minie zapust i śniegi opadną, wtedy, bracia, bądźcie gotowi! Razem, jak jeden, zgoda!

— Zgoda! — huknęła szlachta jednym głosem. — Razem, jak jeden!

— Na pohybel Turobojskim! — wrzasnął pan Brzechwa, który chciał ścigać starostę, jak szaraka.

— Na pohybel iTurobojskfijm! — przywórzili wszyscy, podnosząc szable do góry.

Że zaś godzina była już późna, ten i ów odrywał się od kupy, dążąc ku domostwu, w którym kwaterował. Nie było to jednak widocznie po myśli Jarosińskiego, bo pośpieszył wysunąć się na przodek tłumu i jął pisać doniośle swym przenikliwym głosem:

— Czekajcie, panowie bracia! Nie rozchodźcie się! Jedno nam jeszcze pozostaje do zrobienia!

— Cóż tam jeszcze? — mruknął któryś z odchodzących, zatrzymując się jednak, acz niechętnie. Czy de noviter mamy delibrować o inkursji na Łazuń?

— Broń Boże! — odciął mały szlachcic. — Tamto już res judicata. Ale starostka, czego na koń nie chwycił, ostawił w kwaterze, a tego pewnie jest sporo. Maż to rozdrapać hultajstwo, albolli zabrać własna jego czeladź, wróciwszy tu chyłkiem o świcie? Nie sąż to nam, zwycięzcom, należne spolia i trofea? Ostawimyż je?

— Nie! Nie! — rozległo się w odpowiedzi.

— Słusznie mówi, słusznie!

— Że i sam król Salomon lepiejby nie wykoncy- pował!

Rotmistrz stał w tłumie, tak ogłuszony nawałą wypadków i wrażeń, że z tego, co się działo koło niego w tej chwili, nie zdawał sobie zgoła sprawy. Myśli jego były stąd daleko. Więc to Turobojskiemu cór

kę ochronił i prawie przywiódł do rąk własnych? Temu Turobojskiemu, który był zaklętym wrogiem jego rodu, prześladowcą jego ojca, a przed paru godzinami, o mało co nie stał się mordercą jego samego? I ta słodka Hanusia, to jego córka? Na tę myśl serce mu zamierało z żalu i robiło mu się wprost nieznośnie na duszy. Myślał sobie nieraz przez tych parę miesięcy w Horodyszczu, jak ją odnajdzie, jak będzie mu jej ojciec dziękować, a ona, słuchając, spuści oczęta i będzie nań spojierała boczkiem, szepcząc cichutko: „Dziękuję i ja!” A ot, doczekał się podziękowania i odtąd już każą tym dziecięcym usteczkom, by go przeklinały, jak wroga i już nie spojrzą nań więcej te oczęta, chyba ze zgrozą i strachem, tak, jak on za lat dziecinnych byłby patrzył na spotkanego Turo bojskiego.

Z tych smutnych myśli zbudził go głos znajomy.

— Panie! — szeptał ktoś, pociągając go za rękaw.

Obrócił się i ujrzał Walka.

— A, to ty, Salwatorze mój! — uśmiechnął się przyjaźnie do chłopca. — Czegóż chcesz?

— Ja tu do pana — rzekł chłopiec.

— Albo co?

— Niechno jegomość stąd prędko idzie!

Zdziwiony nieco, Miśniakowski poszedł za chłopcem,

który go poprowadził do klasztoru.

— Bo tam w celi ojca Symforjana pościel dla pana przygotowana.

— Ależ ja jeszcze spać nie idę! Ozy mnie ojciec Symforjan kazał wołać, czy co?

Chłopiec nic nie odpowiedział, ale nie puszczał ręki swego pana i prowadził go korytarzami drewnianego budynku, aż wreszcie stanęli przed drzwiczkami, które uchylił.

Była to komórka ciałnutka, w której w sam raz było miejsce na dwa posłania i dawał się słyszeć miarowy oddech śpiącego.

— Kto tam? — ozwał się senny głos bernardyna. — Czy to waszmość, panie Kazimierzu?

— Ja. Czy mnie ojciec wołał?

— Ja? Nie!

— Bo Waluś...

Mnich zaśmiał się.

— A, jak Wałek cię tu sprowadził, to pewnie była racja po temu! — zauważył napół żartobliwie, napół serjo. — No, chwała Bogu, że jesteś tu już i cały w dodatku, kładnijże się i śpij!

Przy zwodzonym moście tymczasem perorował dalej pan Błażej, a szlachta wtórzyła mu coraz to hałaśliwiej.

— Więc zanim złupim i z dymem puścim Łazuń, co Deo favente nieodmiennie nastąpi przed pierwszemi trawami, i dalej do kwatery starego zbója, dalej po substancję, którą braci naszej zagrabił!

— Dalej! — ryknęła szlachta.

I tłum znów popłynął ulicą, wiodącą do starościńskiej kwatery.

W domostwie było ciemno i cicho. Wszyscy spali, a jeśli nie spali, to udawali, że śpią. Ale napastnicy wszczęli tak piekielne larum, że wnet za świeżo połata-

nemi wrotami dał się słyszeć niepewny głos, pytający, czego tu żądano.

— Otwieraj, pókiś cały! — odkrzyknęto.

Stojący za drzwiami próbował jeszcze pytać, perswadować, zwłóczyć, ale przerwano mu od pierwszych słów takim potokiem wrzasków, grózb i wymyślań, że przestraszony nie próbował dalszego oporu i rozwarł drzwi, które już i tak gięły się pod naporem i ciosami oblegających. Tłuszcza wpadła ze zgiełkiem do domostwa, którego obie przeciwległe izby pełne były pozrywanych ze ścian kobierców i wszelakiego sprzętu, zwalonego kupą bezładną wśródku. Szlachta rzuciła się na to, wywlekając i unosząc, co się dało, a resztę rąbiąc i niszcząc bez litości, mimo, że gospodarz, stary ruski mieszczanin, ozy putny bojar, składał ręce i płakał, zaklinając się, że to nie pana TuTobojskiego, ale jego własna chudoba. Nikt nań nie zważał, okrutna żądza zniszczenia opanowała wszystkich, a gdy już w obu komorach pozostały jeno kupy gruzów, ktoś, podpity zapewne, wrzasnął naraz:

— Ognia do strzechy! Zniszczyć tę zbójcką gospodę!

Ale znów dały się słyszeć rozsądniejsze głosy, powstrzymujące rozjuszonych w ich zapędzie i powoli gromada szlachecka zaczęła topnieć i uciszać się, płynąc w różnych kierunkach miasteczka, każdy ku swej kwaterze, i ginąc w mrokach nocy.

A wtem zegar, umieszczony na tymczasowej dzwonnicy w klasztorze jął wydzwaniać północ. Z ostatniem jego uderzeniem ozwała się z nad kaplicy sygnaturka, wzywając srebrnym swym jękiem zakonników na nocne pacierze do chóru.

Pan Kazimierz poświęcił dzień odpustu pobożnym ćwiczeniom i dopiero nazajutrz dobrze już z południa zabrał się do domu, wysłuchawszy wotywy, którą na jego intencję i na podziękowanie Najświętszej Pannie za salwowanie z nieprzyjacielskich obieży odprawił przed cudownym obrazem ojciec Symforjan. Ale nie z samym tylko bernardynem wracał do swej pustki rotmistrz: towarzyszyła mu trójka przyjaciół, która świeżo oddała mu przeciw staroście korostyszewskiemu tak znaczne usługi.

Trzech przyjaciół wcale niewdzięcznie przyjęto w klasztorze po ich powrocie z wtórej wyprawy na pana Turobojskiego. Przedewszystkiem zastali most podniesiony, którego długo nie chciała im warta spuścić, tłumacząc się późną godziną i niepokojem, wywołanym tylko oo słyszanemi hałasami. Wreszcie puszczono ich na dziedziniec, ale zatrzymano znów u drzwi klasztoru i tam sprawa poszła jeszcze trudniej, bo furtjan o- znajmił kategorycznie, że ma rozkaz od ojca przeora by nikogo na noc nie wpuszczać po zamknięciu furty, bo to i nieporządek, i przeszkoda w nocnem nabożeństwie ojcom.

— Trzeba było waszmościom u tej kompanji przenocować, z którąście tyle dokazywali wieczorem i nocą,—zauważył z przekąsem braciszek, nierad, że mu spać nie dają po całodziennym trudzie odpustowym.

I chciał już nielitościwie rygiel zasunąć, ale szlachta nie dopuściła. Nie było oczywiście mowy o wdzie

raniu się siłą: przeciwnie, szlachta uderzyła w pokorę, submitując się, że nie dokazywała, jeno broniła uciśnionej niewinności, że na dworze mróz, aż dech zapiera i zmarzną pewnie wszyscy, jeśli ich od furty odpędzą, bo po nocy ni im koni swych odszukać we wsi, ni kwaterę znaleźć, aż wreszcie nasrożony furtjan dał się ułagodzić i palec ponad nos podniósłszy, jako znak upominania, i przykazując, by cicho stąpali, puścił przecie spóźnionych gości do refektarza, gdzie na rozesełanej słomie, kilimami okrytej, spała już pokotem z setka szlachty, chrapiąc bohatersko.

Nazajutrz nie było już mowy o nocnych przygodach, jeno o nabożeństwie, które z obiadową przerwą cały dzień trwało: ale trzeciego dnia Deręgiewicz oznajmił panu Kazimierzowi bez ogródek, że wraz z przyjaciółmi wybiera się do Horodyszcza w gościnę.

Rotmistrz zakłopotał się tą wieścią i z początku bąknął oos niewyraźnie, bo mu wstyd było przyznać się, że w zamku swych przodków nie ma ani gdzie, ani czem miłych gości przyjąć, potem jednak wzięł na odwagę i opowiedział wszystko jak było.

— Jako puszczyk mieszkam w ruderze bez okien ni drzwi, — mówił; — a spiżarni u mnie to i nie potrzeba, bo niema nic do chowania. Na głódbym chyba wasz- mościów prosił i na martyfkację, co mi i nie przystoi, jako szlachcicowi wobec tak godnych gości, i waćpanówby nie udelektowało, bo kiej, kto o pustym brzu chu gościa trzyma, ale kiej i ten, kto prawi, że o pustym brzuchu może być wesoło.

— A wszakże, słyszę, ojciec Symforjan na stałe do waćpana zaintromitował się? — zauważył przeciągle i przez nos, jako miał we zwyczaju, olbrzymi pan Har- kosiej.

— A bernardyński brzuch ze szlacheckim, i to nie byle jakim, wart iść w paragon! — zaśmiał się pan Bartłomiej. — Nie uląkł się ojciec Symforjan, nie ulękniemy się i my!

— Ojciec Symforjan, sługa boży i więcej anielskim chlebem się kanni, niżli ludzkim, a waszmościom rad- bym krew dać z pod serca, ale to na nic, bo krew pieczeni nie zastąpi, której u mnie nie najdzie.

— To nic! — zaśmiał się znów Deręgiewicz. — Będziemy obozowali, jako w Dzikich Polach bywało, pamiętasz wać? Cóż to my, piecuchy, czy co? Twardego żołnierskiego chleba każdy z nas kosztował i biedy zaznał wśród obcych i wśród wrogów: nie zniesiemy to jej krzynę u przyjaciela i dla przyjaciela?

— Taka to tam i bieda! — dorzucił pan Harko- siej. — Wiadomo, gdzie żonki niema, tam w spiżarni pusto, ale już też nie stanie się nam krzywda, bo gdzie bernardyn w domu, tam nie głodno nikomu!

Miśniakowski rozrzewnił się i jął wszystkich kolejno brać w ramiona.

— Jako bracia mi będziecie! — wołał wzruszony. — Żywota nie poskapię, by za taki afekt się wywdzięczyć! I że to waszmoście, mając tyle słusznej szlachty wśród znajomków i sąsiadów, do mnie, cherlaka, rezolwujecie się jechać! Aż mi dziw!

— Nie dziw się waćpan i nie sądz, że jeno dla wy- wczasu i krotochwili wybieramy się do ciebie, ani że

W z&klętem zamczysku.

U

nas mieć będziesz dzień dwa jeno, począł objaśniać go towarzysz pancernego znaku. — Na odwiedziny znalazłaby się może odpowiedniejsza pora, ale — tu
O coś innego idzie!

— O cóżto? — zagadnął z niejakim zdziwieniem rotmistrz.

— A o to, że starosta, raz wiedząc, z kim ma do czynienia, nie ostawi cię w spokoju, jeno pocznie pewnie turbować, a najeżdżać, a zdrady przeciw tobie czynić, a sidła i obieże nastawiać, w które prędzej czy później wpaść musisz, jeśli nie będziesz miał przy sobie wiernych komili tonów, którzy będą cię strzec

I ustrzegą, a szabli dobędą w sukurs twojej. Ot, na co my do ciebie jedziemy! Nam, póki śnieg w polu, nie następować na Łazuń, ale staroście na Horodyszczce łącno o każdej porze i bądź pewien, że nie omieszka tego uczynić, nim o kilka niedziel będziemy starsi!

Pan Kazimierz rozrzewnił się teraz jeszcze bardziej, widząc, jak szczerym ku niemu płonęli afektem. Więc znów im dziękował i ścisnął ich, i dozgonną wszystkim wdzięczność ślubował, i tak im na wynurzeniach wzajemnych zszedł czas aż do wyjazdu z klasztoru.

Sanna była przednia, ale wiatr siekł podróżnych przez całą drogę wprost w oczy i mróz ścisnął tego, tak, że choć przemian aury zwyczajni, dostali się do Horody- szczy nocą już, zziębli do kości, a zgłodniali, jak wilki. Ale już Tryfon, przodem wyprawiony, miał czas przygotować wszystko na przyjęcie gości, które wyglądało zgoła inaczej, niż w ów wieczór, gdy tu zawitał ojciec Pymforjan. Na gości czekał stół, nakryty przy pełnym ognia kominie, a na stole dymiły się misy, pełne jadła, którego woń smakowita rozchodziła się wokół, łechcąc miłe powonienie i obiecując podniebieniu i żołądkowi niemałe rozkosze.

Pokrzepiwszy wnet po zrzuceniu kożuchów siły nadwątlone sporym kielichem gorzałki i, uprzątawszy karpia na szaro i szczupaka po żydowsku wraz z trzema kopami pierogów z kapustą, podróżni poczuli, że im ulżyło znacznie. Grzejąc się więc przy ogniu, który miłe ciepło rozlewał po ich zziębłych członkach, popijając jeden po drugim kusztyczki starego miodu, który jeszcze milszem ciepłem napełniał im wnętrzości, rozpoczęli wesołą rozmowę, pełną żartów i dobrej myśli.

Deręgiewicz, wielki bywalec i gaduła, przytem zabijaka, opowiadał o swych przygodach na dworze pana hetmana Koniecpolskiego, o pojedynkach i zalotach, o tatarskich inkursjach i lisowczykach. Pan Harkosiej rzadka coś dorzucał tubalnym swym głosem, przeciągłym i nosowym. Jego, choć rycerski był człek z krwi i kości, mniej zajmowały wojenne przewagi

I szlacheckie zwady, zato przepadał za historjami o strachach i upiorach, bo wielkolud ów bał się duchów i wiedźm serdecznie i słuchać o nich lubił nad wszystko w świecie. Pan Jarosiński znów był chodzącą kroniką dwóch sąsiednich województw i znał historję każdej szramy na każdym łbie szlacheckim, a narrator był z niego napodziw, bo pamięć i elokwencję miał nadzwyczajną, a wymowie wtórowały gesty i cała postawa, tak, że spektatorowie oprócz pożytku z samego opowiadania mieli zarazem, patrząc nań, krotochwilę i praw-

dziwę teatrum. Skakał, wykręcał się, jak fryga, dłońmi młyńca czyniąc, naśladował do złudzenia głosy ludzi i zwierząt, oraz równoczesną rozmowę i kłótnię kilku osób. Nikt, jako on, nie potrafił podpatrzeć śmieszności i śmiesznością okryć; jakkolwiek też szlachta słuchała go chciwie i wyrywała sobie z rąk do rąk, bała się zarazem jego maśmieszków, jego żądła w języku gorzej jeszcze stokroć, niżli jego obrotności w kruczkach jury- stowskich.

— Temu w drogę nie włącz — mówiono o nim po dworach — bo szerpentyną tnie jak brzytwą, a językiem, jakoby całym tuzinem brzytew!

Bernardyn, obyczajem wówczas już utartym w jego zakonie, nietylko wesołości nie gasił, ale, głowę mając nie dla proporcji a język mało co mniej cięty od pana Jarosińskiego, sam do niej dodawał zarzewia. Koncepty, figielki, przypowiastrki sypały mu się, jak z rękawa, a choć sam obyczajności zelozissimus, byle czem się nie gorszył, moral zaś z każdej przygody słuszny wyciągnął, aż nieraz dziwowali się słuchacze bystrości jego dowcipu.

W godnej kompanji rychło człowieka odbieży troska. Pofolgowała na czas i panu Kazimierzowi. Czoło mu się rozchmurzyło, w oczach błysnęła kawalerska fantazja i, zachęcony przykładem towarzyszy, jął i on opowiadać o swych żołnierskich przygodach, których miał niemało i nieladajakich. Niedługo jednak przyszło mu potracić w narracji o żalose fata jego rodu i o własne smutki, a poniżenia lat pacholęcych, co mu i obecną nędzę, i najnowsze gorycze na myśl przywiodło.

Więc wyrazy poczęły mu rwać się i zastygać na wargach, aż wreszcie umilkł i, spuściwszy głowę, siedział osowiały i posepny, wbiwszy wzrok w ziemię.

Smutek gospodarza zmroził wesołość gości. Ustały żarty i śmiechy, jeden tylko bernardyn nie stracił rezonu. Pochylił się do siedzącego obok rotmistrza i uderzył go dłonią po kolanie.

— Co tam sumować, mości Kazimierzu! — zawołał wesoło. — Młodyś, to i przetrze ci się rychło, co dziś dolega. A przecie ci to pradziadowskie zamczysko samo w ręce wpadło, bez dekretów, ni najazdów, i ot, choć kąć swój masz. I reszta przyjdzie w swoim czasie, jeno serca nie trać!

Młodzieniec westchnął smutno.

— Serca ja nie tracę — rzekł; — i co do mnie należy, spełnię, a humorami czarnemi dobrej myśli wać- panów zakłócać nie chcę, ale przecie czasem, gdy rozejrzę się po tej ruderze w sam raz dla puszczyków, i pomyślę, że i ze mnie nic, tylko puszczyk jeden więcej, to ot, zdaje mi się, że wolejbyście mnie dali usiec pachołkom starosty!

Ojciec Symforjan brwi zmarszczył i otwierał już usta, by panu Kazimierzowi odpowiedzieć, ale ubiegł go Karabanowicz. Był on wielce pobożny i obruszyły go ostatnie słowa Miśniakowskiego.

— Pleciesz waść! — zagrzemiał, rozstawiając powoli, podług zwyczaju, zgłoski jedną za drugą. — Komu Bóg śmierć przeznaczył w uczciwej sprawie, ten niech daje gardło, ufając w miosierdzie boże. Ale dać się zarąbać z własnej woli, toż prawe suicidium! Piękny

koniec, niema co mówić: skon. przed czasem, a potem djabłu na rozeń! Mitygujże się waćpan, bo nie masz powodu do desperacji, jako ci to już dobrodziej wylu- szczył, niczem Cycero.

— Słusznie mówi pan Dydak — przytwierdził De ręgi jwicz. — I to sobie zapamiętaj, że nie szemrać ci przeciw wyrokowi Opatrzności ale snadniej korzyć się wdzięcznie przystoi przed ich łaskawością. Bo zważ jeno, jako to ci się tutaj składa. Od kiedym przybył w te strony, nie słyszę nic, jeno: Turobojscy! Kto granice narusza, kto cudze grunta gwałtem zabiera, kto cudze chłopstwo zapędza do własnych pługów? Turobojscy! Kto szlachtą ponieważ, kto posesjonatów kańczugami każe okładać i po lochach więzi? Turobojscy! Kto sąsiadów zajeżdża i łupi, pustkę i zgłiszcza za sobą zostawując? Turobojscy! Nie masz tu o trzydzieści mil wokoło, ktoby od nich nie był pokrzywdzon i nie czekał jeno okazji, by słuszną pomstę wziąć. A twoje prawo pierwsze, boś ty najbardziej ukrzywdzony. I przychodzisz tu właśnie wporę, by ci dojrzały owoc sam w ręce wpadł!

— I wpadnie! — zapiszczał, sycząc i rękami wymachując gwałtownie, Jarosiński. — I wpadnie, bo cała szlachta stanie przy tobie, jak jeden mąż. Każdemu u nas Turobojscy kością w gardle, każdy ma z nimi porachunki, bo każdemu dogryźli do żywego, jeno niema komu hetmanić. Jać szyki zwołam i będę żagwią, co je rozpali, ale wieść ich nijak mi z moją mizerną posturą. A waćpan, to jakbyś urodzony do tego!

Pan Kazimierz rękę wyciągnął przed siebie, jakby nią coś odpychał, i wargi otwierał dla odpowiedzi, gdy mu przerwał pan Dydak. Miał on ząb szczególnie prze ciw Szczepanowi.

— Stary, jak stary: w pierwszym impecie gotów zawsze zarać człowieka, ale gdy ochłonie, ma jeszcze trochę pohamowania i trafisz z nim do ładu, ale Szczepan, to czart wcielony! Nic mu nie jest święte, przed niczem się nie cofnie.

— Wieleż to panienek pogwacił, wiele sromu zacnym rodzinom przyniósł, nawet pannom zakonnym i domom bożym nie darował. A co krwi na jego rękach, co krwi! A jeszcze od czasu, jak ze Siczy wrócił i tego watażkę ze sobą przywiózł, to już zamarło w nim docna sumienie i wszystko ludzkie i, jako strzyga, samą tylko krwią żyje. I nic mu za to, choć i nuncjatura w to się wdała z powodu owych napaści na klasztory.

— Tak, tak! — syknął znów Jarosiński. — Czas już na Turobojskich pomstę wziąć, czas!

— Sam Bóg nam tu waćpana zesłał, gdy już pacjen- cja nasza dobiegła mety! — zauważył Karabanowicz.

— Dlaczegoż jednak ja, dopiero co przybyły, mam być przywódcą tej imprezy, skoro tyłu godniejszych ode mnie i bardziej położenia i kraju świadomych? — spytał Miśniakowski.

Jarosiński z Harkosiejem jęli mu rację przekładać, że jednak obaj mówili razem i nader zapalczywie, starając się wzajem przekrzyczeć, jeden doniosłością głosu, drugi przenikliwością swego dyszkantu, Deręgie- wiez uciszył obu i sam jął wyhiszczać przyjacielowi, dlaczego on właśnie, jako homo novus w tych stronach

był tym jednym, na którego zgodzą się wszyscy, bo nie naraził się nikomu i nikomu nie zabiegł drogi, podczas gdy każdy z miejscowych miał kogoś przeciw sobie, kto raczejby sam uderzył na wyprawę, niżby się poddał jego komendzie. A przytem co tu i gadać? Pokrzywdzonych jest wielu przez Turobojskich, ale nikt tyle, co Miśniakowscy, pierwsi niegdyś w powiecie, a teraz ze wszystkiego wyzuci; słusznie więc, by i w pomście mieli pierwsze miejsce.

Pan Kazimierz wysłuchał towarzystwa do końca, nie przerywając; potem wysłuchał jeszcze kolejnych przemówień pana Dydaka i pana Błażeja, potem, gdy racje wyczerpawszy umilkli wreszcie i strudzone gardła pokrzepiali sporemi łykami miodu, milczał i on dłuższą chwilę, wreszcie głowę opuszczoną na piersi podniósł, spojrzawszy wdzięcznie po przyjaciółach i ozwał się do nich w te słowa:

— Tak wielkim jest afekt waćpanów ku mojej nickszemnej personie, żebym i żywot za was dał, jeszcze należycie nie odpłacę. Słuszne też racje waćpanowic przytaczacie i w inszych cyrkumstancjach dałbym się pewnie przekonać. Tak jednak Bóg zarządził, że z tego coście o mnie uradzili, nie może nic być.

— Jaktó? Jaktó?! — zakrzyknęli wszyscy prócz bernardyna, który całej tej rozmowy słuchał w milczeniu, nie mieszając się do niej ani słowem i nie dając po sobie poznać, co myśli. — Co on prawi? Dlaczego?

— Nie wstrzymuję ja waszmościów od wyprawy przeciw starości, sam jednak nie będę ani onej przewodził, ani do niej należał.

— Dlaczego? — wrzasnęli w najwyższym zdumieniu.

— Dlatego, bo ja nie chcę walczyć z tym człowiekiem.

Wszyscy trzej mężowie porwali się z zydlów, jak oparzeni.

— Co, co?! — krzyknął Deręgiewicz. Nie chcesz walki z Turobojskimi? Darujesz im? Płazem puszczasz wszystko, co wam Turobojscy uczynili?

— Nie to, co Turobojscy uczynili — odrzekł z naciskiem rotmistrz; — jeno co uczynił Turobojski.

— Zato, że twą matkę wyszczuł stąd psami, ojca w łańcuchach pod tą podłogą trzymał, a samego mało co nie rozsiekał zdradą? — ryczał Deręgiewicz.

— Przebaczasz i zgodę uczynisz? — grzmiał Har-kosiej, dodając wcale niebogobojne przekleństwo.

— I proces umorzysz, i z pretensyj skwitujesz, i w służbę może do Łazunia pójdiesz? — pisał, pieniąc się i parskając, jak wściekły kot, Jarosiński.

— I będziesz nosił barwę Turobojskich!

— I gdy ciebie Turobojski w pysk trzaśnie, nastawisz drugi!

Rotmistrz dał im wykrzyzczyć się, naurągać sobie, póki zmęczenie tchu im nie zaparło i nie zmusiło sięgnąć po kubki z miodem.

— O tem wszystkim i mowy niemasz — rzekł wreszcie spokojnym głosem, gdy ochrypli z krzyku, umilkli, sapiąc już tylko z gniewu. — Proces wieść będę dalej, jako rodzic nieboszczyk wiódł, i ani o włos nie popuszczę z tego, co nam od nich należy, bo mi tak. pod błogosławieństwem kazano. I bronić się panu starości korystyszowskiemu będę, jeśli na mnie napad

nie, a aa tamtego zbója gotówem z wami iść, a i bez was bym go poszukał, bo mu ode mnie należy się nagroda i, wspomóż Bóg, dostanie ją.

— Więc? — przerwał niecierpliwie Deręgiewicz.

— Więc nie myślcie o mnie ani nazbyt źle ani nazbyt dobrze, jeno to, czegom wart, bom też nie ksiądz, teraz powiem, choć to i dziwnem zdać się komu może, jeno rycerz, jak i wy, nie dziwcie się temu, co wam i sambym pewnie się dziwił, gdyby mi to o innym powiadali.

— Co że to jeŝt tedy, o ężem mówisz? — spytał Harkosiej, nie mogąc powstrzymać ciekawości, którą z przyrodzenia miał wielką.

— Otworzę wam, jako dobrym przyjaciółom, wszystkie arcana mojej duszy. Wiedźże tedy, że mi nijak nastawać na starostę, bo on. jest ojcem onej dziewczki, której stanąłem w przygodzie, jako wam opowiadałem, i którą umiłowałem, jakoby rodzoną.

Szlachcice spojrzeli po sobie.

— Wieleż lat liczy ona dziewczka? — spytał Deręgiewicz.

— Skrzat to dopiero i pewnie niema więcej czternastu roków. Nie myślcie też, waćpanowie., broń Boże, co innego, niż to, co jest. Nieprędko tam będzie pole dla pocisków Kupidyna. Mnie zaś ona dlatego stała się tak droga, bo mi zmarłą siostrzyczkę przypomniła i powziąłem też ku niej afekt, jakby ku siostrze alboli córce własnej, zwłaszcza, że to z taką ufnością schroniła się pod moją protekcję, jakobym plaśnie jej ojcem był, a nie obcym.

— Hm! W waszmościnyh lecich ten ojcowy, a choćby i braterski afekt... — mruknął Deręgiewicz i urwał.

— To jakby afekt wilka ku owieczce! — dokończył cicho Jarosiński, stając na palcach przy Karaba- nowiczu, by dosięgnąć jego ucha.

— Jakże mi to więc na jej rodzica nastawać?—rmć- wił dalej pan Kazimierz, nie dosłyszawszy złośliwych błów małego szlachcica. — A toż znaczyłoby nastawać i n,a nią, niebogę! Nie, Boga mi! Krzywd ojców dochodzić i mścić je będę, bom to powinien, ale o własnych godzi mi. się zapomnieć. Niechże stąd przynajmniej nie wyniknie dla niej frasunek.

Trzej rycerze mieli serca tkliwe i jako przedtem Obruszyli się na rotmistrza, tak teraz, pełni kompasj i, Obstąpili go w krąg i poczęli brać w ramiona.

— Skoro tak, — zawołał wesoło Deręgiewicz — to siedźże doma a my ci pannę tu do Horodyszczka przywieziemy.

— I zaraz weselisko — zapiszczał Jarosiński.

— To już i pozwów nie będzie potrzeba, i kauzyper- dy mogą w kąć iść! — dorzucił Karabanowicz, aż szyby w oknach zatrzęśły się.

— Urznę się, niczem Bela — huknął znów Deręgiewicz.

— Wszyscy urzniemy się, jak nieboskie stworzenia, żeby uczcić należycie taką solemnitatem! — poprawił Jarosiński.

I wezbrała w nich radość, bo pewni byli pomyślnego wyniku wyprawy na Łaziui i już widzieli przyjaciela, rekuperującego wszystko, co utracili ojcowie, z do

datkiem umiłowanej dziewczki i z całą substancją starosty, jako jej wianem. Huczeli też, niby rój potwornych rozmiarami bąków. Ale ojciec Symforjan nie dzielił ich wesela i nie łączył swego głosu z ich gwarem: siedział owszem zamyślony i poważny, rzucając od czasu do czasu bystre spojrzenie na pana Kazimierza, jakby mu chciał myśli wyczytać z oblicza. Owemu zaś oblicze sponęniało i brwi się ściągnęły, a w oczach odmalowało się nieznośne cierpienie i trwał tak w milczeniu, podczas, gdy jego towarzysze wiwatowali, aż wreszcie, lubo trunkiem wielce rozgrzani, spostrzegli smutek gospodarza i umilkli zdziwieni.

— Cóżto, mości Kazimierzu? — zapytał Deręgie-wicz. — My ci tu horoscopia szczęsnego hymenu i wszelakiej fortuny stawiamy, a ty jako mruk siedzisz i minę masz, jako płaczka na grorzebie!

Inni wtórowali panu Bartłomiejowi, a Miśniakowski czas jeszcze im nie odpowiadał, aż wreszcie głowę podniósł i rzekł spokojnym, ale cichym i jakby zduszonym głosem:

— Ostawcie dyskurs wasz o tem, waszmoście, nie może bowiem z tego nic być. Com rzekł o moim afekcie, dobrzem rzekł. Nie jako oblubienicę ja tę dziewczkę miłuję, jeno jako siostrę i to mi wolno, a inaczej mi nie lzia. I choćbyście mi ją waszmoście na próg tej kaplicy przywiedli, i choćby mi ją ojciec własny sam do rąk dawał i ona, nieboga, u nóg mych leżała., prosząc bym ją poślubił, jeszczebym tego nie uczynił i ręki z nią pod stułębym nie dał, bo prędzej mi na tej dłoni

włos porośnie, jako u niedźwiadka, niż ona moja stać się może!

Towarzysze zdumieli się jeszcze bardziej, głową kręcąc, w dłonie uderzając i ramionami ruszając, jako ludzie, których zgoła nieprzewidziany spotkał casus, on zaś czoło nisko pochylił, opierając je na splecionych palcach i tak dalej mówił bardzo cicho, szeptem prawie i więcej jeszcze sam do siebie, niż do nich.

— Oj, nie poruszajcie już więcej materji tej, dla Boga, bo sami nie wiecie, jak głęboko wwierca mi się ona żelazem w samo serce. Sieroca było moja dola, odkąd pomnę. Sam byłem zawsze i poniewierali mną ludzie, jako charłakiem. Tak było u rodzica, tak w konwikcie, a z początku to i w wojsku. Potem człowiek trochę się wygrzebał, ale tyle też było mego, co tej garści i tej szabliny. Gdybym jednak choć mógł ostać przy moim kolecie rotmistrzowskim, jakośbym się przeokołatał przez żywot. Ale cóż? Wracać trzeba było do tej pustki na gorszą biedę i na borykanie się takie właśnie, jakoby myszy z kotem. I ot, błysła i mnie gwiazdka, pierwsza w życiu, od kiedym stracił Łusię. Bóg widzi, nie myślałem o niczem więcej, ale słodko mi było patrzeć w te oczęta, zwracające się za mną, gdziekolwiek się ruszyłem, i mówić sobie, że jest takie serce, w któ rem obraz mój żywię i zawsze żyć będzie! Nie myślałem nic więcej, to, confíteor, myślałem, że ten afekt, jaki uczułem i ten, jakim mi ono niebożatko odpłacało, nie ustana i nie zmienia się nigdy, i że będę tam do niej wyrwał się, kędykolwiek ona będzie, gdy samego nadto już w tej ruderze żałość przycisnie, a ona, ujrzawszy

mnie, w rączęta uderzy, i zaśmieje się do mnie, i za- szczebiocze, jako ptaszyna, i moja mizerna persona, nikomu na świecie niepotrzebna, jej jednej sprawi radość, gdy ją ujrzy. A teraz, widzę, skończyło Się; i nie masz już jej dla mnie; i nie ujrzą już jej moje oczy, chyba, jako się widzi wrogów i tych, co kontómpjt jeno mają dla nas...

Urwał, zmOżony żalnością, i trwał chwilę w milczeniu, którego tamci nie śmieli przerywać, widząc, że cierpi nad miarę choć niecałkiem jeszcze rozurtiieii wszystkie przyczyny tego cierpienia.

— A co' o przeszkodzie onej się rzekło, która pomiędzy nami stoi — począł znów rotmistrz — to prawdą jest, i nikt z waszmościów mi nie zaprzeczy, gdy rzecz pozna.

— Mówże Waś — przerwał niecierpliwie pan Harkosiej";¹ — bo już dalibóg nie strzymać nam, tak pilno chcemy o wszystkim wiedzieć.

— I to nam dziw, có o przeszkodzie onej prawisz! — dodał Jarosiński. — Bo że dziś ona jest, toć ślepy dojrzy, ale w takich konjunkturach', o których sam wspominasz, gdzie ta przeszkoda? Chyba strach ci pannę gwałtem brać, aleć skoro ona ci nie krzywda, to i ten strach torby sieczki niewart.

Miśniakowski nie odpowiedział wprost przyjaciółom, jeno ciągnął dalej tym samym, co przedtem głosem.

— Różne są przeszkody, które ludziom na drodze do ich szczęśliwości stają. Bywa, taka, że zda się nic na świecie przeciw niej nie poradzi, aż oto patrz: jutro już; jakby ją wiatr zdmuchnął! Ani' śladu! Bywa, że ojce i dziady w waśni a zawziętości żyli. a wnuków pO^ódzi stuła. Bywa, że chudopałek zaślubia magnacką córkę, a chłop, sochą przerzucając ziemię; najdzie garnek i panem zostanie. Wiem to i choć młody, sam widziałem...

— A widzisz! — wtrącił Deręgiewicz.

— Bó co od samego jeiiio człowieka — cągnął dalej młodzieniec, nie zważając na przerwę — to i odrobić może człowiek. Gorzej, jeśli z Bogiem sprawa!

— Co, co? — wyrwało się razem Wszystkim trzem rycerzom. — Z Bogiem?

— Na to już niema rady nijakiej, i nie waćpanowie będziecie mi negować, boście nie bisurmany, choć to i o bisurmanach prawią, że dochowują przysięg. A ja ilrtfysięgłem!

— Kiedy? Kiedy?!

— Ojcu. Kiedym po absolwowaniu humaniorów na żołnierkę wybierał się i w drodze do obozu zajechałem do Łucka, by jegomości dobrodziejowi do nóg paść i wziąć od niego błogosławieństwo," On mi wówczas na krucyfiks rękę kłaść kazał i Mękę Pańską ucałować na to, że póki mego życia, pomsty słusznej rta Tu- robojskich nie poniecham, że ręki do żadnego nie wyciągnę i z krwią ich nie połączę się. „Czego, gdyby* nie dokonał, jurameńtum niniejsze łamiąc — rzecze — tedy na oczy mi się więcej nie pokazuj i za obcego a wroga mnie miej, ale wiedz to, że klątwa moja ścigać cię będzie przez wszystkie dni twego żywota i że po śmierci jeszcze nie dam ci spokoju, jeno z grobu do ciebie ptfzyjdę; by cię straszyc i kalać! Tak mi rodzic —

mówi — na śmiertelnej pościeli przykazywał i tak ja jemu przysięgałem, tak i tobie każę. A jakom ja jemu dochował, tak i ty mnie dochowaj, inaczej gorze ci"! Tak to on mówił i miał prawo mówić, bo nad miarę był ukrzywdzon.

— A tyś przysięgł? — spytał Deręgiewicz.

— A jam przysięgł, i, tak mi dopomóż Bóg, przy- sięgi nie złamię!

Głos młodego rycerza był poważny i uroczysty. Mówiąc, oczy w górę podniósł, jakby czegoś niewidzialnego szukał lub na świadka słów wzywał.

— Amen! — rzekł pan Bartłomiej.

— Amen! — powtórzyli dwaj inni.

Jeden ojciec Symforjan nie rzekł nic i siedział, jako przedtem, nieruchomy na swem poczesnym miejscu w poręczowym krześle u komina, bębniąc palcami po stole.

Zastanowiło to Harkosieja, który, jako człek nabożny, dbał wielce o zdanie osób z duchownego stanu.

— A wyż, ojczulku, co na to wszystko?—zagadnął.

Bernardyn nie zaraz odpowiedział. Brwi zlekką ściągnął i zdawał się namyślać, wreszcie począł mówić powoli i jakoby z ociąganiem się.

— Właściwością to jest zmiennych humorów ludzkiej natury, że nic tu na ziemi stałego, jeno to, co od Boga. Słusznie też imćpan Kazimierz to rzekł, iż ludzkie proposita wiatr zwiewa, a jednak ludzie trzymają się ich uparcie, tran uparciej, im bardziej są grzeszne. Spójrzycie jeno waszmoście, co to się dzieje z tą nieszczęsną Rzeczpospolitą! Popuścili jej u ścian zewnątrz

ných nieprzyjaciele, pokój dał nam Bóg, jakiegośmy od śmierci ostatniego Jagiellona nie mieli: i cóż stąd? Azali mniej krwi się leje od zjazdów, pojedynków, waśni braterskiej? Azali mniej opresji słabych przez możnych, mniej wyzysku i znęcania się nad poddanymi, mniej rozbojów, gwałtów, zwyciężania lewem, gdy nie ma się p j swej stronie prawa? Zaprawdę, mościpanowie, mierzi chrześcijańską duszę ten kraj, w którym wszystkiego znajdziesz, prócz sprawiedliwości i takiej swobody, któraby nie była niewolą innych.

Trzej szlachcice przy tych słowach poruszyli się niespokojnie.

— Coś do przywilejów nobilitatis szpetnie zaczyna przymawiać! — mruknął Jarosiński pod nosem.

— Sam z łyczków pewnie, to i postponuje stan rycerski — dorzucił cicho Deręgiewicz.

Bernardyn nie dosłyszał tych uwag, zaczerpnąwszy więc powietrza, tak dalej mówił:

— Bywałem ci ja w sprawach zakonu i na pobożnych peregrynacjach w różnych ziemiach: i na Tur- czech i pod cesarzem, i w italskim kraju i wszędy napatrzyłem się niemało. Złych ludzi nigdzie nie brak ani nawet w Rzymie pod bokiem Ojca świętego. I królowie są różni i magnates. Jednemu wiara prawdziwa śmierdzi, drugi ma ręce krwią niewinną umazane po łokcie, a inny jeszcze dobrem cudzem wzbogacon i za nową zdobyczą ogląda się, jako pajak za muchą. I swawola zdarza się, a jakże. Tylko tego niemasz nigdzie, nawet pod pohańcem, żeby swawola stała się powszechnym obyczajem i nie miała nigdy kary, by

każdy
W zakłętera zamczysku.

u

sobie sam był prawem i wolę własną ponad wszystko ważył i tylko silniejszej, niż własna, pięści się bał.- A u nas tak właśnie jest!

Szlachta znów poruszyła się niespokojnie.

— A to ci nam kazanie mnich uciął!—syknął przez zaciśnięte zęby do Karabanowicza Jarosiński.

— Wolność szlachecka, to żrenica oka Rzeczypospolitej — zauważył sentencjonalnie Deręgiewicz.

— A ja słyszałem, że ze wszystkich ziem in univer- so żadna z naszą Polską nie może iść w paragon — dodał Karabanowicz.

— Bóg dał nam wiele, nie neguję, — odparł ojciec Symforjan — i ziemię rodzajną, i dobra wszelakiego obfitość, ale wieleżemy to już zmarnowali, a wiele wnukom waszmościów ostanie, niech jeno dalej trwają one wolności, o których tak pięknie prawił wobec króla jegomości i stanów świątobliwy ojciec Societa- tis, Pawęski, którego Skargą nazywano, że to się skarżył na one wolności niemiłe Bogu, a ludziom szkodliwe. Piękna wolność — mordy i grabieży! Ani słowa!

— Właściwie jednak — przerwał niecierpliwie Jarosiński — dlaczego to nam dobrodziej mówisz?

— Myż nie najeżdżamy nikogo, ani rozbijamy, ani krew niewinna przyschła na naszym ręku! — dodał z wyrzutem, pan Harkosiej.

— Nie zajeżdżacie, nie zajeżdżacie!—mruknął z niechęcią mnich. — Et. co tam z wami będę gadał!

— Aleś przecie i tak jegomość dość nagadał,—zauważył, uśmiechając się Deręgiewicz, który miał z przy

rodzenia duszę wesołą i mniej od towarzyszy brał do serca urazy. — I dlaczegóż to, proszę?

— A choćby i dlatego — odburknął bernardyn; — byście Pana Boga nie brali na konfidenta i protektora waszych burd!

— Jakżeto, jak dobrodziej myślisz?—pytał zdziwiony temi słowy Deręgiewicz.

— A tak, a tak! — wołał ojciec Symforjan, zaperzony irytacją, której nikt nie dorozumiewał się powodu, i bijąc w stół pięścią, aż huczało. — Co Bóg związał, do tego człowiekowi wara, ale co człowiek namotał, to Bóg przeciąć mocen ! Rozumiesz waść, he?

IV.

* '

STRYJ I BRATANEK.

Starosta korystyszowski siedział w krześle, skórą obitem, grzejąc stygnącą krew i chore, sukнем owinięte nogi przy ogniu, którym buchało wewnątrz ogromnego komina. Obok niego na kamiennych płytach podłogi leżały dwa wielkie charty stepowe wilczej porody, mocne wilka w pojedynkę brać, a złośliwe, i czujne nad podziw. Po izbie przechadzał się nierównym krokiem, to zatrzymując się, jakby w niepewności, to rzucając się niecierpliwie, to przyspieszając biegu, własne jako czyni dziki zwierz w klatce,—mąż lat jeszcze dość młodych, ale snadź mocno już zużyty wichrami i fatygami żywota, o twarzy okrytej krwa-

wemi centkami, brzydkiej i okrutnej, oraz złowrogich, zpedelba patrzących oczach, ten sam, który przed kilku miesiącami napadł znienacka na gościńcu za Berdyczowem rotmistrza Miśniakowskiego i o mało co zdradą nie zbawił go żywota,—bratanek starosty, Szczepan Turobojski.

Obszerna, narożna komnata wyglądała posepnie i surowo. Gdyby nie jaskrawy płomień ogniska, byłoby w niej zupełnie ciemno mimo słonecznego dnia, bo nadmiernie gruby mur przecinało parę jeno okienek, wąskich, jak strzelnice, i przepuszczających mało co światła przez zielonawe szyby w ołów oprawne. Ściany przesiąknięte wilgocią, pozbawione były obić i ozdób: okrywała je jedynie moc wszelkiego rodzaju żelaziwa, zbroi i ręcznego oręża, wśród którego niejedna sztuka uderzała nie tylko blaskiem drogiego kamienia, ale bardziej jeszcze misterną i kunsztowną robotą.

Starosta pogrążony był w myślach widocznie niewesołych, bo czoło mu się sfaldowało i siwe brwi zetknęły prawie, zjeżone groźnie, a wargi zaciśnięte miały twardy i zacięty wyraz. Poza tem jednak zdawał się być spokojny i niemal chłodny podczas, gdy jego bratanek jakby był gnany przez furję, taka w obliczu jego malowała się wściekłość, tak z nadmiaru jej gorzały mu oczy, niczem żagwie, i trzęsły się, niby w febrze, dłonie, i słowa nie mogły przedostać się przez zaciśnięte pasją gardło, a zamiast nich słychać było nieraz tylko charkot i niewyraźne bełkotanie.

Stary karciał bratanka za zbytnią porywczosć i per swadował, by przedewszystkiem uspokoił się, nim rozpocznie stateczną rozmowę.

— Wszystkich nas zapalczywość gubi — mówił, wzdychając; — ale nikt z naszych nie poddawał się nigdy onej nieprzebiecznej pasji w takim stopniu, jako waść czynisz! A toż, patrząc na ciebie, niewiadomo, czy bestję, czy mente captum ma się przed sobą. Tfu, do tysiąca czartów rogatych! Wstydź się, mości Szczepanie, jak krzykliwy dzieciak ślinę jeno i belkol. z grdyki wypuszczać, miast roztropnego słowa!

ów zaś stanął przed krzesłem starosty i przez chwilę mocował się sam ze sobą, usiłując gębą wykrztusić to, co mu rozpierało pierś i krew napędzało na dziobate lica.

— Bośmy obaj mieli tego psiego syna w rękach i wysliznął nam się, jako węgorz, a teraz szukaj wiatru w polu! — wrzasnął. — Górze! Górze!

— Naprzód nie w polu go szukać należy, ale w Ho- rodyszczu... — zaczął stary.
. — I cóż stąd, jeśli mi jegomość wzbrania wykurzyć go stamtąd, jak lisa z nory!

— Powtóre — mówił dalej starosta, nie zważając na przerwę: — obaj my z waścią pokpiliśmy sprawę nie dlatego, żeśmy tego włóczykija nie usiekli, ale dlatego właśnie, bośmy na jego żywot przedwcześnie i zgoła niepotrzebnie godzili. Waść, jak waść; wąs masz czarny i kozackie maniery, to i nie dziw, ale mnie staremu co innego doradzała eksperjencja i nie godziło się tak szast prast iść za pierwszym impulsem.

Szczepan oczki wylupiaste wytrzeszczył w zdumie* niu na stryja.

— Niechże mnie kule biją, jeśli rozumiem!—krzyk* nął. — Jakże to jegomość myślisz? To może należało tego hołysza na ławie posadzić i co najlepszem winem uraczyć a sygnetem udarować?

— Chciałem tak właśnie uczynić — rzekł posępnie starosta; — i bodajbym to był raczej uczynił!

Młodszy Turobojski w podgolony łeb uderzył się dłonią i za czub, kozackim obyczajem wystający przy ciemieniu, pochwycił.

— Za to wszystko, co nam oni z ojca i dziada uczynili?

— Nie za to: za to, co on sam uczynił.

Szczepanowi Turobojskiemu oczy zaiskrzyły się dziko i piana wystąpiła na usta.

— Za to właśnie żywcem go ze skóry obedrzeć należało! — wybełkotał przez zaciśnięte zęby.

Starosta głową potrząsnął.

— Nie! Za to wart był nagrody, bo rzetelną oddał przysługę. Spłaciwszy dług wdzięczności czas był pomyśleć o długu zemsty. A myśmy obaj nagrodzili go kulą i mieczem. Tyś przynajmniej nie wiedział, że on Hanusię ocalił, a nie porwał, ale ja wiedziałem, a przecie posłyszawszy to przekłete miano — zapamiętałem się...

Szczepan zachnął się niecierpliwie.

— Za mądre to dla mnie racje! — mruknął. — I skądże to u jegomości wzięła się taka delikatność sumienia?

Starosta rainionami ruszył.

— Może delikatność sumienia, a może też i dba* łość o własną naszą skórę. Broiliśmy, mości Szczepanie, broiliśmy, ojce moi, i ja, i wy młodzi, bodajby nie trzeba było pożałować! Do czasu dzban wodę nosi a wilk owce. Może na to przyjść, że ucho u dzbana urwie się, a wilka inni poniosą.

— Obaczmy! — syknął wściekle Szczepan, mieniając się na obliczu.

— Nie przerywaj mi. Ty tego nie widzisz, boś młody i rąbać jeno umiesz a pozatem nic, ze mnie zaś stary ćwik: widzę i rozumiem, o czym tobie ani się śni. Owóż widzisz u nas za starego króla każdy czynił, co chciał, jako i przedtem nieraz bywało. Przycisnęli nas Miśniakowscy, my w odwet zdławiliśmy Mi- śniakowskich, że i ślad ich tu zaginął. I nie jednych Miśniakowskich, ale i innych wielu. To były Szczuki, ale ileż to my, oprócz szczuk, pożarli karasiów i płotek! I ot, za dużo tego było, za dużo! Choć ono i drobiazg, ale drobiazgu tego moc a moc małych, to i dla najtęższego zguba! Wspomnij jeno na Popiela, którego myszy zjadły!

— Co mi tam jegomość będziesz zawracał łeb bajkami, któremi niańki usypiają pędraków!

— Bodajby u nas nie powtórzyła się taka bajka. Pomnij, co ci mówię, nowe czasy idą! Przedtem wojna gorzała ze wszystkich stron, nie było komu o ład stać, więc i czynił każdy, co jeno chciał. Teraz spokój, ludu orężnego wróciło moc, a król młody i butny, na Stefana patrzy. Z takim nie wojuj!

•— Więc cóż stąd? — wybuchnął Szczepan. — Myż nie wojujemy, jeno w garści dzierzymy, co nasze! A jak teraz takie czasy, że ruszyć się nie lizia, to i tym char- lakom wara przeciw nam iść!

Stary głową skinął.

— Toś mądrze rzekł, ani słowa! Im przeciw nam nie iść, ale i nam nie nastawać na żadnego, więc i na tego gołopięta nie! I dlatego ci wzbronil!

— Ni piesby za nim nie zawył! Nikt go tu nie zna!

— A czemużto w Berdyczowie wszystka szlachta stanęła przy nim przeciw mnie?

— Wiadomo: hołota do hołoty ciągnie!

— Hołota hołotą, a siła siłą. Mrówka przeciw myszy mały insekt, a połów mysz w mrowisku: wnet kosteczki jeno ostaną.

— To już wolej mi Popielem być, niż myszą — za- ryhotał Szczepan, białymi kłami błyskając, jak wilk.

— Żart żartem, a ty rozum miej ! Na tego urwipoł- cia nie porywaj się, bo tam koło niego szlachta kręci się i ten warchoł Jarosiński po całej okolicy knuje a wierci, niczem kret w ziemi, a rajcuje, a sejmikuje, i wszystko przeciw nam. Niechże im damy przyczynę, to podniosą taki clamor i skweres, że i za temi murami nie będzie nam przezpiecznie.

— Kiedy krzyczą, to niechby choć mieli o co krzyczeć!

— Mają o co i teraz! Bacz, by nie było więcej przyczyny!

— Oj, uciszyłbym ja te ich klamory, gdyby nie jegomość ! Każdemu po gardle i jużby mi ani pisnął!

— Wszystkim nie zdużasz!

— Owa! Ja z moim Makarem i semenami, a na przyprzążkę druh Jurko Nawizeny. Z nim ja na samego djablaby poszedł a szlachtę z całego województwa rozbiłby kopytami, żeby i śladu nie ostało!

— Rozbyłbyś ją, albo ona ciebie!

— Niedoczekanie tych charlaków! Prędzejbym szceżł i Nawizeny ze mną!

— Żeby tylko ten Nawizeny za prędko ciebie z sobą nie zawiódł do swego rogatego kuma, do piekła!

Szczepan zaśmiał się grubym śmiechem. ' — Na piekło jeszcze czas, a jegomość nie pop, że by mnie piekłem straszyc!

— Nie straszę, jeno do tego mówię, że zbyt w garść i szablę dufasz, a sam też łeb masz z kości i mięsa, nie ze stali. A twemu watażce to wciąż zdaje się, że tutaj porohy, albol Dzikie pola!

— Choć jemu i zdaje się, że Słucz, to Dniepr, a mój łeb z kości i mięsa, przecie nikt jeszcze ni mnie, ni jemu łba nie naznaczył, a my — ileżto łbów znieśliśmy z karków!

L — Może i na wasze łby znaleźć się klinga, a tym- , czasem i w wieży in fundo szczury wam palce poogry- zają.

r, — Ano, ano, niech mnie jeno spróbują wziąć!

Mówiąc to, młodszy Turobojski za boki się wziął i pierś naprzód podał, nastawiając się nieobecnemu przeciwnikowi. Ale starosta wyczerpał już snąć argu- , menty i począł się gniewać.

Et, głupiś ty i twój ataman! — huknął, podno sząc się napół z krzesła z krwią nabieglem obliczem. — Szkoda gęby strzępić! Po kozackuby z tobą, tobyś zrozumiał: nahajem po skórze, a palicą w łeb!

Straszny gniew wstrząsnął młodym pankiem, ja!; stepowy huragan wstrząsa samotnem drzewem. Cofnął się o krok, potem skurczył się w sobie i zgiął do połowy, wysuwając naprzód górną część tułowia, jako czyni dziki zwierz gotujący się do skoku. Nie skoczył jednak, tylko nogami zatupotał i pięści zaciśnięte przed się wyciągnął, i zęby białe wyszczerzył, jak rozwścieczony brytan, i zgrzytał niemi przez chwilę, tchu ni słów chwycić nie mogąc.

Staroście, choć mąż był nieugiętego hartu, a bratanka znał dobrze i nie były mu nowiną straszne podczas onego humory, ostatnie wyrazy zamarzyły na ustach i oparł prawą dłoń na rękojęści krótkiego mieczyka, jaki miał u boku, wlepiwszy w rozwścieczonego wzrok, jakim pogromca stara się opanować wypuszczonego z klatki tygrysa.

— Pomiarkuj się! — rzekł spokojnym, choć nieco zduszonym głosem.

Ów zaś bełkotał przez kilka pacierzy coś, czego nie można było zrozumieć, potem zmagął się jeszcze czas jakiś sam ze sobą, wreszcie wstrząsł się cały, jakby coś z siebie zrzucał, i wyprostowawszy się, ręce na piersiach skrzyżował.

— O mało co nie miałby tu djabeł dla siebie bigosu! — rzekł wyraźniejszym już głosem. — Cieszyłaby się szlachecka psiarnia, cieszyła, gdybym tak był jegomości przed czasem posłał dowiedzieć się, jak to tam jest u Belzebuba!

— Niewiadomo jeszcze, kto Jkogoby posłał i dokąd! — mruknął stary. — Ale ty mi stąd wynoś się, błaznie, i ze wszystkim pożegnaj się, na coś tu się oblizywał, skoro mi, drugiemu ojcu twemu, jak opry- szek, wygrażasz.

Młody Turobojski podszedł do krzesła i, pochylając się niezgrabnie, uchwycił mimo oporu rękę starosty i do ust podniósł.

— Darujcie głupiemu, panie stryjciu — burknął pół opryskliwie, pół dobrodusznie. — Taka to już u mnie natura kozacka. Jedna beczka prochu i saletry. Jaż was słucham i miłuję, ale wy mi takich słów nie gadajcie, bom też nie smyk żaden i nie zdzierzę, a jak nie zdzierzę, to — chroń Bóg!

— Chroń Bóg i ciebie w zły czas pod moją starą rękę wpaść! Nie znasz ty mnie, bo młodym nie pamiętasz!

I — I stary za pół tuzina młodych starczycie! — próbował załagodzić spór Szczepan. — Jeno że mi za jedno, gdy w pasji, czy z mocnym, czy ze słabym, czy z człkiem, czy z czartem sprawa.

— Uważaj, żeby ci kiedy jaki czart rogów nie pod- 8 ta wił!

Młody zmilczał przez chwilę, poczem mruknął raczej do siebie, niż do stryja:

' — Hej! Gdyby to nie one ślipki Hanusine i nie to, co z łaski jegomościnej mam za nią dostać...

I urwał.

— Baczże i na to i hamuj się!

Po tych ostatnich słowach starosta głowę na piersi opuścił i zamyślił się.

— Na nic był twój zamiar napadnięcia zbrojną kupą Miśniakowskiego i rozprawienia się z nim brevi ma- nu tak, by go uczynić nieszkodliwym. Gdybyś go był zarąbał wtedy, gdyś to go spotkał na gościńcu — nie mówię! Nie chwałę ja tej napaści, broń Boże, zwłaszcza, że zwrócona przeciw nieznanemu, była czynem szalonym i bez potrzeby okrutnym; ale to sobie zakonotuj, że skoro raz człowieka masz w ręku i przez łeb go walisz, walże tak, by już nie wstał. A u ciebie animozja wielka, z biciem namysłu nie masz, ale potem pobity wygrzebuje się i zostaje twoim adwersarzem i mścicielem swej krzywdy pro omni tempore. Nie jestem ja z przyrodzenia okrutny, zwłaszcza dziś gdy mi fatygi życia krew ostudziły, ale to ci mówię; głupi, kto bez potrzeby na drugiego nastaje i wrogów sobie przymnaża, ale głupszy stokroć, kto, uderzając w nieprzyjaciela, odstępuje go żywym!

Szczepan głowę skłonił.

— Głupim był, nie neguję — przyznał. — Ale jako Bóg żywię, nie będę, niech mi jeno ten chłystek drugi raz wpadnie w ręce! A wpadnie, choćby mu sam Lucyfer sekundował!

— Czekajże i nie czyń próżnego warchołu, bo nie o to idzie, by tego chłystka znów pojmać, jeno, by go uczynić nieszkodliwym. Otóż do tego rzecz wiodłem, że lepszy wróg ubity, niż niedobity. ale to wcale nic znaczy, by każdego wroga tak zaraz bez namysłu przez łeb! Toć każdy błazen potrafi, a potem, jednego, dwu, trzech ubiwszy, sam szyję da. Ty zaś wroga nie tykaj, jeno baczenie dawaj na niego i czekaj chwili sposobnej. Przyjdzie rychło — dobrze: przyjdzie czekać rok, dwa, trzy — czekaj i dopiero, gdy wybije godzina, czyń pomstę!

Młody Turobojski głową pokręcił napoły z przekorą, napoły z uznaniem.

— Za mądre to rzeczy na moją głowę — mruknął. — U mnie tak: prac. to prac, a gładzić, to gładzić! Ale kiep nie przyzna przecie, że senatorska u jegomo ści głowa.

— A przeciem nie w senacie — zauważył z pewną goryczą stary. — Więc konkludujmy. Wacan wracaj spokojnie do siebie i pod moją łaską nie waż mi się burd wszczynać ani z Miśniakowskim, ani ze szlachtą. Rozumiesz?

t.¹; — Toć mózg. nie siano mam we łbie. Ale doszło do mnie, że horodyskie chamy uciekają na stare śmiecia do tego gagatka. Czy i na to mam pozwalać?

— Powstrzymać i zawrócić, a potem przykładnie ukarać, by reszcie dać wstręt — tak, ale siłą od Miśniakowskiego brać — nie!

— Kto ich tam na drodze przyłapie! A jak raz za- nęcą się tam, to powoli wszyscy wróć.

— Niech wracają ! Zabierzemy ich nazad, bądź spokojny!

— Ba! Zabierzemy, ale kiedy? Nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje, a mnie kolera zaleje. Lepiejże

mi z Nawizonym kopnąć się wślad za nimi, zabrać siłą i z tymi, co tam już dawniej poszli, którego ze starszych i do roboty niezdatnych, żywcem ze skóry obedrzeć dla strachu, a resztę akuratnie wybatożonych zagnać nazad! Tak, to ja rozumiem!

— Powtarzam: nie waż się, bobyś mi wszystkie plany pokrzyżował. Co tam twój Nawizony uczyni, to jego rzecz, ale tobie wara! Spisz jeno wszystkich, co uciekną od ciebie, jako ja każę u siebie spisać i zanieś pozew do grodu o podmowę i kradzież poddanych, jako i ja zaniosę. Ja już wniosłem pozwy o napaść nocną, o pobicie czeladzi i złupienie substancji, a jutro skoro świt, wyprawię do grodu trupa, żeby go sprezentować wraz ze skargą o mężobójstwo przeciw Miśniakowskiemu i jego współnikom.

— Jakże to? — spytał zdziwiony bratanek.

— Ano tak, że mi właśnie, gdy wchodziłeś, przynieśli wiadomość o śmierci mego hajduka, Pietrka. Po prawdzie Miśniakowski nic śmierci tej nie winien, bo tyle tylko, że go w rękę zaciął, broniąc się, ale że to był pijanica na wielki kamień i najsroźsze plagi nie potrafiły powstrzymać go od karczmy, więc wróciwszy, zaraz do niej pobiegł i wdał się w zwadę, z której przynieśli go z rozplatanym czerepem i oto dziś doszedł. Będzie tedy huczek niemały. Szlachta na nas jako na opresorów, pomsty żąda, a ot jej odpowiedź! Nie opresorowie my, jeno opressi, nie wilki drapieżne, jeno niewinne baranki, których krzywda pomsty domaga się!

Starosta skończył i począł się śmiać cichym, jak by tajonym śmiechem, który brzmiał dziwnie złowrogo. Przy wtórzył mu z całej piersi bratanek.

— A niechże jegomości! A to ich stryjko urządził! Napadliśmy obaj na tego włóczykija, choć nam nie dał przyczyny, poszczerbiliśmy go setnie, a teraz wsadzimy go in fundo za napaść i mężobójstwo!

— Widzisz tedy, że na nic były twoje zamysły! Pewniej my go teraz dosiężem statutem, niż kulą!

— Jeno, że to u nas niewiele sobie robią ze statutu i z wyroków. Ja sam przecie mam ich przeciw sobie mało nie pół kopy, a wolno chodzę i zje diabła, kto mnie ucapi!

— Boś pan, a tamten charlak. Zresztą z wyrokiem w ręku egzekwować godzi się siłą zbrojną, a wtedy, choćby się też i zły casus jaki egzekwowanemu przytrafił, nic to!

— Aha, rozumiem! To znaczy tyle: naprzód wyrok, a potem po gardle?

— Jakby nie można było inaczej?

— I wtedy sprawie naszej z Miśniakowskimi będzie koniec?

— I wtedy sprawie naszej z Miśniakowskimi będzie koniec, bo on z Miśniakowskich ostatni.

; — Jako i ja — mruknął Szczepan.

Starosta, który ostatnie swe słowa wypowiedział uroczystym głosem i z powagą, jaką przybiera sędzia, głoszący wyrok, poruszył się teraz niespokojnie w swem krześle.

— Ty będziesz miał Hannę, która ci spłodzi nowe latorośle naszego rodu! odparł skwapliwie.

-r- Niechże to się stanie jak najprędzej, — podchwycił, śmiejąc się grubo młody człowiek.
— Mnie cni się, a jej też już czas!
— Jaki tam czas! — oburzył się stary. — Nie- zrała to jeszcze jagoda, a tyś też nie dziad żaden, po czekać możesz.
— Oj, nie mogę, jegomość, Boga mi, nie mogę! — zaśmiał się znów młodszy Turobojski. Stary w oczy mu spojrział bystro.
— To niby tak ci do Hanusi pilno?
— A pilno!
— A może tylko do Łazunia? Bo jeśli do Łazunia, to wiedz, że obejdzie to się smakiem. Póki żyw, nic tu nie ugryziesz.
— I nie chcę. Dziewkę dajcie mi jeno, bo mi strach, jak w oko wpadła.
— I dziewczę dam, i do dziewczki dam. Nie pożałuję, boć ją jedną mam, a tyś też w rodzie jeden. Jeno, że ci ona tak w sercu siedzi, to mi dziw!
— Co ma być dziw! Dziewka, jak malowanie! a ja też nie z kamienia.
— Oj, że nie z kamienia, to nie z kamienia. Wiedzą o tem dziewczki w twoim Perehińsku!
— Jakaś suka naszczekała, a jegomość słucha!
Stary głową potrząsnął.
— Ejże, nie ciągnij mnie za język, żebyś nie posłyszał czegoś nie po sercu.
— Co mam posłyszeć.
— Co? A to, że w Perehińsku u ciebie istna Sodoma! Na cały kraj słuchy-idą! Nikomu nie przepuścisz! Wolą, niewolą, dziewczki, czy ślubne żony — wszystko jedno! Jak u bisurmanów! A ten twój Na- wiżeny gorszy jeszcze od ciebie!
— Toż to i bieda, że Nawizenny piwo warzy, a mnie pić każą!
— To przepędź Nawizennego i spokój będziesz miał!
— On mój druh serdeczny i więcej, niż brat!
— Niech on będzie twoim bratem na Siczy, a ty jego bratem w Perehińsku.
— Nie wygonię mi jego z domu!
— A mojej Hanusi nie wchodzić do takiego domu, gdzie siedzi ten czort zaporoski. Wicher gniewu chwycił znów za włosy młodego zabijakę i krwawą łuną oblał mu policzki, zapalając oczy złowrogim płomieniem. Zatrzymał się w swym niespokojnym biegu dokoła komnaty, gwałtownym ruchem wyrwał z pochwy nóż, wiszący u pasa, i z dziką wściekłością wbił go po rękojeść w dębowy stół, stojący podle niego, poczem, jakby uczyniwszy pomście swej zadość, zwrócił się do stryja ze spokojniejszą już twarzą.
1 — U jegomości tom ja zawsze ten sam smyk go- łowasy, któremuś na kobiercu bizuny liczył — zahar czał zduszonym jeszcze ze złości głosem. — Ej, żebyś ja tego nie pomniał, żeś mi jegomość za ojca był i że mi, co masz najlepszego, oddajesz, ejże, ej!
— Znów się biesisz?
— Żebyś ja się zbiesił, toby już jednego z nas bies stąd porwał! Jegomość Jurka raz w życiu widział i tyle o nim wie, co źli ludzie o nim nałgali, a my z nim
W zaklętcem zamczysku

tyle lat chlebem się dzielili, krwią się dzielili, łba jeden za drugiego nadstawiali, pohańcom i samemu czartowi w gardło leźli, byle druhowi pomoc dać. Jegomość tutaj ani wie, ani rozumie, co to kozacka družba na śmierć i żywot! Hej!

— I nie chcę wiedzieć, bo mi chłop śmierzdi, z szablą czy bez szabli, i nie dla mnie amicycja z takimi! — mruknął pod wąsem starosta.

Młody Turobojski nie dosłyszał widocznie tej uwagi i mówił dalej, idąc za tokiem własnych myśli i bardziej do siebie, niż do stryja.

— Co wy tu wiecie między murami gnijąc, chamom dworskim przewodząc, pijaną szlachtę mając za adwer- sarzów? Albo to żywot?

— Ot — step, to żywot, to wola, to raj! Tatarali gonisz, czy ze swoim dla uciechy się ścinasz, i ot — wiatr tobie brat rodny a w trawie-matce i z koniem, i z oubem się schronisz, gdy na wroga przyjdzie czatować. A woda, a Dniepr, a morze! Hej! hej! Leci czajka, niczem strzała, a przed tobą, junakiem, jasność i siność: ni to niebo, ni to woda. Aż wreszcie dolecisz do morza, do wielkiego, i wtedy czajki nuż hulać, nuż z bałwana na bałwan skakać z rybkami w zawody, kto lepiej potrafi, rybki sobie, czajki sobie. W zamku na limanie Turcy za nami z puszek grzmią, kule tak i świszczą nad głowami, tak i rozbijają wodę, która przy wiośle, któ* a przy dziobie, a my do siebie jeno zęby szczerz} m, a pohańcom figę pokazujem i dalej do Sy- nopy, dalej pf»d sam Stambu! A tam na łodzie samo złoto tylko a peiły, a diamenty, a najdroższy jedwab,

i hatłas, złccogłów, a reszta w ogień! I kto żyw, temu śmierć, jeno dziewczki, co najcudniejsze, muszą naprzód rozkosz dać, potem i im — nożem po białej szyi! Ot, gdzie my z Jurkiem byli, ot, jak my z Jurkiem żyli, sto raz Dnieprem wdół, sto raz jeden za drugiego żywot ważąc. Taki to druh! Jakże mi go odganiać, kiedy bez niego serceby we mnie przewróciło się z tęskno- ści i wyćby mi za nim przyszło, jak psu.

— Toć przecie siedzisz tu bez niego, a nie wyjesz.

Skarcony panek znów się zaśmiał.

— Bo mi tu ślipka Hanusine świecą: jakże mi przy takowych gwiazdach o Jurku myśleć?

— I dobrze, że nie myślisz, bo to wiedz, że ci dziecka pod jeden dach z tym watażką nie dam!

— I sam nie zechcę. Nawizeny druh nad druhy, ale na dziewczki dziw, jak łysy, i niema tam u niego družby, gdzie jest spódnica!

— A widzisz!

— Widzę i na to jegomości parol szlachecki dają i kozacką przysięgę, co u mnie więcej waży, że Nawi- żenego przedtem na Sicz wyprawię, nim Hanuś na próg perehiński stąpi.

— Pamiętajże!

— Byle mi jegomość nazbyt nie kazał czekać, bo inaczej...

— Inaczej co?

— Albo dziewczkę sam wezmę, albo na wszystko plunę i z Jurkiem na porohy wrócę i tyle mnie w Polsce będziecie widzieć.

Staremu krew znów uderzyła na zawiędłe lica, ale

■

tym razem pohamował się i odrzekł spokojnie, potrząsając głową.

— Ej, Szczepan, w tobie więcej kozaka siedzi, niż szlachcica i przystojniej ci dziewczki z łupem brać po haremach, niż pannę z zacnego rodu przed ołtarz wieść! Takie rzeczy gadasz, że mnie choć staremu, ręka kordą sama się chwyta, a potem dziwujesz się, że mi nieśpieszno jedyne dziecko w takie ręce dawać!

— Takie same ręce, jako i wasze były, nim w was krwi nie zmroziła starość!

Stary popatrzył nań w niemem zamyśleniu.

— Nie! — odrzekł po chwili. — Nie takie były! Twarde i ciężkie dla wroga, tak, ale dla mojej niebogi, dla matki Hanusinej... Nie, dla tej one nie były ciężkie! I kiedy jej na śmierć przyszło, dziękowała mi za szczęście, które jej dałem. I prosiła, ręce moje całując na śmiertelnem łożu, bym dziecku naszemu takie samo Bzcześnie dał, jakie ona miała... A jam jej obiecał, bom ją miłowałem... A teraz...

— A teraz nie Jurkowi Nawizenemu ją dajecie, jeno bratańcowi, ostatniemu z naszego rodu, takiemu, przy którym ni chleba jej nie zabraknie, ni czci ludzkiej, ni obrony!

— To wiem, że dla rodu naszego dobrze czynię — mruknął posępnie starosta.

— Więc cóż? — dopytywał się Szczepan.

Ale starosta brwi zmarszczone pochylił, i wzrok wbił w ziemię, nie dając odpowiedzi.

CZĘŚĆ TRZECIA

MIĘDZY NIEBEM A PIEKŁEM I.

DUCHY W ZAMCZYSKU

— Dziw jednak, jak się szczęści naszemu rotmistrzowi w tej jego ruderze, niedawno jeszcze ze wszystkiego ogołoconej — mówił pan Bartłomiej Deręgiewicz do obu swych kompanów, grzejąc się z nimi przy płonącym kominie po powrocie z całodziennych łowów. — Boć to teraz i spiżarnie pełne, i w oborze by- dełka kilkanaście zacnych sztuk, i mało nie codzień sił roboczych przybywa, że jeno śniegi zginą, a słońko przygrzeje, będzie do orki i siejby więcej rąk, niż trzeba. Ktoby to był powiedział przed dwoma miesiącami, gdyśmy tu po raz pierwszy przybyli!

— Cud Boży! — westchnął, ręce składając, pobożny pan Karabanowicz. Nic, jeno cud Boży!

— Niema co i mówić — dodał pan Jarosiński. — Spisała się szlachta, spisały się i chamy. Szlachta sła

ła fury za furami, chłopcy przekradali się jeden za drugim, a do roboty stają, jakby na własnym i taki ambit u nich, że to z nieprzymuszonej woli prawowitemu panu służą, jakoby zgoła ze szlachetnego stanu byli. Wszystko tedy ściele się panu Kazimierzowi.

— Bodajby mu tak z dziewczką umiłowaną szło, jako idzie z pełnemi komorami i z siłą roboczą! — zauważył smutno Der^jiewicz.

Ale pan Harkosiej szeroką dłoń położył mu na gębie.

— Zaniechaj takiej mowy! — strofował go swym przeciągłym, jęklwym głosem. — Nie godzi się o tem wspominać. — Sam on to mówił. Wola ojca święta rzecz, a przysięgi łamać nie lizia!

— Prawda jest, — przyznał pan Bartłomiej. — A toż- by nieboszczyk miecznik z trumnyby wstał, gdyby do tego przyszło.

— On i tak z trumny wstaje — szepnął przez zaciśnięte zęby Jarosiński.

Obaj towarzysze przysunęli się do niego, wpijając weń chciwie oczy.

— Co waśc powiadasz? Powtórz! Prawdali to?

— Powtórzę, bo prawda. Tu dzieją się niezwykle rzeczy. W zamczysku straszy. Nocami chodzą tu umarli, jako w dzień żywi. Chodzi z jednej strony Turoboj- ska, chodzą z drugiej strony Miśniakowscy. Najbardziej wojewoda Hrehor, którego wielkim nazywają, ale i inni też.

Rozmowa ta toczyła się między trzema przyjaciółmi jakoś w miesiąc po świętach Bożego Narodzenia. Od ich pierwszego pobytu w Horodyszczu zmieniło się tu wiele i istotnie zmieniło się na korzyść. Szlachta okoliczna rozmilowawszy się w rycerskim sąsiedzie, zaopatrzyła go z serdeczną hojnością, której nie sposób było odmawiać, a cenniejszym jeszcze skarbem dla młodego dziedzica stały się pracowite dłonie dawnych horodyjskich poddanych, uciekających do niego rojem, odkąd wieść gruchnęła o jego powrocie. Trzej nowi przyjaciele Miśniakowskiego czynili też wciąż huczek o nim, włączając się w okolicy od dwora do dwora, tak, że za wracającymi do Horodyszeza ciągnęło całe sąsiedztwo, ciekawe przypatrzeć się: jak to sobie poczyna nowy przybysz i czego odeń spodziewać się należy pro publico bono, co w całym powiecie wykladało się: Na pogńębienie panów Turobojskich!

Ożywiło się tedy i poweselało w horodyskiej pustce i tyle tam teraz było gwaru, ile dotąd milczenia. Byłoby zaś pewnie daleko więcej wesela, gdyby nie dwojaka przyczyna. Jedną była cicha troska, nie schodząca z czoła gospodarza, a w niefortunnym afekcie, braterskim-li, czy innym jakowymś mająca swe źródło. Drugą stanowiły posępne wieści o strachach, jakie co noc rozpoczynały panowanie swoje na zamku.

Wieści one znane były całej okolicy: nie mogły też być nowiną i dla obu przyjaciół pana Jarosińskiego, a esklamacje ich i pytania nie płynęły ani z nieświadomości, ani z niedowierzania, jeno z tego tak zwyczajnego uczucia, które nie pozwala nam głośno wspominać o rzeczy i pewnej, i znanej, ale tak niemilej, że aż chciałoby się o niej zapomnieć.

Ludzie owych czasów nie wahali się w pojedynkę

Zastawiać kupie hultajstwa lub w kilka szabel napadać na czambuł tatarski, ale z djabłami wojować nie byli zwyczajni, a wobec duchów serca im słaby. Jakkolwiek też rotmistrz dla wygody gości kazał przysposobić kilka wielkich izb obok tych dwu, w których z początku zamieszkał, goście przesiadywali w nich chętnie we dnie, o ile nie zabawiali się łowami lub stajnią, na noc jednak cisnęli się jeden przy drugim wraz ze służbą, byle być w większej przeciw strachom przezpieczności, uprosiwszy ber trudu zresztą bernardyna, że zajął wraz z Wałkiem najdalszą z izb, przez którą zarówno od baszty, pozostającej pod władaniem nieszczęsnej topielicy, Turobojskiej, jak i od kaplicy, mieszczącej w podziemiach swych groby Miśniakow- skich jedyny był dostęp do tych, w których mieli swe postania goście wraz z gospodarzem.

Nie o obcych przeto ani nowych rzeczach słyszeli panowie Deręgiewicz i Harkosiej. Wnet też sami poczęli dorzucać do tego, co im komunikował Jarosiński własne obserwacje i wiadomości.

— Turobojskiej z baszty mało kto z tutejszych ludzi nie widział — zauważył pan Dydak; — a mój Iwaś, chłop roztropny i prawdomówny, klął mi się też, że przeszła koło niego korytarzem aże uderzyło w niego zimnem śmierci i trupim zaduchem.

— Brr! — wzdrygnął się Deręgiewicz. — Nie chciałbym na jego miejscu być, żeby mi kto sumy neapoli- tańskie dawał!

— Jakże to się stało? — spytał ciekawie Jarosiński.

— Ano tak. Chłop zbudził się o północy i zdało mu się, że już ranek blisko, zerwał się więc do koni. Ale że zaspany był, zamiast na prawo do sieni i na dwór, poszedł prosto w korytarz. Ogień zagaśił już w kominie, on nowego nie wykrzeszał i idzie poomacku, a że izb moc, więc błądzi.

Chciałby nazad, ale już nie wie, którędy. Więc wlecze się naprzód, myśląc, że jakoś wydostanie się przecie. Aż tu naraz słyszy gdzieś daleko przed sobą jakiś niby jęk, niby szlochanie. Nasłuchuje, aż ten jęk i płacz coraz głośniejszy i bliżej, jakby kto szedł ku niemu. I wreszcie nie tylko słyszy, ale i widzi!

— Widzi?! — zakrzyknęli w najwyższym napięciu ciekawości słuchacze.

— Naprzód,—prawi,—jakby jakieś sinawe światełko pojawiło się przed nim, oświecając głąb korytarza. A potem ona sinawa jasność zbliżyła się do niego i rozeznał jakoby postać niewieścią, posuwającą się powoli, z lamentem głośnym i łamaniem rąk.

— Rety!—pisnął Jarosiński, który pochodził z Mazurów.

— A jakże wyglądała? — dopytywał się Deręgiewicz, wielki kobieciarz, dając folgę słabości swej nawet w tak poważnych okazjach. — Młodali? Urodzi wa? Co?

— I młoda, i niby urodziwa wielce, ale nie daj Bóg nikomu takiej młodości i urody! Trup ci to bowiem był, prawy trup, tylko co włożony w mogiłę i jeszcze niestoczony zgnilizną, ale już cuchnący próchnem i pleśnią, a ociekły wodą, jakby go tylko co wyłowiono

w wiewiórkach. Oblicze,—powiada,—miała jakby z wołusku, włosy rozpuszczone, splątane z wodnymi porostami i kwieciami, co pleni się po moczarach w upały letnie, choć to teraz zima i lód. Jednym słowem — martwica z topieli!

— A Iwaś-że co?

— Iwaś chciał zaraz w nogi, ale powiada, ani weź; jakby go coś przykuło do ziemi i jakby nie jego były nogi, ani ręce, którymi chciałby przeżegnać się, a tu nie sposób. Stoi więc biedak, bo musi, tylko tak do ściany przycisnął się, jakby w nią chciał wleźć. A ona powoli koło niego płynie, jakby obłok, aż go minęła, jęcząc wciąż i na zakręcie korytarza znikła. Wtedy chłopak bez pamięci rzucił się bieć w przeciwną stronę i sam nie wie, jak dobiegł do izby czeladnej, gdzie febra go trzęsła do rana.

— Mirabila, zaprawdę! — zawołał Deręgiewicz. — A waćpan, mości skarbnikowiczu — dodał, zwracając się do Jarosińskiego — samżeś nieboszczyka widział, czy jeno od innych słyszałeś?

— Słyszałem, ale od takiego, komu więcej wiary należy się, niż Iwasiowi, choć i tego za łgarza nie mam.

— Któż to taki?

— Ojciec Symforjan.

Poruszyli się wielce temi słowami towarzysze pana Błażeja, ów zaś, czyniąc zadość wymownym ich spojrzeniom i malującej się na obliczach ciekawości, w ten sens dalej prawił:

— Waszmościowie wczoraj tu przybyliście, ja zaś cały tydzień już siedzę, a w poniedziałek przypadał

właśnie anniwersarz mego rodzica, któremu, by Bóg dał co prędzej światło wiekuiste, prosiłem bernardyna, ledwo z konia zsiadłszy, o żalobną wotywę. W poniedziałek, że to nad rankiem spać nie mogę, zerwałem się wnet po drugich kurach z pościeli, zapaliłem stoczek i chodząc po izbie, mówię godzinki. Wszystko jeszcze śpi, jak zabite, bo do świtu daleko. Aż tu, słyszę, coś skrzypnęło, jakby ktoś od kaplicy nadchodził. Wszelki duch! Patrząc: ojciec Symforjan! Idzie sobie w kapturze na głowie i płaszczu, postępując i suwając trepkami, jakby po ciężkiej fatydze. Pytam, co się stało? On z początku wykręca się i zagaduje, ale jako to mąż boży, wszelkiej nieprawdy obcy, wkońcu spuszcza mi się ze swego sekretu.

— Z sekretu? — powtórzyli w zdumieniu słuchacze.

— Ana tak. Bo to,—rzecze mi,—wielkie i tajne sprawy są i wara o nich wiedzieć, komu nie należy! A wa- ści, mówi, ja i tak muszę racje dać, dlaczego jutro dopiero odprawię mszę podług waścinej intencji, bo ćtaś muszę ją ofiarować za tego, który do mnie tej nocy z grobu przyszedł!". „Za kogóż to?”—pytam,—otwierając oczy tak szeroko, jako to waćpanowie teraz czynicie. Odpowiada mi tedy, że ledwo zasnął, wnet zbudziło go coś ze snu. Było to tak, jakby ni stąd, ni zowąd okno maościę rozwarło, puszczając w ciepłą izbę pęd zimnego powietrza. „Otwieram oczy,—mówi, aż tu przede mną stoi nieboszczyk miecznik we własnej osobie. I nie taki, jakiego pamiętam, gdym go żegnał, jadąc stąd na Multany, jeno dobrze starszy, niemal już zgrzybiały, a przytem jakby rdzą trumienną po

kryty, zeschły, szerniały, jak u trupów bywa, a odzież na nim cała zbutwiała, w strzępach i plamach zwyczajnie, jak w piwnicy. Pytam go tedy, czego by żądał ode mnie i co mu tak dolega, że z tamtego świata wracać musi, a on mi na to...

— Cóż on, co? — wtrącił, nie mogąc pohamować zaciekawienia, Karabanowicz.

— Otóż to, co on na to? I jam z tem się wyrwał do księdza, jako waść do mnie. A ojciec Symforjan już gębę otwierał, żeby mi to rzec, ale zaraz widać rozmyślił się, bo tylko ręką machnął i taką mi daje odprawę: „Waści,—mówi,—do tego nic. Co mi rzekł, to rzekł. Jak będzie potrzeba i komu będzie potrzeba, powiem, ale teraz nie pora. Z tego ci się spuścić mogę jeno, że nie byle jakie to były rzeczy i że w tem, com słyszał, miałem świadectwo, jako nie mara senna to była, jeno rzetelnie gość z tamtego świata. Tedy nieboszczyk, rzekłszy mi, co miał rzec, wrócił tam, 6kąd przyszedł, ja zaś po chwili, namyśliwszy się i strach przezwyciężywszy, postanowiłem za nim pójść i resztę nocy w kaplicy krzyżem przeleżeć.

— I poszedł? — spytał z akcentem podziwu i uznania Deręgiewicz.

— Sam? W nocy? Wślad za nieboszczykiem?—przydał, drżącym ze wzruszenia głosem, Harkosiej.

— Poszedł. Kiedym go zobaczył, wracał z kaplicy.

— Ot zuch! — szepnął Harkosiej.

— Że i wśród najprzedniejszego rycerstwa nieprędko znaleźćby drugiego takiego! — przytwardził Deręgiewicz.

— Osądźcie tedy waszmościowie — konkludował nie bez chępliwości Jarosiński, który, jak wszyscy ludzie nikczemnej postury, wielce dufał w siebie; — aza- lim słusznie rzekł, że moje nowiny większy mają od Iwasiowych walor i na większą zasługują ufność.

— Słusznie, słusznie, co tu i gadać!

— Gdzie Iwasiowi do takich rzeczy!

— Jedno jeszcze przydam. Obligował mnie ksiądz żebym przed naszym amfitrjonem pary z gęby nie puścił, obliguję i ja waszmościów. Yerbum!

— Yerbum, verbum! Ale dlaczegóżby, to właśnie wobec rotmistrza sekret? Wszak po prawdzie jemu pierwszemu należałoby o tem wiedzieć!

— Nie wiem! Co mi bernardyn powiedział, ja waszmościom powtarzam. Chcecie-li, jego pytajcie!

— Aha, właśnie! Dóbrzebyśmy się wybrali!—mruknął pan Dydak.

— Prędeż psu z gardła szperkębyś wydarł! — wtrącił z przekonaniem pan Bartłomiej.

— Ano, widzicie sami! — zakonkludował pan Błażej.

Zapanowało milczenie. Trzej przyjaciele wpatrywali się, zamyśleni, w płomienie komina, słuchając zarazem wicheru, wyjącego za oknem, pryskania drew i pisku świerszczów, gnieżdżących się po kątach.

— Mądry ksiądz! Niema co mówić — zauważył Deręgiewicz. — Słyszysz, jak trawa rośnie!

— I djabły mają przed nim wielki respekt! — dodał z przeświadczeniem Karabanowicz.

<— A przecie ja tak myślę, że jest ktoś, kto więcej

od niego wie o tem, co tu nocami się dzieje! — bąknął pod nosem Jarosiński.

Obaj przyjaciele przysunęli się do niego, zaciekawieni.

— Jakże to? Któż to ma być? — wypytywał pan Bartłomiej.

Ale tym razem pan Harkosiej, choć człek niezbyt obrotnego dowcipu, snadniej trafił w sedno.

— Walek! — zakrzyknął.

Fan Błażej głową skinął, przytakując.

— A któżby? Ksiądz z nieboszczykami czasem rozmawia, jako że człek świątobliwy z niego, ale ten matolek ma w nich stałą kompanję.

— Co waść mówisz? — zdumiał się Deręgiewicz.

— To, co jest. Dawnom to spenetrował, jeno nie chciałem spuszczać się z tego do czasu, ale skoro ważniejsze rzeczy przyszły, którychbym wam nie zataił, słusznie i o tem wspomnieć, o czem zresztą czeladź głośno w piekarni i stajni opowiada.

— Mówże waść prędziej, bo zgorzeję! — wybuchnął pan Dydak, nie mogąc ciekawości pohamować.

— Toć mówię, że chłopiec przestaje z nieboszczykami, i wciąż do nich się wrywa, jakby mu tam z duchami lepiej było, niż z żywymi. W dzień wciąż gdzieś przepada, a jak jest między nami, to jakby co widział, czego nie dostrzega nikt inny, i mruczy coś, i niby odpowiada, i przytakuje, i zaprzecza, właśnie jakby z kimś rozprawiał, albo i kłócił się!

— Prawda, prawda! — przytwierdzili obaj słuchacze.

— Właśnie tak czyni! — przydał Harkosiej. — 'Sam nieraz obserwowałem.

— I toś jeszcze obserwować musiał, że wieczorami, kiedy czeladź cała ciśnie się do gościnnej, i nikt nosa nie wyseibi za próg, choćbyś mu i sto czerwoń- ców obiecywał, on posiedzi cośniecoś, a potem nagle — fajt! — ani śladu! Rozwiał się, jak powietrze! Czy nie tak?

— Prawda! — zgodzili się — jako żywo!

— Otóż, gdyby to inny chłopak był, pomyślałbym, że z jakąś dzierlatką schodzą się na doświtkach, ale on nie taki i wiadomo zresztą, że poza mury nie wysunie się. Więc cóż? Nic innego, jeno lata patrzeć, jako one widma harcują po zamku, bo snadź ich kompanja miłsza mu od naszej!

— Dziwne! — mruknął pan Bartłomiej. — Od kiedym żyw, o takim curiosum nie słyszałem.

— Ciekawe, co on tam widzi? — wtrącił pan Dydak. — A, — żeby go tak zapytać?

— Spróbuj waść, jeśli chcesz — odparł Jarosiński; — oto właśnie i on.

Istotnie Walek wszedł do izby i zbliżył się do komina, wyciągając ku płomieniom zsiniałe z zimna dłonie.

— A gdzież też jegomość? — spytał, rzucając okiem dokoła.

— W stajni! — odparł Jarosiński. — Chcesz czego?

— Ja nic nie chcę, ale... ' — Ale co?

i — Oni chcą.

— Jacy oni?

Chłopak rękę wyciągnął w stronę opuszczonej połowy zamczyska.

— Ano, ci — tam!

Trzech komilitonów chłód nagły obleciał. Pan Dydak zrobił znak krzyża. Przez chwilę trwało milczenie. Wreszcie ciekawość przemogła strach u Karabonowicza.

— Powiedźże nam raz, rybeńko, kto to są ci, o których mówisz?

Walek ramionami ruszył.

— Alboż to ichmościowie nie wiedzą?

— Może i wiemy, ale ty mów, jakbyśmy nie wiedzieli.

— No, to przedewszystkiem ten stary, dobry pan...

— Miecznik nieboszczyk, co?

— On nazywa mego jegomością synem i zaraz jęczy, kiedy jego wspomni. On dobry. Potem ten drugi wielki...

— Pewnie Hrehor! — szepnął Jarosiński do ucha Harkosiejowi.

- Ten straszny i zły. Tego ja się boję, bo taki cały czarny i zły, zły! Ja od niego uciekam i on mnie omija, bo jemu już nic nie pomoże, a szkodzi on i straszy rad... A potem panienka. Tej ja żałuję bardzo, bardzo... Taka biedna, taka smutna! A są i inni, ale czasem tylko i na krótko, ot, jak ten pyłek, co przeleci w powietrzu i już go niema...

— To czegoż oni chcą od pana rotmistrza?—spytał drżącym trochę głosem pan Harkosiej.

— To nie oni, to tylko starszy pan.

— Zmowu! — zauważył szeptem Jarosiński.

I dodał głośno:

— Ozy może tego samego, o czym mówił ojcu Symforjanowi?

— Ja nie wiem, co on mówił ojcu. Mnie on kazał, żeby pan się strzegł.

' — Nic więcej?

— Tylko jeszcze, że mu wielkie niebezpieczeństwo grozi i to zaraz.

Jarosiński ramionami ruszył.

— O tem, to my i bez duchów wiemy! — rzucił lekceważąco.

I przydał półgłosem, zwracając się do Deręgiewicza, jako mniej przesądnego od pana Dydaka:

— Chłopcze śni się na jawie i różne visiones miewa, a potem o duchach opowiada i poselstwa od nich imaginuje.

Ale Deręgiewicz potrząsnął głową.

— Nie sędzę, by to była imaginacja. Nie chwość żadna, jeno szczerłość i prawda z oczu mu patrzą. A oczy niewinne wiele takich rzeczy widzą, których grzeszne nie dojrzą...

Pan Błazej otwierał już usta, chcąc coś odpowiedzieć przeciw racjom Deręgiewicza, gdy ten targnął go za połę żupana, wstrzymując gotowe do wyjścia słowo.

— Cicho bądź, waść! — szepnął.—Rotmistrz idzie!

W zakjętetn zamczysku.

U

Istotni® w drzwiach otwartych stanął pan Kazimierz, cały usnieżony, białą czapką uderzając o kolano.

n.

ŁOWY NA LUDZI.

— Straszna śnieżycyca — rzekł; otrząsając śnieg z półkożuszka i przytupując nogami. —

Kręci i miecie, że aż strach! A wichura taka, jakby djabeł wesele sprawiał.

— Biada, komu zła doła drogę ściele w taki czas — zauważył Jarosiński.

— Zwłaszcza, że wilków moc po polach się włóczy — rzekł pan Bartłomiej.

— Zima sroga, to i panują wilki.

— W taką zamieć i wilk się chowa — odparł, podchodząc do ognia, Miśniakowski.

— Póki zawierucha trwa, wilk niestraszny, ale kiedy wichur zacznie cichnąć, wtedy biada!

Kogo śnieg nie zagrzebał, wilki go pożrą.

— Niech Bóg ma w opiece dusze chrześcijańskie, którym w taki czas brak dachu nad głową — wtrącił, wzdychając nabożnie, Harkosiej.

— Pamiętam, raz w taką zamieć przydarzyła mi się straszna przygoda — zaczął opowiadać Jarosiński. — Jechałem właśnie z Lityna do Braławia...

Ale w tej chwili rozległ się w korytarzu ggiełk gło

śnych, urywanych pytań i wykrzykników, drzwi otwały się i kilku ludzi wtoczyło się do izby. Na czele szedł stary Tryfon, ciągnący za kołnierz jakiegoś obcego człowieka, w którym pod grubą warstwą śniegu łatwo rozpoznać było można dworskiego kozaka. Kozak widocznie opierał się, Tryfon ciągnął go, a dwóch parobków popychało ztyłu.

— Cóż tam znów? — spytał, brwi marszcząc, pan Kazimierz, który nie lubił hałasów i nieporządku.

Tryfon puścił kołnierz burki, okrywającej przybysza, i zwrócił się do pana.

— Ten człowiek, proszę jegomości, dobił się do stajni i począł krzyczeć, żeby jego państwu pomoc dać, bo ich zawierucha schwyciła i z drogi się zbili, ale potem, jak my wszyscy zbiegli się i do pana chcieli jego prowadzić, on zaraz jak nie zatnie się: „Nie i nie! Ne znaj u! Ne potreba niczoho!” i tyle.

— Więc cóż?

— Więc ja jemu latarką w oczy, aż widzę, że to dworski z Łazunia, bo i barwę ma, i ja sam jego widziałem w Berdyczowie przy panu staroście.

— Co, co, co?! — wykrzyknęli wszyscy w zdumieniu.

— Jakem to zobaczył, wziąłem chłopca za kark, choć wydierał się, jak mógł, i przywiódłem do jegomości.

Czterej przyjaciele obstąpili kozaka, przypatrując mu się ciekawie.

— Toś ty dworski pana korystyszowskiego? — spytał, w oczy mu patrząc, Miśniakowski.

Kozak nic nie odpowiedział. Wyglądał jak kot, osa

czony zgrają psów. Mimo mrozu, z którego przyszedł, blady był, wargi miał zaciśnięte i oczy trzymał spuszczone, od czasu do czasu tylko rzucając zpośród ukośne spojrzenia na otaczających go.

Pan Kazimierz powtórzył pytanie.

— Nosisz barwę Turobojskich. Czyś z Łazunia?

Kozak milczał.

— Gadajże, bo ci język rozwiążemy! — zawołał Deręgiewicz.

A za nim poczęli groźnie wołać drudzy:

— Poczujesz rzemień na skórze, to powiesz!

— Albo węgiel na podeszwach!

— A stryczek na szyi!

— Na przespiegi tu przyszedł! Nie może inaczej być!

— Dowiemy się wszystkiego, jeno poczniemy pasy drzeć z hultaja!

Ale pan Kazimierz potrząsnął głową, jakby przecząc wszystkim tym wołaniom i, podszedłszy o krok do kozaka, położył mu rękę na ramieniu:

— Nie bój się — rzekł mu. — Nie będzie ci nic. Nie mam nic do ukrywania: pozwolę ci zostać i wszystko tu opatrzeć, a potem wolno puszczyć. Powtórz tylko, coś to mówił mojej czeladzi o państwie twojem, co je zaskoczyła zawierucha! Prawdali to? I pan to twój jest czy... kto inny?

Kozak przez chwilę jeszcze milczał, wreszcie rozpaczliwym ruchem głową potrząsnął.

— Propaszczy ja człowiek — mruknął. — Nie unieść mi głowy, a pasy ze mnie będzie komu drzeć, choćby

wy mnie stąd i wypuścili całym. Ale już powiem i tak. Ja łązuński, z panną jadę.

Rotmistrz przypadł doń i zatrzęsł nim, jak chłopcy trzęsą jesienią drzewo, owocem dojrzałym okryte.

— Przez Boga żywego! Gadaj! Jaka panna? Wasza?

— Nasza! Zawierucha ją zaskoczyła niedaleczko stąd. Mnie posłali drogi szukać, pomoc przywieść... I ot, natknął się ja, nieszczęstnyj, na Horodyszczę!

— Koni! — ryknął nieludzkim głosem rotmistrz.

I rzucił się ku drzwiom, ale nim próg przestąpił, odwrócił się do Tryfona i krzyknął mu:

— Pilnuj tego człowieka, z ręki nie puść! Niech prowadzi!

Kozak ramionami ruszył.

— Na co mnie pilnować? — burknął pod wąsem. — I sam poprowadzę, byłem trafił. Jakby mi panny nie było żal, i takbyście ze mnie nic nie wydobyli!

W trzy pacierze byli już wszyscy na koniach. Koło panów jechali parobcy, trzymając w rękach lub przytroczone do siodeł smolne pochodnie i kagańce, osadzone na wysokich żerdziach.

Noc była chmurna, bez księżycy ni gwiazd. Kilkunastu ludzi posuwało się naprzód w czerwonym świetle, które nadawało ich postaciom i ruchom fantastyczną malowniczość. Krasne płomyki migotały, drżąc i gasnąc, zasypywane śnieżną kurzawą, a wichry podnosił zewsząd dokoła jadących tumany mokrego, białego pyłu, który ogarniał ich jakoby puszystą siecią, krępował im ruchy, oślepiał ich, obezwładniał i zbijał z drogi. Rotmistrz wysunął się na przód hufca i koło siebie kazał je

chać kozakowi, rozpytując go o ową przygodę, która go zaprowadziła do Horodyszcza.

Kozak opowiadał.

— Panna wracała d ciotki, pani podczaszyny ze Smotrycza i napała się koniecznie jechać pod Horo- dyszcze, choć tędy dalej i gorzej, a u Wrażego Uroczyska wiadomo, że przeszkadza. Wszyscy prosili, żeby jechać prosto, ale panienka uparła się: nie i nie! „Tamtą drogą jeździłam, — powiada, — tą nie jeździłam, więc pojedę!” I na złą dolę swoją i naszą pojechała. Dojechali my pod samo uroczysko: nic. Myślimy: może i do końca będzie dobrze. Aż tu jak koło samej tej przekłetej mogiły nie zakręci; jak nie zawyje, nie zamiecie — Hospody pomyłuj! Ot tobie i uroczysko!

— Gadaj, co z panną! — huknął na niego rotmistrz przez zaciśnięte zęby, bodąc konia ostrogą, aż mu na bokach poróżowiła piana.

— A cóż miało być? Wiadomo! Jak to koło uroczy- szcza! Zbłądzili i tyle! Były drugie sanie, to te gdzieś w zawierusze zaginęły, nie wiedzieć gdzie są, a koło tych sań, co z panienką, było nas dwóch konnych i trzeci hajduk na koźle, to on odprzągnął konia a my na swoich rozbiegli się, żeby drogę namacać, a pannę my osta- wili u samej tej mogiły ze starym Prohorem na koźle i ja jemu przykazywał, żeby nie ruszał się z miejsca, choćby i nie wiem co było, bo i jakżeby inaczej nam teraz pannę odszukać w stepie w taką zamieć?

— Toś mu dobrze przykazywał, — mruknął Miśuia- kowski. — Byłe posłuchał!

— On i sam wie, że w taką porę w step ruszyć — śmierć!

— Prędeż! — krzyknął rotmistrz.

Popędzili mimo kopnej drogi, odsadzając się znacznie od towarzyszków.

Ogiera krwi arabskiej, a polskiego chowu, na którym jechał rotmistrz, dał mu ojciec, błogosławiąc go na drogę do obozu. Był to jedyny pozostały ostatek słynnego niegdyś stada Miśniakowskich, a zarazem jedyna istotnie wartościowa spuścizna, jaką po swym rodzicu wziął pan Kazimierz. Koń był przedziwnie piękny, o wiele za kosztowny dla biedaka. Próbowano go nieraz kupić lub wyfacjendować, ale rotmistrz nie dał sobie o tm mówić. Dla niego Hulaj był przyjacielem, z którym rozmawiał i pieścił się, jak z umiłowanym człowiekiem, nie dotykając go nigdy batem i ostrogą. W najsroższym ukropie bitwy, w ściganiu uciekającego wroga oszczędzał zawsze tego ślicznego konia o łabędziej szyi, wydętych chrapach i złotej szerści, przez którą różowiła delikatna skóra. Teraz jeździec poniewierał okrutnie szlachetne zwierzę, ono jednak zdawało się rozumieć, że to nie kaprys ani zła wola, ale zbieg nadzwyczajnych okoliczności wywoływał to okrucieństwo, bo zamiast buntować się i oburzać, wytrzymało jeno wszystkie siły, by lecieć naprzód strzałą, choć namiecione w nierównościach gruntu kupy śniegu sięgały co chwila przedzierającym się przez nie cwałem koniowi po brzuch i po piersi. Hulaj zdawał się mówić sobie: „Czas pokazać, co potrafię i wywdzięczyć się dobremu panu!” I wywdzięczał się. Parł naprzód,

jak -wicher, prześlizgiwał się po puszystym kobiercu śniegowym, jak widziadło, zapadał w doły i wyskakiwał z nich, jakby na sprężynach czy skrzydłach, i leciał dalej, rozrzucając kopytami białe kiście śniegowe, cały w śniegu, w pianie, w krwi.

Kozak został dawno wtyle, jak przed nim zostali wszyscy inni towarzysze wyprawy. Rotmistrz wiedział, gdzie leży uroczysko, bo w tę stronę kilkakrotnie wiodły go myśliwskie wycieczki. Było ono dobre dwie godziny od Horodyszczu w głuchym stepie, do którego z jednej strony przypierał ogromny stary bór, ciągnący się stąd aż na skraj Polesia. Złe to było miejsce, w sam raz dla strachów, które nie znoszą ludzi wpobliżu. Nigdzie wokoło nie było żywego ducha, ni wioski, ni futuru. Nic, jeno step i bór.

Wicher tymczasem zaczynał ustawać i kłęby wirującego śniegu rzedniały, opuszczając się coraz niżej ku ziemi. Przed chwilą jeszcze szalał bez hamulca dziki pan stepu, huragan zimowy, wyjąc, i świszcząc, i miotając się w konwulsjach wściekłości, czy rozpaczy potępieńczej, czy piekielnego wesela; teraz umilkł znużony, rozplywając się resztką groźnych pomruków i żalonych szlochów, i śmiechów przerywanych po ciemnej przestrzeni, a tumany śnieżne układały się zwolna na białej płaszczyźnie, jak srebrzysty welon oblubienicy okrywa ją całą, gdy, zmożona wzruszeniem, padnie omdlała u stóp ołtarza, albo też jako całun z tkanin przejrzystych owija się dokoła stygnącego trupa przedwcześnie zgasłego dziewczęcia.

Na niebie z pośpiechem rozbiegały się chmury, od słaniając błyszczący firmament gwiazd. Na ziemi czyniło się jasno i cicho. Step usnął. Kotłował go do snu szum stłumiony lekkiego wiatru, ostatni oddźwięk minionej zamieci, przesuwał zwolna ruchome warstwy śniegu. Z góry przyglądały mu się ciekawie, migocąc złotymi iskrami, gwiazdy.

Gwiazdy musiały dostrzegać coś w stepie, czego nie dopatrywały ludzkie oczy, bo tłoczyło się ich na szafirowym sklepieniu coraz to więcej. Burza ucichła, niebo rozchmurzyło się, step otulił się do snu miękkim, białym kobiercem. Ale nie wszystko w nim zasnęło. Gwiazdom z góry łatwiej dojrzeć to, co się ukrywa przed okiem, pełzającym po ziemi. Ale gwiazdy umieją strzec tajemnicy. Patrzą i milczą. A ziemia? Ziemia nie widzi, ale czuje. Wstrząsa nią dreszcz lęku. Zwierz wyje i głowę zakopuje w śniegu, by oczu nie przeraził widok niebezpieczeństwa, gdy nadejdzie. Człowiekowi mróz przelatuje po kościach i serce zamiera.

Zamarło i w panu Kazimierzu.

Wskakując na Hułaja, by odszukać Hanusię w nocnej zawierusze, wiedział, że dziewczę ukochane walczy w tej chwili ze śmiercią. Biada tym, których zamieć chwyta w swe miękkie objęcia, okręca swym wirem, spowija śnieżnym całunem! Miśniakowski wiedział o tem dobrze i, mimo uspokajających słów kozaka, drżał, ażali w czas nadaży i żywą jeszcze zastanie Hanusię. Śnieg mógł zasypać sanie i sen ołowiem zaciężyć na powiekach, sen bez przebudzenia. Widział ją, niebogę, zsiniałą, lodowatą, zeszywniałą w tej strasznej nieru-
chomości, jaką wytwarza, śmierć, i nie dającą się przy

wołać do życia. I bódł konia, rwąc mu boki żelazem, i dzikim krzykiem przynaglał go do biegu, i wzdrygał się, drżąc jak osika na myśl, że może przybyć za późno i że tyle jeno zostanie mu z jego kochania!

Ale potem strach go odlatywał. Burza przeszła i zamieć ustała. Prawda, od chwili, gdy kozak odjechał sani, minęło ze cztery godziny, ale tyle czasu przetrzymać przecie mogła dziewczyna mniej nawet hartowna i stepu zwyczajna od Hanusi. Wiedział też od kozaka, że sanie zaopatrzone były dostatnio w szuby i niedźwiedzice. Choćby je śnieg i zasypał na tych kilka godzin, nie było w tem nic groźnego, a z chwilą ustania zawieruchy łatwo było wygrzebać się napo wrót samej panience wraz ze starym woźnicą, nie mówiąc już o tem, że w niewiele pacierzy zrobi się to, gdy on sam dopadnie tych upragnionych sani...

I robiło mu się raźniej na duszy i, nie zwalniając biegu, klepał Hulaja po szyi, przepraszając go pieszczotą za sypane mu przed chwilą ostrogi i razy. Koń rżał zcicha, a rotmistrzowi robiło się coraz to jaśniej. Tak! Nie było czego tracić serca. Bóg nie poto tak cudownie pod sam bok przywiódł mu Hanusię, by ją odjąć tak srodze! Nie! Chwila jeszcze, a ujrzy ją, pochwyci w mocne ramiona, otuli jak dziecię piastunka, ciepłem własnego serca rozgrzeje przemarzłe rączęta i skostniałe liczka, a potem ją uniesie... uniesie wdał, gdzieś, kędy nie będzie ani Turobojskich, ani Miśniakowskich, nic, krom dwu miłujących się serc. Nic, nic.

I nagle, jakby obok niego uderzył grom. jakby mu przez mózg przeleciała błyskawica.

A ojciec? A przysięga?

Ból straszny pochwycił go i wstrząsnął całem jego jestestwem, jako tylko co wicher zimowy wstrząsał, rycząc, stepem. Nie! Nie dla niego pociecha! Nie dla niego szczęście! Nie dla niego słodka twarzyczka Hanu- sina i gwiazdki, świecące w jej oczach jaśniej, niż one na niebieskiem przestworzu! Nie! On ją uratuje, on ją stąd uniesie, ale naito jeno, by ją oddać, jako raz już oddał, rany biorąc miasto podzięki, a weźmie ją i zatrzyma — inny.

I gwiazdy w oczętach dziewczęcia nie zgasną, ale nie on w nie będzie patrzeć i świecić będą nie jemu...

Dawszy rozkiełznać się myślom, rotmistrz mimo woli i wiedzy zwolnił biegu koniowi i jakby tem myśli mógł odgonić, wstrząsł się cały i dłonią potarł czoło nasępione, a potem rozejrzał się dokoła siebie.

I zrobiło mu się bardzo dziwnie.

Musiało już być niedaleko od Uroczyska. W stepie niełatwo było się rozpoznać, tak tu był wszędzie do siebie podobny, a niewielkie wzniesienie kurhanu nie dawało się jeszcze dostrzec zdała, ale lada chwila musiał na nie natknąć się. Tymczasem wszystko było jednostajne, milczące i tajemnicze. I w tej tajemniczości było coś strasznego. Pan Kazimierz wspomniął o wieściach, jakie krążyły o Wrażem Uroczysku, o ście- rających się ponad niem w obłokach dwu wojskach wrogich, chrześcijańskiem i pogańskiem, o szczęku broni i dzikim wyciu bitwy, które nocami słychać było o parę mil dokoła, i mężne serce rycerza napehiło się trwogą przed widziadłami z tamtego świata, prze

ciw którym żaden ludzki oręż i żadna ziemską moc nie były w stanie poradzić. Jeszcze bardziej zwolnił kroku: przeżegnał się i rozglądał raz jeszcze dokoła.

Ale nie było najmniejszego powodu do strachu. Wkoło niego wszystko spało cicho. Step milczał. Tylko gwiazdy przypatrywały się ciekawie z wyżyn niebieskiego sklepienia czemuś, czego jeszcze nie dostrzegały ludzkie oczy i mrugały jedne do drugich tajemniczo, jakby chciały rzec:

— Wiemy wszystko, bo widzimy wszystko, ale nie powiemy nikomu. Kto ma oczy, niech je sam otwiera i widzi!

Pan Kazimierz nie widział nic, choć oczy szeroko roztwierał i rozglądał się pilnie. Uroczyśka wciąż jeszcze nie było widać z pod jednostajnej powłoki śniegów. Wiedział jednak, że nie zmylił drogi i, że wnet stanie u celu. I mówił sercu swemu, by nie trwożyło się daremnie, bo nie było czego. Burza ustała, mróz zelżał, sanie stoją na pewno, czekając powrotu rozesłanej czeladzi, ale teraz już i pomocy poprawdzie nie trzeba, bo choć droga zasypana, od mogiły łatwo wymiarkować, którądy idzie. Byleby tylko dojrzeć najprędzej te sanie, byleby dojrzeć!

I wreszcie zdało mu się, że widzi krawędź widnokregu podnoszącą się w jednym miejscu, a pod tem podwyższeniem coś mu zaczerniało.

Tak, nie było wątpliwości! To było Uroczyśko, a u stóp Uroczyśki stały sanie, wiozące Hanusię Turobojską.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, przytrzymał konia, dłoń położył na piersi i przez jedno Zdro

waś chwycił chciwie w płuca mroźne powietrze nocy. W tej chwili, w której niebezpieczeństwo znikło i tak niespodzianie znalazł się przy umiłowanej dzieweczce, uczył nagle jakiś strach przed spojrzeniem oko w oko szczęśnej rzeczywistości. Czuł, że mu potrzeba zebrać myśli i siły.

I stał tak przez chwilę, wrosł w ziemię.

Nagle wzdrygnął się. Co to było! Głos jakiś przeciągły, posępny, jakby zawodzący przeleciał ciemną przestrzeń i rozwiął się wdali. Czy bo było wycie upióra, czy wilkołaka? O Uroczyśku krążyły tyle złych i strasznych wieści! A może...

Nowy niepokój ścisnął serce rycerza. I już miał puścić konia w cwał, gdy nagle ujrzał, że czarny punkcik pod śnieżnym wzgórzem poruszył się i począł szybko oddalać ukośnie w głąb stepu.

I równocześnie dostrzegł w tej samej stronie, co dotychczas step krył przed nim, i co same tylko widziały gwiazdy.

Jak w noc czerwcową gęstwa leśna rozbłyskuje rojem światełek, któremi migocą świętojańskie robaczki, tak teraz rojem światełek podobnych zamigotał step, śniegiem owity nocą. Jak w lecie—światełka te ruszały się, biegały, ściągając w jedną, świetlną kupę. Jenó, że robaczki w noc letnią świecą pojedynczo, te zasie błyszczały stale nierozłączną parą ogników.

Zanim rotmistrz mógł ochłonąć z podziwu i przerażenia, w jakie wprowadził go ten szczególny widok, rozległ się znów w powietrzu ale bliżej i głośniej, niż przedtem, ten sam dziki niby jęk niby wycie .

Pan Kazimierz uczuł, jakby mu serce ścinało się lodem.

— Wilki! — jęknął.

I zataczając krąg, by wysunąć się naprzód i przeciąć linię ich drogi, puścił się strzałą ku saniom.

Niedługo trwało, aż zbliżył się do końca zakreślonego przez się łuku. Mógł już wszystko przed sobą rozeznąć. I w całej grozie rozwinął się przed jego oczyma straszliwy obraz.

Były to łowy, jeno myśliwych było nad miarę wielu, a gnaną zwierzyną był człowiek.

Cztei konie w poręcz leciały jak wiatr, unosząc za sobą ciężkie sanie, budką przykryte. Rozszalałe strachem zwierzęta straciły wszelki hamulec, poszarpały lejce i gnały naoslep, podniecane, niby płonąca żagwią, wyciem pędzącego ich śladem stada drapieżników. Stary woźnica leżał na przodzie sani, próbując ostatnią parą niezerwanych jeszcze rzemieni powstrzymać rozkiełznany bieg rumaków i nadać im kierunek, ale brakło na to siły i rzemieniom i własnym jego dłoniom. Nietrudno było dostrzec, że za mgnienie oka ręce zwisną staremu bezwładnie z kawałami oderwanych cugli, a konie poniosą z podwójną wściekłością. Sanie będą wtedy wyłącznie na łasce koni, a konie na łasce wilków.

Wilki, trzymane dotychczas na uwięzi zamiecią, wstrzymywała jeszcze i w tej chwili bojaźń od napastowania zdobyczy. Zbiegły się do niej, gdy tylko uciął wichur i pędziły za nią w pewnym oddaleniu zwartą kupą, do której przyłączali się wciąż nadciągnący ze wszystkich stron towarzysze. Było to jakby, wielkie, szare stado, odcinające się wyraźnie od białego tła płaszczyzny, w jądrze swem jednolite, od kraju rozchodzące się wokół jakoby mnóstwem macek olbrzymiego polipa, bo pojedyncze wilki odrywały się gromady, zabiegając bokiem naprzód, lub chyłkiem wysuwały się w pole, by swobodniej obserwować zdaleka ruch uciekających sani. Pomimo całego pędu, z jakim czwórka leciała, wilki nie odstawały ani

o krok, zostawiając między pojazdem a swą przednią strażą odległość rzutu kamieniem.

Odległość ta jednak nieznacznie się zmniejszała. Coraz to któryś ze ścigających wysunął się naprzód i podskoczył bliżej ku saniom, a choć wnet tchórzliwością wrodzoną zdjęty, cofnął się ku towarzyszom, pozostawał jednak na czele ich bliżej ściganego pojazdu, niżli był odeń przedtem. Od czasu do czasu i coraz to częściej wilki zwalniały nieco biegu, wybuchając tem przeciągłym, złowieszczym wyciem, które pierwsze oznajmiło o ich obecności rotmistrzowi. I po każdym takim wspólnym okrzyku, jakoby to było hasło bojowe, pobudzające ich odwagę, bieg ich nabierał nowego rozpędu i przybliżał je do uciekających sani. Białe prążki między saniami, a czołom ścigających je zwierząt zwiężał się w oczach, wreszcie zniknął. Wilki dotykały już sani

I poczęły zwolna okrążyć je, tworząc regularne półkole, którego środek stanowili uciekający.

Rycerz widział to wszystko, zajeżdżając drogę ścigającym i ściganym, i na duszy położył mu się błąd strachu, dławiąc mózg i gardło. Każdego momentu mo

gła w oczach jego stać się okropność, nieszczęście ohydne, ścinające krew w żyłach i nie do naprawienia. Oo było czynić, jak ratować? gdyby miał przy sobie ludzi, z którymi wyjechał, liczba ich wystarczyłaby zapewne na odpędzenie wilków, a zwłaszcza odstraszyłyby ich światła kagańców i pochodni. Ale ludzie daleko jeszcze być musieli, bo przez kopną drogę jeden tylko Hulaj zdolen był się przebić w tak krótkim czasie i to—gnany przerażeniem swego jeźdźca. Za pół godziny, prędzej może, wszyscy oni tu nadlecą, ale naprzód sanie i wilki będą już wtedy daleko stąd, a potem... któż mógł liczyć się z tak długim przeciągiem czasu tutaj, gdy rozwiązanie tragedji przynieść już mogła najbliższa minuta? O doczekaniu się odsieczy nie mogło być mowy, tem mniej o wracaniu po nią i kierowaniu jej na poprzek drogi, którą szła gonitwa. Więc cóż? Wpaść na wilki, odwrócić pościg ku sobie i umknąć w step z wściekłym stadem za sobą? Pan Kazimierz byłby to uczynił bez namysłu, gdyby mógł się spodziewać, że w ten sposób uwolni Hanusię od straszliwej pogoni; niechby już tam z nim stało się potem, co chciałby zły jego los. Ale doświadczenie łowieckie i znajomość obyczajów bestyj, z którymi miał do czynienia, pouczyły rotmistrza o bezużyteczności takiego hazardu. Gdyby wilków było kilka lub kilkanaście, możnaby spodziewać się odciążenia ich od ściganey zdobyczy, pokazawszy łatwiejszą bliżej. Ale wilków biegły za saniami setki, a w takiej będąc sile, nie mogło ulegać wątpliwości, że część napastników, rozdrażniona zjawieniem się jeźdźca, zwróci się ku niemu i puści w pogoń jego śladem, ale większość stada pozostanie przy pierwszym łupie, daleko obfitym od tego, jakim był rotmistrz wraz z Hulajem. Towarzyszyć uciekającym saniom znaczyło przede wszystkim zwrócić przeciw sobie napad, bo wilki, nie śmiejąc jeszcze dotąd uderzyć na czwórkę łązańską, nie zawahają się skoczyć do gardła pojedynczemu koniowi, co gdy zobaczą inne, przyspieszy to napad na sanie i straszną śmierć Hanusi.

Młodzieńcowi przychodziło na myśl porwać dziewczynę na koń i zdać się na rącość Hulaja; nte mówiąc jednak o tem, że był to krok zupełnie beznadziejny, bo Fulaj był już wyczerpany, a zasy pyłowe przeszkadzały ucieczce, trudność wykonania rozpaczliwego zamiaru leżała i w tem, że dla wzięcia panny na siodło trzeba było wstrzymać bieg ponoszących koni, a o tem nie było co i myśleć. Nie było więc nic do zrobienia. Miśniakowski darmo wytężał przerażony mózg: nie widział żadnego środka ratunku. Widział natomiast straszną śmierć ukochanej kobiety i leciał do niej, nie—żeby ją ochronić, jeno by zginąć z nią razem.

— Mam podwójną króciwą — myślał — macając się za pasem, czy broń mu nie wysliznęła się w pościgu. Jedna kula w te bestje, by je wstrzymać na chwilę, druga w nią, by jej choć za żywota oszczędzić.

I nie śmiał nawet w myśli dokończyć sam sobie, że chce Hanusię zabić, by nie poczuła za życia klów wilczych, rozrywających młode ciało...

A tymczasem półokrążyły jego bieg, wyprzedziwszy sanie, miał już zajechać im drogę. Od wilczego

W żakietem zamczysku.

1)

siada dzielił go nadlatujący pojazd, ale woźnica dostrzegł go i wyciągał ku niemu ręce, mniemając widocznie, że za nim licniejsza odsiecz leci. Zaś z poza ramion woźnicy wyciągały się ku niemu inne dłonie, kobiece a raczej prawie dziecięce, i głosik przenikliwy podniósł się, górując nad rzeniem koni, i wyciem wilków, i chrzęstem uprzęży, i poświstem wiatru:

— Pan Kazimierz! Pan Kazimierz! Tu! Tu! Do mnie! Ratuj!

Rycerz zapomniał o wszystkim. Dźwięk tego głosu zawrócił mu głowę, niczem miód stuletni. Krzyknął i przypadł do budki, z której wychylała się ku niemu wybladła twarzyczka i dwoje drżących rąk wzywało jego pomocy. Dziewczyna wysunęła się przed budkę na sam przód sani i oparta wpół o pochylonego woźnicę kołysała się w okrutnym pędzie. Z głowy spadł jej kołpaczek i włosy rozpuściły się dokoła ramion; odrzucała też delijkę i stała, słaniając się w samym tylko półkożuszk z koźlich wyporków, z oczyma wlepionymi w zbliżającego się rycerza, przywołując go wylękłem i rozszłochanem, ale i ufności pełnym wołaniem.

— Hanuś! — zawołał Miśniakowski—Hanuś! To ja!

— Prędeż! Prędeż! — jęknęła dziewczyna.

— Jestem już! — krzyknął rycerz.

Istotnie dotykał już prawie sani i gromada wilków, dostrzegłszy go, podniosła straszliwe wycie. Ale teraz Stało się coś stokroć straszniejszego, niż wycie bestyj i niż wszystko, cokolwiek okropnego miała w sobie dotychczas ta scena.

Dziewczyna na widok nadlatującego rycerza wyciągała ku niemu ręce, nie myśląc już o trzymaniu się sani, które co chwila podskakiwały na wybojach, jak odrzucona z ziemi piłka. W tej właśnie chwili uderzyły

O jakiś pień ukryty pod śnieżną powłoką i przechyliły się gwałtownie na stronę, a potem, szarpnięte przez zaprzęg, wykręciły się prawie do góry dnem i powlokły dalej, przewrócone na bok. Woźnica wrzasnął rozpaczliwie i przytulił się do swego siedzenia, dziewczyna krzyknęła także, ale nie zdołała utrzymać równowagi, przechyliła się wraz z saniami, próżno szukając dokoła oparcia dla rąk, i wypadła w śnieg.

I w temże mgnieniu oka pokryła ją, jakby szarym płaszczem, gromada wilków. , — Jezus, Marja! — wrzasnął pan Kazimierz.

I huknął z króciicy w kłębiące się wężowisko bestyj.

Kupa rozpierzchła się, wyjął dziko. Na śniegu zaczerwienionym od krwi, drgało w konwulsjach cielsko trafionego wilka. Obok leżała, bez ruchu i bez kropli krwi w obliczu, młoda panienka.

Szybki, jak błyskawica, Miśniakowski zeskoczył z konia, chwycił zemdloną, przerzucił ją wpoprzek siodła

I wskoczywszy na kulbakę, pogonił jak wiatr nazad, w przeciwną stronę, z której oczekiwał odsieczy.

Napastnicze stado zatrzymało się przez chwilę, zdumione i jakby niepewne, co czynić dalej, wnet jednak szara plama na białej powierzchni stepu rozdzie

liła się na dwie, prawie równe połowy. Jedna puściła się śladem umykających koni, druga rzuciła się doganiać jeźdźca.

HI.

POD WILCZĄ PASZCZEKĄ.

Wskoczywszy na konia, rotmistrz pochwycił zemdloną panienkę w ramiona i obwinąwszy własną burką, przycisnął ją do piersi, jak małe dziecko, a równocześnie bódł Hulaja w poranione boki, by odsądzić się, jeśli możliwe, od goniących bestyj i zbliżyć do odsieczy, która powinna była tędy nadbiec. Było to kilkunastu ludzi uzbrojonych i niosących światło, straszne drapieżnikom, więc dość, by stado rozpędzić, a gdyby nawet nie rozpięchło się, stoczyć z nim zwycięską walkę i wołał duszą całą ku tym, z którymi wyruszył w step przed paru godzinami.

— Bywajcie! Tutaj, tu! Prędej! Bywajcież, na Boga żywego, bo może być za późno!

Ale noc pozostawała ciemna i głucha. Znikąd nie migotał wdali czerwony odblask pochodni, ani dawał się słyszeć tętent nadbiegających koni. Tylko Hulaj uderzał kopytami w miękki śnieg i prychał pianą a za nim, od czasu do czasu, odzywało się posępne, złowrogie wycie czworonożnych myśliwców.

— Co to jest? — myślał z rozpaczą Miśniakowski. — Czy drogi nasze aż tak się rozbiegły? Ależ tędy właśnie winni byli jechać! I dawno już powinienem był ich spotkać! Co się stało? Czy zamieć ich zbłąkała? Takich tęgich jeźdźców i bywalców! Czy jaka przygoda...

Ale nie czas było myśleć rotmistrzowi o przygodach, które mogły spotkać jego przyjaciół i służbę, bo własna jego przygoda z każdą chwilą stawała się groźniejszą. Wilki nie odstępowały i poczynąło ich być coraz więcej. Hulaj leciał szparko, nie okazywał znużenia. Szlachetne zwierzę zdawało się pojmować, że należy się odeń najwyższy wysiłek, można było jednak przewidzieć, że niedługo już, a sił mu zbraknie. Młody rycerz z przerażeniem myślał o tem, co wtedy będzie, i oczy wpijał w ciemność, nasłuchując, czy nie przychodzi ratunek.

Ale ratunek nie przychodził.

Miśniakowski bódł konia ostrogą i leciał dalej, a. w mózgu kotłowało mu wciąż jedno:

— Gdzie oni? Gdzie oni? Gdzie oni?

I wreszcie stało mu się jasnym, że oni są gdzie indziej i że już na nich nie trafi. Step jest jako morze: nie spotkać się dwom statkom, których drogi się skrzyżowały. Miśniakowski był sam i na siebie już tylko mógł liczyć. Z towarzyszami nie spotka się; musieli być już daleko od niego, w przeciwnym kierunku. Rozminęli się... I już mu nie pomogą, nie ocalą Hanusi... Był sam.

A równocześnie z tem strasznym przeświadczeniem

przekonał się i o drugiej rzeczy niemniej strasznej.

Wilków przybywało.

I nietylko przybywało ich, ale stawały się coraz śmielsze i naciskały go coraz to bliżej...

Rycerz odwrócił głowę i zadrżał. Step roił się od gorejących ślepiów. I wszystkie one nadlatywały w ślad Hulaja. Hulaj pędził, jak wiatr, pędziły i one. Sanie znikły dawno i nie słyhać było od tamtej strony żadny cli głosów, ni końskich, ni wilczych. Step, oświetlony gwiazdami, pusty był, jak okiem sięgnąć, i zdawał się jednym, bezmiernym całunem. Na bieli szarzały dwie plamy: koń i wilki.

Wilki z początku trzymały się w pewnem oddaleniu, jak to Miśniakowski widział przedtem, gdy goniły sanie. Powoli odstęp, dzielący je od Hulaja, począł się zmniejszać i zbliżyły się tak, że już tylko krok jeden dzielił goniących od ściganych, tyle jeno, by chronił przed wierzgnięciem. I wtedy nieregularna masa poczęła na dwóch flankach rozwijać się i rozszerzać w wielki półksiężyc, którego ostrza wysuwały się znacznie przed równą linię z łbem końskim.

Jeździec ścisnął kolanami boki Hulaja, a zemdloną dziewczynę okutał burką i silnie oplótł ramieniem.

Zrozumiał, że wilki obchodzą konia, by mu zabiec drogę i w kilku naraz uwiesić się kłami u szyi.

I zakręciło mu się w mózgu. Był to koniec. Chwila jeszcze dzieli go od tego końca; przedłużyć tę chwilę za każdą cenę! To jedno mu już tylko świeciło w myśli. I drugie: rozpaczliwa, namiętna, płomieniem dobywająca się z piersi modlitwa:

. — Jezu! Jezu! Marjo!!!

Gdy zaś tak leciał, szamotany wichrem rozpacz, Hanusia otworzyła oczy i, starając się wydobyć uwieszone rączęta, poczęła oczy przecierać, jak dziecko ze snu zbudzone.

— Co to jest? — szepnęła sama do siebie. — Co to ze mną? Gdzie ja?

I naraz oczy podniosła do góry i ujrzała pochylone nad własną twarzą oblicze rycerza i oczy jego, płonące bólem i miłością.

— Pan? — krzyknęła. — Pan?!

I zarzuciła ręce Miśniakowskiemu dokoła szyi.

— To już wiem! Pan tu — dla mnie? Tak! O, teraz, to już żadnych wilków mi nie strach! Rzuciła jednak okiem przed siebie, a że była odwrócona twarzą wtył, dojrzała wielką szarą plamę na śniegu, lecącą ich śladem i otaczającą ich półkolem.

Ale przez mgnienie oka tylko patrzała na goniące ich bestje. Było to rycerskie dziecko stepów, przywykłe patrzeć na śmierć i strach odpędzać od serca. Odwróciła więc tylko głowę i ukryła ją na piersi rycerza, a potem rzekła cicho, ale tak, by mógł ją dosłyszeć. mimo świstu wiatru i wycia pędzących wilków.

— Nie boję się ich! Nic a nic! Wiem, że pan mnie im nie da.

Po chwili jednak dodała ciszej, drżącym nieco głosem, i jakby z wahaniem:

— Ale gdyby co... Gdyby nie można było inaczej... to... to...

Młodzieniec pochylił się ku niej i, przyciskając ją

całą mocą do piersi, dotknął zbieletemi wargami jej złotych włosów.

— Rozumiem! — rzekł jej głucho. — Nie bój się! Rozumiem!

— Nie daj... żywej! — wyjąknęła dziewczyna.

— Nie dam! Przysięgam ci! — zawołał rycerz. — Nie dam żywej!

Ale ona teraz rzuciła się silnie i napół wyzwoliła z jego ramion.

— Tak, tak! — zaczęła szeptać, dysząc ciężko, podniósłszy głowę tak, by jej usta były przy uchu Miśniakowskiego, jakby się bała, by słów jej nie dosłyszały wilki. — Nie daj żywej! Ale i siebie nie daj! Rozumiesz? Nie daj! Ja wiem dobrze, jak z wilkami... Jakże?... Od małego z ojcem, z bratem... Oboje nie uratujemy się i sama, także nie... Rozumie się, że nie... Padnę, zginę... A ty możesz... Więc słuchaj!... słuchaj!... Ty musisz?

Głos jej, choć cichy, okrzepł teraz i przybrał nakazujące brzmienie. Rycerz patrzył na nią, zdumiony, nie rozumiejąc, czego chce i, zapominając na chwilę o grozie tego, co zacieśniało w tej chwili dokoła nich krwawą obręcz śmierci.

— Co ty, Hanus? Co ty?

Ona zaś zbliżyła jeszcze bardziej do jego twarzy twarz, nie zbieleła już, ale rozplamioną, jakby w gorączce, tak, że zmieszały się ich oddechy.

— Musisz — szeptała z rozkazującym naciskiem. — Musisz! Wiem, że nie chcesz, wiem, żebyś wołał sam wziąć śmierć, ale tamto na nic! Musisz!

*•— Ależ co? Co? Mów jaśniej! — pytał rycerz.

I naraz poczuł coś zimnego w dłoni, którą przyciskał do siebie Hanusię.

A dziewczyna szeptała mu dalej w ucho gorączkowym, dyszącym głosem:

— Miałam od przygody... Chciałam strzelać, ale Proflor nie dał... Nabita... Zabij i rzuć im... a sam uciekaj, uciekaj!... Ohe zostaną przy... mnie... a ty... ty umkniesz im, ocalisz się! I przycisnęła się do niego silniej, szukając oczyma jego oczu i składając dłonie, jak do modlitwy.

— Zrób! — szeptała. — Zrób! To nie grzech, bo śmierć i tak pewna... A ja ani poczuję, tak mi będzie słodko, że moja śmierć — tobie życiem!

Rotmistrz teraz dopiero ją zrozumiał.

— Szalone dziecko! — zawołał. — Mogłaś przypuścić, żebym chciał żyć kosztem twego życia?!

— I ja chciałabym, żebyśmy żyli oboje — odrzekła mu smutno. — Ale cóż? Bóg nie daje! To nieciłbyś choć waćpan żył!

— Dziecko! Dziecko! Jakżeby mi wyżyć bez ciebie?

— Przecież rękibyś waćpan na siebie nie nałożył, gdybym zginęła!

— Alebym i na świecie nie ostał. Wzięłaby mnie wojna lub kaptur.

Mówili do siebie urywanemi słowy, lecąc wciąż z wichrem stepowym w zawody, a wkoło nich ścieśniała się tymczasem szara obręcz i pojedyncze wilki przebiegały drogę Hulajowi, jakby próbując terenu do na

padu. Za każdym razem koń drżał i dawał silnego szczupaka a potem leciał chyżej jeszcze, drżąc na całym ciele i znacząc ślad swój szerokimi płatami piany.

Ale Hanusia nie widziała tego. Zdawało się, że zapomina zupełnie o tem, co ich oboje otacza i czeka. Oczy jej utkwiły we wzroku rycerza a usta szeptały cicho i ledwie zrozumiale:

— Więc to naprawdę tak mnie waćpan miłujesz, że ażbyś pomarł z tęskności za mną?

— Miłuję. Och, miłuję! — jęknął młodzieniec.

— Bom ja sobie myślała, że waćpan mnie tak tylko... ot, jak dzieciaka, a nie — tak... A ja waćpana od początku, od tej chwili, gdyś mi głowę burką owinął w tym lesie...

— Cóż? Cóż? — dopytywał się, zapominając, on także, o wszystkim.

Dziewczyna pomilczała chwilę.

— Co mam się sromać? — rzekła wreszcie, jakby sama sobie odpowiadając.

— I tak pomrzemy wnet oboje, bo waćpan nie chce dać się uprosić. To już i powiem, że ja waszmości od tej pierwszej chwili... bardzo, bardzo... Nad żywot, nad rodzica, nad wszystko... I nie było już dla mnie słonka ni radości bez ciebie!

I przytuliła się do niego, ukrywając twarz w jego burce, jak niegdyś w nadirpieńskim lesie, a z ust jej wybiegły słowa cichsze, niż tchnienie:

— Mój ty najmilszy! Mój jedyny! Mój! Mój!

Jego także ogarnął szal. Zapomniał o wszystkim, co stało między nimi. Zapomniał i o śmierci, która miała ich wnet połączyć w zapomnieniu wszelkiej doczesności i wpił się ustami w główkę, zwieszoną na jego piersiach i wydało mu się, że jest w niebiesiech.

Ale w tej chwili Hulaj zakwiczał dziko, stanął dęba i począł rozpaczliwie dokoła wierzgać kopytami.

Ogromny wilk uwiesił mu się u gardzieli.

Miśniakowski z najwyższym wysiłkiem utrzymał się na kulbace, wpiwszy się koniowi kolanami w boki, potem, utwierdziwszy mocno przed sobą na kulbace dziewczynę, przechylił się wpół ciała na bok i potężnie grzmotnął głownią króciicy w głowę napastnika.

Wilk odpadł z wyciem, inne, wysforowane przed Hulają, cofnęły się, a Miśniakowski, stanąwszy na strzemionach, obrócił się i w pełną kupę bestyj dał ognia.

W kupie zakotłowało. Wizg, jęk, wycie zmieszały się w piekielną istic wrzawę. Polip rozbił się na chwilę i rozleciał wkoło setką pojedynczych, szarych maćków i Hulaj miał czas odsądzić się od niego na kilka rzutów kamienia.

Po chwili ogromnego przerażenia coś, jakby błysk nadziei, przeleciało przez myśl rotmistrzowi, wnet jednak zrozumiał, że to była tylko ułuda. Po chwiloweni zamieszaniu wilki skupiły się na nowo i wnet nowym pierścieniem otoczyły uciekającego jeźdźca, tylko tym razem, nauczone widocznie doświadczeniem, wysunęły się przeważnie przed konia, zamiast biec jego śladem.

Miśniakowski przewidział, że napaść wnet się ponowi. Nabił pośpiesznie wystrzeloną lufę. Dzięki Hanusi-

nej króciocy miał trzy strzały, ale cóż one znaczyły przeciwko tym setkom?

W chwili gdy kończył nabijać, dwa wilki znów przywarły się kłami do końskiej szyi.

Miśniakowski jednego tylko dosięg'nął i zwałił. Drugi tymczasem urwał koniowi kawał mięsa, aż posoka buchnęła szeroką strugą, krwawiąc śnieżną płaszczyznę. Hulaj zachwiał się na nogach i byłby upadł, gdyby go rycerz nie poderwał silnie. Dźwignął się więc i począł biec, ale nie był to już jego bieg dotychczasowy, pewny i silny. Biegł w zygzak, jakby słaniając się, i coraz wolniej. A wilki nadbiegały i o- śmielone, chwyciły go teraz ze wszystkich stron, szarpiąc nogi i boki.

Miśniakowski dał dwa strzały, oczyszczając tem na chwilę obie strony drogi, ale bestje nie okazały już takiego strachu, jak z początku. Nie rzuciły się też na zabitych towarzyszy dla pożarcia, co czasem daje napadniętym szansę ucieczki podczas wzajemnego rozdierania się bestyj. Rotmistrz nabił dwa naboje i znów strzelił. Skutek był jeszcze krótszy. Cóż stąd, że kilka wilków wiło się poza nim w przedśmiertnej konwulsji lub leżało bez ruchu, jak je strzał przechwycił! Biegło ich tyle, że ubytku tych kilku nie było wcale znać.

Miśniakowski jeszcze raz nabił wolne lufy i dał dwa- kroć ognia, zostawiając jedną kulę na ostateczną potrzebę; ale w tej chwili Hulaj znów upadł na przednie kolana. Rotmistrz poderwał go raz jeszcze, ale koń tchu już w sobie nie miał i upadł na nowo, a stado wilcze okryło go w jednej chwili, jak ruchomy, szary kobierzec. Równocześnie z dwóch stron przyskoczyły na- pastniki do jeźdźca, rwąc mu burkę i zapuszczając kły W skórzane buty.

Miśniakowski próbował największym wysiłkiem konia dźwignąć, ale było już za późno. Hulaj konał. Zacharczał, rzucił się konwulsyjnie całym ciałem, zwałił się ciężko na bok i już się nie poruszył. Rycerz miał tyle tylko czasu, by nogę odwinąć z pod padającego konia i podnosząc w górę Hanusię, dać ostatnią kulę w kupę i skoczyć w opróżnione przez strzał miejsce.

Chwilę zyskał, bo zgłodniałe zwierzęta, znęcone wonią krwi, rzuciły się hurmą na leżącego Hulaja. Była to jednak minuta zwłoki, dana skazanemu na śmierć. Rycerz wiedział o tem dobrze. I teraz przypomniał sobie z rozpaczą, że wystrzelił ostatnią swą kulę. Miał już tylko nóż myśliwski, którego rękojeść kurczowo ścisnął w garści. Miałże go wepchnąć w serce Hanusi, by nie poczuła, jak ją będą szarpać wilcze zęby?

Ból straszliwy wbił swe szpony w duszę nieszczęsnego żołnierza. Oto niespodziewanie, jakoby złoty promień z niebios, uderzyła weń chwila szczęśliwości nad wszelką miarę i nadzieję. Oto miał przy sobie to dziewczę umiłowane tak gorąco, oto tulił ją w swoim objęciu i słyszał od niej, od tego wczorajszego jeszcze dziecka, przekształconego dziś w cudną dziewicę, płomienne a pełne słodczy słowa, wyznanie dziewiczego serca, silniejsze nad srom, czarodziejskie słowa ko

chania. I ta chwila cudna przychodziła na niego wówczas, gdy doganiała go setka zgłodniałych i roz- żartych wilków i miała być jakoby ostatniem wrażeniem gasnącego życia i pożegnaniem z tą dziewczką słodką, wyznającą mu swe miłowanie. I oto za tą chwilą promienną przyjdzie wnet inna i ta będzie krwawą. Kupa szarych, dzikich bestyj, okrywająca ich dwoje, jak tylko co okryła Hulaja, gryząca się o ich krwawe członki, rozszarpująca je i roznosząca po stepie... A potem trochę krwawych kości na śniegu — oto wszystko, co zostanie z ich młodego życia... Z jej życia!

I przeleciały mu przez myśl słowa żołnierskiej piosenki, śpiewanej nocami przy obozowem ognisku. Niechby go i grzebały! Cóż? Żołnierski los! Tylu innych przed nim. niechby i on... Ale Hanusia! Ona, to słodkie dziecko, co jeszcze nie uspiało z pączka rozwinięciem się w kwiatusek, ona, co w tej chwili właśnie wyciągnęła rączkę swe do nieznanego jeszcze szczęścia, ona, to cudne, umiłowane dziewczętko — ona miała wyzionąć ducha pod białemi kłami rozdzierających ją bestyj i nie było litości, i nie było na to obrony, i nie było ucieczki przed tem, jeno śmierć. Mógł jej ująć męki, zabijając ją... To był jedyny dowód kochania, jaki mógł dać umiłowanej dziewczce, to miał być jego ślubny podarek...

I przeleciało mu znów przez głowę: „Wilki ci zaścielą

Łoże weselne, Kruki ci zakraczą

Pieśni kościelne..."

Miśniakowski odbiegł kilkadziesiąt kroków od wilczego stada, gryzącego się o krwawe jelita biednego Hulaja i stanął, rzucając dokoła siebie bezradnem, a jednak gorączkowo wyteżonem spojrzeniem, jakim rozbitek na pełnem morzu rozgląda się za kawałkiem drzewa, którego mógłby się uchwycić i jeśli nie ocalić, to choć przedłużyć życie.

— Ratunku! O Jezu! Choć na chwilę ratunku!

Okręcił wokół głowę i nagle okrzyk wyrwał mu się z piersi.

Nie był tu już gładki bezleśny step, jak dokoła Wrażego Uroczyska. Teren falował tutaj, poprzerzynany głębokimi brózdami, urozmaicony kamienistemi występami, tu i owdzie pościanami prostopadle lub ster czącemi do góry, jak skalne obrywy. Po występach czerniła się moc krzaków, ogołoconych z listowia, a w głębi za niemi ciągnął się długi, posępny bór.

Teren przedstawiał dla rotmistrza w porównaniu z równią stepu znaczną korzyść. Na równi, opadnię- ty, wnet musiałyby ulec przemocy mnóstwa napastników. Tutaj, dopadłszy skały o dostatecznie wysokim grzbiecie, mógł oprzeć się o nią, zasłoniwszy Hanusię, i kordelasem narznąć bestyj dowoli, nimby go zmogły. A możeby go i nie zmogły...

Bystre oko pana Kazimierza dostrzegło to wszystko odrazu, ale nie z tego powodu wydarł mu się z piersi tak gromki okrzyk radości. Oto bowiem o jakie tysiąc kroków, prawie już pod samym lasem ujrzał on w srebrnym świetle wschodzącego księżyca wystającą z pod nąkopionego dokoła śniegu i z pomiędzy ota

czających krzów strzechę chaty, a co więcej, błysk światelka, wydostający się z wnętrza przez błonę, czy też przez szparę okiennicy.

— Boże! Ojczy! Dzięki! — szepnął młodzieniec duszą raczej, niż usty.

I zerwał się piorunem, unosząc Hanusię ku onemu światelku, które mu zaświeciło właśnie jakoby rozbitkowi morska latarnia u zbawczej przystani.

Ale zerwał się nie sam. Tuż za nim runęła pogoń...

Miał wprawdzie nieco przestrzeni przed wilczą gromadą, która, oderwawszy się od dymiących trzewi końskiego trupa, puściła się za nim. Tylko że wilk dogania najściglejszego konia, a człowiek i mierzynowi nie jest w stanie sprostać. Wnet też wilki były już na piętach uciekającego a do chaty pozostawał jeszcze spory kawał drogi.

Ginąc tuż przy zbawczej przystani, ginąc, właśnie wtedy, gdy po długiej rozpaczliwej zbudziła się iskra nadziei, to było zaiste coś tak okropnego, że nawet mężny duch rotmistrza Miśniakowskiego ugiął się pod brzemieniem cierpienia i on, sodalis, miał kornego polecenia się Bogu w godzinie śmierci, gotów był niebiosom w tym ostatnim momencie żywota rzucić bluźniercze pytanie:

— Dlaczego, Boże mój, dlaczego?!

I gdyby nie dziewczyna, którą trzymał w objęciach, twarz jej zasłaniając burką, by nie widziała otaczającej ją okropności, pewnieby mu ręce opadły bezwładnie.

Bo i nacóż się zdały wszystkie jego wysiłki? Oto stoi przed nim śmierć, straszniejsza od każdej innej na świecie, jak stała przed godziną, gdy miał jeszcze niezrówanego Hulaja i nieużyte siły, a teraz wiernego konia już nie masz, i znużone dłonie już mu omdlały, i głowa mu ciąży nieznośnie, jakoby była z ołowiu, i on wie, że wszystko daremne i wszystko przepadło.

Przebić szyję Hanusi, paść przy niej, nie broniąc się, i niech już będzie, co ma być...

Ale moc samoochrony tak jest wielka w człowieku, że młody rycerz nie uczynił tego, choć czuł, że takby było najlepiej. Nie! On przecie bronić musi nie — siebie, bo o niego mniejsza; on broni jej, Hanusi, a tej obrony nie wolno mu poniechać, nie wolno w niej słabnąć. Więc dalej, z Bogiem!

Tuż obok był właśnie jeden z owych skalistych obrywów, których tu sterczało tyle, jakby umyślnie na obronę od przygody. Rotmistrz skoczył do niego, rzucił poza siebie dziewczynę, krzyknął jej, by nie ruszała się i nie wyglądała z burki, i dobywszy kordelas, ciął nim strasznie pierwszego wilka, który go dopadł, wysforowawszy się przed innych. Po pierwszym przyszedł drugi, trzeci, dziesiąty. Młodzieniec rąbał, miażdżył głownią króciocy, z trupów wilczych tworzył się u stóp jego cały szaniec, ale zdawało się, że z każdego trupa wyrasta dziesiątek nowych wilków i szara ich chmura zdawała się rość i potęgnić z każdą chwilą, a im więcej ich padało z rąk rotmistrza, tem większe zastępy i z tem większą wściekłością skakały ku niemu na miejsce pobitych.

Miśniakowski czuł, że mu ręce słabną i w głowie się W' żakietem zamczysku.

kręci. Kilkakrotnie też wpiły się już kły w jego ramię i nogi. Z ran uchodziła krew, odbierając mu resztę wigoru. I myślał sobie, że to już czas, że trzeba dziewczkę żgnąć, bo już nie poradzi dalej. Ale zaraz przyszło mu do głowy coś innego. Czy to się godziło, czy to nie był ciężki grzech? I zadrżał na myśl, że to był może mord i że chcąc Hanusi śmierć lżejszą uczynić, pójdzie sam wprost z wilczej paszczyki do piekła. I mróz go obleciał. Ale w tejże chwili uczył, jak mu coś owija się lekko koło pasa, jakby czegoś szukając i zanim zrozumiał, co to jest, głosik jakiś drżący nieco, ale stanowczy ozwał się za jego plecyma:

— Pistolety biorę! Mój już nabity, ale waszmości-nych ładunków nie mogę dostać. Zrzuc pas, to sama zeń wyciągnę.

Spełnił, czego odeń żądano, i rozpiął klamrę skórzanego pasa, rozrąbując równocześnie ohydny trójkątną głowę, która mu otarła się prawie o twarz, parząc ją gorącym oddechem. W parę pacierzy rozległ się z poza jego ramienia strzał. Hanusia wylazła na głaz przypierający do skalnej ściany, i strzelała raz po raz. Czyniła to z wprawą dziecka stepu. Chowaty ją myśliwstwo i wojna: wojowała też. Podsypywała proch, zapalała lont, jak stary żołnierz. Pan Kazimierz krzyczał na nią z początku, by szła precz z kamienia i nie przeszkadzała mu w rozprawie z wilkami, z którymi i sam poradzi, ona jednak nie słuchała i dawała ognia strzał za strzałem. I młody rycerz musiał pTzyznać, że była mu dzielną pomocą, lepszą od każdego z trzech kompanów i ze służby, zgubionej wśród stepu. Wziął od niej potem nabite króciwe i sam strzelał, oddając jej wystrzelony oręż, który ona wlot nabijała, mając czas i własnej raz po raz wtłoczyć ładunek, pakując go wnet w najgęstsza kupę.

— Ja ją ratowałem, teraz ona mnie ratuje! — myślał rotmistrz, którego serce wzbierało rozrzewnieniem i miłością ku temu dziecku, wartemu paru chłopów. Miłował ją już, ale aż do tej nocy nie wiedział, czy jako siostrę, czy inaczej: w tej chwili poczył, że ją miłuje dwakroć, i trzykroć goręcej, niż dotychczas i że ją miłuje — inaczej. I czuł się szczęśliwy i dumny, że była taka.

* — Rycerz z niej prawy, choć w spódnicy! — myślał z uznaniem.

Ale niespodziewana odsiecz, dana przez Hanusię, nie odstraszyła przeciwników. Ginęło ich mnóstwo, ale nie było znać uszczerbku. Na miejsce ubitych przybywali inni i zdawało się, że im więcej ich ginie, tem więcej naciera.

I przyszła znów chwila, w której nadzieja na czas unosząca złociste swe skrzydła ponad głową walczącego rycerza, pierzchła, jak ptak spłoszony. Strzały stały się rzadsze, kordelas raził coraz słabiej, wilki przedniemi łapami stawały na ramionach Miśniakowski ego. Krew z ran uchodziła. Tchu mu brakło: czuł, że słabnie.

— To już koniec! — przeleciało mu przez głowę.

Ale w tejże chwili stało się coś niespodziewanego.

Od strony lasu, kędy Miśniakowski dostrzegł był niedawno zakopaną w śniegach chałupę, błysnęła wielki snop ognia i poczył szybko zbliżać się ku napastowa

nym. Ktoś biegł ku obrywowi, trzymając w obu rękach gęste pęki zapalanej smoły, zatknięte na żerdziach i czerwona łuną rozświetlając wszystko dokoła.

A z poza tego ognia rozległ się wdali silny, przenikliwy głos:

— Tu do mnie, prędeż, jeśliście żywi!

Jeden ze snopów uderzył w najbliższe wilki, które rozleciały się w mgnieniu oka i poczęły uciekać w popłochu. Miejsce dokoła Miśniakowskiego i Hanusi było wolne. Rycerz porwał znów dziewczynę na ręce i zawahał się, co ma dalej czynić.

— Do chaty! Do chaty! Co siły w nogach, bo wilki wnet powrócą! — wołał głos.

Miśniakowski pomknął, jak strzała. Za nim biegła jakaś ciemna postać, wymachując poza siebie płonącym wciąż kulą słomy. Best je były tak odurzone blaskiem, że trzymały się zdaleka, podnosząc tylko wściekłe wycie na widok, wymykającej się ich kłom, ofiary. Uciekający dopadli do chaty i zatrzasnęli wrota.

— Uf! — westchnął z pełnej piersi rycerz, złożony Hanusie w kącie na pościeli, wysoko spiętrzony pierzyna. Dziękuj ci, Boże!

— A mnie to nie powiecie: „Spasy Bili!” jasny ty- cariu? — ozwał się dźwięczny, znany głos za jego plecami.

Pan Kazimierz odskoczył od tapczana i za głowę się porwał.

— Co to? Kto to? — krzyknął.

— Kto? A któż, jak nie Motra?

Istotnie czarnobrewa z Maksymowego futuru stała przed nim, oświetlona czerwoną strugą płomieni, idar cych z komina, zdyszana trochę, ale zresztą spokojna i krasna, a dziwna, jak wtedy, w ono letnie południe, gdy ją po raz pierwszy ujrzał w lesie.

Rycerz nie mógł wyjść z osłupienia.

— Na Boga! Skądżeś się tu wzięła?

Dziewczyna uśmiechnęła się, jako miała w obyczaju, zagadkowym swym uśmiechem.

— Tam każdy idzie, gdzie go pędzi dola—rzekła, jakby w zadumie. — I moja dola przyniosła wam szczęście. Gdyby mnie tu nie było, jużby was wilki rwały.

Rycerz drgnął mimowoli.

— A rwałyby — mruknął ponuro. — I nietylko mnie!

— Pewnie, że nietylko was! — odrzuciła mu obojętnie, ogarniając pobieżnym spojrzeniem Hanusie, na- pół omdloną i bezwładnie rozpostartą na pościeli.

— A kogoż to ułowiliście w stepie? Czy aby nie tę przebraną panienkę, co latem szła z prosczą od Kijowa?

Pan Kazimierz głową skinął i zrobiło mu się nieswojo, jakby dopuścił się jakiegoś nieodpowiedniego czynu.

— Napotkałem ją w stepie. Gonili ją wilki,—począł tłumaczyć tak, jakby się usprawiedliwiał.

Dziewczyna uśmiechnęła się, ruszając ramionami.

— Ano tak, wiem! Jako wtedy. Latem goniły ją chłopcy, zimą wilki.

Rycerzowi zdała się ta mowa prostej chłopianki o dziewczce z wielkiego domu czemś nieprzystojnym i miał

już słowo karcące na uściech, ale język mu się jakoś skręcił i niewyraźnie zabelkotał, a Motra przerwała mu od pierwszego słowa.

— Tylko, że z Kupajły łatwiej uciec, niż od wilczego zęba!

Miśniakowski zaniepokoił się znowu.

— Jakże to? — spytał. — Do chałupy przecie beetje nie wtargną, a któreby spróbowały, do cna wystrzelam. Noc przebijemy jakoś, jutro zaś...

— Nocka długa, a jutro dalekie — odparła tym samym, napół obojętnym, napół zadumany głosem. — Wiesz ty, pane, kto z nas jutra doczeka?

Rotmistrza, choć nieustraszoną miał duszę, mróz obleciał przy tych słowach, tak przecie prostych. Spojrzał bystro dokoła pytającym wzrokiem, chcąc się przekonać, czy istniało rzeczywiście niebezpieczeństwo zdobycia chałupy przez wilki. Izby była mała, ale chędogo bielona i wszelakich statków pełna. Na ścianach wisiały kilimy o jaskrawych barwach, stół przykryty był wzorzystym ręcznikiem, w rogu stał piec, rzecz rzadka i niemal zbyt kowna. Błony w obu okienkach były za małe, by przez nie mógł przebić się wilk, choćby najchudszy. Przytem Miśniakowski wiedział dobrze, że trzej jego przyjaciele, ze wszystkimi ludźmi, jacy byli we wsi, rozpoczną w ciągu nocy przetrząsanie całej okolicy w promieniu kilku mil od Horodyszczu i nie zostawią bez kontroli ni jednego krza, tem mniej chaty. Pomoc więc była pewna, a gdyby nawet opóźniła się, a wilki chciały chatę oblegać, łacniejże im było dać

odpór, siedząc w zamknięciu pod dachem, niż w odkrytym stepie!

Dziewczyna zdawała się czytać w myślach rycerza, bo potrząsała głową, jakby mu chciała przeczyć.

— To nie chata — rzekła: — to szałas! Niema tu drzewa, jeno trochę chróstu i gliny. Ot, trzeba było zlepić, to i zlepił, ale mocy w tem niema nijakiej.

I podniósłszy z ziemi łopatę, tknęła ją w ścianę, z której posypała się glina i ukazał się otwór naprzestrzał.

— Wilki głodne — rzekła spokojnie. — Jest ich tam nie sto i nie dwieście. — Nie uciekły: owszem: okrążyły chatę ze wszystkich stron. Słyszycie, jak wyją? Ot tu, i z tej strony, i z tej... wnet i rzucą się. Wrót nie ukąszą, ale ściany poprzegryzają odrazu.

I jakby na potwierdzenie tych słów dało się naraz słyszeć z kilku stron drapanie, szamotanie i potrząsanie ścian.

Wilki przypuszczały szturm.

Rotmistrzowi ręce opadły i kurcz bolesny skrzywił wargi. Podsypał jednak prochu do króćc, ponabijał je i stanął w pośrodku komory, czekając, rychłoli po każe się szary, trójkątny łeb.

— Ha, wola boża! — mruknął pod wąsem. — Tak już było sądzone. Żal, że przez nas i tobie przyjdzie zginąć przed porą.

— Mnie sądzono zginąć przed porą — odrzekła Motra z posępnym błyskiem oczu, — ale tobie, kto wie, co sądzono!

— Zginę! Ale ot, gorzej, że i dziecko to biedne zginie, które próżnom chciał ocalić.

— Albo ona jedna! Z tych wilków, co tam ściany gryzą, mało to takich, co już karmiły się tą strawą? — Taka jej dola.

— I jej, i nasza!

Motra potrząsała głową.

— Nie! — odparła z naciskiem. — Jej, nie — nasza.

Rycerz ze zdziwieniem głowę podniósł.

— Przecie gdy wilki tu wpadną, wszystkim nam jeden los będzie.

— Nie wszystkim. Ona jedna dla nich.

— A sama mówiłaś, że ci śmierć pisana?

— Mnie śmierć pisana, jeno od człowieka, nie od wilka. I wilk mnie nie tknie. Sam o baczysz. Ja wilkowi—pani! A tobie śmierć nie pisana. Tobie, pane, żyć!

Rotmistrz ramionami ruszył.

— Bajesz! — rzekł. — Ot pacierzbyś mówiła lepiej, a i ja pomodłę się, bo czas!

I szepnął, wzdychając, bo mu żal było młodego życia, a bardziej Hanusi:

— Odwlokło się, ale nie uciekło!

A potem głowę od Motry odwrócił i począł półgłosem odmawiać łacińskie pacierze.

Czas był istotnie, bo wilki z kilku stron wdzierały się do chaty. Jedne poprzegryzały i rozszczepiły ścianę, inne przedziurawiły strzechę i widać było w górze łapy ich, wściekle rozrzucające powalę i mordy, szarpiące spojenia.

Miśniakowski dał do dwu najzuchwalszych ognia i począł nabijać pistolety, ale Motra wstrzymała go za rękę.

<— Czekaj! — rzekła.

I położyła mu obie ręce na ramionach, pochylając ku niemu twarz tak blisko, że czuł parzący jej oddech na ustach, i przenikając go płomiennem spojrzeniem.

— Słuchaj — poczęła głosem zniżonym do szeptu i urywanym, jakby z nadmiaru wzruszenia. — Słuchaj, chodź stąd ze mną! Ja ciebie przeprowadzę między wilkami i one nic ci nie zrobią, bo one mnie słuchają, jak pies pana. Nie wierzysz? Patrz!

I szybkim ruchem rozwarła szeroko drzwi chałupy i wbiegła pomiędzy oblegającą ją gromadę.

— Stój, szalona! — krzyknął rycerz i rzucił się, by ją powstrzymać i wciągnąć niazad do chaty, ona jednak odskoczyła odeń o kilka kroków w najciaśniej- szą gęstwę i, podnosząc obie ręce w górę, zawyła wielkim głosem, jak wilczyca.

Miśniakowski wstrzymał się, skamieniały, bo stał się dziw. Wilcza gromada rozbiegła się naprzód, jakby w przerażeniu, potem jednak zbliżyła się wolno i cicho, zupełnie tak, jak psy gończe wracają z pościgu na głos dojeżdżacza, a ona nawoływała zapędzone dalej do po wrotu, kręcące się do zupełnego spokoju, aż gdy wszystkie pokładły się na śniegu, patrząc jej w oczy iskrzą- cemi ślepiami, ona zwróciła głowę do rotmistrza.

— Chodź! — rzekła nakazującym tonem. — Żadne z tych zwierząt nie dotknie cię, gdy będziesz ze mną.

A gdy chwilę jeszcze stał nieruchomy z nadmiaru zdziwienia, dodała:

— Stąd blisko futor, ogrodzony częstokołem. Zaprowadzę cię.
— Bóg ci zapłaci!—zawołał rycerz, otrząsając się wreszcie. — Chwyć tylko dziewczynę i pójdziemy.
— Dziewczyna tu zostanie! — odparła Motra.
— To zginie!
— Moja moc i tak ją ochroni.
— To nacóż nam dwojgu iść stąd? Masz, jako widzę, moc jakąś, daj Bóg, aby nie grzeszną, nad temi bestjami. Skądkolwiek ją masz, godzi ci się, mniemam, użyć jej dla zbawienia dusz chrześcijańskich w potrzebie. A skoro tak jest, użyjże jej nie mieszkając i odpędź precz w step to plugastwo, byśmy ci też oboje do śmierci zachowali wdzięczność za ocalenie żywota.
Dziewczyna zmarszczyła brwi i wyraz jej krasnej twarzy stał się bardzo surowy.
— Tego ja nie mogę uczynić — rzekła.
— To idź sama! Choć ty ocalejesz!
— I ty ocalejesz!
— Nie, bo ja przy tej останę.
Motra wstrząsała się, jakby ją szal porwał.
— Wilki muszą mieć ofiarę! — rzekła głucho. — Mam ja nad nimi moc, ale ma moc i głód! Dwojga mi stąd nie uprowadzić żywych.
— Dobrze! Tedy ją uprowadź, a mnie ostaw.
Dziewczyna znów się wstrząsała.
— Nie chcę ! Co mi do niej! Ciebie ja uratuję, ciebie i nikogo więcej!
— Tego ja nie chcę!
— Rzuć ją! Co ci po niej! Życia w niej i tak nie- masz. Nie poczuje, jak ujdzie z niej dusza.
— Będzie czuła, zem przy niej!
Ona nagle podbiegła do niego i objęła mu szyję obu ramionami.
— Porzuć ją i choć ze mną, chodź! Ty, mój hołubię, ty, mój sokole, ty, mój jedyny, mój, mój!
Ale on odepchnął ją z gniewem.
— Idź precz odemnie, sprośna więdźmo! — zawołał.—Już i dla niej, niebogi, nie chcę żywota z twojej łaski, bo większa dla niej zguba od ciebie, niż od bestyj!
Dziewczyna nie zaprzeczyła mu.
— Twoja prawda! — rzekła, skłaniając poważnie głowę.—Gdyby nie ty, ją—by ja może i ratowała, ale skoro ona między tobą a mną, niechże ginie!
Zatrzymała się przez chwilę i znów wpatrzyła się posępnie w rycerza.
— I ty z nią, skoro ona tobie luba!— dodała głucho.
I poczęła oddalać się od chaty.
Ale szła niechętnie, ociągając się. Wreszcie zatrzymała się i odwróciła głowę.
Miśniakowski stał wciąż we drzwiach, jakby czar jakiś trzymał oczy jego na uwięzi.
— Chodź! — krzyknęła.
On nic nie odpowiedział, jeno, zmógłszy się znać wszedł do izby i wrota za sobą zatrzasnął.
— To szczeznij!
I poszła szybkim krokiem dalej.
Przez cały czas sporu jej z Miśniakowskim, wil

cza gromada zachowywała się zupełnie cicho. Bestjyc nie ruszały się z miejsc i nie odwracały oczu od Motry. Ale gdy oddalającą się zakrył obryw pagórka, uciszone przez nią zwierzęta, poczęły zwolna i jakby leniwie podnosić się z ziemi i na nowo wieńcem otaczać chatę, drapiąc ściany i wspinając się na strzechę.

Z wnętrza huknęły dwa strzały, potem trzeci. Wilki zawyły dziko i rzuciły się ze zdwojoną wściekłością. Za chwilę jednak wstrzymały się. Zdała leciał ku nim krzyk: „Ahu! Ahu!” zdyszany, nakazujący i jakby nabrzmiały trwogą. Wnet potem Motra w szalonym pędzie przyskoczyła do wrót i poczęła udo rzać w nie pięściami, krzycząc:

— Hej tam! Żyjesz? Otwieraj!—Miśniakowski odsunął zaporę i, milcząc, wpuścił Motrę. Ona przystanąła na progu, dysząc ciężko, bo ją zmógł bieg gwałtów ny i długi, a potem rzekła, nie patrząc nań:

— Nie mogę dać ci zginąć. Chodź!

— Słyszałaś com rzekł!

Po twarzy dziewczyny przeleciał kurcz bólu i gniewu.

— Bierz i ją! — syknęła przez ściśnięte usta.

Rycerz pochwycił na ręce bezwładne ciało Hanusi.

— Nie dasz jej na zgubę?

Ona brwi zmarszczyła, patrząc nań posępnie, z milczącą, głęboką urazą.

— Gdyby moja było wola, — rzekła zwolna, jakby powściągając nadmiar gniewu. — Ale nie moja! A ciebie na zgubę nie dam.

— Jak mnie to i ją. Bo, to pomnij, że śmierćli nam czy żywot, jedno czeka nas oboje. A ona skinęła mu głową, przytakując.

— Tak wam widać sązione — szepnęła cicho. — Mnie jednej sądzona śmierć!

I wyszła na próg, wołając za sobą rotmistrza.

— Ani kroku nie odstawajcie ode mnie, bo tylko przy mnie wy bezpieczni!

— Dobrze!

— Czekaście jeszcze!

I zawyła, jako przedtem, a wilki znów uległy się na śniegu koło niej, zostawiając pustą drogę, którą przebiegała, wracając ku chacie.

Ale wnet poruszyły się znowu. Niepokój je ogarnął. Wyciągały szyję w stronę stepu, nastawiały uszy, szerść im się jeżyła, zrywały się, mruczac głucho i, zbijając w gęstsza niż dotąd kupę, jakby dla obrony.

— Co to znaczy? — spytała Motra, zatrzymując się.

— Nasi! — krzyknął rycerz, wskazując na czerwone światelka wdali.

— Twoi ludzie?

— Tak! Cała gromada. Dość, by rozpędzić to plugastwo.

— Niechby tak było — szepnęła dziewczyna. — Gorzej, jeśli to Nawizeny ze swoją watahą!

Ale istotnie musiała zbliżać się znaczna gromada ludzi, i światel wciąż przybywało na skraju widnokregu, i wilki stawały się coraz niespokojniejsze. Wreszcie poczęło ich ubywać z kupy i w mig nie stało ich całkiem. Rozpierzchły się i jakby pod ziemię zapadły.

— Chwałaż Oi, Boże! — westchnął z głębi piersi

Miśniakowski, ocierając dłonią czoło spotniałe mimo mrozu.

Motra wpatrywała się uważnie w stronę zbliżających się świateł.

— Nie chwał, pane, lepiej dnia przed wieczorem! — mruknęła.

— I dodała, trącając ramię rycerza:

— Słyszysz?

IV.

JURKO NAWIŻENY. Istotnie zbliżających się oznajmiał zdaleka nie tylko odbłysek pochodni, ale i głośny gwar, którego echo niósł przez step wiatr nocny.

Były to jakby echa jakichś pieśni czy muzyki, czy szczęku broni lub instrumentów, a zarazem śmiechów i krzyków.

Ta fala dzikiego zgiełku płynęła przez cichą, śnieżną przestrzeń naprzód niewyraźnym brzękiem, potem coraz głośniejszym i groźniejszym, jak homon, djabelskim wirem harczący po stepie w północnej godzinie. Aż wreszcie wybuchł wrzaskiem nieokiełznanym, a oczom Miśniakowskiego przedstawił się obraz pełen zarazem małow niczości i grozy.

Przodem orszaku, rozświetlając drogę, jechał na dobrych koniach dziesiątek chłopów, dzierżących pochodnie. Za nimi, w małym odstępnie, postępowało również na koniach sześciu muzykantów, uderzających w litaury, w miedziane talerze i hałaśliwe brzękadła. Grający mieli prócz tego przewieszane przez ramię teorbany, wszyscy zaś jeźdźcy przyodziani byli z kozacka, ale niejednostajnie, jak to bywało obyczajem u dworskich semenów, jeno każdy po swojemu a wszyscy suto, barwnie i wspaniale. Myny też mieli zawadjackie i wszyscy byli widoczni mocno podpicci, bo i niosący kagańce ryczeli wielkim głosem coś, co miało być jakąś kozacką piosenką, i muzykanci wtórowali im, drąc się co siły, jako który umiał.

Za muzykantami jechało dwóch mężów, napoły po kozacku i napoły polską modą zpańska przybranych. Jeden niższej znać szarzy, bo brał lewą stronę i konia o pół kroku wtył wstrzymywał, był człkiem lat średnich i atletycznej postawy, o twardym, surowym obliczu, któremu nie przydawały urody niepomiernie długie, wdół opuszczone wąsiska, ani rysy kołpak i także delja, spięta brylantową klamrą. Drugi młody był jeszcze, smukły i strojny, a z oblicza biła mu krasa wraz z zuchwalstwem i junacką butą. Wodzem był niewątpliwie tych ludzi i na wodza prawego wojska patrzył z tą swoją kawalerską fantazją, w delji ze skóry lamparciej i w sobolowym kołpaku, nad którym chwiały się czaple pióra... Za nim jechało kupą kilkudziesięciu ludzi, tak samo przybranych i tak samo wrzeszczących, jak jadący przodem.

Motra, od kiedy zdała mogła rozpoznać nadjeżdżających, pozostała bez ruchu. Rotmistrza, który chciał iść naprzód, wstrzymała niemal przemocą.

— To nie twoi ludzie — rzekła. — To ten pies, Nawizeny. Lepiej ci było z wilkami zostać. Ale taka dola.

Miśniakowski słyszał o Nawizenym. Oglądnął się też wkoło siebie i zmierzył okiem przestrzeń, dzielącą ich od lasu.

Dziewczyna ramionami ruszyła.

— Późno już uciekać — rzekła. — Dostrzegą i dogonią, a wtedy gorzej będzie.

— To może mam Hanusię oddać do rąk tego gwałciciela i opryszka?

Motra głową skinęła.

— Tak właśnie trzeba uczynić.

— Prędeż ją zabiję, by od hańby zbawić, a potem niech będzie, co chce!

Dziewczyna głową potrząsała.

— Nic jej nie grozi od Nawizenego i jego watahy. Nie wieszto, że ataman u Szczepanka Turobojskiego siedzi i, że mu jest, jako brat? A Szczepankowi dziewczka przyrzeczona i już jakoby żoną jest, jeno lat czekają. To więc myślisz, pane, że ataman ją druhowi weźmie?

Rycerz jęknął i zgrzytnął zębami.

— Prawda! — mruknął głucho.

— A widzisz, parne! Tobież wszystko jedno! Onaż i tak nie dla ciebie! Żeby ty był kozak, albo chłop, to byłaby rzecz inna, ale ty pan, ty szlachcic, to ty musiałbyś i tak tę pannę odwieść, skoro świt, staremu pa nu z Łazunia, a to tak samo, jakbyś ją oddawał Szczepankowi.

— Prawda! — jęknął rycerz po raz drugi.

— Więc ty, jakby nic, podejdz do Nawizenego, kiedy tu stanie, i opowiedz mu ładem wszystko, jakeś

pannę napotkał, uciekającą od wilków, jakeś ją obrania! w stepie i chałupie, i jak wreszcie ocalił nas wszystkich Jurko, co i prawda, bo przed jego ludźmi uciekły. Powiedz mu, że go znasz, jako druha Turobojskich, i nie mogąc sam odwieść córki panu staroście, jego o to prosisz, bo ci wilki konia zjadły, a ludzi zagubiłeś w zawierusze.

Rotmistrz oburzył się.

— Tego ja nie uczynię. Tłumaczyć się nie będę przed tym chłopem, tem mniej go supliikować!

— To i nie mów nic. Ja powiem.

— Skądżeci to z tym kozakiem taka konfidencja?

Dziewczyna spojrzała z dziwnym wyrazem na mło dzieńca.

— A poco wam wiedzieć, jasnyj łycariu? Co was chłopka obchodzi? Zobaczyli raz i zapomnieli, zobaczyli drugi raz i zapomnicie! Co wam do mnie? Ot, ta pannoczka, co ją odnosicie panu staroście, to co innego! To — złoto, a ja — ot, garść tego śniegu, co go rozgniatacie waszym pańskim butem!

Rycerz, choć własne jego serce pełne było troski, odczuł gorzyc tych słów i żal mu się zrobiło dziew czyny.

— Wiesz przecie... — zaczął.

Ale ona mu przerwała.

— Nic to! Chcecie — powiem. Zaraz jakoś potem, jak wy byli w naszym futorze, najrzał mnie w złą godzinę ten Szczepan, bodaj szczeż! Najrzał, porwał i uwiózł do Perehińska.

Byłabym tam już pewnie do-

W eskletem zamczysku.

tąd śmierć zrobiła jemu i sobie, gdyby nie dowiedział się o mnie Nawizeny.

— I on cię odbił Turobojakiemu?

— Jego ludzie ukradli mnie tak, że i śladu nie zostało. Wyporzadzili mi tę pustą chatę i zostawili. Wiedzą, że nie ucieknę, bobym wpadła w ręce Szczepano- wych ludzi, którzy mnie szukają dniem i nocą. A choć i Jurko pies, ale Szczepan gorszy!

Tymczasem jednak nadjeżdżający orszak stanął na miejscu. Muzykanci i śpiewacy umilkli, przednie szeregi rozsunęły się, zostawiając drogę dowódcy, który szybko jechał do Motry.

— Co z tobą? — spytał ostro. — Czemuś to nie w chacie? I co to za ludzie?

Dziewczyna podbiegła do jego strzemięcia.

— To panienka z Łazunia, którą ten oto rycerz od wilków bronił i mnie z nią.

Jeździec w sobolowym kołpaku rzucił okiem na rotmistrza i na przewieszoną mu przez ramię drobną postać dziewczęcą.

— Dlaczegożście wyszli z chaty? — spytał podejrzliwie.

— Bo wilki pierzchły, zasłyszawszy was zdale- ka. Wyście nas uratowali.

— Prawda! Moc ich tu była — mruknął, rozglądając się Nawizeny dokoła.

— Dlatego to konie nasze tak trzęsły się i chrapały, gdyśmy dojeżdżali tych chaszcy — zauważył jeździec w rysiej delji.

— Więc to panna starościanka? Żywali?

— Zamroczyło ją tylko ze strachu i zmęczenia, bo uciekali długo. Kiedy przyjdzie do siebie, przewieziemy ją ostrożnie do futoru, nim staroścíncy ludzie pośpieją. A sama tu ostaniesz.

— Dobrze — rzekła dziewczyna.

Młody przywódca zwrócił się do swego towarzysza.

— Ty, Hołopiat, wybierz którego trzeźwiejszego i pchnij do Łazunia z językiem. Może pan starosta będzie dla nas, biednych kozaków, miłociwszy, gdy mu powrócimy córkę.

Hołopiat kiwnął głową i chciał coś odrzec, ale przerwał mu nagły hałas.

Dwóch kozaków przyskoczyło do Miśniakowskiego i chciało mu odebrać nieprzytomną Hanusię, której rycerz nie dawał.

— Precz! — rozległ się w ciemności głos Nawizenego, jak grom.

I przyskoczywszy do napastników, dwukrotnym zamachem obuszka, szybkim jak błyskawica, zwałił obu na ziemię. Następnie, jakby nic nie było, wyciągnął dłoń do rotmistrza, który zawahał się przez chwilę, wnet jednak przewyciężył się i dłoń podaną uściśnął.

Ataman zaśmiał się.

— Nie w smak wam, mości panie, kozacka ręka, — zawołał, nie ukazując urazy. — A jednak nie sromali się jej, nieraz wiele więksi od was. Bo myślicie może, że chłop, a może wam się zdaje, że na tej ręce krew niewinna. A nieprawda. Bo jeśliś bojował, to równy z równym, a jeśliś swawolny, to z takimi, co sami chce

li, a kartelusze od sejmu na herbowego też mam. Więc nie z chamem mówicie, jeno z równym sobie.

Miśniakowski skłonił lekko głowę.

— Nie ukrywam, że mnie to cieszy,—odparł.—Mam bowiem, wyznaję, abominację do bratania się z gminem, a niejeden z waszych bojowników na Siczy tatarskich raczej, niż chrześcijańskich zażywa procederów. Ale o was słyszałem inaczej i chętnie dłoń wam ścisnąłem, wiedząc, że na niej może być krew, ale niema hańby.

— Toś waćpan dobrze powiedział, bo ono tak i jest. I to wam przydam, że w dobrą godzinę wyście natrafili na mnie tej nocy, bo znam ja niejednego z waszych panków, coby całkiem inaczej postąpił i ze starościanką i z wami. Ale ja na taką zwierzynę nie ogar. A zwłaszcza, że to już o waćpanu niejednom słyszał i wiem, że rycerz z waszmości naschwał i że za twoją szlachetność Turobojscy niewdzięcznością cię nakarmili; wołającą o pomstę do nieba. Ze mnie kozak tylko ale, Boga mi, nie uczyniłbym tego, choć obyczaj nasz siczowy twardy. A i tego co czynię obecnie nie naśladowałby z pewnością, choć szlachcic senatorskiego rodu, druha mój, Szczepan Turobojski.

— Cóż tedy, waćpan, zamierzasz uczynić?—zapytał niepewnym głosem Miśniakowski.

— A ot co. Dam waćpanu, co najlepszego konia, którego, jeśli nie chcesz mnie srogo obrazić, zachowasz na pamiątkę naszego spotkania. Potem zrobisz co zechcesz. Możesz powracać, możesz też i towarzyszyć mi do Łazunia, gdzie będę starał się zasłonić cię przed Turobojskimi, choć wiem, że przyjdzie to niełatwo. Zechcesz zaś czci mojej zawierzyć starościankę, tedy daję ci parol kawalerski, że jej nie stanie się krzywda, ani ode mnie, ani od nikogo z moich, i że jako siostrę odwiozę ją i oddam w ręce starosty.

— Bóg że ci zapłać, atamanie! — zawołał rotmistrz.

Ale ataman nie dosłyszał już tych słów, bo step nagle rozebrzmiał tętentem kilkunastu koni i w środek kozackiego hufca wpadł konny orszak zbrojnych.

— Odzie ona? — rozległ się ryk młodego Turobojki. — Gdzie ten łotr? dawajcie go!

Ataman zwrócił się z uśmiechem do Miśniakowskiego.

— Widzisz, waćpan, jak miałem słuszność w tem, co mówiłem ci o moim druhu, Szczepanie. Siadajże na koń i powracaj, nie czekając na „Bóg zapłać!” A tę słodką pannę, z którą musisz się pożegnać, ja sam, choć w jego kompanji, odwiozę do Łazunia.

Miśniakowski nie miał czasu odpowiedzieć, właśnie bowiem Turobojski postrzegł go i rzucił się nań, jak ryś, spadający z gałęzi na swą ofiarę.

— Tuś mi jest! — ryknął — zrobię wreszcie koniec z tobą.

I rzucił się z nożem myśliwskim, podniesionym do góry.

— Gotów jestem waśca stanąć,—rzekł spokojnie rotmistrz, zasłaniając się żelazem;— wtedy tylko jednak, gdy znajdę w tobie rycerskiego przeciwnika, a nie zbója.

Turobojski rozśmiał się dziko.

— Dla ciebie zawsze będę zbójem,—krzyknął.—Nie-

potrzeba tyle ceregieli, żeby jednego durnia na tamten świat wyprawić.

Ale w tej chwili poczuł, że koń jego został zatrzymany i własne jego ramię obezwładnił jakiś żelazny uścisk.

— Uspokój się, druhu serdeczny,—szepnął mu do ucha Nawizeny.—Moich mołojców trzy razy więcej niż twoich, a w każdym zosobna moc tęższa. Jeśli się nie pohamujesz, każe związać ciebie i twoich wszystkich i zaprowadzę do Łazunia, wraz z panną, o którą zgoła nie troszczysz się. Wstyd będzie: lepiejże nam obu wracać do pana starosty w spokoju i drużbie.

I huknął na swoich grajków.

— Hajże do teorbanów!

Turobojski rzucił raz jeszcze nienawistne spojrzenie na stojącego bez ruchu, z szablą w ręku, Miśniakowskiego, ale z obu stron dwóch ogromnych kozaków trzymało konia jego za uzdy więc machnął z wściekłością ręką i syknął przez zęby.

— Zobaczmy się jeszcze.

A potem zwrócił się do atamana i towarzyszył jemu, nie zatroszczywszy się zgoła o Hanusię, którą w tej chwili wsadzano na koń. Dziewczyna była już zupełnie przytomna i oczy jej szukały Miśniakowskiego, który stał bez ruchu, trzymając uzdę atamanowego konia.

Świt wchodził na świecie, wschodzące słońce rzucało krwawe blaski na śnieżną biel stepu, a tych dwoje ludzi czuło w sercu swoim straszliwą ciemność, pozbawioną najmniejszego niemal promyczka nadziei.

ZŁOTE WOLNOŚCI SZLACHECKIE.

Dni teraz płynęły w Horodyszczu leniwie i smutno. Ludzi wprawdzie nie brakło, ale i najbliżsi komi- litonowie pana Kazimierza i inni goście, których tu ostatnimi czasy poczęło coraz więcej napływać dla narad z nimi, odczuwali wszystko, co się działo w duszy przyjaciela i samym im serce okrywało się żalobą, a na wargach zamierało słowo głośniejsze, kro- tochwila i uśmiech. Bywało, że i dzień cały nie widzieli rotmistrza, nie opuszczali jednak Horodyszczu; owszem, coraz nowych ściągali tu przybyszów, trawiąc z Tiimi czas na deliberacjach, które urywały się wpół słowa przy pojawieniu stroskanego rycerza. Na jego widok frasunek osiadał na wszystkich obliczach i zdawało się, jakoby wiatr zimny przelatywał zagną przez izbę, nagrzaną stosem drzew, płonących w kominie i tuzinem ludzkich oddechów.

W zastępstwie pana Kazimierza funkcje gospodarskie pełnił pan Bartłomiej, jako najdawniej z nim znajomy, a przyznać trzeba, że nie przychodziło mu to z trudnością, bo wszystkiego w spiżarni i piwnicy znajdowało się w bród. Skąd to się brało na „głodowej ruderze”, jak horodyski zamek nazywano z przekąsem w Łazuniu i Perehińsku?

Trzos gospodarza był pusty, bernardyńskie zapasy dawno się wyczerpały a komilitonowie nie przywieźli ze sobą nic, prócz gorących serc i nieokiełznanych apetytów. Dopomagała wprawdzie szlachta okoliczna, ale

też i zjadła więcej, niż przywiozła. Więc skąd? Niejeden o to pytał, ale nikt nie otrzymał odpowiedzi. Zaczęto tedy przypuszczać, że pan Kazimierz znalazł jakąś część skarbów, których tak usilnie a bezowocnie szukali tutaj panowie Turobojscy. Ale trzej Oreści miecznikowicza zaprzeczali temu uroczyście.

Od powrotu jego z Berdyczowa nie odstępowali go przecie na krok, a on nic nie miał przed nimi skrytego.

O skarbach mówiło się z nim nieraz. Puszczalżeby im tuman w oczy? Nie taki z niego człowiek. I dla- czegooby to miał czynić? Samże on zresztą onej obfitości darów bożych nieraz się dziwił i o to pytał ojca Symforjana i Tryfona.

Ale! Bernardyn i Tryfon! Jeżeli kto wiedział skąd wzięły się horodyskie dostatki, to ci dwaj! Jakże? nie widziano to, jak stary klucznik uśmiechał się tajemniczo, gdy była o tem mowa, a nawet kiedyś wyrwało mu się przy pacholku pana Deręgiewicza, że wie więcej, niż mówić wypada, ale że głupiego po tem poznasz, że gada, mądrego zaś po tem, że milczy. A ojciec Symforjan? Nie zerkałże na Tryfona z pod siwych brwi, kiedy raz przy nich obu wszczęto o tem dyskurs? Ej, ten stary mnich wie, gdzie raki zimują i słyszy, jak trawa rośnie!

Ale ojciec Symforjan wiedział nietylko o tem, eo odnosiło się do tajemnicy horodyskiej spiżarni więcej od innych: miał on wogóle swoje drogi i swoje cele.

Wśród wesołego i buńczuczego dawniej, a i dziś jeszcze gwarne grona szlachty, przybywającej wciąż raczej do trzech konfidentów rotmistrza, niż do niego samego, ksiądz wiódł żywot odosobniony i całkiem klasztorny. Obiadował ze wszystkimi i pilno wzywał domowników i gości na msze i wieczorne pacierze w kaplicy, poza tem jednak mało go było widać, a tem mniej słyhać, bo do rozmów prawie nie mieszał się a od deliberacyj szlachty, choć go usilnie do nich chciano wciągać, statecznie się usuwał. Szlachta szemrała na to nawet, twierdząc, że ojciec Symforjan przeniewierza się obyczajowi bernardynów, którzy zwykli byli zawsze jednym być ze szlachtą, i do godziwej zabawy, i do dyskursu, i do trefnych żartów a figlików. A bernardyn na przymówki nie zważał i czasem tylko odciął się zręcznym conceptem; zamykała przytem usta wszystkim jego powaga, a rozbrajała niezachwiana słodycz.

Szlachta jednak szeptała sobie, spoglądając na ojca Symforjana i widocznie mieć musiała do niego jakąś sprawę. Nad sprawą tą kilkakrotnie naradzała się, a wynikiem tych narad było przyjście panów Deręgiewicza i Jarosińskiego do izby, zajmowanej przez bernardyna pewnego ranka po mszy i śniadaniu. Pan Kazimierz, wciąż zajęty posępnymi myślami, poszedł sam jeden w las z rusznicą, jak teraz często zwykł był czynić; panowie bracia zabawiali się przeprowadzaniem koni po dziedzińcu zamkowym a kilku młodszych strzelaniem z łuku do tarczyńskiej głowy. Ojciec Symforjan kończył właśnie pacierze.

— Siadajcie, mości panowie — rzekł im uprzejmie, ścierając zydelek połą habitu.—Cóż to? Przybyli-

šieie pewnie powąchać nowy ów zamorski rarytet, którym nieprzystojnie grzeszny nos pieszcza?

— Owszem — odpowiedział z równą grzecznością Jarosiński. — Wielka to łaska jegomości dobrodzieja, że nam tych delicyj użyczasz, ktorani nijak paść się chudopachołkom, bo chyba aż w Warszawie znalazłby je u jakiego kupca z obcych krajów.

— Wielką ma zasługę ów Angielczyk, co z Indjów ziele one przywiózł, — zauważył z przekonaniem pan Bartłomiej, zapychając sumiennie potężnego nosa tabaką nasypaną na rękę z puzderka o długiej szyjce, jakie im kolejno podawał mnich.—W Turczech, słyszę, łykają dym z palących się liści tabaczných i wielce nim się delektują.

— Teraz im tego sułtan jegomość wzbrania pod srogimi karami — rzekł bernardyn. — Mnie jednak znaczny zapas onych listków na proch' utłuczonych, dali w podarku nasi bracia zakonni na Multanach, gdzie się zażywania ich nauczył.

Deręgiewicz i Jarosiński opowiedzieli wzamian, jako się zapoznali w swych wędrówkach kresowych z onym specjałem, mało jeszcze wówczas w Polsce znanym, poczem jednak pan Błażej zmienił materję dyskursu.

— My tu do jegomości nie od siebie jeno przyszli — rzekł, — wysłała nas cała nasza brać, szlachta, zabawiająca się tutaj z prośbą i jakoby w poselstwie.

Bernardyn zrobił naprzód minę zdziwioną, potem zaś uśmiechnął się figlarnie.

— Proszę, proszę! To i nie wiedziałem, że z tak znakomitemi personami mam do czynienia. W czemże służby moje mogą być ichmościom użyteczne?

— Nie o służby, jeno o radę i pomoc udajemy się do jegomości — odrzekł z pewnem zakłopotaniem Jarosiński.

— O cóż tedy idzie?

— Bo to widzisz jegomość, my się gotujemy na tego niecnotę w Łazuniu.

Mały szlachcic urwał i zdawało się, że czeka jakiegoś znaku aprobaty lub uwagi ze strony gospodarza. Ale ksiądz stał nieruchomy, zerkając nań z pod siwych brwi i czekał dalszych słów w milczeniu.

— Dobrodziej, jako sługa boży, od spraw orężnych stronisz, ale patrząc i słysząc, musisz aprobować naszą imprezę, bo to już i starożytni prawią, że quiaacet...

— Nie zawsze! — przerwał ksiądz; — ale mniejsza z tem. Mów waść dalej!

— Otóż my na tę wyprawę szabel będziemy mieli dosyć, bo co jest szlachty w dwóch powiatach, to stanie jak jeden mąż, by pomścić krzywdy panów Mi-śniakowskich i własne. Ale mieczem muru nie ugryziesz i przeciw śmigownicom nie poradzisz! A ten stary zbój dobrze się obwarował w swoim Łazuniu i, słyszę, zaopatrzył go w tyle spyży i armat, że go ni zdobyć, ni głodem wziąć. Cóż nam nieszczęsnym czynić? Ostawićże tych opresorów niewinności naszej w spokoju a naszego komilitona in luctu ac moerore?

Pan Błażej wpadł już w oratorski ferwor i zrobiwszy dla większego efektu pauzę, byłby dalej rzecz pro

wadził, sypiąc cytatami i figurami, jako miał w zwyczaju, ale bernardyn mu przerwał.

— Cóż tedy ode mnie chcecie? — spytał popro- stu, podnosząc opuszczone dotąd oczy i, wpatrując się przenikliwie w szlachcica.

Jarosiński zmieszał się trochę, zająknął, czuprynę dłonią przetarł i wy bąknął:

— Potrzeba nam śmigownic i grosiwa.

— Aha! Śmigownic i grosiwa? Dobrze! I ja mam to wam dać?

Z odpowiedzią pośpieszył pan Bartłomiej.

— Kilka niezgorszych działek mają ojcowie karmelici w Berdyczowie, których spero, nie odmówią, konwent zasławski ma ich więcej i lepszych!

— Rozumiem — rzekł mnich, kiwając głową. — A pieniądze?

Deręgiewicz usta otworzył, ale zaciął się przy pier- szem słowie. Przyszedł mu w sukurs Jarosiński.

— Gdyby nam tak cośniecoś z tych skarbów, których częśćkę pono jegomość z Tryfonem tu znaleźli... — zaczął, jękając się nieco. — Moznaby zwerbować garść niemieckich puszkarzy albo z lisowczyków, których tyle tu wraca teraz z pod cesarza i błąka się bez za- jęcia...

— Dobrzeby było — przyznał spokojnie ksiądz. — Jeno, że ja ze skarbów horodyskich akurat tyle znała złem, co waćpanowie, a choćbyśmy je i znaleźli, rządzić niemi może jeden tylko właściciel, nie my. Jeśli tedy skarb jest, idźcie do rotmistrza, niech wam z niego użyczy na wasze hazardy.

Szlachcice spojrzeli po sobie zawiedzeni i niekon- tenci.

— Więc jegomość nie chcesz nam przyjść w sukurs? — spytał nieco opryskliwie, brwi marszcząc, Jarosiński.

Ojciec Symforjan dłońmi rozwiódł.

— Nie mogę — rzekł. — Nam, braciom mniejszym św. Franciszka, nietylko skarbów, ale i jednego tynfa, ni szeląga mieć nie wolno, a tych parę złotych, które ma mój Marcin z konwentu na wszelki wypadek, weźcie, jeśli wola, jeno tem się nie pokarmicie. Zaś śmigownic klasztornych nie dadzą wam ani w Berdyczowie, ni w Zastawili, bo one na obronę chwały bożej przeciw niewiernym i hultajstwu przeznaczone, a nie na wojnę między chrześcijany i to jeszcze eius- dem patriae!

— To ostatnie słowo jegomości?

Bernardyn ramionami ruszył.

— Jedyne, jakiego ode mnie godziło się wam spo dziewać.

— To i nie mamy co tu więcej robić — mruknął z przekąsem mały szlachcic. — Ale marna to wdzięczność, którą okazują bernardyni zasławscy dla swych benefaktorów.

Mnich głowę opuścił.

— Ad impossibilia nemo tenetur — bąknął zcicha.

Jarosiński, który już stał na progu, zatrzymał się

i głowę odwrócił.

— Ale jegomość mógłbyś, gdybyś chciał! — syknął, złość hamując. — Wiedzą ludzie, że z tych murów w ra

zie potrzeby łatwo wam dostać nie parę złotych, ale garść dukatów.

— Przeszaj wasć! — ofuknął zagniewanego szlachcica Deręgiewicz. — Do duchownej osoby mówisz.

Ale ojca Symforjana nie zdała się obrażać urągliwa mowa Jarosińskiego. Myśl jakaś opanowała go widocznie i łamał się z nią, niepewny, co począć. Wyciągnął więc tylko rękę ku odchodzącym, zatrzymując ich.

— Ozekajcie, waszmościowie—rzekł—bo sami nie wiecie, jak ważne to rzeczy są, o których, pociemku błędząc, chcecie sądy wydawać.

I umilkł, przez chwilę w sobie skupiony, a oni stali pełni oczekiwania i ciekawości, z oczyma utkwione- mi w wysoką, wychudzoną postać siwobrodego mnicha.

On zaś, gdy parę pacierzy minęło, podniósł na nich oczy i tak rzekł:

— Prosiłem Boga o światło i mniemam, że mi je zesłał. Nie, moi mościpanowie, nie powiem wam nic o tych rzeczach, o których tak pilno wam wiedzieć. Pozostaną one między Bogiem a mną i... Przyjdzie może czas, gdy wszystko jako oliwa wypłynie na- wierzch i wtedy co ja dziś wiem, będziecie wy wiedzieć. Ale teraz za wcześnie... To jeno mogę wam dziś już rzec i zaprzysiąc, że jeśli istotnie Opatrzność cudem tu naszą nędzę raz po raz zasila, to tyle tylko tego jest i tyle być może, ile na bieżące potrzeby konieczne: na więcej niema i nie będzie, przynajmniej... do czasu. I to też pomnijcie, że o całej tej sprawie miły nasz hospes, rotmistrz, nic zgoła nie wie, a Tryfon tyle wie, co i wy, jeno dawniej, niż waszmościowie, do

myśli, a przypuszczenia snuje i wiedzącego udaje, by się przed innymi puszyć. Tyle na dziś, a i to za wiele, jeno, że nie miał serca zostawiać waćpanów w mniemaniu, że nieużyty i niewdzięczny dla naszego przyjaciela.

Rzekłszy to, bernardyn skinął głową na znak pożegnania i brał już brewjarz do ręki, ale pan Jarosiński pochwycił go za rękaw, zatrzymując.

— Jeszcze słówko, ojczulku! Czekamy jeno na wiadomość, czy pan starosta Osiecimski przyśle nam sukurs, zwłaszcza najpotrzebniejszych w naszej imprezie puszkarzy, bo od wszystkiej szlachty przyszły już gońce, że gotowa choćby jutro wyruszyć. Więc może jeszcze w tym tygodniu puścimy się Deo juvante na ten hazard. A ot zdarza się impedimentum magnum: pan rotmistrz nie chce nam przewodzić, nie chce towarzyszyć.

— Jakże mu przewodniczyć waszmościom w napaści na rodzica onej dziewczki, którą umiłował tak gorącym afektem? — spytał, przerywając, ksiądz.

— A jak inaczej dziewczkę, którą umiłował, z rąk Szczepankowych wyrwać?

Mnich wpatrzył się w małego szlachcica.

— A wasć mniemasz, że on dziewczkę weźmie, choćbyście mu ją tu przywieźli? — spytał powoli.

Jarosiński zmieszał się.

— Jakże to jegomość myśli? — spytał, jękając się z zakłopotania.

— A ot jak. On ma sobie przez rodzica na łożu śmierci legowany spadek nienawiści i przysięgę zem-

ety. Zły to spadek i nicpotem przysięga, bo nie godzi się człowiekowi, by i najsrożej ukrzywdzonemu, łamać zakon miłości i do juramentów na złe przymuszać, a i juramenta takie, choćby i umierającemu ojcu złożone, nic nie są warte. I na one juramenta znajdzie się rada skuteczna, jeno nie zaraz, a on nieborak czuje się iii conscientia związany i nie pofolguje sentymentom przeciw obedjencji synowskiej i przyrzeczeniu. Dziewki nie pojmie, a przeciw jej ojcu też nie pójdzie. Więc na jego hetmaństwo nie liczcie.

Jarosiński bezradnie rozwiódł rękami.

— Cóż więc nam czynić? — spytał żałośnie.

Ksiądz obruszył się.

— Co? W domu siedzieć i gospodarki pilnować, a kości i krew na ogólną potrzebę contra inimicum pa- triae zachować, zamiast niemi na prywatę i kontempt prawa szafować! Nawet barbary mają władzę, której słuchają, a już tem bardziej w żadnej politycznej nacji tego nie znajdziesz, by byle szlachcic był sam sobie sędzią i pacholkiem sądowym, jako wy tu wszyscy jesteście! Każdy w tym kraju nieszczęsnym sam sobie sprawiedliwość wymierza, każdy wojnę na swoją rękę prowadzi i gotów raczej Tatarzyna na obronę prywaty przywołać, niżeli jej pro bono publico poniechać. Zaprawdę bieda tej Rzeczypospolitej, w której miasto chrześcijańskiego narodu mieszka jakby stado wilcze, pożerające się bez ulitowania między sobą.

Ksiądz uniósł się własnymi słowy, które wypowiedział, wyciągnąwszy w górę obie dłonie i sypiąc żarem z pod nawisłych brwi. Skończywszy, stał przez

— 273 —

chwilę w milczeniu, dysząc ciężko jak człowiek, który uczynił znaczny wysiłek i z trudem wraca do równowagi.

Szlachcice patrzyli na niego w zdumieniu, bo choć ojciec Symforjan zgoła nie był do przeciętnych, jo- wjalnych i dobrodusznych bernardynów podobny, nie widzieli go nigdy takim, jakim stanął przed nimi teraz. Dreszcz ich objął i zdało się im na mgnienie oka, że mają przed sobą proroka i świętość jakowąś. Ta- Kiem okiem patrzeć musieli słuchacze w warszawskim sejmie na każącego Skargę.

Ale pan Jarosiński rychło ochłonął z wrażenia, jakie na nim uczyniły słowa ojca Symforjana.

— Wielce jegomość posponujesz naszą nację — rzekł z wymówką; — stawiać ją niżej od barbarów i równając z dzikimi bestjami. Ale mniemam, że niesłusznie. Boć i w innych politycznych nacjach tumulty się zdarzają, a pod cesarzem, który jest przecie głową monarchów chrześcijańskich i wikarjuszem Stolicy świętej, więcej niżli gdzie indziej. A tam wszędy absolutum dominium i tyrania, u nas zaś wolność obywatelska, jakiej żaden inny kraj nie zażywa. A że trybunały u nas wyroki jeno ferują, nie dając żadnej egzekucji, a król jegomość innemi zgoła sprawy zabawny, niżby na straży prawa stał i był niewinności przeciw krzywdzicielom ostoją, cóż inszego zostaje szlachcicowi, jak z szablą w garści dochodzić swego?

— A chłop, stokroć więcej uciśniony od szlachcica, czy także ma swego przeciw niemu dochodzić z kłonicą i nożem?

W zaklctaa zamczysku.

■a

Jarosiński zzymnął się na te słowa, a Deręgiewicz zawtórował mu.

— Co też jegomość wygadujesz! — zakrzyknęli razem. — Toż przeciwnie wszelkim prawom ludzkim i bożym. Gdzież szlachcica z chamem równać, który na to stworzony, by w jarzmie, jak wół chodził i panom był posłuszny!

— Człowiek on jednak, jako i my wszyscy, a za jego krzywdę Bóg sroższą weźmie pomstę, jako że słabszy i bronić się nie może!

— Jaka tam krzywda chamowi! — przerwał z oburzeniem Jarosiński. — Ma to, do czego przywykł i na co go Bóg stworzył!

Mnich popatrzył na obu szlachciców, milcząc, potem zaś ruszył zlekka ramionami i westchnął.

— Człowiek do czego innego stworzony, niż koń i wół — rzekł smutno. — Jeśliście o tem zapomnieli, zajrzyjcie do katechizmu. Ale co z wami gadać? Dur jakiś djabelski zaślepił ten naród, co Boga ma wciąż na uściech, a krzywdą braci swej żyje! Waszmościowie nie jesteście gorsi od innych, ale jako i wszystkich nie przekonam was, wiem! Groch o ścianę! Dajmyż temu pokój! Wiedźcież tylko, że ja do waszych zatargów i zajazdów mieszać się nie chcę i nie mogę, bo mi nic z tego. Wiem, że przy was więcej racji, niż przy tamtych, ale wiem i to, że kiedyś Miśniakowscy byli tamtym równie ciężcy, jak dziś oni są Miśniakowskim... A na ostatek i to jest pewne, że z takich waśni i zajazdów, choćby i w dobrej intencji podjętych, często wychodzi jeszcze większe zło, niż przedtem. Quod Deus avertat! A teraz żegnam waszmościów.

Mówiąc to, bernardyn następował na obu swych gości, którzy przedtem od proga wysunęli się byli na środek izby, a teraz ustępując mu, wnet się znowu znaleźli na progu. On wówczas łagodnie i z uprzejmym uśmiechem, po ramionach poklepując, wypchnął ich za drzwi, drzwi za nimi zawarł i rygiel zasunął. Dwaj szlachcice postali trochę u drzwi, pukając i perswadując, że o jedno tylko słówko jeszcze proszą, ale ojciec Symforjan nie dał się ubłagać. Zaszył się w najdalszy kąt i począł głośno odprawiać brewjarz, tak, że dwaj przyjaciele, przekonawszy się o bezużyteczności dalszego nalegania, z głową ciężką od myśli i poczuciem niespełnionego posłannictwa powrócili do kompanji.

VI.

NA L A Z U Ń.

Po srogiej zimie, pełnej wichrów i zamieci, wiosna szła tego roku świeża i silna. - Powietrze niesło moc ciepłych oddechów, od których w oczach tajały śniegi i zieleniła się ruń pierwszych traw i kielkujących pączków. Pełno było zewsząd odurzających woni, i ptasich świergotów, i poryków leśnego zwierza, budzącego się z zimowej martwoty. Ziemia spętana długo lodami i śniegiem, zmartwychwstawała w nowej krasie i nowych porywach twórczego żywota.

Zaroily się ludźmi, końmi, wozami martwe dotąd i śniegiem zasypane gościńce; stadami rogatego by

dła i owiec pokryły się poła. Zewsząd słycać było wesołe okrzyki, nawoływania i śpiewki pastusze, a równocześnie klątwy, złorzeczenia i kłótnie. Gdzie niegdzie tylko w osłoniętych od słońca wądołach lśniły białe płaty śniegu i czasem wiatr północny poczynął huczeć i wyć w nocy, jak to czynił zimą, potrząsając gwałtownie nagimi jeszcze gałęziami drzew i sprwadzając nawałę czarnych chmur, z których otwierały się upusty rzęsiстых deszczów.

W taką noc ciemną, wietrzną i dżdżystą, gdy psa z pod ławy trudno było na dwór wygonić, a o końską głowę rozeznac słuł od człowieka, wyjeżdżał z pod fos zielkiem zarosłych dokoła horodyskiego zamku zbrojny orszak z kilkudziesięciu ludzi złożony. Wyjeżdżał bardzo ostrożnie, strzegąc się widocznie, by go nie dostrzeżono z wioski, tulącej się u stóp zamkowego wzgórza. Wyprowadzano więc konie pojedynczo, pilnowano, by nie rżały głośno i nie stukały kopytami o bruk dziedzińca a komenda i nawoływania odbywały się półgłosem. Jeźdźcy składali się z dziesiątka panów szlachty, której towarzyszyli zbrojni pachółkowie. Na czele jechał, jako przywódca, imćpan Bartłomiej Deręgiewicz, któremu towarzyszył, nie odstępując go na krok, ogromny pan Harkosiej Karabanowicz.

— Byleśmy na godzinę przed świtem zdążyli obejść Łazuń i zapaść w oną puszcze, o której mi waszmość prawisz, że zakrywa tyły zamku i miasteczko, to już dobra nasza! Przyczaimy się przez dzień, ściągniemy do siebie tamte dwa oddziały, które mają bliżej i powinny stanąć przed nami, a potem, nim pierwsze kury zapieją, owinąwszy koniom kopyta płachtami, uderzymy na śpiących i chyba sam czart pobróz- dzi, żeby swych aljantów ratować, jeśli nie zdobędziemy zamku primo impetu!

— Byle tylko panu Dydakowi udało się tych parę hakownic i choć jednego kartauna dostać wraz z pu- szkarzami u pana starosty Osiecimskiego! — westchnął żałośnie pan Harkosiej.

— W najgorszym razie choćby wiwatówek pona- zbieram u szlachty — odparł pan Bartłomiej. — Mało to, wiem, bo u starego Turobojskiego puszkę naschwał, ale oni nie domyślają się niczego; pociski ich nam nie zaszkodzą, bo konie oatawimy w grzecznej odległości, a sami staniemy pod murem nim się opatrzą, a do rozwalenia bramy i wiwatówki starczą.

— Żeby jeno Szczepanek nie nadbiegł z odsieczą a z nim ten wściekły watażka...

— To i cóż? Szczepanek nie nadbiegnie, bo naprzód żywy duch nie wie o wyprawie, powtóre żywego ducha z ładuńskich murów nie wypuszczę, więc nie będzie komu dać mu znać, a wreszcie choćby i on, i Nawizeny nadbiegli, jest nas dość na nich wszystkich.

— Obaczmy jeszcze, czy dość — zauważył roztropnie pan Harkosiej. W Horodyszczu nie stawił się pan Gswiejko z dwoma synami, ani pan strukczaszy z Hor- batowa, ani trzej cześnikowie, ani pan wojski Sielawa. Z czeladzią byłoby ich drugie tyle co nas. A co sześć- dziesiąt, to nie trzydzieści.

— Do tamtych oddziałów więcej miało się stawić.

— Byleby lepiej dopisali, niż ci, których nam brak.

— Dopiszą, nie bój się! I tamci nadejdą, tylko, że to u nas szlachta porządku i akuratności niezwykła: przychodzi i odchodzi kiedy chce i którądy chce, ale za to, gdy przyjdzie do bicia, to rąbie setnie!

Pan Dydak tym Tazem nie zaprzeczył, jechali więc czas jakiś w milczeniu, poczem pan Harkosiej znów się odezwał.

— Źle to jednak, że nasz rotmistrz uparł się w domu siedzieć. Jakże nam iść bez niego? Nawet oba- czywszy, że go niema, szlachta gotowa animusz stracić!

— Nie będzie tego, bo powiemy o przyczynie.

— Będzie, zwłaszcza gdy w Łazuniu poczną znaczne czynić wstręty. U nas tak, gdy pierwszy impet minie i odrazu nie dopnie się swego, to i po ochocie. I każdy z panów braci myśli, jakby upozorować fugam. A skoro wódz ekspedycji ostał się doma, to, rzeką sobie, czemuż i cała ekspedycja nie ma do domów wracać?

Pan Bartłomiej zamyślił się.

— Jest w tem sens, co waść gadasz. I samemu mi to markotno, że muszę Miśniakowskiego zastępować, ale wcióż mi tak zdaje, że on jeszcze nadjedzie.

Pan Dydak zdziwił się.

— Jakże to? — spytał, przeciągając wyraz. — Takie racje dawał!

— Na racje są inne racje. A do nas będzie go cią gnęło. Byleby tylko ten klecha nie zjawił się i nie po- brózdził!

— Nieprzystojnie waść mówisz o duchownej osobie i to jeszcze tak świętobliwej — przerwał z urazą pobożny pan Harkosiej.

— At, świętobliwy, świętobliwy, a na szlachtę gada i warchoł w nim siedzi, coby chciał statutum ordinem rerum burzyć! Pan Błazej tyle na niego liczył! Myślał, że nietylko na wyprawę użyczy z onych skarbów,

o których że wie, temu głupi chyba zaprzeczy, ale że

1 sam z nami pójdzie na Łazuń, nie z rusznicą, broń Boże, ani z kordem, jeno z pasyjką i upomnieniem do starościańskich ludzi, by nie ważyli się celować do tych, którym kapłan i sam Zbawiciel drogę wskazują! A on nic! Jeszcze nam kazanie powiedział, w którym szpetnie i nam i całej szlachcie przymawiał. Ale niech przestanę być sodalisem, jeśli to kazanie non sapit haeresim! Przykazaniami i katechizmem jako liszka ogonem się przykrywał, a takie horrenda prawił, któ- rychby się sam Katyliną nie powstydział. I to ma być świętobliwość!

Pan Harkosiej pełen był dla stanu duchownego respektu, a ojca Symforjana specjalnie wenerował, wobec jednak uderzającej w oczy naganności jego zapatrywań nie śmiał nic rzec w obronie bernardyna. Nie chcąc jednak przedłużać tak drażliwej materji dyskursu, wszczął o czem innym.

— Co też się stało z ojcem Symforjanem? — spytał napół sam siebie, napół towarzysza. Od dwu dni znikł, jakby go nigdy nie było.

Deręgiewicz ruszył obojętnie ramionami.

— Księżych spraw, jako i babich chłopowi nie

ugryźć — zauważył sentencjonalnie. — Ale nie bój się waszmość: wróci prędzej, niż będzie potrzeba.

Pan Bartłomiej miał do księdza od ostatniej z nim rozmowy anse widoczną.

Ale i słodki zazwyczaj pan Dydak był rozżalony na bernardyna.

— Sodoma i Gomora! — westchnął. — Antychryst widać blisko. SłyBzaneż to rzeczy, by zakonnik, i w przydatku tak cnotliwy i takiej zażywający sławy, na porządek, od Boga. postanowiony, na prawa Rzeczypo spolitej nastawał!

— Lutherus był też zakonnik, a Calvinus piastował nawet podobno kanonicką dignitatem. zauważył zgryźliwie pan Bartłomiej. Obaj też za cnotliwych uchodzili, a sam wiesz waszmość, co z tej cnoty wyszło.

Pan Dydak chciał z początku zaprzeczyć zestawieniu tak ubliżającemu dla ojca Symforjana, ale przyszedł mu na myśl tenor rozmowy jego z Jarosińskim, powtórzony nieobecnemu przy niej przyjacielowi przez Deręgiewicza, i umilkł, bo argumentów na obronę mnicha zabrakło i przyznać musiał słuszność panu Bar tkwejowi.

Jechali więc już dalej w milczeniu, przebierając się wertepami, zdała od otwartych pól i gościńców, by nie zwrócić na siebie uwagi; popaśli w głuchym, leśnym ostępie, a o zmroku dostali się w chaszczę, okalającą gęsty, stary bór za łązuńską warownią i przetrzebiony jedynie na odległość strzału dokoła pierwszych fos. Tam już zastali kilkudziesięciu szlachty i z półtorasta zbrojnej czeladzi wcześniej przybyłych, a do północy ściągnał jeszcze na umówione miejsce spory oddział spóźnionych.

Było to tak znaczne a i tak głośne obozowisko, że Deręgiewicz, żołnierz doświadczony, czempredziej pośpieszył w głąb puszczy, by w niej lepiej się skryć przed Okiem i uchem ludzkim. Istotnie szlachta, zebrana tu pod komendą małego Jarosińskiego, hałasowała, jak ma jarmarku i na wszystkie perswazje starszych i w wojennym procederze doświadczonych odpowiadała niezmiennie:

— Albo to nam niewola, czy co?

— Ależ posłyszają z pola i z drogi i zrobią alarm w zamku! — przekładali Deręgiewicz i Jarosiński.

— Owa! Tchórz waszmościów widać oblatuje! I tak przecież żywa noga nie wyjdzie z tego wilczego gniazda.

Nie było rady. Pan Bartłomiej wydał rozkaz cofnięcia się w głąb boru, na co szlachta zgodziła się po dość długich molestacjach i pertraktacjach, przekonawszy się naocznie, że ognie widać z pola, okrążającego zamek. Zato na nowem obozowisku szum i gwar zapanował wnet dziesięćkroć większy, niż przedtem. Rycerze kazali pachołkom dobywać z troków zapasy wędlin, obficie przysposobione przez jejmoście. Ten i ów, zapobiegliwszy od innych, wydostawał nawet saganek z bigosem, pojawiły się też podrózne konwie z gorzałką i miodem i rozpoczęła się ochota na dobre, jak po sejmiku lub podczas jarmarku. Krzyczano, śpiewano, baraszkowano, a im kto głośniej krzyczał i grubszym sypał konceptem, tem gęstsze koło słucha

czy zbierało się przy jego ognisku, przyklaskując mu i podsycając nowemi żartami wywołowaną praezeń wesołość.

Niektórzy ze szlachty podpili już sobie i przy blasku ogni widać już było coraz więcej zaczerwienionych twarzy i spoconych czupryn, a ze śmiechem i śpiewem mieszały się coraz częściej zgiełk zwad, złorzeczenia, a nawet i szczęk broni, gdy dwaj antagoniści lub całe kupki kłócących się wyczerpały wszystkie argumenty i wymyślania i brały się do szabel. W dalszych ostępach puszczy szumiała zdała od pańskiego oka czeladź, wypróżniając skradzione gąsiory i wodząc się za bary.

Jarosiński, patrząc na to, ręce łamał, a Harkosiej jęczał żałośnie.

— Na nic cała robota, na nic doskonała okazja, która pewnie, że nie powtórzy się. Do północy popiją się wszyscy, jak bele i chyba po wozy posyłać, by ich do domu odwiozły, jak pobite bydło!

Ale Deręgiewicz był lepszej myśli.

— Pewnie z pół kopy zajazdów masz waść na sumieniu — mówił do pana Dydaka — a słuchając zdawałoby się, że ani jednego nie widział. Toć ci przecie nie pierwszozna, że szlachta, gdy się zbierze, wnet pałkę zalewa i animusz dobywaniem koTda objawia, a słuchać nikogo nie chce. Ale niech jeno adwersarz pokaże się a kule świsną, wnet ją chmiel oblatuje i bez komendy szykuje się do boju, a do bicia nie trza jej napędzać, bo sama to potrafi stokroć lepiej, niż komendy słuchać. Nie inaczej i teraz będzie.

Jarosiński, ochłonawszy z irytacji, potwierdził słowa dowódcy, którym i pan Dydak nie mógł odmówić słuszności, więc uspokojony nieco wyciągnął się przy ognisku na burce, by przed pochodem na Łazuń zażyć nieco wczasu. Gdy się ocknął, zbudzony czyjemś szarpnięciem, ogniska dogasały już, koło nich wszystko spało, snem zmożone, tu i owdzie jednak zaczynało się ruszać, słyhać było nawoływania, tłumione okrzyki i rozkazy.

— A co tam? — spytał, siadając na burce i przecierając sobie oczy pan Dydak. — Czy już ruszamy?

I spojrział na stojącego nad nim człowieka, pewny, że zobaczy okrągłą twarz swojego Iwasia, któremu przykazał, kładąc się, by go rozbudził o pierwszych kurach. Z wielkiem zdziwieniem zamiast Iwasia spostrzegł stojącego przy sobie Waleka.

— A ty tu skąd? — spytał zdziwiony, bo matolka zostawili w Horodyszczu. — Czy aby twój pan nie nadjechał?

— Pan w Horodyszczu — odrzekł, pochylając się nad nim Walek. — On nie wie, że ja tu.

— Z kimżeś tu się dostał?

— Sam. Waszym tropem. Ja to umiem, niczem pies!

Mówiąc to, obłąkany chłopak uśmiechnął się, zadowolony z siebie.

Rycerz zaśmiał się także.

— Cóżtż? I tobie zachciało się wojować?

Walek energicznie głową potrząsnął.

— Grzech kTew wylewać! — zauważył z przekonaniem. — U mnie ręce białą.

Karabinowicz uśmiechnął się.

— Pewnie! U takiego gołowasa i głuptasa! Ale gdybyś rozum lepszy miał, pewniebyś już z ruszniczką rotmistrzowi towarzyszył.

Chłopak znów głową potrząsnął.

— Nie! — rzekł. — Nigdy.

— A gdyby pan ci kazał?

Walek ramionami ruszył.

— Ja pana nie znam — rzekł. — Jeden Bóg nade- mną. A w Horodyszczu siedzę póki chcę i robię, co mi się podoba.

— Ale chleb rotmistrzowy jesz?

Chłopak wpatrzył się weń jakoś dziwnie i usta otworzył, jakby coś żywo chciał odrzec, nie rzekł jednak nic, jeno uśmiechnął się przelotnie, a potem zaczął z innej beczki.

— Jam tu po to jeno przyszedł, by jegomości oddać pisanie ojca.

Pan Dydak wiedział, że Walek tak zawsze nazywał bernardyna, zagadnął więc chłopca, skąd go przysłano i gdzie zostawił ojca Symforjana.

— Idę z Łazunia — odparł Walek.

— Chcesz rzec: z pod Łazunia? to znaczy, że pod Łazuń szedłeś z Horodyszczu?

— Nie! Mnie już dwa dni nie było w Horodyszczu. Ja z Łazunia.

— Jakto? Z miasteczka, czy z zamku?

— Z zamku.

— Na przespiegi cię tam posłano, czy co?

— Na co? — spytał chłopak z tak naiwnym zdzi- wieniem, że widocznie słowo i rzecz jednako mu były obce.

Pan Harkosiej zrozumiał to, choć dowcip z przyrodzenia miał nieco tępy.

— Cóż tedy robiłeś w zamku?

— Ojciec mi kazał iść ze sobą do pana Turoboj- skiego.

— Co? — wrzasnął, zrywając się z ziemi szlachcic.

— Ano tak! Ojciec tam i ostał.

— Uwięziono go?

— Broń Boże! Na plebanji w izbie siedzi, albo z panem starostą.

Harkosiej za głowę się chwycił.

— Rety! — jęknął. — Wspomóżże nas teraz Matko Najświętsza! Mnich zdradził!

Jako człek sprawiedliwy jednak, pan Dydak zreflektował się wnet, że może zbyt pośpiesznym sądem pobił, palnął się więc przystojnie po gębie, poczem mruknął:

— Panie Boże odpuść, jeśli zbrechał, ale że tak wygląda, to wygląda, bo i pocóżby tam laź?

Jakby w odpowiedzi na tę Tefleksję Walek pociągnął go za rękaw.

— Jegomość pisanie ojcowego nie przeczyta? — zapytał.

Harkosiej, jakby ze snu zbudzony, znów się uderzył, ale tym razem w czoło.

— Prawda! — zawołał. — Od tego trzeba było zacząć. Dawaj!

I, wzięwszy do ręki w czworo złożony kartelusz, roz-

winał go, dorzucił świeżych gałęzi do gasnącego ogniska, aż błysło płomieniem i rzucił okiem na papier.

— Oj, coś dużo — mruknął z niezadowoleniem, właściwem, ludziom rycerskim na widok wszelkiego produktu gęsiego ogona i inkaustu.

Westchnął ciężko i, przykucnąwszy przy ogniu, jął czytać, wodząc powoli palcem po zapisanej karcie.

Ojciec Symforjan pisał, co następuje:

„Daruj WMości dóbr., że go utrudzam pisaniem i instancją, ale z całego komputu panów szlachty, z którą wybraliście się na Łazuń, Waćpan dobr. sam jeden, jako mąż nabożny i sentymentów łagodnych, potrafisz sporo wyrozumieć intencje moje i przyjść mi w pożądaną sukurs. Suplikuję Cię usilnie, nie odmów mi onego sukursu, a przynajmniej dobrze racje moje rozważ i przedłóż panom braciom, nim się na ostateczne kroki ważą, mniemam bowiem, że rada, jaką daję, nietylko zgodną jest cum bono publico, ale i z ich własną korzyścią.

„Próbowałem już raz, nemini dicendo, zastukać do wrót i do sumienia pana starosty w Łazuniu, co spaliło na panewce, a iżem gorszej nie doznał wówczas konfuzji, zasługą to jeno duchownej sukienki. Teraz jednak, gdy zajazd waszmość panów był już za pasem, postanowiłem po namyśle raz jeszcze szczęścia poprobować, choć rozumiałem to dobrze, że jako domesticus rotmistrza byłem w Łazuniu persona ingratisima.

„Nie doznałem wdzięczniejszego przyjęcia, niż wprzód, tem bardziej, że bawił właśnie w Łazuniu Szczepanek, którego obecność zawsze rozbudza w jego stryjcę najgorsze sentymenty, a teraz specjaliter jeszcze starszy pan Turobojski podrażniony był i gniewny. Jakkolwiek tedy uprosiłem miejscowego plebana, u którego miałem kwatery, by mi na zamek towarzyszył, nie chciał ze mną starosta wcale gadać i, ofuknąwszy, nakazał precz iść z Łazunia, jeśli nie chcę zapoznać się z zamkową piwnicą i spróbować, jak smakują nahaje jego hajduków. — „Bo to — mówił — księdza jeno w rewerendzie a mnicha w habicie ochraniają kanony, a ja ci habit każę ściągnąć i nie popa będę ćwiczyl, jeno horodyskiego pachółka!" Tedy musiałem, nic nie sprawiwszy, na plebanję wracać, a nazajutrz po mszy gotowałem się napowrót do Horodyszcz, kiedy naraz doszły z zamku ważne nowiny.

„Oto bowiem wnet po naszym odejściu wszczęła się — jak często bywało — wielka zwada między dwoma panami Turobojskimi, ale tym razem gorsza od poprzednich, bo Szczepanek z nożem rzucił się na stryjca i byłby go zażgał, gdyby służba zamkowa, nadbiegłszy na krzyk pana, nie wydarła go z rąk wyrodnego bratanka. Nie na tem koniec. Mając ze sobą znaczny poczet zbrojnych, Szczepanek spróbował opanować zamek i o mało swego nie dopiął, bo jeno z największym wysiłkiem zdołano go z murów wyprzeć. Odchodząc, odgrażał się, że wnet z mnogim ludem powróci, a wtedy go tak łącno nie pozbedą się i żywej duszy ze starościńskich zdrowo nie puści. To odjęło wszystkim serce i tak sądzę, że gdyby wcześniej groźbę tę usłyszeli, możeby mu nie uczynili wstrętu i łamiąc pański rozkaz, dali zamkiem zawładnąć. Jakże? Wiedzą przecie dobrze, że to ich

przyszły pan i że przy nim moc, a od starosty trupem zalatuje.

„Niebawem przyszło jeszcze gorzej, bo ledwo Szczepanka wyparto, aż oto starostę ze zbytku alteracji chwyciła z nagłą taka niemoc, że ani poruszyć się, ani słowa przemówić nie jest w stanie i leży napoły martwy, jak kłoda, jęczy jeno głucho. Ukrzyżowanego okiem szuka i bezsilną garścią próbuje w piersi się uderzać, kajaniu znać folgę dając. Do którego, posłyszawszy, co zaszło, stante pede z plebanem pospieszyliśmy i odtąd luzujemy się przy jego łożu, Boga mu przypominając i do dobrej śmierci gotując a do naprawy krzywd nakłaniając. Do czego pewnie dziś już jest skłonny, bo insze o tem zdrowego męża iudicium, insze zaś gdy śmierć w oczy zagłada; cóż jednak, kiedy wypowiedzieć się nie może i głową jeno znaki czyni, kon- senis niby niemi dając. Ale i cyrulik tutejszy, Szmul, acz przewiemy, w rzeczach lekarskich biegły, i własne moje doświadczenie zgodnie z nim twierdzi, że śmierć jeszcze nie zaraz nastąpi, a przed śmiercią spodziewać się można częściowego przynajmniej powrotu mowy a nawet sił.

„Co wszystko zważywszy, mniemam, że waszmo- ściom wypada dawne consilia zmienić i od zdobywania zamku odstąpić, bo i pocóżby wam się zdało z umierającym wojować? Trzymajcie się jednak na tem miejscu, na którym jesteście, nie rozchodząc się, a pilnie na skraju laeu nasłuchując, aż nadciągną siły Szczepan kowe, których tylko patrzeć. Wtedy insperate całą foT- są na nie uderzcie, a za łaską Bożą rozgromiwszy je i odpędziwszy od murów, obejmijcie zamek nie już jako napastnicy i warchoły, contra legem czyniący, ale jako aljanci i obrońcy przeciw wołającej o pomstę do nieba opresji. Wtedy wasza sprawa będzie górą i łącno wam przyjdzie uzyskać od starosty jakowe tylko zechcecie dla rotmistrza i dla was samych zadośćuczynienie i to w sposób, zgodny z prawem i nie dający przeciw wam racji do żadnych kontrowersyj. Wy wtedy będziecie amatores vindicatoresque legia, zaś wasi adwersarze burzycielami publicznego porządku, których gro- miąc, przyniesiecie Turobojskiemu pożądanę ausilia, zamiast pomsty. Zrozumiejże, o ile w ten sposób więcej dobrego zrobicie sobie i rotmistrzowi, o ile też dla afektów jego fortunniejsze stworzycie aspekta”...

Pan Harkosiej kartę od oczu odjął, czoło, wysiłkiem spocone, rękawem otarł i osłupiałym wzrokiem przed siebie spojrzął.

— Niechże mnie teraz kule biją, jeśli wiem, co z tym fantem począć! — mruknął.

I wbiwszy oczy w Walka, doda, bezmyślnie powtarzając poprzednio zadane pytanie.

— To ojciec w Łazuniu?

Walek zdziwił się.

— Toż mówiłem!

— Aha, prawda! — mruknął szlachcic i znów oczy utkwiał w przestrzeń.

— Do Deręgiewicza z tem, niema innej rady! — szepnął do siebie po chwili.

I podniósł się ociężale, a idąc już, odwrócił głowę ku chłopcu, stojącemu na dawnym miejscu.

W zaklętym zamczyska.

>9

— Cóż z tobą będzie? — spytał; — Z nami zostaniesz?

Walek głową potrząsnął.

— Do Horodyszczu wracam. Panu Kazimierzowi

o wszystkim powiedzieć trzeba.

— Konia masz?

— Mam.

Szlachcic chciał go o coś jeszcze zagadnąć, ale w tej chwili posłyszał w pobliżu głos pana Bartłomieja i pośpieszył ku niemu.

Deręgiewicz był przeciw bernardynowi srodze zażalony i w pierwszej chwili nie chciał słyszeć o nowinach

1 radach warchołącego się klechy, jak go nazywał; dorozumiawszy się jednak, o co chodzi, przestał się zżymać i jął uważnie czytać pismo, którego tenor uczynił na nim widoczne wrażenie.

— Niema co, — zauważył, podnosząc się z ziemi od ogniska, przy którym list czytał;— ważne to są i bardzo ważne nowiny i tak mniemam, że dowiedziawszy się o nich panowie bracia zechcą zapewne mutare swe proposita. Boć to jasne, że tak, jak rzeczy stoją, nie nastawać nam na zamek, ale czekać, co będzie, a jeśli sprawdzą się przewidywania ojca Symforjana, tedy istotnie nic, jeno w Szczepankowych bić, a potem obu Turobojskim prawa dyktować.

I krzyknął na szlachtę, by się skupiała do niego, bo chce jej ważne rzeczy komunikować.

Koło wszystkich ognisk budziło się już życie, wTzały krzątania się i gwary. Czeladź dorzucała do ognia całe naręcza gałęzi, które pryskały i syczały w płomieniach, śląc w górę smugi dymu i snopy iskier. Na skrzyżowanych patykach zawieszano i siodłano konie, nawoływano się, rozbudzano śpiących.

Za chwilę zgromadziła się przy panu Bartłomiejem gęsta kupa szlachty, między którą lotem błyskawicy rozbiegła się wiadomość o tem, co zaszło w Łazuniu. To też gdy Deręgiewicz zaczął ab ovo rzecz wywodzić, przerwano mu krzykami:

— Wiemy już, wiemy!

— Nie opowiadać, jeno radzić!

Deręgiewicz usłuchał i poczęto radzić.

Ale w pierwszej chwili nikt do radzenia nie kwapił się. Każdy na sąsiada spoglądał i pod bok go szturchał, wypychając na środek koła, sam zaś wołał czekać, co powiedzą inni.

— Mówcie!

— Sam waść gadaj!

— Niech Brzechwa powie!

— Albo lepiej Jarosiński!

— Tak, tak! Jarosiński! Gdzie Jarosiński! Dawać tu Jarosińskiego!

Ale Jarosińskiego nie było w obozowisku. Okazało się, że pojechał naprzeciw oddziałom pana Osiecimskiego, które się spóźniały.

Musiano tedy rozpocząć obrady bez pana Błażeja. Zagaił je pan Bartłomiej, przedstawiając sprawę jasno i dokładnie, bo był też dobrze w kunszcie oratorskim ćwiczony na retoryce u Winnickich Jezuitów. Wywody jego, konkludujące pójście za radą bernardyna, trafiły do przekonania znacznej części zgromadzenia, któ

ra żywym potakiwaniem wyrażała mu, w miarę jak prawił, zgodę i uznanie; spotkały się jednak wśród niektórych z przeciwieństwem i protestem, do czego przyczyniły się niemało rozgłoszone po okolicy pogłoski o warcholstwie starego mnicha.

— Veto! — krzyknął pierwszy pan Brzechwa, tłusty, przysadkowaty szlachcic z okrągłą karmazynową twarzą i fioletowym nosem, ten sam, który taki warchoł czynił na odpuście w Berdyczowie. — Klechę starosta podkupił, żeby nas wwieść w matnię, a waszmościów tchórz oblatuje i gotowicie wpaść w sidła!

— Tak, tak! — ozwało się kilkanaście głosów. — Dobrze mówi.

Wstyd słuchać takich propozycji, jeszcze od wodza!

— Może i on w zмовie ze zdrajcą!

— Nie poto my tu przyszli, by kunktatorstwem się zabawiać i a.uxilia Turobojskim dawać! Krzyki, urągania, pogrożki rosły. Wnet jednak zagłuszyły je głosy przeciwne.

— Deręgiewicz praw! Książd dobrze radzi!

— Nie można inaczej czynić!

— Kanclerski to rozum wykoncypował taki obrót rzeczy!

— Nie bluźnić księdzu, ale błogosławić go i słuchać!

— Niema zgody!

Zdania krzyżowały się, wrzaski tłumili się wzajem. Wkońcu zrobiło się takie zamieszanie, że nikogo już nie sposób było dosłyszeć. Szlachta brała się już do szabel, nie wiedziała jednak w tłoku i zgiełku, kto swój,

a kto wróg. W obozowisku kotłowało, jak w zburzonym nagle górskim jeziorze.

W gruncie znaczna większość nie wiedziała, o co idzie. Krzyczała, bo do krzyku usposabiał ją temperament, gotowała się do bójki między sobą, zamiast przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, bo i do tego przyzwyczał ją szlachecki obyczaj. Niepodobna jej było wyjaśnić sprawy ani przekonywać żadnymi argumentami, bo nie chciała nic słuchać, ani o niczem się przekonywać. Pan Bartłomiej stał bezradny, ręce łamiąc i biorąc najbliższych sobie na świadectwo krzywdy, jaką wyrządzano jemu i bernardynowi, pan Dydak huczał, perswadując najtęższym basem, ale nic to nie pomagało, tyle tylko, że wśród słyszających go, poczęto nań oburzać się i nastawać.

— Tyś wszystkiego zamieszania przyczyną! — wołano.

— Od ciebie to się poczęło!

— Ze zdrajcą w zмовie!

I byłoby może zajście to całe skupiło się na skórze nabożnego Harkosieja, gdyby niespodzianie nie nadał mu nowego obrotu pan Brzechwa.

Szlachcic ten hetmanił raz przed laty jakimś zajazdowi i sądził, że mu to dawało słuszne prawo przewodzenia we wszystkich podobnych imprezach. Wysunięcie na czoło wyprawy Deręgiewicza wziął tedy za osobisty despekt i oburzył się niem srodze, ale na/razie nie śmiał kontrować i teraz dopiero skorzystał z pierwszej okazji, by zrobić huczek przeciw wodzowi wyprawy. Przyszło mu to bez trudu, nie było bowiem nic ła

twiejszego, jak szlachtę wogóle, a tem bardziej tak luźnie zebraną drużynę do niekarnośći podbechtać. Że jednak panu Brzechwie szło jedynie o wyrwanie buławy panu Bartłomiejowi, a nie o przeszkodzenie zajazdowi, uznał przeto potrzebę uspokojenia umysłów i zwrócenia zebranych w karby. W tym celu począł wołać tubalnym głosem: — Mości panowie, uciszcie się! — Za nim to samo wezwanie jęli powtarzać inni i w kilka pacierzy zgiełk zmilkł istotnie, a cała szlachta spokojnie nasłuchiwała, co też jej pan Bartłomiej obwieści.

On zaś, wielce zadowolony z powagi, jakiej zażywał, wsparł się w boki i okiem powiódł po otaczającym go tłumie, potem zaś rzekł:

— Mości panowie, a mili bracia! Jużeście racje podane tu z właściwą wam roztropnością rozważyli i macie o nich firmum iudicium, nie dając się złudzić pachółkom zatrwożonego adwersarza i słuszny przeciw zdradzie gniew manifestując. Może jednak komuś się wydać, że tumultem a opresją wojujemy! Tedy pytam was, mości panowie, czy trwacie unanimiter przy dawnych decyzjach, odrzucając nowe consilia, jakie z kompasji dla opresora i kata nas wszystkich tu obecnych imć pan Deręgiewicz, jego widocznie konfident, proponuje na większą chwałę i pożytek panów Turobojskich?

— Unanimiter! Unanimiter! — wrzasło kilkadziesiąt gardzieli.

— Na pohybel zdrajcom!

Ale wnet z równą siłą zawrzały inne głosy:

— Niema zgody! Yeto! Yeto!

— Precz z tym brzuchaczem i opojem! Vivat Deręgiewicz!

— Skoro niema unanimitatis — ryknął Brzechwa ze wszystkich sił, aby wrzask przygłuszyć — niechże liczba stanowi. Kto przeciw Turobojskim, za mną!

Mówiąc to, wbok uskoczył poza ściśnione mrowisko szlachty z żywością, której jeno gruby brzuch nie pozwalał w nim przypuszczać. Znaczny zastęp adherentów pomknął za nim, wielu jednakże zostało na miejscu, z krzykiem opowiadając się przy Deręgiewiczu.

Szlachta podzieliła się na dwie równe połowy, oddzielone od siebie krajem polanki. W świetle ognisk widać było jakoby dwa oddziały wrogich sobie armij, gotujące się do walnej bitwy. Na czele jednego kręcił się jak w ukropie, komenderując, Brzechwa, w drugim wypchano na czoło Deręgiewicza, który widocznie opierał się i zżymał, wołając, że do walki z braćmi należeć nie chce, cóż jej przewodzić.

Że jednak z tamtej strony dobywano szabel, trzeba było myśleć o obronie, więc rzucił już w tym sensie rozkaz, jakby dając nim znak, że obejmuje komende, kiedy naraz obie strony wstrzymały się w wzajemnym na siebie rozpędzie, jako dwa walczące ze sobą na wiosnę jelenie, gotowe rzucić się i zewrzeć w śmiertelnym boju, wstrzymują się w pół skoku, zasłyszawszy trąbkę dojeżdżacza i hałas zbliżających się łowów i stoją z roz- dętymi chrapami, nieruchome, nasłuchując, czy za mgnienie oka dokonać skoku i uderzyć na siebie wzajem rozłożystemi rogami, czy zawrócić i strzałą pognać

w gąszcz boru, by tam ukryć się przed pościgiem myśliwych.

— Jarosiński wraca! — obiegiło wokół oba wrogie oddziały.

Niewiadomo kto pierwszy wieść puścił o zbliżaniu się pana Błażeja, wnet jednak wieść ta obiegła oba wrogie obozy i wstrzymała je w chwili, gdy miały na siebie uderzyć.

Jarosiński miał istotnie wielki mir u szlachty, którą kaptowała jego przebiegłość, jak niemniej namiętna wymowa i obrotność małego kauzyperdy.

— Jarosiński! Do nas! Z nami! — krzyczano z obu stron.

Poskoczyli ku niemu pierwsi Brzechwa i Harkosiej, za którymi, ociągając się nieco, przystąpił do nadchodzącego przyjaciela i pan Bartłomiej. Markotno mu było, że on, wódz wyprawy, zmuszony jest teraz nie tylko do eksplikacji, ale jakby do oddania całej sprawy na sąd i decyzję Jarosińskiego, nie było jednak rady, musiał poddać się ogólnej woli.

Mały szlachcic opowiadał Brzechwy i Harkosieja wysłuchał uważnie, brwi zlekka ściągając, potem rzucił parę pytań Deręgiewiczowi i odczytał pilnie pismo ojca Symforjana, zaczem chwil kilka powstał, z oczyma utkwionymi w ziemię, myśli widocznie ważąc, podczas gdy wszyscy obecni patrzyli nań, milcząc, z zapartymi oddechami, wreszcie głowę podniósł, obejrzał się i na gładko ścięty pień drzewa wskoczył, dając znak, że chce mówić.

Skupili się wszyscy dokoła onego pnia, mieszcząc się w jedną gęstą kupę i poszturchując wzajem nie z powodu przynależności do wrogiej partji, ale tylko dla zdobycia bliższego miejsca, on zaś rękę wsparł na rękę kojeści miecza i tak jął mówić.

— Amicus Plato, sed magis amica veritas! Miłym sercu memu imćpan Deręgiewicz, ale milszą słuszność i milszem bonum publicum, droższym pomysły eventus naszej wyprawy. A cóżto z wyprawy tej będą za fructa, mości panowie, jeśli, wyszedłszy przeciw panu starości, powrócimy jako jego aljanci i ratujący go pacholćkowie? Jak nas powitają w naszych domach, w kołach współobywateli? Jakiem nazwą mianem? Jakżeto? To jak dwa wilki gryźć się poczną między sobą, a ty, bracie nadejdiesz, to dasz jednemu przeciw drugiemu auxilium? A Turobojscy gorsi od wilków i my mamy jednego przeciw drugiemu salwować?

Podniósł się głośny pomruk uznania dla mówcy i oburzenia przeciw złej radzie bernardyna, a ze stronników Deręgiewicza nikt nie protestował.

— Zważcie jeszcze, waezmoście—mówił dalej Jarosiński, — że suponuję jak najpomyślniejszy obrót sprawy, sprawdzenie się wszystkiego, co przewiduje i obiecuje bernardyn. Będzie-li tak jednak, o tem nie wiem i, prawdę rzekłszy, wcale w to nie wierzę. Bo i jakże? W piśmie i w radach mnicha same supozycje, ani jednego factum. Gdyby nawet na słowa mu zawierzyć, gdzie pewność, że wszystko tak się stanie? Szczepanek odgrażał się, że wróci do Łazunia z Nawżenym? Dobrze! A jeśli nie wróci? Jeśli zamiast na stryjca nastawać, na Sicz pogna, jako parękroć już bywało po takich sa-

myeli zwadach ze starostą? Albo, co pewniejsze jeszcze, stryjec ze synowcem zgodę uczynią, za którą nam przyjdzie skórą i głową nałożyć? Albo i bez tego, jeśli służba zamkowa, więcej na przyszłego pana patrząc, niż na dogorywającego starostę, co i sam bernardyn stwierdził, Szczepankowi pośpieszy z pomocą, miast nas, jako liberatorów przyjmować? Co wtedy pytam, rzeknijcie mi, mości panowie?

— Prawda, jako żywo! — huknęło kilka głosów.

— I ślepy to obaczy!

— Jako z księgi prawi!

— Niema co i gadać! Pokpił Deręgiewicz sprawę i tyle!

Za Deręgiewiczem nikt się nie ujął. Jarosiński mówił dalej.

— Wszystko to mówiłem w supozycji, że bernardyn pisał szczerze i pisał prawdę. W takim wypadku valde probabiter — niektórzy z waćpanów rzekłby: certissi- me! — rada choć szczerza, wyszłaby nam na złe. Albo- byśmy nie doczekali się Szczepanka, i z nosem na kwintę odeszli, nic nie sprawiwszy, albo Szczepanek i ła- zuńscy wzięliby nas we dwa ognie na pewną zgubę, albo, w razie wiktoryi najniepotrzebniej będziemy pec- tore proprio jednego adwersarza przeciw drugiemu zasłaniać. Cóż jednak, jeśli bernardyn lisim ogonem się przykrywa i oczy mydli, albo i simpliciter zdradza? W takim wypadku oczywiście wszystko w piśmie tem obrachowane, by nas w matnię wwieść, gdzieby nas ho- stes mogli niespodziewających się chwycić i lubo necem, iubo co najmniej carcerem durum parare. A klecha ów

perysitis wszelakiej capax jest, bom go sam słyszał, jako przeciw przywilejom stanu szlacheckiego i złotej wolności obrzydłe bluźnił, kto zaś grzeszną gębą tak horrendi dopuszcza się criminis, czegoż popełnić nie potrafi?

Ostatnie słowa mówcy wywołały istny huragan oburzenia. Sto głosów zawrzało:—Śmierć klesze! Na dno piekieł z nim!", a w tym zgodnym chórze potępienia i pomsty zmieszał się wrzask adherentów Brzechwy i Jarosińskiego z niemniej rozwścieklonym wrzaskiem tych, co z początku stali przy Deręgiewiczu i gotowi byli szablą przeciw tamtym opinii swej bronić. Nie ulegało już wątpliwości, że opinia ta poniosła klęskę zupełną.

— Więc nuże, mości panowie—kończył ochryłym z wytężenia głosem Jarosiński. — Zbierajcie się w szyki! Do pochodu! Widzę już, że między nami nulla est dissensio i że wszyscyście jednej myśli. Ani wątpię, że i przywódca nasz, imćpan Deręgiewicz, odstąpił błędnego zdania, o co go w imieniu waszmościów instanter et instantissime suplikuję!

— Prosimy, prosimy! — huknęła szlachta, zapominając, że przed chwilą chciała na szablach roznieść pana Bartłomieja, on jednak wzdragał się i submitował, że wprawdzie jest racjami pana Błażeja przekonany, nijak mu jednak po tem, co zaszło, dowództwo obejmować i że przystojniej będzie dla sprawy i lepiej, gdy je obejmie kto inny, a ktokolwiekby to był, on, Deręgiewicz, będzie mu z pomocą ochotną we wszystkim. Cer- towali się tedy czas niejaki z Jarosińskim i parą stoją

cych mimo szlachty, wreszcie jednak z dalszych gromad podniósł się okrzyk, który koniec położył certacji.

— Jarosiński wodzem! Jarosińskiego prosimy!

Posłyszawszy to wołanie, które wnet przeszło w ogólny ryk zebranych, mały kauzyperda zaczerwienił się i oczy mu zabłysły, bo człek był wielkiej ambicji i górnego o sobie mniemania. Zrazu jednak cofał się, protestował i ręce przed siebie wyciągał, na godniejszych wskazując, gdy jednak opór jego puszczono mimo uszu, niewołąc go coraz to natarczywiej, Jarosiński kołpak na ziemię rzucony podniósł, i na łeb z fantazją nasadził, szablę swą z pochwy wyjął i na ogromną swą gnijącą kobyłę wskoczywszy, na której grzbiecie mało co z niego było widać, wrzasnął, oręż do góry podnosząc, donośnym, przenikliwym głosem:

— Mości panowie! Za mną! Na Łazuń! Deo favente na wiktoryję i słuszną pomstę krzywd naszych!

— Na Łazuń! — wrzasnęła szlachta, wskakując na koń, gdzie kto swojego, czy cudzego dopadł. — Bij, zabij! Na Łazuń!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS RZECZY

TOM I CZĘŚĆ PIERWSZA

KUPAJLYCIA str.

I. W Maksymowym futorze 5

II. Wiedźma..... 17

III. Nocleg „Proszczalników” . . .34

IV. Na Iwana Kupajła49

V. " Kiedy paproć zakwita66

VI. Promień gaśnie82

CZĘŚĆ DRUGA BRAC ŚZLACHECKA

I. W sępiem gnieździe95

II. Ojciec Symforjan112

III. Hajże Aa Miśni akowskich! Hajże na Turobojskich! 131

IV. Stryj i bratanek179

CZĘŚĆ TRZECIA MIĘDZY NIEBEM A PIEKŁEM

I. Duchy w zamczysku 197

II. Łowy na ludzi 210

III. Pod wilczą paszczką 228

IV. Jurko Nawieżony254

V. Złote wolności szlacheckie 263

VI. Na Łazuń 275

111S.09H

L Ak.ttf

SKŁADY GŁÓWNE:

„THE POLISH BOOK IMPORTING C-o., INC." NEWYORK » KSIĘGARNIA POLSKA
NA ŚLĄSKU, SP. AKC."-KATOWICE

19 2 5

CZEŚĆ PIERWSZA.

ZAJAZD.

r.

ŚMIERĆ TUROBOJSKIM!

W sypialnej izbie starosty korystyszowskiego na ła-
zuńskim zamku płonął na kominie suty ogień,
do którego przysunięto łoże, by chory korzystać
mógł z ciepła w tej ogromnej izbie, pełnej
wilgoci. Noc była jeszcze, choć drugie kury
dawno już oznajmiły zbliżający się poranek.
W zamku jednak czuwano. Stary burgrabia
Ciszewski, równolatek starosty, bezgranic
nie panu swemu oddany, był zarazem komendant
załogi i, odparłszy zamach Szczepanka na
Turobojskie go, gotował się na nowy napad.
Podwoił więc strażę, wysłał konnych, by
czatowali na gościńcach i wracali z wieścią,
dostrzegłszy coś podejrzanego, sam zaś
postanowił czuwać przez całą noc, naprzód
ze względu na zdrowie starosty, którego stan
zdawał się groźny, po- wtóre zaś i dlatego
także, że nie miał na kogo spuścić się wśród
załogi. Pomocnik jego, przez młodszego Tu-
robojskiego narajony, oddany mu był duszą i
ciałem, a i reszta załogi— stary sługa
starościński wiedział

O tem bardzo dobrze—oglądała się raczej za wschodzącym słońcem, niż za tem, co dogasało w ciszy narożnej sypialnej komnaty.

Chory leżał bez ruchu na wysoko spiętrzonych po duszkach wezglowia, oczy miał przymknięte, a żółta twarz zmarszczkami okryta, nad miarę wychudzona i za więdła, zdawała się raczej twarzą trupią, niż obliczem żyjącego jeszcze człowieka. Przy kominie drzemał, przykucnąwszy na posadzce, kozaczek, mający obowiązek ogień podsycać, co też czynił, budząc się co pewien czas i mechanicznym, sennym ruchem dorzucając kilka drewek do wielkiej, płonącej czeluści. U wezglowia siedział w poręczowym krześle ojciec Symforjan, przesuwając w palcach ziarna różańca. W głębi, plecami oparty o drzwi, stał stary Ciszewski, patrząc posepnie, osowiałem okiem na zmartwiałą postać starosty i zaciskając kurczowo dłonie, jakby chciał nimi zagrozić jakiemuś niewidzialnemu nieprzyjacielowi. Naprzeciw, przez uchylone drzwi alkierza, widać było nieruchomą postać leżącej Hanusi, którą na czas musiało zmóc znużenie.

W izbie panowało milczenie, przerywane jeno szeptem modlitwy ojca Symforjana i głuchem rżeniem, wydobywającym się z piersi chorego.

— Czy śpi? — spytał cicho burgrabia.

— Nie! — odparł również szeptem bernardyn. — Jest to chwilowe obezwładnienie wskutek braku sił, ale Szmul mówił i ja z własnego doświadczenia sędzę, że jeszcze przyjdzie do siebie na czas jakiś, może jutro, może za parę dni, albo tygodni.

— A potem?

Bernardyn ramionami ruszył.

— Potem będzie, co Bóg da. Wedle obliczeń ludzkiego rozumu — śmierć i sąd.

Stary sługa westchnął głucho.

— Pięćdziesiąt lat jemu służę! Od małego tu nastał.

— Skoro tak — zauważył z odcieniem surowości ksiądz — módlże się teraz gorąco za tę grzeszną duszę, którą Chrystus wnet zawoła, a i za siebie też, bo siła złego musiały w takiej służbie oczy twoje widzieć, a ręce dokonać.

Ciszewski głową pokiwał, a potem oczy wdał utkwiał w zadumie.

— Hej, widziały te stare oczy, widziały — mruknął cicho, jakby sam do siebie. — I pewnie, że złego więcej, niż dobrego. Wiadomo, jak to na pańskim dworze! I gwałtów wszelakich, i płaczu pohańbionych dziewczek, i wyrzekania chłopów a sąsiadów, i mężobójstwa, i z dymem puszczenia... Wszystko bywa! A co pan, to i sługa. I choćby, na ten przykład, z Miśniakowskimi... Ktoby przeczył? Ale czyż to tu jeno działy się takie izeczy? Czemże to pan starosta gorszy od tych, co na niego nastają? A Miśniakowcy—nie broiliż, nie uciskali gorzej, za jednego tylko wielkiego Hrehora, niż starosta przez cały swój żywot? Nie mówię o panu Szczepanie, bo w tym djabeł siedzi, ale moje stare panisko, cóż on takiego broił, czego nie broili inni? Winny on, wiem, ale czy niema winniejszych? Kto z nas bez winy? Ten, kto nie ma mocy! Ot i ta szlachta, co slysze, na Łazuń się zbiera, jak o tem jegomość więcej

pewnie wiesz ode mnie, czemuż to ona na pana korystyszowskiego tak gniewna? Czy dlatego, że pan korystyszowski przeciw prawu czyni? Jako żywo! Jej złość, bo nie może tak dokazywać, jak pan korystyszowski dokazywał dawniej i jak dokazuje teraz jego bratanek. Oj, gdyby jeno mogła, dokazywałaby, doka zywała! A choć tyle nie mogą, natężają się niebożątka, ile potrafią: nie mogą głów ścinać, to szablą je sieką: nie mogą braci szlachty gnębić, to gnębią i batożą chłopą, żyda, cygana, chodaczkowego szlachetkę, jak się zdarzy i uda, a na większych idą społem. Czego nie dokona szlachcic w pojedynkę, tego dokona zajazd. I wtedy niema opresji, gdy wybiorą się w stu na jednego, ale gdy pana brata kto tknie, oho, wtedy gwałt idzie na całe województwo! Wolność szlachecka podeptana, iniuria niewinnym się dzieje! A. każdy z tych niewinnie uciśnionych uciska mniejszych od siebie i mniema, że to jego prawo, na którym ład i byt Rzeczypospolitej oparty.

Ojciec Symforjan wpatrzył się w starego i głową smutno pokiwał.

— Gorzkie słowa waści, ale prawdziwe—przyznał.— Mało sto razy toż szlachcie mówiłem, która istotnie podobne ma sentymenty i defekty, jakieś to arcyroz- tropnie wywiódł. I o panów nie będę się spierał, choć coprawda, niekażdy dwór do łązuńskiego podobny i niekażdy dwór ma tyle łez i krwi na sumieniu, co ten. Ale Bóg o tem niech sądzi. To jeno pewna, że cri men, choćby przez wielu popełniany, nie przestaje być obrazą Bożą, za którą czeka sąd i kara.

Ciszewski głowę spuścił i milczał przez chwilę.

— Jać nie neguję i sam w grzechach się kajam i wiem, zem na potępienie zasłużył. Ale i to wiem, że on żył nie samym jeno grzechem i że, gdyby mu inni nie dawali powodów, nie byłoby i połowy tych przewinień, które mu teraz obciążają duszę. Dobra czynił on też niemało i serce miał dobre, jeno trzeba mu było w porę szczęśliwą utrafić. Prawda, że kiedy bies go opętał, wtedy nikt mu nie poradził, nikt go i nie powstrzymał.

— Kogo bies opętał, temu człowiek nie pomoże, chyba Bóg!—mruknął więcej do siebie, niż do burgrabiego bernardyn.

— Ale bies na czas tylko na niego nachodził, a gdy precz szedł, z pana inny robił się człowiek. Nie siedzieliby przy nim ludzie przez cały swój wiek, ot, jako i ja. gdyby nie był taki, bo któżby wytrzymał z zawsze wściekłym człowiekiem? I gdyby pan Szczepan został był na tej Siczy, z której na zgubę pańską i utrapienie ludzkie wrócił, byłoby na inszy koniec przyszło panu starości. I zgoła inszym stał się on człowiekiem na starość, niżli był w letnich upałach życia. Bo i to wiedz jegomość, że ostatniemi laty widywałem go nieraz bijącego się w piersi i starającego się krzywdy wyrządzone w gniewie naprawić. A jeśli dla wrogów bywał niemilosierny, a w zapalczywości nie znał pomiarkowania, by i o najbliższych szło, poza tem nie było lepszego pana, czulszego małżonka. A gdyby zeń był naprawdę taki wilkołak, za jakiego okrzyczało go sąsiedztwo, skądże

wyhodowałby się przy nim ów cudny kwiatusek, którym Bóg pocieszył jego starość?

— Kwiatusek, którym on obdarował Szczepanka— mruknął z cichym wyrzutem ksiądz.

— Bóg na czas go jeszcze oświecił i nie dopuścił do zaguby tego niebożątka! — odparł Ciszewski, oczy wznosząc w górę.

Burgrabia oczy wbił w ziemię, nic nie odpowiadając, i przez kilka pacierzy trwało milczenie. Przerwał je nagły rozruch w dalszych izbach, bieganie, okrzyki, wreszcie odgłos wystrzałów. Zamek, cichy przed chwilą, zawrzał nagle życiem.

Ciszewski nasłuchiwał, przyłożywszy dłoń zakrzywioną do ucha, bo słuch mu z wieku stępsiał, potem porwał się ku drzwiom i za głowę się schwytał.

— Szczepanek! — wrzasnął rozpaczliwie. — A ja tu, a na murze komendę ma ten pies Gondek, zaprzędany Szczepankowi!

I pędem wybiegł z sypialnej izby.

Tymczasem huk muszkietów zagłuszył działa i cicha przed chwilą noc napełniła się straszliwym ich rykiem.

Bernardyn podniósł wybladłą twarz i wpatrzył się w czarny otwór rozwartych drzwi.

— Z nami krzyż Pański i Najświętsza Panienska! — szepnął. — To nie Szczepanek! To nasi!

I, zwracając oczy na dziewczę, uśpione w alkierzyku, dodał z tkliwym wyrazem, który dziwnie odbijał od jego surowej, ascetycznej twarzy.

— Azali to dla ciebie na szczęście i radość, kwia

tuszku miły, czyli raczej, czego Boże chroń, na gorszą jeszcze troskę a niedolę?

Huk dział wzmagał się tymczasem, a palba muszkietowa nie ustawała. Załoga, wbrew obawom burgrabiego, stawiała widocznie mężny opór napastnikom i walka musiała być krwawa. Zakonnik wahał się, co ma uczynić. Na odgłos strzałów podbiegł ku drzwiom otwartym, jakby chcąc wypaść pomiędzy walczących, zatrzymał się jednak u progu i obejrzał na dziewczynę, która mimo straszego zgiełku, spała wciąż, zmożona znużeniem.

— Nie mogę! — szepnął. — Tamtych, co giną, niech Bóg wspomaga i niech im będzie miłosierny w ostatniej godzinie. A tej nie godzi mi się opuszczać, skoro suknia moja sama jedna dla niej może być ochroną przed rozuzdaniem zwycięstwa.

Wyszedł jednak na krużganek, okalający główny dziedziniec zamku, i próbował przebić okiem gęstą mgłę nocną, szukając walczących, ale walka toczyła się widocznie na zewnętrznych wałach, bo dziedziniec był pusty. Bernardyn podniósł obie ręce w górę i trwał w cichej modlitwie, póki wrzała bitwa i z wałów dochodził huk armatnich wystrzałów. Zwolna jednak zgiełk się uciszał, strzały ustały i z zewnętrznych dziedzińców słychać już było tylko ludzkie wrzaski, śmiechy i okrzyki.

Ojciec Symforjan poruszył parę razy głową, jakby chciał powiedzieć: „Czekałem na to!” i cofnął się na próg sypialnej izby, zasłaniając wstęp do niej całym ciałem.

Stał w tej pozycji dość długo, wciąż nasłuchując, ale nikt nie nadchodził. Widocznie zwycięzcy zajęli byli grabieżą i ucztowaniem, a służba zamkowa rozbiec się musiała w popłochu i nawet ze służebnych niewiast żadna nie nadbiegła do Hanusi, oprócz starej niańki, towarzyszki Hanusinego jasyru i powrotnej podróży pod osłoną pana Kazimierza. Teraz dopiero dziewczeczka obudziła się i, przerażona wrzawą, rzuciła się w objęcia Todoski. Jakby w nich była pewna ostoja przeciw wszelkiemu niebezpieczeństwu. Todoska okryła ją swoim czerwonym fartuchem i zastawiła sobą w najciemniejszym kącie alkierza.

Ksiądz patrzył na obie kobiety, rozszalałe trwogą, i głową kiwał, uśmiechając się smutno. Widział on wiele, wiedział, jak bywa na zajazdach i jak ludzie dobrzy i spokojni w zwyczajnym życiu, przemieniają się w bestje dzikie, krwi i gwałtu chciwe, gdy mózg zalał trunek, a nozdrza upiły się wonią krwi i prochu. Silniej jeno rozparł się w progu, jedną ręką uchwycił się za uszak od drzwi, drugą ukrył w zanadrzu, i zdawał się ją cisnąć, jakby w niej coś trzymał. Wciąż też dalej patrzył w otwartą czeluść drzwi, wiodących na krużganek, i nasłuchiwał głosów, dochodzących z zewnątrz.

Teraz nie czekał już długo. Hałas nagle wzmógł się. Zdawało się, jakby Otwierano z łoskotem jedne za drugimi jakieś oddalone drzwi, przez ciemne okna izb. wychodzących na krużganek, zaświeciły liczne ruchome światelka, niby świętojańskie robaczki, iskrząc się na leśnej gęstwie o północnej godzinie; słychać było wyraźnie głośnie, natarczywe pytania, zbliżające się co

raz to bardziej. Wreszcie na zagięciu krużganku ukazały się czerwone ognie smolnych pochodni, oświecając tłum ludzi. Tłum ten nadbiegał z dzikim wrzaskiem, błyskając w świetle nagą stałą dobytą pałaszy. Z ogólnego ryku pojedyncze Jowa tylko można było rozeznąć.

- Śmierć staroście!
- Gdzie pan?
- Gdzie starosta?
- Dawaj go tu!
- Bigosować go!
- Na dzwona pociąć!
- Jak szczukę!

Była to szlachta, zmieszana z czeladzią, pijana do nieprzytomności, z oczyma zaszłemi krwią i płonąciami jak żagwie, z pianą rozpasanej wściekłości na ustach. Już miała zderzyć się z habitem, zagradzającym jej drogę i byłaby, zwaliwszy przeszkodę, przeszła po niej, jako przechodzi górski potok, wezbrany na wiosnę, nad stojącym mu na zawadzie krzem dzikiej jedliny, ale w tej chwili zakonnik podniósł dłoń, trzymaną w zanadrzu i zasłonił siebie i wejście do komnaty krzyżem.

Tłum cofnął się, kołyszając, jak odbita od skały fala, zahuczał jednak groźnie.

- Z drogi, popie!
- Tu i święty Boże nie pomoże!
- Wstyd ci, poświęconą sukienką łotÓw zasłaniać!
- Na nic ochrona! Choćby go i sam Ojciec święty zasłaniał, zginie ten kat szlachty!
- Śmierć Turobojskiemu!

— I jego poplecznikom!

— Kto łotrom aljant, sam taki!

Wzburzenie rosło. Tłum, powstrzymany na chwilę w swym rozpędzie, napierał teraz z nową mocą, i tylko niezwykła siła, jaką mimo wieku okazywał zakonnik, pozwalała mu opierać się i odpychać nacisk napastników.

Wtem z dalszych szeregów zabrzmiały nowe okrzyki:

— Wszakże to ten sam zdrajca, co nas od najazdu na zamek odwodził?

— I chciałem z nas aljantów starościńskich uczynić!

— I na przywileje stanu szlacheckiego nieczystą gębą bluźnił!

— I złotej wolności przyganiał!

— Precz z nim!

— Na niego!

Tłum ze zdwojonym impetem runął naprzód, unosząc po drodze wyniosłą postać bernardyna i zalewając izbę sypialną morzem głów i migotliwym blaskiem setki szabel. Ponad ohydny wrzask pijanej, krwi spragnionej tłuszczy podniosły się dwa okrzyki. Ojciec Symforjan, rzucony o przeciwległą ścianę, wyrwał się z żelaznej obręczy gniotących go ramion i wołał rozpaczliwie:

— Na rany Chrystusowe! Uszanujcie konanie tego starca! Uszanujcie dziewczkę, umiłowaną przez Miśniakowskiego!

Hanusia zaś wydarła się z objęć Todoski, darmo próbującej powstrzymać ją i zasłonić, przyskoczyła do łóżka umierającego i rzuciła się na ojca, przykrywając go własnym ciałem.

— Nie dam! Nie dam! — krzyczała donośnie swym srebrnym, napoły dziecięcym jeszcze głosem. — Mnib zabijcie! Jego nie śmiejecie ruszać!

Oba głosy słyszeli wszyscy. W mniej pijanych znalazły one oddźwięk i wzbudziły litość, ale takich było niewielu. Ogół był nieprzytomny a rozbestwiony. Na błagalne prośby starego zakonnika, jak i na rozpaczne wołanie Hanusi odpowiedziano śmiechem i urąganiem.

— Ona nie tylko przez Miśniakowskiego będzie umiłowana! — krzyknął jeden z młodszych. — My ją wszyscy umiłowujemy!

— Pocieszymy ją po stracie rodzica!

— Kark mu wprzód utraciwszy należycie!

— Tak, tak! Naprzód on, potem ona!

Nad dziewczyną, obejmującą bezwładne ciało starca, pochyliło się kilkanaście czerwonych twarzy, zalanych potem i dymiących winem. Kilkanaście rąk chwyciło ją, gdzie która popadła, za szatki, za ramiona, za włosy, odciągając przemocą od łóżka.

Od wejścia jednak dały się słyszeć okrzyki, próbujące powstrzymać swawolników.

— Czekaście! Nie bijcie!

— Żywym bierzcie!

— Niech starszyzna stanowi!

— Dość krwi, a ma-li płynąć, to z ogólnego kon- sensu!

Nad wszystkimi jednak górował trwogą nabrzmiały głos Deręgiewicza:

— Szanujcie dziewczę! Na Boga, mości panowie, nie dajcie dziewczę krzywdy uczynić!
Toć Miśniakowskiego sponsa!

Wtórował Deręgiewiczowi całą potęgą tubalnego gło su Harkosiej, a z krużganka dolatywał przeraźliwym falsetem krzyk Jarosińskiego, który darmo usiłował przedostać się w ścisku naprzód, odpychany i poniewierany z powodu nikczemnej swej natury przez tę samą hałastrę, która niewiele godzin wstecz z takim zapalem obwoływała go wodzem. Nic jednak nie skutkowało, bo szlachta nie słuchała nikogo, a najmniej wybranego przywódcy. Ojca Symforjana olbrzymi jakiś hajduk chwycił za gardziel i, zgiąwszy we dwoje, nieprzytomnego wepchnął w kąt za kominem i tam go hojnie kopnięciem buta i szturchańcami potężnej pięści częstował, zgoła nie troszcząc się o immunitatem duchownego stanu. Deręgiewicza i Harkosieja za drzwi wypchnięto, gdzie wpadli na próżno szamocącego się Jarosińskiego. Nad osiwiął głową, bez ruchu spoczywającą na wezglówiach, podniosły się, świszcząc i zawadzając jedna

0 drugą, mnogie szable. A dziewczynę ciągnął każdy w swoją stronę, miotając najbezpieczniejsze przekleństwa, kilku pijanych hultajów, rwąc jej długie, splątane teraz i zmierzwiłone włosy, wyciągając ze stawów ręce, rzucając całym ciałem o ziemię i znów unosząc w powietrzu. Stara Todoska szamotała się pomiędzy walczącymi, próbując wydrzeć im swoją panienkę, kłapiąc te drapieżne dłonie, co szarpały nieszczęsne dziewczę tak nielitościwie, a gotowały jej gorsze jeszcze męki i nad wszelką mękę straszliwszą hańbę.

W tej chwili jednak stało się coś niespodziewanego. Tłum w krużganku zakołysał się i rozdarł, zostawiając w środku wolną ulicę. Ulicą tą biegł w największym rozpędzie, rozpychając głownią miecza stojących mu na drodze, siekąc bez litości ostrzem po łbach tych, co mu próbowali się opierać, mąż potężnego wzrostu i nadludzkiej niemal siły, skoro potrafił zapanować nad całą tą zgrają, zmuszając wszystkich do posłuchu i napędzając przerażeniem. Mąż ten odkrytą miał głowę i włos zwichrzony, odzież starganą i pyłem okrytą, jakby długą, nad miarę szybko odbył drogę, oczy mu gorzały, a na wybladłym obliczu malowało się przerażenie i rozpacz. Znużony być musiał śmiertelnie, bo do piersi zdyszanych i rżących z trudem ledwo mógł zaczerpnąć oddechu i głos mu ledwo wydobywał się z gardzieli ochryply i głuchy, jakoby z głębokiej, podziemnej otchłani; wołał jednak wciąż, odkąd wbiegł na krużganek, tak, iż rozlegało się po całym zamku:

— Wara od panny! Śmierć temu, kto jej dotknie!

W tłumie rozległy się przerażone okrzyki.

— Ratuj się, kto żyw! To opętaniec.

— Czart! Czart! — wołali drudzy.

— Miśniakowski! To Miśniakowski! — krzyčeli ze zdumieniem inni.

W istocie on to był, ale zmieniony całkiem. Nawet wówczas, gdy Hanusię zemdloną unosił zpośród stada rozżartych pogonią wilków, nie było w nim tak bezmiernego strachu i gniewu. Teraz biegł jakby w zapamiętaniu, kroki swe krwią znacząc, aż stanął we drzwiach starościńskiej sypialni i przez rozdzierającą się przed
W zaklętem zamczysku II.

nim ludzką falą ujrzał straszną scenę przy łożu Turobojskiego.

— Stój! — ryknął nieludzkim głosem.

Szable zawisły w powietrzu nieruchome, a z rąk napastników wyslizgnęło się bezwładne ciało dziewczyny i opadło ciężko na ziemię. Ci, co ją sobie wydzielali, nie ruszyli się z miejsca, osłupieni, z oczyma wlepionymi w strasznego męża, który zbliżał się do nich z podniesionym mieczem. On zaś szedł do nich wolniejszym już krokiem, przesywając ich stalową żrenicą, szedł, jako idzie przeznaczenie. Stał wreszcie i miecz podniósł nad ich głowami, a oni, jak urzeczeni, nie poruszali się, ani próbowali schronić przed nim. Wtedy miecz opuścił do połowy i krzyknął wielkim głosem, żeby się bronili. Oni jakby mechanicznym ruchem szable podnieśli ponad głowami, zasłaniając je, ale błyskawica nie rozświetli tak szybko czarnego płaszcza nocy złocistym zygakiem, jako on mdłe one zapory jednym kolistym ruchem szabli odtrącił, a potem wzniosłszy oręż wyżej, dał parę strasznych ciosów, po których obok Hanusinego inne ciężkie ciała opuściły się na dół. Potem ciało dziewczyny podniósł i ostrożnie złożył w poręczowym krześle starosty, przy którym, podtrzymując omdlałą, przyklęła stara piastunka. Wtedy zwrócił się ku łożu, przy którym, jak psy na uwięzi, stali wciąż napastnicy, trzymając szable podniesione, ale nie opuszczając ich dla śmiertelnego ciosu.

— Szable do pochew! — rozkazał krótko. — I wszyscy ichmościowie precz stąd! Ten człowiek do mnie należy! Wara go tknąć!

Nikt nie zaprotestował. Szlachta, opuściwszy głowy i pochowawszy oręż, rozplynęła się zwolna i cicho, dążąc ku dolnym komnatom, w których spodziewała się znaleźć łup nowy. W izbie zostało kilku poważniejszych i bliższych pana Kazimierza. On przedewszystkiem zajął się zemdloną panią, którą Todoska darmo próbowała otrzeźwić, trzymając w objęciach i okrywając pieścotami i łzami. Rotmistrz huknął na służbę zamkową, i jakby na czarodziejskie zaklęcie wyrósł gdzieś z pod ziemi cyrulik Szmul, a wraz z nim z jakiejś kryjówki pojawiły się dwie dziewczki garderobiane. Panią ułożono na poduszkach, poczęto rozcierać i wodą opryskiwać, aż odzyskała przytomność i ze słabym okrzykiem wyciągnęła dłonie do pochylonego nad nią rycerza.

— Pan Kazimierz! — szepnęła, a uśmiech radosny opromienił jej wybladłą twarzyczkę. — To pan mnie wydarł tym niedobrym ludziom, prawda?

— Bóg cię ocalił, dziecko drogie! — odparł z pobożnym przekonaniem rotmistrz.

— To pan i tatusiowi nie da zrobić krzywdy? Nie da pan, prawda?

— Włos mu z głowy nie spadnie, pókim tu żyw! — zapewnił rycerz.

— Bógże ci zapłaci!

I, mówiąc te słowa, pochyliła ku niemu złotą główkę i zanim mógł jej przeszkodzić, przytknęła usta do jego dłoni.

— Dajże waćpanna pokój! Co czynisz? — ofuknął ją skonfundowany Miśniakowski.

Ale i ona zawstydziła się postępku, na które tyle oczu obcych patrzyło, wnet podniosła się z posłania i, objaw szy za szyję piastunkę, zwróciła się ku drzwiom.

— To już pójdę, — szepnęła z zakłopotaniem. — A tatusia waćpanu ostawiam i nie będę o niego nic się trwożyć, nic a nic! Bo waćpan go obronisz!

Rycerz jej nie wstrzymywał, poleciwszy jeno Todo- sce, by wszystkie wejścia do panińskiej komnaty zawarła dobrze i mocno zabezpieczyła, krom tego jednego, które wiodło do sypialni starosty, potem zaś zajął się ratowaniem bernardyna, który leżał w kącie bez czucia i mimo krzątania się koło mego pozostałej w izbie szlachty, nie powracał do siebie. I tym razem jednak interwencja Szmula okazała się skuteczną nawet bez puszczenia krwi, do czego Żyd miał wprawdzie wielką ochotę, ale dla braku czasu i narzędzi musiał to odłożyć i starego księdza otrzeźwiać, jak panienkę, rozcieraniem i wodą. Gdy mnich już zupełnie przyszedł do siebie, przyjaciele zwrócili się do pana Kazimierza i jęli go jeden po drugim brać w ramiona.

— Z nieba nam spadłeś! — wołał Deręgiewicz. — Strach pomyśleć, coby się stało, gdybyś spóźnił się o niewiele pacierzy. Toż dziewczeczki o mało na kawałki nie porwali, ciągnąc ją każdy ku sobie, a starego byliby zarabali konającego, na wieczną hańbę nam wszystkim!

— Bóg łaskaw — westchnął młody rycerz — i póki żywota, póty mojej wdzięczności i modlitwy.

— Skądżeś się wziął jednak? — zagadnął pan Harkosiej. — Boć to wiem wprawdzie, że Walek do ciebie śpieszył, ale nie mógł przecież w tak krótkim czasie nawet dojechać do Horodyszczu, temci bardziej sprowadzić cię tutaj.

— Nie Walek mnie też tu sprowadził, choć napotkałem go tam, gdzie było zapowiedziano, że będzie i gdzie mi obecność jego znaczną oddała usługę, bo bez niego nie byłbym w czas trafił do tej izby w tem ogrom- nem zamczysku.

— Któż cię więc uprzedził? Ozy może bez uprzedzenia przybyłeś?

— Przeczucie złe miałem, ale pewniebym ostał się w domu pomimo tego, bom nie chciałem w sprawie tej rąk maczać, ale ostrzeżenie otrzymałem.

— Od kogóż, na Boga?!

Rotmistrz popatrzył przez chwilę na pytającego Deręgiewicza, nic nie odpowiadając.

— Kto ostrzegł, to ostrzegł — odrzekł wreszcie wymijająco. — Nie czas teraz o tem gadać. Może kiedyś... Ale satis! Powiedzcież wy mi teraz, jakeście to mogli dopuścić do tego, co się stało? Bo że na zajazdach nie obywa się bez rozgardjaszu i warcholstwa, o tem wszyscy wiemy, ale tego, co tu się stało, nie oczekiwałem. Walek mówił mi po drodze, że waszmość, panie Błażeju, obrany byłeś przez szlachtę na wodza?

— At, za moje ciężkie grzechy! — odparł, ociągając się i z bardzo rzadką miną Jarosiński—Co prawda, wolałbym kozactwu, ba nawet i świniom być atamanem, niż takim opojom i swawolnikom, którzy od pierwszej chwili ni komendy, ni perswazji nie chcieli słuchać.

i tylko każdy w pojedynkę leciał łup brać, niszcząc, czego nie mógł zrabować, i wszelką rozpustę płodząc. Sodoma, mówię, Sodoma i nic więcej!

— Sodoma to była, concedo, ale któż to Sodomie tej winien, jeśli nie waszmość? — przerwał jego żale Harkosiej, który, choć wielce dobroduszny z natury, nits- łącno w zawziętości folgował, gdy mu coś raz dopiekło do żywego. — Któż to szlachtę zbałamucił i narzucił się jej na wodza?

— Brzechwa wszczął tumult, nie ja! — tłumaczył się mały szlachcic, któremu jakoś zabrakło argumentów, choć niemi zazwyczaj sypał, jak z rękawa.

— Brzechwa wszczął tumult, ale Brzechwa nie byłby niczego dokonał, bo to zwykły krzykacz i swawol - nik, z którym dalibyśmy rady — odezwał się Deręgiewicz. — Waćpan co innego! Brzechwa jeno krzyczał, a waćpan perorowałeś, jako Cycero!

— Na gębę to on rycerz, — szkoda jeno, że gęb.*! wojska nie prowadzić! — mruknął ktoś ze szlachty.

— Gęba wyparzona nie luubi z rozumem komitywy trzymać — dorzucił zgryźliwie Harkosiej.

Jarosiński nasrożył się i chciał już coś odburknąć o pobożnem cielęciu, któremu wyrosły rogi, nie mógł jednak jakoś konceptu wykrztusić przez ściśnięte gar dło, wołał tedy udać, że nie słyszy, zwłaszcza, że pan Bartłomiej, człowiek dobrego serca i małej zawziętości, pośpieszył mu na pomoc, upominając, by zaprzestać próżnych rekryminacyj i podać sobie dłonie do współ nej roboty. A roboty było wiele, bo zamek był wprawdzie w ręku szlachty, ale szlachta była pijana i do Bóg wie jakich ekscesów skłonna, a z dolnego dziedzińca i krużganków dochodziły nieludzkie ryki, dowodzące dobrej myśli panów braci.

H.

POJEDYNEK.

Młody Turobojski wjechał na Maksymowy futor, powracając z wycieczki na Sicz nazajutrz po od. jeździe stamtąd Miśniakowskiego. Piękna wiedźma wpadła mu w oko, ale to, czego się dowiedział w futorze o proszczalnikach i pańskiej detynie, przybyłej tam pod ich osłoną, a następnie, jak wieść już doszła do futoru, odebranej i uwieszonej przez lackiego rycerza, wprawiło go w taką wściekłość, że na razie zapomniał o wszystkim, prócz o owej dzieweczce, w której domyślił się Hanusi, i pognął na złamanie karku śladem Miśniakowskiego. Dokonawszy jednak pomsty nad tym, w którym widział uwodziciela stryjecznej swej i odwiózłszy ją do Łazunia, przypomniał sobie, co zostawił poza sobą, i chwilowa żądza powróciła wnet, kłując go ze zdwojoną siłą. Że zaś u młodego pana każdej zachiance musiało towarzyszyć jako piorun szybkie zniszczenie jej, więc i tym razem, nie namyślając się długo, posłał do Maksymowego futoru oddział swoich semenów, którzy sprawili się chwacko, bo Artema i pa

robków, broniących rozpaczliwie dziewczyny, poranili mniej lub więcej ciężko, starego dida, rzuciwszy nim o ziemię, ubili na miejscu, chatę zaś i całe obejście puścili z dymem, zabrawszy przedtem do podróży juków to wszystko, co im się zdało cenniejszym łupem. Trzy dni po wysłaniu z Perehińska oddział semenów był już z powrotem, a piękna branka próbowała nożem bronić się nienawistnemu zalotnikowi i za krzywdę swą mu odemścić. Udało się jej zgnąć Szczepanka i siebie samą, ale siły niewieście zawiodły i, choć z przewiazaną raną, perehiński władyka mógł triumfować nad swą ofiarą, pastwiąc się nad nią zarówno wstrętnymi pieszczotami, jak i okrutnym znęcaniem się.

Parę miesięcy zostawała już Motra w tej haniebnej niewoli, gdy jednej nocy po pijanemu Szczepanek pochwalił się nią Nawizenemu i kazał jej przyjść do biesiadnej komnaty śpiewać i tańczyć dla uciechy gości. Watażka na widok jej spłonął cały i oczu już nie mógł od dziewczyny oderwać. Co potem między nimi zaszło, z porozumieniem li z nią, czy bez porozumienia i zgody, dość, że w czas jakiś potem urocza wiedźma znikła z perehińskiego zameczku ku nieopisanemu wściekłości Szczepanka, który wprost szalał za nią, kazał do pół śmierci albo też i na śmierć zasieć różgami tych ze służby, którzy mieli zlecenie jej pilnować, przetrząsnął do cna całą okolicę, ale już dziewczyny nie odnalazł. I nietylko nie odnalazł jej, ale utracona dziewczka stała się kością niezgody między nim a stryjem i przyjacielem. Wiedział dobrze, że łupieżcą jego skarbu nie mógł być nikt, prócz Jurka. Nie miał wprawdzie żadnych poszlak, bo chytry

kozak umiał dobrze zacierać swoje ślady, ale któżby inny śmiał i potrafił sięgnąć po zdobycz perehińskiego pana? Do starosty zaś, który dotąd tylko ogólnikowo wiedział o hulaszczym życiu synowca, doszły teraz z różnych stron wieści o gwałcie, wszczętym przezeń z powodu wykradzenia mu umiłowanej branki, i wzburzyły starego władkę tak silnie, że osypał Szczepana przy pierwszym jego pojawieniu się w Łazuniu gradem piekących wyrzutów, wywołując tem nieopisane przez ojca Symforjana zajście, targnięcie się rozszałego młodzieńca na osobę stryja i nieudaną próbę owładnięcia Łazuniem.

Z Jurkiem do podobnego starcia nie doszło. Choć Szczepana nie bez słuszności przezywał lud okoliczny psem wściekłym, było jednak w tej pierwotnej, przez dziki step wyhodowanej duszy niemało z chytrej przebiegłości lisa. Zuchwały do szaleństwa, gotów w razie potrzeby zawsze stawić czoło najgroźniejszemu niebezpieczeństwu, młody Turobojski nie lubił jednak rzucać się głową naprzód w oczywistą zgubę. Rad rzucał kości, których stawką było życie, ale nie tam, gdzie naprzód pewien był przegranej. Czuł to zaś dobrze, że łatwiej mu królować na wszystkich gościńcach województwa i postrach rzucać na wszystkich okoliczną szlachtę, a choćby i na każdego z podobnych władków, jakim był sam, drwiąc z prawa i trybunalskich wyroków, niż zadrzeć z takim na wszystko gotowym straceńcem, jakim był Nawizeny.

Bo Nawizenego znał młody Turobojski, jako własną duszę, i dlatego właśnie dusza jego przylgnęła do tego

człowieka, że był takim. Sam dziki i rozuzdany, jak wichher stepowy, kochał się w tej naturze, nieznałej hamulca, gwałtownej jak piorun, a szerokiej jak naddnieprzańskie równie.

A jednak dwie te natury, napozór tak do siebie zbliżone, w moralnej swej istocie różniły się znacznie jedna od drugiej. Pan na Perehińsku był typowym okazem współczesnego mu spaczenia i zwyrodnienia pewnej części szlachty i możnowładców: na zgniliznie rozkładającego się organizmu wyrastały wówczas coraz częściej i bujniej takie grzyby trujące, których prawem do bytu i siłą była ogólna słabość. Watażka, przeciwnie, był jak burzan stepowy, tęgi, krasny, pełen soków żywotnych. Z bujnej, pługiem nietkniętej ziemi wyrósł, niewiadomo jak i kiedy, górując nad zielonym tłumem traw i oczeretów, im na zazdrość, stepowi napodziw, i kwitł sobie w kąpieli powietrza i słońca, wiatrem jeno i własnym kołysany kaprysem taki, jakim kwitł już niejeden podobny na tem samem miejscu hen przed wiekami, nim stopa pierwszego człowieka dotknęła ziemi.

Takimi byli ci dwaj przyjaciele, których jedna kosa dziewczęca poczynała zamieniać na wrogów.

Szczepan Turobojski nie napróżno głosił załodze La- ztlńskiego zamku, że rychło powróci. Spotkawszy się z niespodzianym oporem załogi, cofnął się, ale na to tylko, by lepiej skoczyć. Nie odprowadzał też drużyny swojej do PeTehińska, jeno zapadł w chaszczę i gęstwie leśne z przeciwnej strony tych, w których zbierała się do najazdu szlachta. Wymiarkowawszy, że dość już minęło czasu dla uspokojenia się załogi i zwolnienia czujności, podpełził cicho, jak to czynili Tatarzy, i począł siły swoje gromadzić przy bramach.

Wówczas jednak uderzyło go, że zamiast zwykłej ciszy, panującej na zamku od czasu zachorzenia starosty, od strony wewnętrznych murów dochodziły jakieś hałasy, ochryple dźwięki pijackich piosenek i szcęk żelaza.

Turobojski stropił się. Byłże to ów najazd, o którego przygotowaniu doszły go wieści? Trzeba było sprawdzić przed dostaniem się do wnętrza. Ale jak?

Cześnikowicz nie miał czasu zastanawiać się nad odpowiedzią na to pytanie, bo w tejże chwili nadbiegł pacholek z dziwnie brzmiącym oznajmieniem.

Żelazem okute wrota w przeciwnej stronie wału były otwarte i most przy nich opuszczony.

— Zasadzka jakaś, czy co? — pomyślał Turobojski i posłał kilku, co najroztropniejszych semenów, by oba- czyli, co się dzieje wewnątrz zamku. Że jednak serce miał mężne, a cierpliwości brakło mu zgoła, nie czekał na ich powrót i relacje i rzucił się sam w otwarte podwoje, rozkazawszy żołnierzom swoim postępować cicho za sobą.

Pierwszy mały dziedzińczyk był pusty, ale na wstępie do środkowego krużganku znalazł Cześnikowicz rozwiązanie zagadki. Na schodach popadało z niedopi- temi gąsiorami w rękach pół tuzina szlachty, i gdzie który, pośliznąwszy się, legł, tam go i sen zmorzył. Leżeli tedy w najdziwaczniejszych pozycjach, oblani wi

nem, umazani błotem, sapiąc głośno i bełkocąc przez sen urywki pijackich piosenek, łajań i przekleństw. W górze na krużganku widać było inne, pijanym snem obezwładnione ofiary walecznych zapasów z Bachusem. Młody pan szedł zwolna, rozglądając się uważnie dokoła siebie, przestępując leżących i kopiąc ich ciężkim rajtarskim butem po drodze, a radując się ich upodleniu, bo teraz rozumiał już wszystko, co stało się od paru godzin na Łazuńskim zamku, i wiedział, że ten najazd zwrócony był przeciw starości, ale zwrócony był i przeciw niemu, i że ten motłoch szlachecki, walający się u jego nóg w prochu i znikczemnieniu, to był zastęp małych, ale mnogich i nienawistnych wrogów, którzy ośmielili się na ród możnych i sławnych władków podnieść świętokradzki oręż i o mało nie osiągnęli celu. Bo choć wyprawę swą poprowadzili gorzej od żaków, wybierających się na żydów po kozubalec, udało im się przecie opanować warowny i obronny zamek, którego darmo dobywały hordy tatarskie i kozackie watahy, a choć bramy zostawili otworem, popiwszy się, jak bydłeta, rankiem przecie, przyszedłszy do siebie, byliby je zawarli i straż postawili na murach, a wtedy kto wie, czy i do spółki z Nawizenym udałoby się wziąć Łazunia, a z Łazuniem odzyskać Hanusię...

Na tę myśl szal ogarnął Szczepana Turobojskiego, i chwycił się za gardło, zaczerpując oddechu, i niedość mu już było obcasem uderzać o łby szlacheckie, ale ostrogą pruć im i krwią ciepłą zalewał oblicza, i głów nią miecza rozbił im czaszki, a oni, zbudzeni strasznym bólem z ciężkiego snu, myśleli zrazu, ospale podnosząc głowy, że to zmora senna ich trapi, ale wnet, po nowym, śmiertelnym ugodzeniu ciosem, otwierali szeroko usta w charkotliwym, przerażonym okrzyku i, rozkrzyżowawszy ramiona, padali nawznak w kałuży krwi własnej, a okrutny żniwiarz śmierci mijał ich, by krok dalej nowym śmiertelnym ciosem inną duszę wyłuskać z cielesnej powłoki i nieprzygotowaną posłać na sąd Boży. Niedługo jednak sprzykrzyło mu się ono nierycerskie bezbronnych katowanie: zapragnął mieć przed sobą godniejszy cel dla wywarcia na nim swego gniewu, rozglądać się więc począł za tymi, których jeszcze nie otumanilo wino.

Nietrudno było ich znaleźć: na krużgankach snuła się moc szlachty, dolne izby wciąż jeszcze rabowała czeladź. Na tamtych rzucił część swych zabijaków, jako myśliwiec, za grubszą uganiający się zwierzyną, puszcza ogary na przebiegającego mu drogę szaraka, lub lisa; na szlachtę sam się rzucił z podniesionym w górę mieczem. I prędzej jastrząb nie opuszcza się na podstawiającą mu dziób czaplę i kot, zacajony przy szczelinie, nie chwytą w biegu wysuwających się z niej myszy, jak młody Turobojski wsiadł na karki niespodziewających się niczego szlachciców, którzy spostrzegli niebezpieczeństwo wtedy dopiero, gdy płaszcz swój czarny rzuciła na ich oblicza śmierć. Zdumieni, przerażeni, ginęli bez jęku ni obrony, i Szczepan znów tak'e same, jako przed chwilą, jatki sprawiał, rąbiąc mdłe i bezoporne ciała ludzi przytomnych, jak rąbał przedtem pijanych. Więc znudzony, puścił szablę na rapcie i, wydobywszy króciwę, huknął w nową z głębi

krużganka nadbiegającą kupę, a wystrzałowi jego odpowiedziało wnet kilkadziesiąt innych: to oddział dawał salwy za pańskim przykładem.

Ale zdawać się mogło, że niema przeciw komu podnosić oręża, bo nikt się nie bronił. I, już poniechawszy niepotrzebnej rzezi, Szczepanowe żoldactwo wzięło się do wiązania wszystkiej szlachty, jaka mu w ręce wpadła, kiedy naraz z narożnej części gmachu, w której znajdowała się starościńska komnata, wybiegło kilku zbrojnych mężów z podniesioną do góry palną i sieczną bronią i głośnym okrzykiem:

— W nich! Bij, zabij!

Huknął dziesiątek strzałów, w szeregach napastników rozległy się jęki, i kiedy dym się rozwiął, kilka ciał leżało na ziemi dokoła pana Turobojskiego, jemu samemu zaś kula przeleciała tak blisko twarzy, że mu osmalila z jednej strony szczeciniasty wąs.

Szczepan ryknął, jak tur, ugodzony strzałą w nie- okryte kudłami podgardle, i skoczył naprzód z wyciągniętą szablą, siekąc nią naoślep. Nacisk jego i wściekłość były tak silne, że w nadbiegającej kupie uczynił się wyłom, w który szalejący zapaśnik wpadł, jako łódź rybacka wpada podczas burzy w głąb otworu uczynionego w wodzie przez cofające się fale. Zniknął, przykryty ruchomą falą ludzką, potem znów wypłynął i znów się pogrążył, jako suseł, gdy wpadnie w mrowisko raz po raz próbuje wydobyć się z niego i już śpiczasty łebek wychyli, i już chce się z zasadzki wyślizgnąć, ale wnet głębiej zapada w miękką ziemię i rój drobniotkich wrogów go ogarnia, aż wreszcie zniemożony pogrąży się w głąb i ginie. Tymczasem jednak w pomoc panu poskoczyli żołnierze, idący jego śladami, i przez dłuższą chwilę zakotłowała się ogólna, zacięta bitwa, na którą szary brzask wiosennego poranka rzucał nikłe swe i niepewne światło.

Szlachty pod wodzą Deręgiewicza było tylko kilku, Szczepankowych przybywało z każdą chwilą więcej. Teraz już nie był to jeden nurek, rzucający się w toń i pokryty falą, ale kilku nieszczęśników, wyczerpanych walką nierówną i zmożonych przemocą, o których ktoś zbofcu patrzący mógł sobie powiedzieć, że może jeszcze przetrwają pięć pacierzy, a może nie wytrzymają i tyle.

Szczepan wyskoczył teraz z ukropu, nie żeby ręki żałował lub łba podstawić nie chciał, ale dlatego, że mu myśl nowa strzeliła do głowy i owładnęła w mgnieniu oka jego jestestwem.

— Gdzie Miśniakowski? — ryknął. — Sam tu Mi- śniakowskiego! Musi tu gdzieś być!

Ludzie jego rzucili się do więźniów, wypytując ich pośpiesznie wśród razów, ale nikt z pytanych nie widział rotmistrza; paru słyszało owszem, że nie brał udziału w zajeździe.

— Nie może być! — wrzasnął Szczepan. — Kryć go muszą. Gdzie starościńscy?

Ale starościńskich nie było ani śladu, a Miśniakowakiego nikt istotnie nie widział z tych, których o niego pytano, ci zaś, co go widzieli, znajdowali się w tej chwili w najcięższych opałach, osaczeni ze wszystkich stron i przyparci do korytarzowego muru. Teraz jednak

właśnie miała spaść dla nich chwilowa przynajmniej po moc, jakoby z nieba, tyle, by mogli nabrać sił i odde- ehu. Oto bowiem, jako przed godziną na szlachtę, gotującą śmierć bezbronnemu staroście a hańbę jego dziecku, tak teraz na Szczepankowych siepaczy wpadł nagle ten sam mąż nadludzkiej niemal mocy i tak samo, jak wówczas, miecz jego w okamgnieniu oczyścił mu drogę i rozpędził napastników. Jak wówczas też, rozebrzmiały z różnych stjon na jego widok okrzyki, jedne przepelnione trwogą, inne zaś nadzieją:

— Miśniakowski! Miśniakowski

— Miśniakowski! — krzyknął z dziką radością Szczepan. — Dawać go tu! Mam cię, zbój! Do mnie! Nie umkniesz i nie wykręcisz mi się sianem, jako pierwszym razem!

I przyskoczył do niego z podniesionym mieczem.

— Tyś zbój, nie ja, bo ja po gościńcach nie napadam, — odrzekł mu rotmistrz, zasłaniając się szablą przed jego wściekłym natarciem tak spokojnie, jakoby oganiał natrętne muchy. — A umykać ci nie będę, jeno, jeśliś szlachcic, każ tamtym odstąpić i niech między nami Bóg rozstrzyga, kto praw.

Rycerskie pojęcia o rozprawie orężnej w pojedynkę tak były powszechne, że nawet dziki panek z Perehiń- ska liczył się z niemi. Miał też taką nienawiść do Miśniakowskiego, że za mało mu było widzieć jego zgubę z cudzej ręki: chciał mu sam zadać cios śmiertelny. Krzyknął więc na swoich żołnierzy, by cofnęli się, i rozkaz ten ocalił żywot przyjaciołom pana Kazimierza, którzy już ostatnich sił dobywali, broniąc się przeciw dzie- sięćkroć liczniejszemu napastnikowi. A między Mi- śniakowskim i Turobojskim zawrzał bój na śmierć i życie.

' Krużganek, na którym toczyła się walka, był tak szeroki, jak kościelna nawa, miejsca więc nie brakowało. Zarówno Szczepankowi żołnierze, jak napierana przez nich garść szlachty, otoczyli kołem obu zapaśników, jak gdzie który stał, swój o ramię z cudzym, i złożony oręż, patrzyli z zapartym oddechem na mężów, nacierających na siebie w środku koliska. Każdy rozumiał, że z walki tej jeden tylko z zapaśników może żyw wyjść, jeśli w niej oba nie legną. Więc przedewszyst- kiem szukali wszyscy, Szczepankom i Miśniakowscy, który z zapaśników okazuje więcej siły i zręczności, któremu patrzy się wiktoria, a któremu mary. Ale już po kilku złożeniach się każdy poznał, że pierwszeństwo niełatwo przyznać i horoskopów niepodobna stawiać, bo przymioty obu mężów, acz odmienne, równoważyły się między sobą.

Turobojski, mniejszy wzrostem, szybki i obrotny w ruchach, przytem niepowstrzymanie zaciekły i zuchwały, na tarczy wszym był od swego adwersarza, gwałtowniejszym, bardziej niespodzianym w ciosach, groźniejszym w swej furji i zapamiętaniu. Szabla mu w ręku latała jak błyskawica. Przerzucał ją z jednej w drugą dłoń, zadawał najniespodziewańsze ciosy, okrążał przeciwnika tęczą migotliwej stali i jakoby wirem razów, a wir ów, którego środkiem była głowa przeciwnika, miał w sobie coś djabelskiego i najmężniejszemu mógl zmiękczyć serce, najwytrawniejszego wywieść

W żakietem zamczysku, 11.

z równowagi. Uczyli go tej sztuki kozacy na Nizu, ale dziś przewyższał mistrzów. Zaprawdę straszny to był gracz w orężnej szermierce i niedarmo sławą jego brzmiał step od Łucka i Owrucza po Korsuń i Czehryń, a Sicz uważała go za brata.

Jeden tylko w szermierce Turobojskiego był niedostatek, ale niedostatek ów równoważył w części znakomite zalety jego oręża. Bo ten szermierz tak przedziwnie sprawny przypominał wprawdzie szerszenia szybkością ruchów i zjadliwością ukąszeń, ale miał też w sobie niemało z rozjuszonego byka, który z nadmiaru wściekłości traci rozswagę i świadomość i, podrażniony czerwoną płachtą, bieży naoślep ku zgubie.

Tę jakoby achillesową piętę Turobojskiego rozpoznał od pierwszej chwili pan Kazimierz i zrozumiał, że w niej tkwi dlań droga do osiągnięcia przewagi. Z rotmistrza był szermierz nielada, wyćwiczony w mnogich pochodach wojennych i mało co nie stu potyczkach, a rękę mu układali spokojniejszemi czasy w obozie co najprzedniejsi fecht mistrze z jego chorągwi a i z sąsiednich, bo młodego Miśniakowskiego lubiono powszechnie i każdy rad mu usłużył. Był to więc mimo młodego wieku gracz wytrawny i na wszystkie strony kuty, mniej wprawdzie od Turobojskiego sprawny i nie wszystkich kozackich sztuczek, jako ów, świadom, ale zato tyle spokojny, ile tamten był niecierpliwy, więc też snadniej mógł błędy, popełniane przez nieopatrzego adwersarza, wyzyskać i wybrać porę do zadania rozstrzygającego ciosu.

Nielatwo mu jednak było zdzierzeć Szczepankowi zaraz w pierwszym impecie jego natarcia. Zastawiał się jeno i tyle miał z tem trudu, tak musiał natężyć swą bacność, by odparować każde z cięć, spadających nań z błyskawiczną szybkością i piorunową mocą ze wszystkich stron naraz, że mimo chłodnego ranka pot uperlił mu czoło i gorące wypieki wystąpiły na bladą przedtem twarz. Nie był też w stanie dotrzymać kroku zapalczywemu przeciwnikowi i cofał się przed nim, aż wreszcie Turobojski przyparł go do ściany.

Widząc to, siepacze Szczepankowi poczęli wołać z uciechą, że pańska szabla górą i że jeszcze parę pacierzy, a rotmistrz legnie u stóp Turobojskiego. A przyjaciele pana Kazimierza zasmucili się w sercach swoich, szepcząc jeden drugiemu w ucho, że wnet będzie po nim Ale Deręgiewicz dodawał im otuchy.

— Nie znacie jego ręki, — mówił — a ja znam. I to jedno wam powiem, że to dopiero początek, a do końca daleko. Nie neguję, że z tym opryskiem trudna rada i napoci się z nim pan Kazimierz niemało, ale du- fam, że mu przeciw dosto, a choćby, czego Boże broń, uległ, to chyba po długiej i srożej potyczce. A że się cofa, to po części dla impetu i siły Szczepankowej, ale też i dlatego, że chce siłę ową i modum procedendi adwersarza wypatrzeć i dać mu się wyekspensować na próżne machanie, aż wreszcie tamten wyczerpie się i zmorduje, a on stanie do gry dziarski, jak panna do tańca.

Słowa pana Bartłomieja spływały, jak oliwa, do zranionych serc jego towarzyszy i jako słodki miód smakowała im ta pociecha. A potrzebowali jej wielce, byli

bowiem jako lis w potrzasku, a rozprawa, której przyglądali się z takim zainteresowaniem, była jedynie chwilową przerwą własnej ich walki o życie, walki, której bezowocność aż nadto rzucała się im w oczy. A jednak takie było u ludzi owej epoki zamiłowanie w straszliwej grze, której stawkę stanowiło życie, że i ci skazańcy, którzy własną już utracili stawkę, wkładali teraz duszę całą w hazard o los cudzy.

Ale przepowiednie pana Bartłomieja nie sprawdzały się. Mogło się owszem zdawać, że niedługo już siły opuszczą rotmistrza, podczas gdy Szczepan kręcił się, skakał, rąbał niezmordowanie i nie zdradzał najmniejszego znużenia. Miśniakowski zastawiał się sprawnie, ale nieco ociężałej, niż z początku. Oddychał też ciężko, a oczy miał jakby mgłą przysłonięte, podczas, gdy Szczepankowi wzrok świecił, jak nocą u kota.

Deręgiewicz zdumiał się i zafrasował-

— Fatygi przyśpieszonej jazdy z Horodyszczka tak go zmogły, czy irytacja? — mruzczał do siebie. — Ależ to do niego zgoła niepodobne! Nie było nadeń wytrwał- szego w całej kompanji!

Szlachta zwiesiła głowy i odwracała oczy, by nie patrzeć na padającego komilitona, a Szczepankowi wyszczerzali zęby i uderzali w dłonie, wyjąc z dzikiej uciechy. On jednak nie padał jeszcze i bronił się wciąż, ale walka była nierówna i przewaga Turobojskiego widoczna, więc żaloszny dla przyjaciół pana Kazimierza wynik zapasów zdawał się już tylko kwestją dłuższego lub krótszego czasu.

Wtem zaszedł incydent, który zapasom tym nadal obrót nowy.

W otwartych drzwiach starościńskiej sypialni na końcu długiego krużganka ukazała się niewieścia postać, wyciągająca ku walczącym dłonie. Była to Hanusia. W biegu wstrzymali ją Jarosiński i Todoska; ona wrywała się im z taką siłą, że ledwo mogli owładnąć ją o tyle, by jej nie dać wydostać się na krużganek, nie byli jednak widocznie w stanie wciągnąć ją nazad do komnaty i drzwi za nią zatrasnąć. Ona zaś patrzyła na bitwę z szeroko rozwartymi żrenicami, i słowa zamierały jej widocznie na wargach z nadmiernego przerażenia. W ściśniętej kupie, otaczającej zapaśników, nie dostrzegł sceny tej nikt. Tylko pan Kazimierz, oparty o przeciwległą ścianę, wpił się roziskrzonymi naraz oczyma w przerażone oczy panienki i aż zatrzęsł się cały, tak do głębi przejął go ten widok.

— Drżysz, tchórze? — ryknął Szczepanek, błyskając białymi kłami, jak wilk, i zamachnął się do druzgocą, cego ciosu.

Ale rotmistrz w tej chwili stał się jakby innym czło wiekiem. Czy siły mu przybrało, czy rozpacz nagła chwyciła go za gardło i podnieciła fantazję, dość, że nagle z całkiem odmienną niż dotąd determinacją rzucił się naprzód tak niespodzianie, że miecz Szczepanka ugodził w próżnię i od muru się odbił, on zaś sam zachwiał się na nogach, pchnięty głową w brzuch przez Miśniakowskiego i równocześnie uczył, że mu coś ciepłego zalewa jedną połowę twarzy. To Miśniakowski rąbnął go na odlew w ucho, używszy dla wyslizgnięcia

mu się jednej z tych kozackich sztuczek, w których Turobojski tak był biegły.

— Zdrajco! — wrzasnął Szczepanek. — Myślałeś wziąć mnie podstępem? Niedoczekanie twoje! Masz! Masz!

I zacieklej jeszcze, niż wprzód, natarł na niego i spróbował pchnąć go nazad ku ścianie.

Ale Miśniakowski wyzyskał już pierwszą swą przewagę i zamiast dać się na dawne miejsce odtrącić, uskoczył w bok i ciął tak silnie przez łeb perehińskiego panka, że ów, mimo całego swego animuszu, wściekłości i rozpaczliwych wysiłków, musiał się cofnąć. Miśniakowski następował na niego w dalszym ciągu, on pieniał się, miotał, ryczał, jak żubr, strzałą przeszyty, i plwał tak strasznymi bluźnierstwami, żeby ich i sam Belzebub nie powstydził się, ale ustępować musiał. Wreszcie jako wprzód Miśniakowski przyparty był do ściany, tak teraz on oparł się plecyma o kamienną balustradę, przeciwległą ścianie i okalającą z zewnątrz krużganek

I teraz dopiero okazała się wyższość wytrzymałości horodyskiego pana. Z początku musiał on mocno się wycęzać, by sprostać szalonej szybkości ruchów swego przeciwnika, w miarę jednak, jak bój posuwał się naprzód, rotmistrz zdawał się chłódnać, uspokajać się i sił nabierać. TeTaz już nie chwycił w płuca oddechu i znój nie zalewał mu czoła, a z oczu mgła rozwiała się. i stały się oczy te twarde i chłodne jak stal, a zarazem iskrami płonące jakoby z jakichś daleko w głębi duszy ukrytych ognisk. I już dłoń jego nie zasłaniała się tylko przeciw napastliwym młyncom Szczepankowej szabli, ale nastawała wciąż, nie tak zwinnie, jak wprzód tamta, ale zato pewniej i groźniej, upatrując jeno chwili, w której zbyt zapalczywy przeciwnik odkryje się i wolną drogę zostawi morderczemu żelazu.

I znów nowe ciosy raziły Szczepana i z trzech ran zdroje krwi poczęły mu uchodzić, okrywając ciało jego i odzież wielkimi plamami krasnej wilgoci, i już szlachta raz po raz podnosiła okrzyki triumfu, a wŚTÓd Szczepankowych rozlegały się coraz to głośniejsze i dziksze przekleństwa do wtóru miotanym przez pana bezceństwom, kiedy naraz nastąpiła w losach bitwy nowa odmiana.

Nie wszyscy ze Szczepankowych klęli i zgrzytali gło. śno zębami: byli i tacy, co milczeli, nasunawszy brwi i porozumiewając się oczyma. Z tych ostatnich dwóch wysunęło się nieznacznie z koła, otaczającego walczących i jakby gorętszą ciekawością wiedzeni, przybliżyli się nieco ku rotmistrzowi. Przez chwilę poruszali się wpobliżu, śledząc jego ruchy i cięcia, wreszcie, zamieniwszy błyskawiczne spojrzenie, rzucili się obaj na Miśniakowskiego i ugodzili go, jeden z boku szablą po podniesionej do ciosu ręce, drugi z tyłu, pchnięciem krótkiego noża w kark. Młodzieniec krzyknął, obrócił się i jednym silnym ciosem obalił na ziemię tego, który go zranił nożem, potem zamachnął się na drugiego, który, dokonawszy zdradzieckiego czynu, salwował się ucieczką między tłum tak szybko, że go jeno po grzbiecie dosięgnął! koniec ostrza rotmistrzowej szabli. Ale ledwo słusznej pomsty na zdrajcach dokonał, krew poczęła zeń uchodzić i zachwiał się na nogach, a w tej

chwili Turobojski wyskoczył mu z poza pleców i z całej siły rąbnął go w głowę. Miecz jednak ześlizgnął się po hełmie, który pan Kazimierz miał na głowie i, spadając z osłabionym już impetem, ugodził go w ramię. Rotmistrz byłby pewnie cios ten wytrzymał i silniejszym odparował, gdyby go nie osłabiły rany. I teraz jednak próbował natrzeć na przeciwnika i rzucił się naprzód, podnosząc z wysiłkiem szablę, ale nie był już w stanie uderzyć. Zatrzymał się i ręce przed się wyciągnął, chwytając niemi powietrze, oręż wysliznął mu się z dłoni i z brzękiem upadł na kamienną posadzkę, a sam on, okręciwszy się wkoło, runął ciężko wślad za nim.

— Wiwat nasz pan!—wrzasnęło sto gardzieli Szczepankowej hałastry w krużganku i na dziedzińcu.

— Boże, bądź miłościw jego duszy!—szepnął pan Bartłomiej, przyklękając przy bezwładnym ciele przyjaciela.

CZĘŚĆ DRUGA:

UMARLI I ŻYWI. Tt

SŁUGA GODNY PANA.

Turobojscy mieli losy dość podobne do tych, które w zmiennej ich kolei przebywał ród Miśniakowskich. acz w ostatnich pokoleniach daleko pomyślniejsze. W końcu XV w. byli to możni władcy o szeroko rozrzuconych włościach, a moc ich i bogactwa rosły, dopóki nieszczęsna wojna z horodyskimi panami nie zmogła ich i za strasznego wojewody Hrehora nie przyprowadziła do żebraczego kija. Natomiast później znów uśmiechnęła się do nich fortuna, odwracając oblicze swe od ich przeciwnika, ale z minionych przewrotów i niepowodzeń pozostało na łązańskich panach znamię niestałości ich losów, i znamię to odbiło się i na zamku Ła- zuńskim.

Głównemu korpusowi zamkowemu nie brakło jednak okazałości i powagi. Budował go za czasów mądrej królowej Bony jakiś domorosły architekt, nie nazbyt wprawdzie wprawie, ale oczywiście włoską modą; że

mu jednak widocznie doborowego materiału i roboczych rąk nie brakło, budowa nie ustępowała najpokaźniejszemu zamkom okolicznym. Były więc ogromne kwadratowe dziedzińce i kolumny jońskiego stylu, i odrzwia zdobne bujną, choć nieco niezgrabną roślinną ornamentacją, i attyka nad frontonem w obramieniu mnogich zakrętów i figlasów. Na wspaniały krużganek wiodły z głównego dziedzińca schody kamienne, szerokie i prawdziwie pańskie.

Ale wewnątrz przedstawiało się mniej korzystnie. Pa nowały tu zaduch i ciemność, pleśń okrywała mury. wilgoć sączyła się z nich kroplami na omszoną posadzkę. Przez szereg lat podstarościowie Miśniakowskich używali sal zamkowych jako spichrzy i składów rupieci, potem dawni właściciele, powróciwszy, przez długie lata musieli myśleć wyłącznie o obronie zamku przed najazdami swych adwersarzy, nie mając ani czasu, ani środków na jego restaurację. Wreszcie starosta korzystyszowski, jeszcze jako stolnik, połatał nieco szczyrby, pozostawione przez czas i niepomyślne koniunktury, ale jako mąż surowy i wojenny, a do zbytku nienawykły, troszczył się jeno o trwałość murów, a nie o piękno lub wygodę. Mimo restauracji, gmach pozostał taką rudera, że po wypędzeniu Miśniakowskich z Horodyszcz, pośpieszyli przenieść się do tamecznego zamku, choć już podówczas wielce opuszczonego, nietylko trzech młodzi Turobojscy, rezydujący dotąd w drewnianych dworach z okrągłaków za dębowym częstokołem, ale i pan stolnik, i jeżeli później wrócił do Łazunia, to dlatego, że go stamtąd wyгнаły, podług jednych nuda

i tęsknota po zgonie towarzyszkii żywota, podług drugich władające zamkiem duchy i biesy.

W narożniku, przeciwnym sypialnej komnacie starosty, po obszernej, ośmiokątnej izbie przechadzał się wielkimi krokami Szczepan Turobojski. Wzburzony był i blady, a zęby miał tak zaciśnięte, że wargi mu przekrzywiły się konwulsyjnie, nadając i bez tego już brzydkiej twarzy jakiś wprost szatański wyraz. Pięść miał też ściśniętą i, chodząc, podnosił ją w górę od czasu do czasu, jakby nią chciał wygrażać jakiemuś niewidzialnemu wrogowi. W małych, złośliwych oczach płonął mu gniew, hamowany wysiłkiem woli.

Przed drzwiami wyprostowany po wojskowemu stał niedawno jeszcze zastępca Ciszewskiego, obecnie komendant załogi, burgrabia i totumfacki młodego Turobojskiego, Gondek.

Był to chłopak wiejski, z chodaczkowej szlachty, wzięty do koni dworskich w Łazuniu, potem pożyczony na czas do Perehińska, gdzie tak umiał stać się pożytecznym i niezbędnym Szczepankowi, że zjednał sobie szybko jego łaskę i nieograniczone zaufanie, a postępując coraz wyżej z szczebla na szczebel, dostał się na drugą godność w zamku Łazuńskim. Narzucił go na to stanowisko stryjowi pan Szczepan, choć stary zżymał się, a służba sarknęła mocno na brutala, który trzymał ją żelazną Tęką i plagi sypał codzień setkami. Najbardziej krzywił się na swego pomocnika Ciszewski i byłby go może ciągłymi zabiegami i knowaniami wysadził z siodła, gdyby nie wzmagające się niedołęstwo starosty, który nie umiał już opierać się silniejszej woli bra

tanka, choć czasami wybuchał przeciw niemu resztą straszliwego niegdyś gniewu.

Ale teraz starosta, pozbawiony władzy i czucia, czekał na zbliżającą się śmierć, a Ciszewski, ciężko ranny przy zdobywaniu zamku przez szlachtę, lizał się w swej izdebce na służbowem skrzydle, Gonddek zaś rządził zamkiem, nad którym panował Szczepan.

Był to chłop młody jeszcze, ogromnego wzrostu, i niedźwiedziej siły, obrosły twardym, rudawym włosem, o twarzy pospolitej i zuchwałej, której przebiegłego wyrazu dodawały przenikliwe, bokiem nieco patrzące oczy. Ale na zuchwałej twarzy olbrzyma malował się teraz niepokój i oczy jego śledziły ukradkiem ruchy i spojrzenia pana, kręcącego się po izbie jak tygrys po klatce.

Naraz zatrzymał się przed Gondkiem i z rozmachem ciężką dłoń uderzył go w policzek. Chłop ani drgnął, choć na wargach pokazała mu się krew.

Turobojski uderzył go po raz wtóry. On pozostał nieruchomy w swej wyprostowanej żołnierskiej postawie.

— Słyszysz ty, psie! — syknął Szczepan przez zaciśnięte zęby. — Chociażes i dowódca, nim ta godzina minie, każę ci batogami skórę zwlec z grzbietu, a rany rozpalonemi ćwiekami nabić!

— Każcie, panie! — odpowiedział przytłumionym głosem Gonddek.

— Możeś niewart?—syknął znowu, pieniąc się, Turobojski.

— Wartem, panie!

— A jak mi tego będzie za mało, to ciebie powolną męką ubiję, rozumiesz?

— Ubijcie, panie! Na to wasza pańska wola! Ale przedtem dajcie słowo rzec!

— Mówi

— Wybaczcie, panie, ale kto dziewczkę odnalazł?

— Ty! Ale kto mi łeb zawrócił, żeby jej tutaj nie umieszczać w miasteczku, jeno do Perehińska wieść, dzięki czemu znowu zniknęła.

— Ja! Tylko w tem jegomość myli się, że ona dlatego uciekła, bo ją wyprawiono do Perehińska. Gnaby i tak uciekła, choćby ją było zostawić w Łazuniu. Toż jechało z nią pół sotni co najlepszych perehińskich semenów i nie napadliż na nich tamci, tylko ona sama, wiedźma, wysliznęła się im z rąk i pyszy propało! To jeśli ona umknęła tym pięćdziesięciu i takiemu setnikowi, jak nasz Makar, co djablej ciotce nie da się otumanić, jakżeby ją ustrzegli w chałupie żydowskiej w Łazuniu?

Szczepan słuchał go, nie przestając chodzić. Gdy skończył, stanął przed nim i w twarz pokrwawioną mu się wpatrzył.

— Możeś i praw — zauważył powoli, jakby z namysłem; — ale cóż mi stąd za korzyść? Dziewka i tak przepadła!

— Co przepadło, to może się znaleźć!

— Do razu sztuka! Nie Nawizeny to drugi raz z rąk ją wypuści.

— On i pierwszy raz nie puszczał, a ja przecie wyszukał i zabrał, nie pytając ni jej, ni Nawizenego.

- Prawda twoja! Słuchaj: odnajdziesz ty ją?
- Skorom raz odnalazł, to i drugi raz odnajdę!
- Ale on ją lepiej ukryje, albo i wywiezie!

Gondek ramionami ruszył.

- Pod ziemią jej nie ukryje, a na Sicz nie zabierze, bo mu nieźlia. Skoro zaś na ziemi jest, to ją znajdę, jakem znalazł!

Turobojski rzucił się ku człowiekowi, którego przed chwilą tak nielitościwie pobił, położył mu ręce na ramionach, potrząsając niemi silnie.

- Zrobisz to? — krzyknął. — Pewno? — Ozłocę cię, panem uczynię, włość dam! Słyszysz?

— Słyszę i za łaskę pańską pokornie dziękuję — odrzekł Gondek i pochylił się, by mu ucałować rękę. Gdy podniósł głowę, miał na ustach jakiś nieco dziwny półśmiech, w którym Szczepan dostrzegł zadowolenie z jego szczodrej obietnicy, choć wprawniejsze odeń oko odnalazłoby zarazem i kroplę gorzkiej ironji.

Ale Szczepan zajęty był myślą własną i biegał znów w koło izby, jak dziki zwierz, szukający, na kimby mógł wściekłość swą .spędzić.

- Pochwycić tę dziewczkę — mrucał do siebie, zgrzytając zębami — mieć ją, a potem obcęgami gorącemi rwać na kawały to białe ciało, słuchać jej jęków, patrzeć na mękę i nie popuścić, aż ostatni dech z gardła / jej wyleci! I niech spróbuje mi się wyśliznąć! Jaż nie Makar!

I nagle, jakby jakąś myślą nową tknięty, zwrócił się do Gondka.

- Czy Makar ze wszystkimi ludźmi wrócił?

MSliS*

- Ze wszystkimi!

- Coś z nimi uczynił?

- Kazałem wszystkich wziąć do piwnic, czekając pańskiego rozporządzenia.

- Dobrze! Chłopcom po pięćset łóz, Makara na pal!

Dowódca załogi otworzył usta, chcąc coś przemówić, ale powstrzymał się i zamilczał. Turobojski zauważył to.

- Cos chciał rzec? — spytał. — Mów śmieie!

- Powiem, skoro pan każe! Z Makara tęgi żołnierz i najroztropniejszy ze wszystkich. Gdzie on pokpił sprawę, tam pokpiłby każdy! A za panem onby i w piekło...

- Dość! — przerwał przez zaciśnięte zęby Szczepan.

- Wedle rozkazu! Na kiedy egzekucje?

- Makatowa zaraz. Semenów każesz wywieść z lochu na ten praznik, a potem niech na wielkim dziedzińcu, na oczach wszystkich wzajem się ćwiczą po dziesięciu na raz. A koło Makarowego palika zastrugać kilka rzędem! Kto ręki pożałuje, na pal z nim!

- Słucham!

- Obaczą, jak Makarowi morda się skrzywi, to ich mizerykordja odejdzie.

- Mogę iść?

- Czekaj! Jak ci się zdaje, czy ona sama uciekła, czy w zmwowie z Jurkiem?

- Myślę, że nie z Jurkiem, bo skądżeby on dowiedział się? Jaż ją sam wypatrzyłem, gdy mi donieśli, że Nawżeny raz poraż w tamtej stronie się kręci. Byłbym ją zaraz porwał, ale przy chacie stało parę koni uwiązanych, widać sam on u niej siedział, więc bałem

się, że mnie ubije, a wtenczas dziewczka zostanie jego. Dlatego wrócił i Waszej Miłości zdał sprawę, a potem sam podprowadziłem naszych ludzi tak cicho, że i pies nie szczeknął, a wzięliśmy ją tak nagle, że krzyknąć nie miała czasu. Nie było zaś przy niej nikogo. Więc nie z atamanem. A przecież...

Gondek zatrzymał się, ale Turobojski ofuknął go niecierpliwie.

— Więc cóż? Nie cedźże u kroćset, bo ci łeb rozwalę!

— A przecie, — ciągnął dalej dowódca załogi, — a przecie tam ktoś być musiał, co jej pomagał...

— Jakże to? Mów jaśniej!

— Dziewczyna była związana mocno i głowę jej okręciłem chustą, tyle jeno, by nie udusiła się. Pan kazał gwałtu nie robić pod bokiem starszego pana, a pocóż ceregiele z chłopką? Otóż wszyscy semeno- wie, ilu ich jest, przysięgają, że kiedy zatrzymali się, żeby konie odpoczęły, i zdejmowali dziewczkę z siodła, spowita była jak dziecko w pieluchach i więzy były mocne. I stali przy niej i stróżowali, a choć ognia Makar nie kazał rozniecać dla bliskości Łazunia, nie widząc jej, słyszeli każdy ruch. I ot, uciekła, rozwiała się, ani śladu.

— Więc cóż?

— Więc albo to czary, albo ktoś ją rozwiązał, bo sama nie mogła!

— Może czart, — mruknął Turobojski. — Mówią, że z niej czarownica.

— Może! Ale jak nie czart, to człowiek.

— Więc przecie Nawizeny!

— Nie Nawizeny, bo Nawizenego ludzie widzieli wtedy właśnie na jarmarku w Połonnem, hulającego ze wszystką swoją watahą. A on nie taki człowiek, żeby drugich na hazard posyłać i chyba jednemu Hołopiatowi dałby się może wyręczyć, a Hołopiat był z nim razem na jarmarku.

Turobojski brwi zmarszczył w zamyśleniu.

— Hm, zapewne, że nie taki on, żeby drugich posyłać! — mruknął.

— A ja tak i winien, żem ją oddał Makarowi i sam nie odwiózł do Perehińska. Ale pan kazał!

— Djabeł mnie namówił, żem ci to kazał! Trzeba było nie posłuchać!

— Toby mnie już był djabeł wziął, jak swego, boby mi był pan pewnie do tego czasu łeb rozszczepił, albo na pal posadził, jak za mniejszą winę Makara!

— Pewnie, że takbym uczynił i skwierczałbyś tam z dzień z drzewcem w brzuchu, boś chłop wytrzymały, ale dziewczyna byłaby w Perehińsku!

Gondek znów uśmiechnął się dwuznacznie.

— Pewnie, że tak byłoby lepiej! — rzekł.

Ale Turobojski znów począł biegać w kółko, jedną myślą zaprzątnięty.

— Słyszysz, dokąd ona mogła zbiec? — spytał po chwili, zatrzymując się. — Do tego futoru, gdzie

' ją napotkał, czy gdzie?

Gondek potrząsnął głową.

— Nie do futoru. Futor spalony, a dziad zabit przez naszych. Pocóżby jej tam?

W zaklętem zamczysku, II.

— Więc sama do Nawizenego poszła?

Gondek namyślał się nad odpowiedzią.

— Nie sądzę, — rzekł wreszcie. — I on jej nie wziął po woli, choć może wołała jego, byle z Perehińska uciec. Ale tak mi się zdaje, że ona sama do niego nie pójdzie, bo to dziewczka harda a dzika i swobody głodna, jak wilk lasu. Ale to wszystko jedno!

— Jakto?

— Bo gdziekolwiek jest, on ją wytropi i chwyci, z wolą, czy bez woli.

— I skryje, że jej ludzkie oko nie zobaczy.

— Nie zobaczy, albo zobaczy!

— Szukajże, trop, węsz, aż zwęszysz i wytropisz! Na oczy mi się nie pokazuj bez niej!

— Wedle rozkazu! Czy mogę na noc ruszyć?

— Wielu ludzi weźmiesz?

— Nikogo. Czego ja nie wypatrzę, nie wypatry i drugi.

— Dobrze. Jedźże zaraz, ale jutro wracaj, bo mi będziesz potrzebny. Wielkie rzeczy dziać się tu będą jutro. Wracajże, skoro świt, a na drugą noc znów ruszysz.

— Słucham!

— Ozy pleban jest?

— Jest i przykazałem mu, by krokiem z domu nie ruszał się przez dziś i jutro, aż go wezwą na zamek. r

—■ Dobrze! A szlachta co powiada?

— Kręcą się i kulą, niczem wzorze, a płaczą na swą nędzę, ale zapłacą! Niektórzy może i nie mają,

co sprawdzić łącno: takich potrymawszy, puścićby można...

— Skórę zdarłszy batami na watę — wtrącił Turobojski z okrutnym błyskiem w oczach. Gondek białe zęby pokazał w dzikim uśmiechu.

— To już i mówić niema co, że inaczej stąd nie wydostaną się! — przytwierdził. — Jest też niektóry twardszy, któryby i żywotem skrzyni bronił, takiego- by i przypiec warto!

•— Oczywiście!

— Ale i u tych, z których miasto skóry ściągnąć można worek złota, worków tych niema w Łazuniu. Jaki taki ma w domu grosiwo, to mu się każe napisać cyrograf do jejmości, żeby wydała wzamian za miłego małżonka, inny zaś może i nie ma zapasu, choć po- sessionatus. Takiemu musi otworzyć kabzę jaki Ormianin z Zamościa, albo choćby i łucki jaki kupiec, wsie a młyny w zastaw wzięwszy.

Turobojskiemu słowa Gondka nie trafiły do smaku.

— Głupia rada i djabła warta! Cóż to? Myślisz jeńców pod strażą do Łucka odsyłać, albo aż do Zamościa? Nie odbije ci to ich pierwszy szerepetka po drodze, pół kopy takich jak sam chodaczkowych dra- pichróstów zwzolałwszy? A może w Zamościu pod bokiem pana kijowskiego będą cicho siedzieć w gospodzie pod strażą perehińskich semenów?

Gondek głową wstrząsnął.

—■ Ja nie o tem wcale myślę! — zaprzeczał.

— Więc myślisz może tu Ormian albo i Greków sprowadzać? Przyjdą, a jakże! Tyle razy ich stąd

— 52 —

sam napadałeś, tyle ich lochy tutejsze widziały i tyle okupu stryjkowi i mnie, a osobno pewnie i tobie już zapłacili, że pośpieszą do nas z podskokiem, tylko świsnąc na nich!

— Pośpieszą, panie, trzeba im tylko salwę gwardję dać z pańskim podpisem, a w razie potrzeby i zakładnika ostawić, którym i ja sam mógłbym być, bo oni wiedzą, żeby mnie pan nie ostawił w ich szponach.

— Mogłoby to być — przyznał z namysłem Turobojski! — jeno, że na to wszystko spory kęs czasu potrzeba, a mnie i pieniędzy do zarznięcia brak i szlachty nijak trzymać bez końca, bo po prawdzie toć rzecz niesłychana, więcej kopy panów braci herbowych i posesjonatów mieć w lochu. Baby ich gwałt, słyszę, czynią na całe województwo!

— Sami chcieli! Pocóż w potrzask leźli!

— Przecież ja ich nie żałuję, jeno huczek z tego może się zrobić za wielki, a jabym chciał teraz właśnie, żeby o mnie było cicho.

— Po raz pierwszy to u Waszej Miłości taka ochota!

— Bo po raz pierwszy żenię się. Co mówi Srul o starym?

— Mówi, że jeśli te półtora niedzieli przeżył, to przeżyje jeszcze czas jakiś.

— Ale nie ozdowieje?

— Mówił, że równie mógłby ozdowieć trup, trzy dni zakopany w ziemi.

— Wciąż nieprzytomny?

— Owszem; przytomny całkiem.

Turobojski rzucił się gwałtownie

— 53 —

— Co ty bredzisz? — krzyknął.

— Mówię prawdę. Srul przysięgał się dziś jeszcze, że starszy pan przez całą tę niedzielę wcale nie tracił przytomności, jeno nie znać było tego dla braku sił.

— Mówić może?

— Mało. Więcej znakami daje poznać, czego chce.

— Przekłęcie rogata dusza w tym starym — mruknął Turobojski, ściągając brwi silniej jeszcze, niż przedtem. — A co słyhać z Miśniakowskim?

— Wylizalby się prędko, gdyby miał rany opatrzone, starunek i jadło, bo go te szelmy, com ich na niego z tyłu nasłał, mało co jeno poszczerbili, a Wasza Miłość tyle, że mu szablę wylusknął z garści, ale na tym barłogu pod ziemią, przy spleśniałym chlebie i stęchłej wodzie, niedługo pewnie zdechnie, bo tego i zdrówby nie wytrzymał.

—• Nie daj mu jednak zdychać. Możesz mu dać dziś trochę strawy, a nawet i na słońce go wywieść, bo mi na czas żywot jego potrzebny.

— Bernardyn wciąż woła o cyrulika i o czyste szma ty, o świeże powietrze i o posilną strawę i aż ochrypl, tak nam grozi, Waszej Miłości i mnie, karą Bożą i pomstą ludzką.

— Niech Bogu dziękuje, zem i jego nie kazał do kaźni wsadzić! Oj, gdyby nie ten habit i nie te przekłete sądy klesze! Miałby za swoje!

— Miałby! Ale i tak dobrzeby mu pysk zatkać, choć na krótko. Powiem mu, że to na jego instancję Wasza Mość pokazuje więźniowi miserykordję.

— Co mi tam po jego krzykach! Zresztą czyń, jak

chcesz! Ale rotmistrza trzeba trochę podkarmić. Może mi wypadnie zaprosić go na wesele i prezentować pannie, a nie chcę, żeby wyglądał jak Piotrowin. Bo wtedy Hanna pomyśli, że jemu tak czy owak śmierć pisana i na nic będzie cały mój targ o niego.

Gondek spojrział bystro w oczy swemu panu.

— A jemu śmierć nie pisana? — spytał półgłosem.

Turobojski zaśmiał się długo, aż mu białe zęby błysły w otwartych wargach.

Po chwili jednak uspokoił się i zrobił twarz poważną.

— A ty jak myślisz? — spytał.

Teraz na dowódcę przysła kolej uśmiechu,

— Ja nie myślę — odrzekł — ja wiem! Targ targiem, a jak będzie po harapie, to i po umowie!

— Ano, skoro wiesz, to i dobrze! A i to ci powiem, że mi jego żywot kością w gardle stoi. Jutro rano ślub, a jemu przed południem koniec. Żal mi ciebie puszczać dziś wieczór. Upiłbym się z tobą na pożegnanie z kawalerskim stanem. Prócz ciebie nie mam nikogo do kompanji, bo Ciszewski jeszcze cherla.

— Ciszewskiemu już lepiej.

— Pośpieszże jutro na gody! Szkoda tylko, że tu nie masz paru żydków z cymbałami, albo Jurka i jego teorbanów! Nic to: będzie mi choć dziś przyspiewywał Makar na palu i moje pocziwe semeny będą mi wyły na dobranoc, czesząc jedni drugim skórę nahajami. Ot tobie i muzyka, godna Turobojskiego!

— Grodna Waszej Miłości! — przytwierdził Gondek, patrząc na swego pana z dziwnym wyrazem.

n.

„Z WOLNEJ I NIEPRZYMUSZONEJ WOLI”.

Starosta leżał, jak przed dziesięciu dniami, na wy. soko spiętrzonych wezgłowiach w swej narożnej sypialni w pobliżu komina, na którym paliły się wielkie kłody drzewa, pryskając snopami iskier i hucząc gwałtownie, ilekroć wichur zaleciał do komina. Huczało zaś często w kominie, bo dzień był wietrzny i zimny, jak zwykle bywa w kwietniu na ruskim stepie. Drzwi od krużganku były też zawarte, ale zato wewnętrzne podwoje z jednej i drugiej strony otworzono naościę. W jednych, wiodących do niewieścich komnat, widać było ciekawe i niespokojne twarze kilku służebnych dziewczek; z poza drugich dochodził gwar i krzątanina kilku ludzi, kręcących się dokoła stołu, na którym, mimo dziennego światła, świeciły się jarzące świece w dwóch siedmioramiennych świecznikach. Stół był okryty kosztowną, złotolitą makatą, a między świecznikami stał wysoki srebrny krucyfiks.

Przez tę izbę przechodził właśnie szybkim krokiem Szczepan Turobojski. Zaniedbany zazwyczaj w stroju, tym razem przywdział na siebie wspaniałe szaty, od lam srebrzystych i atłasów i grodeturów, a rękajeść damasceńskiej karabeli u boku lśniła od rubinów i szafirów, podczas gdy na kołpaku mieniło mu się tysiącem odbłyśków diamentowe trzęsidło, a żupan w górze spięty był olbrzymią perłą. Przy tym stroju, rwą

cym oczy żywością barw i przepychem, odbijała tem bardziej rażąco twarz jego brzydka i nieledwie zwierzęca, a zwłaszcza małe, niespokojnie wkoło biegające oczki. W ślad za nim postępował, sunąc się nieśmiało pod ścianą, człowiek w starszym wieku, w księżej sukni, podbitej wytartymi lisami i z czapką bobrową w ręku.

— Ostań tu aspan — rzucił mu Turobojski, nie odwracając głowy, — Poczekasz, aż cię będę potrzebo wać i zawołam.

— Do usług pana cześnikowicza dobrodzieja — odrzekł pośpiesznie duchowny, kłaniając się nisko po kil- kakroć i obracając niespokojnie czapkę w rękach.

Turobojski, nie słuchając go, rozglądał się dokoła.

— Gondek wrócił?

— Jeszcze go niema! — ozwał się starszy poko- jowiec, wysuwając się naprzód ode drzwi.

— Ubiję szelmę! — mruknął z wściekłością młod> pan. — Nauczę go słuchać i być na czas! Gdzie Ciszewski?

— Jestem — dał się słyszeć starszy głos z poza służby, zapelniającej wejście do komnaty, i zwolna wysunął się przed innych stary burgrabia.

— Żyjesz jeszcze, stary bracie? — zaśmiał się Szczepan.

— Bóg nie dał zemrzeć! — mruknął stary, nie pod. nosząc oczu.

— A tobie żal, co? Pilno ci było ziemię gryźć?

— Może i pilno! — mruknął z tą samą obojętnością Ciszewski.

— Starajże się wystać tu na twoich starych nogach tę godzinę albo i dwie, skoro bowiem Gondka niemasz tu jeszcze, a ja czekać na niego nie myślę, trzeba, byA tu świadczył o tem, co obaczysz i usłyszysz. Z całej tej hołoty dworskiej niema nikogo prócz was dwu, kogobym mógł do tego użyć.

Stary oczy na niego podniósł.

— Na cóż to ja mam patrzeć i czego słuchać?

— Słubowin moich z jejmość panną starościanką masz być świadkiem, a potem miodu starego i węgryzna tyle zażyjesz sobie, ile tylko twój spróchniały łeb wytrzyma.

— Az wolą to będzie panny starościanki, czy bez woli?

— Co ty! Co ty tam szczekasz, stary głupcze? — zżymnął się gniewnie Turobojski.

— Bo to różnie bywa, — odparł nie zmieniając postawy, burgrabia. — Bywa i bez woli. A jak tutaj będzie, o tem ja świadczyć będę, pókim żyw.

Stary sługa starościński wymówił słowa te bardzo poważnie i z naciskiem, aż Szczepan, choć niełatwy do zakłopotania, stropił się nieco.

— Nie ty sam jeden będziesz tu do widzenia i świadczenia. Będzie takich więcej i lepszych. Z dworni jeno ty będziesz!

— To i lepiej, że nas więcej będzie widziało, co tu się stanie!

Gniew uderzył luną na oblicze młodego Turobojskiego, poskromił się jednak wysiłkiem woli i, udając że nie słyszy, zwrócił się do służby..

— Wy wszyscy precz prócz Ciszewskiego i plebana i czuj duch, gdy zawołam! — huknął. — Gdzie panna?

I znów gniew chwycił go za gardziel.

— Duchem ją tu, inaczej całemu fraucymerowi różgi na poczekaniu!

W sąsiedniej izbie zrobił się rumor, jakby z ziemi porwało się spłoszone stadko kuropatw. Słysząc było stłumione okrzyki przerażenia, nawoływania i piski dziewcząt, nauczonych widocznie świeżo przebytemi doświadczeniami brać takie pogróżki na serjo.

— Do Todoski, a żywo! — brzęczały cienkie, strwożone dyszkanty. — Niech panuńcie przynagła, żeby szła prędzej.

— Proście sami imościankę! Niech śpieszy, bo nam bieda będzie!

I jeszcze ciszej:

— Żywiejże, bo młody pan wściekł się!

Groźba odniosła skutek. Chwilę później Hanusia stała we drzwiach z nieodstępną piastunką przy boku.

Nie był to już ów dzieciak, niewiedzący o świecie Bożym, którego napotkał rotmistrz Miśniakowski w noc świętojańską w głuchym borze nad Irpieniem, gdy właśnie zakwitała paproć. Nie była to nawet owa dziewczeczka, z pączka kwiatu przeobrażająca się w kwiat cudny, która szeptała mu w zapamiętaniu pierwsze „kocham!” gdy ją w szalonym biegu próbował unieść daleko od goniącej ich chmary rozżartych bestyj. Bywają w życiu ludzkim dni, które starczą za lata. Takie przebywała teraz Hanusia i one zmieniły ją w dojrzałą dziewczycę, wypróbowaną w trosce i niedoli, zdolną spojrzeć oko w oko niebezpieczeństwu i nieszczęściu. Oblicze jej było jeszcze dziecinne, ale postawa pełna powagi, skupienia i cichego hartu, a oczy wczoraj jeszcze patrzące w świat tak ufnie i tak nieświadomie, miały teraz wielki smutek, ale i wielką moc, tak iż poczuwszy je utkwione w sobie z milczącym oczekiwaniem, Szczepan spuścił wzrok swój zuchwały, jak żak, schwytyany przez nauczyciela na gorącym uczynku i gotujący się na plagi.

Nie znalazł też słów przyzwoitych dla powitania wezwanej tak brutalnie panienki. Nie przyznałby się do tego za nic, nawet sam przed sobą, ale to dziewczę, wchodzące do izby z podniesioną głową i niemym wyrzutem w oczach, budziło w nim jakiś nieopsany lęk i wstyd zarazem. Sam nie wiedział czemu, ale wobec niej malał i nikczemniał we własnych swoich oczach i stawało mu się jasno nieraz, jakby w świetle błyskawicy, rozjaśniającej w mgnieniu oka nocne cienie, że do Hanusi nie trafić środkami, jakich chciał użyć, że droga, na którą wszedł, jest błędna i że wogóle z tym „skrzatem” sprawa może nie pójść tak gładko, jak dotychczas myślał.

Ona, nie doczekawszy się odeń ani słowa, sama zaczęła pierwsza:

— Wzywałeś mnie,—rzekła chłodno.—I tak ci było pilno, żeś, słyszę, dziewczkom moim obiecywał batogi, jeśli nie przywloką mnie tu bez chwili zwłoki.

Chciał jej coś odrzec, ale sam nie wiedział czemu słowa uwięzły mu na ustach. Ona zdawała się tego nie uważać i mówiła dalej:

— Poznałam twój zbójcecki proceder i wiem już, ja

ko nad bezbronnymi, nic nie winnymi i słabymi najładniej ci się pastwić. Więc dla oszczędzenia bólu i hańby przychodzę. Czego chcesz ode mnie?

W słowach tych i tonie, jakim były wyrzeczone, dźwięczało tyle pogardy, że wreszcie Turobojski zmógł swą niemoc i smagnięty niemi, skoczył, jak ranny żbik.

— Górnio przemawiasz, mościapano, — zachycho tań nieco przymuszonym śmiechem. — Zgoła tak, jakbyś miała kilkaset dobrych szabel na swoje usługi i jakby ciebie broniły niezdobyte mury. A tymczasem szabel nie masz i murów nie masz, i jako wszystko tutaj, jesteś moją i na mojej łasce, a jeśli zechcę, oddam cię moim semenom na uciechę i swawolę, albo i pierwszemu czambulikowi sprzedam, by cię tam odwiózł, gdzie mało już raz nie dostałaś się. A pierwiej w oczach twoich każę na śmierć zasieć pletniami twoje dziewczki

I nianie, bom ja tu jeden pan i nikogo nade mnie, i nikt mi nic zrobić nie może, ani mojej pańskiej woli się sprzeciwić!

Przed chwilą jeszcze musiał sobie powiedzieć w duszy, że złą drogę obrał, by ją uczynić powolną, a teraz znów brnął dalej tą drogą; uniesiony złością i urazą do hardej dziewczyny i mówiąc sobie, że ją strachem przecie weźmie nie zaraz, to potem, bo cóż ona wobec niego, i jakże jej, słabej i bezbronnej, jemu się oprzeć?

Ale ona nie dała po sobie poznać żadnego wrażenia. Stała spokojna i niewzruszona, jako wprzódy, tylko na ustach jej zarysował się silniej pogardliwy uśmiech.

— Zaprawdę wdzięczną winnam być waćpanu, że mi przynajmniej udawania oszczędzasz i odrazu grasz

ze mną w odkryte karty, takim się pokazując, jakim z przyrodzenia jesteś. I dlatego odpowiem ci, choć inaczej nie słyszałyś z ust moich ni słowa. Mocniejszym się mniemasz ponad wszystko, a masz ponad sobą jednego, którym jest Bóg! I ponieważś mocny, a ja słaba, mniemasz w pysze swojej, że nic już zgoła obronić mnie nie może, a ja ci powiadam, że nie boję się ciebie, bo Ten, który nad ciebie i nad wszystko silniejszy, jest ze mną i będzie moim puklerzem, a przeciw temu puklerzowi rozbijają się wszystkie twe obieże i wszystka moc twoja!

Mówiąc to, Hanusia podniosła w górę jasną główkę i oczy roziskrzyły się jej nabożnym zapalem, a na bladym liczku wystąpił gorący rumieniec.

Gdy tak stała w aureoli złotych włosów dokoła skroni, można ją było wziąć za jedną z tych świętych pań, promieniejących z kart Żywotów i ze starych mszałów lub ze ścian kościołów. A była przytem tak cudna, że Szczepan, choć w sercu miał inną, a wyższego piękna niezdolen zrozumieć, nad to, które przemawiało do jego zwierzęcych żądź, tym razem, patrząc na nią, zdumiał się i zastanowił. I z wahaniem a lękiem rzec musiał swojej twardej duszy, że to chyba inna zgoła istota, niż ta, którą od niemowlęcia w izbach tych pamiętał.

Ale nijak było mu przyznać się do zmieszania, postanowił więc fantazją nadrabiać i odparł z grubym śmiechem:

— Bardzo misternie to waćpanu a wywodzisz i nie nadarmo przysyłał tu twój wujek, jegomość ksiądz bi

skup kijowski, uczonego patra z kijowskiego kolegium, by cię wszelakich eciencyj uczył, w których żem sam nie ćwiczony, nie potrafię z waćpanną iść w paragon, to jednak chłopskim rozumem miarkuję, żeś utrafiła właśnie jako kulą w płot. Boga oto bowiem przeciwko mnie stawiasz, jakoby ja coś niezbożnego zamyślał, podczas gdy mi idzie jeno o przysporzenie chwały Bożej.

— Wstydu waćpan nie masz i kary Bożej nie boisz się, że tak imię Pańskie postponujesz, do drwin go używając! — krzyknęła z oburzeniem panienska.

— Nie postponuję i drwić nie myślę, jeno całkiem poważną mam intencję, tej godziny jeszcze przyjąć wraz z waćpanną sakrament, śluby wzajemne sobie czyniąc.

Hanusia przez chwilę twarz ukryła w dłoniach, wnet jednak ręce opuściła i złotą główkę podniosła, spojierając na stryjecznego spokojnie i hardo.

— Wiedziałam, że o tem zamyślasz, z niemocy pana ojca i z własnej przewagi korzystając, ale niedoczekaj- nie twoje!

W Turobojskim zagrał znowu gniew, usuwając chwilowe zakłopotanie.

— Czy tak? — syknął, maskując wściekłość ironją— Ano obaczmy!

— Obaczmy! — powtórzyła dumnie dziewczyna, mierząc go wyzywającym wzrokiem.

On już nie był w stanie powściągnąć gniewu. Przyskoczył do Hanusi i chwycił ją brutalnie za rękę.

— Chodź! — krzyknął.

Ona uczepiła się krawędzi łoża i próbowała mu się oprzeć.

— Puść mnie, zbój! — krzyknęła. — Puść, bo pożałujesz!

Ale on nie zważał na opór i, targnąwszy silnie całym jej ciałem, oderwał ją i powłókł ku drugiej izbie.

— Nie chcesz po dobremu, to i tak cię doprowadzę do ołtarza! — mówił, starając się okiełznać jej gwałtowne ruchy.

— Trupa chyba, nie mnie! — odparła panienska, dobywając z zanadru ukryty w niem sztylet i podnosząc go do góry.

Szczepan gwałtownym a niespodzianym ruchem dłoni jej pochwycił, chcąc jej wydrzeć oręż, ale ona usunęła mu się szybko i uderzyła weń lśniąca klingą z całej siły.

— Żmijo! — jęknął młodzieniec, chwytając się za rękę, z której sączyć się poczęła krew. — Kąsasz! Ukarzę i ja ciebie, ale dziś nic ci nie pomoże!

Ona zaś twarz pobladłą nagle odwróciła od skrwawionego oręża, który wysliznął się jej z dłoni i nie wstrzymany zesunął się na ziemię, sama zaś z łkaniem przypadła do łoża starosty.

— Ojczy! — krzyknęła, obejmując ramionami bezwładne ciało starca.

Oczy starego Turobojskiego, szeroko rozwarte, nieruchome i szkliste, patrzyły przed siebie z zastygłym wyrazem przerażenia. Teraz zamigotało w nich coś, jakby błysk, przedzierający się wgórę z głębokiej otchłani; muskuły policzków drgnęły, wykrzywając konwul- ejnie oblicze i usta rozchyliły się, jakby chory chciał

przemówić, ale zamiast słów wyszło z nich tylko głuche rzęzenie.

— Ojczy! — powtórzyła głośniejsz Hanusia.

Szczepan stał przez chwilę, pochylony nad chorym i nad dziewczyną, jakby czekając, czy starzec nie odpowie wołaniu jedynaczki, ale okrzykowi Hanusi odpowiedziało tylko milczenie. Więc pan z Perehińska podniósł głowę do góry i krzyknął w zapamiętaniu:

— Hej, Wasyl, Tanas! Brać ją!

Dwóch kozaków ruszyło się do drzwi niezbyt ochoczo, ani śmiało, i stanęli przy Hanusi, spoglądając bezradnie naprzemian na siebie i na nią.

Szczepan chciał powtórzyć rozkaz, ale przeszkodził mu pleban.

Od chwili, gdy posłyszał pierwsze słowa Hanusi, znać na nim było najwyższe zakłopotanie. Mienił się na twarzy, oczyma wodził na wszystkie strony, jakby szukając, czy z którego kąta nie zjawi się mu wskazówka i pomoc, zdejmował kapę i znów ją nakładał, a ze spojrzeń, rzucanych ukradkiem na młodego Turobojskiego, widać było, że w duszy jego straszny lęk toczy bój z głosem sumienia. Istotnie biedny stary księżyna bał się Szczepana tak okrutnie, że drzączki go brały na jego widok, a choćby na wspomnienie jego imienia. Teraz jednak, gdy miał do wyboru albo stawić jemu czoło, narażając się na wszystkie następstwa, jakie mógł pociągnąć za sobą opór straszliwemu człowiekowi, albo sprzeniewierzyć się obowiązkowi kapłana i długoletniego starościńskiego sługi, sumienie odniosło wkońcu zwycięstwo. Wpraw

dzie głos, którym ozwał się, by o tem oznajmić, był tak cichy, że go nie dosłyszał nietylko Turobojski, ale nikt z obecnych; czego jednak nie dosłyszano, to zrozumieli wszyscy, gdy ksiądz zdjął z siebie liturgiczne szaty i cofnął się od stołu ku drzwiom.

Szczepan rzucił się ku niemu.

— Co to? — krzyknął, zadychając się z gniewu. — Czy ten klecha oszalał?

Pleban nic już nie odpowiedział, ale chyłkiem wysuwał się z komnaty.

— Trzymaj! — ryknął Turobojski. — Tu dawaj, nazad!

Służba pochwyciła starego, stawiając go przed obliczem pańskim, pomimo, że teraz już słyhać było jego głos, wzmocniony oburzeniem, protestujący przeciw gwałtowi, popełnionemu na osobie duchownej.

— Ubierać go! — rozkazał Szczepan.

Mimo oporu księdza, rozkaz spełniono w mgnieniu oka. Stał teraz znów w swych szatach liturgicznych, przytrzymywany z obu stron przez kozaków, którym daremno usiłował się wyrwać.

— Dlaczego chciałeś uciekać? — spytał groźnie Turobojski.

W zwykłym czasie ostry ton jego mowy przeraziłby księdza do utraty przytomności. Teraz jednak stary rozgniewał się. Jakże? W osobie jego pogwałcono kanony, nietykalność sług Kościoła! Ksiądz był pokorny i trochę głupowaty, ale na punkcie nietykalności stanu duchownego nie było z nim żartów. Teraz już głos nie zamierał mu w piersiach, ale rozlegał się na sąsiednie izby, jak trąba jerychońska.

W żakietem zamczysku, II.

— Odchodzę, bo nie mam tu co robić! — krzyczał — tu nie ślub gotuje się, jeno gwałt, i zaczyna się od gwałtu na słudze bożym. Do tego ja ręki nie przyłożę i stu! nie dam!

— Strzeż się, popie, żebyś nie zasmakował mojego gwałtu! — wrzasnął Turobojski. — Nie powiesz wtedy, że przytrzymanie ci rąk, to gwałt!

— A ty się strzeż, żeby ciebie kat nie ściał na rynku, lub stos nie spalił za bezbożność! — dokrzyk- nął mu niemniej donośnie, choć piskliwie pleban, w którym gniew przewyciężył wszystkie względy.

— W dyby z nim i ognia! Jak mu pięć przypieką, inaczej będzie śpiewał.

— A piecz! Męcz! Zdzieraj skórę! — ryczał ksiądz w zapamiętaniu. — Mnie i lepiej! Palmę otrzymam! Ale ciebie chyba bies opętał, bo sam szyję w pętlę kładziesz! Ja zginę, ale dla ciebie nie będzie odtąd miejsca w tej rzeczypospolitej ani in universo orbe christiano, kaci pacholku!

Szczepan wychwycił z pochwy szablę i rzucił się z podniesionym orężem na księdza, chcąc mu łeb rozplatać, ale wstrzymał go Ciszewski.

Stary sługa Turobojskich przypatrywał się całej tej scenie z początku tylko z widocznym współczuciem dla starościarki i z oburzeniem na młodego pana, potem jednak do uczucia tego przylączyło się inne. Gwałtowna kłótnia z księdzem zaniepokoiła go widocznie, a przeraziła ostatecznie wściekłość Szczepana, rzucającego się na plebana. Były burgrabia zapomniał w tej chwili o krzywdach, wyrządzonych przez Szczepana jego panu i jemu samemu, przejęty zgrozą wobec gotującego się świętokradztwa i strasznych następstw podobnego czynu. Nie namyślając się więc, podbiegł do młodego Turobojskiego z żywością, której nie pozwalały przypuszczać lata i świeże rany, chwycił go w pól i powstrzymał na miejscu.

— Puszczaj, bo zginiesz! — pieniał się Turobojski.

— Nie puszczę, tak mi Bóg świadkiem. I nie dam jedynego dziedzica moich panów pod katowski topór!

I trzymał mocno, nie dając młodemu pankowi wyrwać się z żelaznego uścisku. Cześnikowicz otworzył już usta, żeby nakazać służbie odciągnięcie starca, ale wstrzymał się. Przez chwilę stał obok niego nieruchomy, jakby ważąc coś w myśli, potem szabla wysunęła mu się z rąk i spadła z brzękiem na ziemię, a na ustach przemknął uśmiech.

—• No, dobrze już, stary. Stanie się podług twej woli. Widzisz przecie, że jestem bezbronny. Ale puść - że mnie już, do stu djabłów, żeby mnie znów cholera nie chwyciła!

Odrącił burgrabiego i stanął pośrodku izby, ogarniając wzrokiem naprzemian księdza i Hanusię. Chwilę trwało milczenie pełne oczekiwania, potem rozległ się spokojny już a stanowczy głos Szczepana.

— Wiadomo tu wszystkim, jako stryjec mój, tu obecny, przeznaczał mi za małżonkę jedynaczkę swoją niemal od jej urodzenia i nigdy o innym związku, ni dla niej, ni dla mnie, nie było mowy. Co JW. starosta poświadczyłby z wszelką pewnością, gdyby mu niemoc ust nie zamykała. W tym właśnie czasie miały się odbyć weselne gody, do których mam prawo i z prawa tego je

dynie korzystałem, jako i każdy na mojem miejscu byłby uczynił. Jeżeli przeto pobłądził, chcąc ichmościan, ce przymus uczynić, do czego mnie swemi zelżywemi słowy przywiodła, czyniłem to, ażeby spełniła się wola jej rodzica, której stróżem jestem.

— Któregoś chciał po zbójceku mordować i do tego doprowadziłeś, że ozwać się nie może,—przerwała z mocą Hanusia. — Bo, gdyby mógł ozwać się, powiedziałaby pewnie, że wolę odmienia i nie chce mnie przymuszać do ślubów z mordercą!

— Między rodziną bywają spory, po których znów następuje zgoda. Tak bywało nieraz i pomiędzy nami. jako że i we mnie i w panu stryjkę cholera wielka. Nie wiem też, jakby jegomość postąpił, gdyby miał moc, azaliby czynił przymus lub nie. Ale ja waćpannie i wam wszystkim oświadczam, że przymusu czynić nie myślę i bez woli brać jej nie chcę. Słyszeliście?

— Słyszeliśmy! — potwierdził chór zdziwionych, ale i widocznie rozradowanych głosów.

— Idźcież precz i czekajcie, aż was na ceremonję przywołają, jeśli na takową imościanka objawi mnie i wam swój konsens. Niechże poczeka i ksiądz proboszcz i nie ma mnie za takiego Nabuchodonozora dlatego, że krztę zbyt gorący. Teraz zaś drzwi zawrzec i osta-
wić nas samych z imościanką!

Rozkaz spełniono szybko i w milczeniu. W izbie obok bezwładnego starosty pozostała Hanusia ze swym stryjecznym.

To, co słyszała przed chwilą, było tak sprzeczne ze wszystkim, do czego ją przyzwyczylił Szczepan od kie

dy go pamiętała, że nie mogła uszom swym wierzyć. On, cofający się przed gwałtem, szanujący jej wolę? To było coś niesłychanego! I choć bardzo młoda i niedo- I świadczona, poczuła instynktownie, że to nie może być prawdą i że w tej wspaniałomyślności człowieka, którego niczem niepohamowaną dzikość znała tak dobrze, musi tkwić na dnie jakaś zdrada. Postanowiła więc mieć się na baczności i z głębi duszy posłała afekt strzelisty do Najświętszej Panny Berdyczowskiej, błagając o światło i moc z góry.

On tymczasem wskazał jej ręką stojącą przy kominie ławę.

— Usiądź waćpanna, — rzekł. Ale ona potrząsnęła głową.

— Dobrze mi tu, odparła. — Mów waćpan, co masz do powiedzenia!

— Powiem. Wybacz, że nie tak wymownie potrafię, jak to czynią kawalerowie, bom w dworszczyźnie nie ćwiczony, ale jako umiem, tak powiem. Rodzic twój chciał mi cię dać i ja chciałbym cię wziąć, ale ty nie chcesz!

— Bo wiem, że ojciec, gdyby mógł, nie chciałby teraz!

— Ja myślę, że dla czego innego, ale mniejsza z tem. Jać nie przymuszam! Chcę ci jeno coś powiedzieć. Wiesz, że całą tę hołotę szlachecką, co tu na was napadła, i stryjka chorego chciała, słyszę, na szablach roznieść, a tobie gorszy los od śmierci zgotować, trzymani w łykach pod podłogą?

■

Oblicze panienki zmieniło barwę, ale nie dała poza tem poznać wzruszenia.

— Wiem — rzekła spokojnie. — Cóż to ma wspólnego ze mną?

— To, że wśród tej szlachty są tacy, którzy waćpan- nę obchodzą.

— Jest taki jeden, nie zaprzeczę! Ten, który mi dwa- kroć żywot ratował!

— Ten. Owóż tamtych ja wypuszczę, wzięwszy okup. Stryjko byłby może sroższy, ale ja na krew nie łasy!

— Nie łasy! — powtórzyła Hanusia, rzucając okiem na okno od dziedzińca, na środku którego sterczało pół tuzina palów, a na jednym wił się w konwulsji bólu Makar.

Turobojski dostrzegł jej ruch i ruszył ramionami.

— Kto mi przeszkobie, temu ja kat. A tamci stryjko- wi zawinili, nie mnie! Zapłacą i pójda zdrowi.

Panienka chciała coś rzec, potem zatrzymała się, jak by wahając się, czy walcząc ze sobą. Wreszcie przemogła się.

— Wszyscy? — szepnęła, nie podnosząc oczu.

On zaśmiał się.

— Nie wszyscy, bo niektórzy nie chcą płacić, choć mogą, i tych każę przypiekać, a jeśli nie zapłacą, to i upiekę do cna; inni nie mają z czego płacić i ci popłacą skórą, a jest i taki, od którego ja zgola okupu nie żądałem...

— I puścisz go? — przerwała Hanusia głosem przytłumionym i drżącym z niepokoju.

Młody pan wpił się w jej pobladłe oblicze, jakby

je chciał prześwidrować swemi przenikliwemi oczkami.

— Nie wiem jeszcze... Być może! — odparł powoli, nie spuszczać z niej oczu.

Ona teraz podniosła oczy i spojrzenia ich skrzyżowały się: jej, niemem pytaniem ciężarne, jego chłodne i nieprzeniknione, a ciekawe, jak ciekawie kot spoziera na ruchy myszy, gdy jej pozwoli na chwilę wyśliznąć się ze swych pazurów.

— Ja tego jednego szlachcica chcę wolno puścić ze względu na ważne przysługi, jakie oddał waćpannie — zaczął Szczepan powoli i z naciskiem, śledząc wciąż z uwagą twarz dziewczyny. — Nie stanie mu się nic złego. Owszem: każę o nim największy starunek mieć, starem winem poić i lekarza biegłego z Żasławia sprowadzę, by mu rany lepiej opatrzył i skuteczne medykamenty spreparował a do prędszego zdrowia wrócił. A wtedy ja dam tenm szlachcicowi ochronę i każę go odwieźć do samej tej rudery, którą trzyma teraz z naszej łaski, pana stryjkowej i mojej. I nie tknę go już nigdy, chyba sam mnie zaczepi. Czy dość i czy waćpanna zadowolona?

Panienka patrzyła nań szeroko rozwartemi oczyma, Jak dziecko, słuchające cudownej bajki, i ręce same składały się jej jak do pacierza, a z ust rozchylonych chciały się wyrwać jakieś słowa podziwu, pytania czy podzięk, wnet jednak zdawały się cofać, jakby je ktoś w głąb wpychał. Poprostu to, co mówił Szczepan, było zbyt cudne, zbyt łatwo rozwiewało obawy, rozdzierające jej duszę od owej straszliwej a tak nieszczęsnej nocy, a rozwiewał je — kto? Ten, w którym przywykła

widzieć najgorszego własnego i pana Kazimierzowego wroga, ten, któremu przywykła nie ufać nigdy, a bać się zawsze, jako największego ze wszystkich możliwych niebezpieczeństw i nieszczęść.

A on tymczasem, rad z wrażenia, jakie wywołały jego słowa, podparł się w boki i rzucił jej z odzieniem przechwałki:

— I cóż na to waćpanna?

Hanusia dłonie splecione podniosła do góry, jakby czyniąc gest zakłęcia czy obrony.

— I waćpan za to nic... I waćpan w każdym razie... — wyrwało się jej wreszcie z ust pytanie.

Szczepan przegiął się wpół i podszedł ku niej bliżej, wciąż świdrując w jej obliczu złośliwymi oczkami.

— Ja za to? — zaśmiał się. — Oczywiście, że nic. No i w każdym razie, tak!

Zdawało się, że ostatnie słowa przewaliły wreszcie w jej duszy ten mur niedowierzania i wstrętu, jaki ją dotąd opancerzał przeciw niemu. Wyciągnęła do niego obie ręce i postąpiła krok naprzód.

— O, dzięki ci, dzięki! — zawołała głosem łamiącym się w łkanie. — Nie oczekiwałam, nie mogłam przypuszczać...

— Że potrafię okazać wdzięczność temu, kto mi ocalił oblubienicę?

Panienka cofnęła się, ręce przed siebie wyciągając, jakby oś chciała odepchnąć.

— Jaikto? — przedarło się jej głucho przez ściśnięte gardło. — Jakto? Coś ty rzekł? Co to znaczy?

— To, że jeśli waćpanna pozostaniesz mi tem, czem dziś jesteś, cóż mi za Tacja płacić twoje długi. Niech to czjyni ten, któremu dasz wraz z ręką i prawo opieki a wdzięczności. Ale jeśli mnie zechcesz, wówczas... Tak, wówczas to prawo i ta powinność spadnie na mnie i ja je wykonam!

Panienka zachwiała się na nogach i byłaby upadła, gdyby nie krawędź łoża, o które oparła się, i jakby oślepią nagle, slaniając się i macając drzewo palcami, poczęła iść wolno ku ścianie, aż trafiła na zydel i opuściła się nań ciężko.

Szczepan podszedł do niej i zatrzymał się o krok.

— Waćpanna zrozumiej to — rzekł, pochylając się nad nią, by go lepiej mogła słyszeć, bo mówił cicho. — Ten człowiek, to wróg mojego rodu, to wróg mój własny! Onże śmiał sięgnąć swoją chudopacholską łapą po tę, która nosiła moje miano, po tę, którąm wybrał dla siebie i miał ją już za swoją własność, jako i to wszystko, co mi pan stryjec obiecał wraz z tobą. A tyś jego wołała, niż mnie, jegoś wybrała, i teraz oto słabniesz z radości, gdy słyszysz o nadziei ocalenia dla niego, jak słabniesz z bólu i strachu, gdy wspominam o tem, że możesz zostać moją!

Ona nie odpowiedziała mu nic, dłońmi jeno zasłoniła oczy, jakby dlatego, by ukryć się przed nim i nie widzieć jego strasznej twarzy.

On zaś, pomilczawszy chwilę, jakby dlatego, by okrutne serce nasycić dowoli bólem jej i trwogą, znowu począł.

— Więc tyś myślała, szalona dziewko, że ja go będę oszczędzał dla twoich pięknych oczu i dlatego,

by potem patrzeć, jak on brać cię będzie i panować na twoich włościach, na włościach rodowych Turobojskich, jak natrzęsać się będzie z przyjaciół z mojej głupoty? O, zaprawdę, nie umiałem ja przed tobą pokazać dotąd, co potrafię i kim jestem, jeśliś mogła we mnie widzieć takiego wędrownego rycerza! Ale dość już tej szopki. Słuchaj mnie!

Mówiąc to, chwycił ją twardą dłonią za ramię i potrząsnął nią silnie, a gdy miała upaść na ziemię, podtrzyma! ją, nie puszczając z garści jej ramienia.

— Słuchaj! Ja tego twojego gagatka wyżej gardła już nam, i sam Bóg go z mojej ręki nie wyratuje, jeśli folgę złości dam! Djabeł jakiś go strzeże, skoro trzykroć z pod stryjkowej i mojej szabli żyw wyszedł, co się pewnie nikomu drugiemu nie przygodziło, ale czwar ty raz go nie ustrzeże, i ja z tym djabełem dam sobie wkońcu radę!

Odetchnął głęboko, by ulżyć piersi, dławionej gniewem, i znów mówił:

— Jeżeli tedy tej godziny jeszcze postanowisz i wobec całego dwóTU i kilku z onej szlacheckiej psiarni zadeklarujesz, że dobrowolnie oddajesz mi rękę, a potem wnet uczynisz mi śluby przed plebanem, natenczas ja tego twojego Salwatora bez mieszkania wypuszczę, krzywdy mu nijakiej nie czyniąc, jakom ci rzekł. Jeśli jednak odmówisz, wówczas każę go również bez chwili zwłoki wolną męką umorzyć. Na tom go dał pokrzepić, by zniósł więcej i nie zamarł zbyt rychło. Każę mu szpikulce wbijać za pazury, skórę cienkimi pa smarni odzierać, gorącym żelazem szczypać, i sto gor

KBMM

szych jeszcze mąk wymyślę. I tutaj, obok twej sypialni, dam go na męki, byś słyszała, jak będzie wył od rana do nocy i od nocy do rana, odpoczynku podczas zażywania, winem starem się krzepiąc, by dłużej uciecha ta trwać mogła, zanim ostatnią parę puści...

— Dość! — wydarło się z piersi dziewczyny.

Tyle było rozpaczliwej energii w tym jednym wyrazie, że Szczepan urwał i tylko wciąż wpatrywał się w Hanusię, jakby chciał wzrokiem przebić dłonie, które osłoniła przed wzrokiem tym oblicze. Ona zaś stała przez chwilę nieruchoma, wreszcie ręce odjęła od twarzy i oczy bez trwogi ale d bez blasku, tępo i szkliste, zwróciła na młodego Turobojskiego.

— Zgadzam się! — rzekła głucho. Wiedz mnie do księdza... Tylko jego puść przedtem!

— Puszczę go, ale potem!

Ona ręce wyciągnęła przed siebie, nagłym strachem zdjęta.

— Nie, nie! — jęknęła. — Nie tu! Nie tu! Nie teraz!

— Teraz właśnie... Albo jeśli wolisz, każę mu na poczekaniu w twoich oczach odedreć kawał skóry i ranę balsamem z gorącej smoły zalać!

Panią pochwyciła się rękoma za głowę.

— Milcz! Milcz! — krzyknęła. — Rób ze mną co chcesz! I Bóg niech cię sędzi!

On skłonił się jej z szyderczym uszanowaniem.

— Niechże spełnia się twoja wola. Wiedziałem, że zgodzi się z moją!

I klasnął w dłonie.

Drzwi z obu stron rozwarły się naościęz i w progach stanęło kilku ludzi.

— Wołać mi tu całą służbę zamkową, co starszych i lepszych, — rozkazał młody pan, dumnie podnosząc głowę. — Ty, Wasyl, sprowadź tu z pół tuzina tycli opojów z pod podłogi, niech patrzą i słyszą, by potem mogli świadczyć. A gdy tu już wszyscy staną, idź znów osobno po jaśnie wielmożnego dziedzica na Horodyszczu. Niechże i jego oczy napasą się widokiem mojej fortuny, nim powróci do swych zamków a włości!

Wasyl, najstarszy po Makarze z semenów, skłonił się i wyszedł, żeby niedługo potem wrócić w towarzystwie panów Deręgiewicza, Jarosińskiego i Brzechwy oraz trzech innych poważniejszych posesjonatów, używających obecnie frasobliwego wczasu w lochach łażuńskich.

Ujrawszy swych więźniów, Szczepan w boki się wziął i począł przyglądać się im z szyderczym uśmiechem.

— A co, wielmożni mościowie? Podoba się miłościom waszym gościna w tym naszym zameczku? Tak wam tu było pilno, takeście się tu wdzierali, i ot, jesteście, gdzieście chcieli być, jeno, że Łazuń tak was chętnie gości, że i nie puszcza, chociażbyście i chcieli wyjść!

Zachychotał głośno, rad z trafnego żartu, a dwór cały, licznie zgromadzony, dokoła ścian i przy drzwiach otwartych, pośpieszył zawtórować śmiejącemu się panu.

Ale szlachcie, z wyjątkiem osowiałego całkiem Brzechwy, zwłaszcza zaś panu Bartłomiejowi, nie w smak poszedł żart młodego Turobojskiego.

— Jeśli nas poto wołał, by z naszej nędzy szydzić i poniewierać nami, żeśmy w łykach, to wolej wróc nas pod podłogę, bo w piwnicy nikt nam przynajmniej nie urąga.

Towarzysze, oprócz Brzechwy, energicznie potakiwali jego słowom.

— Chamska to maniera, nie rycerska, uwięzionemu urągać i natrząsać się z więźnia w łykach!

— Pełną masz gębę i dufnie spojierasz, bo wataha zbrojnych przy tobie! Inaczejbyś śpiewał, spotkaw- szy się z nami samowtór w stepie!

— Albo i samosześć! Nad bezbronnym jeno i głodem morzonym on taki mocny!

— Ubij, kiedy wola, ale wara ci nami pomiatać!

Szczepan znów zaśmiał się na całe gardło i aż ręce zatarł z wielkiej uciechy.

— Theatrum! — zawołał. — Prawe theatrum! Niema co i mówić! Djabelska fantazja w tych oberwań- cach! Tak właśnie, jakby każdy z ichmościów miał za sobą stu hajduków! Ale hola, mościpankowie! Tu nie sejmik i nie jarmark, i nie to szlacheckie śmietnisko, na którym wasza wola i wasze prawo! Tu ja pan i jeśli zechcę, to wsypię każdemu po trzysta batogów, albo i na te paliki powbijam, które tam strecz i na dziedzińcu, i co mi kto zrobi?

— W politycznym narodzie żyjemy, a nie wśród barbarów!—oz wał się drżącym z oburzenia głosem pan Oswiejko, stary, buńczuczny szlachcic o cholerycznej

twarży, szarpiąc niecierpliwie pas w miejscu, w którym zazwyczaj wisiała mu, pobrękując przy każdym ruchu, karabela. — Cóżto, z poddańczukami masz waść sprawę, czy co? A toć przecież są jakoweś le- ges w tym kraju, a za mniejsze gwałty kat nagradza!

— Na cóż to zeszło naszemu rycerstwu, — jęknął żałośnie pan Bartosze wieki; — gdzież się wolność złota podziła i szlacheckie przywileje, że takich słów musimy tu słuchać!

Ale pan Jarosiński wysforował się na sam przodek, czerwony jak burak, wymachując młyńca rękoma pod samą piersią Turobojskiego.

— Zdrajco! — pisał najdonioślejszym swym dyszkantem. — Znęcać się nad nami myślisz, jako Tatar, ale poczekaj! Zapłacisz nam jeszcze z nawiązką!

— Milcz, psie! — ryknął Szczepan, uderzając małego szlachcica w piersi pięścią tak potężnie, że ów jęknął, krwią plując. Szczepan wyrwał nóż z za pasa i rzucił się za nim, chcąc go przebić.

Deręgiewicz wraz z panem Oswiejką zasłonili ogłuszonego Jarosińskiego.

— Nas żgnij przedtem! — krzyczał pan Bartłomiej.

Ale młody Turobojski oprzytomniał już.

— Nie czas myszy kota drażnić, gdy ją trzyma w pazurach — mruknął. — Godziłoby się ichmościom o tem pamiętać! Ale mniejsza z tem! Nie na kłótnie ja was tu wezwałem, bo i jakąż tam kłótnia między panem a niewolnikami? Owszem, na zgoła weselsze rzeczy tu przybyliście. Oto bowiem dziś dzień wielce radosny dla mnie i dla stryjecznej mojej, tu obecnej jejmość

panny starościanki, bo wnet przy tym ołtarzu mamy sobie ślubować.

Mówiąc te słowa, dał znak służbie ściśniętej we drzwiach, by się rozstąpiła i zdumionym oczom szlachty ukazał się ołtarz, gorejący światłem i pleban w kapie.

— Na Boga! Co to jest? — wyrwało się Deręgiewiczowi.

A z kąta ozwał się chrapliwy, nabrzmiały wściekłością pisk Jarosińskiego, który wciąż krwią broczył:

— To gwałt! Raptus puellae! Przymus! Infamia! Veto!

Ale Szczepan zdawał się nie słyszeć tych protestów i zwrócił się do Hanusi, która była dotychczas, narówni z ojcem, niemym i nieruchomym świadkiem tej sceny.

— Powiedz waćpanna, — rzekł jej, popierając słowa nakazującym spojrzeniem, — azali chcesz pójść za wolą swego rodzica i za własną wolą, ślubując mi afekt dozgonny?

Ona przez chwilę nic nie odpowiadała, jakby nie słysząc pytania. Turobojski pochylił się wówczas ku niej tak, że ustami dotykał niemal jej ucha, i szepnął bardzo cicho-

— Mów prędko i niech uwierzą, że to dzieje się po twej woli, bo inaczej wnet dam go na męki!

A głośno powtórzył pytanie.

— Rzeknij-że i zadeklaruj tym ichmościom, com ich tu na świadków moich godów przyzwał, azali to dzieje się z wolą twoją, ozy nie?

Ona twarz odwróciła od niego, przechylając na bok całą postać, by dalej się znaleźć, ale zarazem skłoniła głowę automatycznym ruchem.

— Z wolą — rzekła głucho.

— O, biada — syknął pan Bartłomiej.

I dodał ciszej:

— Biedny nasz rotmistrz!

A równocześnie z pod ściany rozległ się pisk Jarosińskiego:

— Rety! Rety!

Ale Szczepan podniósł dumnie głowę i rzucił dokoła triumfujące spojrzenie, zatrzymując je nieco dłużej przy wydłużonych obliczach swych jeńców. Poczem skinął na Wasyla.

— Masz tu klucz! Idź i przyprowadź tamtego z Horodyszczu!

Zaledwie zamknęły się drzwi za Wasylem, kiedy Hanusia ocknęła się ze swej dotychczasowej martwoty, i pierwsza podeszła do Szczepana.

— Prędej! — rzekła mu stanowczym, prawie nakazującym tonem. — Zaczynajmy!

On zdziwił się.

— Tak ci z tem pilno?

— Pilno! Co ma być, niech będzie!

On zaśmiał się, szydząc.

— Aha, rozumiem! Nie chcesz, by to było na oczach tamtemu?

Ona nie odrzekła nic, jeno postąpiła naprzód i stanęła przy księdzu.

— Albo zaraz, albo wcale! — rzekła dobitnie z jakąś rozpacziwą determinacją.

— Więc dobrze! — przystał Turobojski, stając obok niej.

I dodał, odwracając głowę ku szlachcie:

— Widzicie waópanowie, jako pannie starościance pilno!

Deręgiewicz westchnął w odpowiedzi, czyniąc sobie w duszy mocne postanowienie trwania statecznie w kawalerskim stanie, skoro pleć nadobna tak mało ma stałości w afektach, a Jarosiński aż zapiszczał ze złości i żalu.

Pleban tymczasem odmówił pośpiesznie Veni Creator i zaczynał dawać wstępne pytania.

Ale w tej chwili drzwi od krużganku rozwarły się z łoskotem i wpadł przez nie, jak wicher, Wasyl.

— Panie! — krzyknął. — Nieszczęście!

— Co takiego? — wrzasnął Turobojski, rzucając się ku niemu.

— Miśniakowskiego.-. niema! . — Jak to niema?

— Uciekł!

m.

NA RATUNEK ROTMISTRZOWI.

— Ty moja już teraz, sołnyszko ty jasne, zazulo ty rodzona, aniele ty Bożyj na ziemi!

Zdobył ja ciebie i nie oddam nikomu, a duszę zagubię temu, co stanie

W zaklętem zamczysku, II.

0

teraz między mną a tobą. Oj, naczekał-że się ja ciebie, oj, natęsknił-że się za tobą, oj, wysechł-że ja bez ciebie, jak ta trawa w suche lato i jak ta szczzapa, co ją w ogień mają wrzucić! Aż znalazł ja ciebie wreszcie i ukradł tym perehińskim biesom, i trzymam ciebie teraz, i nie dam, moja ty łastywoczko, moja gołąbko biała, cwitoczku mij krasnyj! Makar stary lis, ale Artem chytrzejszy od Makara! Ich pół sotni, a ja sam jeden, i ja im z pod nosa ciebie wziął, i oni teraz jeszcze nie wiedzą, kto to taki był, i myślą, że to był sam czort, albo ataman Jurko, czortowy syn, a to ja, ot prosty twój najmyt, od nich wszystkich mędrszy i mocniejszy!

Tak przechwalał się Artem, stojąc w otworze szałas, ukrytego na dnie leśnego jaru w mrocznym, może nigdy stopą ludzką nietkniętym ostępie. Stał z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, z oczyma utkwionymi w ciemny ką, w którym coś czerniało niewyraźnie, niby ludzka postać skulona i w sobie ściśnięta, niby dziki zwierz, śmiertelnie znużony pościgiem myśliwych. W środku szałas tliło się, dymiąc, ognisko, z którego rzadko błysnął czerwony język płomienia, niezdolny przebić gęstej opony cieniów leśnych i napełniających watę dymów. Artem jednak przebijał widocznie okiem ciemność i poza jej mrokami widzieć musiał postać dziewczyny, którą miłował, bo oczy miał pełne blasku, i łunna była mu z oblicza, i mówił z ciemnością i ciszą, jakby go słyszeć mogły. Ale on wiedział, co czynił, i słyszała go ciemność i cisza, bo ciemnością tą i ciszą otulił się skarb jego najdroższy.

Bo tam w kącie, za ogniskiem, kuliła się na posłaniu z liści Motra.

On ją tu przyniósł, wykradłszy z niewysłowioną i niezrównaną zręcznością wprost z rąk doświadczonym wilkom stepowym. Ona teraz jego, jak on przedtem był jej... Ale nie! Artem czuł to dobrze, że należy do niej, jako i przedtem, że ona pani, a on pies jej niewólmy a wierny, któremu leżeć jeno u jej stóp.

Ale dziewczyna nie odpowiadała mu ani słowa. Siedziała w cieniu, nie ruszając się, jakby chcąc przed nim się ukryć.

Chłopak spostrzegł to i serce musiało mu się rozżalić, bo w dalszych jego słowach brzmiała skarga.

— I czemuż ty, zazulo, nie przemówisz do mnie? Czemu chowasz się przede mną, jakby ja był twoim wrogiem?

— Jaż rab twój, caryco ty moja, i nikogo ja sierota nieszczęstnyj nie mam prócz jednej ciebie na świecie! I ja niczyjej doli dobrej nie szukam, ni požadam, tylko twojej. Moja dola niech przepada, byle ty w szczęściu chodziła, jak w słońcu! A ty milczysz i uciekasz, i oczy ode mnie odwracasz! Cóżto, wróg ja tobie, albo od druhów dobrych ja ciebie wyrwał, od przekłętogo Turobojskiego i od Jurka bisowego syna, co ciebie siłą brali i za niewolnicę mieli? Czy to ich tobie żal, czy u nich byłaś bezpieczniejszą i szczęśliwszą, niż u mnie, co krew wszystką z pod serca oddałby, byle z oczu twoich wypatrzeć, czego dusza twoja pragnie, i rzucić to tobie pod nogi, choćby to był i mój własny żywot, i gorsza od śmierci męka!

Przerwał, czekając przez chwilę, czy ona nie przemówi, ale dziewczyna milczała wciąż, jakby jej nie było lub jakby nie doszły jej Artemowe słowa. Więc za włosy się chwycił, zaklął strasznie i krzyknął z rozpaczą:

— Rzeknij-że choć słowo, bo mnie czort opęta i go- towem nieszczęście uczynić sobie i tobie!

Wtedy z cieniów i dymu wypłynął głos jej stłumiony i bezdźwięczny.

— Łatwo tobie gadać, żeś mój rab i nic, jeno woli mojej patrzysz, ale słowa, to plewa, którą wiatr po stepie nosi! A niechby ja rzekła: „Chcę!” prędkobym postyszała od ciebie: „Wszystkiego innego żądaj, to dam, tylko tego jednego — nie!” A ja czego innego nie chcę, tylko tego jednego, czego ty dać nie zechcesz. Taka to ja tobie caryca i taki ty mój rab! Artem milczał przez chwilę i w ciszy, zalegającej dymny szalas, słyhać było tylko jego ciężki, przyspieszony oddech. Wreszcie ozwał się głuchym, jakby z pod ziemi dobywającym się głosem.

— Czego ty, dziewczyno, chcesz ode mnie?

— Ja? Niczego! Odczep się!

— Chcesz, żebym ciebie tutaj porzucił w tym jarzt, na żer siromachom i upiorom?

Motra zaśmiała się.

— Bałabym się upiorów? Jaż wiedźma! A siroma- chy lepiej mnie słuchają od. ciebie!

— To i pójde! Ostawaj sama, jeśli ci nie luby.

— Oj, nie luby ty mi, nie luby! Szczelnij i niech ślad twój przepada!

— Pójde i dam znać semenom perehióskim, gdzie ciebie szukać!

— Powiedz! Będę tu na nich czekała, jakże!

— A może wolisz, żeby ciebie ataman stąd zabrał?

— Pewnie, że mi lepszy będzie on od ciebie, muzyku! Chłopaka gniew porwał i zatrząsał nim, aż skry mu poleciały z oczu.

— Suko! — krzyknął, zaciskając pięści i zgrzytając zębami.— Ejże, strzeż się!

— Chcesz mnie może zabić? Zabij, i owszem!

On znów za głowę się chwycił obu rękoma i zakoły. sał nią kilkakrotnie.

— Oj, doloż moja, dolo ty nieszczęsna!—jęknął.— Nie rodzić mi się było lepiej, niż taką mękę cierpieć.

Czas jakiś trwała znów głucha cisza.

— Słuchaj, Artem, — ozwała się nagle dziewczyna. —Ty mnie do Łazunia zaprowadź!

— Tak to tobie do twojego Szczepanka pilno wracać?

— Pek jemu, cur jemu, przekłętemu! Nie do Szczepanka newiry, ale... Nie, nie do Łazunia, tylko...

— Tylko gdzie?

Motra milczała przez czas jakiś.

— Słuchaj!—rzekła wreszcie.—Ty ode mnie do a Łamana idź!

Artem aż syknął z wściekłości.

— Za tym ci teraz tęskno? Ne tuży! Znajdzie on ciebie i tak!

— Mnie pilniej jego znaleźć!

— Przepadnij ty razem z twoją czarną duszą! Dwóch jej naraz chce się! I Turobojskiego, i Nawizene-

go! A ja mam jej sprowadzić po kolei to jednego, to drugiego! Tfu! Sromu nie masz, dziewczko!

— Ciebie pewnie będę się sromała!

— Idź-że sama za nimi, bo ja ci do tego nie posłaniec!

— Gdybyś mnie miłował naprawdę, tobyś był w tem posłańcem, bobyś uzałił się mojego młodego życia i mojego zakrwawionego serca.

— Nie ja na takie rany znachor!

— Kto przyjaciel, ten i znachor!

— To u ciebie družba, dziewczkę miłowaną na rozpustę drugim dawać?

Ona zerwała się nagle, prześliznęła się koło ogniska i, chwyciwszy go za obie ręce, gwałtownym ruchem pociągnęła zewnątrz szalasu.

— Spójrz na mnie, ty, głupcze! — krzyknęła. — Ozy tak wygląda dziewczka, której na rozpustę śpieszno?

Dzień był szary i mglisty, a strome ściany głębokiego jaru, zacienione gąszczem drzew i krzaków, tamowały prawie zupełnie dostęp światłu. Ale Motra pociągnęła chłopca o kilka kroków dalej, gdzie na miejscu pnia, zwałonego burzą lub piorunem utworzyła się wśród zieleni szpara, i przez nią widniał skrawek nieba. Tam stanęła przed nim w najjaśniejszym krążku tak blisko, że twarzą dotykała go niemal, i zawołała nań nagłym tonem:

— PatTz że, durny, patrz!

Artem, choć przywykł pani swej bić czołem, w tej chwili nie byłby może oparł się pokusie przyciśnięcia ust do dotykającej go prawie twarzy, ale twarz

ta, gdy spojrzał na nią, przejęła go takim przerażeniem, jakiego nie wywołałby w nim pojawiający się niespodzianie wilkołak, albo i sam czart. Była to naprawdę twarz raczej widma, niż żywej istoty, bez kropli krwi w licach, z oczyma, gorejącymi jak cementarne pochodnie, przepelnionymi dzikim jakimś niepokojem i bezdenną rozpaczą. Widok jej był tak straszny, że Artem odskoczył wtył i ręce przed siebie wyciągnął, jakby chciał marę odzegnać i dur z siebie spędzić.

— Co ty? Co tobie? — bełkotał, sam nie wiedząc, co mówi.

Ona zaśmiała się dziko.

— A widzisz, jaka ja? A ty myślał, że ja ciebie po kochanków posyłam!

— Co tobie? — powtórzył Artem, nie mogąc jeszcze przyjść do siebie ze zdumienia i przestachu? Czy ci co zadali? I czego ty chcesz?

— Idź ode mnie do Jurka Nawizenego! — odrzekła mu rozkazującym tonem.—Idź do Jurka Nawizenego i powiedz mu... Ale idź prędko, bo od tego zależy żywot lub śmierć...

Urwała i twarz na mgnienie oka w dłoniach ukryła, wnet je odjęła jednak, wstrząsła się, jakby odpędzając precz ból i niemoc, i chwyciła chłopca za obie dłonie.

— Słuchaj mnie,—rzekła,—słuchaj i staraj się wyrozumieć a rzuć precz, hen za ten las i za wodę, głupią twoją zazdrość, bo o co innego idzie. Zrozumiesz mnie, uwierzysz—dobrze! Dwojga żywot ocą-

liasz; a już czyja jak czyja, ale moja śmierć pewna. A tyś mówił zawsze i teraz przysięgasz, że mnie miłujesz! Toż jeśli miłujesz, nie dasz mnie na śmierć! I tyś mnie od tak dawna lubił pociichu, ledwie oczy na mnie podnosząc, i sam mówiłeś, że ja, czy gwiazda, tobie za jedno. I gdyby mnie zaswatał jaki młójec z sąsiedniego futoru, tyżbyś i słowa nie rzekł, bo gdzież ci było po moją rękę sięgać i do popa pod wieniec mnie wieść! A może nieprawda?

Artem nic nie odpowiedział przez chwilę. Ale ona przesywała go spojrzeniem nagłym, w którym było i błaganie, i nakaz.

— Prawda,—mruknął wreszcie.

— A widzisz! A jakbym ja tobie rzekła: „Artemie-ho!ube, ty dla mnie sieroty brat, ty mi dopomóż, żebym ja tego dostała, którego serce moje wzлюбиło, bo jak ja tego nie dostanę, to mnie śmierć i już na mnie nie będą patrzeć twoje oczy!” — czy tyby mi powiedział: „Nie!” na takie moje słowo? Powiedz, czyby ty mi odpowiedział „Nie!”?

On długo nie odpowiadał, wpatrzony w nią żrenicami szeroko rozwartymi, jakby z przerażenia.

— Co ty za słowa gadasz, dziewczyno, co ty za słowa gadasz!—mruknął wreszcie raczej sam do siebie, niż do niej. — To straszne słowa! To jakby z ogniem zabawa! Bacz, by ogień ten nie spalił ciebie!

Ona zapewne nie dosłyszała tych słów, albo też nie posłyszawszy tych, których czekała, nie zwróciła na to, co on rzekł, uwagi.

■— To już tobie wszystką prawdę powiem,—zaczę

ła, śledząc na jego twarzy wrażenia, jakie słowa jej uczynią. — Miłuje dusza moja tego Laszka, co był z nami na Kupajłyci, i ty wiesz o tem dobrze, że go miłuję, jego jednego, a nie żadnego z tych psów, co dolę moją zatracili i hańbę mi przynieśli.. I ty wiesz, że on kochania mego nie chciał, że mnie odegnał od siebie, jak nalaźliwą sukę! Jużem go była okiełznała, jak nieposłusznego konia, już krew mu wypiałam z białych lic, i kark mu nagięłam hardy, i byłby stał się rabem moim, jako ty byłeś, ale mi się wymknął i zerwał pęta, któremi go wiązałam i tę młódkę szlachecką sobie upodobał, bez krwi, bez siły, bez duszy, a mnie zgniótł i precz odrzucił, jak robaka... Och, doloż moja, dolo!

Przycisnęła rękę do piersi, tłumiąc przelotne łkanie.

— Żebym' go była wtedy zabiła! Alem nie zabiła, więc urok, który na niego rzucałam, na mnie odwrócił się i ssie mi serce, ssie, jak żaden na świecie lubystek nie potrafi... I ot, podczas gdy ty gonił mnie i ślady semenów odszukiwał w lesie, ja podśluchałam, co mówili...

• — .0 Miśniakowskim?

— O Miśniakowskim. Jak go ten perehiński czort w łyka wziął, tak wszyscy wiedzą, że go żywi tylko dopóty, póki panny za żonkę nie weźmie, a wtedy innych puści za okupem, a jego da wbić na pał, albo jeszcze gorszą męką śmierć mu zada... Och, ja nieszczęśliwa!

Artem poruszył się niecierpliwie.

— To i cóż stąd? Cóż ty na to poradzisz i co ja pomogę, choćbym i chciał!
— Pomożesz, jeśli zechcesz, bo pomoc można.
— Mam z gołemi rękoma iść na łązuńskie puszki i na dwieście ludzi załogi?
— Nie ty, ale Jur ko! On mocny i chytry, on zduża Turobojskiemu!
— To ty myślisz, że on tak zaraz poskoczy, kiedy ja mu powiem, żeby twego miłego wyratował?

Motra przez chwilę milczała, wpijając się oczyma w twarz parobka

— On jego wyzwoli... dla mnie, — rzekła wkońcu.
— Idźże sama prosić go o to!
— Jak ja pójdę, on nic nie zrobi, bo i co jemu do kłótni Turobojskiego z Miśniakowskim!
— A widzisz!
— Ale jakbyś ty do niego poszedł i tak mu rzeki: „Ja wiem, gdzie jest Motra! Wyzwól Miśniakowskiego, a ona do ciebie wróci...”

Chłopak zaśmiał się dziko.

— Ty jej sokoła wypuść, a ona do klatki wróci. Rozumiem! A ja mam dla jednego twego kochanka klatkę otwierać, a ciebie drugiemu w potrzask wieść!

— Bo inaczej on zginie i ja zginę razem z nim!

Artem zaklął i splunął ze złością.

— To gińcie!

A potem podniósł na nią gorejące źrenice.

— Ale przedtem ja te oczy twoje jasne zacałuję i krasą lic twoich się upiję, a potem nóż w serce tobie i mnie! Niech tam!

Ona cofnęła się o krok.

— Nie, nie! Bo on tam zostanie bez ratunku!

— Co mnie do tego!

— To, że z twoich zamysłów nic. Patrz tu!

W mgnieniu oka, jak dziki zwierz, uskoczyła w głąb i paru skokami wdrapała się na ścianę jaru. Nim chłopak mógł się opamiętać, była już na górze i błysnęła ku niemu długim nożem.

—Nóż tobie i mnie!—przedrzeźniała go.—Myślisz, że Motra głupia, jak drugie dziewczki? Nie bój się! Nie z takimi dawałam sobie radę.

—Co ja mam zrobić dla ciebie?—wyjęknął wreszcie drżącymi ustami Czego ty ode mnie żadasz?

Ona głowę spuściła wdół i ręce splotła, nie odrywając od niego oczu.

— Nie męża, ani kochanka! — rzekła z gorzkim uśmiechem. — Nie bój się! Jedną głowę miłą od śmierci ocalić, takiego człowieka, co drugiej duszę swoją oddał, a na mnie ani patrzeć nie chciał i nie spojrzy nigdy! Tego ja chcę ratować, jeśli żyje, a pomścić, jeśli już zgubił go wróg okajannyj! I do tego ty mi musisz dopomóc, Artemie! Słyszysz? Musisz! Artem wzrok zanurzył głęboko w jej oczy.

— Ty jego bardzo miłujesz? Powiedz: bardzo? Ona głowę spuściła wdół i ręce splotła przed sobą.

— Bardzo! — szepnęła.—Och bardzo! Nad duszę własną, nad wszystko!

I, schwyciwszy się za włosy, jęła je rwać sobie z głowy ruchem wściekłej, bezdennej rozpaczy,

— Bodajby mnie matka nie była rodziła na ten świat przeklęty! — krzyknęła.

Artem patrzył na nią wciąż, ścisnąwszy usta.

— Ty więdźmo czartowska! — zaklął.

Ona zaśmiała się.

— A tak, tak, jakże! Ja więdźma i czort u mnie na usługach! I dlatego na nic tobie na mnie się porywać! Ale posłuchaj! Może to się stać, o czym w najtajniejszej dumce swojej pewnie nie pomyślałeś dawniej. Możesz mnie wziąć i po koniec wieku zostanę już twoją, i niczyją, krom ciebie nie będę, byłeś tylko raz jeden uczynił po mojej woli i byle ten Lach ocalał.

On zdumiał się i aż czoło przetarł dłonią, jakby myśli zbierał.

— Moją? mówisz? A cóżes o Jurku plotła?

— Nie plotłam, bo tak być musi! Bez tego Jurko jego nie wyzwoli i on umrze, a ja z nim. Ale to nic! Słuchaj mnie! Ja Jurkowi nie dam się i tak go opętam, że nie będzie nic widział i niczego się bał, a ty tymczasem przyczaisz się jak lis, gdy czatuje na kurczę, i chwycisz mnie jemu ze szponów jego kozackich, i przepadniesz ze mną w stepie, i nigdy już więcej nie wypuścisz mnie, a ja będę odtąd nie panią twoją, ale najmitką, jak ty byłeś moim, i nogi tobie będę myła, i w oczy twoje patrzyła, i ślady twoje całowała, hołube mij, sokole mij, luby ty mój!

I wyciągnęła ku niemu ręce, paląc go zarem swych spojrzeń, właśnie jakby on był jedynym umiłowanym, do którego przylgnęło jej serce.

Parobek stał przez chwilę, jakby namyślając się, czy walcząc z sobą.

— Ej, dziewczyno, dziewczyno! Co ty ze mnie czynisz? I co ty sobie gotujesz, jeśli to brechnia i obłuda?

Ona podchwyciła pośpiesznie jego myśl.

— Śmierć! — zawołała skwapliwie. — Śmierć w męce! I widzisz, jako jej się boję?! Czy jeszcze wąpisz?

— Albo ja wiem? — mruknął chłopak niepewnym głosem.

Potem jednak podniósł głowę i otrząsnął się, jakby coś zrzucić chciał z siebie.

— Niechże będzie po twojemu! Idę! Gdzie on, myślisz?

— Ataman? Pewnie gdzie krąży, jak wilk, między Perehińskiem a Łazuniem, szukając, gdzie mnie Makar ukrył, bo w ucieczkę nie uwierzy.

— Pewnie, że tak jest! Znajdę go, nim drugi raz słońce zejdzie.

— Czekaj! Niech ci przysięgnie! On przysięg nie łamie!

— Przysięgnie! Wtedy wrócę tu z jego ludźmi!

— Nie! Niech oni tej kryjówki nie znajdą! Kto wie, czy uciekając od nich, niedobrze nam będzie tu schro. nić się!

Artem ramionami ruszył.

— Już ja ciebie tu nie ostawię, gdy znów chwycę! W taki step ciebie poniosę, taką głuźkę, że ciebie tam żaden watażka nie wytropi!

Mówiąc to, odwrócił się i począł zwolna iść wśród gąszczów krzew i traw, splątanych w olbrzymi zielony koł

tun i zalegających dno jaru. Motra patrzyła za nim. a w miarę, jak się oddalał, rysy jej przybierały cechę nieubłaganej zawziętości.

— Idź, trop, szukaj i znajdź, psie! — syknęła, dając folgę hamowanej długo wściekłości.
— Rób, co masz zrobić, a gdy zrobisz, giń, jak giną psy, twoje braty!

IV.

NAWIŻENY I GONDEK.

Nawiżeny istotnie kręcił się jak wściekły między Pe-rehińskiem a Łazuniem, szukając Motry. Mołojców swoich rozesał na wszystkie strony, by węszyli jak psy gończe, sam zaś, wytrzymać nie mogąc na miejscu, rzucał się to tu, to tam* jak jastrząb, bijący naoślęp dziobem w gęstwę krzaków, w których ukryło się przed nim spłoszone ptactwo.

Czy miał afekt do Motry? Czuł raczej dla pięknej i powabnej dziewczyny namiętność, a nadewszystko powodowała nim obrażona miłość własna, przekora i chęć postawienia na swoim. Był przyjacielem Szczepana, ale Dyl i jego współzawodnikiem, a choć sam ciemnego pochodzenia i z przezwiska jedynie znany kozak, bardziej jednak od perehińskiego panka subtelny i rycerski, odczuwał niemile grubą naturę tamtego i rad był, znajdując okazję upokorzenia go i cichej pomsty.

Młody Turobojski przeciwnie uznawał w nim i tylko w nim jednym jakąś siłę wyższą, przed którą mimowoli ugiął się i, choć zabijaka na wielki kamień, nie puściłby się nigdy na otwarty konflikt z atamanem, ale oczywista wyższość kąsała go w serce. Tak tedy między dwoma zakłętymi druhami rosła ukryta w głębi dusz wraź- ba, głęboka u kozaka, gwałtowniejsza u polskiego władyczki. Póki byli w dzikim stepie, albo na dniewprowych ostrowach, albo na wyprawach wodnych kozaka po łup, rozwiewało się to, jak ranne opary na nadbrzeżnych nizinach. Niebezpieczeństwo, żądza przygód i odczuwany przez obu urok nad nim pustyni i dzikiej woli spajał znów nierozzerwalnym węzłem te dwa nieokiełznane charaktery. Gdy wracali do wrót zwyczajnego szlacheckiego życia, pękały wiążące ich nici, przeciwieństwa, zawiści, urazy zarysowały się coraz wyraźniej i jaskrawiej.

W złą dla obu godzinę porwał Nawiżeny Turobojskiemu zdobyczną dziewczkę, ale gdy raz ją porwał, nie mógł przenieść tego, by ją druh Szczepan nazad odebrał. Byłoby to zwycięstwo butnego Laszka nad nim, sławnym na całą Sicz watażką, podeptanie sławy jego mołojeckiej. „Jaż przez niego durniem mam ostać?”— mówił sobie, zaciskając pięści kozak i pieniał się, i przysięgał sobie strawy do gęby nie wziąć, spoczynku nia zażyć, póki zguby nie odnajdzie, łupu nie odbierze i swego nie postawi na wierzchu. Szło mu i o dziewczkę, bo mu w oko wpadła, ale sto takich jak ona spotykał po jarmarkach i praznikach, co z nim gotowe były biec na kraj świata, byle palcem na nie kiwnął, stu innym poderznął gardło na azjatyckiem i na krymskiem po- brzeżu. nasyciwszy się wprzód ich urodą. Co mu była

dziewka, wolnemu kozakowi? Ot, ten kwiatusek krasny, co zerwiesz i rzucisz i nogą rozdepcesz! Ale teraz, gdy ją stracił, budziła się w nim z niepohamowaną siłą burza żądź i żalów za utraconą. Teraz podobny był do Turobojskiego, którym od pierwszego spotkania z Mo- trą o władnął szal wścieklej namiętności, ale równocześnie pchały go do wydobywania jej z rąk kozaka takie same, jak Jurkowe impulsy.

Watażka wrócił właśnie do swoich ludzi, czekających go przy uroczysku stepowem, po długiej, iście piekielnej jeździe po stepie. Było już blisko północy i pierwsze kury dawno piałły. Zdobyicznemu arabczyko- wi piana płatami spadała z chra/pów i ze złocistą szer- ścią mieniających się boków, a jeździec, przyrosły do kul- baki, zdawał się widmem nocnym, tak był nieruchomy i jakby zmartwiały. Hołopiat czekał nań przy rozpalo- nem ognisku, dokoła którego rozłożyło się kilkunastu mołojców z watahy Nawizenego. Wszyscy oni, dostrzegłszy zdała pędzącego wodza, zerwali się z burek, podesłanych przy ogniu, i stanęli pizy koniach, czekając w milczeniu jego rozkazów.

On nic nie rzekł, zeskoczył, rzucając cugle Hołopiatowi, i powalił się na ziemię przy ogniu.

— Nic nie rozkażesz, bat'ku? — spytał Hołopiat.

— Doczekamy tu rana. Ozy z tych psów, których wysłałem, żaden nie wrócił?

— Tylko Warenyk z Łysohubem, ale ci nie natrafili na żaden ślad.

— Toż mówię, że z nich psy, co tylko łup brać umieją i zęby do dziewczek szczyryć!

Więcej nic?

— Owszem. Jest tu chłop, co do nas przybłąkał się i gada, że coś wie...

— O niej? — przerwał Nawizeny, zrywając się na równe nogi. — Dawaj go!

Ale rozkaz był zbędny, bo Artem stał już przy nim.

Ataman zmierzył go wzrokiem badawczym, wstrzymując z wysiłkiem pytanie, rwące mu się do ust.

— Gadaj, co wiesz, a prawdę! — rzekł mu wreszcie, — a pomnij, że tu i o złoto i o sznur na szyję równie łatwo.

— Gdybym nie chciał mówić, nie szukałbym was tutaj — odparł śmiało parobek; — a durniem nie jestem i wiem, że łąć wam na nic.

— Więc mów!

— Chcecie dziś jeszcze mieć dziewczkę?

— Ty mi gadaj, co ty wiesz i możesz, a nie — co ja chcę!

— Powiem! Nim słońce wzejdzie, dziewczka będzie w waszych rękach.

— Wiesz, gdzie jest?

— Wiem!

— Więc prowadź!

•— Zaprowadzę, ale...

— Zapłaty chcesz? Nie bój się! Czerwońców trzy czapki ci nasypię, w złocie po pas ciebie skąpię! Zawierz! Ilebyś nie zaceniał, ja tobie dam więcej!

— Ja wam zawierzę i dziewczkę wam wydam przed zapłatą, ale musicie mi zaprzysiąc!

— Co?! — krzyknął ataman. — Co ty sobie myślisz, chłopie? Nie wiesz to, z kim mówisz?

W zaklętem zamczysku II.

— Wiem, ale i to wiem, że o wielką rzecz idzie!

— Bacz jednak, byś miary nie przekroczył, bo mógłbym dać cię na męki, a wtedy, czego mnie rzec nie chcesz, mołojcom moim wyśpiewasz i z zapłaty będziesz miał figę.

— Daj mnie na męki, owszem! Jeno, że wtedy nie dostaniesz dziewczki.

— Obaczym! Hej, Hołopiat!

Artem, stojący dotąd w cieniu poza kręgiem światła, podsunął się teraz tak, że mu płomień rzucał blask swój wprost w oczy.

— Spójrzycie na mnie, atamanie, — zauważył spokojnie. — Czy sądzicie, że ze mnie wydobędziecie co siłą a męką?

Nawiżeny przeszył go przenikliwym spojrzeniem.

— Więc dobrze, — rzekł po chwili milczenia. — Przysięgam, że ci dam tyle czerwońców, ilem obiecał!

Chłop potrząsnął głową.

— Nie, — rzekł. — Mnie czerwońców nie potrzeba, i ja ich od was nie wezmę!

Kozak zdziwił się.

— Czego ci trzeba tedy?

— Mnie niczego. Ale dziewczka przysłała mnie do was, bo potrzeba głowę jedną od zguby ocalić. Więc rzekła mi tak: „Idź ty do atamana i powiedz jemu, niecii przysięgnie, że Lacha z Horodyszczka wyzwoli z łazuu- skiego lochu, a jak przysięgnie, to niech mnie zaraz bierze, bo ja jego sumieniu i czci zawierzę!” Ot jak mi rzekła, a ja wam to odnoszę. Chcecie przysiąc?

Nawiżeny wciąż patrzył na parobka zdumionym wzrokiem.

— Cóż jej na tym Lachu zależy?

Artem ramionami ruszył.

— Co zależy, nie wiem. To wiem, co mnie mówiła, a wy z tem czyńcie, co woła wasza, jeno to wiedzcie, że tak ma być, jak ona rzekła, inaczej nie dostaniecie jej.

— Jeszczeby to się pokazało, czybym i tak nie dostał, ale mniejsza z tem! Cóż, czy ona polubiła tak tego Miśniakowskiego? Głupia! Toż on świata nie widzi poza panną z Łazunia!

— Czy polubiła, czy nie polubiła, dość, że chce jego ocalić, bo pan z Perehińska na życie jego dybie.

— Pewnie, że dybie, jeśli go nie wziął dotąd! A jakże ja mogę przysięgać, że go wyzwolę, skoro z niego już może trup? A choćby i żyw był, jakże mi iść na Łazuń z gołemi szablami, kiedy tam są pustki? A Turobojski mnie tam nie puści teraz, a jak puści, to samego, bez mołojców, a choć we mnie jest moc, nie zwyciężę sam całej załogi. Inaczej zaś nie uwolnić mi Miśniakowskiego, bo go tam już pewnie dobrze mój druh Szczepanek w garści trzyma! Więc jakże?

— Ja tam nie wiem, — mruknął Artem. — Wasza głowa!

— Żeby tak na Turobojskiego, temu przysiąc — tyle, co do lizki strzelić! Ale u nas na Siczy przysięga — święta rzecz!

— Toż dlatego wam Metra i zawierzyła!

— Więc chyba tak niech będzie! Ja przysięgnę, że

zrobię, co będę mógł, a jak nie będę mógł, to już nie mój grzech, a ty mnie do niej zaprowadzisz.

Artem znów głową potrząsnął.

— Nie! Na nic taka robota! Kiedy tak, to wy jego naprzód zwolnijcie, a wtedy dopiero ona będzie wasza!

— Bodajeś przepadł! Taka to twoja wiara?

— Wiara moja duża, ale moc wasza mała!

— Pięty ci w ogień wsadzę, wtedy obaczysz, czy moja moc mała!

— Pięty mi w ogień wsadzić możecie, ale dziewczki beze mnie nie dostaniecie!

— Ano! Spróbowałoby można!

— Spróbujcie!

Przez chwilę stali naprzeciw siebie w milczeniu, mierząc się oczyma, ataman z zaciśniętymi pięściami, roziskrzonym okiem i białymi zębami, kąsającymi do krwi wargi, parobek spokojny i obojętny, jakby nie o niego chodziło. Wreszcie kozak odwrócił się, by rzucić jakiś rozkaz swym ludziom, gdy nagle z przeciwnej strony ogniska zrobił się rumor, wywołany pojawieniem się kilku jeźdźców i gwarem zamienianych z nimi pytań i odpowiedzi.

Rozległy się okrzyki, nawołujące Nawizenego.

— Bat ku atamane! Bat'ku atamane!

— Gdzie ataman!

— My z językiem!

— Strzec tego chłopca! — krzyknął ataman i podszedł szybko do przybyłych.

— A co tam nowego, chłopcy? — spytał, obrzucając bystrem spojrzeniem grupę jeźdźców, wśród której

rozpoznał wnet obcego człowieka, przytroczonego do konia wpoprzek siodła.

— Skąd ten człowiek?

— Z fortalicji! Obacz-no sam, bat'ku!

Na znak atamana jeńca rozwiązano i postawiono przed nim. Obaczywszy go, aż w dłonie klasnął.

— Gondek! — krzyknął. — No, teraz już będę wiedział, gdzie mam szukać dziewczyny!

Ale z poza pleców doleciał go w tejże chwili szyderczy śmiech. Obrócił się i dostrzegł śmiejącego się Artema.

— Ty czego, sobako? — warknął gniewnie.

— Wybaczcie, atamanie, ale tak mi śmieszno się zrobiło, kiedym pomyślał, że tego człowieka piec tu teraz będą i smażyć, a on tyle wie, co i wszyscy wasi mołojcy.

W słowach i w śmiechu dźwięczała taka szczerłość, że Nawizeny nie mógł wątpić. Rzucił jednak pytanie

0 dziewczynę Gondkowi, który stał przed nim w milczeniu, założywszy obojętnie ręce.

1 — Wam o tem lepiej wiedzieć, niż mnie, atamanie,— odpowiedział, ruszając ramionami.

— Nie myż ją wam odbili!

— Więc ją wam istotnie odbili.

, — Ano, jeśli to żarty, gorzkiej one dla starego Makara, bo od wczoraj na palu siedzi, i niesłodkie dla jego półsotni semenów, z których każdy po pięćset łoż wziął, a ja też na pysku ślad pańskiej ręki noszę!

I, uśmiechając się ponuro, wskazał na świeżo przyschło blizny na twarzy.

Nawiżony zżymnął się.

— Zawsze w uszy kładłem Szczepankowi, że z niego żaden dowódca, bo ludzi swoich nie umie uszanować!— mruknął.

I potem zaraz przeleciał mu przez oblicze cień uśmiechu, jakby odbicie myśli ukrytej a przyjemnej.

— Słuchajno, Gondek, — zwrócił się do ładuńskiego dowódcy, odprowadzając go na stronę. — Czy tobie zależy wiele na służbie u Szczepana?

Gondek wpatrzył się przenikliwie w kozaka.

— Każdemu biedakowi zależy na kawałku chleba,, który gryzie, — odpowiedział, cedząc wyrazy. — U pana Szczepana służba ciężka: i złego słowa, i sztur- chańca, i ponieważ wszelakiej nie kupować tam darmo, codzień dają! Ale chleba wbród, grosiwa wbród, a i wojennej ochoty obiecywałem sobie zaznać, której u starego pana brakło.

— Dlategoś starostę zdradzał?

— I dlatego, i nietylko dlatego. Dobrze to staremu Ciszewskiemu w grób patrzeć: taki, jak ja, musi węszyć, skąd wiatr nowego pana przy wie je!

— Pewnie! Ale jak raz ci przywiął nowego pana, może przywiąć jeszcze nowszego!

Gondek znów ramionami ruszył.

— Cóż, ja sługa, szukam gdzie mi lepiej!

— Poszedłbyś do mnie?

Gondek zdziwił się.

— To wy, panie atamanie, chyba z panem Szczepanem rozbrat wziąć chcecie całkiem?

— A chcę! Dość mam tego. Wilk to, nie żołnierz! Z rezunami Nalewajki jemuby hulać, nie ze mną!

Gondek głową pokręcił.

— Dziw, dziw! Ale mi to zaraz do głowy przyszło, jak zaczęło się między waszemi mościami o tę dziewczkę!

Kozak poruszył się niecierpliwie.

— Odpowiadaj wyraźnie, o co cię pytają!

— Odpowiedziałbym, gdybym wiedział, jaką to służbę mi wasza mość rai.

Nawiżony obrzucił go bystrem spojrzeniem.

— Prawda, że na kozaka nie chciałbyś może iść! Ala to nic! Biedak jesteś, a u mnie czerwieńców moc. Dam, wiele zechcesz, bo nic mi po nich, a ty albo u Szczepana zostaniesz, albo innej służby poszukasz.

— Co mam uczynić?

— Zdradzić młodego Turobojskiego dla mnie, jako dla niego zdradziłeś starostę.

— To trudna rzecz.. On podejrzliwy, a jak się mści, nie waszej mości o tem mówić!

— Niewielkiej rzeczy żądam. Musisz mi Miśniakowskiego z kaźni wydostać i do rąk mi oddać.

Gondek głową pokręcił.

— To nie jest mała rzecz. Szczepan wszystką szlachtę, którą ma w lochu, oddałby za jednego Miśniakowskiego. Gdy go straci, wścieknie się. A na kim się skrupi? Na mnie!

— Nie skrupi się, bylebyś tamtego dostał, a wiem, że możesz!

— Możebym i mógł, ale...

— Nie może, ale pewnie, a skoro możesz, to i musisz.

bo inaczej z rąk moich żyw nie ujdiesz, a na męki moim mołojcom nie brak też dowcipu, że i Szczepanko- wych oprawców w kozi róg zapędzą!

Gondek obojętnie ręką machnął.

— O tem szkoda jęzora strzępie, panie atamanie, bo wam z mojej męki i śmierci marna korzyść, a pomocy ja nie odmawiam, jeno w mózgu sobie wierzę, jakby z tem najlepiej utrafić.

— Masz słusność, — przyznał szczerze Nawizeny.— A i to wiem, że skoro chcesz, to i utrafisz, bo głowę nie dla proporcji na ramionach nosisz. Ale gadajże prędko, jak uczynisz, bo ja z niecierpliwości gorzej!

— Przedewszystkiem trzeba mi wiedzieć, czy wasza mość chcesz mieć zamek, czy też samego Miśniakowskiego? Bo samego li brać, czy z zamkiem — za jedno.

Kozak zaśmiał się i jeńca z uznaniem poklepał po ramieniu. .

— Chytryś, niczem liszka, i słyszysz, jak trawa rośnie! Ano pewnie, że na jeden wypadek inaczej trzeba czynić, na drugi znów inaczej. Otóż moja odpowiedź: Miśniakowskiego mi daj, zamku nie chcę! Poco?

— Łupu tam taka moc, że i tuzin wypraw tego nie da i

— Toż mówię, że projdyswit z ciebie, ale i czort prawdziwy! Tak ci to pilno wydać w moje zbójce ręce zamek Turobojskich, którym od małego służysz?

Gondek ramionami ruszył.

— Ani mi do tego pilno, anim żaden projdyswit, bom tu zrodzony i wiek cały przeżył, jeno w mocy waszej jestem i sami mnie do zdrady zmuszacie,- a na męki nie mam dla kogo iść, bo pan starosta tak jak w grobie, panna i zamek w mocy Szczepankowej, a od Szczepanka dobram nie zaznał, i łba ni skóry za niego nie myślę nadstawiać!

— Kiep, ktoby ci przeczył! Zważ jednak, że człowiek człowiekowi nierówny.

U każdego własny rozum i własne sumienie. Tobie tedy godzi się zdradzić pana, mnie zaś nie godzi się zdradą iść na przyjaciela.

— Taki to i przyjaciel, coby waszej mości pewnie przez łeb dać kazał, albo ztyłu między łopotki nożem żgnąć, gdyby jeno mógł!

— Jemu wolno i tobie wolno co innego, a mnie co innego. Mnie wolno go nożem żgnąć, ale w pierś, i wtedy, gdy u niego szabla w garści. U nas kozaków takie było prawo za kniazia Dymitra i za Sahajdaczego, i wtedy tylko czerń, włącząca się przy nas, taką manierą wojowała, jaka twemu panu luba. Teraz między kozactwem mnoży się takich, co manieri onej od chłopstwa się uczą, alem ja nie taki. I dlatego powtarzam ci: zamku nie chcę, Miśniakowskiego mi daj, i tyle!

— Dobrze! Klucze mam. Jeden od piwnic, drugi od ukrytych drzwiczek od strony pola. O tem wie tylko starszy pan i Ciszewski, któremu go odjąłem, gdyśmy go rannego znaleźli. Ale drugi klucz od piwnic ma pan Szczepan, i trzeba z Miśniakowskim śpieszyć, bo z nim dziś do południa zrobią koniec.

— A to śpieszmy! Dlaczegoż to właśnie dziś egzekwować go chce Turobojski?

Gondek uśmiechnął się.

— Stawiacie mnie na równi z Turobojskim, a nie

sluszenie, bo tego, co on czyni, jabym nie uczynil, choc wolę go zdradzić, niż zginąć. On bowiem, jeno rozwidni się, chce pannę starościankę za żonę brać, a że ona nie chce, bo Miśniakowskiego miłuje, więc on tak ma uczynić. Naprzód jej obieca Miśniakowskiego uwolnić, jeśli ona po jego woli złoży śluby, a zaraz po ślubie Miśniakowskiemu po gardle nożem — kęsim, żeby długo nie męczył się.

Kozak splunął z odrazą.

— Podła gadzina! — mruknął. — Wieszże to na pewno?

— Sam mi przed moim wyjazdem o tem powiedział.

— Niechże przepada! Ja tego nie dopuszczę! Ostrze gę pannę, że miły jej wolny!

— Szczepanek i tak ją weźmie, bo ma moc!

— A ja nie dam!

Złośliwy błysk strzelił z oczu Gondka.

— Możecie, jeśli wola!

— Tedy w drogę! — zawołał ataman.

Mołojcy rzucili się do siodeł.

— Koniom nogi owinać szmatami, potem wszyscy za mną! — brzmiała komenda. — A cicho, żeby liść nie zaszeleścił i ptak nie usłyszał!

Sprawnie i cicho pomknął przez step orszak dwudziestu konnych, sunących w noc gwiaździstą, jak czarny korowód widm.

NA ZAWSZE.

Pan Kazimierz miał twardą naturę żołnierza, przywykłego do niewczasów, jak i do ran i do obchodzenia się małym. Inny byłby może uległ po kilku dniach w łazuńskiej piwnicy; on wytrzymał. Rzucono go omdłego do oddzielnego lochu, nie przewiązawszy mu ran i nie dając innego pożywienia, prócz niedostatecznej ilości chleba i wody. Tej ostatniej zwłaszcza pożądał ranny w gorączce, i cierpiał mękę, gdy wychyliwszy odrazu niewielką blaszkę, raz na dobę, przesuwaną mu przez kratę, musiał potem aż do następnego ranka śnić gorączkowo o rzeźwiących strugach, przesuając spalonym językiem po wyschłym podniebieniu.. Reszta szlachty, zamknięta razem, mogła się przynajmniej wzajem w nędzy swej wspierać i rany opatrzyć; jego ratowała tylko żelazna natura. Ocalał, bo rany zagoiły mu się same, a gorączka po tygodniu ustąpiła również. Był jednak tak osłabiony, że na nogach nie mógł się utrzymać i myśli mu się mąciły, a czasem, z nadmiaru gorączki, majaczyło mu się jak przedtem w gorączce, i nie odróżniał rzeczywistości jod snu. Myślał też, że śmierć nadchodzi, i cały czas, gdy nie drzemał, poświęcał modlitwie i przygotowaniu się na czekający go sąd Boży. Ale drzemał coraz częściej i coraz mniej ruszał się na barłogu ze zgniłej słomy. A że o kromce chleba i odrobinie wody zapominano coraz

częście i parę dni mijało, nim ich się doczekał, byłby już wkrótce zmarł z głodu i pragnienia, gdyby jednego wieczora nie zjawił się w jego więzieniu sam burgrabia, następca Ciszewskiego, a za nim służa z koszem, w którym był chleb, zimne mięsiwo, butla wody i mały gą siorek starego wina.

— Jedz waćpan i pij, byle pod miarę, by ci to po długim poście nie zaszkodziło, — odezwał 6ię Gondek.

Więzień rzucił się przedewszystkiem z dziką chciwością na butlę z wodą. Potem dopiero wziął się do strawy, ale idąc za radą Gondka, i własnym doświadczeniem, jadł powoli, rozkoszując się smacznem i posilnem jadłem, którego od tylu dni nie kosztował.

— Dość narazie, — zauważył wreszcie burgrabia.— Teraz spoczniej waćpan, a jutro rano skoro świt przyniesie ci pacholek wody do umycia i szaty ci ochędoży, byś przystojnie okazać się mógł na świecie.

— Wyprowadzą mnie stąd? — spytał niepewnym głosem więzień.

— Na wolność! — odrzekł Gondek. — Ale o tem potem. Mnie pilno(bo w drogę ruszam, a waćpan od- pocznienia potrzebujesz.

Mówiąc to, wyszedł z kaźni wraz z pacholkiem.

Dla Miśniakowskiego poczęły teraz płynąć leniwie nocne godziny, pełne naprzemian radosnego oczekiwania i gryzących niepokojów. Co znaczyła ta zmiana w postępowaniu z nim? O łaskawości Szczepanka nie mogło być mowy, ale i o udawaniu czegokolwiek także nie, bo poeóżby czyniono tyle zachodu z więźniem? Ale, czy Szczepan nie mógł być zmuszony do uwolnienia go, albo może Szczepan nie jest już panem zamku? Pytania te krzyżowały się w myśli pana Kazimierza, gniotąc go gorzej od apatji wszystkich poprzednich dni więzienia. Chodził więc po swym lochu wielkimi krokami, jak chodzi lew po swej klatce, dłonie łamiąc, w palce trzaskając i o mało łbem nie bodąc w mur ceglany, aż wreszcie znużony walił się na słomę, by znów za chwilę zerwać się i krążyć niecierpliwie po ciemnej izbie, jakby go to mogło zbliżać do upragnionego ranka.

Ale do ranka było jeszcze daleko. Ludzie tej epoki, mało mając do czynienia z zegarami, mierzyli lepiej od nas długość czasu, osobistemi wrażeniami i znakami, jakie im dawała przyroda. Miśniakowski, choć zatopiony we frasobliwych myślach i prawie odchodzący od siebie z niecierpliwości, czujny był jednak na te znaki i podług nich obrachowywał długość ciężającej mu noc.y. Raz więc zatrzymał się, nastawiając uszu.

— Północ minęła! — mruknął. — Pierwsze kury pieją.

Po dłuższym czasie stanął znów i w palce dmuchnął.

— Już dobrze z północks, bo chłód bierze! — pomyślał.

A potem zastanowił się i trwał przez czas nieruchomy.

— Ależ gdzież drugie kury? — Nie zahaczyłbym ich przecie, bom nie głuchy i nasłuchuję!

I potrzęsnał głową.

— Nie! Jeszcze mało co przeszło od północks. Do

pierwszego świtu najmniej dwie godziny, albo i trzy.

I znów począł w kółko biegać.

Ale nie sądzono mu było wypić tej nocy pełny kielich męki w więzieniu, bo naraz zamek zgrzytnął i drzwi skrzypnęły zcicha, otwierając się wolno na swych wrze ciężkach.

— Co to? Kto wy? — wykrzyknął jeniec zdziwiony.

— Cicho, jeśli ci własna skóra miła! — ozwał się przytłumiony głos u wejścia i wąski pasek światła padł w głąb piwnicy, uderzając w samą twarz Miśniakowskiego.

W progu, trzymając w ręku latarkę, z trzech stron zakrytą, stał Gondek.

Rycerz chciał jeszcze pytać, ale burgrabia położył palec na ustach.

— Ani słowa! — szepnął. W dziedzińcu straż czuwa. Najmniejsza nieostrożność, to śmierć. Milcz i idź za mną!

Miśniakowski wyszedł. Gondek zamknął za nim drzwi kaźni, obrócił klucz i wyjął, a potem powiódł go labiryntem wąskich kurytarzy podziemnych do framugi, w której kryły się żelazne, niezamknięte drzwiczki. Drzwiczki te Gondek zamknął starannie za sobą, i znów jeszcze ciaśniejsem przejściem powiódł jeńca do drugich drzwiczek, za którymi powitała ich noc gwiaździsta, pełna chłodnych powiewów i aromatów rozkwitającego stepu.

Pod murem, okalającym forteczkę, siedziało w kuczki bez ruchu i szmeru kilkadziesiąt ciemnych postaci.

— Gdzie ataman? — ozwał się szeptem burgrabia.

— Tu! — odpowiedział głos jakiś równie cicho.

I cień prześliznął się wzdłuż muru.

— Oto więzień! — rzekł Gondek.

Nawiżeny rzucił bystre spojrzenie na Miśniakowskiego.

— On sam! — rzekł. — Dobrześ się sprawił i com obiecał, dotrzymam.

I zwrócił się do człowieka, który przysunął się do niego i przez ramię jego przyglądał się więźniowi.

— Masz, czegoś chciał!

Artem zdjął czapkę i do nóg mu się pokłonił.

— Mam, czegoś chciałem, i teraz powiodę was do dziewczyny, atamanie - sokole, kiedy tylko rozkażesz.

— Czekaj jeszcze! Wnet pojedziemy, tylko tu skończę.

Mówiąc to, Nawiżeny znów twarz zwrócił ku Miśniakowskiemu.

— Panie kawalerze, — rzekł mu. — Uwolniłem cię od męki i śmierci za pośrednictwem tego oto człowieka, który mi w tem usłużył, ale wzamian musisz i ty mi wygodzić.

— Słucham i wszystko spełnię, co z sumieniem mogę i czcią rycerską nie będzie sprzeczne.

— Nie będzie, i mała to jeno rzecz, ale idzie mi o nią. Otóż musisz waćpan zaraz jechać ze mną w pewne miejsce, zdaje się, niebardzo stąd daleko...

Przystanął, oglądając się za Artemem, który wlot pochwylił:

— O jakie dwie godziny stąd.

— Więc niedaleko. Tam kryje się dziewczka, tobie

pierwszego świtu najmniej dwie godziny, albo i trzy.

I znów począł w kółko biegać.

Ale nie sądzono mu było wypić tej nocy pełny kielich męki w więzieniu, bo naraz zamek zgrzytnął i drzwi skrzypnęły zcicha, otwierając się wolno na swych wrze ciądzach.

— Co to? Kto wy? — wykrzyknął jeniec zdziwiony.

— Cicho, jeśli ci własna skóra miła! — ozwał się przytłumiony głos u wejścia i wąski pasek światła padł w głąb piwnicy, uderzając w samą twarz Miśniakowskiego.

W progu, trzymając w ręku latarkę, z trzech stron zakrytą, stał Gondek.

Rycerz chciał jeszcze pytać, ale burgrabia położył palec na ustach.

— Ani słowa! — szepnął. W dziedzińcu straż czuwa. Najmniejsza nieostrożność, to śmierć. Milcz i idź za mną!

Miśniakowski wyszedł. Gondek zamknął za nim drzwi kaźni, obrócił klucz i wyjął, a potem powiódł go labiryntem wąskich kurytarzy podziemnych do framugi, w której kryły się żelazne, niezamknięte drzwiczki. Drzwiczki te Gondek zamknął starannie za sobą, i znów jeszcze ciaśniejszem przejściem powiódł jeńca do drugich drzwiczek, za którymi powitała ich noc gwiaździsta, pełna chłodnych powiewów i aromatów rozkwitającego stepu.

Pod murem, okalającym forteczkę, siedziało w kuczki bez ruchu i szmeru kilkadziesiąt ciemnych postaci.

— Gdzie ataman? — ozwał się szeptem burgrabia.

— Tu! — odpowiedział głos jakiś równie cicho.

I cień prześliznął się wzdłuż muru.

— Oto więzień! — rzekł Gondek.

Nawiżeny rzucił bystre spojrzenie na Miśniakowskiego.

— On sam! — rzekł. — Dobrześ się sprawił i com obiecał, dotrzymam.

I zwrócił się do człowieka, który przysunął się do niego i przez ramię jego przyglądał się więźniowi.

— Masz, czegoś chciał!

Artem zdjął czapkę i do nóg mu się pokłonił.

— Mam, czegoś chciałem, i teraz powiodę was do dziewczyny, atamanie - sokole, kiedy tylko rozkażesz.

— Czekaj jeszcze! Wnet pojedziemy, tylko tu skończę.

Mówiąc to, Nawiżeny znów twarz zwrócił ku Miśniakowskiemu.

— Panie kawalerze, — rzekł mu. — Uwolniłem cię od męki i śmierci za pośrednictwem tego oto człowieka, który mi w tem usłużył, ale wzamian musisz i ty mi wygodzić.

— Słucham i wszystko spełnię, co z sumieniem mogę i czcią rycerską nie będzie sprzeczne.

— Nie będzie, i mała to jeno rzecz, ale idzie mi o nią. Otóż musisz waćpan zaraz jechać ze mną w pewne miejsce, zdaje się, niebardzo stąd daleko...

Przystanął, oglądając się za Artemem, który wlot pochwylił:

— O jakie dwie godziny stąd.

— Więc niedaleko. Tam kryje się dziewczka, tobie

obojętna, mnie miła. Na jej to instancję jam waćpana uwolnił i muszę ciebie jej pokazać, bo dziewczki nie znają się na kawalerskich parolach i gotowa mi nie uwierzyć.

— Motra! — wykrzyknął rycerz.

— Nie kto inny, ale nie tak głośno, bo w zamku nie trzeba straży budzić, a jest tam jeszcze dla Hoło- piata i dla moich mołojców robota.

— Zrobię, co chcesz, atamanie, bom ci to powinien, wiem bowiem, od czegoś mnie uratował.

— Tylko dziewce się pokażesz, a potem będziesz wolny i każdy z nas w swoją drogę ruszy.

— Dobrze! Ale o jakiej to robocie mówiłeś, atamanie?

Watażka uśmiechnął się.

— To także w twojej sprawie! Ty ze mną pojedziesz do mojej dziewczki, a tutaj tymczasem moi mołojce do- pomogą twoją dziewczkę z opresji wydostać..

— Hanusie?!

Okrzyk ten wyrwał się mimowoli z piersi rotmistrza, który jednak wnet pomiarkował się i dodał:

— Pannę starościankę?

Watażka znów się uśmiechnął.

— Bo ją Szczepanek chce właśnie za parę godzin za żonę brać, pod grozą, że jeśli spróbuje się wzbraniać, on waćpana ubije.

— Boże! Boże!

— Tedy ja za temi drzwiczkami moich mołojców ukryję, a oni już pannie dadzą znać, że niema co obawiać się o waćpana, a gdyby Szczepanek chciał gwałtem ją brać, oni pomoc jej dadzą-

Młody szlachcic rzucił się kozakowi na szyję.

— Drugi raz cię widzę, ale to wiedz, że między nar.ii na życie i śmierć! — krzyknął.

Nawiżeny oddał mu uścisk, potem jednak odsunął go lekko od siebie.

— Nie chwał mnie zanadto, mości kawalerze, bo tego nie wiesz, że gdyby nie owa dziewczka, nie byłbym tu z pomocą dla ciebie pośpieszył.

— Owszem wiem, że dla niej tu przybyłeś, ale i to wiem, że nie dla niej swoich ludzi tu zostawiasz.

— Bom widywał słodkie liczka tej panienki i żał mi jej krzywdy.

— Słuchaj jednak! Czy twoich mołojców nie za mało? Tam Szczepankowych pewnie z półtorej sotni a i załogi moc, która też po stronie młodego pana.

Watażka rzucił okiem po swoich.

— Gdyby byli wszyscy, czortaby zjadł Szczepanek! — mruknął. — Nie daliby się! To bieda, że połowę rozesłałem dziewczki szukać.

— A widzisz! Słuchaj waćpan! Szlachtęby ci uwolnić i uzbroić, co tam pod podłogą siedzi!

— A dobrze! Gondek to ułatwi! Burgrabia głową potrząsnął.

— A kto mnie potem przed Turobojskim obroni?

— Ja!

Gondek znów głową zaprzeczył.

— Mała pociecha! Wy tam na porohy pojedziecie i ślad wasz zastygnie, a mnie tutaj Szczepanek ze skóry obedrze!

— Jak ma obedrzeć, to i tak obedrze, bo jest za co!

W zaklętem zamczysku II.

— Jest za co, ale on o tem nie wie i nie dowie się, bo wasi mołojcy nie wydadzą, i pan Miśniakowski nie zdradzi mnie, więc skąd ma się Szczepanek dowiedzieć. Ale jakbym zjawił się w biały dzień szlachtę przed nim salwować i uzbrajać, tegoby chyba ślepiec nie dostrzegł.

— Tedy klucz Hołopiatowi oddaj!

Gondek ramionami ruszył.

— Hołopiat wasz pies, a przy was i pod waszą ręką choć kudy kozak, a sam ani rady sobie nie da, panny nie ocali, a siebie i mołojców zagubi.

— Więc cóż czynić?

— Jedno tylko: Hołopiata po dziewczkę posłać, a samemu ze mną ostać. Przyczaimy się w lochu do rana, potem uwolnicie szlachtę i z nią pójdziecie na górę, a ja wymknę się i wrócę później na zamek, niby to przetrzymany przez waszych mołojców.

Ale Nawizeny nie miał ochoty iść za radą Gondka. Pilno mu było do Motry. Wykręcał się więc i przed burgrabią i przed własnym sumieniem. Nie mógł jednak nie przyznać, że Hołopiat istotnie tyle był wart, ile pod dobrą komendą, i że puszczać go z garścią kozaków na taką kupę ludzi było szaleństwem. Więc chyba cofnąć się, siły zebrać i dopiero na przyszłą noc powrócić? Ataman nie był od tego i Gondek za tem przemawiał, ale Miśniakowski z takim przerażeniem ręce składał, modląc się o rychły ratunek dla swojej niebogi, dla której pomoc dzień później na nicby się już zdała, że Nawizeny musiał wkońcu ulec.

— Niechże, i tak będzie! — rzekł, machnąwszy ręką. — Dziewka nie ucieknie i, prawdę mówiąc, wstyd kozakowi dla jednej kozy zamysły odmieniać. Niechże Hołopiat jedzie, wzięwszy z sobą stąd z pięciu mołojców, a po drodze niech tych zabierze, co na uroczysku na nas czekają.

Artem jednak sprzeciwił się temu. Taka wyprawa dobra albo w półsetkę koni, albo samowtór. Tuzin ludzi nie odpędzi wroga i nie ukryje się przed nim. Niechże Hołopiat po drodze czekających mołojców wyprawi w las pod Łazuniem, żeby stamtąd na dany z zamku znak śpieszyli do pomocy atamanowi, a sam niech dalej jarami i wadołami przebiera się z nim, Artemem, do tej skrytki, w której znajduje się Motra, potem z nią we dwoje niech przekrada się w teii sam sposób tam, dokąd mu ataman każe.

— To dobra myśl, — zgodził się ataman. — Jedźcież zaraz, a nam też pora schować się w lochy, bo tylko patrzeć, jak świtać zacznie!

Miśniakowski nie próbował nawet prosić, by mu po zwolono zostać. Rozumiał, jaką wartość miało dla watażki jego bezzwłoczne zobaczenie się z Motrą, a czując dla Nawizenego wielką wdzięczność, nie mógł w najmniejszej rzeczy iść przeciw jego woli. Uścisnął więc tylko w milczeniu rękę kozaka i wskoczył na kulbakę.

— Buwaj zdrow, duże! — rzekł mu na pożegnanie ataman. — Bóg wie, czy się obaczmy! Niechże ci Bóg dopomaga, boś dzielny i poczciwy.

— Bóg ci zapłać za wszystko, atamanie! Czy odchodzisz z tych stron?

Kozak ręką machnął.

— Jeno w zamku zrobię porządek i pannę dla waści zabezpieczę. Potem prosto na Niż! Dokuczyło tu! Liszek pohany obmierzył mi, a hulania mam dość. Wojna matka milsza!

— A cóż z dziewczką uczynisz? Na Niż ją przecie nie zabierzesz?

— Nad Dnieprem w futorze jakim ukryję i będę dojeżdżał, jak nie będzie wyprawy.

— A teraz dokąd ją chcesz wieźć?

Nawiżeny zbliżył się do szlachcica, tak, że twarze ich prawie dotknęły się.

— Komu innemu nie powiedziałbym, bo i mołojcovi o tem nie powiem: tobie jednemu i Hołopiatowi, bo ty szczerzy Lach, a on mój pies. Do Demkówki ją każę zawieźć, pod Berdyczów. Tam kozak jeden, druh mój stary, futor ma, i u niego dziewczka bezpiecznie dzień, dwa ostanie, nim ją zabiorę, wracając tamtą stroną na Dniepr.

W tej chwili za plecami Nawiżenego przesunął się cień. Był to Gonddek, który bez szelestu odsuwał się o krok od niego w chwili, gdy watażka kończył swoje słowa.

Ale watażka nie dostrzegł go i nic nie dostrzegł.

Za kilka pacierzy trzech jezdnych jechało drogą, którą przed dwiema godzinami przekradł się tędy orszak Nawiżenego, podczas gdy on sam z Gondkiem i mołojcami ukrył się za żelaznemu drzwiczkami w murze for- teczki.

W dobrą godzinę później, kiedy świt poczynał już rozjaśniać szare niebo i ukazywać, niby spowite tu

manem, pola i lasy, człowiek jakiś wymknął się chyłkiem przez tę furtkę i, rozejrzawszy się uważnie dokoła, rozpiął konia, pasącego się przy fosie i pozo. stawionego mu widocznie przez odjeżdżających, wskoczył na siodło i pomknął w stronę Berdyczowa.

Miśniakowski tymczasem pędził w stronę uroczyska, przy którym miała punkt zborny wataha Nawiżenego. Hołopiat i Artem wiedli luzem konie mołojców, którzy zostali w Łazuniu. Zostawiono je przy uroczysku wraz z rozkazami dla niżowców, którzy tam nadciągnęli po północy, następnie zaś, mało co dawszy własnym koniom odpocząć, trójka jeźdźców puściła się w stronę jaru, w którym Artem ukrył Motrę.

Jar był niezbyt daleko, ale dostęp do niego niełatwy. Póki jechali stępem, szło wszystko dobrze i koniom ziemia uciekała z pod nóg, ale gdy wjechali w dziki bór, można było posuwać się tylko powoli, przedzierając się przez chaszczce, przez które i pieszemu trudno było torować sobie przejście. Zeszło więc im nie parę godzin, ale blisko pięć, nim dostali się do gąszczu, okalającego dziki parów, na którego dnie kryła się watra.

— To już tu, — mruknął Artem jakimś zduszonym głosem, zeskakując z konia i przywiązując go do drzewa.

I

Obaj towarzysze poszli w milczeniu za jego przykładem i mieli już wraz z nim ześliznąć się pomiędzy trawami i gałęzmi nadół, kiedy naraz wstrzymał ich głos kobiecy.

Naprzeciw nich, pomiędzy białem listowiem brzozy.

ujmującej ją w swoje powłóczyście ramiona, jako srebrzyste ramki ujmują święty obrazek, stała Motra.

— Nie schodźcie, — rzekła. — Ja tutaj!

Stary Hołopiat, ujrzawszy ją, zaśmiał się wesoło.

— Jesteś, przepióreczko! No, to chwała Bogu. Oj, będzież ataman owi radość!

— Kto wie, co komu będzie radość, czy smutek — szepnęła dziewczyna i zwróciła się do Miśniakowskiego.

— Jesteście, panie! Ja was zdaleka naglądała i zobaczyła dobrze przedtem, nim wy mnie dostrzegli! Oj, nażuryłaż się ja za wami, oj natroskałaż się, co wam dzień ten przyniesie! I ot, przyniósł swobodę, a ze swobodą i szczęście! Oj, radaż ja, rada!

Słowa wyrażały radość, ale w głosie brzmiał smutek. I w czarnych jej oczach, wpatrzonych w młodego rycerza, nie palił się płomień i nie sypały się z nich iskry, ale oczy te stały się jakby głębsze i nie były już, jako dawniej, zuchwałe i wyzywające, ale łagodne i jeszcze więcej smutne, niż głos.

Młody szlachcic podszedł do niej i obie ręce wyciągnął.

— Życiem ci winien, — zawołał z wylaniem: — i Bóg wie, jak pragnę ci się wywdzięczyci, byłem jeno mógł! A choćbym i nie potrafił, pamiętać będę o tobie i błogosławić cię po wszystkie dni żywota!

Ona stała naprzeciw niego tak blisko, że twarze ich, przychylone ku sobie, omal że nie stykały się, i czuli wzajem parzący oddech.

— Bóg ci zapłać, dziewczyno miła! — odezwał się znowu rycerz po chwili milczenia.

— Oj, żebym to ja wam była miła! — odparła dziewczyna żałośnie.

I nagle wybuchnęła.

— Żebym ja tobie, sokole, była choć tem, co ona muszka, której wolno latać dokoła twojej głowy i na licu kramem spoczywać, i tyle, co ta trawa, którą dep- cesz nogą! Bodajbym przy twojej piersi ostatnią krew z pcd serca za ciebie oddała! Ale ty ot zaraz pójdziesz ode mnie precz, słonko moje jasne, i nic już dla mnie nie zostanie, jeno ciemność, jeno żal, jeno ból...

Urwała, a potem naraz zabłysło jej w oczach po dawnemu. Gwałtownym ruchem pociągnęła ku sobie młodzieńca, tak, że ich oboje osłonił zupełnie występ ziemi, obrosły leszczyną, a potem zarzuciła mu ręce dokoła szyi, gorączkowo i namiętnie.

— Jaż myślała, że ty mój będziesz na wieki, — szeptała drżącymi usty, paląc go swym oddechem. Jaż chciała po wiek życia patrzeć w oczy twoje czarne i pieścić cię i hołubić, i suką twoją być, której wolno krok w krok iść za panem! Nie było doli! Toć już ostatni promień szczęśliwości dla mnie-.. Odejdiesz, i zgaśnie wszystko, i będzie już noc bez miesiąca, bez gwiazd. I już nic, nic więcej... A jaż cię uratowałam od męki i śmierci! Gdyby nie ja, gniłbyś jutro. I sam mówisz, że chciałbyś mi odpłacić... Odpłaćże, odpłaS, miły, i niech mi choć ostanie pamięć tej ostatniej godziny z tobą, jaśniejsza od miesiąca i gwiazd!

I usta swe, kraśne, jak dojrzała wiśnia, zbliżyła do jego twarzy.

<•— Daj mi choć raz pić miód twoich ust, daj mi

choć raz do piersi twej się przytulić, daj mi choć raz odrobinę serca!

On stał tak oszołomiony tym wybuchem, że w pierwszej chwili słowa uwieźły mu w gardle i tylko dłonie przed siebie wyciągnął, próbując ją odciągnąć i szyję uwolnić z jej uścisku.

— Co ty? — rzucił jej stłumionym głosem. — Co ty, szalona?!

Ale ona nie zdawała się słyszeć, zapatrzona weń jak w tęczę.

— Słyszysz, choć raz w życiu, raz jeden, powiedz, żem ci bodaj trochę miła!

Pan Kazimierz jednak oprzytomniał wreszcie i opanował chwilowe zmieszanie. Łagodnie, ale stanowczo rozplątał owijające go dłonie i odsunął od siebie dziewczynę, sam o krok się cofając.

— Nie! — rzekł krótko. — Nielża mi tego uczynić i Boga mi, nie uczynię!

Ona stała przed nim, jakby odurzona, z rękoma zwi- słeni bezwładnie wzdłuż ciała.

— Nie? — powtórzyła jakimś bezmyślnym, mechanicznym głosem. — Nie?

— Nie godzi się! — powtórzył nieco twardo rycerz.

Ona o krok odstepiła odeń i ręce załamała żałośnie.

— Tak mi było sądzono! — szepnęła.

A po chwili jęła mówić cichym, monotonnym głosem, jakby sama do siebie.

— Hej! Taka mi należy nagroda! Zbałamucili mnie młodą, bez ojca i matki! Ja, głupia, posłuchałam, starym wiedźmom dałam się uczyć, z nieczystą siłą igrałam, jak dziecko z ogniem. I doigrałam się... Rozkoszy się chciało, miłowania się chciało — i ot mi Tozkosz, ot miłowanie, ot nagroda! Dobrze mi tak, dobrze! Nie trzeba rai było nocką po miesiącu latać, dur sobie czar- towskim zielem zadawać, szczęścia nie tam szukać, gdzie było przeznaczono... W rozkoszy, jakiej zaznałam, był piołun, zamiast miodu, a gdzie byłby miód, tam mi jego nie próbować. Taka dola...

Rotmistrz patrzył na nią ze współczuciem.

— Biednaś ty! — bąknął cicho.

— Oj, biedna, biedna, ale z niczyjej winy, jeno z własnej...

— Słuchaj — rzekł rycerz. — Tego słowa, któregoś pragnęła, nie usłyszysz ty ode mnie, bom już ślubowałam w sercu mojem, a płochości i żądom zmóc się nie dam. Boga rai, miłej nie zdradzę, ani na jedno mgnienie oka! I raczej na męki i śmierć pójdę, niżbym na uściech twych miał kraść wzbronione mi pocałunki! Przysięgi nie złamię, czci mojej rycerskiej czynnem haniebnym nie splamię! Ale na cokolwiek zezwoli mi sumienie chrześcijańskie i cześć Tycerska, wszystkiego tego żądaj ode mnie, dziewczyno, i bodajbyś krwi gorącej z pod serca żądała, nie napotkasz u mnie odmowy. Siostrą mi będziesz, nic to, żeś podła chłopianka, bo serce w tobie rycerskie i szlachetność nie podług stanu. I choć zła twoja dola, bo igraszką chęci swych mieć cię chcą i nie dla twego dobra wydzierają cię sobie wróg mój i kozak, ale przecie najdzie się może na to rada, bo u Nawizenego serce zacne i odda mi cię

pewnie, gdy go zaklnę, i zaznasz jeszcze dobrego losu, jakoś warta!

Ona słuchała go, wpatrzona wien z zapartym oddechem.

— Więc przy was ostanę? — szepnęła zduszonym głosem. — Przy was, gdy odbierzecie mnie Jurkowi?

Rycerz głową potrząsnął.

— Nie przy mnie, — rzekł stanowczo. — Niechże Bóg broni! Nie z twojem i nie z mojem byłoby to dobrem... Ale osadzę cię gdzieś daleko i czuwać będę nad tobą, a ty może znajdziesz czasem szczęście nie tam, gdzie go szukałaś, może i z tym poczciwym chłopcem...

— Milcz! Milcz! — krzyknęła dziewczyna, odskakując odeń. — Ani słowa!

Nie potrzeba było tego wezwania, bo słowa zamarły na ustach Miśniakowskiego. Na obliczu dziewczyny zaszła w mgnieniu oka tak niesłychana zmiana, że rycerz, choć nienawykły do lęku, zdumiał się i przeraził. Twarz ta tak piękna, przed chwilą jeszcze tkliwa i słodka, jak anielskie postacie, potem znów rozplamieniona namiętnością^ ale krańszniejsza jeszcze niż wprzódy, stała się nagle podobną do jakiejś poczwarnej maski, czy też do mitycznej Meduzy, o której słyszał w kolegium, taka z niej uderzyła wściekłość i konwulsja rozpaczy.

— Co ty? — zagadnął rycerz. — Co ty?

Ona przez chwilę stała nieruchoma z płomieniami w oczach i drgającymi wargami, jakby zmagając się z sobą, i twarz jej gasła powoli,

Jeźdźcy dostali z sakiew obrok i pokarmili z ręki konie, potem sięgnęli po zapasy żywności, ale spożywał je tylko Hołopiat. Miśniakowski nie miał ochoty do jadła, a Artem ani go tknął. Prędko też byli gotowi do drogi.

Przez ten czas Motra siedziała pod brzozą, skulona, jak poprzedniego wieczora w szalasię, z twarzą wspartą na dłoniach i oczyma wlepionymi w Miśniakowskiego. Jego spojrzenie to niepokoiło i nękało, odwracał też wciąż oczy, żeby się z niem nie spotkać.

— Artem z tobą jedzie? — spytał Hołopiata.

Kozak głową potrząsnął.

— Artem nikogo brać nie kazał.

— Chcesz ze mną iść? — zwrócił się rotmistrz do parobka. — Nie bogata u mnie służba, ale chleb jest, i to rycerski, nie chłopski. Masz ochotę?

Ale i Artem, jak przed chwilą Hołopiat, potrząsnął głową na znak odmowy.

— Mnie z nią iść nie wolno, ale śladem jej biec nikt mi nie zabroni. To i pójdę. Ona pójdzie drogą, ja so- główkiem; ona spocznie w chacie, a ja w polu przed podwórkiem. Taka moja doła!

Kazimierz ze współczuciem popatrzył na chłopca.

— Także to ją zawsze miłujesz?

Artem podniósł na niego twarz, drgającą bólem.

— A wy, panie, myśleli, że miłuje się z dnia na dzień, jak komu dogodnie? Dziś luba, jutro bywaj ideowa? Może to taki u was, panów, obyczaj, ale nasz chłopski inszy.

Rotmistrz głową skinął.

— Idźże za nią, kiedy taka twoja dola, i bodajbyś ty był tym, który jej przeznaczony przez Boga.

Chłopak posępnie brwi ściągnął i wzrok wbił w ziemię.

— Ja już nikomu nie przeznaczony, jeno śmierci- matce! — odparł głucho.

Miśniakowskiemu zrobiło się smutno na duszy. Popatrzył na Artema i na Motrę i poczuł, że wśród ludzi, którym fortuna okazywała się sprzeczną, mało zna- leżóby można było równie nieszczęśliwych.

Tymczasem jednak Hołopiat siadł na koń.

— Bądźcie zdrowi, panie, — rzekł do rycerza. — Wracajcie duchem do Łazunia, jeno nie pod podłogę, ale na pokoje, gdzie na was pilnie czeka nasz bat'ko i ktoś jeszcze, od atamana pewnie miłszy...

— Bywaj zdrów! — przerwał rotmistrz krótko.

— A ty dziewczyno, czego tu jeszcze czekasz? — zwrócił się kozak do Motry.—Ot, koń twój. Zbieraj się i hajda.

Dziewczyna wstała powoli i zbliżyła się do Miśniakowskiego.

— Prosite, pane, i Chrystos z wami!—rzekła cicho i pokłoniła mu się do ziemi, tak, że czołem dotknęła jego kolana.

— Co ty? Daj pokój! — zawołał rycerz zmieszany trochę i cofając się o krok.

Ona nic nie odrzekła, tylko dłoń jego podniosła do ust i trzymała przy nich długą chwilę. Gdy ją puściła wreszcie, rycerz poczuł, że była cała mokra od łez.

— Niech cię Bóg prowadzi!—rzekł jej wzruszonym głosem.

Ale ona już go nie słyszała. Siedziała już na siodle i pędziła konia przez zarośle i ciernie, nie oglądając się poza siebie.

Hołopiat jechał za nią. Gdy mieli już w bok skręcać, odwrócił się na kulbace i huknął na Artema.

— A ty, chłopcze, nie łaź za nami, bo będzie z atamanem bieda!

— Owa! — mruknął parobek.

— Hodi tobie już za dziewczką latać! Nie dla ciebie ona i tak cię właśnie nawidzi, jak psy dziada. Odczepże się i ruszaj do Nawizenego po czerwońce, które ci obiecał.

— Niech on się temi czerwońcami udławi! — krzyknął ze złością Artem. — Co komu do tego, gdzie ja chodzę? Step każdemu otwarty!

— Step otwarty, ale i dziura, w stepie łącno otworzy się dla takiego durnia, co silniejszym próbuje w drogę leźć.

— Milcz — szepnęła raz jeszcze, ale już cicho i nie gniewnie, tylko jakby z pokorną prośbą i wielkim smutkiem.

I dodała po chwili jeszcze ciszej, opuszczając wdół ręce i oczy.

— Odejdźcie już, panie! Wam i nam czas w drogę.

Pan Kazimierz chciał coś odrzec, ale głos jakoś uwiązł mu w gardle, i nie potrafił ani słowa wyjąknąć. Cofnął się tedy dość niepewnym krokiem i z niejasnym poczuciem doznanej konfuzji do Hołopiata, który tym

czasem krzątał się koło koni i dobywał z sakwy jedzenie. Obok, przytulony do drzewa, z twarzą bladą jak płótno i płonącymi żagwiami w oczach, stał Artem. Zobaczywszy nadchodzącego rycerza, wygiął się ku niemu, rozwierając usta i błyskając białymi zębami i zdawało się, że wnet rzuci się nań, jak żbik, zaczajony na zdobycz.

— Długo wy, panie, z nią się żegnali! — syknął — Jeszcze trochę, wmieszałbym się ja do tego rozhoworu!

Brzmienie głosu parobka było jeszcze obraźliwsze od napastliwych słów, i w innej porze łącznie mógłby rotmistrz cudzoziemskiego autoramentu odpowiedzieć śmiałkowi głównią szabli po łbie. Ale Miśniakowski był w tej chwili w dziwnym jakimś nastroju. Nietylko się nie rozgniewał, ale owszem z przyjaznym i nieco smutnym uśmiechem przystąpił do chłopca i położył dłoń na jego ramieniu.

— Nie bój się, nie! — rzekł dobrotliwie. — Nie wejdę ja ci w drogę i owszem dopomogę, jeśli będę mógł, do tego, co wiesz. Daj ci Bóg znaleźć tam szczęście, gdzie go szukasz. Nie ja zlakomię się na nie!

Mówiąc to, znikł za drzewami.

— Przepadnijcie oba, ty i twój ataman! — mruknął parobek.

A po chwili dodał, jakby z lekkim ociąganiem się:

— I wiedźma z wami. Choć jej i tak śmierć pisana!

VI.

KOZACKI MORAŁ.

Na Łazuńskim zamku po zniknięciu Miśniakowskiego zapanował zamęt i popłoch nieopisany. Szczepan sam zbiegł do lochów, przetrząsał każdy kąt zamku i miasteczka, kilku ludzi głównią od kindżału z nóg zwałił, jednego nożem żgnął, zapowiadał dla całej załogi krwawe egzekucje i obdzieranie żywcem ze skóry, odchodził ze wściekłości od zmysłów. Służba potraciła głowy a semeni w kupę zbici, patrzyli z podełba na to, co się działo, z rezygnacją, ale i z dziką zawziętością, bo niepohamowana i nieroztropna srogość Szczepana wyczerpała wreszcie i tępą cierpliwość ruskiego chłopca. Połowa ich niezdatna była do niczego i ledwo na nogach mogła ustać po nieludzkich plagach, otrzymanych wczorajszego wieczora: lubiony przez wszystkich, panu jak pies oddany setnik nad ranem dopiero przestał jęczeć na swoim palu, a teraz oto gotowano im nowe męki. Struna była przeciągnięta, ale rozszalały panek nie widział tego i pieniał się, nowe gwałty i okrucieństwa do dawnych przydając, a oni milczeli jeszcze, ale w ich dzikich duszach zaczynało dojrzewać przeświadczenie:

— Albo jemu koniec, albo nam!

Wreszcie jednak rozszalały mąż oprzytomniał. Przez chwilę zbierał myśli, jak człowiek, budzący się ze snu, potem w czoło się uderzył i usta mu się skrzywiły brzydkim uśmiechem.

•— No, gaszek wymknął się — mruknął, — ale pannę mam w ręku i gorzej mu się przysłużę, niż gdybym mu łeb ściał.

I szybko poszedł nazad do komnat starosty.

Podczas, gdy w zamku wszystko wrzało, kręciło się i traciło głowę, w tym jednym zakątku był spokój. Chory leżał, jak zwykle, nieruchomy, z szklistemi oczyma, wpatrzonemi w przestrzeń. Hanusia, znużona wrażeniami ostatnich godzin, przysiadła przy łóżku na niskim stołeczku i czoło oparła o wezglowie. Pleban, zrzuciwszy liturgiczne szaty i obawiając się wyjść przez dziedziniec pełen zgiełku i zamieszania, stał milczący i bezradny przy łóżku. We drzwiach dokoła To- doski tuliło się kilka dziewcząt z fraucymeru. W kącie skupiła się, rozprawiając żywo choć przyciszonym głosem, szlachta. Koło drzwi, wiodących na krużganak, przypatrywał się bieganinie i przysłuchiwał wrzawie stary Ciszewski ze złośliwym półuśmiechem na zaciśniętych ustach i takim wyrazem przyblakłych oczu, który mógł nasunąć na myśl, że stary wie znacznie więcej o ucieczce więźnia, niż wszyscy inni w zamku. Ale młody Turobojski machnął już w tej chwili ręką na Miśniakowskiego i myślał jedynie o Hanusi.

— No, księżę, — zawołał, wchodząc z kilkoma ze swych najbliższych: — nuże prędzej do komży i stuły i kończ, coś rozpoczął!

I, zwróciwszy się do panienki, pochwycił ją mocno za rękę.

— Służę waćpannie! — zawołał podniesionym głosem.

Ale ona szarpnęła się, wyrrywając mu rękę. " — Precz ode mnie! — krzyknęła. — Nie pójdę! On przytrzymał ją, śmiejąc się szydersko.

— Tak ci pilno było przed godziną, żeś księdza przynaglała, żeby nam prędzej ręce stułą wiązał, a teraz nie chcesz?

— Nie chcę! Wolę umrzeć!

— Konsens dałaś przecież przy tych ichmościach i całym dworze!

— Bom chciała... bom musiała człowieka od męki i śmierci ratować!

— A któż ci mówił, że od męki i śmierci już wolny?

— Jest wolny, bo umknął!

On znów się rozśmiał.

— Nie każdy, kto ucieka, staje się wolnym. Nie- dość z lochu się wydostać, trzeba i z zamku uciec, a to trudniej!

Błada twarz dziewczyny przyoblekła się bladością umarłych

— Jako? — wyjąkała drżącymi ustami; — więc on... Więc jego...

Turobojski skinął głową w odpowiedzi na niewypowiedziane pytania.

— Tak jest! Spytaj tych ludzi, czy chcieliby być w tej chwili na miejscu Miśniakowskiego?

I rzucił swym towarzyszom znak, mogący być zarówno pytaniem, jak rozkazem.

— Niktby nie chciał! — krzyknęli chórem.

— Lepiej mu było wczoraj, niż dziś! — dorzucił, wy

W zaklętem zamczysku II.

stępując o krok naprzód Wasyl, który już poczuwał się do następstwa po Makarze.

Hanusi straszne przypuszczenie przebiegło wichrem ognistym przez głowę.

— Może ubity? — krzyknęła.

Ale Szczepan zaprzeczył energicznym ruchem głowy, a tamci poszli śpiesznie za jego przykładem.

— Nie, nie! — zawołał Turobojski. — Nie zabity i nie ranny, oprócz tego, co dostał w nocy najazdu i z czego się już wylizał. Nie wierzysz? Oni ci przysięgną!

— Przysięgniemy! — odezwali się chórem Szczepankowi słudzy.

— I jest znów w twoich rękach?

— Jest i jakom przed godziną obiecywał, tak teraz się stanie. Wola twoja ma-li żyć, czy zginąć.

Mówiąc to, głową i dłońmi machał, słowom własnym potakując. Ale ona nie patrzyła na niego. Wzrok jej poza nim i poza jego towarzyszami utkwiony był w starego burgrabiego, który, stojąc we drzwiach poza ich plecami, wpijał się w nią oczyma i bezustannie dawał głową przeczące znaki.

Na wybladłe lica panienki uderzyła znów krasna łuna. Oderwała wzrok od Ciszewskiego i cisnęła w stryjecznego spojrzeniem, pełnem pogardy i wstrętu.

— Kłamiesz! — krzyknęła. — Kłamiesz, jak i zawsze! Kłamiecie wszyscy! To jedno prawda, że on żyw, bo na to oni chcieli przysiąc, ale on nie jest w twojej mocy, a skoro tak, to i nade mną ty już mocy nie masz nijakiej!

Szał wściekłości wstrząsnął młodym Turobojskim.

— Czy tak? — syknął przez zaciśnięte zęby. — Ano, to niechże będzie po twojemu. Nie wierzysz, że Miśniakowski złowion? Dobrze! Tedy ci przyznam, że umknął.

Panienka oczy wgórę wzniosła, splatając dłonie modlitewnym ruchem.

— Zginąć — zginie, bom mu to przysiągł, a może djabeł to sprawi, że go żywym pochwycę, to wówczas zginie wolną śmiercią i taką, o której po stu leciecib będą ludzie opowiadali, drżąc ze strachu. Ale to nie stanie się dziś, ni jutro, choć go nie minie. A dziś stanie się co innego. Dziś ty staniesz się moją żoną albo moją nałożnicą, co wolisz. Chcesz, niech nam klecha kończy swoje pacierze; nie chcesz, zawlokę cię bez tego do mojej łóżnicy.

I pochwycił ją oburącz, unosząc w powietrzu.

— Jezu! Ratunku! — krzyknęła nieszczęśliwa.

— Dalej, mościpanowie! — wrzasnął Deręgiewicz. — Nuże na pomoc uciśnionej niewinności!

— Bij, kto w Boga wierzy! — pisnął dyszkantem Jarosiński.

¹ — W nich! — huknął pan Oświejko, widząc, że służba Szczepanka rzuca się na nich ławą. Ale choć Szczepankowych mało co było więcej, wycieńczona głodem i ranami szlachta nie była w stanie im sprostać. Po kilku zadanych i odpartych cięciach wtłoczono jeńców nazad w kąt, z którego wychylili się na mgnienie oka, a tymczasem Szczepan dusił Hanusię w żelaznym swym uścisku, krzycząc jej w ucho: — Jako że chcesz? Ze ślubem czy bez ślubu?

— Ojczy! — krzyknęła dziewczyna.

I teraz zaszło coś zgoła nieoczekiwanego.

Starzec, leżący od tak dawna bezwładnie i słabemi tylko ruchami dający zrzadka oznaki życia, dźwignął się nagle jakimś jakby nadludzkim wysiłkiem i usiadł na łóżku z podniesioną głową, wyciągając prawą dłoń przed siebie.

— Puść ją, zbój! — wyrzucił z głębi piersi głuchym, rżącym, ale silnym głosem.

Było to tak niespodziewane i tak straszne, że Szczepan mimowoli cofnął się i, nie puszczając Hanusi* postawił ją przed sobą na ziemi.

— Puść ją! Rozkazuję! słyszysz?

Ale Szczepankowi wróciła już zuchwałość jego i buta. Tam w kącie służba jego wiązała w łyka obezwład- » nionych obrońców Hanusi, i zostawał ku jej obronie jedynie z poza grobu na krótką chwilę wracający starzec. Co mu mógł zrobić?

Przycisnął tedy silniej wijącą się pod jego ramieniem dziewczynę, drugą ręką podparł się w bok po junacku i parsknął stryjowi w oczy grubym śmiechem.

— Ano słyszę, słyszę, bo głos wam wcale dobrze dopisuje po długim milczeniu: jeno słuchać nie myślę. Wyścież mi waszą dziewczkę dawali sami za żonę! Każcie teraz iść ze mną do księdza i stuły, to jej nie pohańbię, a nie każecie, to już będzie wasza wina i szkoda!

— Łotrze! — ryknął stary. — Puść ją i szczeznij!

— Wam bliżej do tego, żeby szczeznąć, a puścić ją" puszczyć, jeno rozkoszy z nią zażyję, a potem niecn

i moje semeny z nią pohulają! Kiedym łotr, to po łotrowsku będę czynił, a co po dziadach wzięliście, to i tak zagarnę, czy prawem, czy lewem, wszystko jedno!

Z piersi starca wydarł się teraz już tylko głuchy ryk, i zmożony wysiłkiem, opadł nazad na wezglowia.

— Bóg ciebie skarz, jak ja przeklinam! — jęknął.

— Nie przeklinaj i Bogu ostaw pomstę! — ozwał się głos z głębi izby.

Wszyscy obejrzeli się, zdziwieni, a Szczepan, czy słowami stryja, czy temi ostatniemi wstrząśnięty na chwilę, puścił z rąk Hanusię, która przypadła do ojca i ramionami otoczyła mu szyję.

W progu stał ojciec Symforjan.

Szczepan jednak wnet otrząsnął się z chwilowego wrażenia, zwłaszcza, że starosta wpadł znowu w dawną bezwładność.

— Patrzcie! Jednego klechy na mój ślub za mało: drugi się przywłókł. Tem lepiej! Jeden nie zechce, to drugi go zastąpi!

I dodał do służby:

— A przyjąćże mój suto a szczerze miłego gościa. A żeby się nie zrywał przed czasem, obwiążcież go jednym jeszcze paskiem, choć i nie franciszkańskim, ale mocnym.

Dwu pachółków posunęło się niezbyt skwapliwie do wiązania księdza, on zaś nie bronił się, ale owszem sani im ręce wyciągnął.

— Wiążcie, — rzekł; — ale nie na długo tego będzie, bo wnet tu inni jeszcze zawitają goście!

Obecni spojrzeli po sobie.

— Co on mówi? — zapytał pocichu jeden z dwor skich.

— Odsiecz! — przeleciało po cichu wśród skrępowanej szlachty.

Szczepan miał też pytanie jakieś na ustach, ale zabrakło mu czasu je wymówić, bo w tejże chwili zakotłowało się w krużganku, a potem w samej izbie, która niespodziewanie napełniła się strasznym zgiewkiem, wrzaskiem i szczękami oręża. Ale nie trwało to długo. Chwilę później Szczepan i jego ludzie leżeli na ziemi, przywaleni nawałą nacierających tak szybko, że nie mieli czasu szabel dobyć z pochew, szlachta zaś i bernardyn mieli porozcinane więzy.

— No, sława Bogu, że ja na czas na to wesele przybyłem! — ozwał się głos Nawizenego.

— Widzę, że wesela jeszcze nie było, to i dobrze! Teraz trzeba tu zrobić trochę porządku.

Mówiąc to, kozak rozglądał się dokoła i podszedł do łóża.

— Ot wy, panie starosto, nigdy mnie na waszym zamku nie chcieli cierpieć i zawszeście mówili, że kozak na złe bratańca naprowadza, a teraz widzicie, przydał się wara kozak, i jeśli wam Bóg da trochę pożyć, obaczycie, że Jurko Nawizeny od Szczepana Turobojskiego lepszy.

Potem skłonił się Hanusi.

— A wy, panno, nie bójcie się! Ja ua to przyszedłem tylko, by krzywdy waszej nie dopuścić, ale wnet stąd wyjdę, milszego tu komendanta zostawując na mojem miejscu, bo to wiem dobrze, że pana rotmistrza Miśniakowskiego tylko patrzeć, a jak go tutaj serce przyciągnie, to ja jemu zdam zamek i was, panienko, a sam ruszę!

Hanusia zbyt była wzruszona, by móc mówić, więc tylko obie ręce wyciągnęła do watażki.

On zaś pokłonił się jej z uszanowaniem i skinął na Todoskę.

— Ty, starucho, odprowadź imościukę do jej komnaty. Niech spocznie, a tu tymczasem Ciszewski będzie przy starym panu czuwał.

— Waszmościowie zaś, — dodał, zwracając się do szlachty, — wynoście się stąd wraz z resztą panów wielmożnych. Dość już nahulaliście się i dość z wami poigrano! Niech jeno, kto bliższy dTuh pana rotmistrza, zostanie tu z nim dla kompanji, a reszta do domu do imości i bigosu! Nic tu już po was, bo nad panną opiekę obejmie Miśniakowski, a na burdy moi mołojce nie pozwolą!

Szlachta wyszła, czeladź młodego Turobojskiego wyprowadzono za nią, bernardyn wraz z plebanem pośpieszyli na dół, by zapobiec kłótniom przy odjeździe jeńców z zamku. Za niewiastami drzwi się zmknęły. W izbie, prócz starosty i krzątającego się przy nim burgrabiego, pozostali Nawizeny i Szczepan.

Tego ostatniego nie krępowano: pozbawiono go tylko broni. Nie był ranny, ani nawet zadraśnięty, tylko krwi trochę broczyło mu przez pogryzione usta. Stał oparty

0 ścianę, trzymając przy twarzy zaciśnięte pięści

1 krwią zaszła oczy utkwivszy w ziemię.

Nawizeny podszedł do niego.

— No i cóż, draże, nie udało się wesele? — spytał raczej dobrodusznie, niż szyderczo.

— Zapłacę ci z nawiązką, ale teraz odejdz ode mnie, zdrajco! — warknął zduszonym głosem perehiński panek.

— Jać odejdę, ale ty przedtem pójdziesz.

— Ja pójdę, ale i ty pójdziesz do Belzebuba.

Kozak zaśmiał się.

— Chyba i na ciebie czeka u niego ciepły kącik! Jaż przynajmniej nikogom zdradą nie mordował! Ale nie o to spTawa. Chcę ci jeno rzec, czemu tu przyszedł i co myślę uczynić.

— Wolejbyś pysk zawarł. Nie ciekawym twego szczekania.

— Ciekawyś czy nie, musisz słuchać, bo teraz moje na wierzchu. Wysłuchasz, potem pójdziesz na cztery wiatry!

— Czego mam słuchać? Żeś mi dziewczkę dwakroć ukradł i tak za gościnę i służbę odpłacił?

Watażka ramionami ruszył.

— Wstyd rycerzom o kożę waśnić się i wojować, ale figlik ujdzie, bo dziewczka i pies za jedno. Ukradłem ja waćpanu kochanicę, ukradłeś mi ją wzajem—ot, śmiechu warta sprawa! Powiedziałbyś mi po dobremu:— „Jurku, draże, oddaj” — jabym i oddał! I nie byłoby między nami spora i jabym wrócił na Niż, ostawiając ciebie po staremu, choć i druźbie naszej koniec już był, ot w sine morze wpadła! A czemu ona zginęła, o tem mnie wiedzieć, ale i tobie nie zataję. Ze mnie, widzisz, mości cześnikowiczu, chłop prosty z urodzenia, a rycerz z rozboju. Od małego na dobro cudze chodził, łup brałem z pohańców, ale i z ochrzczonech brałem, a litować się nikt mnie nie uczył. We krwi jam się pławił, wrzask mordowanych wrogów milszy mi był od teorbanów, a pożar milszy od słońca. Ale zawsze to było między obcymi. Swoich uczyli mnie starsi nie tykać i nie tykałem. Z waćpanem my się na Siczy poznali, razem na czajkach-jaskółkach na Krym chodzili, razem dobro tureckie brali, razem krew i proch wachali i jeden za drugiego łeb nastawiał. I dobrze było... Aż ot, zła dola tutaj mnie przywiodła i ja przypatrzył się temu, co ty z braćmi swymi czynisz, i odrzuciło mnie od ciebie. Ale i tak nie byłbym ci w drogę wlażł, jeno mi żal się zrobiło tej słodkiej panny, dla której ten stary bał się, że wilk ze mnie będzie, a tymczasem wilk był bliżej. I ot, popsulem waćpanu szyki, ale teraz koniec już z nami.

— Obaczysz, jaki to koniec! — mruknął cicho Szczepan, zaciskając mocniej pięści.

Ale kozak nie słyszał go, czy może tylko nie chciał słyszeć i ciągnął dalej.

— Ja twoich semenów każę zaraz rozwiązać i konie im oddam, a broń jutro wozem odeślę do Perehińska, bo inaczej narobilibyście ze szlachtą razem bigosu i Łazuń nie byłby bezpieczny, a ja chcę go zabezpieczyć. Każę też dopilnować, by szlachta w przeciwną stronę ruszyła, a perehiński szlak był wolny. Bywajże waćpan zdrow, mości cześnikiewiczu, i daj Bóg nie spotkać się nigdy na tym świecie!

— Bodajbyś zdechł w męce, chłopie!—mruknął znów przytłumionym głosem młody Turobojski i wyszedł.

Kozak znów go nie dosłyszał zapewne, bo nic mu nie odrzekł, tylko wzrokiem odprowadził go wzdluż kruż ganku, a potem zwrócił się do Ciszewskiego.

— Patrz wasze!—rzucił mu z odcieniem szyderstwa. Toż szlachcic nie byle jaki, a prosty zbój odeń lepszy! W naszym bractwie siczowem dużo się teraz namnożyło łotrzyków, co sławę mołojecką postponują okrucieństwem i grabieżami, godnemi pospolitych grasantów, ale takiego pewnie towarzystwoby osądziło i kijami na śmierć zatłukło, podług obyczaju. A tu u was w tej Rzeczypospolitej, która nas zwie opryszkami, takiemu nic, i ci, co na niego najgłośniej krzyczą, niewiele od niego lepsi!

Burgrabia siwą głowę pochylił i westchnął, nie znajdując snąc odpowiedzi, a może w sercu bolejąc nad poniewierką rodu, któremu od małego służył.

A Nawizeny, jakby odgadując jego myśli, dodał:

— Ot, na co to zeszło panom Turobojskim!

VII.

LUDZKI LUP.

O Gondku powiadali ci, co mu byli bliżsi, że słyszy jak trawa rośnie. Nie miał on żadnych skrupułów, żadnej wiary i żadnego względu poza sobą. Mściwy był i złopamiętny nad zwykłą miarę, ale jeszcze bardziej chytry i przebiegły. Nikt, jak on, nie umiał wyczekiwać chwili sposobnej do spełnienia zamiarów i gromadzić szanse na swoją stronę. Była to natura niewolnika, pożądającego namiętnie wszystkich dóbr i rozkoszy swego pana i przygotowującego środki osiągnięcia ich wszystkich.

Gondek szizył wiernie Szczepanowi, zdradzając dlań jego stryja. Czynił to z dwu powodów: widział w trzymaniu się poły przyszłego dziedzica Łazunia swoją korzyść, i za jednym razem chciał odplącić staroście, a bardziej jeszcze Ciszewskiemu, którego nienawidził, za wszystkie batogi, otrzymane na łazuńskim dworze. Ale Szczepan okazał się zaraz od pierwszej chwili panem okrutnym i niesprawiedliwym, a zarazem wielce nieroztropnym; otrzymaną odeń zniewagę młody człowiek zniósł cierpliwie, ale poprzysiął w sercu pomstę, do której pojmanie go przez watahę Nawizenego wnet nastreczyło sposobność. Czy pojmanie to nie było przez Gondka umyślnie uplanowane? W każdym razie oddanie podstępem zamku w ręce kozaka było umyślne, bo o tem, że z grubego pęka kluczyków wiszących mu u pasa, jeden otwierał lochy zamkowe, mógł snadnie Nawizeny domyślić się, ale nie domyśliłby się nigdy, że inny klucz otwierał furtkę, wiodącą do lochów tych zewnątrz i nie byłby Gondka do wykrycia go przymusił, zewnątrz, i nie byłby dokonany, a zemsta była podwójna i mogła zaspokoić na razie pełne nienawiści serce zdrajcy. Z jednej strony oddawał dziewczkę, do szalu umiłowaną przez Szczepana, w te właśnie ręce, w których gorzej od każdego innych bał się ją widzieć

perehiński władcyka; z drugiej, odbierał mu spadek po daleko odeń bogatszym stryju, związany z ręką stryjecznej. Słusznie też radował się Gondek w swem po- sępnem sercu, ale z radością mieszała się troska.

Sutej nagrody od watażki był pewien: Nawizeny nie zawodził nigdy. Ale choć najhojniejsza zapłata nie starczyła na kupno własnego zameczku i rozpoczęcie rycerskiego i ziemiańskiego rzemiosła na własną rękę. To zaś było mu jasne, że na szlacheckim folwarczku. przy napędzaniu bizunem do pańszczyzny parobków, nie wytrzyma. Musiał zaś jeszcze długo zbierać grosz do grosza i ze szczebla na szczebel wzbijać się w cudzej służbie, nimby doszedł do celu, który mu wskazywała górna ambicja. A choć służba u Szczepana była twarda, w żadnej innej równie prędko nie mógłby stanąć u celu. Coprawda niełatwo też dostałby służbę poza Perehińskiem. Z Łazunia, wiedział o tem, wygnanoby go wślad za Szczepanem, a pierwsza jego zdrada zbyt powszechnie była znana* by go tak prędko ktokolwiek chciał brać do służby, zwłaszcza na wyższe stanowisko.

Odarcia ze skóry, zapowiadanego mu przez atamana, nie bał się wcale. Wiedział, że nikt go nie zdradzi z watahy, a poza watahą wiedział jeden Artem. Tego trzeba było usunąć, ale rzecz nie była trudna. Artem był chłopem bezpańskim, więc upomnieć się o niego nie było komu, a poza takim, który miał do jego pracy prawo, któżby pytał o chłopca? A poza Artemem nie widział i nie obawiał się Gondek nikogo.

Jeżeli jednak nie obawiał się o życie, nie był równie spokojny o całość skóry, która już w służbie nowe

go pana poniosła szwank dotkliwy- Szczepana kozak wypuści zdrowo do Łazunia, ale jeżeli go wściekłość nie zadusi, nim dostanie się do Perehińska, będzie tam straszny dla swoich ludzi. Gondek nie bał się kary za zdradę, ale bał się wybuchu pańskiej złości, gdyby w takiej chwili stawiał się z próżnemi rękoma. Palaby nań za to nie strugano, ale dostać kilkaset łoż na dziedzińcu perehińskim wobec semenów i dworni nie było dla komendanta załogi rzeczą ponętną, a tego łącno mógł od Szczepana oczekiwać. Postanowił tedy zabezpieczyć się przeciw temu.

Ale jak?

Sposób był prosty.

Należało wykonać polecenie, odnaleźć Motrę i przywieść upragnioną zgubę Szczepanowi.

Nie było to zaś trudno. Gondek nie wiedział wprawdzie, gdzie Artem ukrył dziewczynę, ale zato wiedział, bo przezornie podsłuchał, dokąd ją ma wieźć Hołopiat. Znał on całą okolicę na wylot: o Demkówce wiedział dobrze, wiedział i o kozaku, o którym wspomniał watażka. Miejsce było stworzone dla ukrycia się przed pościgiem. Futor leżał opodal ode wsi, w miejscu z jed nej strony jeno dostępnem, bo zewsząd otaczały go trzęsawiska nieprzebyte i dostać się tam można było jedynie długim i wąskim jarem, istną szczeliną skalną, której przeciw wojsku mógł łatwo bronić tuzin ludzi. W jarze tym postanowił zasiąść i czatować, aż nadciągnie Hołopiat. Z zasadzki łącno utrafić nie spodziewającego się napaści, a gdy Hołopiata zwali z konia, dziewczka będzie jego. Mogło być wprawdzie dwóch

z Motrą, ale cóż to znaczyło? Gonddek nie chybiał, a dwie lufy miał nabite.. To starczyło i dla Hołopiata i dla Artema, a gdy ich zwali z konia, Motra będzie jego.

Liczył dobrze i nie czekał długo. Nie minęło dwóch godzin, odkąd ukrył się w gąszczu, obrastającym wierzch jaru, kiedy doszedł go tętent koni. Nie dostrzegając jeźdźców, poznał, że biegnie para wierzchowców.

— Hołopiat, czy nie Hołopiat? — przeleciało mu przez głowę.

Był to Hołopiat. Pędzili samowtór z Motrą, bodąc konie do najwyższego pośpiechu. Artema z nimi nie było.

Gonddek wyczekał, aż jeźdźcy zrównali się z miejscem, na którym czatował, a potem dał dwa strzały, raz po raz, jeden w konia, na którym jechał kozak, drugi w kozaka. Koń wspiął się na tylne nogi, potem wyrzucił wszystkimi czterema kopytami w górę, wydając rzenie podobne do kwiku, i upadł ciężko, przygniatając Hołopiata, który z krótkim rykiem przechylił się na kulbace; puścił cugle i rękoma zamachał w powietrzu, a potem runął głową na dół.

Gonddek ześliznął się w mgnieniu oka na dno wąwozu i zagroził drogę dziewczynie, która, zrozumiawszy znać odrazu położenie, uderzyła konia z całej siły ręką nożem, wychwyconego z za pasa, i chciała wcał dopaść futuru, gdzie pewna była pomocy. Nie czas był już jednak na to, bo napastnik z taką siłą grzmotnął konia przez łeb głownią od króciicy, że zwierzę stanęło dęba, a potem prze waliło się nabok, podczas gdy dziewczkę chwycił i z siodła przemocą na ziemię ściągnął. Motra broniła się zaciekłe, koląc go swym nożem, tak, że mu ręce oblały się strugami krwi, ale on nie dbał o jej opór. Przycisnął ją do ziemi, przytroczonej do pasa rzemieniem silnie związał dokoła głowy owiazaną, zakneblował ją tak, by nie mogła głosu z siebie wydobyć, a potem pochwywszy jak dziecko, uniósł ją w górę i do własnego konia w zarośle poskoczył. Przerzucić obezwładnioną zdobycz przez siodło i samemu na nie skoczyć, było dziełem jednej chwili, nim jednak miał czas odczepić omotaną uzdę, poczuł nagle, że jakieś szpony owijają mu się dokoła szyi i wpijają w ciało, dusząc go żelazną obręczą. Poczul, że dech go odbiega i mróz występuje na czoło, a zarazem żar nieznosny obejmuje głowę płomieniem, i zrozumiał, że jeszcze chwila, a zginie. Obręcz tymczasem zaciskała się coraz straszniej i dusiła go bezlitośnie, a choć ręce miał wolne, nie był w stanie zadać niemi ciosu dość silnego wstecz, bo obie króciice były wystrzelone i nie mogły mu przynieść ocalenia.

Zrozumiał więc, że to śmierć idzie i że niema już od niej nijakiego ocalenia. Język mu lał z gęby i zwisał, jako bywa u wisielców, lica miał czarne od napływu krwi, a oczy zasły już bielmem, i gdyby go teraz puszczono, zwałiby się, jak kłoda, na ziemię. Ale nie puszczano go, owszem, obręcz zdawała się coraz to ciaśniejsza. i dławiła go coraz to mocniej. Jeszcze mgnienie oka i oto stanie przed sądem Bożym, a potem wieczność i piekło...

Gonddek nie przeraził się śmierci, ale przeraziło go piekło. Wierzył w nie, choć myśleć o niem nie lubił, ale

zapomnieć nie potrafił, choć nie pamiętał o Bogu. I teraz myśl ta o męce straszliwej, mającej trwać przez wieczność, wstrząsnęła nim tak, że obudził się z odrętwienia, ogarniającego mu jestestwo snem śmierci i błysk zupełnej przytomności przeleciał mu przez mózg.

Ależ on miał jeszcze środek ratunku! Mógł uniknąć śmierci, a co więcej, mógł uniknąć sądu. Na nic były pistolety, ale za pasem tkwił mu przecie kindżał.

Ostatnim wysiłkiem wyrwał go z pochwy i żgnął na oślep poza siebie.

— Czorte! — syknął stłumiony głos za jego plecyma, i obręcz zwolniała na mgnienie oka, ale wnet zacisnęła się na nowo.

Przez to mgnienie oka jednak trochę powietrza wśliznęło się w zaschłe piersi Gondka i bryła żelaza, przygniatająca mu głowę, utraciła połowę brzemienia. Wnet wprawdzie powróciły i duszność i brzemie, ale on tymczasem skorzystał z chwili lepszej i pchnął nożem po raz wtóry, mocniej, niż przedtem.

Tym razem obręcz zwolniała znacznie, ale nie rozerwała się jeszcze. Gondek otworzył gębę od ucha do ucha, próbując chwycić więcej powietrza, i jął uderzać poza siebie coraz to częściej i silniej. Wtedy naraz obręcz zerwała się i zaraz potem cios straszny uderzył weń z tyłu. Wymierzony był między łopatki i byłby odrazu wyłusknął mu duszę, gdyby przezornie w tejże chwili, gdy mu z szyi odpadł morderczy uścisk, nie rzucił się w bok górną połową ciała- Dzięki gwałtowności tego nieoczekiwanego ruchu, nóż ześliznął się i ugrzązł w skórzanym kubraku, omal nie tak twardym,

jak drucziana koszulka, i samo tylko ostrze przeorało wierzch ciała, nie wyrządzając większej szkody. Wtedy jednak Gondek odwrócił się na siodle z podniesionym kindżałem. Za nim siedział przyczepiony z tatarską do konia Artem. Krew mu płynęła z kilku ran tak obficie, że mu białą koszulę zamieniła na krasną, wilgocią prze- siąkniętą płachtę, i twarz miał tak białą, jakby ją umazano kredą, ale trzymał się mocno na koniu, i w tej chwili właśnie, przekonawszy się, że cios jego chybił, gotował się do nowego uderzenia.

— No, z tym już koniec! — mruknął Gondek, obcie- rając kindżał o połę żupana.

I, wsadziwszy go do pochwy, pomacał się za szyję.

—Ale łapy ma, bestja! — dodał półgłosem.,— Niczem niedźwiedź! Wiem już teraz, jak stryżek smakuje.

Naraz drgawki go przebiegły.

— Brr! — rzekł, spluwając z odrazą. Wszystko, byle nie to! Wolej na palu sterczec, albo i na stosie skwierzec, jako czarownicy! Byle nie szubienica.

I przemknęło mu nagle przez głowę, właśnie, jakby mu kto szepnął do ucha:

— A jeśli właśnie szubienica?

Gondka znów mróz po kościach obleciał. Wyszarpnął cugle, przymocował kurczące się bezsilnie ciało dziewczyny do gałki od siodła, podniósłszy jej głowę, by się nie udusiła i, nie oglądając się, popędził w przeciwną stronę jaru.

Gdyby się był obejrzał, zobaczyłby Artema siedzącego na miejscu, na którym padł.

Parobkowi słabość nie dała

W żakietem zamczysku XI,

dźwignąć się całkiem i pogonić za uciekającym, ale wzrok jego, pełen nienawiści i rozpacz, ścigał go, póki nie skrył się na zakręcie jaru.

VII.

NA STOS.

Ze Szczepanem było, jak Gondek przypuszczał. Był jak zwierz dziki, osaczony przez ogary. Wściekał się, pienił, kąsał wszystko, z czym się zetknął. Ledwo się znalazł za łązuńskimi murami, wjybuchnął przeciw swoim żołnierzom zato, że dali się opanować znacznie mniejszym siłom Nawizenego, i z rozkoszą myślał o krwawych egzekucjach, które im sprawi, zatrzymawszy się w tym celu na stepie; ale po raz pierwszy w życiu musiał pohamować gniew i pomsty narazie przynajmniej zaniechać. Semeni, którzy wczoraj jeszcze wiedli bez oporu swego setnika na pal, a sami, na jego wiedli bez szemrania batożyli sobie nawzajem zawzięcie skórę, stali teraz w głuchym milczeniu z opuszczonymi posępnie oczyma i żaden nie ruszył się, by wykonać dwukrotnie powtórzony nakaz przygotowania się do wymierzenia wszystkim kary.

Darmo przyskakiwał do szeregu, wrzeszcząc ochryplym głosem, że wszystkich każe w Perehińsku ze skóry obedrzeć. Nie odpowiadali i nie ruszali się z miejsca, ale kiedy chciał pierwszego z brzęgu obuszkiem w łeb uderzyć, powstrzymały go silne dłonie najbliższych stojących ludzi.

— Co to? Na pana ręce śmiecie podnosić?—ryczał.— Ja was! Niech tylko w Perehińsku stanę.

— Iw Perehińsku będzie to, co i tutaj! — ozwał się jakiś głos w tylnych szeregach. — Nas więcej!

— A wy, pane, czy tu, czy w Perehińsku, jeden przeciw nas! —dorzucił drugi.

— A nam za jedno żyć, czy umierać!

— Zginiemy, ale wy, pane, przed nami!

Teraz Szczepan zrozumiał i oprzytomniał. Struna była przeciągnięta i szarpać ją dalej znaczyło tyle, co samemu dać się szarpać. Po raz drugi w tym dniu dla siebie nieszczęsnym znalazł się wobec siły, przewyższającej jego własną. Musiał zmilczeć, pięści bezsilnie zaciskając, i ustąpić.

Ustąpił też, nakazując dalszy pochód na Perehińsk i obiecując sobie, że tam przy pierwszej sposobności weźmie pomstę okrutną, o jakiej nie słyszeli najstarsi. Niech mu stu ludzi zginie, niech zostanie bez siły zbrojnej i pójdzie na poniewierkę wrogów, ale tych chamów nauczy moresu! Myśl ta dodawała mu otuchy i dzięki niej żyw dojechał do Perehińska.

I w Perehińsku jednak musiał hamować się zrazu, bo żołnierze jego mieli rację: było ich i tutaj więcej od tych, coby stanęli za swym panem. Ale wśród tych właśnie, którzy uczyniliby to ze strachu i słabości, mógł Szczepan bezkarnie dać folgę swemu okrucieństwu. Była to zgraja niższej służby stajennej i dworskiej, małe kozaczki do podręcznych posług, czeladź

piekarniana i folwarczna, wreszcie kilku pokojowców i rękodajnych. Na skórze tych wszystkich mógł sobie perehiński władyczka hulać bezkarnie, mszcząc się na nich za zniewagę, wycierpianą od żołnierzy: nie do wiary też były porcje różeg i nahajów, które sypnęły się na tych nieszczęśników od wejścia pana w progi zameczku i co godzinę wzmagaly się nowemi. Wszystko to jednak nie zadowalniało Turobojskiego. Ofiary były zbyt nikczemne i bezsilne. On chciał mieć kogoś, kto b/ wzburzył się na jego zniewagi i wyrwał się, krzycząc i złorzeczząc z pod chłosty i dawał tem powód do przedłużania jej w nieskończoność. On chciał mieć kogoś silniejszego do gięcia i miażdżenia od tych rabów, co padali przed nim twarzą do ziemi i posłusznie, bez skargi, szli na mękę. I dlatego aż krzyczał radośnie i dłonią po biodrze uderzył z uciechy, gdy mu oznajmiono, że przybył Gondek i pilnie prosi, by mógł stanąć przed obliczem pańskim.

— Aha! Gondek! Dawaj go tu, a żywo!

I przez mózg przemknęła mu wizja mąk, jakie będzie mógł zadać komendantowi. Czy go każe ćwiczyć, czy przypiekać, czy ze skóry pas mu odedrzeć, czy może to, i tamto, i trzecie pokolei?

A właśnie drzwi się rozwarły i w progu stanął Gondek.

— Jesteś? — krzyknął, podchodząc ku niemu z za- ciśniętymi pięściami i złym blaskiem w oczach. — I z próżnemi rękoma? Sam, co?

Gondek uśmiechnął się mimo woli do myśli swoich, winszując sobie, że tak dobrze młodego pana przeniknął.

— Jestem, panie, — odparł spokojnie; — jeno nie sam.

— Jakto? — wrzasnął na cały głos Turobojski.

— Bo przywozłem Motrę!

Szczepan tak się zdumiał, że stanął z otwartymi ustami i osłupiałym wzrokiem, niezdolny słowa wymówić.

— Co ty? — wykrztusił wreszcie. — Co pleciesz? Motra... Odnalazłeś Motrę?

— Odnalazłem i przywozłem.

W innym nastroju Szczepan byłby wpadł w szal radości, bo namiętność jego dla Motry była wielka; teraz uczuł tylko złość, że nie ma powodu do szukania pomsty na Gondku.

Zrozumiał jednak, że okazywać tego uczucia nie może, więc przemógł się i bąknął kilka słów podziękowania, potem zaś spytał:

— Gdzie jest?

— Kazałem ją do tej samej izby zaprowadzić, gdzie była, nim jej ten przeklęty kozak nie ukradł. Mam li ją tu przywieść?

— Niech przyjdzie!

— Musiałem ją cośnecoś przygnieść, bo rzucała się i wiła, jak żmija, i gębę też trzeba jej było zatkać, więc trochę pewnie przysłabła, ale to wnet odejdzie, bo dziewczka zdrowa.

— Nic to! Nie w pierzynęz ją będę owijał! Idź teraz. Nagrody nie poskapię!

Gondek wyszedł.

Niewiele potem Motra stanęła na progu komnaty.

Była jeszcze bardzo blada ze znużenia i wstrząśnię!)! świeżo przebytych, a odzież miała potarganą, włosy zwichrzone i z kos porozplatane. Wszedłszy, oparła się plecyma o ścianę obok drzwi i tępy, zdziczały wzrok wbiła w Szczepana.

On zaś w boki się wziął i patrzył na nią takim wzrokiem, jak patrzy zwierz drapieżny na pojmaną łanię, zanim kłami weźre się w jej ciało i pocznie krew ciepłą ■wypijać.

— Cóż, jesteś tu znowu, jaskółko wędrowna? — spytał syczącym głosem.—Naprzykrzyło się w Perehińsku, więc strzygłaś oczkami do kozaka, aż uczynił chęciom twoim zadość i ukradł cię i schował, a kiedyś cię odnalazł, on ukradł po raz drugi, ale i jam trzeci raz cię pochwycił i teraz już nie puszcze!

— Drugi raz nie Nawizeny mnie ukradł, — odrzekła bezdźwięcznym, jakby na wszystko zobojętniałym głosem.

— A któż? Gadaj prędko, kto?

— Ja sama do niego poszła!

Szczepan zatrzęsł się cały z gniewu.

— Taki to ci on luby?

Motra ramionami ruszyła.

— On nie luby; drugi luby!

— Drugi, tak? Dobrze! A któż ten drugi?

— Ten, którego ja z waszych rąk wydarła.

— Ty? Z moich?!

— Ano tak! Bom posłała do Nawizenego swojego człowieka i kazała jemu tak rzec: „Tam w Łazuniu wiążą i na śmierć dać mają tego, którego polubiła mo ja dusza! Niech jego wyzwoli i mnie na oczy przyśle, a wtedy ja sama do niego przyjdę!" I wtedy on tego człowieka wyzwolił i do mnie przysłał, a ja do niego szłam, kiedy mnie ten zdrajca napadł.

Turobojski opanował duszącą go wściekłość.

— A któż to ów, którego polubiła dusza twoja?

Motra podniosła na niego oczy i wpatrzyła się w jego oblicze, po ktÓTem przebiegał skurcz hamowanego uniesienia.

— A wam, pane, chce się imię to poznać, prawda?— spytała z dziwnym jakimś uśmiechem.

— Chce się! — mruknął przez zaciśnięte zęby.

— To i powiem, żeby wam dogodzić. Czemu nie mam powiedzieć? Jakby on w waszych rękach był, nie po- wiedziałabym, ale on od was bezpieczny i śmieje się z waszych gróźb, bo sarn on dla was groźniejszy, niż wy dla niego!

— Miśniakowski! — wrzasnął, piniąc się, Szczepan.

Dziewczyna głową kiwnęła z odrobiną szyderstwa.

— On sam!

Turobojski za włosy się chwycił, a potem do dziewczki przyskoczył.

— Ty... śmiesz... suko! — bełkotał, dusząc się złością. — Ja cię... Ja was... Ja...

Motra znów mu wyzywająco w twarz spojrzała.

— Zabij! Potom mówiła! Zabij!

On nagle stanął, jakby mu na łeb lunęło wiadro wody.

— Ty chcesz, żeby cię zabił?

— Chcę, ale ty nie będziesz śmiał!

— Co? Jaby nie śmiał jednej nędznej ścierce kark skręcić?

— Nie będziesz śmiał! Chłostać ty umiesz, przypiec potrafisz, ale śmierć zadać — hej, na to nie twojego zajęczego serca potrzeba!

On porwał się i chwycił ją w ramiona, jak jastrząb chwyta w szpony szaraka.

— Wściekłaś się, coś rzekła?

— To, co każdy wie: żeś tchórz! Ot i teraz! Trzęsiesz mną, jak chłopcy gruszą, a potem puścisz, a ja śmiać się będę z ciebie, jako i wszyscy śmieją się, jeno że inni za twojemi plecami, a ja w oczy, że to my w druźbie!

— Będiesz się śmiała, gdy cię zaczną batożyć!

— Jaż to mówię, że ty jeno do batoga majster.

— A potem oddam cię semenom, niech z tobą hulają!

Ona zaśmiała się, białe zęby pokazując, jak wilczyca.

— Owa! Boję ja się twoich semenów! Mnież w to graj!

Turobojski przez chwilę wzrok wbił w ziemię i wargi zagryzł tak silnie, że aż na nich pokazała się kropla krwi. Wreszcie głowę poderwał do góry i w twaTz jej ostro spojrział, biorąc się w boki.

— Ano, jeśli ja mam zajęcze serce, a ty wolisz ode mnie tego bosonogiego pędziwiatra i kozakowi sama w łapy leziesz, to i prawda, żeś dla mnie niezdatna. Inna ci się należy łożnica i inny traktament. Mówisz, że ja jeno batożyć potrafię? Dobrze! Pokażę tobie, że potrafię i coś lepszego od batożenia!

Ona, zmięta w jego uścisku, przybladła nieco i dłonie do piersi przycisnęła, chwytając z trudnością oddech, ale na zbiegających ustach znów zaigrał uśmiech szy- derski.

— Nie potrafisz nic innego! Jurkoby potrafił, ty nie potrafisz! Ty boisz się śmierci sam, boisz się i śmierć zadawać!

Szczepan ze złości zatupał nogami.

— Szalona! Szalona! — krzyknął. — A wiesz ty, co stało się z tym sotnikiem, któremu się wykradłaś? Przez noc wił się na palu, a rano ostygł! A tych pięćdziesięciu, których posłałem po ciebie, dostało po pięćset łoż, tyle właśnie, ile człowiek znieść może, nie zdychając. A ty mi prawisz, że boję się ludzi ubijać!

— Przed panną starościanką chciałeś się pochwalić, żeś taki srogi!

— Pochwałę się przed tobą tem, co ci uczynię, ale nie rozpowiesz już o tem nikomu.

Dziewczynie usta zacisnęły się, jakby pod wpływem przelotnego wrażenia, wnet jednak odrzuciła wtył głowę swobodnym i przekornym ruchem i ukazała zęby w wyzywającym uśmiechu.

— Ciekawość, co to będzie!

Ale on w dłonie klasnął.

Gondek stanął na progu.

Młody pan wskazał mu dłonią na dziewczynę.

— Widzisz ty ją? Szczekała mi tylko co w oczy, że tego niedorzniętego przeze mnie gaska z Horody- szcza miłuje i napiera się zginać, jak pędrak łakoci, byle mi afektu nie odwzajemnić! Cóż ty na to?

Gondek spojrział przenikliwie na dziewczynę.

— 164 —

— Śmierć śmierci nierówna, — zauważył zwolna.

— Ona jeszcze szydzi, żem tchórz i zabijać nie potrafię!

Gondek ramionami ruszył.

— Może na Nawizenego liczy, albo na tego mydłka z Horodyszczu?

— Nie! Ona naprawdę chce, żeby ją zabić! Ale ja jej na złość nie zabiję, a dręczyć każe dzień i noc, póki nie przywlecze się sama do mych nóg i nie zacznie skowyczeć o litość!

Gondek milczał przez chwilę.

— Jaby na miejscu waszej miłości skończył z nią krótko.

— Ona tegoż to dobija się!

Gondek uśmiechnął się.

— Onaby chciała, żeby ją nożem żgnąć, ale jej co innego się patrzy.

— Cóż ja jej uczynię? Wstydże nad babą się pastwić! i tak już mnie na jęzorach obnoszą!

— Pewnie, że jej na pal nie wsadzać, ani kołem łamać. Ale jest kara, która jej się należy, i jeno miłosierdzie waszej miłości chroniło ją od kary tej dotąd.

— Jakaż to kara i za co?

— Karą tą ogień.

— Ogień?!

— Od Białej Cerkwi po Berdyczów wszyscy ją znają, że wiedźma. A kto z Nieczystym na Łysej Górze się kumał, temu należy się stos. A przy waszej miłości moc i sąd!

Turobojski zwrócił się do dziewczyny, która przez

— 166

cały ciąg rozmowy jego z Gondkiem stała nieporuszona. jakby nie o nią chodziło.

— Słyszysz? — zapytał.

— Słyszę! — odrzekła.

— Prawda li to, co on prawi?

— Może i prawda!

— Przyznajesz się?

— Poco? I tak zginę, jak wam sprzykrzy się mnie katować.

— Nie zaprzecza jednak! — zauważył Gondek.

— Nie będę łącać. Na sabatach nie bywałam i z Nieczystym nie kumałam się, alem od staruch uczyła się tajnych sposobów i wróżb, a takich co mnie nie chcieli posłuchać w miłowaniu, przymuszałam do tego czarodziejską mocą. I zato spotkała mnie kara gorsza, niż ogień, i od brzemienia tej kary i tej boleści nijak mi żyć na świecie. Wobec niej— co mi męka i śmierć!

— Sama przyznaje, panie, że zasłużyła na gorszą jeszcze karę, niż ogień! — wtrącił skwapliwie Gondek.

— Niechże ma ogień, skoro go tak pożąda! — rzekł surowo Szczepan.

Poczem zwrócił się do dziewczyny.

— Po raz ostatni cię pytam: chcesz odszczekać u moich nóg, coś tu pluć i na łaskę zasłużyć?

Dziewczyna wzdrygnęła się.

— Nie!—rzekła z mocą.—I gdyby mnie to kosztować mało i tysiąc mąk, i tysiąc śmierci, zamiast jednej — nie!

— To giń, suko! — wybuchnął Turobojski.

I skinął na burgrabiego.

— Dżiewkę odwieźć i straż do niej przystawić a pilnie zważać, by sobie co złego nie uczyniła!

— Wedle rozkazu!

Dwóch hajduków wyprowadziło Motrę.

Turobojski rozkazywał dalej.

— Ogłosić przy biciu w bęben o wyroku i egzekucji na dziś wieczór.

— Na czarownicy, przekonanej o zaprzecanie się djabłu i przemoc nad chrześcijanami, czy tak? — wtrącił Gondek.

— Tak! Przystawić mi na rynek wójta i ławników! W rynku wystawić przystojny stos z suchych gałęzi, z.palem w pośrodku do przywiązania delikwenta.

— Według rozkazu!

— Jewtuch niech będzie gotów. On do takich rzeczy sprawny. Dwóch niech weźmie do pomocy. Połowa semenów tworzy czworobok dokoła stosu, druga połowa będzie przy mnie. Turobojski urwał i zamilczał przez chwilę, jakby się namyślał.

— O tem, kto ma być karany, nikt nie ma wiedzieć, aż więźnia wywiodą: rozumiesz?

— Rozumiem!

— Ty będziesz dowodził zbrojnymi na rynku, ja moją osobą przyprowadzę wiedźmę.

Ruszaj!

CZĘŚĆ TRZECIA.

SĄDY BOŻE.

1

KAT I OFIARA.

Pędem zbliżał się do Perehińska o przedwieczornej godzinie jeździec na dobrym koniu, pianą okrytym z nazbyt przyśpieszonego biegu. Twarzy jadącego nie było widać, oparł się bowiem na szyi swego wierzchowca, jak człowiek śpiący lub ospały w drodze. Straż w bramie okrzyknęła go i wtedy dopiero podniósł głowę z widocznym wysiłkiem, rozglądając się dokoła głęboko wpadłymi oczyma.

Ujrzawszy go, starszy strażnik cofnął się o krok i przeżegnał się.

— Tfu, maro, przepadnij! — zaklął, spluwając.

— Piotrowin, — zauważył jego towarzysza, który służył dawniej za pachółka przy dworze i liźnął tam nieco wiedzy.

Istotnie można było przestraszyć się. Jeździec był młodzieńcem dużego wzrostu i silnej budowy, ale bez

kropli krwi w twarzy, woskową bladocią przysłanietej, jak twarz trupa. Odzież miał zwykego parobka, ale oręż dobry, wygladał też raczej na putnego bojara, niż na chłopa. Musiał paść ofiarą napaści lub udział brac w bójce, bo krew mu okrywała switę i czerwona płachtą odcinała się na białej, rozchelstanej koszuli, z pod której przeglądały na nagiem ciele przewiazki ran.

— Dobrze coś ciebie poszczerbili, chłopcze! — zauważył młodszy strażnik.

— A skąd ty i czego? — spytał rozważnie starszy.

— Ja do nikogo, — odparł słabym głosem ranny. — Ja z pismem od mego pana do Berdyczowa jechał... na drodze zbój napadł z tyłu.... Konia zachciało się i broni dobrej.

— A cóż z tym zbójem — spytał ciekawie młodszy strażnik.

— Nic! Ot, dobrze, że Bóg dał umknąć, to i pomyślałem, że do Berdyczowa daleko, nie zduszam, bo krew mi szła i do Perehińska wstąpiłem... Może jaki dobry człowiek da spocząć pod dachem do jutra i rany opatrzy!

— Któżby odmówił? — zawołał młodszy strażnik z przekonaniem. Myż chrześcijanie! Ale starszy, znać doświadczeniem ćwiczony, potrząsnął roztropnie głową....

— Panu trzeba donieść! — rozstrzygnął krótko.

Jeździec za pazuchę sięgnął i wyjął z niej dłoń ściśnietą w kułak.

Pan wasz straszny! — bąknął. — Boję się ja jego, wolałbym nazad zawrócić i w polu zdychać* niż na oczy

jemu leżć! A skąd on ma o mnie wiedzieć? Mało tu tutejszych włóczy się przez tę bramę?

— Ta... Ono to tak, — mruknął stary; ale...

— Jabym wam dobry mohorycz zapłacił.

— Mohorycz — dobra rzecz, ale skóra też miła człowiekowi! — zauważył sentencjonalnie stary.

— Skóra wasza bezpieczna, a czerwonceem można ją ochronić tak, że i nahaj nie zaboli!

— Czerwonceem? — spytał stary ze zdziwieniem.

— A ot takim!

Mówiąc to, jeździec podniósł kułak napół otwarty i błysnął sztuką złota.

— Cóż? Teraz nie będzie wam strach o skórę?

Obaj strażnicy wpili się łakomie oczyma w pieniądz.

— Mnieby nie było strach, — mruknął starszy, — sięgając po dukata; ale ot temu trzebaby czem gębę zatkać i serce podniecić!

— Naściż talara!

Mówiąc to, rzucił drugiemu strażnikowi wielką srebrną monetę i, nie bawiąc się dalej, ruszył naprzód w ulicę.

Zaledwie jednak ujechał kilkanaście kroków, gdy rozległo się za nim wołanie.

— Co tam — spytał, zwalniając biegu i z trudem odwracając zbolalą głowę.

— Słysz ty — krzyczał za nim starszy strażnik. — A w rynek nie jedź!

~ Albo co?

— Tam teraz właśnie pan będzie, a sam mówisz, że lepiej nie leżć mu w oozy.

Jeździec zdziwił się.

— Cóż to pan wasz w rynku ma za sprawę?

— Sądy ma odprawiać i kaźń czynić.

— Kaźń? Czyją?

Strażnik ramionami ruszył.

— Albo ja wiem? Nikt nie wie. Chyba ten pies Gondek, bo on teraz, mówią, panu najbliższy.

Coś, jakby nagła błyskawica, przeleciało po wybladziej twarzy jeźdźca.

— On tutaj? — bąknął niewyraźnie, jakby mu dech zapierało.

— Od południa. Dziewkę panu przywiózł, którą mu, mówią, Nawieżony ukradł.

Ranny chłopak milczał przez chwilę, jakby namyślając się, czy siły osłabłe zbierając.

— Toć przecie, — ozwał się wreszcie, — jeśli ma być kaźń, musi być i więzień jakowyś? Strażnik ręką machnął.

— Tego towaru nigdy u nas nie braknie. I nikt nie wie, wielu tam pod podłogą jęczy i kto! A kogo tam pańska wola wybrała dzisiaj na stos, nam nie wiedzieć.

— Na stos? — zawołał w najwyższym zdumieniu jeździec.

— Ano, tak. Nagwałł go budują w rynku.

— Na stos? — powtórzył jeździec—To znaczy za czary.

— Może i za czary? Kto jego wie? Pańska wola!

Jeździec wpatrzył się w niego szklistym wzrokiem,

jakby w chwilowem zapamiętaniu, potem nagle za

głowę się chwycił, uderzył konia i pognął naprzód, jak wichur.

— Co ty? Dokąd? Zawróć! — krzyczał za nim starszy strażnik.

— W sam rynek leci! — dodał drugi.

— Zduriw, czy wzbisywsia?

— Pewnie go ten zbój przez rozum przejechał, tylko czapka zakrywa. Przeto i szaleje!

Jeździec tymczasem pędził, co siły, w stronę rynku, przed którym go ostrzegał strażnik tak pilnie. Zbliżając się, zwolnił biegu, potem zsiadł, i opierając się jedną ręką o kulbakę, bo nogi mu widocznie odmawiały posłuszeństwa, przeszedł kawał drogi, dzielący go od najbliższej karczmy. Stanąwszy przy jej podjeździe, uwiązał konia do jednego z kółek, przytwierdzonych do słupów, a sam podszedł do gromady ludzi, zbitą masą kłębiącą się, jak mrowisko, w środku dość obszernego targowego placu. Nie trzeba było pytać, co ludzi tutaj ściągnęło. Ponad podniesionymi ciekawie w górę głowami, piętrzył się wysoki stos drewna, poukładanych jedno w poprzek drugich tak, że tworzyły regularny sześcian. Pomiedzy drewna wetknięty był i przymocowany wysoki, świeżo widać zgruba ociosany pał, do którego wbijało właśnie dwu ludzi żelazne kółko na wysokości szyi ludzkiej.

Jeden z robotników, uderzywszy kilkakroć młotem o żelazo, cofnął się na sam kraj stosu, by osądzić robotę.

— Za wysoko! — zawołał. — A mówiłem: dwa cale niżej I

W zakłętym zamczysku II.

— Toż prawili: na chłopa średniej miary! — bronił drugi.

— Djabła tam na chłopa!

— A toż jak?

— Bo na dziewczkę, nie na chłopa.

— Co bajesz? Dziewkę na stos?

— Bo czarownica prawa!

W tłumie wyrazy, głośno zamienione przez robotników, znalazły wnet echo. Jedni przytakiwali, drudzy zaprzeczali z oburzeniem. Wszczęły się kłótnie i zwady.

— Skąd miała się wziąć czarownica? Tuż nie Kijów, ani Łysa Góra! To nie żadna czarownica, to zdrajca, co zamek łązuński wrogom wydał, a teraz weźmie słuszne karanie.

— Głupstwo! Czarownice są wszędzie! Jakżeby bez nich być mogło? Wiedźma — toż, co djabeł! Jak bez djabła nie może być, tak i bez wiedźmy nie może być! A przecie i po wsiach okolicznych, i w samym Perehińsku każde dziecko palcem pokaże na czarownicę i nie jedną! Nie pławili to zeszłej jesieni Iwaszczychy koło młyna? A kowalicha z Petrowskiego futoru pod samą bramą, to niby nie wiedźma? Grzech Boga obrażać takim gadaniem, że wiedźmy są na Łysej Górze, a w Perehińsku ich nie masz!

— To, jakby kto mówił, że djabła nie masz w Perehińsku!

— Dla kogo djabła nie masz, dla tego i Boga nie masz!

— A kto tak bluźni, tegoby i samego na stos!

— Tak, tak! Tegoby na stos!

Większość była najoczywiściej po stronie utrzymujących, że spalona zostanie czarownica, a nie zdrajca. Przeciwnicy tego mniemania, zastraszeni i zahukani, zaprzestali opozycji. Wnet jednak spór wszczął się w łonie samych zwycięzców.

— Którażto jednak z wiedźm ma iść na gody do swego kuma Belzebuba?

— Iwaszczycha zdechła po tej kąpieli, wody ożło- pawszy się nad miarę, a kowalicha z cerkwi nie wyłazi.

— Może to Pyłypycha, babka Fedorka Krzywego!

— Ej, gdzie zaś! Jej już ze sto lat!

— Słychać, że Hawronka od Semeniuków umie krew w mleko sąsiadom napędzać i wosk lać, żywot im wy- szeptując.

— Ej, nie! To jakaś młoda!

— Mówili, że dziewczka!

— I krasna!

Teraz wśród gwarów ucichających rozległy się tłumione szeptki.

— Może ta, którą zdobył pan i tu trzymał?

— Którą mu ukradł ataman Jurko Nawizenny!

— Ludzie mówili, że ona właśnie wiedźma!

— A nieprawda! Z niej żadna wiedźma! I nie masz jej tu, bo ją kozak porwał stąd.

— Owszem, jest, bo ją pan odbił.

— Nieprawda!

— Prawda, bo ją dziś rano przywiózł komendant ła- zuński.

— Komendanta z Łazunia nie było wcale.

— Był, bo przybył w południe, ale nie z dziewczką, tylko z jakimś wielkim tłomokiem, który trzymał na siodle. Mówią, że to łup z Łazunia.

— To nie był łup, jeno właśnie dziewczka!

— Nieprawda!

— Prawda!

Kłótnia, zaogniła się i byłaby może przeszła w bitkę, gdyby jej nie przerwało wołanie z głębi rynku i przyległej ulicy.

— Kozacy! Kozacy!

Istotnie, z wzmożonym zgiełkiem tłumu mieszał się coraz wyraźniej tętent zbliżających się jeźdźców, aż wreszcie na rynek wjechał oddział semenów z Gondkiem na czele i, zatoczywszy koło, zrównał się wnet sprawnie w czworobok, rozpychając ludzi i ogoławając środek placu wokół stosu.

Gwary zamilkły, ustępując szeptom. Obecność nadwornej milicji czyniła znaczne wrażenie. Nie widziano tego za ludzkiej pamięci. Dotychczas sieczono na tem miejscu różgami przy pręgierzu, co było zwykłą rozrywką w dni targowe, a od większego dzwonu pławiono w stawie baby, pomawiane o czary, ale takiej prawdziwej egzekucji na śmierć, i to na stosie, w asystencji wojska, nie widziano tu nigdy. Pan w złości czasem człowieka rozszczępił; bywało, że który z dworskich lub żołnierzy tyle plag dostał, że potem cherlał już tylko i lizał się, póki nie puścił ostatniej pary, ale to było co innego.

Tymczasem mrok już zapadał i gwarliwy rynek począł spowijać się w szarą mgłę wieczorną. Ale ciemność nie trwała długo. Ponad głowami czarnego tłumu, falującego po rynku, ukazały się dwa płomyki, które wnet rozpały się w kiście ogniste, bryzgające dokoła snopami iskier. Na stosie nie było już robotników: na ich miejsce zjawiło się dwóch pachoków, trzymających nad głowami pochodnie. W czerwonym świetle, oblewającym środek placu, migały niewyraźnie łby końskie, krasne dna czapek i twarze kozaków, a obok, ponad stosem w świetle smolnych pochodni wysunęła się, górując nad wszystkim dokoła, ogromna postać człowieka, w skórzanym kubraku, bez rękawów, z zakasaną po łokcie koszulą. U rzemiennego pasa wisiał mu długi pęk sznurów.

— Jewtuch Popowczuk za kata będzie! — szeptano dokoła z zainteresowaniem, a on słyszał te szmery z widocznym zadowoleniem i pychą, rozglądając się dokoła na swem podwyższonym stanowisku, jak człowiek, który nagle urósł w wielką powagę i dostojność.

Jeździec, przed chwilą do miasteczka przybyły, przycisnął się przez tłum i, przysłaniając twarz chustą, jakby go ząb bolał, przechylał się naprzód, próbując rozejrzeć się w kr^u, oczyszczonym przez wojsko.

— Nazad! — upominał go semen, którego koń zadem opierał się o jego piersi.

Ale przybysz nie dał się odpędzić.

— Pozwólcie, bracie ridnyj, ja obcy... Zdaleka... Chciałby na takie dziwo popatrzeć, żeby było o czem swoim rozpowiedzieć, kiedy wrócę!

— Ano, to i patrz, byłeś między konie nie pchał się, bo komendant obaczy, a to czortiw Lach!

- A kto to u was komendant? Nie wasz sotnik Makar?
- Kozak splunął i zmilczał chwilę.
- Jaż jego dobrze znał, Makara, ale coś jego nie widać?
- Jego już nikt nie zobaczy — mruknął posępnie kozak.
- Albo co? Umarł?
- Na palu!
- Spasy Hospody! Jaż jego trzy dni temu na jarmarku widział!
- A wczoraj pan jego wbić kazał.
- Hej! Hej! Szkoda starego! Srogi wasz pan!
- A srogi!

Przez kilka pacierzy trwało milczenie.

- A któż u was setnikiem na miejsce Makara? — spytał znów przybysz.
 - Setnika niema, a komendę ma Gondek.
 - Aha, ten z Łazunia? Wiem!
 - Az Łazunia.
 - A czemuż go tu niema?
 - W zamku się ostał i pewnie z panem przyjedzie, a nas przywiódł esauła Wasyl.
- Kozak rozgadał się, ale i byłby chętnie dalej odpowiadał na pytania, ale przybysz przycichł jakoś, czy że ciekawość zaspokoił, czy, że go osłabienie zmogło. Po chwili jednak znów spytał.
- A ta wiedźma, co ją mają palić, czy to aby nie ją pan przywiózł z za Berdyczowa, a potem mu ją odbił Nawżeny?

— Kiedy wiesz, .poco pytasz?

Przybysz wiedział już dość i nie pytał dłużej, ale jął się przeciskać w stronę ulicy, wiodącej od zamku ku rynkowi. Ulica była niedługa, a zamykała ją brama wjazdna, jedyne wejście na zamek, i od bramy tej widać było to, co działo się na rynku, a przede wszystkim stos, oświecony pochodniami z gorejącym nad nim palem.

W uliczce panował gwar i zgiełk, jak w rynku. Kto nie mógł docisnąć się do pierwszych szeregów przy stosie, ten próbował nagrodzić to sobie, wciskając się w szpaler ludzki, środkiem którego miał jechać orszak ze skazaną. Brama była otwarta, ale zagradzała ją kilkudziesięciu jezdnych, uszykowanych w czwórki ku wylotowi ulicy. W głębi, poza wąskim przejściem otwartym, widać było Gondka siedzącego na koniu z obliczem zwróconym ku wnętrzu dziedzińca.

Przybysz ujrzał go i wstrząsnął się, jakby mu dreszcz przebiegł przez ciało, potem chustą szczelnie twarz osłonił, że mu oczy jeno z poza niej było widać, i przycisnął się do muru przy samej bramie, oczu od wnętrza dziedzińca nie odrywając.

Nie czekał długo, wnet bowiem wśród jezdnych i wśród tłumu zalegającego ulicę, rozległ się silniejszy szmer i zaraz ucichł, ustępując miejsca ciszy, czy to zaciekawienia, czy strachu. Równocześnie tłum zakłótył się w przeciwną stronę i rozchylił, jak dojrzała jabłko, rozcięte nożem na dwie połowy. Z głębi rozległ się głos komendy, i wąskim przejściem przemknął szybko jeździec, wysforowując się na przód konnego

oddziału, a wnet potem czwórki ścisnęły się, zrównały i stępa ruszyły z miejsca ku rynkowi, zostawiając za sobą opróżniony dostęp do bramy i otwarte wnętrze dziedzińca.

Młodzieniec, stojący przy murze, wpatrzył się tak chciwie i namiętnie w to wnętrze, mrokiem nieprzeniknionym okryte, jakby w tem spojrzeniu zawrzeć chciał duszę. Przez chwilę wszystko za bramą pozostawało mroczne i ciche, wreszcie jednak błysnęły dwa światła i dały się słyszeć kroki ludzi, szczęk oręża i tupot podprowadzanego konia.

W tłumie rozległ się tłumiony szmer. Drżące głosy szeptały:

— Idą! Idą!

Młodzieniec wychylił się naprzód tak, że połową ciała był już z tamtej strony bramy i oczy żarzące w ciemności, jak ślepie wilcze, wbił w zbliżających się ludzi.

Ludzie ci zbitą masą podeszli do wrót i stanęli obok podprowadzonego konia, szczękając halabardami i dzwoniąc przewieszoną bronią. Czterech niosło pochodnio, które naraz rozświetliły posępne wnętrze dziedzińca smugą krwi. W tej krwawej łunie wysunęła się nagle i skryła się wnet, znowu pochłonięta mrokiem, blada twarz niewieścia.

— Motra! Motra! — szepnął młodzieniec przy murze zbielełymi wargami.

Ale ruch w bramie zrobił się teraz znaczny i nikt nie dosłyszał jego okrzyku. Wołano na jeźdźców, znajdujących się w ulicy: „Stać!” Kozacy zatrzymali się, a rów nocześnie orszak przy bramie uszykował się po obu jej stronach, zostawiając wolne przejście w środku pod-

I znów szepty rozległy się, bardziej, niż przedtem, chodzącemu mężowi, przytłumione i drżące:

— Pan! Pan!

W kole, utworzonym przez grono pieszej straży, stanął Turobojski.

Młodzieniec przy murze poznał go, bo mu płomień pochodni padał wprost na wybladłe lica. Była to straszna twarz, skrzywiona konwulsją wściekłości i jakby w niej zastygła. Usta miał tak zaciśnięte, że nie znać było wcale warg, a z pod zmarszczonych brwi strzelały błyskawice straszliwego gniewu. Stanął, obrzucając wszystko dokoła przelotnym spojrzeniem, a rękodajny pociągnął bliżej ku niemu wierzchowca i przytrzymał strzemień. On jednak niecierpliwie dłonią machnął, jakby odpędzając od siebie konia z człowiekiem, i oba cofnęli się w mgnieniu oka poza krąg światła w ciemność.

A Turobojski podszedł ku pochodniom, tam, gdzie przed chwilą mignęła w czerwonej łunie blada twarz niewieścia.

— Precz stąd wszyscy! Dalej!

Krąg ciemnych postaci rozwiął się i zginął w mroku, a pochodnie przytuliły się w głębi do wewnętrznego muru.

Naprzeciw bramy pozostał Szczepan sam z białą postacią niewieścia.

Motra stała przed nim taką, jaką przed kilku godzinami przywiódł mu Gondek. Włosy jej tylko rozplotło

tły się zupełnie spadały w bujnym nieładzie dokoła ramion i aż do stóp, okrywając ją swemi gęstemi hebanowemi falami, niby płaszczem żałobnym. Chustę jej zdjęto i pozostała w białej koszuli, wyszywanej na ramionach w krasne połyki, których żywa barwa występowała na białem tle, jak ślady krwi. Ręce miała związane, ale z przodu, tak, że ruszać niemi mogła swobodnie i odgarniać włosy, gdy jej nasuwały się na oblicze. W chwili, gdy Szczepan nadchodził, i ludzie, stojący w bramie, rozstąpili się na znak, dany przezeń, błysnęły z pomiędzy koni i jeźdźców światła od stosu na końcu ulicy.

— Hej tam!—krzyknął Turobojski.—Rozstąpić się!

Czwórki rozstąpiły się w bok, po dwa konie z każdej strony. W głębi poza krótką uliczką, mignął stos wysoki, oświecony dwiema pochodniami.

— Widzisz? — zwrócił się do dziewczyny perehiński władyka.

Ona spojrzała z wytężeniem, nie mogąc w pierwszej chwili rozpoznać się w ciemnościach, potem drgnęła i rzuciła się wstecz całym ciałem, zakrywając twarz rękoma.

— Boisz się, co? — zaśmiał się szydlerczo Szczepan.

Ale ona ochłonęła już z pierwszego wrażenia. Odjęła ręce od oblicza i głowę podniosła do góry, ogarniając nieuleknionym już wzrokiem straszny obraz na czarnem tle nocy. Zdawało się, że wchłania w siebie ten obraz z jakąś dziką ciekawością i nieledwie z pożądaniem, potem jednak wzrok jej, jakby niezdolny znieść dłużej tego widoku, odwrócił się odeń i przeniósł na bladą twarz stojącego przy niej człowieka.

On wzrok jej dostrzegł, ale jej nie zrozumiał.

— Cóż? Potrafię coś więcej, oprócz chłosty? — szydził.

Ona w oczy mu patrzyła, nie otwierając ust.

A on wciąż nie rozumiał powodów jej milczenia, mniemał, że strach jej odebrał mowę.

— Cóż stoisz, jak pień? — ofuknął ją gniewnie. — Obaczyłaś dokąd cię jęzor twój zawiódł i serce zdradliwe? Walże się w nogi, krzycz, płacz, skomlij miłosierdzia! Ja wszystko mogę! Kiedy zechcę, ognia ci oszczędzę! Kiedy zechcę, wolno puszcę i panią uczynię, i w rozkoszach skąpię! Ja — pan!

Dziewczyna głową potrząsnęła i zęby mu pokazała w dziwnym jakimś uśmiechu

— Śmiejesz się? Radujesz? Dobrze! Lepiejże żyć na świecie, niż zdychać w męce!

— Oj, nie lepiej! — westchnęła dziewczyna.

Ale on jej nie dosłyszał. Słowa własne zdawały się go porywać: odpowiadały znać jego utajonym pragnieniom i nadziejom. Podskoczył teraz do Motry i oparł obie ręce na jej ramionach, świdrując swemi przenikliwymi oczkami w jej oczach, żeby w nich wyczytać to, czego pożądało serce.

— Słuchaj! — zaczął głosem przerywanym i dławionym przez hamowaną namiętność.

— Ten stos nie zapali się, a sznury, które cię wiążą, nóż ten przetnie. Wrócisz nie do izby więziennej, ale do najlepszej z komnat zamkowych i wrócisz nie nato, by odbierać roz

kazy, jeno by rozkazywać wszystkim. Czego zechcesz, dostaniesz! Skarby rzucę do twoich stóp! Po złocie będziesz deptać, po karkach ludzkich będziesz deptać, boś ty mój skarb, bom ja tobie oddał duszę moją, choć ty swoją oddałaś drugiemu...

Urwał, a ona słuchała go uważnie, zdziwiona widocznie potęgą tego wybuchu i namiętności, która go wywołała. On jednak, snadź rozdrażniony ostatnimi słowy, spłonął na twarzy i czoło namarszczył, aż mu brwi zbiegły się nad oczyma.

— Tobie przebaczę, ale temu chłystkowi, co mi duszę twoją wydarł, nie przebaczę i pomstę zeń wezmę. I ty mi do onej pomsty dopomóc musisz, jeśli przebaczenia i miłosierdzia chcesz ode mnie! To twoja pokuta. Miłowałaś go, oddajże go w moje ręce! Niech i na tym stosie zamiast ciebie on zginie!

— On ma zginąć za mnie? On?! — powtórzyła, jak echo, dziewczyna.

— Tak! On! Poślesz jemu znak od siebie i człowieka, który go tu zwabi. Powiesz mu, że czekasz odeń pomocy, że za niego masz ginąć! On rycerz, on przyjdzie! A wtedy jemu będzie męka i śmierć, tobie rozkosz i królowanie.

— Jemu męka i śmierć, mnie królowanie i rozkosz?—powtórzyła znów, jakby ważąc słowa i wsłuchując się w ich dźwięk, Motra. — Och, doloż moja, dolo!

Jemu jednak zdawało się teraz, że zbyt długo czeka na odpowiedź i że wrażenie słów jego nie jest tak wielkie i tak radosne, jak miał prawo spodziewać się. Zmarszczył się więc jeszcze bardziej i potrząsnął dziew

I

czyną z całej siły, by jej choć dać bodźca do szybszego uczynienia mu zadość.

— Gadajże prędko! — krzyknął.— Cóż ty na to?

Dziewczyna podniosła na niego oczy i popatrzyła nań chwilę, potem zalała się głośnym śmiechem.

— Oszalałaś! Tu o żywot idzie, na który kat czeka, a ona śmieje się, jak dzieciak na zabawie!

Ona śmiała się chwilę jeszcze, potem urwała, jakby przemagając się i rzekła, pokazując białe zęby.

— Bo jakżeż nie śmiać się, kiedy to takie śmieszne?

— Co śmieszne? — ryknął.

— To, co mi prawicie!

— To śmieszne, co ja tobie prawię?

Nie miał czasu skończyć, bo głos jakiś obcy podniósł się za jego plecyma, przerywając mu:

— To z radości! Przelekła się do pół śmierci, a teraz chwyciła ją nagła odmiana losu i sama nie wie, co z nią się dzieje!

— Co to? — krzyknął z alteracją w głosie Szczepan. — Ktoś ty? Jak śmiałeś?

Młodzieniec, przytulony dotąd do muru przy bramie, przyskoczył teraz naprzód i do kolan Szczepanowych przypadł.

— Ja, jasny panie, jej swojak i parobek! Ja z nią od dziecka! I teraz za nią przywlókl się!

Ja, pani9, czołem przed miłością twoją biję: daj ty mi pójść ze znakiem od niej do tego

Lacha, co ją obalamucił! Ja jego do twych pańskich nóg przyprowadzę, jak psa na powrozie, i mękę taką jemu wymyślę, żeby miesiąc był

H

W

i

z bólu dniem i nocą, nim zdechnie, żeby rozradowało eię tem pańskie serce!

Turobojski wpatrzył się w chłopca surowo.

— Warteś sam za twą śmiałość powroza! — mruknął.

— Wartem, jasny panie, ale przedtem dozwólcie mi jeszcze mówić, bo szkodę, byście mieli, ubijając mnie, nie wysłuchawszy.

On znów do Motry się zwrócił, wskazując jej przybysza.

— Czy on nie łże?

— On prawdę mówi. To Artem, ten, którego wasi pachołcy poszczerbili, gdy mnie od nich bronili w dziedzińcu.

— Więc dobrze. Potem obaczę, co z tobą uczynię. Może na powrót pójdziesz, może gorszego od siebie na powrozie przywieziesz i łaskę zyskasz. Mów!

— Panie, to są tajne rzeczy! Pozwól z sobą nabok odejść!

— Mów, gdzie stoisz!

— Panie! Zdrada przy tobie. Czyha i gotuje zasadzkę! Ty chcesz wroga pochwycić wybiegiem, a wróg bliżej i zguba twoja bliżej! A ty nie domyślasz się! Gubisz tych, co ciebie ratują, ufasz tym, co ciebie już wczoraj chwycili w swoje sidła, a dziś gorsze nastawili obieże!

Szczepan machinalnie podszedł do Artema.

— Mów wyraźniej! Kto zdrajca?

Parobek nie zdążył jeszcze odpowiedzieć, gdy z głębi ulicy podjechał Gondek i zatrzymał się w bramie,

ogarniając badawczym spojrzeniem wnętrze dziedzińca. W ciemności zamajaczyły mu niewyraźnie postacie obu mężów. Nie rozeznał twarzy Artema, ale wzdygnął się, posłyszawszy jego głos.

Artem zaś poznał go, bo oświeciło go w bramie światło pochodni, i wyciągnął rękę, wskazując na niego Turobojskiemu.

— Ot wam zdrajca, jasny panie! Ot kto wydał Łazuń Nawizenemu! Ot, kto tu wrócił, żeby tak samo wydać Perehińsk Miśniakowskiemu i was z Perehińskiem!

— Łżesz! — krzyknął zduszonym głosem Gondek.

— Weźcie mnie w dyby i zróbcie śledztwo, jasny panie: przekonacie się, kto łże!

Gondka mróz przeleciał. Zrozumiał, że jest zgubiony i że chyba coś nadzwyczajnego może go ocalić. I błyskawicą przeleciało mu przez mózg, że gdyby zdusił na zawsze dalsze słowa Artema, miażdżąc mu łeb jednym silnym ciosem, to pozbyłby się świadka i narazie zgniótłby dowód swej winy, a potem... Potem stałoby się, co się ma stać. Zresztą nie było wyboru. Jeżeli usta Artemowe otworzą się raz jeszcze, wówczas nie będzie już nijakiego ratunku. Jeżeli zamkną się na wieki, zguba Gondkowa i tak pewna, ale przecież, kto wie, może mu jego obrotny dowcip da wysliznąć się z matni.

I w jednym mgnieniu oka wiążąc czyn z myślą, przyskoczył do Artema i zamachnął się szablą, wymierzając straszny cios poziomy.

— Masz za zdrajcę! — krzyknął. — Sam na pań

ski żywot zdradą godzisz, a na mnie, wiernego, szczekasz ! Masz!

Ale Artem miał weń wlepione oczy i śledził nie- tylko jego ruchy, ale i wyraz twarzy. Twarz Gondkowa, oświetlona połyskiem pochodni, wykryła mu zamiary nieprzyjaciela. W chwili, gdy spadał pierwszy cios, on rzucił się na ziemię — wysoko ponad głowę podnosząc schwytaną z ramion swiętę, w którą ugodził Gondek, myśląc, że uderza w ciało. Drugi cios uderzył w próżnię, a parobek zerwał się tymczasem i poza Szczepana uskokzył.

— Widzicie, jasny panie, — krzyknął, — jako to on słów moich się boi i chciałby mi je na zawsze wbić w gardło, by pozbyć się świadka winy!

Turobojskiemu musiało coś podobnego przejść przez głowę, bo huknął na Gondka, a potem na strażę, rozkazując pochwyć komendanta i rozbroić.

Gondek w pierwszej chwili, zdawało się, miał ochotę stawiać opór. Szablę trzymał podniesioną, jakby nią groził napastnikom, i konia w kolanach ścisnął, jakby myślał o wymknięciu się za mur i przebiciu się przez konny konwój. Wnet jednak rozmyślił się zapewne, że to było daremno, zeskoczył bowiem i szablę rzucił na ziemię, ręce wyciągając do chwytających go hajduków.

— Wiąźcież, skoro zdrajca ma u pana wiarę przeciw wiernemu słudze.

Ale oni go nie wiązali, patrząc na pana, który znaka nie dawał, tylko okiem badawczem kolejno po obu młodzieńcach wodził, siłąc się z ich twarzy wyczytać wartość ich słów. A Artem mu krótkimi słowy opowiadał zdradę Gondka i wejście kozaków do twierdzy w Łazuniu, ale opowiadanie ono ubarwia! po swojemu.

— Ten łotr — wołał, wskazując na komendanta — chciał na tobie pomścić się, jasny panie, jakiejś zniewagi od ciebie otrzymanej, plag li, policzków li, nie wiem już. Dlatego z Miśniakowskim się zwąchał, gdy ten siedział w lochu, ale widać, pustą kiesę znalazłszy, wołał kozakowi się sprzedać. Nienawidząc zaś twoją miłość, stawiał warunek, by mu wolno było z tobą podług chęci pohulać i ze skóry cię obedrzeć.

Gondek przy tych słowach nie był w stanie pohamować oburzenia.

— Łżesz, łżesz, jak pies, — ryknął — Czart przez ciebie gada!

— Milcz! — ofuknął go Turobojski. — Opowiesz mu, gdy każę. Ja rozpoznam, kto tu łże.

I zwracając się do chłopca, dodał:

— Mów dalej!

— Byłby też tego dokonał i miłość twoja gniłaby teraz w loszku łązuńskim lub konała w męce, gdyby nie ta dziewczka

— Ona? proszę! A to jak?

— Tak oto, że ona dowiedziała się o wszystkim przeze mnie i posłała mnie do Nawżenego, grożąc, że ucieknie od niego albo śmierć sobie uczyni, jeśli miłości twojej włos z głowy spadnie. A że Nawżeney ją miłuje, tedy obietnicy danej zdrajcy nie dotrzymał, ciebie wolno puścił, a jego przegnał. A on przez zemstę dziewczkę porwał i tobie, panie jasny, ją przywiódł!

Turobojski wpatrzył się uważnie w rozgrzanego mo
Wzakłętym zamczysku, II.

wą Artema. W jego przenikliwych oczkach świeciły jakby igielki ogniste.

— Także to miało się naprawdę?— spytał. — Co do słowa?

— Tak było — potwierdził Artem, starając się nadać głosowi stanowczość.

— Hm! To więc ja żywot i zdrowie zawdzięczam tej dziewczynie, którą chciałem właśnie, jako podejrzaną o drużbę z Nieczystym, na mękę ognia dać. Proszę! Proszę!

— Pomyliłeś się, panie! Nie wiedźma ona, ale wierna twoja sługa, nagrody warta, nie kary!

— Pewnie, pewnie! A ty co na to, Gondek?

Mówiąc to, znów oczyma prześwidrował rozbrojonego komendanta.

— Panie, nie wierz ani słowa temu, co zbój tobie plecie, by cię omamić i ubezpieczonego tem łacniej dosięgnąć! On przez Nawizenego i przez Miśniakowskiego przekupiony, by cię zgubić i fortelem cię ludzi!

— Hm. Być może. Jeno mi to dziwno, skąd go mógł Miśniakowski przekupywać, kiedy sam goły jak turecki święty, a Jurko trzymał mnie przecie w rękę wczoraj rano; pocóż mu teraz przekupionego zbója na mnie nasylać?

Gondek jął mu tłumaczyć, jak to stać się mogło, ale Szczepan nie słuchał. Chciwie wzrok wlepił w Mo- trę i zdawał się zuć w gębie pytanie, które chciał jej zadać, nie zdobywając się na wypowiedzenie go.

— A ty, — rzekł wreszcie stłumionym nieco głosem.

— Tyś mnie naprawdę chciała ratować, jako świadczy ten człowiek?

Dziewczyna podniosła głowę, chcąc widocznie odpowiedzieć, nie miała jednak czasu ust otworzyć, bo jej przerwał, przyskakując do niej z nagłym wybuchem i chwytając jej związane dłonie gwałtownym uściskiem.

— Czekaj! — krzyknął. — Nie mów ani słowa! Słowa nie powrócisz, gdy z gęby się wyśliznie! Więc nie mów! Znak jeno daj! A jeśli i to trudno, czekaj jeszcze! Ja pozwolę! Ja temu człowiekowi wierzę! Prawda przez niego mówi! Gondek zdrajca, a ty mnie chciałaś ocalić! To, coś mi tam mówiła w południe, to była tylko złość i pomsta za porwanie! Wymyśliłaś to wszystko, boś wiedziała, że mnie tem w samo serce ugodzisz, a potem zacięłaś się i byłabyś na śmierć poszła a prawdy nie powiedziała! A ja także wściekłem się! Moжебym ciebie jeno postraszył, a moжебym i zamęczył, a potem bym łbem o mur tłukł. Alem teraz przejrzał i widzę, że tobie nie więzy, lecz złote kolce i perły należą się ode mnie, i rozkosz, i miłowanie! I będziesz to miała wszystko, a niedruha mego i bez ciebie przywiedzie mi tu na powrozie ot ten pocziwy chłopiec, który mi oczy otworzył. A ty tylko daj mi znak, że on praw, albo i nic nie mów, odejdz, uspokój się, a potem powiesz!

I, zwracając się do służby, stojącej przy bramie, huknął: — A zdjąć te sznury!

Hajducy rzucili się do Motry, ona jednak cofnęła

się od nich i ręce związane do góry podniosła, zalewając się nagłym śmiechem.

— Oj głupi ty, jasny panie! — zawołała. — Oj, jaki ty głupi! Tyż nie widzisz, że ten człowiek chce mnie ratować i dlatego plecie, a ty wierzysz!

— Co? — ryknął Turobojski. — Coś ty rzekła? Ja głupi?

— I jak jeszcze! Cały dureń! Jako i ten chłopiec, któremu zdało się, że mnie wbrew mojej woli wydrze śmierci. A mnie sądzono dziś zginąć i tak właśnie zginąć, jakieś ty mi obmyślił. Moja wola, twoja wola — za jedno!

— To on łągał wszystko? — krzyknął Turobojski.

Dziewczyna przestała się śmiać.

— Nie wszystko! To, co o Gondku powiedział, to prawda. Może i co przydał, ale to prawda, że Gondek zdradził, że zdradził i dlatego, że dostał złoto, i dlatego, że chciał się na tobie pomścić! A o mnie Artem zełgał, bo on mi, jak brat, i chciał mnie odjąć męce!

— A ty wolisz mękę i śmierć, niż moje miłowanie?

— A ja wolę mękę i śmierć, niż twoje miłowanie!

Turobojski stał przez chwilę, milcząc. Zdawało się, jakby sam z sobą pasował się i sprzeczne namiętności odbiły mu się konwulsyjnym drganiem skrzywionej twarzy i zbielejących warg, sinemi żyłami na skroniach i zmarszczkami brwi i czoła. Dłonie zaciskał, aż mu chrzęściały palce w stawach. Wszyscy wokoło niego stali, jak wryci w ziemię, czekając, co będzie. A on wciąż pozostawał bez ruchu, jakby wichrem jakimś piekielnym miotany, aż wreszcie wstrząsnął się cały, za włosy się chwycił, czapkę z impetem odrzucając daleko od siebie, a potem już uspokoił się, zeszywniał i twarz nieruchomą podniósł, wodząc dokoła szkliste- mi oczyma. Milczał jeszcze nieco, poczem rzekł, głos lekko podnosząc:

— Komendę obejmie Wasyl!

Z czoła oddziału wysunął się jeździec i w bramie osadził konia. Turobojski rękę wyciągnął i na Gondka wskazał.

— Tego człowieka za zdTadę, w służbie naszej popełnioną, powiesić za szyję nad bramą! Ludzie, stojący przy Gondku, związali mu szybko ręce, podczas gdy dwu innych przystawiało żwawo drabinę do bramy i zarzucali sznur przez żelazną sztabę pod samem sklepieniem.

— Księdza! — jęknął więzień.

— Może biskupa? — szydził, uśmiechając się ze zło- wrogiem szyderstwem, Szczepan.— Bez popa nie potrafisz zdechnąć?

Ale w tej chwili stała się rzecz dziwna i w Perehińsku dotychczas nieznaną zgoła. Tłum oburzył się.

Ze wszystkich stron podniósł się głuchy pomruk. Rozległy się szemrania i klątwy.

— Grzech człowiekowi duszę z ciałem zabijać!

— Żywot brać można, ale do piekła posyłać nie godzi się!

— Jak psów ludzi tu poniewierają i ubijają, — jeszcze i po śmierci nie chcą dla nich zmiłowania.

— Co temu dziś, to każdemu z nas jutro!

— Bracia! Nie dajmy takiej krzywdy czynić!

I pomruk przeszedł w ogólny krzyk i zgiełk.

— Księża wołać!

— Bez księża nie damy wieszać!

— Księża skazanemu, albo nie damy egzekwować!

Turobojski zbladł i zatrzęsł się z wściekłości, ale ustąpił.

— Leć po parocha na złamanie karku i przywieź go duchem, jeślić skóra miła! — krzyknął do jednego z pachółków.

Pachółek wskoczył na konia, drugiego luzem za sobą wiodąc i wmig poleciał ku rynkowi.

Turobojski zwrócił się tymczasem do Artema.

— Tyś mnie chciał zdurzyć, aleś i usługę oddał wielką, wydając mi tę żmiję! Ty dobry chłopak, dlatego ja ciebie za łgarstwo nie będę karać, a za usługę nagrodzę!

— Panie! Dziewce tej daruj! — jęknął chłopak. — Ona szalona!

— Tak, ona szalona! Ty ją bardzo miłujesz?

— Więcej stokroć, niż krew z pod serca! Więcej, niż zbawienie duszy!

— To dobrze! Więc ja ciebie tylko trochę jeszcze pod strażą zatrzymam, a potem wolno puścić każę.

— A ona, panie jasny, a ona?!

— Bądź spokojny! Pomyślę i o niej!

— I nic jej złego nie stanie się?

— Będzie miała owszem to, co dla niej zda się naj- lepszym.

Chłopak przyskoczył do kolan młodemu panu i, po chwyciwszy mu rękę, jął ją okrywać gorącymi pocałunkami.

— O, Bóg wam zapłać, panie! Wy dobry!

Turobojski nie odsunął go od siebie, ale dziwnie ja koś uśmiechnął się.

— Poczekaj jeszcze trochę: wtedy będziesz mi lepiej dziękował!

Tymczasem paroch unicki, jedyny kapłan w Perehińsku, nadbiegł konno zdyszany i, narzuciwszy naprędce epitrachil, zabrał się do słuchania spowiedzi delikwenta pod groźnym okiem i nagłącemi gestami Turobojskiego. Skończywszy, dał Gondkowi do pocałowania posrebrzaną pasyjkę, a potem cofnął się, rzucając pytające spojrzenie na Szczepana i na Motrę.

— To wiedźma, z czortem w komitywie, za co przez ogień do niego iść ma, — odpowiedział na milczące pytanie Turobojski.

Paroch przeżegnał się z widocznym przerażeniem, ale o krok bliżej przystąpił ku niej. Ona jednak głową potrząsnęła, zaprzeczając.

— Wiedźma ja nie była, choć mnie tak zwali, — odrzekła spokojnym, przyciszonym głosem. Ale choć duszy złemu nie zaprzedałam, moc jego przeklęta pomagała mi nieraz i sposobów tajemnych, jakich mnie nauczyli niepoczciwi ludzie, używałam na szkodę innych i na szkodę duszy własnej. I zato należy mi się to, co mnie spotyka. Zła dola moja, to zapłata za moje złe uczynki. Było ich dużo, choć życie nie było długie... Niechże choć ostatnia jego godzina przyniesie mi miłosierdzie Boże!

— Żałujesz? — szepnął paroch
— Oj, żałuję! Żałuję! Prosty, Hospody!

Ksiądz zarzucił jej na pochyloną głowę koniec epi- trachilu i podniósł rękę, wymawiając słowa rozgrzeszenia.

Artem nie widział tego, co działo się z Motrą. Zajmowało go w tej chwili co innego i zajmowało tak żywo, że po raz pierwszy dzisiaj zapomniał o umiłowanej dziewczynie. Przyglądał się egzekucji Gondka.

Egzekucja była w pełnym toku. Nieszczęsnego komendanta pochwyciło dwóch tęgich pachołków, pociągając do góry na najwyższy szczebel drabiny, na której szczytce okrakiem siedział odwołany od stosa Jew- tuch Popowczuk. Ów mu sznur na szyję zarzucił i przeciągnął go wgórze, potem z drabiny spuścił się zwinnie, szybkim ruchem poderwał ją z pod nóg Gondka i rzucił na ziemię. Gondek zawisł w powietrzu, okręcając się dokoła liny i czarny język wysuwając z ust, jako dziś rano.

Tym razem jednak nie mógł się ratować, bo ręce miał związane, zastygła mu też twarz odrazu i po krótkiej konwulsji pozostał nieruchomy i sztywny u sklepienia, poruszając się jeno, gdy ktoś ze służby, przechodząc przez bramę, zapomniał schylić głowy i zawadził czapką o wiszące w powietrzu nogi.

Ale ludzie, przechodząc, schylali się, nikomu bowiem nie chciało się dotykać głową stóp wisielca. Wisiał tedy spokojnie, a wkoło niego czyniła się cisza, bo cały tłum, zalegający dotąd dziedziniec i ulicę, runął teraz ławą w stronę rynku.

Przy trupie został tylko Artem wraz z dwoma przytrzymującymi go pachołkami.

Artem był mściwy, jak każdy Ukrainiec. Gondek był przyczyną niedoli jego ukochanej dziewczyny, był też winowajcą tych ciężkich ran, które nadludzką siłą przemógł, by tu się dostać dla ocalenia Motry, ale które teraz zaczynały zmagać go ostatecznie. Z zadowoleniem też wpatrywał się w przedśmiertne konwulsje zdrajcy i nie zauważył, jak dziedziniec zamkowy opu stoszał i zgiełk, otaczający go dotychczas, ucichł. Czuli się teraz, po wyczerpaniu na chwilę wszystkich sił, tak osłabionym i odurzonym, że prawie nie zdawał sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje i co wszystko otaczające go znaczy. Był strasznie znużony i zdawało mu się, że jest we śnie. Tylko we śnie ludzie leżą, a on sam nie wie czemu stoi, choć takby dobrze było rozciągnąć się, bo łeb mu ciąży, jakby czerepem żelaznym przykryty i ołowiem napchany i wszystko wkoło niego kręci się, kręci...

Ale czemu to on stoi? Co to? Gdzie on? Aha! Dobrze, bardzo dobrze! Ten trup... Już ciebie żaden czort, nie odwiąże, projdyswite okajannyj! Ten ma już za swoje... Ale tamci? Gdzie tamci? Gdzie Motra?!

I nagle wstrząsnął się, dźwignął do góry ociężałą głowę i bystrem, otrzeźwiając okiem rzucił dokoła. Wkoło niego wszystko było pusto i głucho. Ciemność zalegała podwórzec i zamek, tylko od wylotu pustej ulicy poza bramą dolatywał jakiś błysk czerwony. Obaj pachołkowie, strzegący Artema, wysuwali naprzód głowy, wpatrując się w blask ten pilnie.

— Gdzie oni? — spytał Artem niepewnym głosem zbudzonego ze snu człowieka.—I co to za ogień?

— Kto żyw, w rynku—odparł z niechęcią jeden ze stróżów. — My tu jedni przy tobie ostali.

— A czegoż oni tam?—spytał chłopak, wciąż jeszcze nie mogąc się połapać.

— Wiadomo: stos podpalają właśnie dla wiedźmy!

— Co?! — ryknął Artem.

Zrozumiał wreszcie. Chwycił się z rozpaczą za głowę i odzyskując siłę, która go przedtem opuściła, rzucił się pędem w ulicę.

— Co ty? Stój! — rozległy się za nim krzyki pa chołków.

Ale on ich nie słyszał i nie dbał o pościg. Leciał, niczem wichur. Wiedział, że w mgnieniu oka musi być tam, przy tym strasznym stosie, przy niej i że musi znaleźć moc przeciw stu, przeciw tysiącu, bo musi ją wyrwać z rąk im wszystkim. Musi, musi... I leciał.

A motłoch w rynku patrzył tymczasem chciwie na niezwykle podniecające widowisko—W środek czworoboku, utworzonego przez kozaków dokoła stosu, wjechał pan na Perehińsku wraz ze swoim orszakiem. Do stosu przywiedziono skazaną. Jewtuch Popowczuk.

zaimprovizowany oprawca, który wrócił tu przed nią, chciał ją z góry wpół chwycić i na stos wciągnąć, ais odepchnęła go mimo związanych rąk tak silnie, że się zatoczył i na głos zaklął, nie zważając na pańską obecność, ona zaś wspięła się po stromej drabince lekko i zwinnie, jak kot po rynnie dostający się na dach. Ledwo znalazła się na wierzchu, pochwycił ją oprawca

i przywlókł do pala, przywiązując do niego żelaznym łańcuchem. Dwaj pachołkowie przyświecali mu w tej robocie, podnosząc wgórę pochodnie. Robota nie trwała długo. Jewdoch, przymocowawszy ją, wtłoczył skazaną na wysokość poza przygotowanym na boku chróstem, potem zaś cofnął się o krok i wziął z Tak pachołka płonąca pochodnię, zwracając na Szczepana pytają ce spojrzenie.

ów zaś odpowiedział mu pytaniem.

— Gotowe?

— Gotowe, wasza miłość! Palić?

— Czeka!

Mówiąc to, młody pan podszedł do stosu tak, że go mógł ręką sięgnąć. Naprzeciw niego stała przywiązana do słupa dziewczyna, na której blade oblicze rzucała błysk pochodnia oprawcy.

— Słuchaj mnie! — rzekł, zniżając głos. — Ostatnia chwila! Możesz jeszcze ocalić się jednym słowem! Rzeknij je!

Dziewczyna oczy wdół opuszczone poniosła na stojącego przy stosie człowieka i wpatrzyła się w jego twarz, skurzoną i pomiętą, nic nie mówiąc. A on o krok jeszcze podstąpił i oparł dłonie na pomoście stosu, głowę do góry zadziera jąc.

— Rzeknij! Chcesz żyć?

Ona oczy odjęła od jego szpetnej twarzy i uniosła je daleko ponad otaczający tłum, w ciemną dal nocy.

— Hej, — szepnęła sama do siebie cicho: — ktoby młode życie z wolą w ogień rzucał! Komu nie chciałoby się żyć? Ale ot, doli niema!

— Twoja dola — twoja wola! Rzeknij, co wy. bierasz!

Ona nie zdawała się słów jego słyszeć i mówiła dalej tym samym cichym, miękkim głosem, z oczyma utkwio- nemi w przestrzeń.

— Hej! Życie miłe i kochanie miłe, jeno nie takie, jeno nie z tobą! Chciałoby się pożyć, chciałoby 6ię i wiecznie żyć, byle z nim, byle z nim... Ale on mnie nie chce, on innej oddał duszę, a bez niego—co mi po życiu? Ot słoneczko moje zagasło: jakże mi żyć w ciemności? Nic już, jeno w śmierć iść, i niech już ten ogień razem z grzesznem ciałem spali tę troskę moją i tę złą dolę sierocą!

Mówiła cicho, ale on słyszał każde jej słowo i oblicze nabiegało mu krwią. Zgrzytnął zębami i pięści ścisnął, a potem syknął zdławionym głosem:

— Także to jego miłujesz?

— Tak ja jego miłuję!—powtórzyła ja echo, jeszcze cichszym i miększym głosem.

— A mnie nienawidzisz?

Ona spuściła wzrok na niego i przez chwilę wpatrywała się weń uważnie, jakby namyślając się nad odpowiedzią.

— Nie,—odrzekła wreszcie.—To było: tego już niema. Ty taki mały i taki daleki: czegożbym ciebie miała nienawidzieć? Ja w drogę idę i odeszłam już hen! ile od ciebie! Już ty mnie tam nie dosięgniesz i ja tobie nie wróg! Ostań w pokoju, jeśli możesz! Słowa te, tak przecie łagodne, wywarły zgoła niespodziewane wrażenie na Turobojskim. Zbladł, zady

gotał i odskoczył od stosu, wciskając się w tłum i odwracając twarz poza siebie, jakby uciekał od widoku dziewczyny.

— Milcz! Milcz! syczał, piniąc się i szarpiąc pazurami brodę i pierś. — Szczeźnij!

1, nie odwracając głowy, ramię wyciągnął ku stosowi i krzyknął wielkim głosem:

— Pal! Jewtuch, psia wiaro! Słyszysz? Pall

— Słucham, — ozwał się ze stosu głos oprawcy.

I w teje chwili dał się słyszeć chrzęst poruszanego chróstu, potem syk chwytającego żar płomienia, poteui środek stosu rozbłysnął, niby olbrzymia pochodnia, i dym podniósł się w górę szaremi smugami, jakby obłok ze stojącej w środku kadzielnicy. Z kilkuset ust wydobył się głuchy okrzyk, a kat, dokonawszy dzieła, zeskokczył szybko na ziemię.

Tłum, zapełniający rynek, wbił się tysiācem oczu w bladą twarz, dokoła której poczynały podnosić się dymy, otaczając ją jakoby sinawą, przejrzystą mgłą. Wszystko umilkło i stłumiło oddech, czekając tej stra szliwej rzeczy, która wnet miała nastąpić.

I naraz w tej ciszy rozległ się głos, rozpaczā nabrzmiały, donośny, nakazujący i błagalny zarazem. Człowiek jakiś wpadł między najgęstszą ludzkā kupę przy stosie, rozpychając tłoczācych się, i krzyk jego napełniał cały plac od końca po koniec.

— Ludzie chrześcijańscy! Bracia rodzeni! Zlitujcie się tej niewinnej 1 Nie dajcie gubić męką djabel- skā duszy, krwią Zbawiciela odkupionej! Za cōz to ją palā? Czy za to, że ona wiedźma? Nie! Wiecie wszy

scy, że za to, iż nie chciała żądzom nieczystym tego złoczyńcy ulec! Ona niewinna! Ja jej sługa, ja jej, jak brat! I prócz mnie nie ma nikogo na świecie! Wyż jej bądźcie braćmi, wy ją poratujcie, wy duszę chrześcijańską wyrwicie ze szponów tego piekielnika!

Krzycząc to, wdarł się na stos i rzucił ku palowi, rozrzucając płomień płonący już jasnym ogniem i próbując ugasić tłącą odzież umęczonej.

Tłum słuchał słów tych tak dla niego nieoczekiwanych i dziwnych, naprzód jakby z pewną nieufnością, potem jednak z sympatją, rosnącą z każdym wyrazem mówiącego. Bozległ się z początku potakujący pomruk, później z dalszych szeregów odezwały się głośnie krzyki przeciw Turobojskiemu, wreszcie cały tłum ryknął wielkim głosem, dokoła stosu zakotłowało się wszystko, jak w kipiącym garnku, i kilkunastu ludzi rzuciło się na górę pomagać Artemowi w gaszeniu ognia i odczepianiu Motry od pala.

— Wasyl! W nich! — ryknął Turobojski.

Ale Wasyl spojrzął po kozakach i wtył się cofnął poza szereg, semeni zaś stali nieruchomi, patrząc na to, co się działo, jakby to było widowisko, nie obchodzące ich bliżej.

— Tanas! — wrzasnął Turobojski.

Ale i Tanas zawieruszył się w tłumie, jak Wasyl. A tłum huczał i miotał się, jak wzburzone morze.

Ponad zgielkiem jednak górował wściekły ryk Tu robo jskiego.

— Psy! Nie słyszycie? Dalej na tego hultaja: dalej zgnieść mi to plugastwo! Prędzej! Prędzej, bo wam łby porozwalam i samych każę w ogień wrzucić!

Ale semeni nie ruszali się. Ci, co stali bliżej pana, milczeli, ale z dalszych szeregów doleciały go szydercze i groźne pomruki.

— Na gębę wszystko łatwe, ale spróbuj-no zrobić, co obiecujesz!

— Na baby on rycerz i kat, ale nam nie poradzi!

— Wstyd do takiego pohannego dzieła ręce przykładać!

— Póki my myśleli, że ona wiedźma, to i nic nie mówili, bo wiedźmie wiadomo, przez ogień droga do piekła, ale kiedy obaczyli, że to nie za czary, jeno za niewinność kara, to hodi nam jego zasłaniać!

— Na pohybel tobie, czorcie krwi chciwy!

— Poczciwy człek, co jej z pomocą przyszedł.

— Poczciwszy od nas wszystkich!

I kordon, ustawiony dokoła stosu dla zabezpieczenia pańskiej pomsty, zacieśnił się teraz, żeby przeszko dzieć w wykonaniu jej, gdyby kto o to się pokusił. Ale nikt o tem nie myślał. Całe to ludzkie mrowie, które zebrało się tutaj, by oczy napaść widokiem strasznego cierpienia i z własnego impulsu nie okazało ani najlżejszej oznaki współczucia dla skazanej, gdy ją wiązano i podpalano drzewo, w którym miała spłonąć, teraz nagle wezbrało litością i oburzeniem, zawrzało, spieniło się, gotowe krew własną przelać i na największy hazard się ważyć, byle do tego samego nie dopuścić, czego przed chwilą tak zdawało się spragnione.

Było to tak oczywiste, że mimo całej swej wściekłości musiał to dostrzec i Turobojski. Zrozumiał, że uic nie wskóra, i po raz trzeci w ciągu tych dwu dni nieszczęsnych musiał się ugiąć przed przemożną koniecznością i zmiłknąć. Stał więc z zaciśniętymi pięściami i usty, płomiennym wzrokiem patrząc na to, co działo się na stosie.,

A na stosie tymczasem zdeptano część płonących gałęzi, zalano resztę podanemi zdołu pośpiesznie konwiami wody, stłumiono ogień na szatach Motry i ją samą wyzwolono z łańcuchów, a Artem pochwycił ją w mocne ramiona i uniósł jak dziecko, składając ostrożnie na krawędzi stosu, nietkniętej płomieniem. Leżała bez ruchu i czucia, jak umarła,

— Już po niej! — rozszedł się dokoła szept najbliższych.

Artem rzucił się z głuchym rykiem na bezwładne ciało i przypadł doń twarzą. Wtedy oczy leżącej rozwarły się i usta poruszyły ledwo dosłyszalnym szeptem:

— To ty, Artem?

— Ja, zuzulo, ja, sołnyszko moje rodzone, ja! Żyjesz!

Usta dziewczyny poruszyły się, ale nie wydały dźwięku.

— Boli cię?

Kuch ust ponowił się, nie przerywając ciszy.

— Czego ci potrzeba? Powiedz, zuzulo!—jęknął rozpaczliwie chłopak.

I, chcąc uchwycić odpowiedź na ustach Motry, pochylił się ku jej twarzy, tak, że jej prawie dotykał.

— Perekresty mene! — szepnęła tak cicho, że słowa musnęły go tylko, jak oddech.

Chłopak podniósł się i wyprostował. Twarz jego uspokoiła się i przybrała uroczysty wyraz. Wyciągnął rękę i trzykrotnie trzema złączonymi palcami nakreślił nad jej głową znak zbawienia.

— Wo imia Otca i Syna... Wo imia Otca i Syna... Wo imia Otca i Syna i Ducha światoho...

A potem znów pochylił się nad nią.

Na jej ustach było w tej chwili coś jakby cień uśmiechu, a oczy zwrócone miała gdzieś daleko poza nim.

On jej ręce stygnące pochwycił w szerokie dłonie.

— Co z tobą, gołąbko, czego ci potrzeba jeszcze?— wyjąkał drżącym z bólu głosem.

Usta jej znów poruszyły się i twarz przybrała wyraz nieopisanej tkliwości.

— Sokołyku mij jasnyj! De ty?!

I w uśmiechu ostatnim blada twarz poczęła sztywnieć w nieruchomą maskę śmierci, a duszę Artema chwyciła i wstrząsała, jak wicher, dzika rozpacz, bo zrozumiał, że myśl jej ostatnia i ostatnie uderzenie serca były — nie dla niego...

Dokoła zaś rozległ się szept, jakby zalękły:

— Umarła...

I jako kamień, w wodę rzucony, mąci jej powierzchnię po ciasniejszych w coraz to szersze kręgi, tak i owo słowo szło coraz to dalej od stosu, sięgając ostatnich zakątków placu i zamieniając się w głuchy pomruk, jakoby grzmienie oddalonego piorunu.

W zaklętem zamczysko, Tl.

>3

Ale nad tym pomrukiem zapanował, dusząc go i uciszając, wielki okrzyk bólu i pomsty.

— Bracia! Ona umarła, a ot jej kat, ot ten, co ją umęczył niewinnie! On i wasz kat! Dacież mu ujść bez kary? Będziecież dalej łby schylać pod jarzmo?

Z tłumu ozwały się tu i owdzie okrzyki.

— Nie! Nie! Nie chcemy!

— Na pohybel!

— Nechaj propadaje!

— A wy, mołojce!—zwrócił się Artem do semenów.— Będziecież dalej cierpieci, by wam mięso odbijali od kości łozami i na pal wsadzali najlepszych między wami? Maż dalej was katować ten tchórz okrutny?

— Nie! Nie! — odkrzyknęły liczne głosy wśród semenów.

— To dajcież mi pomścić waszą i moją krzywdę!

I szybki, jak myśl, zeskoczył ze stosu i chwycił za gardło Turobojskiego.

Napaść była tak nagła i młody władca tak mało przypuszczał, że wśród jego podwładnych może mu grozić niebezpieczeństwo, że w pierwszym oszołomieniu ani pomyślał o obronie. Ryknął tylko i rękoma zamachał, a Artem ścisnął go mocno i powlókł na stos.

— Chwytajcie chłopcy! krzyknął, rzucając stojącym w górze wijącego się Szczepana, jak piłkę.

I wskoczył wślad za nim.

— Teraz ognia duchem! — krzyknął do ludzi, stojących na stosie.

Ogień, napół tylko przygaszony, wybuchnął jasnym płomieniem, gdy do nadpalonych gałęzi przytknięto po

chodnie. Tłum, napelniający rynek, zamarł w oczekiwaniu tego, co teraz się stanie. A było to istotnie ciekawsze i bardziej podniecające, niż spalenie młodej dziewczyny. Stos, dla niej przeznaczony, zapalano znów, ale tym razem ofiarą, przeznaczoną na straszną mękę ognia, miał być sam wszechmożny pan Perehińska, cześnikowicz Turobojski.

Stał teraz w samym środku podwyższenia, trzymany z dwu stron krzepkimi dłońmi, patrząc osłupiałym wzrokiem na rozniecany przy jego stopach ogień. Zrozumiał wreszcie, że dla niego zapalają ten ogień, że jeszcze chwila, a zacznie się dla niego ta męka, którą zgotował dla Motry. I poczuł nagle strach, dziki, zwierzęcy strach przed tą śmiercią, tak niespodziewaną a tak okropną. Dusza jego, dla innych tak twarda, zmiękła wobec tego, co sam miał cierpieć, i w przerażeniu zapomniał o pysze swej i o znamienitości swego rodu, i o pogardzie, z jaką zawsze patrzył na motłoch, sobie podwładny. Począł ryczeć wielkim głosem o litość, o- biecując oddać wszystko, co posiada, byle mu darowano żywot.

Ale ów pogardzony motłoch okazał się silniejszym nad pokusę złota i nie dał do siebie przystępu ni chciwości, ni miłosierdziu. Więc niczemnik upadł na kolana i ręce błagalnie wyciągnął i zebrał życia, ale to poniżenie jego, zamiast wzruszyć, rozwściekliło jeno przeciw niemu ogół obecnych. Z dołu poczęto krzyczeć: — „Dość tego” — i: — „Kończyć z nim!” — i wreszcie rynek cały zawył złorzeczeniem i domaganiem się śmierci dla perehińskiego pana.

Wtedy pochwycono go mocniej w kilka rąk, ale i on teraz zrozumiał, że niema dla niego zmiłowania i że śmierci nie umknie, więc chwyciła go złość większa jeszcze od strachu j postanowił przynajmniej, ile mógł, pomścić się przed śmiercią na tych, którzy mu zgotowali mękę. Więc począł rwać się i szarpać, gryzł ręce, które go trzymały, kopał nogami, bódł głową i miotał przytem najstraszliwsze przekleństwa i groźby przeciw swym dręczycielom. Zaledwie byli w stanie go utrzymać.

— Prędzej tam! — wołali na chłopaków, rozdmuchujących ogień.

— Gotowe, — ozwano się od ognia — i obaj chłopcy, zajęci przy nim, wyprostowali się, rzucając w płomień pochodnie, któremi go wzniecili. Płomień buchał szerokimi językami, obejmując pal i grożąc zajęciem całemu stosowi.

— Prędzej z nim! — poczęto wołać zdołu. — Związać go i w ogień, a samym nadół, bo zgorzejecie!

— A łańcuchem go wiążcie, bo sznury się popalą!

— Nie bójcie się! Sami wiemy! — krzyczeli w odpowiedzi ludzie na stosie, szamocąc się z więźniem i u- siłując owinąć go łańcuchami.

— Prędzej! — krzyczano zdołu. — Już stos zajmuje się ogniem!

— Czekajcie! Ja sam go wrzucę!

Słowa te wymówił Artem, kładąc rękę na wijącym się więźniu.

— Sprawiedliwie mówi! — ozwały się głosy. — Jego to prawo, bo on najwięcej pokrzywdzony.

— Zaraz, jeno go łańcuchem omotamy! zauważył jeden z trzymających.

— Nie trzeba. Ja sam go zwiążę.

— To go bierz.

Turobojski leżał na pomoście stosu, na który zwał)- no go, wiążąc. Ale związano mu tylko nogi: ręce miał jeszcze wolne. Artem przykląkł mu na piersi, obejmując go wpół dla obezwładnienia rąk.

— Jeśliś czartu duszy nie zaprzedał, — rzekł mu poważnie, — wspomnij na Boga, bo już czas twój przyszedł!

Ale w tejże chwili więzień wyrwał z jego ramion jedną rękę, z błyskawiczną szybkością wyciągnął mu z pasa nóż i uderzył.

— I twój czas nadszedł! — syknął spienionemi usty.

Ale Artem nie zdawał się trafiony.

— Kąsasz — rzekł spokojnie. — Nic to! Owszem. — s p asy B i h tobie! Ale teraz już koniec z tobą!

I, chwyciwszy go za obie Tęce, powalił zmożonego wysiłkiem twarzą do ziemi i ręce mu silnie owinął łańcuchem, a potem chwycił go wpół, zakręcił nad głową i rzucił z mocą w środek ogniska. ■ Ryk straszny wstrząsnął powietrze. Gałęzie i smolne szczapy rozleciały się po całym stosie i naokoło niego, oslepiając, parząc i raniąc najbliżej stojących. Wszczął się krzyk i lament. A tymczasem czarna skłębiona masa, ogniem objęta, rzucała się w nim jeszcze kilkakrotnie, chrzęszcząc łańcuchem, tarzając się wśród płonących drzazg i wyjąc niehumanym głosem. Z dołu przytrzymywano ją długimi, żelaznymi drągami, żeby nie wypęzła z płomieni lub nie stoczyła się na

dół, aż wreszcie przestała drgać i jęczeć. Stos zapalił się cały i płonął, jak świeca. Wszyscy stojący na pomoście pozeskakiwali nadół. Został tylko jeden*

Rzuciwszy Szczepana w ogień, Artem stał przez chwilę z oczyma utkwionymi w prężące się w ogniu ciało, potem odwrócił się, przykląkł i powstał, zataczając się, z ciałem Motry w ramionach. Ciało nie stężało jeszcze i zwisało mu u piersi, jakby spała. On wpatrzył się w bladą jej twarz, uczernioną dymem i zdawał się zapominać o świecie całym. A pomost uginał się pod nim, i języki ogniste lizwały mu stopy, i wiatr mu rzucał w oczy płonące żagwie, od których tleć poczynała jego odzież, ale on nie zwracał na to uwagi, jakby o tem nie wiedział.

Z dołu jednak rozległy się niespokojne i coraz natar- czywsze wołania.

— Zejdź prędzej, bo zginiesz!

— Zapamiętał się z żalu!

— Hej, chłopcy, nadół z nim, bo spłonie żywcem!

Dwu śmielszych młodzieńców wskoczyło na wałący się pomost i zepchnęło wdół Artema wraz z trzymającym przezeń ciałem. Padającego podtrzymało w powietrzu kilku najbliższych, a że im przez ręce leciał, złożono go ostrożnie wraz z trupem, który przyciskał do piersi, na rozestanej opodal od stosu świcie. Chłopak leżał bezwładnie, zawsze z ciałem Motry przy piersiach, nie poruszając się.

Wkoło niego utworzył się zbity krąg ciekawych, spoglądających jeden przez ramię drugiemu i rzucających sobie nawzajem pytania i uwagi.

— Co to? Co to?

•— Czy go dur chwycił?

— Czy wielka choroba?

— Może poparzył się?

— Co mu jest?

Jeden z semenów przykląkł przy leżącym i rękę mu położył na piersiach.

— Nic mu nie jest, — rzekł, wstając. — Umarł.

n.

PO POWROCIE DO HORODYSZCZA

Przewodnia dawno minęła, kwiecień kończył się, a Zielone Świątki były już za pasem, kiedy nagle przyszyły zimna, burze i wichry śnieżne, mroząc zielone pęki na drzewach i zasypując białym, mokrym pyłem zieleniejące już pola. Śnieg topniał wprawdzie, ledwo dotknąwszy ziemi i wicher go wnet rozmiatał, ale potem przychodziły lodowate deszcze, a za nimi znów szły zamiecie i świat cały trząsł się od zimna i wilgoci, a słońce, zdało się, na zawsze już znikło z ziemskich widnokręgów.

W gościnnej izbie horodyskiego zamczyska siedziało o wieczornej dobie przy kominie, pełnym płonących drew, trzech mężów. Byli to, oprócz gospodarza, ojciec Symforjan i pan Harkosiej. Bernardyn miał oblicze spokojne, choć przeobleczone w zwykłą mu powagę. Zato pan Kazimierz i pan Dydak mieli miny zafrasowane

i głowy wdół pochylone, jakby je ciężar jakiś przygniatał.

W zamku, w którym od Bożego Narodzenia bywało zawsze ludno i gwarno, panowała teraz głucha cisza i szerniałych murów czepiał się ze wszystkich stron smutek.

— Było w tym tygodniu pismo od pana Bartłomieja?— spytał po długim milczeniu pan Dydak, który doskonale wiedział, że pismo było, i wiedział też, co było w tem piśmie, ale chwycił się pierwszego lepszego pretekstu, by przerwać nieznośne milczenie.

— Było! — bąknął w odpowiedzi Miśniakowski, nie podnosząc głowy.

— W Łazuniu wszystko spokojnie?

— Wszystko.

— Dragonja księdza biskupa kijowskiego dobrze się sprawia?

— Dobrze.

— A starosta zawsze po staremu, ni umiera, ni żyć nie może?

— Zawsze.

Pan Harkosiej miał jeszcze jedno pytanie na ustach, ale powstrzymał je wczas, pomyślawszy słusznie, że wzmianka o starościance nie byłaby dla rotmistrza pożądana. Wiedział, że odbiera częste wieści o niej od Deręgiewicza, ale wiedział też, że to jest cierń bolesny, którego lepiej nie poruszać.

Istotnie bowiem podług ogólnego mniemania pan Kazimierz był przed niewielu dniami u progu największej szczęśliwości, ale progu tego nie przekroczył, choć mógł. Nikomu nie było tajno, że miłuje starościankę jako źrenicę oka i że panienska jest mu całą duszą wzajemna, a choć znane też były wszystkim skrupuły, powstrzymujące młodego rycerza od dania folgi sentymentom, konjunktury złożyły się tak dziwnie, a dla afektów młodej pary pomyślnie, że wszelki skrupuł zdawał się tracić rację. Wróciwszy do Łazunia po widzeniu się z Motrą, nie zastał tam już szlachty, ani Szczepana z jego semenami, zastał zato czekającego nań Nawżenego wraz z paroma najbliższymi komiltonami z Horodysz- cza. Kozak oddał mu opiekę nad zamkiem i panną i chciał stante pede urządzić mu wesele, czemu nietylko panna wcale nie była oporna, ale i starosta, zmieniony do niepoznania przebytymi doświadczeniami, nie zdawał się sprzeciwiać, jakkolwiek o tyle mu się polepszyło, że widocznie rozumiał, o co chodziło, gdy mu o tem mówiono. Proboszcz okazał równą ochotę do błogosławienia temu związkowi, jak przedtem statecznie oponował Szczepankowym domaganiom się ślubu, a ojciec Symforjan, jako przyjaciel Miśniakowskich, nie szczędził perswazyj i zachęty do jak najrychlejszego dokonania zaślubin. Wszyscy też na zamku Łazuńskim gotowali się do godów z pełnem rozradowania sercem, kiedy naraz przyszła przeszkoda ze strony pana Kazimierza. Oświadczył on naprzód atamanowi, a potem i samej Hanusi, że związek z nią nie jest możliwy, bo byłby złamaniem przysięgi, danej zmarłemu ojcu, i że, miłując Hanusię, żadnej innej po wiek życia nie będzie ślubować, ale i jej też nie, bo mu nie Izia, choćby i serce z bólu miało pęknąć. Darmo mu przyjaciele, jako

wprzódki w Horodyszczu, przekładali przeciw tej determinacji racje wszelakie (a zwłaszcza te, któremi jak z rękawa sypał pan Jarosiński, były nad wszelką miarę mądre i przekonujące); — darmo mu po swojemu kazał pluć na te wszystkie zawracania głowy Nawizeny — Miśniakowski pozostał niewzruszony, jak mur, tylko po dwu dniach takich dysput i argumentowań wysechł i szerniał gorzej, niż wówczas, gdy ranny głodem i pragnieniem przymierał pod podłogą. Aż wreszcie nie zdzierzał. Przyskoczył raz do Jurka, objął go i przycisnął do piersi, nic nie mówiąc, potem stanął na progu panińskiej komnaty Hanusi i, nie wchodząc, zawrócił, jakby mu sił zabrakło na pożegnanie jej, wskoczył na konia, którego mu podwiódł Wałek i wraz z matołkiem kopnął się do Horodyszczu, rzucając na odjeźdźnym panu Bartłomiejowi zaklęcie, by w Łazuniu pozostał, nie ruszając się ni na krok i wraz ze starym Ciszewskim panny strzegł, jako oka w głowie, nim nad nią obejmie opiekę krewny jej matki, ksiądz biskup kijowski. Do tego zaś sam, nie zwłócząc, pojechał do Chwastowa, gdzie właśnie ksiądz biskup Szoldrski bawił, by go o auxilia dla siostrzenicy suplikować, które też wnet nadeszły pod postacią pół regimentu dragonów, zapewniając już odtąd zamkowi i pannie tem większe bezpieczeństwo, że tymczasem wieść się rozeszła o strasznej śmierci Szczepanka, i tym sposobem usunięte zostało najgorsze niebezpieczeństwo.

Z Chwastowa pan Kazimierz pojechał prosto do Horodyszczu i zamknął się w swej ruderze bezwyjeźdnia.

Dotrzymali mu kompanji tylko bernardyn z panem Harkosiejem, bo Deręgiewicz siedział w Łazuniu, a nikt zresztą nie chciał smakować nudów horodyskich. Nawet Jarosiński nazbyt lubił hurt i zgiełk szlachecki, by zakopywać się z przyjacielem w pustce, nawiedzanej przez duchy: więc też zasłaniał się potrzebą opatrywania ran (zresztą bardzo lekkich) przez cyrulika, którego nie było w pobliżu, i ani nosa nie pokazał w Horodyszczu.

Siedzieli tedy we trzech o wieczornej godzinie przysunięci do komina, bo wicher na dworze był tysiącem potępieńczych głosów, potrząsając gałęzmi drzew, obrastających ruderę, i wślizgując się do wnętrza wielkiej, wilgotnej izby przez szczeliny okien i przez otwór w kominie, w którym raz po raz silniejszy jego impet tłumił płomień i rozrzucał gałęzie... Wałek swoim zwyczajem przykucnął przy ogniu u nóg rotmistrza, dorzucając czasem trochę polan ze stojącego obok naręcza. Tryfon wraz z czeladnikiem pana Harkosieja zajęli zaraz po wieczery miejsca oddalone przy drzwiach, ale pod wpływem posępnych ryków nocy i strachu, napełniającego zamek o późnej godzinie, przysuwali się coraz to bliżej, aż wreszcie przytulili się do komina napół ukryci poza jego okapem.

Ojciec Symforjan przesuwiał w wyschłych dłoniach ziarnka różańca, poruszając cicho ustami; Kazimierz miał głowę tak schyloną, że czołem dotykał rąk skrzyżowanych na kolanach, a słodki i bojący się upiorów Karabanowicz czuł, jak mu prosto serce zamiera na myśl o oddaleniu się od kompanji na spoczynek w taką noc djabelskich godów, więc wyteżył niezbyt obrot

ny dowcip, by z niego wysmażyć nową materję dyskursu.

Myślał długo, wreszcie zdało mu się, że trafił.

— A ten porucznik dragonji w Łazuniu, — zaczął powoli — mówią, że nader gładkiej prezencji kawaler i podobno samego księdza biskupa Szołdrskiego krewny...

Miśniakowski nic nie odrzekł i nie poruszył głowy.

— Powiadają, że i fortunę piękną kędyś w Br i cławszczyźnie i księdzu biskupowi gratissimus. Kto wie, czy nie zechce krewniaków swatać?

Przystanął, wyczekując, azali po tak zaciekawiającym wstępie nie nastąpi replika gospodarza, ale wynik jego mozolnych usiłowań okazał się nader żalosnym, bo zamiast poruszoną przezeń materję dalej rozwinąć, pan Kazimierz porwał się napoły z zydlą i pięścią w stół uderzył, aż zabrzęczały stojące na nim kubki i dzbany.

— A idźże waść do licha ciężkiego ze swymi porucznikami i biskupami. Niechże się swatają i żenią, kto z kim chce, ale mnie dajcie pokój!

Pan Dydak zdumiał się wielce, co mu się często zdarzało. Spojrzał więc osowiałym wzrokiem na przyjaciela, a następnie na ojca Symforjana, jakby go wzywa! do dania świadectwa lub porady. Ale bernardyn, zajęty pacierzem, nie zwracał na niego uwagi, więc pan Dydak rzucił żalosne wejrzenie w stronę dwu pachółków, wzrokiem biorąc ich za świadków swojej krzywdy, gdy nie wypadało z ludźmi pospolitej kondycji czynić tego słowem, potem zaś oczy wzniosł pobożnie w górę i westchnął tak potężnie, że ogień na chwilę przycichł w kominie i węgle rozleciały się pod okapem.

I znów zapadła cisza.

— Tej nocy znów gwałt był w baszcie i w rycerskiej! — mruknął przytłumionym głosem Tryfon do swego towarzysza, rzucając z podełba ukośne spojrzenia na Walka.

Salą rycerską nazywano wielką piętrową komnatę w środku zamku, uważaną, zwłaszcza od czasu opustoszenia go, za nocną siedzibę widm i miejsce ich harców.

Pachółek pana Harkosieja przeżegnał się ukradkiem.

— Straszna to rzecz w takim przeklętym miejscu siedzieć, — szepnął.

Ale Trytonowi, dbałem nad miarę o honor swoich panów i ich siedziby, nie w smak poszła uwaga Iwasia.

— Miejsce nie jest wcale przeklęte dlatego, że umarli w niem nocami chadzają, pokutę czyniąc. Toż nie wiesz, że właśnie na poświęconych miejscach, jako to po cerkwiach i cmentarzach, z nieboszczykami najłacniej się spotkać?

Iwaś głową skinął, przytakując.

— Prawda wasza, — zgodził się. Ale przecie na cmentarzu nocą za wszystkie skarby świata nie wysiedziałbym.

— Co dziwnego, żebyś ty, młodziak, nie wysiedział, — odrzekł udobruchany już Tryfon; — kiedy i ja, stary, ni a odważyłbym się, chyba w kompanji.

— W kompanji każdy śmiałek.

— Każdy, albo nie każdy. Chciałbyś to choćby i w czterech zacząć się o północy w tym kurytarzu

między rycerską a basztą, gdzieś to już raz bywał o tej porze?

Iwaś wzdrygnął się cały.

— Boga mi, nie! przyznał szczerze. AJe nietylko dla strachu próżnego jeno.

— A dlaczegóż, ciekawym?

Iwaś obejrzał się dokoła bojaźliwie, potem nachylił się do ucha staremu.

— Na poświęconem miejscu martwieć żywemu nie ukręci karku, a w takim, jak to, choć ono i nie przeklęte, ukręci!

Tryfon wpatrzył mu się w twarz ze zdziwieniem i namysłem.

— Myślisz, że ukręci? — zauważył wreszcie, rac z oj sam do siebie, niż do młodego towarzysza.

— A wy nie myślicie?

Tryfon zastanowił się jeszcze.

— Hm! I ja tak myślę, że ukręci!

— A widzicie!

— A nieprawda! — ozwał się nagle od komina głos Walka.

— Dlaczegóż to nieprawda? — spytał z niezadowoleniem i pewną obrazą Tryfon, odwracając twarz ku chłopakowi.

— Bo bez woli Bożej nawet ten brzydki czamy, tfu! nie potrafiłby karku skrócić chrześcijaninowi, a dopie roż dusza pokutująca, która jest lepsza od żywych ludzi.

Przy wzmiance o djable, choć go nie wymieniał, twarz matołka skrzywiła się całkiem, pełna obrzydzenia

i grozy, i wnet znów rozjaśniła się radosnym uśmiechem, gdy wspomniał o dobrych duchach.

Dwaj pachółkowie wpatrzyli się w Walka szeroko rozwartymi oczyma, w których tyle było strachu, jakby on sam był jedną z owych dusz pokutujących, o których mówił. Pan Dydak dotychczas przysłuchiwał się szeptom czeladzi, z którą mu nie wypadało wdawać się w bliższą konfidencję, teraz zmierzył Walka równie niepewnym wzrokiem, jak Tryfon i Iwaś.

— Skądże ty to wszystko wiesz tak dobrze? — zapytał.

Walek w odpowiedzi spojrział na niego wprost, nieco zdziwionym wzrokiem.

— A przecie to takie jasne! Ślepyby dojrzał! Jegomość mądry, a ze mnie głuptaś: jakże to ja mam jegomości o tem tłumaczyć?

— Bo ty podobno takie rzeczy widzujesz, jakich inni ludzie nie widzą.

Chłopak ramionami ruszył.

— Chyba dlatego, że inni uciekają i kryją się, jako myszy, po kątach, żeby tego nie widzieć. A kto chce widzieć, widzi.

— Właśnie, że tego nie mogą ludzkie oczy widzieć, bo to strach!

Walek zaśmiał się, pokazując białe zęby.

— Jaki tam strach! Zły człowiek, to strach! A umarły — dobry. Czego się bać?

— Sąż i potępieńcy, a djabeł rad kilimkiem rzuca, ducha światłości udaje i grzesznika tumani.

— Kto chce dać się tumanić, tego on tumani, a kto nie chce, to ot ile sobie z niego robi!
Mówiąc to, dał dwoma palcami prztyczka w powietrze.

Pan Harkosiej niezupełnie jeszcze był przekonany.

— Jakże jednak rozeznasz złych od dobrych?

— Bardzo łatwo. Starszy pan mnie nauczył.

Tryfon przeżegnał się, a pan Dydak poczuł, że go ciarki przebiegły po grzbiecie.

— To ty starszego pana widzisz? — spytał.

— Jakże? Nie widywałbym! A któż mnie do onej skrytki prowadzi, ile razy...

W tej chwili ojciec Symforjan, mający dotąd wzrok utkwiony w przestrzeni, jak człowiek; który nic nie widzi, ani słyszy z tego, co się dzieje dokoła niego, spojrział przelotnie na Walka i palec na mgnienie oka położył na ustach. Chłopiec umilkł.

Ale pan Dydak był wielce zaciekawiony, podobnie jak i Tryfon.

— Do skrytki, mówisz? Do jakiej skrytki? To starszy pan ciebie wodził kędyś? Dokądże? Ale matolek nic już nie rzekł w tej materji, tylko wciąż patrzył w oblicze mnicha, który znów się okrył nieprzeniknionym płaszczem zamyślenia.

Zapanowało przez długą chwilę milczenie. Przerwał je pan Dydak, który wprawdzie okrutnie bał się duchów, ale zarazem był ich niezmiernie ciekawy. Wiedział on o Walku, jako i wszyscy, że jest „niesamowity”, a nawet podejrzewał go, tak samo, jak Tryfon, że pozostaje w związku z owym cudownym zaopatrywa-

niem mieszkańców horodyskiej rudery w grosz, niezbędny na życie, ale teraz zamiast podejrzania, poczęła wylańać się pewność związku Walka ze strachami, napełniającami zamczysko co noc, i trzebaż było, żeby w tej chwili właśnie bernardyn opowieść przerwał! Oj, ten bernardyn! Wiedział on o tych strachach i o różnych innych tajnych rzeczach pewnie stokroć więcej od matolek, o czym zresztą sam pan Dydak swego czasu się przekonał; ale z tego i kleszczami by nie wyciągnął! Teraz jednak ojciec Symforjan znów o świecie zapomniał, można więc nawiązać z Walkiem rozmowę przerwana. Rzucił tedy pan Dydak ukradkiem spojrzenie na mnicha, a potem zagadnął Walka.

— Czego ci nie lizia mówić, tego nie mów, — rzekł roztropnie; ale przecie mógłbyś nam co powiedzieć o onych straszdyłach, o których wiemy wszyscy, że tu o północy mają swój conventum, atyz nimi, słyhać, jako z żywymi przestajesz!

— A cóż o nich jegomości trza wiedzieć?

Karabanowicz miał już na ustach wezwanie: „Wszystko mów, co wiesz!”, ale powstrzymał go ojciec Symforjan. Po raz wtóry dał ręką znak chłopakowi, nakazując mu milczenie, potem zaś zwrócił się do pana Dydaka z surowszem niż zazwyczaj obliczem.

— Daj waść pokój temu symplaczkowi — rzekł. — Boża to ptaszyna: widzi to, co ptaszęta widzą, a do czego grzesznemu człowiekowi zasię. Przestańże wyciągać go na słówka, bo to i grzech.

Na takie dictum acerbum pan Harkosiej zawstydził się niepomału, jako, że o swoją prawowierność

W zaklętem zamczysku,~jll. ja

stał wielce, umilkł więc, głowę opuściwszy na dół za przykładem przyjaciela, i cisza zaległa na długo izbę, pełną mroków.

— Pora mi już na spoczynek — ozwał się wreszcie zakonnik, powstając. — A waćpanowie, nie pójdziecież za moim przykładem?

— Sen mi jakoś powiek się nie ima — zauważył pan Dydak, a rotmistrz potrząsł jeno głową, nic nie mówiąc.

— Pamiętajże waść, — upominał bernardyn pobożnego wielkoluda — by nie imał się ciebie nad miarę jutro rano! bobytn go z waćpana ogórkami wypędzać musiał!

Karabanowicz zaśmiał się swym tubalnym głosem, rozstawiając śmiech, jak zgłoski dyskursu, a pan Kazimierz uśmiechnął się też niewyraźnie i, pochyliwszy się ku ojcu Symforjanowi do rękawa, znów przysiadł na swym zydlu i pogrążył się w zadumę.

Pana Dydaka język wprawdzie świerzbiał, ale nie było sposobu dać mu folgę, bo pan Kazimierz najoczy- wiściej nie miał nietylko ochoty do gawędy, ale po- prostu nie był do niej zdolny, a dwaj pachółkowie, oparliśmy głowy o ścianę, chrapali głośno. Do Walka zaś, jako niesamowitego, czuł szlachcic lęk, który mu do dyskursu odejmował wszelką ochotę.

Ale Wałek sam przerwał milczenie, zaczepiając pana Kazimierza.

— Jegomość! — ozwał się, trącając go w kolano. — Jegomość!

— A co? — bąknął rycerz, jakby obudzony ze snu.

— Kury pieją. Trzeba, żeby jegomość tam szedł! Sam czas teraz.

— Ja? Dokąd?

— A tam, do dużej izby, gdzie starzy panowie nocami uradzają.

Słowa matołka były tak niezwykle, że przesądny pan Dydak wybałuszył oczy, aż mu całkiem na wierzch wylazły, i gębę szeroko rozwarł, jakby chłopca chciał po żreć żywcem, a i rotmistrz wpatrzył się w Walka ze zdumieniem, które nie było wolne od lęku.

— Słyszałem ja już o tem, — zaczął niezupełnie pewnym głosem, — że miewasz z duszami zmarłych komitywę, gdy na ten padół przychodzą, ale jest że to możliwe, by ci takową misję do mnie powierzyły?

Chłopak ramionami ruszył.

— Chcecie — wiercie, chcecie — nie słuchajcie! By- leście jeno potem nie żalowali!

— Któż ci to mówił?

— Któż, jak nie starszy pan, ten dobry. Pan Kazimierz przybladł na twarzy.

— Któż to taki, ten starszy pan?

— Ponoś wasz rodzic. On zawsze ze mną o was gada!

Rotmistrz przystąpił do chłopca i obie ręce położył mu na ramionach.

— Ty rodzica mego widzisz?

— I jak często! Ja wszystkich widuję, co tu nocami chadzają. Tylko nie wszystkich rad widzę, ale starego pana bardzo, bo on dobry i nad jegomością tak się zawsze użala...

Rycerz nachylił ku niemu oblicze tak, że stykało się z twarzą matołka.

— Mów mi o nim! — szepnął bardzo cicho.

— Co mam mówić? Ot, widuję go, ile razy o północ- ku idę na puste pokoje.

— To ty tam często chodzisz?

— A często. Ze mnie głuptas, dlatego spać nocami nie mogę, jako inni ludzie, więc gdy tamci pośpią się, ja sobie z nudów idę patrzeć na tych, co tam się włączają przed drugimi kurami.

— I nie boisz się? Walek zdziwił się.

— A czegożby?

Pan Kazimierz nie nalegał. Wolał wrócić do tego, co go zajmowało bliżej.

— Cóż ci tedy rodzic mój powiadał?

— A powiadał, żeby jegomość przyszedł do niego tej nocy, kiedy jeno pierwszy kur zapieje!

Młody rycerz zmilczał przez chwilę i ręką otarł uper- lone czoło.

— Do kaplicy? Do grobów?

Walek zastanowił się, jakby ważąc myślą odpowiedź.

— Albo ja wiem? Nie mówił! Jam go widział w wielkiej izbie i tam mi to przykazał. Ale pewnie do kaplicy, bo tam ludzie modlą się, a w izbie duchy harce wyprawyją.

— I kiedyż to ci kazał nieboszczyk mnie o tem przyjsciu powiedziec?

— Tamtej nocy!

— A nie przyśniło ci się?

Chłopak zaśmiał się.

— O, jegomość, jegomość! Co też jegomości do głowy przychodzi? Czyż to mi pierwszyna? Zresztą, jegomość zaraz przekona się, czy mi się przyśniło.

— A gdybym ci nie uwierzył i nie poszedł?

Chłopak spoważniał.

— Stary pan i o tem wspomniał. Powiedział tak, że jeśliby jegomość nie uwierzył, ja mam jegomości jeden sekret wyjawic.

— Jakiz to sekret?

— A ten, że ostatnie dwa słowa, które stary pan jegomości powiedział przed jegomościny odjazdem, były: „Przysięgłeś! Pamiętaj!”

Miśniakowski cofnął się o krok, wzburzony.

— Prawda! — krzyknął. — Prawda! Tak, to były jego ostatnie słowa! I nikt ich nie słyszał, prócz mnie!

A po chwili dodał z determinacją:

— Idę!

— I ja z jegomością! — dodał Walek.

Wyszli obaj. Harkosiej, który rozmowy tej słuchał chciwie z rozwartymi szeroko ustami, porwał się iść za nimi, zawahał się jednak i cofnął, potem znów ku drzwiom poskoczył, ale pan Kazimierz z Walkiem zniknęli już w czarnej czeluści kurytarza i wielkolud poczuł, że nie starczy mu odwagi ich gonic. Wrócił tedy śpiesznie i spróbował zbudzić chrapiących pacholców, bez skutku jednak. Wówczas pan Dydak poczuł się nad wszelki wyraz osamotnionym i znękany, drząc cały, posunął swój zydel tak blisko śpiących, że aż ra

mieniem dotykał Iwana, poczerń jął półgłosem odmawiać pacierze, aż mu głowa zwiśla na piersi i do snu mocnego skleiły się oczy.

m.

NOC DUCHÓW

Dzieje tej dziwnej nocy przedstawiały się później Kazimierzowi Miśniakowskiemu, jakby przez mgłę snu, i nie umiał na pewno rzec, czy było to wspomnienie snu, czy jawy. Przyszedł do siebie nad ranem, leżąc w ubraniu na swoim pościeliu. Czy na nie padł znużony snem po odejściu bernardyna i wszystko, co pamiętał, począwszy od Wałkowej rozmowy, przyśniło mu się, czy też wszystko to, co pamiętał, przeżył istotnie — to pozostało mu na zawsze zagadką, której nie próbował nigdy później rozwiązać, zdejmował go bowiem strach i wstręt nieprzewyciężony do dotykania tej sprawy. Zbudziwszy się ze snu, czy omdlenia, w jakim zastał go ranek, poszedł wnet do ojca Symforjana prosić go o mszę za duszę ojca i tych wszystkich umarłych, którzy w tych murach czynili pokutę, i wspomniał o zdarzeniach tej nocy księdzu, jako świadkowi ich początku. Bernardyn słuchał go, milcząc, jak człowiek, który dokładnie wie, o co chodzi i sam zna dokładnie sprawę, a wysłuchawszy naracji do końca, Tzekł mu tyle tylko:

— Mnie już o tera nieboszczyk miecznik mówił przed dwoma miesiącami, jeno tak mniemałem, że lepiej bę dzie, gdy sam to z ust jego i z innych jeszcze usłyszysz, jako się stało, a nim do tego przyjdzie, sam nieco przypatrzysz się grzechom, do tych podobnym, jakie spowodowały ich mękę.

Rzekłszy to, poszedł do zakrystji, by wdziać żałobny ornat, i nigdy już więcej o tem ust nie otworzył przed nikim.

Raz jeden spróbował rotmistrz potraćić o zjawiska onej strasznej nocy przed Wałkiem. Myślał, że ten mu coś o nich jaśniejszego powie. Ale matolek zdawał się zdziwiony jego pytaniem i odpowiedział mu ni w pięć, ni w dziewięć, Jak ten, który zgoła nie rozumie, o czem mowa. Odbił się przytem na jego twarzy, zazwyczaj tak jasnej, obcy jej wyraz znużenia i niechęci. Miśniakowski nie pytał dalej i nigdy już z nim do tematu tego nie wrócił.

I tylko sam, budząc się ze snu w noc zimową, pełną jęków i zawodzeń wichru, rzucił duszy swojej pytanie:

— Azali widziałem istotnie to wszystko, czy też był to jeno sen, zesłany mi przez Opatrzność?

Miało się już ku półnoey, gdy rotmistrz wraz z Wałkiem weszli do kaplicy. Była to budowa okrągła, dość wysoka i kopułą uwieńczona prawie tak wielką, jak okrąg murów. Wchodziło się do niej wprost z wielkiego kurytarza, wiążącego lewe skrzydło zamku z salą rycerską, stanowiącą jego środek.

Jak w kurytarau, tak i w kaplicy panowała głucha ciemność. Rozjaśniała ją jedynie lampa przed ołtarzem,

rzucająca czerwone odbłyski na kawałek kobierca u stopni i na otwarte w środku wejście do piwnic grobowych. W powietrzu czuć było wilgoć i stęchliznę, z mokrych płyt kamiennej posadzki szedł chłód przenikliwy.

Kazimierz osunął się na kolana przy drzwiach, poza nim ukląkł Walek. Przez chwilę pozostawali bez ruchu, zatopieni w modlitwie, kiedy naraz coś poruszyło się pomiędzy nimi a czarną czeluścią otwartego grobu.

Rotmistrz uczuł, że mu zimny pot wystąpił na czoło.

— Powstał z trumny i zbliża się! — pomyślał.

I zdjął go blady strach, który napęłnia każde serce ludzkie na widok śmierci, powracającej między żywych. Ale równocześnie z lękiem obudziło się w nim drugie, silniejsze od lęku, uczucie. Dusza jego zapragnęła raz jeszcze ujrzeć twarz ukochaną i do pożegnanego na zawsze wyciągnęły się bezwiednie synowskie dłonie.

Ale nie był to on jeszcze, gość z grobu, zapowiedziany przez matkę. Oczy młodzieńca, oswajając się powoli z ciemnością, rozpoznały postać, leżącą o parę kroków przed nim z rozkrzyżowanymi rękoma na kamiennym pawimencie. Był to bernardyn, który teraz podniósł się z ziemi i ustąpił na bok, jakby miejsce komuś czyniąc, i znów rozpostarł się krzyżem.

— Ojciec Symforjan! — szepnął z uczuciem ulgi i zawodu zarazem pan Kazimierz.

I jakby w odpowiedzi usłyszał przy samem uchu szept Walka, cichy, jak oddech:

— Starszy pan!

Rycerz mimowolnym ruchem pochwycił Walka za ramię i nieco w bok się uchylił, nie powstając z kolana. I w tejże chwili zdało mu się, że wśród mroków, zalegających świątynię, zaczynało coś jaśnieć. Było to coś zupełnie niewyraźnego z początku, jakby na czarnej zasłonie zaczynały migotać nieco jaśniejsze punkciki. Punkciki te stawały się coraz wyraźniejsze, mnożyły się, zbliżały do siebie i zbijały w jedno, rozlewając dokoła coraz widoczniej blask sinawy i fosforyczny. Wreszcie poczęły zlewać się w linje i kształty określone i wyraźne, tworząc postać ludzką, rysującą się błękit- nawem światłem na ciemnym tle kościelnego wnętrza.

— Jegomość! — krzyknął rotmistrz.

I chciał zerwać się i biec ku postaci, wyrastającej z grobowca, ale ona wstrzymała go nakazującym ruchem dłoni, przykuwając obezwładnionego do miejsca.

Był to istotnie świętej pamięci imię pan miecznik braclawski, taki, jakim go przed laty po raz ostatni żegnał jego jedynak, biorąc odeń błogosławieństwo na pole i na życie. Taki i nie taki. Bo jeśli staturą i ruchami zgoła od żywego się nie różnił, cielesna powłoka zdawała się znacznie odmienną, jakby zwietrzała, zeszczupełała, zmurszała i nienaturalnie wiotka. Rysy też jego zdawały się jakby zatarte. Nos zapadł, oczy ukryły się w głąb oczodołów i świeciły z nich gromnico- wym blaskiem, a szaty wisiały jakby na drągu. I wszystko to razem nie stanowiło istotnej postaci, jaką zwykliśmy widywać w życiu, jeno jakoby jej obraz odbity w zwierciadle wody lub podobieństwo jeno, z dymu i mgły utkane. A przecież był to on sam, ten, który przed laty dożywał doczesnego wieku na tem sta

rem dziedzictwie ojców, i synowskim sercem poznał go i powitał pan Kazimierz i chwiał się konwulsyjnie, zmagał się teraz z samym sobą, rwąc się ku umiłowanemu rodzicowi i hamując wnet swój impet, by rozkazowi nie uchybić.

Widmo stało nieruchome przez parę pacierzy, wpatrując się gorejącym wzrokiem w klęczącego, potem uczyniło mu nowy znak dłonią* jakby wzywając za sobą i poczęło z wolna przesuwać się w głąb krużganku.

Nie był to chód, do którego przywykło ludzkie oko na powierzchni ziemi. Umarły posuwał się bez szelestu, nie dotykając podłogi, niby siny obłok. Gdy wypłynął z kaplicy, obrócił poza siebie twarz bezkształtną kościotrupa i skinął raz jeszcze. Rotmistrz, trzymając za rękę Walka, począł iść za widmem. Na progu obejrzał się za ojcem Symforjanem. Bernardyn leżał rozkrzyżowany na dawnym miejscu, nie ruszając się i nie podnosząc głowy.

Kazimierz poczuł, że w tej chwili oddałby wiele za to, by mieć obok siebie ojca Symforjana. A że mara płynęła kurytarzem powoli, rozświetlając nieco ciemność swym sinym odbłyskiem, młodzieniec odwrócił się raz jeszcze ku drzwiom kaplicy w nadziei, że w nich pojawi się ich śladem wyniosła postać mnicha.

Ale nikt za nimi nie szedł, a Walek, pochwyciwszy snąc myśl pana, pochylił mu się do ucha i szepnął:

— Ojciec nie przyjdzie. Nie lizia mu widać. Tutaj ostanie modlić się za was i za tamtych.

Szli dalej w głuchej ciemności i ciszy. Wreszcie duch zatrzymał się przy podwojach, wiodących do sali rycerskiej i szczelnie zamkniętych na wrzeczadze i kłódki. Pomimo to podwoje rozwarły się przed nimi bez skrzypienia i wnet przymknęły, gdy weszli, równie cicho.

Sala była ogromna, piętrowa. Z jednej strony przecinał ją szereg kolumn, nad którymi wznosiła się gale- rja, z drugiej szedł podwójny rząd okien, niegdyś oszklonych, dziś tworzących wielkie puste otwory, przez które przeglądało czarne, zachmurzone niebo i wzdłuż ściany sączyły się strumienie deszczu. Wraz z deszczem wpadał wichur i, wyjął przeraźliwie, potrzasał resztkami spróchniałych ram okiennych i nie- zdartymi jeszcze doszczętnie lamperjami obić. Z całego zrujnowanego zamczyska tu była najzupełniejsza pustka i rudera, przejmująca bo jaźnią i wstrętem. A jednak młodemu rycerzowi zrobiło się nieco różniej, gdy postyszał ryk nocnej burzy i ujrzał przez wylomy w ścianie kawałek nieba, był to bowiem świat żywy, coś, do czego przywykł i czego się nie bał.

Nie miał czasu jednak zastanawiać się nad tem, bo w tej chwili świetlana postać obróciła się ku niemu i dała mu znak, by przystąpił bliżej.

Kazimierz podszedł bez wahania. Gdy jednak znalazł się o parę kroków, widmo cofnęło się, powstrzymując go.

I wtedy po raz pierwszy usłyszał głos, idący doń od onej dziwnej postaci, z sinego dymu utkanej. Był to głos dobrze mu znany, głos ojca, ale jakby z głębin podziemnych wychodzący.

— Stój! Patrz! Ucz się!

Słowa te szły w równych odstępach, twarde, urywane, głuche, podobne do uderzeń tępym młotem o cienką ścianę, za którą znajduje się próżnia.

Kazimierz skłonił głowę, wnet jednak podniósł ją, chcąc rzucić zmarłemu rodzicowi rwące się z serca słowo, ale ów znowu palec położył na ustach, a Walek pochylił się do ucha panu, szepcząc:

— Oni nie chcą, żeby do nich gadać! Sami po. wiedzą, co potrzeba, niepytani!

Potem rzucił okiem dokoła, jakby szukając czegoś, i dodał jeszcze ciszej:

— Tamci już tu są, jeno nie pokazują się jeszcze, ale pewnikiem wnet ich jegomość ujrzy!

Istotnie w tejże chwili rotmistrz dostrzegł, że w głębi sali zamigotało coś, naprzód całkiem niewyraźnie, potem coraz jaskrawiej, aż wreszcie ujrzął przed sobą jakoby korowód postaci jakichś dziwnych, częścią takich, jak towarzyszące mu widmo, częścią innych, strasznych. Były to niby cienie, niby obłoki, sunące po posadzce bez szelestu, bez widocznego poruszania członków, w aureoli jedne silnych fosforycznych świateł, drugie krwawych, obejmujących je płomieni. Zbliżali się wolno, jak morski przypływ i jak luna ogarniającego las pożaru, rysując się coraz wyraźniej, świecąc coraz jaskrawiej i bliżej, aż mężne serce rycerza nappełnił lęk mimowolny przed tym obrazem z za świata.

A duch, jakoby odgadując to, co się działo w sercu młodego rycerza, ozwał się tym samym głuchym, z głębin wydobywającym się głosem:

— Nie bój się, bo od Boga ten obraz, i nieczysta siła poddana jest Panu, bez którego woli nic złego potępieniec nie uczyni. I ku nauce to twojej a zbudowaniu i naprawie zła mnogiego dzieje się to. Nie bój się tedy, patrz i ucz się!

Rotmistrz otrząsnął z siebie strach, jako pływak, na ląd wyskoczywszy, otrząsa wodę.

— Nie boję się, boś ty ze mną, ojczy, a przy nas Bóg! — odrzekł, starając się nadać spokojne brzmienie wyrazom.

Mimowolnym ruchem jednak przycisnął ramię do stojącego pod siebie Walka, czerpiąc jakowąś otuchę w tem dotknięciu żywej istoty.

Duch zaś zwrócił swe bezkształtne oblicze ku migotliwemu korowodowi sinawych i czerwonych postaci i powtórzył z większą jeszcze mocą, dłoń do góry podnosząc: — Ucz się!

Płomienisty korowód, dotąd cichy, jak senne widziadło, rozebrzmiał teraz nagle wyciem i jękiem, zmieszany z jakimś łomotem, jakby od ścierającego się metalu lub szczęku łańcuchów.

Wycie to było tak przejmujące bólem, grozą, rozpaczą, że rycerz poczuł, jak mu włos zjeżył się na głowie i mróz przebiegł po kościach.

A Walek pochylił mu się do ucha.

— Oni wszyscy jęczą — szepnął — ale nie jednakowo. Jedni, ci sini, oni płaczą, ale nie wyrzekają, bo oni dobzy, trochę tylko jeszcze zbrukani, i tutaj do czasu znoszą pokutę. Ale tamci... O! tamtych strach! Tamci źli, źli... Chcieliby rzucić się, kąsać, niszczyć,

ale cóż? Nie mogą! Przy tych silnych, dobrych nie mogą!

Tymczasem jednak Kazimierz, wpatrując się śmiało i uważnie w dziwne zjawisko, począł w niem coraz lepiej rozeznawać się. Dostrzegł tedy, że dwa rodzaje składających je postaci dzieliły od się na dwie grupy, zgoła odmienne i odsunięte od siebie, jakby wstrętne im było zobopólne zetknięcie. Twarzy ani u jednych, ani u drugich nie można było rozeznąć, ale ruchy każdej z grup zgoła inny miały charakter. Jedna była spokojna i cicha; druga miotała się w konwulsjach, wybuchała jękiem, wyciem i zgrzytem.

Pierwszą tworzyło kilka męskich postaci w staroświeckich strojach wschodniego kroju, jakich zażywali przed wiekami jeszcze rusczy i litewscy władcy. Z postawy sądząc, zdawali się smutni i w ciężkiej pogrążeni zadumie, w niczem niepodobni do dawanych przez tamtych oznak rozpacz.

Grupa rozpaczających składała się z dwu jasno występujących postaci, za którymi migają w cieniach kilka innych jeszcze, tak niewyraźnych i zatartych, że zdawały się raczej odbiciem w zwierciadle dalekich jakichś półblasków, niż zarysem czegoś istotnego.

Z dwu person, rysujących się wyraźnie, jedna zdawała się być mężem leciwym, druga niewiastą młodzieńczej postawy. Mąż uderzał ogromem statury i potężną muskularnych członków, zdolnych zda się żubra zgnieść w uścisku. Niewiasta jednak dzierżyła tego wielkoluda w dłoni i miała w nim jakby niewolnika, mimo zgoła pańskiego wyglądu i wspaniałych z po-

zoru szat, szyję bowiem nieszczęśnika okręcał po kilkakroć łańcuch, świecący mocniej od wszystkich świateł skupionych dokoła widm. Robił on wrażenie płomienistego węża i zdawał się ciężyc widmu boleśnie, bo ilekroć szarpnęła nim drobna dłoń niewiasty, za każdym razem wielkolud wydawał głuchy jęk i wił się, jak rozgniatany robak.

Niewiasta, przyczyniająca mu tak nieznośnej męki, wyglądała na topielicę. Pokrywały ją wodne porosty, w rozplecionych włosach błyszcząły ziarnka piasku i wiły się gałązki nenufarów. Szła nieco wtył podana, jakby nie chcąc zbliżyć się do poprzedzającego ją męża, potrzasała jednak wciąż na nowo łańcuchem, jakby lubując się w zadawaniu mu cierpienia.

Duch miecznika braclawskiego wyciągnął tymczasem znowu rękę w stronę widm.

— W imię Boga, który was i mnie przyzywa tu z grobu dla pokuty własnej i nauki żywych, — zawołał gromko; — w imię Boga wzywam was: mówcie!

Nowy wybuch jęku i płaczu odpowiedział na wezwanie, poczem z pomiędzy sinych, smętnych duchów podniósł się jakby chór zmieszanych, ale zgodnych głosów.

— Patrz na nas, młodzieńcze z naszego rodu. Patrz na nas, słuchaj i ucz się!

Otośmy bowiem wszyscy, z wyjątkiem tej jednej zamężonej przez najgorszego z nas, otośmy wszyscy\ krwią z krwi twojej i kością z twojej kości! Myśmy pradziadowie twoi, władcy dawni na tych ziemiach. I wszyscy słusznie karanie otrzymujemy za

winy nasze, za krzywdę poddanych, za bratobójcze waśnie i postponowanie dobra publicznego dla prywaty...

Mieliśmy się za bogobojnych, erylowaliśmy cerkwie i uposażali monastery, więząc przytem w lochach niewinne ofiary, rąbiąc przez łeb nieprzyjaciół i swoich, siebie ponad Boga i ojczyznę stawiając.

I oto teraz przychodzimy ostrzec ciebie, prawnuka nasz!

Strzeż się ciemństwa ludu i krzywdy! Strzeż się dla prywaty i honoru wszczynać zwad i rozlewać krew! Strzeż się pychę własną i namiętność stawiać ponad zakon Boży i służbę Rzeczypospolitej!

Bądź lepszy, niż myśmy byli! Tem siebie ochronisz od takiego, jak nasz losu, a nas z pokuty wyzwolisz i otworzysz nam niebiosy, do których tęsknimy!

Duchy pokutujące umilkły i, cofnąwszy się w głąb, zdały się blednąć i rozmdlewać w niewyraźny obłok. A duch miecznika zwrócił się ku krwawej postaci wielkoluda i zawołał nań groźniej nakazującym głosem:

— Ty teraz zkolei, nieszczęśniku, powiedz, co ci przykazano rzec, nie ku uldze własnej, jeno ku zbudowaniu i nauce tego oto potomka twego, i niech ci przyświadczą towarzysze niedoli, potępieni, jako i ty!

Wielkolud w odpowiedzi zawył tak straszliwie, że zamek zatrzęsł się w swych posadach i porozrywane ramy okienne zabrzękły, uderzając o żelazne przypory, a jedna z nich oderwała się od haka i spadła z chrzęstem na ziemię. Wówczas więzień sam targnął oburącz łańcuchem i wyrzucił z gardła istny potok

bluźnierstw i złorzeczeń, potem zaś pięść zaciśniętą wyciągnął przeciw duchowi miecznika i dwu żywym, stojącym pod nim, i jął rzeźić ochryple, rzucając urywane słowa, niby pociski kolubryny.

— Bądź przeklęty, popi pacholku, i bodajbyś stał mi się towarzyszem wiekuistej męki!

— Mów, za co ją cierpisz! — przerwał nakazująco miecznik.

— Muszę, więc powiem! Zato, żem krzywdą żył, krew pił, z żądź własnych boga sobie czyniąc!

— I za co jeszcze?

— Żem Turobojskich pognębił i tę dzierlatkę przyprawił o gwałtowną śmierć, szczęśliwości wiecznej zbawiając, za co mnie ninie dręczy!

— I jeszcze?

— Żem łup swoim i obcym wydarty tu gromadził i skarb z tego uczynił, który miał być na potomki moje, jako pętla powroza dla wisielca. Bom chciał z nich mieć ród wielki pofriad wszystkie okoliczne kniazie a magnaty, tak wielki, by nie potrzebował nikogo się lękać i przed niczem cofać, ni przed człowiekiem żadnym, choćby i najmocniejszym, ni przed czartem, ni przed samym Bogiem! Ażem w synie widział inklinacje od moich odrodne i zgoła niezgodne z dostojnem jego przeznaczeniem i z własnymi wspianiami zamysły, przeto skarb ów zakląłem nauczonem przez mądrych zaklęciem, ażeby stał się na wieki fundamentem niezachwianej świetności mego rodu, aby szlachetną ponętą pychy i rozkoszy utrzymał go na wyniosłej dro-

W zaklętem zamczysku II.

dze, którą sam kroczyłem przez żywot, strzegąc się babskiej małoduszności i kleszych podszeptów...

— Co się za świątobliwym wpływem a modlitwą małżonki twej stało, — wtrącił miecznik.

— Tak! Ziemskie dzieło mego żywota zniweczyła dłoń niewiasty, księżej służki, a mękę wieczną sprawia mi również dłoń niewiasty... I otom skazany tutaj cierpieć tę mękę, patrzeć na triumf wrogów, na pohańbienie mojej krwi, na zniweczenie wszystkich moich rachub... Stróżem jestem tych garnków z czerwoni- cami i tych skrzyń wszelkiego dobra, które goreją piekielnym żarem, gdy muszę je codzień ważyć i liczyć. Alem stróż wierny: obroniłem je przed łapczywością Turobojskich, strasząc ich, męcząc i łudząc, aż przeze mnie zginęła stolnikowi małżonka, cześnikowiczowi pomieszał się rozum, i poszli stąd precz z niesławą! Wdzięczność mi winieneś, prawnuku! Przechowałem dla ciebie skarb nietknięty. Chciałem, żebyś z niego korzystał, żebyś z jego pomocą podniósł chwałę mego domu, zgniótł w proch Turobojskich, rozpoczął na nowo wielkie moje dzieło. Wieleż to razy chciałem wyrwać się z tych komnat, w których co noc odbywa się moja męka i moja służba! Wieleż razy pragnąłem stanąć przy twojem łożu i zawołać cię tu, i pokazać ci skarb ten olbrzymi, większy od wszystkich, jakie w kraju tym zakopały strach albo chciwość! Ale za każdym razem stanął przede mną, piersiami zagrządzając drogę, nikczemny i skarłały duch twojego rodzica, broniąc dostępu do ciebie, jak dostępu do syna broniła mi niegodna żona! Tak to ci wszyscy z krwi najbliżsi okazali się dla ciebie gorszymi wrogami, niż Turobojscy, bo Turobojscy zagrabić chcieli skarb dla siebie, ci zaś przez nienawiść własnego imienia i krwi chcieli cię widzieć w wiecznej poniewierce!

— Kłamiesz, potępieńcze! — przerwał miecznik. — Od zguby go strzegłem jeno, jako przedtem mnie strzeżono! Przeklęty to grosz z krwi, z krzywdy, z gwałtu i zbrodni! Zguba z niego byłyby rodowi naszemu, nie — chwała!

Widmo wojewody zagrzmiało śmiechem strasznym, podobnym do wycia.

— A przecie pobożny twój synalek umaczał już w złocie tem ręce! Ani rodzic twój, ani ty nie tknęliście tego przeklętego grosza, choć ślinka szła wam do gęby na perły i dukaty, ale ten oto gładki pacholek o liczku podźwiki — nie biegał to do moich skrytek raz po raz, dukat po dukacie z nich wynosząc, i to za konsensem własnego konfidenta, przeklętego popa, co tam teraz pacierze klepie za ciebie w kaplicy.

— Co było przede mną skryte za żywota, tom poznał po zgonie, — rzekł miecznik, — ponosząc słuszne karanie nienawiści i pychy w tych samych murach, do któryś i ty pi-zykuty. Bóg mi dozwolił ulżyć nędzy synowskiej maluchną częścią tych skarbów, pochodzącą nie z krzywdy, ale z prawego dziedzictwa. Dlatego ukazał skarb matołkowi, a on wziął wskazanie od mnicha, by zrzadka i w koniecznej potrzebie po jednej sztuce złota stąd wybierać. Mało wziął: spora garść złota sprawiedliwie synowi memu należy, jako puścizna nie — krzywdy, jeno pracy dziadowskiej.

Reszty, dufam, nie tknie dłoń jego, i ten plon łez odrzuci za tobą na dno piekła. Widmo wielkiego Hrehora wydało znów Tyk straszny, a potem uderzyło pięścią w mur, który rozwarł się, odsłaniając szereg opleśniałych skrzyń i garnków z żelaza. Skrzynie te niezwłocznie rozwarły się same, z garnków spadły pokrywy i oczom Miśniakowskiego ukazał się taki ogrom bogactw, o jakich w najśmielszych snach swoich nie marzył żaden ze współczesnych alchemików. Były tam niezliczone rzędy w złocie kowane, lśniące od szafirów i rubinów, i mnogie sznury urjańskich pereł przedziwnego blasku, i kwarty całe szmaragdów i diamentów, których iskrzące się błyski zdawały się rozjaśniać mrok nocy, i mnóstwo kosztownego oręża i bezcennych cacek, i klejnotów zdolnych zdobić królewskie diademy, i złotych naczyń kościelnych, złupionych z ołtarzy. Ale nadewszystko rwała oko bezmierna moc złota. Napełniało ono po brzegi wszystkie tygle i czerepy i wolne miejsca w skrzyniach i, nie mogąc się pomieścić, bezładnymi kupami wałało się na dnie obszernej skrzynki. A jakby dlatego, by ten obraz uczynić jeszcze ponętniejszym dla chciwości, wszystkie naczynia, zawierające owe kosztowności, stały się naraz przezroczyste i rycerz mógł dostrzec 7.osobna każdy dukat i każdy diament na dnie najdalszej ze skrzyń.

Pan Kazimierz nie był chciwy i wiele rzeczy droższych mu było od złota. Ale chowała go nędza, bieda była nieodłączomą towarzyszką życia, a doświadczenie przekonało go o wielkiej mocy złota na ludzkie

losy. Mimowolnie też olśnił jego oczy widok tego przepychu i, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, zbliżył się o parę kroków do otworu, płomieniejącego złotem i diamentami.

Widmo wojewody ozwało się do niego uroczystym głosem, wskazując na te bogactwa:

— Twoje to wszystko, ostatni potomku mojego rodu, bierz te skarby, szafuj niemi na chwałę naszego imienia, zgnieć z ich pomocą wrogów naszych, kąp się dosyta w rozkoszy, której kluczem złoto, i wdzięczniej od wyrodnego rodzica sław pamięć antenatów, którzy to wszystko nagromadzili dla ciebie.

— I którzy zato mękę cierpią czyścową albo wieczną — przerwał poważnie miecznik.

— Nie słuchaj go! — krzyknął wojewoda. — To fałsz! — Ten łańcuch z piekielnych żarów, który mi gardziel dławi, azaliż narzuciły mi go te bogactwa?

— Ale te bogactwa palą ci ciągle dłonie piekielnymi ogniami, — odparł miecznik — i każdemu one stałyby się niebezpieczną pokusą dla swojego ogromu, cóż dopiero, gdy są to fructa tyłu zbrodni!

— Nie słuchaj go! — powtórzył Hrehor. — To twoje! Bierzże a żywo, bo rychło minie godzina i mur się zawrze, a mnie może nie dopuszczą otworzyć go przed tobą po raz drugi.

Ale jednocześnie z głosem wojewody rozległo się ostrzeżenie miecznika.

— Strzeż się, synu! — Z piekiel to pokusa i do piekiel przez nią droga!

Rycerz jednak ostrzeżenia nie potrzebował. Olśnił go

na mgnienie oka blask skarbu, ale pokusa nie sięgnęła mu w głąb uczciwego serca. Cofnął się tedy znów o krok; odwrócił głowę, potrząsając nią silnie, a potem spojrzął bez lęku oko w oko potępieńcowi.

— Nic mi po tym skarbie, — rzekł z mocą. — Niechże Bóg broni, by go tknęła moja ręka! Niech z tobą idzie w otchłań, nieszczęśniku. I tych kilku czerwońców nie chcę więcej, które z tego nieczystego źródła szły mi w pomoc. W ubóstwie żyłem dotąd, w ubóstwie chcę żyć dalej, ten tylko z dzisiejszej nocy wyciągając pożytek, że miast bogactw pożalować, będę odtąd prosił Boga, by mnie od nich chronił.

— Dobrze, synu! — rzekł miecznik. — Ale to ci przydam, że tę część skarbu, która stanowi sprawiedliwy owoc pracy naszych ojców, wolno ci bez szkody własnej i krzywdy bliźniego zatrzymać. Patrz oto na tę garść dukatów, która leży oddzielona od skarbu i nie świeci się, jak on cały: to twoja puścizna. Bierz ją śmieie i na dobre użyj!

— Nie, ojczu, — odparł z determinacją Miśniakowski. — Nie wezmę ani grosza z tych dukatów, skalanych zetknięciem z krwawą mamoną piekieł! Ale, skoro wiem, że na ojcach moich zaciążyła obraza Boża i ludzka krzywda, niechże te pieniądze idą na naprawę złego i na ulgę tych nieszczęsnych, którym ulżyć można. Niech Walek bierze to złoto i odda je ojcu Sym- forjanowi, by go użył na wsparcie biednego ludu i na otarcie łez nędzarzom.

— Dobrze, bardzo dobrze, synu! — rzekł miecznik, a głos jego zdawało się, przybrał jasności i mocy.

Ale widmo wielkiego Hrehora zawyło tak strasznie, że ryk ten wstrząsnął podwaliny starego zamczyska i odbił się tysiącem ech o najdalsze jego sklepienia, a wnet potem krwawa owa i płomienna postać zapadła pod ziemię z przeraźliwym zgrzytem łańcuchów. A równocześnie z orszaku sinych duchów w głębi komnaty, podniósł się radosny okrzyk błogosławieństw i dziękczynień, i zdało się Miśniakowskiemu, jakby cienie te poczęły bieleć, promienieć i podnosić się do góry, aż wreszcie, niby tęcza świetlana, rozpląły się w powietrzu.

— Wyzwoliłeś ich wszystkich z męki i z brzemienia, jakie musieli dźwigać, — rzekł miecznik. — Błogosławią cię i orędownikami twymi będą u Boga.

— A ty, ojczu! — zawołał pan Kazimierz, przypadając do kolan i wyciągając dłonie ku widmu. — A ty, tak zacny i tak za dni żywota nieszczęśliwy — nie będziesz wyzwolony wraz z nimi?

— Nie! — odparł smutno miecznik. — Inna była moja wina, niż ich. Nie chciwością jam grzeszył krzywda ludzka nie przyłgnęła do mych rąk; nie od skarbu też zależy moje wyzwolenie...

— A od czegoż, ojczu, od czego? — pytał rycerz, dławiąc się łzami.

— Nienawiść była moim grzechem! Prawda: krzywda mi się działa, ale czyż Chrystusowa krzywda nie była większa? A ja, Chrystusa mając wciąż na ustach, tak się zaciekle w nienawiści, że wziąłem ją nietylko za godło własnego życia, ale i tobie ją narzuciłem, wiążąc cię bezbożną przysięgą, iż służby pro publico

bono zaniechasz i szczęścia własnego się zaprziesz, a zemsty nie zahaczysz i bez pardonu ścigać będziesz Turobojskich, i póki życia zgody z nimi nie zawrzesz. I patrz, jaką obrzydliwością Bogu jest nienawiść! Z tych wszystkich, na których wyzwolenie dano ci było patrzeć w tej chwili, niejeden, każdy bodaj popełniał crimina, na których samą myśl wzdrygnęłoby się moja serce. A przecie wyzwoleni są raniej ode mnie... A jeśli zły posiew, jaki rzucałem w duszę twoją, zachwascił ją, jak zachwaszczona była moja w godzinie śmierci, wówczas przyjdzie mi nieść mękę moją, może aż po ostatni dzień świata...

Rycerz rzucił się gwałtownie ku widmu i znów wyciągnął błagalnie dłonie.

— Mów, ojcze! — krzyknął. — Mów, bo serce pęknie mi z żalu... Co mani czynić, by cię wyzwolić?

— Uczynj jedno tylko. Cofnij niegodziwą przysięgę, do której ciebie zmusilem!

Poniechaj zemsty! Przebacz wrogom. Miłuj!

Oblicze młodego rycerza opromieniła radość wielka.

— Ach, ojcze! — zawołał z uniesieniem. — Tegoż to tylko żądasz ode mnie, czego od tak dawna nadaremno domagało się znękané serce?

— Tego jednego.

— I zezwalasz mi złączyć się dozgonnym afektem z córką Turobojskich rodu?

— Pozwalam i prosić będę Boga, by wam błogosławił. Szczęście Hanny niech będzie zadośćuczynieniem za krzywdę i niedolę tej drugiej.

— Amen, amen! — zakrzyknął rycerz.

— 238 —

— Dzięki ci synu! Bóg z tobą...

Ostatnie słowa wymówił miecznik ciszej od poprzednich, i zdało się panu Kazimierzowi, że równocześnie postać jego rozświetliła się i podniosła i niby słup tęczy spłynęła w głąb komnat ku kościelnemu krużgankowi

— Ojcze — zawołał Miśniakowski, biegnąc śladem gasnącego światła.

Ale Walek go wstrzymał.

— Na nic go ścigać, — szepnął. — Już tam ciało jego powróciło do sklepu, a dusza, niczem ta ptaszyna, uleciała w niebiosy.

Poszli zwolna ku kaplicy. Drzwi jej były rozwarte, ale grobową piwnicę zastali zamkniętą. Ojciec Symforjan leżał wciąż krzyżem. Obok niego rozciągnął się na ziemi Miśniakowski, za którym pokłękł Walek, i wszyscy trzej resztę nocy przebyli na modlitwie.

O świcie WTÓcili do swych izb, by paru godzinami odpoczynku przed mszą pokrzepić zwątłone siły. Bernardyn nie pytał o nic, kiwnął tylko z porozumieniem głową, gdy mu Walek wręczał zabrane ze skrytki złoto, potem zaś zwrócił się do Miśniakowskiego.

— Naprawiag sprawiedliwością i miłowaniem to, — rzekł — co przed tobą zgrzeszono nienawiścią i ukrzywdzeniem. Służ biednemu ludowi, zaprzyj prywaty dla publicznego dobra. Tak zmażesz ojców winę!

IV.

ZAKOŃCZENIE

JMĆpan Zygmunt Chrzęszczewski, porucznik nadwornej dragonj i JW. Szolędrskiego, biskupa kijowskiego i tegoż dostojnego senatora koligat, był kawalerem niemalej fantazji i górnego o sobie mniemania, do czego przyczyniała się i zasobna fortuna, i kształtna postawa, pełna rycerskiego animuszu, i kilka małych przewag, odniesionych przeciw Tatarom i kozackim grasantom, z którymi milicja biskupia wciąż musiała się użerać na ukraińskich stepach. Nie "tał też pan porucznik ani przed bliższymi, ani też przed całkiem dalekimi (jako że wogóle nie dawał do siebie przystępu niepotrzebnej modestji), iż zaszczycony jest specjalnymi faworami JW. Szolędrskiego, który go nietylko miłuje, jako krewniaka, ale i za najbliższego ma konfidenta i nieledwie za żrenicę oka, o nic bardziej nie troszcząc się, jak o jego sukcesy i promocję. Jak to było naprawdę z tą konfidencją, różnie ludzie prawili, to pewna jednak, że bi skup dbał istotnie o swego koligata i sam go promował gorliwie, powierzając mu w tak młodym wieku komendę najsprawniejszej części swych wojsk. Być może też, że objawem szczególnego faworu było przeznaczenie pana Zygmunta na komendanta załogi, przysłanej dla obrony Łazunia i siostrzenicy JW. biskupa, jakkolwiek do tej funkcji słusniejsze miał prawo stary wilk kresowy, najwyższy rangą i zasługą z oficerów biskupich, JMĆpan Sabatyn, który właśnie w Chwastowie lizał się z ran otrzymanych na Moskwie, i nie mogąc jeszcze w pole wychodzić, w sam raz zdatny był na łazun- skiego komendanta. To też dwór w Chwastowie głośnie opowiadał, że gładki rycerzyk wysłany został nietylko jako sługa Mansa i Bellony, ale raczej jako ulubieniec Kupidyna, by wraz z kluczami warowni wziąć klucz do serca panny starościanki i do fortuny jej rodzica.

Zachowanie się młodego panka w Łazuniu potwierdzało w całej pełni te przypuszczenia. Od pierwszego dnia i niemal przed złożeniem submisji panu staroście i jego córce, począł się rządzić na zamku i w posiadłościach Turobojskich nietylko jako czasowy komendant, ale jako istotny pan i dziedzic. Nic to, że obsadził swymi ludźmi gródek w Perehińsku, bo to było słuszne, i nie dałoby się inaczej położyć kresu bezładowi i dzikiemu bezprawiu, jakie tam zapanowało po tragicznym zgonie Szczepana. Mniej już były potrzebne nieustanne mustry, podjazdy i wycieczki wojenne, odprawowane przez młodego komendanta, jakoby kraj gorzał wojną a Łazuniowi groziły zastępy wrogów. Co jednak drażniło starego Ciszewskiego niepo-

mału, to sposób bezceremonialny i wprost zuchwały, w jaki młodzik rozporządzał się ludźmi i dobytkiem chorego pana, a Deręgiewicz zieleniał ze złości i chwycił drżącą dłonią za rękojeść szabli, gdy pan Chrząszczewski zaczynał przymilać się do Hanusi i prawie jej komplementy, podkręcając młodziutkiego wąsa i przybierając minę zwycięzcy.

Ale pan Bartłomiej niesłusznie się irytował i trwożył o skarb, który w sercu swem pocziwem, mimo wszystko co zaszło, przyjacielowi przeznaczał. Starościankę wypadki ostatnich kilku niedziel zmieniły do niepoznania. W przeciwnościach straszliwych, w grozie i trosce owych okrutnych dni dziesięciu, przez które Szczepan władał Łazuniem, a przede wszystkim po niespodzianym odjeździe Kazimierzowym, który jakoby gromem uderzył w tęczy gmach jej nadziei, Hanna ostatecznie zwlokła z siebie postać i duszę młodego dziewczęcia. Stała się kobietą. Wyrosła, zeszcupiała, przybladła, ale rysy jej nabrały głębokiego wyrazu, zadumane oczy pogłębiły się, wkoło ust zarysował się zmarszczek bólu. Nie odstępowała prawie ojca, mówiła mało, ale głos jej umiał teraz przybierać ton stanowczy w razie potrzeby, przebywała też w kaplicy zamkowej długie godziny na samotnej modlitwie. Wśród dziewczek počęły krążyć szept, że uda się za kratę do dubieńskich karmelitanek, gdy tylko pan starosta zamknie oczy.

Z panem Chrząszczewskim była od początku nie zmiernie grzeczna, ale chłodna i nieco wyniosła. Darmo młody komendant strzelał ku niej, tkliwymi spojrzeniami, darmo próbował olśnić ją opowieściami c festynach, których bywał uczestnikiem na dworze biskupim i u innych magnatów, darmo malował jej cuda Warszawy, w której parętoć gościł, i do niebywałych rozmiarów wynosił świetność swych czynów wojennych. Panna pozostawała obojętna, podtrzymując dyskurs o tyle tylko, o ile tego wymagała dworność manier, nie zdając się jednak wcale nim interesować. Pan Zygmunt nie orjentował się w tem zazwyczaj, zaślepiła go bowiem próżność, i brał za panięską nieśmiałość i efekt swej zabójczej urody, co było oznaką obojętności i leceważenia. Ale oficerowie i starsi dworzanie, dopuszczeni do pańskiej kompanji, trafniej tę rzecz sądzili od niego, i sam Deręgiewicz, acz mocno wzburzony w początkach, po jakimś czasie począł się uspokajać.

— Niedługo tu jego rządów, — pocieszał starego Ciszewskiego, popijając wieczorem wytrawny miód w jego stancji. — Jak przyszedł, tak pójdzie, pędziwiatr jeden, a waćpan po staremu rządzić będziesz w zamku.

— Byle tylko, co nie daj Bóg, nie sprawdziło się -owo gadanie, od którego aż huczy w babińcu, — mruknął burgrabia posępnie.

Deręgiewicz brwi zmarszczył.

— Za kratę ten kwiatusek nadobny! — westchnął ciężko.

— Niech nas ten kielich ominie!

— Niech ominie! Bóg wie, zem nie aljant ani konfident Miśniakowskich: w innych sentymentach by

łem chowany! Ale tak jak rzeczy stoją, tak jakem miecznikowicza poznał, za łaskę bożąbym uważał gdyby stara waśń obu rodów skończyła się ślubnym wiankiem. Parę miesięcy temu łgarzemby nazwał i w łeb ciął takiego, ktoby mi przepowiedział, że słowa podobne przecisną mi się przez gardziel, ale teraz widzę to dobrze, że Miśniakowski byłby najlepszy i na męża panny starościarki i na dziedzica tych włości, bo dusza w nim rycerska, statek wielki, a grosiwa jest tu aż nadto na dwoje. Powiem waćpanu sub rosa, że i nasz pan starosta tak myśli i dał mi to jasno wyrozumieć.

— Mój Boże! Jak to się wszystko zmieniło! Ostatni Turobojski chce mieć zięciem ostatniego z Miśniakowskich!

— Chce, ale djabeł nie chce.

Deręgiewicz znów westchnął i pochylił głowę.

— Ano, tak! Chyba, że djabeł! Bo, że z Boga nie jest ta przysięga, to pewna!

— Naszą panienkę z nóg ścięło od odjazdu porucznika do Horodyszcz, a ona inklinacja do klasztoru wnet potem objawiła się.

— Temu chwastowskiemu wiercipięcie zdaje się, że pannę pocieszy, i państwo łażuńskie jak dojrzała gruszka spadnie mu samo w ręce.

— Niedoczekanie jego! — warknął ze złością stary.

Dalszej rozmowie położyło kres wejście pana Chrząszczewskiego. Słysząc było już zdała jego chód i pobrzękiwanie szabelką a ostrogami. Wchodząc, trzasnął drzwiami, aż zadzwoniły szyby w ołowianych okuciach i, nie zdejmując kapelusza, wbok się wsparł jedną ręką, drugą zaś pochwycił, muskając sztorcem stojący wąsik.

— Waćpanowie tu, widzę miłego zażywacie wczasu, zauważył z przekąsem, a JMCi Panu burgrabiemu przy starościńskim miodku nie przychodzi zgoła na myśl, że na zamek mógłby zniecka uderzyć nieprzyjaciel.

— Bo nie przy burgrabim komenda, — mruknął, nie ruszając się z miejsca, Ciszewski.

— Pewnie. Ale dobrze, że przy takim komenda, kto zdaleka niebezpieczeństwo dostrzeże.

— Proszę! To może przydarzyło się niebezpieczeństwo?

— Narazie niebezpieczeństwa niema, bom ja czujny, a zamek mocny i załoga gotowa. Ale gdyby tak na innego, to pewnie byłoby, i niemałe!

— Doprawdy? No, no! Aż tak! Co za szczęście, że komenda w tak czujnych i doświadczonych rękach! Ale wolnoż wiedzieć, na czym ono niebezpieczeństwo polega?

— Sam spojrzysz waćpan!

Mówiąc to, młody komendant zadarł głowę nieco wyżej jeszcze i, zbliżywszy się do wąskiego okienka w rogu izby, ukazał Ciszewskiemu w tumanach kurzawy gromadę jezdnych, pędzącą wwał ku zamkowi.

Ciszewski oczy ręką przysłonił, przypatrując się, poczerń splunął i ramionami ruszył.

— I to waćpan nazywasz niebezpieczeństwem? — uśmiechnął się pogardliwie.

Młodziak stropił się nieco.

■— Nikogo ze swoich nie oczekujemy, — bąknął.

— Ale może być gość niespodziewany, albo podjazd

jakiego regimentu, przechodzącego tą stroną, -w żadnym zaś razie nie nieprzyjaciel, bo choć oczy moje starsze o i waćpanowych, to jednak już mogę rozpoznać, że nie są to ani Tatarzy, ani żadne hultajstwo kozackie, idą bowiem sprawnym szykiem, a nie kupą, ani półksiężycem. A choćby to byli i nieprzyjaciele, niebezpieczeństwo im chyba groziło, a nie nam, bo cóż oni bez puszek wskórają przeciw naszym murom i wałom?

IMC pan Chrzęszczewski stropił się jeszcze bardziej, zerwał się jednak ku drzwiom, nadrabiając miną. .

— Każę ich tu wnet z kartaczownic poczęstować! — zawołał.

Ale Deręgiewicz rozśmiał się głośno i wesoło, przytrzymując młodego oficera za kolet.

— Przypatrz się waść naprzód tym, którym tak godny chcesz dać traktament! A to ferwor dopiero! W Miśniakowskiegobyś trafił, albo w którego z jego ludzi, bo to on właśnie tu nadjeżdża..

— A prawda, — przytwierdził burgrabia. — Otóż to ów Tatarzyn tak groźny, od którego chciałeś, mości komendancie, z tak wielkim animuszem bronić Łazunia!

— I teraz będę mu bronił wstępu! — zakrzyknął oficer, dotknięty do żywego kompromitacją i docinkami.

Pan Bartłomiej brwi ściągnął.

— A to dlaczego, jeśli wolno spytać?

— Dlatego, bo Misniakowscy zdawien dawna wrogami Turobojskich, a ten oto, co tu nadjeżdża, przewodził zbójckiej wyprawie na ten zamek, którego waćpan, panie burgrabio, nie potrafiłeś przed nim ochronić!

Teraz Ciszewski opuścił w milczeniu siwą głowę. Komendant dotknął bolesnej rany, która mimo niespodzianego ułożenia się wypadków, nie przestawała jątrzyć się w duszy starego żołnierza. Zdobycie zamku przez szlachtę uważał za despekt osobisty i wyrzucał sobie wciąż, że dał się tej hałastrze niesfornej zaskoczyć i przełamać. Zacisnął więc teraz usta, nie znajdując odpowiedzi na złośliwy przytyk młodzika, wyręczył go jednak pan Bartłomiej.

— Brak eksperjencji przez waćpana przemawia i widno zaraz, żeś adolescens, dopiero co wyzwolony z pod feruły patrów, inaczej bowiem wiedziałbyś, jako mu- tabilis jest wojenna fortuna, a wódz, by i najobrot- niejszy, musi czasem ulec jej pociskom. Tak się tym razem stało i z IMC panem Ciszewskim, którego roztropnym zarządzeniom w obronie zamku nikt nie przygani, kto spraw wojennych jest peritus, a niepomysłnym ewentem tej obrony nie będzie urągał nikt pocziwy.

Młodzieńcowi krew oblała gładkie oblicze i nozdrza rozszerzyły się z gniewu.

— Waść do mnie to pijesz i niepocziwym przeżywasz? — krzyknął. — Ja za to waści... Ja ci tu zaraz... Jak ty śmiałeś!

I, wychwyciwszy szablę z pochwy, chciał się rzucić na Deręgiewicza.

— Czekaj-no waść, mości komendancie! — zauważył stary Ciszewski z szyderską pobłażliwością, z jaką się karci swawolnego dzieciaka. — Może to u was w Chwastowie taka moda, żeby dla zabawy wyciągać szerpen-
W zaklętem zamczyska II.

fcynę, kiedy nieprzyjaciel ante portas. Ale tak myślę, że skoro się jest komendantem, to trzeba naprzód sprawy komendy załatwić, a potem dopiero krotchwili się imać i do gry rycerskiej stawać. Oto bowiem słyszę trąbki pana miecznikowicza i nawoływanie jego, huki o spuszczenie mostu, a waćpan chcesz iść na ostre z IMĆ panem Deręgiewiczem!

Pan Zygmunt z nadąsaną miną wsunął szablę do pochwy.

— Każę im powiedzieć, żeby sobie szli z kwitkiem nazad, — mruknął.

Pan Bartłomiej chciał coś remonstrować, ale powstrzymał go Ciszewski.

— Za pozwoleniem—rzekł do młodego oficera.—Nie sędzę, by sprawę tę można było tak łatwo rozstrzygać. Nie waćpan jesteś dziedzicem i gospodarzem Łazunia.

— Przy mnie komenda i władza!

— Ale pannę starościankę godziłoby się zapytać, co ona myśli o tem.

— Panna starościanka nie włada sobą. Opiekę nad nią objął JW. ks. biskup kijowski, a on powierzył mi rządy zamku.

— Tak, o ile ich niezdolny sprawować sam pan starosta.

— Który leży bezwładny, o świecie Bożym nie wiedząc.

— Hm! Nie wiedząc... A może i wiedząc.

Młodzieńczyk znów się stropił na chwilę, ale wnet odzyskał dawną butę.

— Niech mi pan starosta wolę swoją objawi, to jej usłucham, — rzekł hardo.

— Może i objawi, — mruknął cicho Ciszewski.

— Inaczej moja tu wola i moje prawo!

— A niedoczekanie twoje, chłystku! — wybuchnął z wściekłością Deręgiewicz.

Ale pan Chrzęszczewski nie słyszał lub udał, że nie słyszy tych słów, bo był już w korytarzu, dając wachmistrzowi rozkazy co do Miśniakowskiego i jego orszaku. Wślad za nim wyszli burgrabia z Deręgiewiczem, udając się na górę do starościńskich komnat.

Starościanka wiedziała już od służebnych o zajściu i kazała wezwać do siebie komendanta.

Oblicze miała zapłonione lekko i brwi ściągnięte, gdy stanął w progu, kłaniając się jej uniżenie i z nadmiarem dworskiej grzeczności zamiatając kapeluszem proch z pod jej stóp.

— Waćpan nie kazałeś spuszczać mostu przybyłemu gościowi, który właśnie się otrąbił, rzekła sucho. Czyz nie wiesz, że jest to JMĆ pan Miśniakowski, któremu wielką wdzięczność powinnam i który tu komendę miał, zanim ją zdał waćpanu?

Oficer znów się pokłonił.

— Wiem, i dlatego właśnie nie kazałem go puszczać.

Panna głowę w górę uniosła,

— A to dlaczego i jakim prawem?

— Prawem, danem mi przez JW. opiekuna waszej mości, a dlatego, że JMĆ pan Miśniakowski raz już wrogo następował na ten zamek, i nie wiem, azali znów nie przybywa w jakowymś złym zamiarze, przeto bez

"wyraźnego rozkazu mego miłościwego pana nie mogę go tu puścić!

— Jeśli się waćpan obawiasz jego orszaku, który wzięłeś przed chwilą za czambuł tatarski, czy kozacką watahę,—wmieszał się Ciszewski,—to każ orszak odprawić, a jego dopuść samowtór. Nie schwyci ci przecie zamku, choćby i Karabanowicza wziął z sobą.

Komendant zęby ścisnął.

— Ani orszaku, ani jego samego — mruknął, potrząsając głową. — Nic tu po nim.

— Ale ja żądam, aby dopuszczono przede mnie pana Miśniakowskiego! — zawołała panienka. — Waść nie ma prawa sprzeciwiać się mej woli!

Chrząszczewski znów się pokłonił.

— Widzisz waćpanna we mnie najnieszczęśliwszego z ludzi — westchnął, dłoń kładąc na sercu i zawracając zlekka oczy; — ale dla dobra dostojnej persony waszej mości, dla ochrony powierzonego mi skarbu bez ceny— gotów jestem narazić się nietylko na nieprzyjacielskie kule, o które mniejsza, ale i na te groty, które spaść są gotowe z onych precudnych oczek na najwierniejszego sługę i niewolnika, choć Bogiem się świadczę, że połowicę żywota, ba, i żywot cały, oddałbym chętnie za jedno łaskawsze ich wejrzenie.

Skończył, rad z pięknie zaokrąglonej przemowy i okiem rzucił dokoła, śledząc jej wrażenie na obliczu starościanki.

Ale wrażenie chybiło. Panna w odpowiedzi ruszyła wzgardliwie ramionami.

— To komplement, a nie odpowiedź—rzekła ostrym tonem.—Ja żądam odpowiedzi!

Puścisz waść pana Miśniakowskiego, czy nie?

Pan Chrząszczewski ręce rozkrzyżował.

— Nie mogę — rzekł.

— Więc dobrze! Wyjdę wraz z tymi dwoma ich- mościami do niego za fosę!

Chrząszczewski przybladł nieco, ale znów głową potrząsnął.

— Serce mi pęknie, ale choćby mi i trupem paść przyszło u twoich stóp, miłościwa panno, nie wyjdiesz!

— Gwałtem mnie chcesz zatrzymać?

— Nie, ale mostu spuścić nie dam!

— Wbrew memu rozkazowi?

— Wbrew rozkazowi dla tem większego dobra wasz- mości panny.

Starościanka zmierzyła go od stóp do głów pogardli- wem spojrzeniem.

— Iw ten to sposób waćpan myślisz o rękę moją konkurować? Siłą brać mnie może? Ale Szczepan mocniejszy był od waćpana, a nie udało mu się: nie dufaj, że tobie się uda!

Młodzieniec zmieszał się mocno.

— Ja w nic nie dufam i o nic nie pretenduję, a jeśli waćpanna chcesz w sprawie tej o rezolucję do JW. biskupa się udać, wnet gońca z jej pismem pchnę do

Chwastowa, a ten mościpan może sobie tymczasem przed fosą na respons poczekać.

Panna chciała coś odrzec, ale powstrzymał ją burgrabia.

— Obejdzie się pono bez tej łaski—rzekł.—Waćpan tu jesteś jedynie nato, by panu naszemu dać słuszny sukurs, o ileby go była potrzeba, ale nie nato, by zamiast niego, być tu panem...

— Zastąpić mi go kazano, zmożonego chorobą...

— Zastąpić? Hm, może! Ale jeśli nie potrzeba zastępować i wystarczy rozkaz pański spełnić?

Mówiąc to, Ciszewski uchylił drzwi do sąsiedniej alkowy, w której środku na łożu, o wezłowie oparty, siedział starosta.

Zdawał się on bardziej jeszcze wyschnięty i zeszczuplały, niż przed dwoma miesiącami. Żółta siecią zmarszczek okryta twarz robiła wrażenie, jakby ją wyrzezano w kości słoniowej. Wargi miał prawie białe i ręce jak u szkieletu, ale palce, trzymające różaniec, poruszały się ledwo dostrzegalnym ruchem, z bezzębnych ust zdawał się wychodzić szept jakiś, cichszy od brzęczenia najmniejszej z muszek, a oczy nie szklily się już martwemi źrenicami, ale znać w nich było czucie i świadomość.

Ciszewski, który idąc do starościanki, zatrzymał się był już przez chwilę przy łożu swego starego pana, pochylał się teraz nad nim i rzekł mu powoli a wyraźnie.

— JW. Panie! Oto JMC pan Chrzęszczewski, dowódca przysłanego nam od księdza biskupa praesidium, przyszedł po rozkazy, czy ma dopuścić do zamku IMO pana Miśniakowskiego, który tu przybył z Horodyszczu z submisją do JW. pana.

Burgrabia musiał snadź mieć już teren przygotowany u starosty, bo słowa swoje wymówił tak, jakby jego panu przedtem już były znane. Musiały one jednak wyrzeć na starostę zgoła inne i dla Ciszewskiego nieoczekiwane wrażenie, posłyszawszy bowiem nazwisko Miśniakowskiego, starzec poruszył się niespokojnie i ręce przed siebie wyciągnął, jakby coś odpychał lub przed czymś chciał się bronić.

— Miśniakowski!—szepnął.—Miśniakowski! Tutaj?! I nie pod podłogą? Nie w żelazach?!

Ciszewski spojrzał nań niespokojnie.

— Przecież JW. pan sam mówił przed chwilą...

Starosta potarł wychudłą dłońią po czole, jak człowiek, któremu wraca przytomność.

— A tak, prawda, zapomniałem!—zaczął zmienionym tonem. — Tak! Teraz wszystko skończone... Spokój... naprawa... pokuta... miłosierdzie Boże... Tak! Wiem... pamiętam... Miśniakowski do Łazunia... I już na zawsze... Wielkie sądy Boże!

Szepcząc te słowa Tzężącym głosem, starzec jął uderzać się kościstą dłońią w obnażone, wychudłe piersi.

— Boże. bądź miłościw mnie grzesznemu! — jęczał.

Ale stary Ciszewski znów się nad nim nachylił.

— JW. panie!—rzekł przytłumionym głosem.—Ten chłystek komendant nie chce tu puszczać Miśniakow-

skiego, choć imościanka mu rozkazała. Co JW. pan każe czynić?

Starosta milczał przez chwilę, potem dał znak, by mu pić podano. Stary sługa nalał mu kubek wina i sam do ust mu przytknął.

Łazuński władcyka popił kilkakrotnie i napój widocznie wzmocnił go, bo odezwał się dość pewnym już głosem.

— Od kiedy to tak mi ulżyło, że mi się język w gębie począł obracać swobodnie?

— Od wczoraj dopiero, JW. panie.

— A kto wie o tem?

— Prócz imościanki i mnie tylko TodoskaiChwed'ko, ale ci pary z gęby nie puścili..

— To on nie wie?

— Chrząszczewski?

Starzec głową skinął.

— Nic a nic.

— To dobrze. Przywołaj go tu.

Pana Chrząszczewskiego nie było już w starościńskich komnatach. Zdumiał się, słysząc, że go wzywa starosta.

— Chyba starościanka? — poprawił podręcznego hajduczka, którego przysłano po niego.

— Pan Ciszewski mówił, że sam pan — odparł chłopak.

Pan Chrząszczewski ruszył ramionami i poszedł na górę. Ciszewski przyprowadził go do starościńskiego łoża.

— Teraz posłyszysz waćpan rozkaz, któremu nie będziesz śmiał odmówić posłuszeństwa

— szepnął ze zgryźliwą satysfakcją.

Komendant nie mógł odpowiedzieć, tak go pochłonęło wpatrywanie się w przeobrażoną do niepoznania postać starosty.

— Jako nieboszczyka w trumnie go znałem — pomyślał; — a teraz żywię jako i ja.

Ciszewski zaś znów pochylił się nad chorym.

— JW. panie! — rzekł. — Pan porucznik Chrząszczewski czeka na ordynans co do pana Miśniakowskiego.

Starzec pomilczał chwilę.

— Pana Miśniakowskiego... — zaczął głucho. — Pana Miśniakowskiego — puścić do zamku.

Dodał wnet, jakby poprawiając uprzednie słowa:

— Prosić go! Z orszakami... Most spuścić i kozaków ustawić w szeregi, by miał cześć...

Jako dostojnego gościa go przyjąć...

Ostatnie wyrazy wymówił z widocznym wysiłkiem. Głowa mu opadła bezsilnie na poduszki, gdy kończył, i leżał czas jakiś bez ruchu, dysząc ciężko.

Ale Ciszewski był zadowolony. Nienawiści jego stało się zadość.

— Słyszałeś wać? — rzekł ze zjadliwym uśmiechem. — JW. Starosta daje ci wyraźny ordynans. Idź wykonać go!

— Ależ... — próbował opierać się młody komendant.

— Bo jeśli nie zechcesz, sam to uczynię, choćbyś

i opór stawił! Naszych tu więcej od was i zbrojni nie- gorzej od dragonji, a JW. biskup pewnieby waćpanu nie pochwalił jakowegoś hazardu, gdybyś na to się ważył.

Chrzaszczewski pięści ścisnął i wargi do krwi -a- gryzł, a bezsilna wściekłość miotła mu garście iskier z oczu i płomieniem oblewała oblicze. Przez chwilę sam z sobą zmagał się, potem, nic nie odpowiadając, zawrócił na obcasie i wyszedł.

Za kilka pacierzy stary burgrabia znów stanął we drzwiach sypialni.

— Imćpan miecznikowicz Miśniakowski suplikuje waszą miłość, by mu wolno było złożyć JW. panu należną submisję.

Starosta wpatrywał się przez chwilę w milczeniu Ciszewskiemu.

— Jak powiedziałeś? — spytał. — Miecznikowicz? Powtórz!

Ciszewski powtórzył swe słowa.

Starosta znów milczał czas jakiś. Woskowa twarz jego ożywiła się. Usta mu drżały i na zwiędłych jagodach ukazały się ceglaste plamy.

Milczenie trwało długą chwilę, wreszcie ostatni z Tu- robojskich podniósł pochyloną głowę i Tękę przed siebie wyciągnął.

— Niech wejdą oboje! — rzekł donośnym głosem.

Podwoje rozwarły się i młody rycerz stanął w nich, nieśmiałym wzrokiem ogarniając schorzałą postać starca, obok niego stanęła starościanka z niemem pytaniem w bladej twarzy.

Starosta dał im dłonią znak. Podeszli do łoża. On znów dłonią skinął.

— Bliżej, bliżej! — szepnął..

Pokłękli przy łożu, a on pochwycił ich ręce i złączył, prawą dłoń kładąc na pochylonych głowach.

— Błogosław wam Bóg, — rzekł z mocą; — niech przez was naprawią się winy ojców waszych!

KONIEC TOMU DRUGIEGO I OSTATNIEGO.